

WRÓG BEZ TWARZY

LEE CHILD

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko: Jack Reacher (drugiego imienia nie ma)

Narodowość:

USA

Urodzony:

29 października 1960 roku

Charakterystyczne dane:

195 cm; 99-110 kg;

127 cm w klatce piersiowej

Ubranie: Kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie:

Szkoła na terenie

amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie; Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych; w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Odnaczenia służbowe: Wysokie: Srebrna Gwiazda, Za Wzorową Służbę Service Medal, Legia Zasługi Ze środkowej półki: Soldier's Medal, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce Z dolnej półki: „Junk awards”

Matka:

Josephine Moutier Reacher, ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Ojciec: Żołnierz zawodowy, korpus piechoty morskiej, służył w Korei i Wietnamie

Brat: Joe, ur.1958 , zm. 1997 ;

5 lat w wywiadzie armi

Stanów Zjednoczonych ;

Departament Skarbu

Ostatni adres: Nieznany

Czego nie ma:

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego; zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

Prolog

Wszystko, co Hak Hobie osiągnął w życiu, zawdzięczał tajemnicy liczącej ponad trzydzieści lat. Dała mu wolność, status, pieniądze, wszystko. I jak każdy ostrożny facet w takiej sytuacji był gotowy zrobić wszystko, żeby ta tajemnica nie wyszła na jaw. Miał wiele do stracenia. Całe życie.

Przez niemal trzydzieści lat chronił swój sekret, opierając się na metodzie złożonej z dwóch kroków. Ucieka się do niej każdy, chroniąc się przed zagrożeniem. W taki sam sposób państwo broni się przed nieprzyjacielskimi raketami, mieszkańiec kamienicy zabezpiecza się przed włamaniem, a bokser unika nokautu. Obserwacja i reakcja. Krok pierwszy, krok drugi. Najpierw należy dostrzec niebezpieczeństwo, następnie zareagować.

Etap pierwszy opierał się na wyrafinowanym systemie alarmowym. Z biegiem lat system

ewoluował zgodnie ze zmieniającymi się okolicznościami. Teraz był już dobrze wypróbowany i uproszczony. Składał się z dwóch poziomów, niczym dwóch pętli indukcyjnych wykrywających obecność przeciwnika. Pierwsza pętla znajdowała się w odległości osiemnastu tysięcy kilometrów od jego mieszkania. To był układ wczesnego ostrzegania. Budzik przerywający sen. Dzięki niemu wiedział, że się zbliżają. Druga pętla leżała osiem tysięcy kilometrów bliżej, ale i tak dzieliła ją od domu odległość dziesięciu tysięcy kilometrów. Sygnał pochodzący z tej pętli powiedziałby mu, że są już bardzo blisko. Ten sygnał oznaczałby, że skończył się pierwszy etap i zaczyna drugi. Etap drugi to reakcja. Nie miał wątpliwości, jak powinna wyglądać. Myślał o tym przez niemal trzydzieści lat, ale znalazł tylko jedno praktyczne rozwiązanie. Reakcja musiała polegać na ucieczce. Musiał zniknąć. Był realistą. Przez całe życie był dumny ze swej odwagi i przebiegłości, twardości i wytrwałości. Zawsze robił to, co było konieczne, długo się nie zastanawiając. Wiedział jednak, że gdy usłyszy sygnał ostrzegawczy z odległych pętli, będzie musiał zmiatać. Nikt nie mógłby odeprzeć takiego ataku. Nikt. Nawet ktoś tak bezwzględny jak on.

W ciągu tych wielu lat zagrożenie rosnęło i malało niczym przyptywy i odpływy morza. Zdarzały się długie okresy, gdy był już pewny, że zostanie zalany, ale również takie, w których wabił nadziei, że nigdy go nie dopadną. Niekiedy pod wpływem otępiającego działania czasu czuł się bezpieczny, ponieważ trzydzieści lat to prawie wieczność. Kiedy indziej wydawało mu się że to zaledwie chwila. Zdarzało się, że nieustannie wyczekiwał na pierwszy sygnał alarmowy. Plano-wał, pocił się, zawsze jednak zdawał sobie sprawę, że w każdym momencie może zostać zmuszony do ucieczki.

Układał to sobie w głowie miliony razy. Według jego przypuszczeń między pierwszym a drugim sygnałem alarmowym powinien upłynąć miesiąc. To dawało mu czas na to, aby się przygotować. Chciał pozamykać bieżące sprawy, zebrać gotówkę, przenieść aktywa, wyrównać rachunki, a po otrzymaniu drugiego sygnału zamierzał zniknąć. Natychmiast. Bez wahania. Po prostu spieprzać stąd, i to jak najszybciej.

W rzeczywistości jednak oba sygnały dotarły do niego tego samego dnia. Najpierw otrzymał sygnał z drugiej pętli. Bliższa pętla została przekroczona godzinę przed dalszą. Hak Robie nie uciekł. Porzucił przygotowywany od trzydziestu lat plan ucieczki i podjął walkę.

1

Jack Reacher zobaczył, jak facet wszedł przez drzwi. Właściwie tam nie było drzwi. Facet po prostu wszedł przez ścianę frontową, której w tym miejscu nie było. Z baru wychodziło się prosto na chodnik. Stoliki i krzesła stały pod starą winoroślą, która dawała odrobinę cienia. Reacher przypuszczał, że gdy bar jest zamknięty, wejście uniemożliwia jakaś żelazna krata. Jeśli w ogóle bywał zamykany, bo Reacher jeszcze czegoś takiego nie widział, choć nie prowadził regularnego trybu życia.

Facet wszedł metr w głąb ciemnego pokoju i zatrzymał się. Mrugając powiekami, czekał, aż oczy dostosują się do półmroku ostro kontrastującego z palącym słońcem nad Key West. Był czwartek, czwarta po południu. To była najbardziej wysunięta na południe część Stanów Zjednoczonych. Dużo dalej na południe niż wyspy Bahama. Gorące białe słońce i skwar. Reacher siedział przy stoliku w głębi, popijał wodę z plastikowej butelki i czekał. Tamten rozejrzał się dookoła. Niska sala barowa była zbudowana ze starych, ciemnych desek wysuszonych na wiór. Wyglądały tak, jakby pochodziły z rozebranych żaglowców. Na ścianach wisały rozmaite żeglarskie rupiecie, fragmenty wyposażenia z mosiądzu, zielone latarnie morskie, kawałki starych sieci i różne przyrządy rybackie — tak przynajmniej przypuszczał Reacher, który nigdy w życiu nie złapał ryby i nie żeglował. Ściany, a nawet sufity były pokryte tysiącami | wizytówek, nowych i starych, pożółkłych i skręconych, z nazwami firm, które już dawno przestały działać.

Facet wszedł głębiej i skierował się do baru. Był stary, miał jakieś sześćdziesiąt lat, średniego

wzrostu, krępy. Lekarz pewnie uznałby go za otyłego, ale zdaniem Reachera był to sprawny mężczyzna, który jednak przekroczył już szczyt góry. Człowiek spokojnie ulegający upływowi czasu i niedenerwujący się zbytnio z tego powodu. Był ubrany jak mieszczuch z Północy, któremu powiedziano, że ma nagle wyjechać do miasta, gdzie panuje upał. Jasnoszare spodnie obszerne u góry i zwężającej się na dole, lekka beżowa marynarka, już wymięta, biała koszula z szeroko rozpiętym kołnierzykiem odsłaniającym niebiesko-białą skórę szyi, ciemne skarpety, półbuty. Z Nowego Jorku lub Chicago, pomyślał Reacher. Może z Bostonu. Spędza lato w klimatyzowanych budynkach lub samochodach. Wyciągnął te spodnie i marynarkę z dna szafy, gdzie leżały od czasu, kiedy je kupił dwadzieścia lat temu i tylko kilka razy włożył.

Nieznajomy podszedł do baru, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął wypchany stary portfel z czarnej skóry. Takie portfele dobrze dopasowują się do wszystkiego, co właściciel wepchał do środka. Reacher przyglądał się, jak tamten z wprawą otwiera portfel, pokazuje coś barmanowi i zadaje pytanie. Barman odwrócił wzrok, tak jakby został obrażony. Gość schował portfel i przyglądał kosmyki szarych włosów, które przylepiły się do spoczonej skóry czaszki. Mruknął coś. Barman wyciągnął piwo ze skrzyni z lodem. Gość najpierw przyłożył zimną butelkę do twarzy, a potem wypił kilka łyków. Dyskretnie beknął, zaśnaniając usta, i uśmiechnął się, tak jakby piwo złagodziło niewielkie rozczarowanie.

Reacher również wypił kilka łyków wody. Pewien belgijski żołnierz, najbardziej wysportowany gość, jakiego w życiu spotkał, przysięgał, że można robić i jeść, co się chce, byle tylko pić pięć litrów wody mineralnej dziennie. Reacher uznał, że skoro ten Belg był od niego dwa razy mniejszy, to on powinien pić dziesięć. Dziesięć litrowych butelek. Robił tak od przyjazdu do upalnego Key West i w jego przypadku metoda okazała się skuteczna. Nigdy nie czuł się lepiej. Każdego dnia siadał o czwartej przy swoim ciemnym stole i wypijał trzy butelki wody o temperaturze pokojowej. Teraz pił wodę tak nałogowo jak kiedyś kawę.

Nieznajomy stał bokiem do baru. Pił piwo i rozglądał się dookoła. Oprócz barmana i Reachera w sali nie było nikogo. Stary odepchnął się biodrem od baru i podszedł do jego stolika. Pomachał w powietrzu butelką niejasnym gestem, który miał pewnie wyrazić pytanie, czy może się przysiąść. Reacher wskazał mu brodą krzesło i odkorkował trzecią butelkę. Nieznajomy ciężko zwałił się na krzesło, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. Należał do mężczyzn, którzy noszą w kieszeniach spodni klucze, pieniądze i chusteczki, co tylko powiększało szerokość bioder.

— Czy pan Jack Reacher? — spytał.

Nie jest ani z Chicago, ani z Bostonu. Na pewno z Nowego Jorku. Mówił dokładnie tak jak dobry znajomy Reachera, który przez pierwsze dwadzieścia lat życia nie oddalał się dalej niż o sto metrów od ulicy Fulton.

— Jack Reacher? — spytał tamten ponownie.

Z bliska widać było, że ma małe, sprytne oczy, częściowo zasłonięte obwisłymi brwiami.

Reacher wypił kilka łyków wody

i spojrzał na niego przez butelkę.

— Czy pan Jack Reacher? — spytał nieznajomy po raz trzeci. Reacher postawił butelkę na blacie i pokręcił głową.

— Nie — skłamał.

Stary na chwilę zwiesił ramiona, wyraźnie rozczarowany. Podciągnął mankiet i spojrzał na zegarek. Przesunął się do przodu na krześle, jakby chciał wstać, ale zrezygnował i znowu się oparł. Przestało mu się śpieszyć.

— Pięć po czwartej — powiedział.

Reacher kiwnął głową. Tamten pomachał pustą butelką. Barman po chwili przyniósł mu następną.

— Gorąco — rzekł stary. — To mnie wykańcza. Reacher jeszcze raz pokiwał głową i wypił trochę wody.

— Zna pan może tego Jacka Reachera? Reacher wzruszył ramionami.
- Wie pan, jak on wygląda? — spytał. Nieznajomy wypił kilka łyków piwa. wytarł wargi wierzchem
dłoni, wykorzystując ten gest, żeby znowu beknąć.
— Nie za dobrze — odparł — Wiem tylko, że to wysoki facet. Dlatego spytałem pana. Reacher kiwnął głową,
— Tutaj jest dużo wysokich typów — stwierdził. — Wszędzie ich pełno.
— Nie zna go pan po nazwisku?
— A powinienem? — spytał Reacher. — I kto chce wiedzieć?
Nieznajomy się uśmiechnął i skłonił głowę, tak jakby chciał przeprosić za złe maniery.
- Costello — przedstawił się. — Miło mi pana poznać. Reacher też się skłonił. Uniósł na chwilę butelkę.
— Poszukuje pan zaginionych? — spytał.
— Prywatny detektyw — odrzekł Costello.
— I szuka pan tego Reachera? — ciągnął Jack. — Co takiego zrobił?
- O ile wiem, nic - odpowiedział Costello, wzruszając ramionami. — Po prostu polecono mi go znaleźć.
— Sądzi pan, że jest gdzieś w tej okolicy?
— Był tu tydzień temu. Ma rachunek w banku w Wirginii!
i przesyła tam pieniądze.
— Z Key West? Costello pokiwał głową.
— Co tydzień. Od trzech miesięcy.
— No i co z tego?
— Pewnie tu pracuje — odrzekł Costello. — Od trzech miesięcy. Można przypuszczać, że ktoś go zna.
— Ale nikt o nim nic nie wie, tak?
— Nie — potrząsnął głową detektyw. — Pytałem we wszystkich lokalach na Duval, a tu chyba koncentruje się życie w tym mieście. W pewnym barze ze striptizem dziewczyna powiedziała mi, że dokładnie od trzech miesięcy jakiś wysoki facet przychodzi tu codziennie o czwartej i pije wodę.
Costello zamilkł. Wpatrywał się uparcie w Reachera, tak jakby rzucał mu wyzwanie. Jack wypił łyk i wzruszył ramionami.
— Zbieg okoliczności — powiedział. Costello kiwnął głową.
— Tak przypuszczam — zgodził się z Jackiem Podniósł butelkę do ust i wypił trochę piwa, nie odrywając swych mądrych oczu od twarzy Reachera.
— Dużo ludzi mieszka tu tylko przez pewien czas — oznajmił Reacher. — Ludzie ciągle przyjeżdżają i wyjeżdżają.
— Tak przypuszczam — powtórzył Costello.
— Będę się rozglądał — obiecał Reacher. Costello pokiwał głową.
— Będę bardzo wdzięczny — odrzekł dość niejasno.
— A kto go szuka? — spytał Reacher.
— Moja klientka. Niejaka pani Jacob.
Reacher wypił łyk wody. Nic mu to nie mówiło. Jacob? Nie znał nikogo o takim nazwisku.
— Dobra, jeśli go zobaczę, powiem mu, ale niech pan na i mnie szczególnie nie liczy. Nie widuje zbyt wielu ludzi.
— Pracuje pan? Reacher pokiwał głową.
— Kopię baseny — wyjaśnił.
Costello zastanowił się nad tym, jakby wiedział, co to są baseny, ale nigdy nie myślał, skąd się biorą.
— Jest pan operatorem koparki?

Jack się uśmiechnął i potrząsnął głową.

— Nie tutaj. Musimy kopać ręcznie.

— Ręcznie? — powtórzył Costello. — Jak to, łopatami?

— Działki są zbyt małe, żeby mogła wjechać koparka — wyjaśnił mu Reacher. — Ulice za wąskie, drzewa za niskie. Niech pan zejdzie z Duval, to sam się pan przekona.

Costello pokiwał głową. Nagle wydał się zadowolony.

— No, to pewnie nie spotka pan tego Reachera — powiedział. — Według pani Jacob był oficerem. Sprawdziłem, ma rację. Był majorem. Medale, ordery i tak dalej. Szycha w policji wojskowej. Trudno takich spotkać, machając cholernym szpadlem i kopiąc basen.

Reacher przyłożył butelkę do ust, żeby zamaskować wyraz twarzy. Wypił kilka łyków.

— To co on tu robi?

— Tutaj? Sam nie wiem. Może zajmuje się ochroną hotelu? Prowadzi jakąś firmę? Może ma jacht motorowy i czarteruje go turystom.

— A po co tu w ogóle przyjechał?

Costello wzruszył ramionami, tak jakby zgadzał się z tym sceptycznym pytaniem.

— Ma pan rację — westchnął. — To prawdziwe piekło. Jest tu jednak, to pewne. Dwa lata temu odszedł z wojska, wpłacił pieniądze do banku położonego najbliżej Pentagonu i znikł. Z rachunku bankowego wynika, że przesyłał pieniądze z całego cholernego kraju, ale od trzech miesięcy tylko stąd. Chyba przez jakiś czas podróżował, po czym zatrzymał się tutaj i nieźle zarabia. Znajdę go.

Reacher przytaknął.

— Chce pan, żebym pytał o niego?

Costello pokręcił głową. Już planował następne posunięcie.

- Niech pan sobie nie zawraca głowy — powiedział. Z trudem podniósł się z krzesła i wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów. Cisnął na blat piąta i odszedł.

— Miło mi było pana poznać — rzucił jeszcze, nie odwracając głowy.

Wyszedł przez otwór w ścianie na rozpaloną ulicę. Reacher dopił wodę i odprowadził go wzrokiem. Było dziesięć po czwartej.

• • •

Godzinę później Reacher wałęsał się po Duval, zastanawiając się nad zmianą układu z bankiem, wyborem restauracji na wczesną kolację i nad tym, dlaczego okłamał Costella. Ostatecznie uznał, że po pierwsze będzie posługiwał się gotówką i chodził ze zwitkiem banknotów w kieszeni; po drugie, zgodnie z radą belgijskiego przyjaciela zje wielki befsztyk, porcję lodów i wypije dwie butelki mineralnej; po trzecie, kłamał, bo nie miał powodu nie kłamać.

16

Nie było żadnego powodu, żeby szukał go prywatny detektyw z Nowego Jorku. Nigdy tam nie mieszkał. Ani tam, ani w żadnym mieście na Północy. W istocie nigdy nie żył w jednym miejscu. To była charakterystyczna cecha jego życia. To sprawiło, że był takim właśnie człowiekiem jak teraz. Jego ojciec był oficerem piechoty morskiej w czynnej służbie i ciągnął go za sobą po całym świecie, od kiedy matka wyniosła go z oddziału położniczego berlińskiego szpitala. Dzieciństwo i młodość spędził w kolejnych, podobnych do siebie bazach wojskowych, z reguły położonych w odległych i niegościnnych regionach świata. Później sam zaciągnął się do wojska, został oficerem dochodzeniowym policji wojskowej i znowu wędrował od bazy do bazy, aż wreszcie po zakończeniu zimnej wojny w ramach „dywidendy pokoju” rozwiązano jego jednostkę, a wówczas zwolnił się z wojska. Wędrował po kraju jak biedny turysta, żyjąc z oszczędności, aż wreszcie rzuciło go tu, na południowy kraniec kraju. Kończyły mu się pieniądze, więc postanowił przez parę dni zarabiać kopaniem dołów. Parę dni

zmieniło się w kilka tygodni, tygodnie złożyły się na miesiące, a on wciąż tu siedział.

Nie miał żadnych krewnych, którzy mogliby mu zostawić fortunę w spadku. Nie miał długów,

nigdy niczego nie ukradł, nikogo nie oszukał, nie spłodził dziecka. Jego nazwisko widniało na tak nielicznych dokumentach, jak tylko to możliwe. Był niemal niewidzialny. No i nigdy nie znał żadnej pani Jacob. Tego był pewny. I nie interesowała go ta sprawa, bez względu na to, czego chciał Costello. Z pewnością nie zainteresowała na tyle, żeby miał wyjść z ukrycia i w coś się zaangażować.

Bycie niewidzialnym weszło mu w krew. Coś w płacie czołowym mózgu sygnalizowało mu, że to była skomplikowana reakcja na sytuację, w jakiej się znalazł. Dwa lata temu jego życie stanęło na głowie. Przedtem był wielką rybą w małym stawie, teraz był nikim. Ze starszego rangą, cenionego członka dobrze zorganizowanej, hierarchicznej struktury zmienił się w jednego z dwustu siedemdziesięciu milionów anonimowych cywilów. Przedtem był niezbędny, teraz stał się zbyteczny. Przedtem ktoś mówił mu, gdzie się ma znaleźć w danym dniu i danej minucie, teraz miał przed sobą prawie osiem milionów kilometrów kwadratowych, jakieś czterdzieści lat życia, żadnej mapy i żadnego rozkładu zajęć. Czołowy płat mózgowy mówił mu, że jego reakcja była zrozumiała, ale stanowiła zachowanie obronne. Tak reaguje człowiek, który lubi samotność, ale jednocześnie się jej obawia. Czołowy płat mózgowy upominał go, że zachowuje się w sposób ekstremalny i powinien uważać.

Natomiast leżące za płatem czołowym śródmózgowie zapewniało go, że jest z siebie zadowolony. Lubił anonimowość. Lubił tajemniczość. Czuł się wygodnie i bezpiecznie. Strzegł tego. Zachowywał się przyjaźnie i wesoło, ale niewiele mówił o sobie. Lubił płacić gotówką i podróżować, korzystając z transportu lądowego. Dzięki temu nie trafiał na listy pasażerów

i nie zostawiał za sobą kopii rachunków opłaconych kartą kredytową. Nikomu nie mówił, jak się nazywa. W Key West zatrzymał się w tanim motelu, posługując się nazwiskiem Harry S. Truman. Przeglądając książkę gości, stwierdził, że nie był oryginalny. Większość z czterdziestu jeden prezydentów no-cowała w tym motelu, nawet ci, o których nikt nie słyszał, na przykład John Tyler i Franklin Pierce. Przekonał się, że w Key West nazwiska nie miały większego znaczenia. Ludzie po- zdrowiali się machaniem rąk, uśmiechali się i mówili: Halo. Wszyscy zakładali, że każdy ma coś, o czym woli nie wspominać. Czuł się tu dobrze. Zbyt dobrze, żeby pośpiesznie wyjeżdżać.

Jack spacerował godzinę po hałaśliwej i gorącej ulicy, po czym skręcił na ukryty dziedziniec, gdzie znajdowała się restauracja. Wiedział, że znają go tam jako stałego klienta, mają jego ulubioną markę wody mineralnej i dadzą mu stek zwisający z dwóch końców talerza.

• • •

Kelnerka przyniosła mu stek z jajkiem, frytkami i skomplikowaną mieszanką lokalnych warzyw. Później podała mu lody oblane sosem czekoladowym i posypane orzechami. Reacher wypił jeszcze litr wody i dwie filiżanki mocnej kawy. Odsunął się od stołu i spokojnie siedział, najedzony i zadowolony.

— Już lepiej? — spytała kelnerka z uśmiechem.

— Tego mi było trzeba — odpowiedział.

— Dobrze ci to robi.

— I tak też się czuję.

To była prawda. Niedługo miał skończyć trzydzieści dziewięć lat, ale nigdy jeszcze nie czuł się tak dobrze. Zawsze dbał o sprawność fizyczną, jednakże w ciągu ostatnich trzech miesięcy osiągnął szczytową formę. Miał metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a gdy żegnał się z wojskiem, ważył dziewięćdziesiąt dziewięć kilogramów. Po przyłączeniu się do ekipy kopaczy basenów w miesiąc stracił pięć kilogramów, ale po następnych dwóch ważył już sto dziesięć — i wszystko to były czyste, twarde mięśnie. Ciężko harował. Jack obliczył, że każdego dnia przerzuca cztery tony ziemi i kamieni. Opracował technikę kopania i przerzucania ziemi w taki sposób, żeby brały w tym udział wszystkie mięśnie. Uzyskał

wspaniałe wyniki. Był opalony na ciemny brąz i osiągnął rekordową formę. Jak powiedziała jakaś dziewczyna, przypominał prezerwatywę wypchaną włoskimi orzechami. Musiał jeść

tysięcy kalorii dziennie, żeby nie tracić na wadze. Do tego pił jeszcze osiem litrów wody.

— Pracujesz dziś w nocy? — spytała kelnerka.

Reacher się zaśmiał. Zarabiał pieniądze, wykonując ćwiczenia gimnastyczne, za które większość ludzi musiałaby wybulić grubą forszę w jakiejś lśniącej sali. Teraz miał robić za pieniądze coś, co wielu mężczyzn chętnie robiłoby darmo. Był wykidająką w barze ze striptizem, o którym wspomniał Costello. Na Duval. Siedział tam całą noc bez koszuli, robił groźne wrażenie, pił darmowe drinki i pilnował, żeby goście nie zaczepiali nagich kobiet. Potem ktoś mu płacił za to pięćdziesiąt dolców.

— To harówka — powiedziała. — No, ale ktoś musi to robić. Kelnerka też się zaśmiała.

Reacher zapłacił i wyszedł.

• • •

Dwa tysiące dwieście kilometrów na północ, niedaleko Wall Street w Nowym Jorku, naczelny dyrektor zjechał windą dwa piętra niżej, do biura dyrektora do spraw finansowych. Usiedli razem przy biurku w jego gabinecie. To był jeden z tych luksusowych i kosztownych gabinetów, za które firma płaci w dobrych czasach, a potem, gdy czasy się zmieniają, stanowią przykre upomnienie. Meble z palisandru, zasłony z kremowego lnu, mosiężne akcenty wyposażenia, wielkie biurko, włoska lampa przy stole, wielki monitor komputera, który kosztował znacznie więcej, niż musiał. Na świecącym się ekranie widać było pytanie o hasło. Naczelny dyrektor wpisał je, nacisnął ENTER i otworzył arkusz kalkulacyjny. To był jedyny arkusz zawierający prawdziwe dane na temat firmy. Dlatego właśnie zabezpieczono go hasłem.

— Przetrywamy? — spytał naczelny dyrektor.

To był ich dzień R. R od „redukcja”. Kierownik do spraw zasobów ludzkich w ich fabryce na Long Island pracował bez przerwy od ósmej rano. Jego sekretarka ustawiła długi szereg krzeseł na korytarzu. Wszystkie zajęli ludzie czekający w kolejce. Co pięć minut przesuwali się o jedno miejsce, aż wreszcie trafili do gabinetu na rozmowę. Dowiadywali się, że właśnie stracili środki utrzymania, po czym słyszeli dziękuję i do widzenia.

— Przetrywamy? — powtórnie spytał naczelny. Dyrektor do spraw finansowych spisywał z arkusza jakiejś

duże liczby. Odjął je od siebie i spojrzął na kalendarz. Wzruszył ramionami.

— Teoretycznie tak — powiedział. — W praktyce nie.

— Nie? — powtórzył naczelny.

— To sprawa czasu — wyjaśnił dyrektor do spraw finansowych. — Nie ma wątpliwości, że postąpiliśmy słusznie decydując się na redukcję. Zwolniliśmy osiemdziesiąt procent ludzi i zaoszczędziliśmy dziewięćdziesiąt jeden procent funduszu płac, bo zatrzymaliśmy tylko tych tańszych. Jednakże zapłaciliśmy im wszystkim do końca następnego miesiąca. Wobec tego poprawa płynności nie nastąpi wcześniej niż za sześć tygodni. W istocie sytuacja bardzo się pogorszy, ponieważ ci łajdacy pobierają wypłatę za całe sześć tygodni.

Dyrektor naczelny ciężko westchnął.

— A zatem ile potrzebujemy?

Dyrektor do spraw finansowych otworzył myszą okienko na ekranie.

— Milion sto tysięcy — powiedział. — Na sześć tygodni.

— Bank?

— Wybij to sobie z głowy — odrzekł dyrektor do spraw finansowych. — Chodzę tam każdego dnia i całuję ich w dupę tylko po to, żeby nie zażądali natychmiastowej spłaty kredytu. Jeśli poproszę o więcej, roześmieją mi się w twarz.

— Bywają większe tragedie.

— Nie o to chodzi. Istotne jest coś innego. Jeśli wywachają, że wciąż nie wyszliśmy na prostą,

to będą domagać się spłaty kredytu. I to natychmiast.

Dyrektor naczelny zabębnił palcami o blat z palisandru i wzruszył ramionami.

— Sprzedam akcje — zaproponował.

— Nie możesz — cierpliwie wyjaśnił jego podwładny. -Jeśli wystawisz akcje na sprzedaż, kurs spadnie do zera. Nasze kredyty są zabezpieczone akcjami. Gdy staną się bezwartościowe, kredytodawcy jutro zgłoszą pozew o ogłoszenie bankructwa.

— Cholera! — zaklął naczelny. — Brakuje nam sześciu tygodni. Nie zamierzam wszystkiego tracić z powodu sześciu pieprzonych tygodni i pieprzonego miliona dolarów. To żadne pieniądze.

— Ale ich nie mamy.

— Musi być jakiś sposób, żeby je zdobyć.

Dyrektor do spraw finansowych nic nie odpowiedział, lecz siedział tak, jakby miał jeszcze coś w zanadru.

— Co takiego? — spytał naczelny.

— Słyszałem pewne rozmowy. Plotki wśród znajomych. Jest chyba miejsce, gdzie moglibyśmy się zwrócić. Na sześć tygodni może warto. Jest pewna instytucja finansowa, o której słyszałem. Coś w rodzaju kredytodawcy ostatniej szansy.

— Na poziomie?

— Najwyraźniej — zapewnił go dyrektor do spraw finansów. — Robią bardzo dobre wrażenie. Wielkie biuro w World Trade Center. Specjalizują się w takich rzeczach. Naczelny wpatrywał się w ekran z wściekłością.

— Czyli w jakich?

— Takich jak nasze. Gdy firma jest już bliska wyjścia z kryzysu, ale banki są zbyt tchórzliwe, żeby to dostrzec.

Dyrektor naczelny pokiwał głową i rozejrzał się dookoła. To był piękny gabinet. Sam miał biuro dwa piętra wyżej jeszcze ładniej urządzone.

— Dobra — powiedział. — Idź do nich.

— Nie mogę — odrzekł dyrektor do spraw finansów. — Ten facet nie rozmawia z nikim poniżej dyrektora naczelnego! Musisz to zrobić sam.

• • •

Wieczór w barze ze striptizem zapowiadał się spokojnie. Normalny dzień pracy w czerwcu. Za późno dla ludzi, którzy tu przyjeżdżali na zimę, i dla studentów zabawiających się podczas wiosennej przerwy. Za wcześnie dla letnich gości

ściągniętych tutaj, żeby spiec się na plaży. Przez cały wieczór do baru przyszło co najwyżej czterdziestu gości. Dwie dziewczyny stały za barem, trzy tańczyły. Reacher przyglądał się kobiecie zwanej Crystal. Przypuszczał, że nie jest to jej prawdziwe imię, ale nigdy o to nie spytał. Była najlepsza. Zarabiała znacznie więcej, niż on dostawał jako major. Jeździła starym, czarnym porsche. Reacher czasami słyszał wczesnym popołudniem ryk potężnego silnika, gdy przejeżdżała w pobliżu miejsca, gdzie pracował.

Bar znajdował się na piętrze. W długiej wąskiej sali ciągnął się wybieg zakończony niewielką okrągłą sceną z pionową, błyszczącą rurką. Wzdłuż wybiegu stały krzesła. Na czarnych ścianach wszędzie wisały lustra. Całe miejsce pulsowało i dygotało w rytmie muzyki z kilku głośników, na tyle potężnych, żeby zagłuszały szmer klimaryzacji.

Reacher stał przy barze, opierając się plecami o ladę, mniej więcej w jednej trzeciej długości sali. Dostatecznie blisko drzwi,

żeby widzieli go wchodzący, dostatecznie głęboko w sali, żeby goście nie zapominali o jego obecności. Crystal właśnie skończyła trzeci numer i holowała jakiegoś spokojnego faceta za scenę na prywatny pokaz za dwadzieścia dolarów, gdy Reacher zobaczył wchodzących po schodach dwóch mężczyzn. Jacyś obcy, z Północy. Trzydzieści lat, mocno zbudowani, bladzi. Groźni. Twardziele z Północy w garniturach za tysiąc dolarów i wyglansowanych półbutach.

Przyszli tu w wielkim pośpiechu, nawet nie zdążyli się przebrać. Stali przy kasie i kłócili się o trzy dolary za wejście. Dziewczyna przy kasie spojrzała niespokojnie na Jacka. Ześlizgnął się ze stołka i podszedł.

— Jakież problemy, panowie? — spytał.

Reacher zbliżył się do nich, jak to określał, studenckim krokiem. Zauważył kiedyś, że studenci dziwnie chodzą. Widać to było szczególnie wyraźnie na plaży, gdy byli w szortach. Jakby z powodu potężnego umięśnienia nie mogli normalnie poruszać kończynami. W wykonaniu studencika ważącego sześćdziesiąt kilogramów wyglądało to dość komicznie, natomiast Jack przekonał się, że gdy robi to facet mający ponad metr dziewięćdziesiąt i ważący sto dziesięć kilogramów, można się go przestraszyć. Studencki krok był teraz narzędziem jego nowego zawodu. Przydatnym narzędziem. Z pewnością zrobił stosowne wrażenie na facetach w garniturach po tysiąc dolicz.

— Jakież problemy? — powtórzył.

Te słowa zwykle starczały, żeby kłopotliwi goście zdecydowali się na odwrót. Ci dwaj nie zrezygnowali. Z bliska Reacher wyczuł, że bije od nich jakaś mieszanina pewności siebie i agresji. Z dodatkiem arogancji. Najwyraźniej przywykli do tego, że stawiają na swoim, ale tu byli daleko od domu. Dostatecznie daleko od swego terytorium, żeby wykazywać pewną rozważę.

— Nie ma żadnych problemów, Tarzanie — odpowiedział ten z lewej.

Reacher się uśmiechnął. Różnie go przezywano, lecz tego jeszcze nie słyszał.

- Trzy dolary za wejście — powiedział. — Wyjść możecie za darmo.

- Chcemy tylko z kimś porozmawiać — wtrącił ten z prawej.

- To nie jest dobre miejsce na rozmowy — stwierdził Reacher. — Muzyka jest za głośna.

— Jak się nazywasz?

- Tarzan — odpowiedział z uśmiechem Jack.

- Szukamy faceta, który nazywa się Reacher — rzekł jeden z nich. — Jack Reacher. Znasz go? Reacher pokręcił głową.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

- Musimy porozmawiać z dziewczynami — ciągnął tamten. — Słyszeliśmy, że mogą go znać.

— Nie znają. — Reacher znowu pokręcił głową.

Facet stojący po prawej zajrzał w głąb sali. Przyglądał się barmankom. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że Jack jest jedynym ochroniarzem.

- Okay, Tarzan, odsuń się — powiedział. — Wchodzimy.

— Umiecie czytać? — spytał Reacher. — Drukowanymi literami?

Wskazał na tabliczkę wywieszoną nad drzwiami, ze świecącymi się literami na czarnym tle: „Menedżer lokalu zastrzega sobie prawo odmowy zgody na wstęp”.

— Jestem menedżerem — dodał Jack. — Odmawiam zgody na wstęp.

Tamten spojrzał na wywieszkę i zmierzył Jacka wzrokiem.

— Czy muszę ci to przełożyć? — spytał Reacher. — Na prostszy język? To oznacza, że jestem szefem, a wy nie możecie wejść.

— Daruj sobie, Tarzan — rzucił tamten.

Reacher pozwolił mu zrównać się z nim. Gdy facet go mijał, Jack złapał go lewą ręką za łokieć i wbił palce w miejsce, gdzie przebiegają nerwy tricepsu. Efekt był taki, jaki wywołuje stały nacisk na czułe miejsce w łokciu. Facet podskakiwał, jakby go prąd poraził.

— Na dół — spokojnie polecił Reacher.

Drugi szybko oceniał szanse. Reacher to zauważył i uznał, że pora na jasne ostrzeżenie. Podniósł prawą rękę, żeby pokazać mu, że jest wolna i gotowa do użycia. Miał wielką brązową dłoń z odciskami od szpadla. Przeciwnik odebrał sygnał. Wzruszył ramionami i cofnął się na schody. Reacher popchnął jego kompana.

| — Jeszcze się spotkamy — zagroził jeden z nich.

— Przyprawdźcie wszystkich znajomych! — odrzyknął Jack. — Trzy dolary za wejście.

Reacher wrócił na salę. Tancerka Crystal podeszła do niego.
— Czego chcieli? — spytała.
— Szukają kogoś — odparł, wzruszając ramionami.
— Kogoś, kto nazywa się Reacher? Przytaknął.
— To już drugi raz dzisiaj — powiedziała Crystal. — Wcześniej był tu jakiś starszy gość. Zapłacił trzy dolce. Chcesz iść za nimi? Sprawdź, co to za jedni?
Reacher się zawahał. Crystal podała mu koszulę, która leżała na stołku barowym.
- Idź — poradziła. — Tutaj nic się nie dzieje. Spokojny wieczór.
Wziął od niej koszulę i wyrzucił na prawą stronę.
— Dzięki, Crystal.
Włożył koszulę i zapiął guziki, po czym ruszył w stronę schodów.
— Proszę bardzo, Reacher! — zawołała za nim Crystal. Jack obejrzał się przez ramię, ale ona już szła w kierunku sceny. Zerknął na dziewczynę przy wejściu i zbiegł po schodach na ulicę.

• • •

Jedenasta wieczorem w Key West to pora największego ożywienia. Dla niektórych to środek wieczoru, inni dopiero zaczynają zabawę. Główna ulica miasta, ciągnąca się od wschodu na zachód Duval, kipiała od muzyki i świateł. Reacher nie obawiał się, że ci dwaj czekają na niego na Duval. Tam było za dużo ludzi. Jeśli chcieli się zrewanżować, z pewnością wybrali spokojniejsze miejsce. Było w czym wybierać. Po zejściu z Duval, zwłaszcza na północ, ruch szybko zamiera. Key West to miniaturowe miasto. Wystarczy krótki spacer, żeby minąć dwadzieścia przecznic i trafić na przedmieścia, gdzie Reacher kopał baseny na maleńkich podwórkach za niewielkimi domkami. W tej okolicy nie ma wiele latami ulicznych, a zamiast zgiełku muzyki i krzyków słysząc szum nocnych owadów. Zapach piwa i papierosów ustępuje ciężkiemu odorowi tropikalnych roślin kwitnących i gnijących w ogrodach.

Reacher szedł mniej więcej po spirali. Skręcał w przypadkowo wybrane ulice i sprawdzał ciche, ciemne zaułki. Nikogo nie zauważył. Kroczył środkiem jezdni. Gdyby ktoś czaił się na jakimś podjeździe, musiałby pokonać kilka metrów, żeby go zaatakować. Nie obawiał się, że go zastrzelą. Nie mieli przy sobie broni. Świadczyły o tym ich garnitury. Były zbyt dopasowane, żeby ukryć rewolwer. Garnitury dowodziły, że przybyli na Południe w pośpiechu. Przylecieli. Nie ma żadnego łatwego sposobu, żeby wnieść na pokład samolotu rewolwer ukryty w kieszeni.

Po przejściu jakichś dwóch kilometrów Reacher zrezygnował. Key West to wprawdzie niewielkie miasto, ale jest dostatecznie duże, żeby dwóch facetów mogło się gdzieś ukryć. Skręcił w lewo w ulicę biegnącą wzdłuż cmentarza i skierował się w stronę centrum. Na chodniku, blisko płotu, leżał nieruchomo jakiś mężczyzna. W Key West nie jest to niezwykle widok, ale Reacher zauważył coś niepokojącego i znajomego. Niepokojąca była pozycja tego faceta — leżał, trzymając rękę pod ciałem. Nerwy ramienia powinny podnieść alarm dostatecznie mocny, żeby go ocucić, niezależnie od stopnia upojenia lub odurzenia. Znajomy natomiast był bladej odcieni beżowej marynarki. Jasna marynarka i ciemne spodnie. Reacher przystanął, żeby się rozejrzeć. Zrobił kilka kroków i ukląkł.

To był Costello. Miał zmasakrowaną, zakrwawioną twarz. Na bladej szyi mieszczuca widać było strumyki zaschniętej krwi. Reacher dotknął go za uchem, żeby sprawdzić puls. Niczego nie wyczuł. Dotknął skóry wierzchem dłoni. Chłodna. Zwłoki jeszcze nie zesztyniały, ale to była upalna noc. Costello zginął jakąś godzinę wcześniej.

Reacher sięgnął do kieszeni jego marynarki. Wypchany portfel znikł. Chwilę później spojrzął na dłoń zabitego. Miał odcięte czubki palców. Wszystkich dziesięciu. Gładkie, zręczne cięcia pod kątem. Sprawca posługiwał się jakimś ostrym narzędziem. To nie był skalpel. Szersza klinga. Może nóż do krojenia linoleum.

— To moja wina — stwierdził Reacher. Crystal potrząsnęła głową.

— Przecież to nie ty go zabiłeś — powiedziała. Po chwili | obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

— Zrobiłeś to?

— Zginął przeze mnie — odrzekł Reacher. — Czy to jakaś różnica?

Bar został zamknięty o pierwszej. Siedzieli na sąsiednich krzesłach obok pustej sceny. Światła były zgaszone, muzyka wyłączona. Rozlegał się tylko szum klimatyzatora nastawionego na jedną czwartą. Wentylator wysysał z sali dym papierosów i zapach potu.

— Powinienem być mu powiedzieć — westchnął Reacher. — Trzeba było powiedzieć, że to ja jestem Reacher. Wyjaśniłby mi, o co chodzi, i teraz byłby już w domu, a ja i tak mógłbym nie zawracać sobie tym głowy. Nic by mi to nie zaszkodziło, a on by żył.

Crystal miała na sobie biały podkoszulek i nic poza tym. To był długi podkoszulek, ale nie dostatecznie długi. Reacher na nią nie patrzył.

— Co cię to obchodzi? — spytała.

To było pytanie w stylu Keys. Crystal nie była bezduszna, ale po prostu nie mogła zrozumieć, czemu przejmuje się losem jakiegoś obcego człowieka z innego okręgu. Spojrzała na nią.

— Czuję się odpowiedzialny — odparł.

— Nie, czujesz się winny. Kiwnął głową.

— Nie masz powodu — powiedziała Crystal. — Nie ty go zabiłeś.

— Czy to jakaś różnica? — spytał znowu.

— Oczywiście. Kto to był? Prywatny detektyw. Szukał mnie.

— Dlaczego?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział, kręcąc głową.

— Czy ci dwaj byli razem z nim? Jack znowu pokręcił głową.

— Nie. To ci dwaj pewnie go zabili.

— Oni? — zdziwiła się Crystal.

— Tak przypuszczam. Na pewno nie pracowali razem z nim. Byli od niego młodszy i bogatszy. Tak ubrani? W tych garniturach? Nie wyglądali na jego podwładnych. Zresztą miałem wrażenie, że działa sam. Ci dwaj pewnie pracowali dla kogoś innego. Zapewne mieli go śledzić i sprawdzić, co, do cholery, tu robi.

Tam na Północy musiał komuś nadebrać na odcisk, sprawić jakiś kłopot. Przyjechali tu za nim. Dopadli go, wycisnęli z niego, kogo szuka, po czym sami zaczęli szperać.

— Zabili go, żeby dostać twoje nazwisko?

— Na to wygląda — przyznał Reacher.

— Zamierzasz opowiedzieć o tym policji?

Kolejne pytanie typowe dla Keys. Wciąganie policji w jakąkolwiek sprawę było tu uważane za kwestię wymagającą długiej i poważnej dyskusji. Reacher po raz trzeci pokręcił głową.

— Nie.

— Jeśli policja prześledzi, co robił, też zaczną cię szukać.

— Nie tak zaraz — odpowiedział. — Nie mają ani dokumentów, ani odcisków palców denata. Minie pewnie kilka tygodni, nim ustalą jego tożsamość.

— A zatem co zamierzasz zrobić?

— Chcę znaleźć panią Jacob — odparł. — Jego klientkę. To ona mnie szuka.

— Znasz ją?

— Nie, ale zamierzam poznać.

— Dlaczego?

Reacher wzruszył ramionami.

— Muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi.

— Dlaczego? — ponowiła pytanie.

Reacher wstał i spojrzał na jej odbicie w lustrze na ścianie. Nie mógł spokojnie wysiedzieć na

krześle. Nagle koniecznie chciał wrócić do rzeczywistości.

— Wiesz dlaczego — powiedział. — Ten facet został zabity z jakiegoś powodu mającego związek ze mną, wobec tego jestem w to wciągnięty, nie?

Crystal oparła długie, gołe nogi na krześle, które zwolnił. Zastanawiała się nad jego zaangażowaniem się, zupełnie jakby to było jakieś rzadko spotykane hobby. Normalne, lecz dziwne, tak jak taniec ludowy.

— No dobra, ale jak chcesz to zrobić?

— Zacznę od jego biura — wyjaśnił. — Może ma sekretarkę. Powinny tam przynajmniej być jakieś dokumenty. Numery telefoniczne, adresy, umowa z klientką. Ta pani Jacob to pewnie jego ostatnia sprawa. Dokumenty zapewne leżą na wierzchu.

— A gdzie jest jego biuro?

— Nie wiem — przyznał. — Sądząc po akcencie, gdzieś w Nowym Jorku. Znam jego nazwisko i wiem, że był policjantem. Costello, dawniej gliniarz, lat sześćdziesiąt. Znalezienie go nie powinno być problemem.

— Emerytowany gliniarz? — zdziwiła się Crystal. — Skąd wiesz?

— Większość prywatnych detektywów to emerytowani policjanci — odpowiedział. — Wcześniej przechodzą na emeryturę, nie mają pieniędzy, więc zakładają jednoosobową firmę i zajmują się rozwodami oraz poszukiwaniem zaginionych. No i jeszcze ten bank. Znał całą historię mojego rachunku w banku. Nie mógł się tego dowiedzieć inaczej, jak korzystając z pomocy starego kumpla, który w dalszym ciągu służy w policji.

Crystal uśmiechnęła się do niego. Wydawała się zainteresowana jego wyjaśnieniami. Wstała i podeszła do baru, przy którym stał. Przysunęła się tak blisko, że biodrem dotykała jego uda.

- Skąd ty to wszystko wiesz? — spytała.

I Jack wsłuchiwał się przez chwilę w szum wentylatorów.

- Sam byłem oficerem śledczym — przyznał wreszcie, -W policji wojskowej. Trzyście lat. Byłem naprawdę dobry.

Nie jestem tylko przystojniakiem.

- Nie jesteś nawet przystojniakiem - - odparła. - - Nie pochlebiaj sobie. Kiedy zaczynasz? Jack wbił wzrok w ciemność.

— Chyba zaraz. Na pewno jest jakiś poranny lot z Miami do Nowego Jorku.

Crystal znowu się uśmiechnęła. Tym razem dość nieufnie.

— A jak zamierzasz dostać się do Miami? O tej porze? Reacher uśmiechnął się do niej. Był pewny siebie.

— Ty mnie zawieszysz — oświadczył.

— Czy mam przynajmniej kilka minut, żeby się ubrać?

— Buty ci wystarczą:

Poszli do garażu, gdzie trzymała swoje stare porsche. Reacher podniósł bramę. Crystal wsiadła do samochodu i zapaliła silnik. Ruszyli do jego motelu, kilometr na północ. Crystal jechała powoli, żeby rozgrzać olej. Szerokie opony podskakiwały na dziurach w nawierzchni. Zaparkowała przed wejściem oznaczonym neonem i czekała, nie gasząc silnika. Reacher otworzył drzwiczki, ale zaraz je i zamknął.

— Możemy jechać — powiedział. — Nie ma tam nic, co chciałbym zabrać.

Crystal kiwnęła głową. W świetle wskaźników widział zarys jej twarzy.

— Dobra. Zapnij pasy — poleciała.

Wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła przez miasto. Wjechali na North Roosevelt Causeway.

Crystal sprawdziła wskazania przyrządów i zjechała na autostradę. Włączyła antyradar. Przycisnęła gaz do deski i samochód gwałtownie przyspieszył, aż przód uniósł się nieco do góry.

Siła bezwładności wcisnęła

Reachera w fotel, tak jakby opuszczał Key West na pokładzie myśliwca.

• • •

Crystal pędziła, nie schodząc poniżej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jazda sprawiała Reacherowi przyjemność. Crystal była świetnym kierowcą. Prowadziła płynnymi, oszczędnymi ruchami, gładko zmieniając biegi i utrzymując wysokie obroty. Jechała środkiem pasa, przy okazji ścinając zakręty. W świetle przyrządów widać było jej uśmiechniętą, piękną twarz. Porsche nie jest samochodem, którym łatwo jest szybko jechać. Ciężki silnik za tylną osią sprawia, że samochód może wpaść w groźny poślizg przy nawet najmniejszym błędzie kierowcy. Crystal nie popełniała błędów. Pędziła, pokonując odległość z prędkością awionetki.

Gdy zobaczyli światła odległego o dwa kilometry Key Largo, włączył się antyradar. Crystal ostro przyhamowała, przejechała spokojnie przez miasto, po czym znowu wcisnęła pedał gazu. Jechali na północ w kierunku ciemnego horyzontu. Ostry zakręt w lewo, przez most na stały ląd, prostą drogą przez mokradła do Homestead. Ostry skręt w prawo, na autostradę i pełnym gazem do Miami. Przyjechali na lotnisko tuż przed piątą rano. Crystal zatrzymała się na pasie dla wysiadających z samochodów i czekała, nie wyłączając silnika.

— Hm, bardzo dziękuję za podwiezienie — powiedział Reacher.

— Moja przyjemność — odparła z uśmiechem. — Wierz mi. Otworzył drzwi, ale nie wysiadł. Patrzył przed siebie.

— Dobra — odezwał się wreszcie. — Niedługo się zobaczymy.

Crystal pokręciła głową.

— Nie, wcale się nie zobaczymy. Faceci tacy jak ty nigdy nie wracają. Wyjeżdżasz i już tu nie wrócisz.

Reacher siedział w ciepłym samochodzie. Silnik lekko prychał, słychać było trzask stygnących tłumików. Crystal pochyliła się ku niemu. Wcisnęła sprzęgło i wrzuciła jedynekę, żeby dźwignia zmiany biegów nie przeszkadzała im zbliżyć się do siebie. Objęła go za szyję i mocno pocałowała w usta.

- Żegnaj, Reacher — powiedziała. — Cieszę się, że przynajmniej się dowiedziałam, jak się nazywasz.

Jack oddał jej pocałunek. Całował ją długo i mocno. — A ty jak się nazywasz? — spytał.

- Crystal — odpowiedziała ze śmiechem.

Też się zaśmiał. Wysiadł z samochodu. Crystal pochyliła się w bok i zamknęła za nim drzwiczki. Nacisnęła gaz, puściła sprzęgło i gwałtownie odjechała. Reacher został sam.

Patrzył, jak odjeżdża. Wyprzedziła hotelowy autobus i znikła. Wraz z nią znikły trzy miesiące jego życia niczym dym z rury wydechowej.

• • •

O piątej rano, osiemdziesiąt kilometrów na północ od Nowego Jorku, dyrektor naczelny leżał w łóżku, ale nie spał. Wpatrywał się w niedawno pomalowany sufit. Cały dom został niedawno odnowiony. Zapłacił dekoratorom więcej, niż zarabiała większość jego pracowników przez cały rok. W rzeczywistości to nie on zapłacił. Przepchnął fakturę przez księgowość i wszystko poszło na rachunek firmy. Wydatki były ukryte gdzieś na tajnym arkuszu kalkulacyjnym — zostały wliczone do wszystkich nakładów na utrzymanie budynków, wyrażonych siedmiocyfrową liczbą. Siedmiocyfrowa liczba obciążała rachunki firmy i przyczyniała się do jej upadku, tak jak ciężki ładunek ciągnie na dno przechylony statek. Jak słomka, która złamała grzbiet wielbłąda.

Dyrektor naczelny nazywał się Chester Stone. Tak samo jak jego ojciec i dziadek. To dziadek założył firmę, w czasach gdy jeszcze zamiast arkuszy kalkulacyjnych używano ksiąg rachunkowych i wypełniano je piórem. Wpisy dotyczące dochodów w księgach dziadka wyglądały imponująco. Był z zawodu zegarmistrzem, ale bardzo wcześnie zrozumiał, jaką przyszłość ma przed sobą kinematografia. Korzystając ze swego doświadczenia w budowie złożonych mechanizmów, skonstruował projektor, a następnie wszedł w spółkę z partnerem, który miał kontakty w niemieckim przemyśle optycznym i zamówił tam duże soczewki. Wspólnie zdominowali rynek i zbili fortunę. Wspólnik zmarł w młodym wieku, nie

zostawiając żadnych spadkobierców. Kina powstały w całym kraju, od Atlantyku do Pacyfiku. Setki kin. Setki projektorów. Później tysiące. Dziesiątki tysięcy. Potem dźwięk. Potem CinemaScope. To wszystko przynosiło ogromne dochody.

Potem telewizja. Kina likwidowano, a te, które przetrwały, korzystały ze starego wyposażenia, dopóki się nie rozpadło. Firmę przejął Chester Stone II. Przeprowadził dywersyfikację. Dostrzegł atrakcyjność amatorskiej kinematografii. Ośmiomili-metrowe kamery i projektory. Kolorowa era Kodachromu. Nowa fabryka. Wielkie zyski rejestrowane na szerokiej taśmie magnetycznej jednego z pierwszych dużych komputerów IBM. Potem nastąpił renesans kina. Ojciec umiera, u steru staje Chester Stone III. Wszędzie mnożą się multipleksy. Cztery projektory, sześć, dwanaście, szesnaście, tam gdzie kiedyś wystarczał jeden. Stereo. Pięć kanałów, Dolby, Dolby Digital. Bogactwo i sukcesy. Małżeństwo. Rezydencja. Samochody.

Potem wideo. Amatorskie filmy na taśmie ośmiomilimet-rowej przeszły do lamusa, jakby pochodziły z epoki kamienia łupanego. Konkurencja. Ostra rywalizacja ze strony nowych firm niemieckich, japońskich, koreańskich i tajwańskich o kontrakty na nowe multipleksy. Rozpaczliwe próby wymyślenia czegoś, co można byłoby produkować z metalu i precyzyjnie obrabianych trybów. Czegokolwiek. Przerazająca świadomość, że mechanizmy są już relikdami z poprzedniej epoki. Eksplozja krzemowych kości, modułów RAM, konsoli do gier. Teraz wielkie zyski można było czerpać z rzeczy, o których produkcji Chester Stone III nie miał zielonego pojęcia. Wielki deficyt na arkuszu kalkulacyjnym zainstalowanym w osobistym komputerze.

Zona Chestera przewróciła się z boku na bok. Otworzyła oczy i zamrugnęła. Obróciła głowę w prawo i w lewo — najpierw sprawdziła, która godzina, potem spojrzała na męża. Zauważyła, że ma otwarte oczy i wpatruje się w sufit.

— Nie śpisz? — mruknęła cicho.

Chester nie odpowiedział. Żona odwróciła wzrok. Miała na mię Marilyn. Marilyn Stone. Byli małżeństwem już bardzo długo. Dostatecznie długo, żeby wiedziała. Wiedziała wszystko. Nie znała szczegółów, nie miała dowodów, nie była w nic wciągnięta, ale i tak wiedziała. Dużo czasu minęło, kiedy po raz ostatni widziała produkty wytwarzane przez męża na wystawach sklepowych. Dużo czasu minęło, kiedy po raz ostatni właściciel jakiegoś multipleksu zaprosił ich na kolację z okazji wielkiego zamówienia. I dużo czasu minęło, kiedy Chester po raz ostatni przespał spokojnie całą noc. Dlatego wiedziała.

Niewiele się tym przejmowała. Raz na wozie, raz pod wozem — tak by na to zareagowała, i to zupełnie szczerze. Dobrze być bogatym, ale bieda to nie tragedia. Przecież nie groziło im prawdziwe ubóstwo. Mogli sprzedać ten cholerny dom, zlikwidować interesy i wciąż mieliby dość, żeby żyć na poziomie, jakiego w młodości nigdy nie oczekiwała. Byli

jeszcze młodzi. No, może nie młodzi, ale na pewno daleko

im do starości. Byli zdrowi. Mieli różne zainteresowania. Mieli

siebie. Chester wciąż był atrakcyjny. Posiwał, ale był szczupły, silny i energiczny. Kochała go.

On kochał ją. Wiedziała, że wciąż warto ją mieć. Miała czterdzieści parę lat, ale czuła się

tak, jakby nie skończyła trzydziestu. Wciąż była szczupłą blondynką, podniecającą i skłoną do przygód. Wciąż warto było ją mieć, w najstarszym znaczeniu tego wyrażenia.

Wszystko będzie okay. Marilyn Stone wzięła głęboki oddech

i przewróciła się na bok. Przytuliła się do materaca i zasnęła.

Była pięta trzydzieści. Jej mąż leżał obok i wciąż wpatrywał się w sufit.

• • •

Reacher stał w głębi sali odlotów, oddychał powietrzem jak z puszki, a w świetle jarzeniówek jego opalenizna przybrała żółty odcień. Ludzie wokół mówili głównie po hiszpańsku. Patrzył na wyświetlony na monitorze rozkład lotów. Zgodnie z jego oczekiwaniami Nowy Jork był pierwszy na liście. Dzień rozpoczął się od lotu linii Delta na LaGuardię, z między-

lądowaniem w Atlancie. Samolot miał wystartować za pół godziny. Drugi — lot Mexicana na południe, trzeci — United, również na LaGuardię, ale bezpośrednio. Start za godzinę. Reacher podszedł do kasy United. Spytał o cenę biletu w jedną stronę, kiwnął głową i odszedł.

Udał się do toalety, stanął przed lustrem i wyciągnął z kieszeni pieniądze. Odliczył podaną w kasie kwotę, używając banknotów o najmniejszym nominale. Zapiął koszulę pod szyję i przygładził ręką włosy, po czym udał się do kasy linii Delta.

Cena biletu była dokładnie taka sama jak w United. Jack wiedział, że tak będzie. Jakimś cudem zawsze tak jest. Ponownie odliczył pieniądze — jednodolarówki, piątki i dziesiątki. Kasjerka wygładziła banknoty i podzieliła je zgodnie z wartością.

— Pana nazwisko? — spytała.

- Truman — odpowiedział. — Jak prezydent. Kasjerka spojrzała na niego, jakby nie wiedziała, o kim mówi. Pewnie urodziła się gdzieś za granicą w ostatnich latach prezydentury Nixona. Może podczas pierwszego roku kadencji Cartera. Reachera niewiele to obchodziło. Sam urodził się w Niemczech, gdy prezydentem był Kennedy. Nie miał zamiaru niczego tłumaczyć. Dla niego Truman też należał do starożytności. Dziewczyna wpisała na konsoli jego nazwisko i wydrukowała bilet. Włożyła go do folderu z niebiesko-czerwonym globem i podała Reacherowi.

— Może pan od razu przejść odprawę — powiedziała.

Reacher kiwnął głową. Płacenie za bilet lotniczy gotówką, zwłaszcza na lotnisku w Miami, często powoduje problemy z uwagi na wojnę z narkotykami. Gdyby pojawił się przy kasie z buńczuczną miną i wyciągnął zwitek studolarówek, kasjerka poczułaby się zmuszona nacisnąć niewielki guzik ukryty w podłodze pod biurkiem. Następnie zwlekałaby, stukając w klawiaturę aż do przyjazdu policji. Agenci zobaczyliby wielkiego, opalonego faceta z grubym plikiem banknotów, a wtedy na pewno uznaliby go za kuriera. Policja goni za narkotykami, ale również tropi przepływ pieniędzy. Nie pozwala wpłacić pieniędzy do banku, nie pozwala ich wydać bez

wzbudzania sensacji. Wszyscy zakładają, że normalni obywatele płacą za poważne zakupy kartą kredytową. Zwłaszcza podczas podróży. Zwłaszcza na lotnisku, dwadzieścia minut przed startem samolotu. To założenie spowodowałoby zawracanie głowy, opóźnienie i papierkową robotę, czyli trzy rzeczy, których Reacher zdecydowanie unikał. W tym celu wymyślił specjalną procedurę. Starał się sprawić wrażenie biedaka, który nie może otrzymać karty kredytowej, nawet gdyby chciał. Dlatego zapiął koszulę pod szyję i odliczał pieniądze, mnąc w palcach banknoty o niskim nominale. Wydawał się nieśmiały i zakłopotany. Dzięki temu kasjerki i recepcjonistki czuły, że boś je z nim łączy. One również niewiele zarabiały i często przekraczały limit karty kredytowej. Gdy widziały faceta w jeszcze gorszej sytuacji, instynktownie okazywały mu współczucie. — Bramka B sześć — dodała dziewczyna. — Dałam panu miejsce przy oknie. — Dziękuję.

Reacher poszedł do bramki. Kwadrans później pędził już po pasie startowym, czując się podobnie jak w porsche Crystal, ale tu miał znacznie mniej miejsca na nogi, a fotel obok był wolny.

• • •

O szóstej rano Chester Stone zrezygnował z dalszych prób zaśnięcia. Budzik miał zadzwonić pół godziny później, lecz Chester go wyłączył. Wstał po cichu, żeby nie zbudzić Marilyn. Włożył szlafrok i poszedł na dół do kuchni. Z uwagi na nadkwaśność nie miał ochoty na śniadanie. Zadowolił się kawą, po czym poszedł wziąć prysznic w apartamencie gościnnym. Tam mógł nie zwracać uwagi na hałas. Chciał pozwolić żonie spokojnie spać i wolał, żeby nie wiedziała o jego problemach ze snem. Wprawdzie każdej nocy się budziła i komentowała to, że on nie śpi, ale rano nigdy o tym nie wspominała, dlatego Chester przypuszczał, że Marilyn nie pamięta lub przypisuje to złym snom. Sądził, że nic nie wie o jego sytuacji. Tak było lepiej.

Miał dość kłopotów bez martwienia się tym, że żona również się nimi martwi. Chester ogolił się i wziął prysznic. Zastanawiał się, co włożyć i jak się zachowywać podczas dzisiejszej rozmowy. Zdawał sobie sprawę, że praktycznie jest skazany na błaganie. Ostatni możliwy kredytodawca. Jego ostatnia nadzieja, ostatnia szansa. Ktoś, kto miał w ręku całą jego przyszłość. Jak rozmawiać z kimś takim? Na pewno nie na kolanach. W interesach tak się nie postępuje. Jeśli ktoś sprawia wrażenie rozpaczliwie potrzebującego pożyczki, to jej nie dostaje. Trzeba udawać, że to nie ma krytycznego znaczenia. Tak jakby to nie była wielka sprawa. Tak jakbyś jeszcze nie zdecydował, że pozwolisz rozmówcy wejść do zarządu firmy i zebrać część wielkich zysków po pokonaniu trudnego zakrętu. Tak jakbyś się zastanawiał, którą z ofert kredytowych najlepiej przyjąć.

Biała koszula, to oczywiste. Jakiś spokojny krawat. Ale który garnitur? Włoskie były zbyt efektowne. Na pewno nie od Armaniego. Powinien wyglądać jak poważny człowiek, którego stać na kupieniu dziesięciu garniturów Armaniego, ale ma ważniejsze sprawy na głowie niż takie głupstwa. Człowiek zbyt poważny i zajęty, żeby spędzać czas w sklepach na alei Madison. Chester pomyślał, że powinien podkreślić tradycje rodzinną. Stałe sukcesy firmy działającej od trzech pokoleń mogą znaleźć odzwierciedlenie w dynastycznym podejściu do kwestii stroju. Tak jak dziedziczyli firmę, dziedziczyli również krawców. On po ojcu, ojciec po dziadku. Potem Chester pomyślał o garniturze Brooks Brothers. Stary, ale ładny i przewiewny, trochę za ciepły na czerwiec. Czy to będzie dobry blef? Tak jakby chciał powiedzieć: jestem taki bogaty, że nie ma dla mnie znaczenia, co noszę. Czy też sprawi wrażenie człowieka, który przegrał?

Chester wyjął garnitur z szafy i przyłożył marynarkę do ciała. Klasyczne ubranie, ale niezbyt eleganckie. Wyglądał na bankruta. Odwiesił garnitur. Przymierzył szary marki Savile Row z Londynu. Doskonały. Teraz wyglądał jak zamożny dżentelmen. Mądry, wyrafinowany, godny zaufania. Wybrał krawat z dyskretnym wzorem i czarne półbuty. Ubrał się i przejrzał w lustrze. Wyglądał doskonale. Tak ubrany skłonny był nawet uwierzyć własnym słowom. Dopił kawę, wytarł serwetką usta i poszedł do garażu. Wsiadł do benza i już o szóstej czterdzieści pięć jechał aleją Merritt. O tej porze jeszcze nie było korków.

• • •

Reacher spędził pięćdziesiąt minut na ziemi w Atlancie, po czym samolot wystartował ponownie. Wziął kurs na północny wschód, do Nowego Jorku. Słońce weszło już nad Atlantykiem i przez okna po prawej stronie wpadały do kabiny ostre promienie wschodu widzianego na dużej wysokości. Reacher pił kawę. Stewardesa zaproponowała mu wodę, ale tym razem zdecydował się na czarną, mocną kawę. Mózg potrzebował paliwa. Reacher starał się odgadnąć, kim, do cholery, jest ta pani Jacob. No i dlaczego zapłaciła Costellowi, żeby jeździł po kraju i go szukał.

Na miejscu musieli poczekać w kolejce na pozwolenie na lądowanie na LaGuardii. Reacherowi bardzo się to podobało. Krążyli na niskiej wysokości nad Manhattanem skąpanym w porannym słońcu. Jak na filmie, tylko bez ścieżki dźwiękowej. Samolot przechylał się na skrzydło na zakrętach. Reacher przyglądał się wieżowcom. Twin Towers, Empire State Building. Chrysler, jego faworyt. Citicorp. Po kilku minutach samolot zniżył lot nad Queens i wylądował. Gdy kołowali po płycie, przez okna widać było budynki Midtown na drugim brzegu rzeki.

• • •

Chester miał wyznaczone spotkanie na dziewiątą. Był zły. Nie z powodu pory. Dziewiąta to dla większości biznesmenów z Manhattanu późny poranek. Nie chodziło mu o godzinę. Denerwował go sam fakt, że musi iść na spotkanie. Minęło już bardzo dużo czasu, kiedy któryś Chester Stone musiał iść na rozmowę. W istocie nie przypominał sobie czegoś takiego. Może tak robił dziadek w początkach kariery. Później działali inaczej. Każdy Chester Stone, pierwszy, drugi i trzeci, miał sekretarkę, która prowadziła kalendarz. Wielu ludzi musiało

długo czekać na okienko w jego rozkładzie zajęć, a potem spędzić kilka godzin w poczekalni. Teraz sytuacja się odwróciła i to go irytowało.

Był tak zdenerwowany, że przyszedł za wcześnie. Spędził czterdzieści minut w swoim gabinecie, rozważając różne możliwości. Nie miał żadnych innych. Jakkolwiek liczyć, do sukcesu brakowało mu miliona stu tysięcy dolarów i sześciu tygodni. To również go denerwowało. To nie była żadna efektowna katastrofa, totalna klęska. Podjęte działania stanowiły racjonalną i realistyczną reakcję na zjawiska rynkowe, które jednak nie przyniosły sukcesu. Jak desperackie uderzenie w golfie z dużej odległości, gdy piłka ląduje kilka centymetrów od dołka. Blisko, bardzo blisko, ale nie w dołku.

O dziewiątej rano samo World Trade Center stanowi szóste pod względem wielkości miasto w stanie Nowy Jork. Większe niż Albany. Zajmuje tylko szesnaście akrów, ale w ciągu dnia populacja WTC liczy w przybliżeniu sto trzydzieści tysięcy ludzi. Gdy Chester Stone zatrzymał się na placu, miał wrażenie, że ci wszyscy ludzie kręcą się wokół niego. Za czasów dziadka płynęła tu rzeka Hudson. Chester sam przyglądał się przez okno swojego gabinetu, jak ziemia stopniowo wypełniała koryto rzeki, a później w tym miejscu wzniesiono dwie wieże. Spojrzał na zegarek i wszedł do środka. Pojechał windą na osiemdziesiąte ósme piętro. Gdy wysiadł, znalazł się w opustoszałym, wąskim i niskim korytarzu. Zamknięte drzwi do biur były wyposażone w prostokątne okienka ze zbrojonego szkła. Znalazł właściwe, zerknął do środka przez okienko i nacisnął dzwonek. Usłyszał trzask zamka, nacisnął klamkę i wszedł do poczekalni. Normalne biuro, zaskakująco zwyczajne. Jedyną próbą zademonstrowania luksusu był wysoki dębowy pulpit z mosiężnymi okuciami, za którym siedział recepcjonista. Chester zatrzymał się na chwilę, wyprostował, po czym podszedł do niego.

— Chester Stone — przedstawił się zdecydowanym tonem. — Jestem umówiony z panem Hobiem na dziewiątą.

Recepcjonista był dla niego pierwszą niespodzianką. Spodziewał się kobiety. Drugą niespodziankę stanowiło to, że recepcjonista od razu zaprosił go do gabinetu. Nie kazał mu czekać. Chester oczekiwał, że będzie musiał trochę posiedzieć

W poczekalni na niewygodnym krześle. Na miejscu pana Hobiego tak właśnie przyjąłby klienta. Gdyby przyszedł do niego ktoś rozpaczliwie starający się o kredyt, kazałby mu pocić się dwadzieścia minut w poczekalni. To przecież elementarne psychologiczne posunięcie! Chester wszedł do zaskakująco dużego gabinetu. W środku panował półmrok. Jedną ścianę zajmowało okno, ale było osłonięte roletą. Pionowe paski dzieliły tylko wąskie szparki. W głębi stało wielkie biurko, a przed nim trzy sofy ustawione w kwadrat. Przy końcu każdej stał niewielki stolik z lampką, a pośrodku duży niski stół do kawy ze szkła i mosiądzu. Na na podłodze leżał gruby dywan. Całość sprawiała wrażenie wzoru salonu ze sklepu z meblami. Za biurkiem siedział jakiś mężczyzna. Chester rozpoczął długi spacer od drzwi do biurka.

Przebisnął się między sofą

i stołem do kawy. Zatrzymał się przed brakiem i wyciągnął rękę na powitanie.

- Pan Hobie? — powiedział — Jestem Chester Stone.

Mężczyzna za biurkiem był poparzony. Blizny pokrywały połowę twarzy. Skóra wydawała się pokryta łuskami jak gadzia. Stone odwrócił wzrok z przerażeniem, ale wciąż widział to kątem oka. Skóra miała taką fakturę jak ugotowane kurze łapy, ale była nienaturalnie różowa. Poparzona część czaszki była prawie łysa, pozostały na niej tylko rzadkie kępki włosów. Drugą połowę głowy pokrywały szare włosy. Skóra na nieuszkodzonej części twarzy była miękka i pomarszczona. Mężczyzna miał jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat. Siedział tuż przy biurku, z dłońmi opuszczonymi na kolana. Stone stał przed nim z wyciągniętą ręką. Zmusił się, żeby nie odwracać wzroku.

To był niezręczny moment Trudno o bardziej niezręczną sytuację, niż gdy ktoś stoi, podaje rękę na powitanie, a ten gest jest ignorowany. Głupio tak stać, ale jeszcze gorzej jest cofnąć rękę. Stone czekał z wyciągniętą dłonią. Mężczyzna w końcu się poruszył. Odepchnął się lewą ręką od biurka i podniósł prawą. To jednak nie była dłoń, tylko lśniący, metalowy hak.

Zaczynał się przy mankiecie. Nie żadna sztuczna ręka, żadna wymyślna proteza, tylko prosty hak w kształcie litery J zrobiony z wypolerowanej, nierdzewnej stali. Stone już miał ucisnąć hak, ale się powstrzymał. Gospodarz uśmiechnął się wyrozumiale połową twarzy. Tak jakby to nie miało dla niego żadnego znaczenia.

— Nazywają mnie Hobie Hak — powiedział.

Siedział za biurkiem z nieruchomą twarzą, trzymając hak nad blatem jak przedmiot do zbadania. Stone przełknął ślinę. Starał się odzyskać równowagę. Zastanawiał się, czy powinien teraz podać lewą dłoń. Wiedział, że niektórzy ludzie tak robią. Jego wuj po wylewie przez ostatnie dziesięć lat życia witał się lewą ręką.

— Niech pan siada — zaprosił go Hobie.

Stone kiwnął głową z wdzięcznością i cofnął się. Usiadł na sofie, bokiem do biurka. Z ulgą przyjął wyzwolenie z niezręcznej sytuacji. Hobie przyjrzał się mu i położył rękę na biurku. Metalowy hak stuknął o blat.

— Chce pan pożyczyć pieniądze — stwierdził. Poparzona część twarzy była zupełnie nieruchoma. Wydawała się gruba i twarda jak skóra krokodyla. Stone poczuł skurcz w żołądku. Wbił wzrok w stolik do kawy. Kiwnął głową i wytarł dłonie o kolana. Jeszcze raz skłonił głowę i spróbował przypomnieć sobie przygotowany tekst.

— Potrzebny mi krótkoterminowy kredyt. Sześć tygodni, milion sto tysięcy.

— Czemu nie pójdzie pan do banku? — spytał Hobie. Stone popatrzył na podłogę. Przez szklany blat stolika widział

wzorzysty dywan. Wzruszył ramionami z mądrą miną, tak jakby brał pod uwagę liczne subtelności strategiczne, ale nie chciał obrazić rozmówcy ich wyjaśnianiem.

— Wolę tego nie robić — oświadczył. — Mamy oczywiście otwartą linię kredytową, ale wydebiłem w banku bardzo korzystne warunki, godząc się na stałą kwotę kredytu, bez płynnej części. Zapewne rozumie pan, że nie chcę naruszać tej umowy z powodu tak niewielkiej sumy.

Hobie poruszył ręką, ciągnąc hak po blacie.

— Gówno prawda, panie Stone — rzekł spokojnie.

Stone nie odpowiedział. Słuchał zgrzytu haka. — Służył pan w wojsku? — spytał Hobie.

— Przepraszam?

— Czy był pan w wojsku? W Wietnamie? Stone przełknął ślinę. Te blizny, ten hak

— Nie — odrzekł. — Zostałem zwolniony na czas studiów, Oczywiście bardzo chciałem walczyć, ale wojna się skończyła, nim dostałem dyplom.

Hobie powoli pokiwał głową.

— Ja byłem — oznajmił — W Wietnamie nauczyłem się, jaką wartość mają wywiad i informacje. Stosuję tę lekcję w interesach.

W ciemnym gabinecie zapadła cisza. Stone poruszył głowę i spojrzął na skraj biurka. Pora zmienić scenariusz.

— Okay — powiedział. — Nie może mi pan mieć za złe, że starałem się zrobić dobre wrażenie. — Tkwi pan dość głęboko w gównie — mówił dalej Hobie. — W rzeczywistości płaci pan w banku najwyższą stawkę procentową, a i tak nie pożyczą panu więcej pieniędzy. stawkę procentową, a i tak nie pożyczą panu więcej pieniędzy. Jednakże stara się pan wyjść z tego dołka i nieźle panu idzie. Niewiele brakuje, a wyjdzie pan na prostą.

— Niewiele — przyznał Stone. — Sześć tygodni i milion sto tysięcy, to wszystko.

— Mam swoją specjalność jak każdy — ciągnął Hobie. — Specjalizuję się w takich sprawach jak pańska. Przedsiębiorstwa w zasadzie zdrowe i solidne, które popadły w przejściowe kłopoty. Problemy, w których rozwiązaniu nie może pomóc bank, bo specjalnością banku są głupota i brak wyobraźni. -Hobie znowu poruszył ręką, skrobiąc hakiem o blat. — Pobieram rozsądne opłaty. Nie jestem lichwiarzem. Nie mówimy tu o stawce sto procent. Mogę panu

pożyczyć milion sto tysięcy dolarów na sześć tygodni, powiedzmy na sześć procent. Stone ponownie wytarł dłonie o spodnie. Sześć procent za sześć tygodni? To ponad pięćdziesiąt dwa procent rocznie. Miał teraz pożyczyć milion sto tysięcy, a za sześć tygodni zwrócić całą sumę plus sześćdziesiąt sześć tysięcy. Jedenaście tysięcy tygodniowo. Może to nie były lichwiarskie wa-

runki, lecz niewiele lepsze. No, ale przynajmniej facet się zgodził.

— Co z zabezpieczeniem? — spytał.

— Przyjmę pakiet akcji — odpowiedział Hobie.

Stone zmusił się do podniesienia głowy. Spojrzał na niego. Przypuszczał, że to jakiś test.

Uznał, że skoro sukces jest tak blisko, uczciwość będzie najlepszą polityką.

— Akcje są bezwartościowe — rzucił cicho.

Hobie pokiwał swą straszną głową, tak jakby ta odpowiedź sprawiła mu przyjemność.

— Teraz są bezwartościowe, ale już wkrótce to się zmieni, nieprawdaż?

— Dopiero wtedy, gdy pan już nie będzie wystawiony na ryzyko — odrzekł Stone. — To paragraf dwadzieścia dwa. Kurs pójdzie do góry dopiero po tym, jak zwrócę panu dług. Gdy wyjdę na prostą.

- Wtedy na tym skorzystam. Nie mówię tu o tymczasowym transferze akcji. Zatrzymam ten pakiet.

- Zatrzyma pan akcje? - powtórzył Stone. Nie zdołał

ukryć zaskoczenia. Pięćdziesiąt dwa procent i akcje w pre-zencie?

— Zawszę tak robię — stwierdził Hobie. — Z sentymentalnych powodów. Lubię mieć niewielki udział w firmie, której pomogłem. Ludzie na ogół są zadowoleni z tego układu.

— Oczywiście — powiedział — Może tak być.

Hobie sięgnął do szuflady po lewej stronie i wyjął wy-drukowaną umowę. Rzucił ją na blat biurka.

— Przygotowałem kontrakt

Stone wstał z sofy i wziął do reki dokument. To była umowa kredytowa na sumę miliona sto tysięcy dolarów, na sześć tygodni, na sześć procent, oraz protokół przekazania akcji Pakietu, który jeszcze niedawno wart był milion dolarów i już niedługo mógł odzyskać wartość. Przez chwilę się wahał.

— Inaczej tego nie załatwimy — poinformował Fobie. — Jak już panu wyjaśniłem, to moja specjalność. Znam tę część

rynku. Nie dostanie pan lepszej oferty. W istocie nie dostanie pan żadnej innej oferty.

Hobie siedział dwa metry od niego za wielkim biurkiem, ale Stone miał wrażenie, że niemal dotyka go swoją koszmarną twarzą i jednocześnie wypruwa mu flaki lśniąącym hakiem.

Niemal niedostrzegalnie kiwnął głową na zgodę i sięgnął do kieszeni marynarki po grube pióro wieczne Mont Blanc. Po-chylił się i podpisał umowę leżącą na zimnym szklanym blacie stolika do kawy. Hobie nie spuszczał z niego wzroku.

— Zakładam, że chce pan, abym przekazał pieniądze na pana rachunek bieżący? — spytał. —

Aby inne banki nic

o tym nie wiedziały?

Stone pokiwał głową. Był oszołomiony.

— Tak byłoby najlepiej — odparł.

— Przelew zostanie zrealizowany w ciągu godziny — zapewnił go Hobie i coś zanotował.

— Dziękuję — powiedział Stone. Wydało mu się to właściwe.

— A zatem teraz to ja ryzykuję — dodał Hobie. — Sześć tygodni bez prawdziwego zabezpieczenia. Nie jest to miłe uczucie.

— Nie będzie żadnych problemów — rzekł Stone.

— Jestem tego pewny — stwierdził Hobie, kiwając głową. Pochylił się i nacisnął guzik

interkomu. Stone usłyszał dzwonek w poczekalni. — Poproszę teczkę pana Stone'a — zażądał Hobie.

Przez chwilę obaj milczeli. Do gabinetu wszedł recepcjonista i podał Hobiemu cienką, zieloną teczkę, po czym wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Hobie popchnął hakiem teczkę w kierunku Stone'a.

— Niech pan to przejrzy — powiedział.

Stone pochylił się w stronę biurka i sięgnął po teczkę. W środku znalazł fotografie. Kilka dużych, czarno-białych lśniących odbitek. Na pierwszej zobaczył swój dom. Zdjęcie niewątpliwie zostało zrobione z samochodu, który zatrzymał się na podjeździe. Spojrzał na następne. Wykonane przez teleobiektyw zdjęcie Marian w ogrodzie. Marilyn wychodząca z salonu kosmetycznego w mieście. Zbliżenie tablicy rejestracyjnej jej bmw.

Piąte zdjęcie również przedstawiało jego żonę. Zostało zrobione w nocy przez okno sypialni. Marilyn miała na sobie szlafrok, a jej rozpuszczone włosy wydawały się wilgotne. Fotograf musiał stać na trawniku za ich domem. Stone słyszał szum w uszach. Nie mógł zogniskować wzroku. Złożył zdjęcia i schował je do teczki. Odłożył ją na biurko. Hobie pochylił się i przyciągnął hakiem teczkę. Zgrzytnięcie haka o blat wydało się wyjątkowo głośne.

- To jest moje zabezpieczenie, panie Stone — oświadczył. — Jednakże, jak sam pan mnie zapewnił, nie będzie żadnych problemów.

Chester Stone nie odpowiedział. Wstał i skierował się do drzwi, lawirując między meblami. Wyszedł na korytarz i wsiadł do windy. Zjechał osiemdziesiąt osiem pięter i wyszedł na dwór. Poczuł na twarzy promienie porannego słońca.

3

To samo słońce grzało kark Reachera, gdy jechał na Man-attan taksówką bez licencji. Jeśli miał wybór, wołał korzystać takich taksówek. Nie miał powodów, aby przypuszczać, że łoś będzie chciał prześledzić jego ruchy, wypytywać taksów-przy, ale i tak bezpieczniej było wziąć taksówką, której kierowca nie mógł się przyznać, iż jest taksiarzem. To również umożliwiało rozpoczęcie negocjacji na temat opłaty za kurs. trudno targować się z licznikiem.

Przejechali przez most Tnborough i znaleźli się na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. Pojechali na zachód na Roosevelt Square. Reacher kazał kierowcy się zatrzymać. Przez chwilę się zastanawiał, co dalej. Chciał znaleźć tani hotel z działającymi telefonami i kompletną książką telefoniczną. Uznał, że w tej dzielnicy nie znajdzie niczego, co spełniałoby te trzy wymagania, ale mimo to wysiadł i zapłacił za kurs. Zamierzał przejść pieszo ostatnią część drogi. Takie zacieranie śladów leżało w jego zwyczajach.

• • •

Dwaj młodzi mężczyźni w pogniecionych garniturach za tysiąc dolarów poczekali, aż Chester Stone się oddali, po czym weszli do gabinetu. Przepisnęli się między meblami i stanęli przed biurkiem. Hobie spojrzął na nich, otwierając szufladę. Schował podpisaną umowę i zieloną teczkę ze zdjęciami

i wyciągnął blok papieru z kołnotatnika. Położył hak na blacie i obrócił fotel, tak żeby słabe światło wpadające przez okno oświetlało zdrową stronę jego twarzy. — No i co?

— Właśnie wróciliśmy — powiedział jeden z nich.

— Zdobycieście informacje, o które prosiłem? Drugi facet kiwnął głową. Usiadł na sofie.

- Szukał jakiegoś gościa, który nazywa się Jack Reacher.

— Kto to jest? — spytał Hobie, jednocześnie notując nazwisko.

Przez chwilę obaj milczeli.

- Nie wiemy — odpowiedział wreszcie ten, który odezwał się pierwszy.

Hobie powoli pokiwał głową.

— Kim jest klient Costella? Znowu cisza.

— Tego również nie wiemy.

— To dość podstawowe pytania — zauważył Hobie.

— Czy nie pomyśleliście o zadaniu takich podstawowych pytań?

— Owszem, pomyśleliśmy — odpowiedział drugi mężczyzna. — Zadawaliśmy je bardzo

stanowczo.

— Ale Costello nie chciał odpowiedzieć?

— Już nabierał chęci.

— Ale?

— Ale zmarł — wyjaśnił. — Po prostu przewrócił się i zmarł. Był stary, miał nadwagę. Może to był atak serca. Bardzo mi przykro, proszę pana. Obaj bardzo przepraszamy.

— Zagrożenie? — spytał Hobie, powoli kiwając głową.

— Żadne — zapewnił ten pierwszy. — Policja nie zdoła ustalić jego tożsamości.

Hobie spojrzął na palce lewej ręki.

— Gdzie jest nóż? — spytał.

— W morzu — powiedział drugi facet.

Hobie poruszył ręką i zastukał hakiem o blat. Po chwili namysłu kiwnął zdecydowanie głową.

— Okay, to zapewne nie wasza wina. Słabe serce, co można na to poradzić?

Pierwszy facet wyraźnie się rozluźnił i też usiadł na sofie. Udało się im uwolnić z haka, co w tym gabinecie miało szczególne znaczenie.

— Musimy się dowiedzieć, kim był jego klient — powiedział

Hobie, przerywając ciszę. Dwaj mężczyźni czekali na dalsze polecenia.

— Costello musiał mieć sekretarkę, prawda? Ona na pewno wie, kim był jego klient.

Sprowadźcie ją do mnie.

Mężczyźni wciąż siedzieli na sofie.

— Co jeszcze?

— Ten Jack Reacher — powiedział ten, który usiadł pierwszy. — To podobno potężny facet, który przyjechał do Key West trzy miesiące temu. Costello twierdził, że ludzie mówili mu o jakimś wielkim facecie, który nocami pracuje w barze. Poszliśmy go zobaczyć. Wielki, twardy chłop, ale utrzymuje, że nie nazywa się Jack Reacher.

— No i co?

— Lotnisko w Miami — wtrącił drugi facet. — Polecieliśmy United, bo był lot bez przesiadki. Wcześniej leciał samolot

Delta, z międzylądowaniem w Atlancie. — Tak?

— Ten wielki facet z baru. Widzieliśmy go na lotnisku, szedł do bramki. Jesteście pewni? Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent — zapewnił go pierwszy. — Był daleko przed nami, ale to naprawdę wielki facet. Trudno go nie zauważyć. Hobie znowu postukał hakiem o blat. Pogrążył się w myślach.

— Okay, to na pewno ten Reacher — odezwał się w końcu. — Costello o niego wypytuje, potem tego samego dnia wy przychodzicie i też pytacie o niego. Przestraszył się i zwiął. Ale dokąd? Tutaj?

Drugi mężczyzna pokiwał głową. - Jeśli nie wysiadł w Atlancie, to jest teraz w Nowym Jorku.

— Ale po co? Do diabła, kto to jest?

Hobie po chwili odpowiedział na swoje pytanie.

— Sekretarka powie mi, kto jest klientem, tak? — Uśmiechnął się. — A klient wyjaśni, kim jest Reacher.

Dwaj mężczyźni w eleganckich garniturach przytaknęli i wstali. Przepisnęli się między sofami i wyszli z gabinetu.

• • •

Reacher szedł na południe przez Central Park. Starał się ocenić powagę podjętego zadania. Nie miał wątpliwości, że przyjechał do właściwego miasta. Akcent tych trzech mężczyzn świadczył o tym zupełnie jednoznacznie. Musiał jednak szukać wśród ogromnej populacji. Siedem i pół miliona ludzi w pięciu głównych dzielnicach. Osiemnaście milionów w całym obszarze miejskim. Osiemnaście milionów ludzi mieszkających dostatecznie blisko, żeby

przyjechać na Manhattan w poszukiwaniu specjalisty, takiego jak szybki i sprawny prywatny detektyw. Instynkt podpowiadał mu, że Costello miał biuro na Manhattanie, natomiast pani Jacob mogła

z powodzeniem mieszkać gdzieś na przedmieściu. Jeśli kobieta mieszkająca gdzieś na przedmieściu potrzebuje prywatnego detektywa, to jak go szuka? Na pewno nie w sąsiedztwie supermarketu lub wypożyczalni kaset wideo. Nie w centrum handlowym, w pobliżu butików z ubraniami. Taka kobieta wzięłaby książkę telefoniczną najbliższego dużego miasta i przejrzałaby żółte strony. Zaczęłaby dzwonić i po wstępnej rozmowie albo detektyw przyjechałby do niej, albo ona wsiadłaby do pociągu i pojechała do jego biura. Z dowolnego punktu na gęsto zaludnionym terenie o powierzchni kilkuset kilometrów kwadratowych. Reacher zrezygnował z hoteli. Nie wiedział z góry, czy rzeczywiście będzie potrzebował dużo czasu. Może wystarczy godzina. Potrzebował również więcej informacji, niż mógł znaleźć w hotelu. Potrzebował książki telefonicznej pięciu dzielnic i przedmieść. W hotelu nie znalazłby ich wszystkich. Nie chciał również płacić tyle, ile pobierają hotele za telefony. Nie zbił fortuny na kopaniu basenów.

Wobec tego postanowił pójść do biblioteki publicznej. Na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Piątej Alei? Czy to naj-większa biblioteka publiczna na świecie? Reacher nie pamiętał. Może tak, może nie. Z pewnością jest dostatecznie duża, żeby mieli wszystkie potrzebne mu książki telefoniczne, duże, sze-rokie stoły i wygodne krzesła. Sześć kilometrów od Roosevelt Square. Godzina szybkiego marszu przerywanego tylko przez światła uliczne i krótką wizytę w sklepie papierniczym po notes i ołówki.

• • •

Następną osobą, która pojawiła się w gabinecie Hobiego, był jego recepcjonista. Wszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz. Usiadł na sofie stojącej najbliżej biurka. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się uporczywie w Hobiego.

— O co chodzi? — spytał Hobie, choć dobrze wiedział.

— Powinien pan wyjechać — rzekł recepcjonista. — Teraz jest tu niebezpiecznie.

Hobie milczał. Trzymał hak lewą ręką i wodził palcami po jego gładkiej powierzchni.

-Planował pan - nalegał recepcjonista. - Obiecał pan.

Nie ma sensu planować i obiecywać, jeśli potem nie realizuje się planu.

Hobie wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

— Mieliśmy sygnał z Hawajów, tak? — przypomniał mu recepcjonista. — Zgodnie z planem miał pan uciekać po odebraniu sygnału z Hawajów.

— Costello nie był na Hawajach — zauważył Hobie. -Sprawdziliśmy to.

— To tylko pogarsza sytuację. Ktoś inny tam pojechał. Nie wiemy kto.

— Rutynowa sprawa — powiedział Hobie. — Zastanów się. Nie ma powodu, żeby ktokolwiek jechał na Hawaje, dopóki nie usłyszymy pierwszego sygnału. To sekwencja, sam wiesz.

Dostajemy pierwszy sygnał, potem drugi, z Hawajów. Wtedy będzie pora na wyjazd. Nie wcześniej.

— Obiecał pan — powtórzył recepcjonista.

— Jest zbyt wcześnie. To byłaby nielogiczna decyzja. Po-

myśl. Widzisz, jak ktoś kupuje broń, pudełko naboju, a następnie celuje w ciebie. Czy przestraszyłbyś się?

— Z pewnością.

— Ja nie — oznajmił Hobie. — Nie naładował rewolweru. Pierwszy krok to zakup broni i amunicji, drugi krok to naładowanie jej. Dopóki nie usłyszymy pierwszego sygnału, Hawaje są nienaładowanym rewolwerem.

Recepcjonista odchylił głowę i popatrzył na sufit.

— Dlaczego pan to robi? — spytał.

Hobie otworzył szufladę i wyciągnął teczkę Stone'a. Wyjął z niej umowę i nachylił ją tak, żeby

w kiepskim świetle można było dostrzec dwa podpisy.

— Sześć tygodni — powiedział. — Może mniej. To wszystko, czego potrzebuję.

Recepcjonista podniósł głowę i spojrzał na niego.

— Sześć tygodni na co?

— Największy interes w moim życiu — odrzekł Hobie. Położył umowę na biurku i przycisnął ją hakiem. — Stone właśnie podarował mi swoją firmę. Trzy pokolenia harówki, a ten głupiec właśnie dał mi całą firmę na tacy.

— Nie, on dał panu gówna na tacy. Przekazał mu pan milion sto tysięcy w zamian za bezwartościowe papiery.

Hobie się uśmiechnął.

— Uspokój się i pozwól, że to ja będę myślał, dobrze? To I ja jestem w tym dobry, okay?

— Dobrze. A na czym polega ten wspaniały interes?

— Czy wiesz, co on posiada? Wielką fabrykę na Long Island i rezydencję w Pound Ridge. Pięćset domów w otoczeniu fabryki. To jakieś trzy tysiące akrów najlepszego terenu na Long Island, blisko wybrzeża. Idealne miejsce na inwestycje.

— Domy nie są jego — wtrącił recepcjonista. Hobie pokiwał głową.

— Słusznie. Praktycznie należą do niewielkiego banku na Brooklynie, który dawał wszystkim właścicielom kredyt hipoteczny.

— No więc?

— Zastanów się. Przypuśćmy, że wystawię jego akcje na sprzedaż. Co się stanie?

— Gówna pan za nie dostanie. Są bezwartościowe.

— Zgadza się, są nic niewarte. Jednak jego bankierzy jeszcze o tym nie wiedzą. Stone ich okłamywał. Ukrywał przed nimi swoje problemy. Gdyby było inaczej, nie przyszedłby do mnie. Wobec tego bankierzy nagle się dowiedzą, że ich zabezpieczenie jest całkowicie bezwartościowe. Otrzymają wycenę prosto z giełdy. Usłyszą, że te akcje są gówna warte lub jeszcze mniej. Co zrobią?

— Wpadną w panikę.

— Słusznie. Wpadną w panikę. Pożyczyli mu dużo pieniędzy zostali z bezwartościowym zabezpieczeniem. Będą srali ze strachu, aż wreszcie się pojawi Hobie Hak i zaproponuje wykup długów Stone'a po dwadzieścia centów za dolara.

— Przyjmą taką ofertę? Dwadzieścia centów za dolara?

— Na pewno. Rzucają się tak łapczywie, że odgryzą mi drugą rękę. A w ramach umowy przekażą mi wszystkie akcje.

— Dobrze. Co dalej? Co z domami?

— To samo — wytłumaczył mu Hobie. — Mam akcje, mam fabrykę. Zamykam ją. Nie ma pracy, pięćset osób nie może spłacić kredytu hipotecznego. Ten bank na Brooklynie mocno się zatrzęsie. Wykupię kredyty hipoteczne po dziesięć centów za dolara, przejmę nieruchomości i wszystkich wyrzucę. Wynajmę kilka buldożerów i będę miał trzy tysiące najlepszego terenu na Long Island, tuż obok wybrzeża. Plus wielką rezydencję w Pound Ridge. Wydam jakieś osiem milionów sto tysięcy. Sama rezydencja jest warta dwa. Wobec tego za sześć milionów sto tysięcy dostanę tereny, które sprzedam za sto milionów, jeśli tylko się postaram.

Recepcjonista patrzył na niego w milczeniu.

— Właśnie dlatego potrzebuję jeszcze sześciu tygodni — dodał Hobie.

Recepcjonista pokręcił głową.

— To się nie uda — powiedział. — To stara, rodzinna firma. Stone w dalszym ciągu jest właścicielem większości akcji. Nie ma ich w obrocie. Bank ma tylko część. Będzie pan mniejszościowym udziałowcem. On nie pozwoli panu na to wszystko. Teraz Hobie pokręcił głową.

— Sprzeda mi akcje. Wszystkie.

— Nie zrobi tego.

— Zrobi, sam zobaczysz.

• • •

W bibliotece publicznej Reacher znalazł pomyślne i niepomyślne informacje. W książkach telefonicznych obejmujących Manhattan, Bronx, Brooklyn, Queens, Staten Island, Long Island, Westchester, wybrzeże New Jersey i Connecticut było bardzo wielu ludzi o nazwisku Jacob. Reacher szukał w promieniu godzinnej jazdy samochodem od miasta. Gdy do miasta jest godzina drogi, ludzie instynktownie tam szukają potrzebnych rzeczy. Jeśli mieszkają dalej, rzadziej się na to decydują. Reacher wynotował sto dwadzieścia kandydatów na niespokojną panią Jacob.

Natomiast na żółtych stronach nie znalazł żadnego prywatnego detektywa o nazwisku Costello. Na białych stronach było wielu Costelloów bez podanych zawodów. Reacher westchnął. Był rozczarowany, ale niezaskoczony. Byłoby zbyt pięknie, gdyby otworzył książkę telefoniczną i przeczytał: „Agencja śledcza Costello — specjalizujemy się w szukaniu byłych policjantów w Keys”.

Znalazł wiele agencji o typowych nazwach, często zaczynających się na A — rywalizowały o miejsce na alfabetycznej liście. Ace, Acme, A-One, AA Investigators. Niektóre nazwy były związane z położeniem, na przykład na Manhattanie lub Bronksie. Inne były nakierowane na zamożniejszych klientów, obiecując „usługi prawnicze”. Jedna rościła sobie pretensje do tradycji, używając nazwy „Sherlock Holmes”. Dwie zatrudniały tylko kobiety i oferowały usługi wyłącznie kobietom.

Reacher wynotował z książki telefonicznej numery piętnastu komisariatów nowojorskiej policji. Przez chwilę się zastanawiał co dalej. Wyszedł na zewnątrz, minął ogromne kamienne lwy przed wejściem i skierował się do budki telefonicznej. Postawił na telefonie otwarty notes, ułożył kupkę monet i zaczął dzwonić do komisariatów. Za każdym razem prosił o połączenie z administracją. Miał nadzieję, że znajdzie tam jakiegoś sierżanta tuż przed emeryturą, który wie wszystko, co warto wiedzieć.

Udało mu się za czwartym telefonem. W pierwszych trzech komisariatach nie mogli mu pomóc i nie wydawali się tym zmartwieni. Czwarty telefon rozpoczął się podobnie: dzwonek, szybkie połączenie z numerem wewnętrznym, długie wyczekiwanie, ochryply głos starszego policjanta siedzącego w jakimś archiwum.

— Szukam niejakiego Costella — powiedział Reacher. — Przeszedł na emeryturę i został prywatnym detektywem. Nie wiem, czy założył agencję, czy pracuje u kogoś. Ma jakieś sześćdziesiąt lat.

— Kim pan jest? — odpowiedział pytaniem tamten. Miał taki sam akcent jak Costello. Równie dobrze to mógł mówić sam Costello.

— Nazywam się Carter — przedstawił się Reacher. — Jak

— Dlaczego pan szuka Costella, panie Carter?

— Mam coś dla niego, ale zgubiłem jego wizytówkę — stwierdził Reacher. — W książce telefonicznej nie znalazłem jego numeru.

— Nie ma go w żadnej książce. Pracuje tylko dla prawników. Nie bierze zwykłych klientów.

— Zna go pan?

— Czyja go znam? Oczywiście, że go znam. Pracował tu piętnaście lat. Nic dziwnego, że go znam

— Wie pan, gdzie ma biuro?

— Gdzieś w Village — odpowiedział policjant. Reacher ciężko westchnął, zasłaniając dłonią mikrofon. To

przypominało wyrywanie zęba.

— Wie pan gdzie dokładnie?

— Aleja Greenwich, jeśli dobrze pamiętam.

— Zna pan numer domu?

— Nie.

- A telefon?
- Też nie.
- Czy zna pan kobietę o nazwisku Jacob?
- Nie. A powinienem?
- Tylko pytałem. To jego klientka.
- Nigdy o niej nie słyszałem.
- Dobra, bardzo dziękuję za pomoc — zakończył rozmowę Reacher.
- Proszę bardzo.

Reacher odwiesił słuchawkę i wrócił do biblioteki. Sprawdził w książce telefonicznej Manhattanu, czy jest jakiś Costello na alei Greenwich. Nie znalazł nikogo. Odstawił książki na półkę i wyszedł na ulicę.

• • •

Aleja Greenwich to długa, prosta ulica biegnąca na południowy wschód od skrzyżowania Czternastej Ulicy z Ósmą Aleją do rogu Ósmej Ulicy z Szóstą Aleją. Po obu stronach stoją niskie budynki w stylu village, z licznymi sklepikami i galeriami w suterrenach. Reacher najpierw przeszedł po północnej stronie, ale nic nie znalazł. Przeciął ulicę, unikając pędzących samochodów i ruszył z powrotem po stronie południowej. W połowie długości ulicy zauważył przymocowaną do kamiennej ościeżnicy mosiężną tabliczkę z nazwiskiem Costelh. Czarne drzwi były otwarte. Reacher wszedł do niewielkiego holu. Na ścianie wisiała tablica informacyjna z twardego filcu, z wpinanymi białymi literami z plastiku. Budynek był podzielony na dziesięć niewielkich biur. Przy piątce dostrzegł napis Costello, W głębi holu znajdowały się szklane zamknięte drzwi z domofonem. Reacher nacisnął numer pięć. Nikt nie odpowiedział. Spróbował popchnąć drzwi kostkami dłoni, ale nie ustąpiły. Nacisnął szóstkę. Po chwili odezwał się zniekształcony głos.

— Tak?

— UPS — odpowiedział. Rozległ się cichy szmer i drzwi się otworzyły.

To był dwupiętrowy budynek, nie licząc suterenu. Biura numer jeden, dwa i trzy znajdowały się na parterze. Reacher

wszedł po schodach na pierwsze piętro. Po lewej stronie podestu zobaczył czwórkę, po prawej szóstkę. Wejście do biura numer pięć było w głębi, pod kolejnym ciągiem schodów. Reacher przyjrzał się drzwiom z mahoniu. Były lekko uchylne. Nie otwarte na oścież, ale widać było szparę. Popchnął je nogą. Obróciły się na zawiasach, odsłaniając widok poczekalni wielkości pokoju w motelu, utrzymanej w pastelowej tonacji, pośredniej między szarym i niebieskim. Gruba wykładzina na podłodze. Biurko sekretarki w kształcie litery L, skomplikowanym telefonem i płaskim monitorem komputera. Kartoteczka i sofa. Okno z matowymi szybami i drzwi do gabinetu.

W poczekalni nie było nikogo. Reacher wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, popychając je piętą. Zamek był odciągnięty, tak jakby biuro było czynne. Przeszedł przez poczekalnię, owinął rękę w poję koszuli i nacisnął klamkę drzwi prowadzących do gabinetu. Drugie pomieszczenie było takiej samej wielkości jak poczekalnia. Pokój Costello. Na ścianach wisiały czarno-białe fotografie mężczyzny, którego spotkał w Keys. Na zdjęciach był wyraźnie młodszy. Stał w towarzyst-

wie oficerów policji i lokalnych polityków, których Reacher nie znał. Wiele lat temu Costello był szczupły. Na zdjęciach widać było, jak z wiekiem tył — przypominało to reklamę środków dietetycznych oglądaną w odwrotnej kolejności. Fotografie wisiały po prawej stronie biurka. Na blacie leżała staromodna podkładka do pisania, stał kałamarz i telefon. Za biurkiem Reacher zobaczył skórzany fotel, wyraźnie wygnieciony przez ciężkiego mężczyznę. Po lewej stronie było okno z matowymi szybami i zamknięta na klucz metalowa szafa. Przed biurkiem stały dwa krzesła dla klientów ustawione symetrycznie.

Reacher cofnął się do poczekalni. Czuł w powietrzu zapach perfum. Za biurkiem znalazł otwartą damską torebkę. W środku widać było miękką, skórzany portfel i paczkę chusteczek

higienicznych. Reacher wyciągnął swój ołówek i korzystając z końca z gumką, odsunął chusteczki na bok. Pod paczką były kosmetyki i pęk kluczy. Wyczuł zapach kosztownej wody kolońskiej.

Na monitorze komputera migotał wygaszacz ekranu. Reacher popchnął ołówkiem mysz. Rozległ się cichy trzask i na ekranie pojawił się niedokończony list. Cursor migotał cierpliwie w połowie słowa. Poniżej nagłówka widać było datę — list pochodził z tego dnia. Reacher przypomniał sobie ciało Costella na chodniku pod murem cmentarza w Key West. Spojrzał na porządnie ustawioną torebkę nieobecnej kobiety, otwarte drzwi, niedokończone słowo. Zadrżał.

Używając ołówka, zamknął edytor tekstu. Pojawiło się okienko z pytaniem, czy chce zachować zmiany w dokumencie. Po chwili wahania nacisnął NIE. Otworzył program do manipulowania zbiorami i sprawdził strukturę kont. Szukał faktury. Wygląd biura wyraźnie świadczył, że Costello lubił porządek. Na pewno nie rozpoczął poszukiwań przed otrzymaniem dowodu wpłaty. Kiedy zaczął szukać? Najpierw zlecenie pani Jacob bez żadnych informacji poza nazwiskiem i bardzo przybliżonym opisem jego wyglądu i służby. Costello pewnie zadzwonił do centralnego archiwum wojskowego, starannie strzeżonego kompleksu budynków w St Louis, gdzie są prze

chowywane wszelkie dokumenty dotyczące wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy kiedykolwiek chodzili w mundurze. Budynek jest strzeżony na dwa sposoby — fizycznie, za pomocą drutu kolczastego, oraz biurokratycznie — przez liczne przepisy utrudniające dostęp do dokumentów. Po żmudnych poszukiwaniach dowiedział się, że Reacher został zwolniony z wojska. Przerwa na zadumę co dalej. Potem nierokująca większych nadziei na sukces próba wykorzystania rachunku bankowego. Telefon do starego kumpla, przypomnienie o dawnych zobowiązaniach. Może niewyraźny faks z Wirginii, może telefon z listą operacji na jego rachunku. Pośpieszny lot na Południe, wypytywanie ludzi na Duval, dwaj faceci, pięści i nóż do linoleum.

W miarę krótki ciąg zdarzeń, ale załatwienie spraw w St. Louis i Wirginii musiało trochę potrwać. Reacher ocenił, że zwykłemu obywatelowi, takiemu jak Costello, uzyskanie informacji z archiwum wojskowego musiało zająć trzy lub cztery dni. W banku w Wirginii też pewnie nie poszło mu szybciej.

Nie można liczyć na natychmiastowe usługi znajomych. To wymaga odpowiedniej chwili. W sumie jakieś siedem dni na walkę z biurokracją, dzień na namysł, dzień na początek i dzień na koniec. Dziesięć dni od chwili gdy pani Jacob uruchomiła całą sprawę.

Reacher wybrał podkonto oznaczone FAKTURY. Po prawej pionie ekranu pojawiła się długa lista nazw plików uporządkowana alfabetycznie. Reacher przewinął listę, ale nie znalazł nazwiska Jacob. Większość nazw stanowiły inicjały lub skróty ryc może oznaczające kancelarie prawnicze. Sprawdził daty. Nie znalazł pliku utworzonego dokładnie dziesięć dni wcześniej, ile zauważył jeden liczący dziewięć dni. Może Costello działał szybciej, niż on przyjął, może jego sekretarka była wolniejsza. Plik był oznaczony SGR & T-09. Reacher go otworzył. Dysk zaszumił i na ekranie pojawiła się faktura na tysiąc dolarów za szukanie zaginionej osoby, wystawiona firmie z Wall Street Spencer Gutman Ricker & Talbot. Na fakturze był adres, ale brakowało numeru telefonu. Reacher wyszedł z programu do administrowania plikami

otworzył bazę danych. Gdy kazał szukać skrótu SGR & T, znalazł stronę z tym samym adresem, ale również z numerami telefonu, faksu i adresem elektronicznym. Jednym palcem i kciukiem wyciągnął z torebki sekretarki chusteczki higieniczne. Owinął chusteczką słuchawkę telefonu, a drugą rozłożył na przyciskach. Wybrał numer, naciskając przez chusteczkę. Usłyszał dźwięk dzwonka i po chwili ktoś odebrał telefon.

— Spencer Gutman—poinformował mężczyznę pogodnym tonem. — W czym możemy pomóc?

— Z panią Jacob poproszę — powiedział Reacher.

— Chwileczkę.

Reacher przez kilka sekund słyszał muzykę, po czym odezwał się inny mężczyzna. Mówił szybko, ale z pewnym uszanowaniem w głosie. Może asystent.

— Z panią Jacob poproszę — powtórzył Reacher.

— Już wyjechała do Garrison — odpowiedział asystent. Brzmiał tak, jakby był zajęty i wszyscy mu dokuczali. —

Przykro mi, ale naprawdę, nie wiem, kiedy znowu będzie w biurze.

— Czy zna pan jej adres w Garrison?

— Jej? — zdziwił się tamten. — Czy jego?

Reacher przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. Postanowił zaryzykować.

— Chciałem powiedzieć jego. Gdzieś zgubiłem adres.

— I bardzo dobrze — odpowiedział asystent — Niestety, był źle wydrukowany. Od rana skierowałem na właściwy adres już chyba z pięćdziesiąt osób.

Wyrecytował adres z pamięci. Garrison w stanie Nowy Jork, sto kilometrów w górę rzeki Hudson, w przybliżeniu naprzeciwko West Point, gdzie Reacher spędził cztery długie lata.

— Myślę, że musi się pan pośpieszyć — dodał asystent

— Też tak sądzę — zapewnił go Reacher i odłożył słuchawkę. Nic z tego nie rozumiał.

Zamknął bazę danych. Raz jeszcze spojrzął na torebkę nieobecnej sekretarki i wciągnął w płuca powietrze z zapachem jej perfum, po czym wyszedł.

• • •

Sekretarka zmarła pięć minut po tym, jak wyjawiała tożsamość pani Jacob, to zaś nastąpiło pięć minut po tym, jak Hobie potraktował ją swoim hakiem. Byli w łazience biura na osiemdziesiątym ósmym piętrze. To było doskonałe miejsce. Przestronne, o powierzchni dziewięciu metrów kwadratowych o wiele za duże na łazienkę. Jakiś dekorator lubiący kosztowne pomysły wyłożył ściany, podłogę i sufit płytkami z szarego granitu. Prysznic miał plastikową kurtynę zawieszoną na rurze z nierdzewnej stali, stanowczo zbyt potężnej jak na to zadanie Hobie już dawno sprawdził, że rura wytrzyma ciężar nie przytomnego człowieka, przykutego do niej kajdankami. Od czasu do czasu wisieli na niej ludzie znacznie ciężsi od sekretarki, gdy zadawał im pilne pytania lub przekonywał, że rozsądnie będzie spełnić jego polecenia.

Jedynym problemem była izolacja akustyczna, ale Hobie sądził, że jest wystarczająca. To był solidny budynek. Każda

z dwóch wież waży ponad pół miliona ton. Dużo stali i betonu, dobre grube ściany. Nie miał też wścibskich sąsiadów. Większość biur na osiemdziesiątym ósmym piętrze wynajmowały przedstawicielstwa handlowe różnych niewielkich krajów, ja ich nieliczni pracownicy spędzali czas w ONZ. Tak samo wyglądała sytuacja na osiemdziesiątym siódmym i osiemdziesiątym dziewiątym. Właśnie z tych powodów Hobie wynajął tu biuro, ale był człowiekiem, który nigdy bez potrzeby nie ryzykował. Dlatego stosował plaster. Przed rozpoczęciem sesji przygotowywał kilka pasków plastra o długości dwudziestu centymetrów każdy, które przyklepał końcem do ściany. Służyły do zalepiania ust. Gdy ofiara poruszała z przerażeniem głową, z oczami wychodzącymi z orbit, Hobie odrywał plaster i czekał na odpowiedź. W razie krzyku błyskawicznie przyklepał nowy pasek i wracał do pracy. Zwykle uzyskiwał potrzebną odpowiedź po zerwaniu drugiego | plastra.

Dzięki granitowym płytkom sprzątanie nie było trudną operacją. Wystarczyło nastawić prysznic, włączyć kilka wiader wody na podłogę i pomachać szczotką. Wszystkie ślady zniknęły z łazienki tak szybko, jak spływa woda z osiemdziesiątego ósmego piętra do kanałów. Oczywiście Hobie nigdy sam nie sprzątał. Do posługiwania się szczotką potrzebne są dwie ręce. Tym razem zajęły się tym jeden z dwóch młodych facetów. Podwinął nogawki eleganckich spodni, zdjął buty i skarpetki. Hobie siedział przy biurku i rozmawiał z drugim facetem.

— Znajdziecie panią Jacob i sprowadzicie ją do mnie, okay?

— Oczywiście — powiedział rozmówca. — A co z nią? Kiwnął głową w kierunku łazienki.

Hobie też spojrzął w tamtą stronę.

— Poczekajcie do wieczora — zdecydował. — Ubierzcie ją i znieście na dół do motorówki. Wrzucie ją do wody kilka kilometrów od brzegu.

— Najprawdopodobniej fale wyrzucą ją na brzeg. Za parę dni.

Hobie wzruszył ramionami.

— Nic mnie to nie obchodzi — stwierdził. — Za parę dni będzie mocno spuchnięta. Policja uzna, że wypadła za burtę ze statku. Takie rany mogła odnieść wskutek uderzenia śruby.

• • •

Zazwyczaj działanie w tajemnicy ma zalety, ale również powoduje problemy. Najszybszym sposobem dotarcia do Garrison byłoby wynajęcie samochodu, ale gdy ktoś nie używa kart kredytowych i nie nosi prawa jazdy, traci tę możliwość. Reacher pojechał taksówką na dworzec Grand Central. Był prawie pewny, że jest pociąg linii Hudson do Garrison. Ludzie dojeżdżają do pracy w Nowym Jorku nawet z tak dużej odległości. Jeśli nie, to jeden z dalekobieżnych pociągów Am-tracka do Albany i Kanady powinien zatrzymać się w Garrison.

Zapłacił za taksówkę, wysiadł i przepchnął się przez tłum do wejścia. Zszedł długą rampą do gigantycznej hali dworcowej. Rozejrzał się i wyteżył wzrok, żeby odczytać rozkład jazdy.

Starł się przypomnieć sobie geografię okolic Nowego Jorku. Pociągi w kierunku Croton-Harmon kończyły jazdę zbyt daleko na południe. Potrzebował pociągu jadącego co najmniej do Poughkeepsie. Przejrzał całą listę. Pech. Najbliższy pociąg do Garrison odjeżdżał dopiero za półtorej godziny.

• • •

Załatwili to w zwykły sposób. Jeden z nich zjechał dziewięćdziesiąt pięter do podziemia, gdzie rozładowywano dostawy. W śmieciach znalazł duże kartonowe pudło. Najlepsze były pudła po lodówkach i automatach do sprzedaży napojów, ale kiedyś zrobili to, używając pudła po kolorowym telewizorze z trzydziestopięciocalowym ekranem. Tym razem znalazł pudło po kartotece. Postawił je na wózek do wożenia mebli i wjechał do windy towarowej. Po chwili był znowu na osiemdziesiątym ósmym piętrze.

W tym czasie drugi zapakował zwłoki do plastikowego worka. Włożyli je razem do pudła, a następnie zabezpieczyli pokrywą taśmą klejącą. Postawili pudło na wózku i znowu kierowali się do windy towarowej. Tym razem zjechali na parking. Podjechali wózkiem do czarnego suburbana. Odliczyli na trzy wstawili pudło do bagażnika. Zamknęli tylne drzwi na klucz. Rozejrzeli się dookoła. Nikogo nie było, w pomieszczeniu panował półmrok. Nie ma problemów.

-Wiesz co? — odezwał się jeden z nich. — Jeśli złożymy fotele, zmieści się jeszcze pani Jacob. Załatwimy to wieczorem za jednym zamachem. Nie lubię wypływać tą motorówką częściej, niż to konieczne.

- Dobra — zgodził się drugi. — Zauważyłeś jeszcze jakieś

pudła? To było najlepsze. Zależy, czy pani Jacob jest wysoka czy niska.

- Zależy też, czy skończy z nią do wieczora. - Masz jakieś wątpliwości? Nie zauważyłeś, w jakim jest orze?

Podeszli do stojącego niedaleko czarnego chevy tahoe.

Eodczy brat potężnego suburbana, ale i tak duży wóz. — Gdzie ona jest? — spytał ten drugi.

— W Garrison. W górę Hudson, trzeba przejechać obok Sing-Singu. Godzina, może półtorej godziny jazdy.

Wsiedli do samochodu. Z piskiem opon pokonywali kolejne zakręty, aż wreszcie wydostali się z parkingu na słońce. Ruszyli || stroną West, skręcili w prawo i pojechali na północ.

4

Ulica West zmienia się w Jedenastą Aleję naprzeciwko Mola 56, gdzie samochody jadące na zachód skręcają z Czternastej Ulicy na północ. Wielki czarny tahoe ugrzązł w korku. Jego klakson dołączył do wycia produkowanego przez sfrustrowanych kierowców. Sygnały odbijały się od ścian wysokich budynków i rozchodziły echem nad rzeką. Przeczozłgali się dziewięć przecznic i skręcili w lewo w Dwudziestą Trzecią Ulicę, a następnie znowu na północ w Dwunastą. Tam udało się im przekroczyć prędkość marszu, ale wkrótce znowu utknęli wśród samochodów wyjeżdżających z Czterdziestej Drugiej

Ulicy. Dwunasta Aleja zmienia się w Miller, ale samochody poruszały się w żółtym tempie, aż przejechali nad starymi torowiskami. Tam Miller zmienia się w Henry Hudson Parkway. Dalej jechali powoli, ale Hudson to inaczej szosa 9A, która miała zmienić się w 9 w Crotonville. Mieli przed sobą prosu drogę na północ do Garri son, lecz wciąż tkwili na Manhattanie w Riverside Park, choć od wyruszenia w drogę minęło już pół godziny.

• • •

To edytor tekstu był najbardziej znaczący. Cursor cierpliwie migoczący w połowie słowa Otwarte drzwi i porzucona torebka stanowiły istotne wskazówki, ale nie rozstrzygały wątpliwości Pracownicy biurowi zwykle zabierają swoje rzeczy i zamykają drzwi, lecz zdarzają się wyjątki. Sekretarka mogła wyjść na chwilę, lecz coś ją zatrzymało, na przykład szukała papieru lub ktoś ją poprosił o pomoc z oporną kserokopiarką, co skończyło się wspólną kawą i opowiadaniem o ostatniej randce. Jeśli spodziewała się, że za parę minut wróci, mogła zostawić torebkę i zrezygnować z zamknięcia drzwi, a potem nieobecność się przedłużyła. Nikt jednak nie przerywa pracy nad tekstem, nie zapisując dokumentu. Jeśli nawet wychodzi na minutę. A sekretarka tak zrobiła. Komputer spytał: CZY ZAPISAĆ ZMIANY? To oznaczało, że wstała od biurka, nie naciskając polecenia ZAPISZ, co w wypadku ludzi walczących nieustannie z komputerami jest odruchem równie automatycznym jak oddychanie.

Stąd wniosek, że cała sprawa wyglądała bardzo źle. Reacher przeszedł przez kolejną halę Grand Central. Po drodze kupił w automacie kawę. Przycisnął pokrywkę kubka i sprawdził, czy ma w kieszeni zwitek banknotów. Powinno starczyć na to, co planował.

• • •

W pobliżu Sto Siedemdziesiątej Ulicy Henry Hudson Park-way rozdziela się na płataninę ramp, z których ostatecznie wyłania się jako prowadząca na północ Riverside Drive. Ta sama droga, ten sam kierunek, żadnych zakrętów, ale skomplikowana dynamika mchu sprawia, że jeśli jeden kierowca zwolni poniżej średniej, to natychmiast powstaje zagęszczenie i setki ludzi muszą się zatrzymać, dlatego że jakiś kierowca z prowincji dwa kilometry dalej stracił na chwilę orientację. Wielki czarny tahoe zatrzymał się naprzeciw Fort Washington, a później powoli pełzył, co chwila przystając, pod mostem George'a Washingtona. Tam Riverside Drive się rozszerza, dzięki czemu kierowcy udało się przejść na trójkę, ale gdy droga znowu zmieniła się w Henry Hudson, przed bramką, gdzie kierowcy płacili za przejazd, ustawiła się spora kolejka. Musieli długo czekać, żeby zapłacić za opuszczenie Manhattanu i przejazd na północ przez Bronx.

• • •

Między Grand Central i Croton-Harmon wzdłuż rzeki Hudson kursują dwa rodzaje pociągów: osobowe i ekspresy. Ekspresy wcale nie jadą szybciej, ale rzadziej się zatrzymują. Podróż ekspresem trwa od czterdziestu dziewięciu do pięćdziesięciu dwóch minut. Osobowe zatrzymują się na każdej stacji, za każdym razem muszą hamować i rozpędzać się, co powoduje, że jazda trwa od sześćdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu trzech minut. Maksymalna różnica między osobowym i ekspresem to dwadzieścia cztery minuty. Reacher jechał osobowym Zapłacił pięć dolarów pięćdziesiąt centów za bilet w jedną stronę poza godzinami szczytu. Siedział bokiem na pustej ławce dla trzech osób, podkręcony nadmiarem kawy. Opierając głowę o szybę, zastanawiał się, dokąd właściwie jedzie, dlaczego

to robi i co zamierza zrobić, jak już dojedzie na miejsce. No i czy przyjedzie o takiej porze, żeby zdążyć, cokolwiek miało się zdarzyć.

• • •

Droga 9A zmieniła się w 9 i łagodnie skręciła, oddalając się od rzeki za Camp Smith. W Westchester można już być jechać szybciej. Nie był to tor wyścigowy, bo liczne zakręty i wyboje wykluczały utrzymywanie dużej prędkości, ale przynajmniej nie było korków. Droga stanowiła mieszaninę starych odcinków i nowych, przecinających las. Mijali osiedla ogrodzone wysokimi, drewnianymi płotami, z elegancko pomalowanymi domami i optymistycznymi nazwami wyrytymi na imponujących głazach ustawionych przy bramach. Tahoe posuwało się naprzód. Jeden facet kierował, drugi pilotował, trzymając na kolanach rozłożoną mapę. Minęli Peekskill i zaczęli szukać skrętu w lewo. Gdy znaleźli, skręcili w kierunku rzeki. Wyczuwali, że są już niedaleko, bo zaczął zmieniać się pejzaż. Wjechali do Garrison. Odszukanie adresu nie było łatwe. Dzielnice mieszkalne były rozległe i rozrzucone. Można mieć kod pocztowy Garrison i mieszkać kilka kilometrów od miasta. W końcu znaleźli właściwą drogę, pokonali wszystkie konieczne zakręty i trafili na właściwą ulicę. Jechali powoli przez rzedniejący las, przyglądając się skrzynkom pocztowym. Droga zakręciła. Zobaczyli przed sobą właściwy dom i zaparkowali przy krawężniku.

• • •

Reacher wysiadł z pociągu w Croton siedemdziesiąt jeden minut po opuszczeniu Grand Central. Zbiegł po schodach. Na postoju taksówek stały cztery jednakowe stare caprice z pasami ze sztucznego drewna na bokach. Pierwszym kierowcą, który zareagował, była otyła kobieta. Pochyliła głowę, tak jakby czekała na pytanie.

— Zna pani Garrison? — spytał Reacher.

— Garrison? — powtórzyła. — To daleko stąd, proszę pana. Ze trzydzieści kilometrów.

— Wiem, gdzie to jest.

— Wyjdzie ze czterdzieści dolarów.

— Zapłacę pięćdziesiąt, ale muszę tam być już teraz. Usiadł z przodu obok niej. Samochód śmierdział jak stara

taksówka — mieszaniną odświeżacza powietrza i środków do czyszczenia tapicerki. Na liczniku miał półtora miliona kilo-

metrów. Gdy kobieta szybko wyjeżdżała z parkingu, wóz kołysał

się jak łódź na fali. Wjechali na szosę numer 9 i skierowali się na północ.

— Ma pan adres? — spytała kobieta.

Reacher powtórzył adres, który podał mu asystent w kancelarii prawniczej. Kobieta kiwnęła głową. Jechała z dużą prędkością.

— To nad rzeką — powiedziała.

Po kwadransie szybkiej jazdy minęli Peekskili i zwolnili, szukając skrętu w lewo. Wyprzedzili wielki jacht na wózku Skierowali się na zachód. Reacher wyczuwał bliskość rzeki. Widać było szeroką na kilometr przerwę w lesie. Kobieta wiedziała, jak jechać. Dojechała aż do rzeki i skręciła na północ w boczną drogę. Między nimi i rzeką ciągnęły się tory, ale nie widać było pociągów. Na drugim brzegu rzeki ukazywały się już budynki West Point. — To gdzieś tutaj — mruknęła kobieta. Jechali wąską drogą. Po obu stronach ciągnęły się płoty

z surowych belek, jak zagrody dla bydła, ale trawa na poboczach była skoszona, a gdzieś tam widać było posadzone kwiaty. Mniej więcej sto metrów dalej stały skrzynki pocztowe i słupy sieci energetycznej podtrzymujące przewody zawieszane między drzewami.

— A co to takiego? — zdziwiła się kobieta. — Chyba dojechaliśmy.

Na poboczu wąskiej drogi stały zaparkowane samochody, niemal całkowicie uniemożliwiając przejazd. Ze czterdzieści aut, na ogół czarnych lub ciemnoniebieskich. Nowe sedany lub wielkie terenówki. Taksówka skręciła w podjazd. Samochody parkowały zderzak w zderzak aż

do samego domu. Jeszcze dziesięć lub dwanaście wozów stało przed garażem. Reacher dostrzegł dwa zielone sedany z Detroit. Wojsko. Reacher potrafił wyczuć ślady Departamentu Obrony z odległości kilometra.

— Okay? — spytała kobieta.

— Chyba tak — ostrożnie potwierdził.

Odliczył ze zwitka pięćdziesiąt dolarów, zapłacił i wysiadł. Stał przez chwilę na podjeździe, zastanawiając się, co zrobić. Usłyszał, jak taksówka jęczy na wstecznym biegu. Reacher wrócił na drogę, spojrzął na samochody i przyjrzał się skrzyni pocztowej. Zauważył przymocowaną do niej aluminiową tabliczkę z nazwiskiem Garber. Nazwiskiem, które znał równie dobrze jak własne.

Dom stał na dużej działce. Wygląd otoczenia oscylował gdzieś między naturalnością i zaniedbaniem. Budynek był niski i rozległy, z ciemnymi ścianami z cedru, ciemnymi okiennicami wysokimi kamiennymi kominami; było to skrzyżowanie skromnej willi na przedmieściach i przytulnego domu na wsi. Wokół panowała cisza, powietrze pachniało wilgocią. Reacher słyszał szmer owadów w trawie. Za domem płynęła rzeka; wszystkie dźwięki spływały na południe szerokim na kilometr pustym korytarzem.

Gdy Reacher podszedł bliżej, usłyszał dochodzące zza domu odgłosy rozmów. Ludzie mówili cicho, ale chyba było ich tam wielu. Ruszył w tamtym kierunku, obchodząc dom po strone garażu. Po chwili znalazł się na górnym podejściu betonowych schodów prowadzących do ogrodu. W dali widać było niebieską, błyszczącą w słońcu rzekę. Półtora kilometra dalej, nieco w prawo, na drugim brzegu ciągnął się kampus West Point. Lekka mgła nad wodą sprawiała, że zarysy budynków wydawały się rozmyte.

To nie był ogród, tylko płaski trawnik sięgający do urwiska nad rzeką. Na krótko skoszonej trawie stali w niewielkich grupkach ludzie. Wszyscy byli podobnie ubrani — czarne garnitury i krawaty, białe koszule, czarne suknie, czarne poń-czochy. Kilku oficerów w galowych mundurach. Rozmawiali przyciszonymi głosami, trzymając w rękach talerzyki i kieliszki z winem. Wszyscy byli poważni i zasmuceni.

Pogrzeb. Reacher przyjechał bez zaproszenia na stypę. Stał na podejściu, wyraźnie widoczny na tle nieba, w ubraniu, które nosił poprzedniego dnia w Keys: wyblakłych džinsach, pomiętej żółtej koszuli, bez skarpetek, w starych sandałach, ze spłowiałymi włosami sterczącymi na wszystkie strony, nieogolony. Nagle, tak jakby klasnął, wszyscy przerwali rozmowy i spojrzeli na niego. Zamarł. Ludzie patrzyli pytająco.

Rapacka cisza. Wszyscy znieruchomieli. Po chwili jakaś kobieta podała kieliszek i talerzyk najbliższej osobie i mszyła w jego kierunku.

Wyglądała na jakieś trzydzieści lat; tak jak wszyscy miała na sobie czarną suknię. Była blada i wyczerpana, ale mimo to wydawała się piękna. Boleśnie piękna. Bardzo szczupła, wysoka, co podkreślały szpilki. Długie nogi w przejrzystych, ciemnych nylonach. Jasne włosy, długie i luźne. Niebieskie oczy, delikatne kości. Przecięta z wdziękiem trawnik i zatrzymała się na dole schodów, tak jakby oczekiwała, że on zejdzie.

— Cześć, Reacher — powiedziała cicho.

Spojrzał na nią. Wiedziała, kim jest. On również wiedział, kim jest kobieta. Miał wrażenie, że w jednej chwili przewinął się przed jego oczami film z zapisem piętnastu lat życia. W ułamku sekundy nastolatka dojrzała i zmieniła się w piękną kobietę. Garber, nazwisko na skrzynce pocztowej. Leon Garber był przez wiele lat jego dowódcą. Przypomniał sobie, jak się poznali podczas pikników na podwórku w gorące wieczory na Filipinach. Szczupła dziewczynka wyłaniająca się z cieni wokół ponurego domu w bazie. W wieku piętnastu lat była już na tyle kobietą, żeby przyciągać wzrok, ale jeszcze na tyle dziewczyną, żeby wszelkie myśli o niej były całkowicie zakazane. Jodie, córka Garbera. Jego jedyne dziecko. Światło jego życia. To Jodie Garber po piętnastu latach, dojrzała i piękna, czekała na niego na dole schodów. Reacher spojrzął na tłum i szybko zszedł na trawnik.

— Cześć, Reacher — powtórzyła Jodie.

Mówiła cicho i z napięciem, smutnym głosem. Tak smutnym jak cała scena.

— Cześć, Jodie — odpowiedział.

Chciał spytać, kto zmarł, ale nie potrafił znaleźć słów, które nie zabrzmiałyby bezwzględnie lub głupio. Jodie zauważyła jego kłopoty.

— Tata — wyjaśniła jednym słowem.

— Kiedy? — spytał.

— Pięć dni temu. Chorował od paru miesięcy, ale koniec nastąpił nagle. To było zaskoczenie.

— Bardzo mi przykro — powiedział, skłaniając głowę.

Reacher popatrzył w stronę rzeki. Miał wrażenie, że zamiast setek twarzy widzi sto twarzy Leona Garbera. Niski, krępy, twardy mężczyzna. Szeroki uśmiech, gdy był szczęśliwy, zirytowany lub coś mu groziło. Odważny psychicznie i fizycznie. Wspaniały dowódca. Na wskroś uczciwy, bezstronny, wrażliwy. Był wzorem dla Reachera w okresie kształtowania się jego charakteru. Mentorem i protektorem Garber wyszedł ze skóry, żeby załatwić mu dwukrotny awans w ciągu osiemnastu miesięcy, dzięki czemu Reacher został najmłodszym majorem w czasie pokoju. Potem rozłożył szeroko ręce i z uśmiechem zapewnił go, że to bynajmniej nie on się o to postarał.

— Bardzo mi przykro, Jodie — powtórzył Reacher. Kiwnęła głową w milczeniu.

— Nie mogę w to uwierzyć — dodał. — Widziałem go niecały rok temu. Był w dobrej formie. Zachorował?

Jodie znowu przytaknęła ruchem głowy, — Przecież zawsze był taki silny. — To prawda — westchnęła Jodie. — Zawsze był twardy. — I wcale nie był stary. — Miał sześćdziesiąt cztery lata. — Co się stało?

- Serce — wyjaśniła. — W końcu to go wykończyło, pamiętasz, jak zawsze udawał, że nie ma serca? — Nigdy nie spotkałem człowieka o większym sercu, — Też się o tym przekonałem. Po śmierci mamy przez dziesięć lat byliśmy najbliższymi przyjaciółmi. Kochałam go.

— Też go kochałem — wyznał Reacher. — jak jakby był moim ojcem.

- Tata ciągle o tobie mówił.

Reacher odwrócił wzrok. Wpatrywał się w niewyraźne, szare zarysy budynków West Point. Był oszołomiony. Wszedł już w wiek, w którym zaczynają umierać znajomi. Jego matka nie żyła, to samo ojciec i brat. Teraz stracił kogoś, kto był najlepszym substytutem krewnego.

- Przeszedł zawał sześć miesięcy temu - powiedziała Jodie. Miała zamglone oczy. Odgarnęła długie włosy za uszy. — Wdawało się, że wrócił do sił, dobrze wyglądał, ale w rzeczywistości jego stan szybko się pogarszał. Lekarze zastanawiali się nad bypassem, ale sprawy potoczyły się zbyt szybko. Nie przeżyłby operacji.

- Bardzo mi przykro — powtórzył Reacher trzeci raz. Jodie stanęła obok niego i wsunęła mu rękę pod ramię.

— Nie myśl tak. On zawsze był zadowolony z życia. Lepiej, że długo się nie męczył. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby był szczęśliwy, gdyby ten stan się przedłużył.

Reacher przypomniał sobie starego Garbera. Zawsze był w ruchu, zawsze się czymś zajmował, był prawdziwym wulkanem energii. Inwalidztwo byłoby dla niego koszmarem. Stare, przepracowane serce w końcu nie wytrzymało obciążenia. Pokiwał ze smutkiem głową.

— Chodź, przywitasz się z gośćmi — powiedziała Jodie. — Pewnie niektórych znasz.

- Nie jestem odpowiednio ubrany — zaprotestował, — Czuję się niezręcznie. Powinienem już iść.

- To nie ma znaczenia — zapewniła go. — Myślisz, że tata przejmowałby się czymś takim? Garber zawsze chodził w mundurze polowym i starym kapeluszu. Reacher służył pod jego dowództwem trzynaście lat. Przez ten czas Garber był najgorzej ubranym oficerem w całej armii. Jack uśmiechnął się przelotnie.

- Przypuszczam, że mało by go to obchodziło.

Jodie poprowadziła go przez trawnik. Z setki gości Jack znał niewiele osób. Spotkał już kiedyś obecnych tu oficerów. Pracował także na zlecenie kilku mężczyzn w garniturach. Przywitał się z kilkunastoma osobami i próbował zapamiętać ich nazwiska, ale wlatywały mu jednym uchem, a wylatywały drugim. Wszyscy wrócili do rozmów, jedzenia i picia. Stopniowo zapomnieli o jego niespodziewanym pojawieniu się na stypie. Jodie wciąż trzymała go za ramię. Czuł chłodny dotyk jej ręki.

— Szukam kogoś — przypomniał sobie. — Dlatego tu przyjechałem.

— Wiem — odpowiedziała Jodie. — Pani Jacob, prawda? Kiwnął głową.

— Czy ona tu jest? — spytał.

— To ja — odparła Jodie.

• • •

Dwaj mężczyźni w czarnym tahoe wycofali się z linii samochodów i odjechali spod przewodów elektrycznych, żeby telefon działał bez zakłóceń. Kierowca wybrał numer. Usłyszeli dzwonek telefonu. Po chwili o sto kilometrów i osiemdziesiąt osiem pięter stąd ktoś podniósł słuchawkę.

— Mamy problemy, szefie — poinformował kierowca. — Tu się odbywa jakaś uroczystość, stypa czy coś takiego. Ze stu gości kręci się wszędzie. Nie mamy szans na złapanie pani Jacob. Nie wiemy nawet która to. Jest tu kilkadziesiąt kobiet, może nią być każda z nich.

W głośniku rozległo się mruknięcie Hobięgo.

— Coś jeszcze?

— Pamięta pan tego faceta z baru w Keys? Właśnie tu przyjechał taksówką. Dziesięć minut po nas. Od razu wszedł.

Głośnik zatrzeszczał, ale Hobie nic nie powiedział.

— Co mamy robić? — spytał kierowca.

— Róbcie swoje. Może schowajcie gdzieś samochód i poczekajcie, aż wszyscy wyjdą. O ile wiem, to jej dom. Może Horn rodzinny lub weekendowy. Gdy wszyscy wyjdą pani Jacob zostanie. Nie wracajcie tu bez niej, rozumiano?

— A co z tym wielkim facetem?

— Jeśli wyjdzie, dajcie mu spokój. Jeśli zostanie, sprzątnijcie go. Macie przywieźć mi tę Jacob.

• • •

— Ty jesteś panią Jacob? — zdziwił się Reacher, Jodie Garber pokiwała głową.

— Jestem, a raczej byłam — odparła. — Rozwiodłam się, ale zachowałam nazwisko ze względu na pracę,

- Kim był twój mąż?

— Prawnikiem, tak jak ja — odpowiedziała, wznosząc ramionami. — To małżeństwo wydawało mi się niezłym

— Jak długo przetrwało?

— Trzy lata, od początku do końca. Poznaliśmy się na studiach, wzięliśmy ślub, gdy zaczęliśmy pracować. Ja zostałam na Wall Street, a on parę lat temu przeniósł się do kancelarii w Waszyngtonie. Małżeństwo do niego nie pasowało, po prostu stopniowo się rozpadło. Jesienią załatwiliśmy rozwód. Już prawie go nie pamiętam. Zostało nazwisko. Alan Jacob.

Reacher stał na nasłonecznionym trawniku i patrzył na nią. Uświadomił sobie, że wiadomość o jej małżeństwie sprawiła mu przykrość. W wieku piętnastu lat była szczupłą, lecz przepiękną dziewczyną, niewinną, nieco nieśmiałą, niekiedy pewną siebie. Obserwował, jak ciekawość walczy w niej z nieśmiałością, gdy zbierała odwagę, żeby zacząć z nim rozmowę o życiu i śmierci, dobru i złu. Kręciła się, podciągała chude nogi pod siebie i zmieniała temat rozmowy na kwestie miłości, seksu, związków między mężczyznami i kobietami. Rumieniła się i po chwili uciekała. On zostawał sam, czuł w środku lód, zauroczony i zły na siebie z tego powodu. Po kilku dniach wpadali na siebie gdzieś w bazie i Jodie się rumieniła. Teraz,

piętnaście lat później, była dojrzałą kobietą, skończyła prawo, wyszła za mąż, rozwiodła się. Była piękna, spokojna i elegancka. Stali na podwórku domu jej zmarłego ojca. Trzymała go pod rękę.

— A ty jesteś żonaty? — spytała.

— Nie. — Reacher pokręcił głową.

— Ale jesteś szczęśliwy?

— Zawsze jestem szczęśliwy — oświadczył. — Zawsze byłem i zawsze będę.

— Co robisz?

— Niewiele — odrzekł, wzruszając ramionami. Reacher popatrzył nad jej głową na zgromadzonych gości

Poważni ludzie zajmujący się ważnymi sprawami, robiący karierę, systematycznie posuwający się od A do Z. Patrzył w

nich i myślał, kto jest głupcem, on czy oni. Przypomniat sobie wyraz twarzy Costella.

— Ostatnio byłem w Keys — powiedział. — Kopałem szpadlem baseny.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Spróbowała ucisnąć jego przedramię, ale miała za małą dłoń, a jego ramię było zbyt grube. Poczuł lekki nacisk jej dłoni.

— Costello cię tam znalazł? — spytała.

Znalazł mnie, żeby zaprosić mnie na pogrzeb, pomyślał.

— Musimy o nim porozmawiać — odrzekł.

— Zna się na swojej robocie, prawda?

Za słabo, pomyślał Jack. Jodie podeszła do gości, którzy czekali, żeby raz jeszcze złożyć jej kondolencje. Wino podziałało na nich rozluźniająco. Mówili głośniej, stawali się sentymentalni. Reacher udał się na patio, gdzie stał nakryty białym obrusem stół z jedzeniem. Nałożył na tekturowy talerz kurczaka na zimno i ryż, nalał sobie szklankę wody. Na patio stały stare meble ogrodowe, z których inni nie korzystali z powodu niewielkich, szarozielonych śmieci botanicznej natury, pochodzących z najbliższego drzewa. Parasol przeciwsłoneczny był sztywny i spłóviały. Reacher schował się pod nim i usiadł na brudnym krześle.

Jedząc, przyglądał się gościom. Nie mieli ochoty wyjść. Wyczuwał sympatię do zmarłego.

Stary Leon Garber wzbu-dzał pozytywne uczucia. Raczej nie skłaniał ludzi do wyrastania ich bezpośrednio, dlatego musieli uczynić to teraz. Jodie krążyła wśród gości, ścisła rękę,

uśmiechała się ze smutkiem. Wszyscy mieli do opowiedzenia jakąś anegdotę o tym, jak za szorstką powłoką zewnętrzną jej ojca kryło się złote serce. On też mógłby opowiadać. Nie chciał tego robić, ponieważ Jodie sama wiedziała, że jej ojciec był dobrym człowiekiem.

Wiedziała to. Poruszała się z uroczys-tym spokojem córki, która kochała starego całe życie, a on kochał ją. Powiedziała mu wszystko, co powinna, on powiedział jej wszystko, co powinien. Ludzie żyją, a potem umierają. Jeśli czynią jedno i drugie właściwie, to nie trzeba żałować.

• • •

Znaleźli odpowiednie miejsce przy tej samej drodze. To był niewątpliwie weekendowy dom, teraz zamknięty i pusty. Zaparkowali tahoe za garażem, przodem do wyjazdu. Z drogi nikt nie mógł go zobaczyć, natomiast oni mogli w każdej chwili szybko odjechać. Wyciągnęli ze schowka pistolety kalibru 9 milimetrów i schowali je do kieszeni. Ruszyli do domu pani Jacob, ale nie szli drogą, tylko przez las.

To nie był łatwy spacer. Choć byli tylko sto kilometrów na północ od Nowego Jorku, równie dobrze mogli się znaleźć w dżungli na Borneo. Grzęźli w krzakach, witki uderzały ich po rekach i twarzach. Gałęzie liściastych drzew zwieszały się nisko nad ziemią, zagradzając im drogę. W końcu byli zmuszeni po przedzierania się tyłem. Gdy wreszcie dotarli do podjazdu Garberów, ciężko dyszeli usmarowan i mchem i zielonym pyłem. Ukryli się w rowie w pobliżu drogi, skąd widzieli ścieżkę prowadzącą na tyły domu. Ludzie już wychodzili, stypa zbliżała się do końca.

Stopniowo stawało się oczywiste, która kobieta to pani Jacob. Jeśli Hobie miał rację, że to jej

dom, musiała nią być szczupła blondynka, która żegnała się ze wszystkimi wychodzącymi gośćmi. Oni odjeżdżali, ona zostawała. To na pewno pani Jacob. Uważnie ją obserwowali. Była w centrum uwagi, dzielnie się uśmiechała, obejmowała znajomych, machała ręką. Ludzie szli do samochodów pojedynczo, dwójkami, później w większych grupach. Zapalali silniki. Przed domem unosiła się już niebieska chmura dymu. Dwaj mężczyźni ukryci w rowie słyszeli skrzypienie kół, biegów i układu kierowniczego, gdy goście usiłowali wyjechać spośród ciasno zaparkowanych wozów. Co chwila słyhać było głośny warkot, gdy kolejny samochód przyśpieszał i znikał. Zadanie wydawało się proste. Już wkrótce pani Jacob zostanie sama, będzie zmęczona i przygnębiona. Mimo to odwiedzają dwaj dodatkowi goście. Może nawet, gdy ich zobaczy, pomyśli, że to spóźnieni żałobnicy. Mieli przecież na sobie ciemne garnitury i krawaty. Strój obowiązujący w dzielnicy finansowej Manhattanu nadaje się również na pogrzeby.

• • •

Reacher przyglądał się, jak wychodzą dwaj ostatni goście. Pułkownik i dwugwiazdkowy generał, obaj w galowych mundurach. Tego się można było spodziewać. Gdy gdzieś jest darmowe jedzenie i picie, żołnierze zawsze wychodzą ostatni. Nie znał pułkownika, ale generał wydawał mu się znajomy. Miał wrażenie, że generał również go poznał, ale żaden z nich nie podjął tego tematu. Obaj nie mieli ochoty na długie i skomplikowane wyjaśnienia. Oficerowie pożegnali się z Jodie, stuknęli obcasami i zasalutowali. Sztywne ruchy z placu musztry, wyglansowane buty, nieruchome spojrzenie prosto przed siebie, wszystko to sprawiło dość dziwaczne wrażenie wśród podmiejskiej zieleni na podjeździe domu. Wsiadli do ostatniego samochodu, jaki jeszcze stał przed garażem, jednego z zielonych sedanów tuż obok domu. Pierwsi przyjechali, ostatni wychodzą. Pokój, skończyła się zimna wojna, wojsko nie ma nic do roboty. Właśnie z tego powodu Reacher był zadowolony ze zwolnienia ze służby. Gdy przyglądał się, jak zielony samochód zawraca i znika, wiedział, że ma prawo być szczęśliwy. Jodie podeszła do niego i znowu wsunęła rękę pod jego ramię.

— No, już koniec — powiedziała.

Warkot zielonego samochodu stopniowo cichł. Siedzieli w pogłębiającym się milczeniu.

— Gdzie jest pochowany? — przerwał ciszę Reacher.

— Na miejskim cmentarzu — odpowiedziała Jodie. — Oczywiście mógł wybrać Arlington, ale nie chciał. Masz ochotę tam pojechać?

— Nie, nie robię takich rzeczy — odrzekł, kręcąc głową. — Dla niego to nie ma znaczenia, prawda? Wiedział, że będę za nim tęsknił, bo sam mu to powiedziałem już dawno.

Kiwnęła głową. Trzymała go za ramię.

— Musimy porozmawiać o Costellu — przypomniał Reacher.

- Dlaczego? Przekazał ci wiadomość, tak?

— Nie. — Jack potrząsnął głową. — Znalazł mnie, ale byłem zbyt ostrożny. Nie przyznałem się, że to ja jestem Jack Reacher.

— Ale dlaczego? — zdziwiła się Jodie. Spojrzała na niego. Wzruszył ramionami.

— Kwestia zwyczaju. Nie lubię wdawać się w nie swoje Sprawy. Nazwisko Jacob nic mi nie mówiło, więc go zignorowałem. Byłem zadowolony ze spokojnego życia w Key West.

Jodie wciąż na niego patrzyła. Zapewne powinnam była użyć nazwiska Garber — powiedziała. — To przecież była sprawa taty, nie moja. Załatwiłam to jednak przez kancelarię i nawet o tym nie pomyślałam. Gdyby powiedział, że przysłał go Garber, pewnie byś się ujawnił.

— Oczywiście.

— Nie musisz się martwić, bo to nie była ważna sprawa.

— Możemy wejść do domu? — spytał.

— Dlaczego? — Jodie znowu się zdziwiła.

— Dlatego że to jednak była jakaś bardzo ważna sprawa.

• • •

Widzieli, jak wprowadza go do domu przez frontowe drzwi. Odsunęła siatkę moskitiery, którą on przytrzymał, nacisnęła klamkę i otworzyła ciężkie drewniane drzwi. Weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Kilka sekund później w oknie daleko po lewej stronie zaświeciło się słabe światło. Pewnie usiedli w jakimś salonie tak zasłoniętym nadmiernie wybujałymi roślinami, że światło było potrzebne nawet w ciągu dnia. Dwaj mężczyźni ukucnęli w wilgotnym rowie i czekali. W promieniach słońca widać było przelatujące owady. Spoglądali na siebie i nasłuchiwali, ale niczego nie słyszeli.

Wyszli z rowu na podjazd. Nisko pochyleni pobiegli do rogu garażu. Przyciskając się do ściany, podkradli się do wejścia frontowego. Wyjęli z kieszeni pistolety i trzymając je lufą w dół, po kolei przeszli przez ganek. Kucnęli po obu stronach drzwi, opierając plecy o ścianę, z pistoletami gotowymi do strzału. Skoro tędy weszła, to tędy wyjdzie. To tylko kwestia czasu.

• • •

— Ktoś go zabił? — powtórzyła Jodie.

— Prawdopodobnie również sekretarkę — dodał Reacher.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała. — Z jakiego powodu?

Jodie zaprowadziła go przez ciemny korytarz do niewielkiego pokoju na końcu domu. Małe okno, dębowa boazeria i skórzane meble sprawiały, że panował tu ponury półmrok, ale gdy Jodie zapaliła światło na biurku, pokój stał się przytulny i zaczął przypominać Reacherowi przedwojenne bary, jakie widział w Europie. Na półkach stały książki — tanie wydania kupione dziesięć lat temu. Na ścianach i półkach wisiały przypięte pineskami poskręcane, wyblakłe fotografie. Pośrodku stało zwykłe biurko — to mogło być miejsce, gdzie stary niepracujący

już mężczyzna załatwia rachunki i wypełnia zeznania podatkowe, czując się tak, jakby znowu był w pracy. — Nie wiem — odrzekł Reacher. — Niczego nie wiem. Nie wiem nawet, dlaczego kazałaś mu mnie szukać.

— Tata chciał cię odnaleźć — powiedziała Jodie. — Nigdy właściwie mi nie wyjaśnił dlaczego. Byłam zajęta, miałam skomplikowany proces ciągnący się miesiącami. Wiem tylko, że gdy zachorował, chodził do kardiologa. Spotkał tam kogoś wciągnął się w jakąś sprawę. Bardzo się nią przejmował. Miałam wrażenie, że czuł się tak, jakby był do czegoś zobowiązany. Później, gdy jego stan się pogorszył i wiedział, że będzie musiał to rzucić, zaczął mówić, iż musi cię odnaleźć i opowiedzieć ci o tym, ponieważ jesteś osobą, która być może będzie w stanie coś z tym zrobić. Bardzo się denerwował, co mu szkodziło, dlatego powiedziałam, że zatrudnię detektywa. Costello często dostawał zlecenia z naszej kancelarii. Pomyślałam przynajmniej tyle powinnam zrobić. To wyjaśnienie wydawało się sensowne, ale Reacher zadał pytanie: dlaczego akurat on? Rozumiał problem Garbera.

Prowadzi jakąś sprawą, opuszcza go zdrowie, nie chce zawieść, potrzebuje pomocy. Ale taki facet jak Garber mógł z łatwością uzyskać pomoc gdziekolwiek. Na żółtych stronach w książce telefonicznej Manhattanu jest pełno ogłoszeń agencji detektywistycznych. Jeśli sprawa była bardzo osobista lub zbyt złożona, żeby wtajemniczyć w nią obcego detektywa, Garber musiał tylko sięgnąć po telefon, a dziesięciu starych znajomych z policji wojskowej przybiegłoby mu na pomoc. Dwudziestu.

Wszyscy chcieliby zrewanżować się za liczne uprzejmości Garbera, z których korzystali w całej swej karierze wojskowej. Dlaczego zatem zależało mu na nim?

- Kim był ten człowiek, którego ojciec spotkał u kardiologa?

Jodie bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Byłam bardzo zajęta. Właściwie to nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

— Czy Costello tu przyjechał? Czy rozmawiał z ojcem? — Tak. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam, że zapłacimy

mu przez kancelarię, ale musi tu przyjechać i porozmawiać z ojcem o szczegółach.

Zatelefonował do mnie dzień lub dwa później. Powiedział, że spotkał się z ojcem i że

wszystko sprowadza się do znalezienia ciebie. Chciał mieć oficjalne zlecenie, umowę, bo liczył się z poważnymi kosztami. Oczywiście załatwiłam to, ponieważ nie chciałam, żeby tata martwił się wydatkami.

— I dlatego Costello powiedział mi, że jego klientką jest pani Jacob — odrzekł Reacher. — Nie zaś Leon Garber. Dlatego zignorowałam go i spowodowałam, że został zabity.

Jodie potrząsnęła głową i obrzuciła go ostrym wzrokiem, jakby był nowym aplikantem, który napisał kiepskie pismo procesowe. Zaskoczyła go. Wciąż myślał o niej jako piętnas-toletniej dziewczynce, nie zaś adwokatce poświęcającej większość czasu na długie i skomplikowane procesy sądowe,

- Non sequitur — stwierdziła. — Jest chyba jasne, co się stało. Tata coś opowiedział Costellowi, ten widocznie spróbował jakiegoś skrótu, zanim zaczął cię szukać, nadepnął komuś na odcisk i wywołał alarm. Ten ktoś zabił go, żeby dowiedzieć

się, kogo i dlaczego szukał. Nie ma znaczenia to, że nic u

nie powiedziałaś. Oni i tak dopadliby Costella, żeby zapytać go, kto zlecił mu sprawę. Zatem w ostatecznej konkluzji to ja jestem odpowiedzialna za jego śmierć.

— Raczej Leon — rzekł Reacher, kręcąc głową. — Za twoim pośrednictwem.

Teraz Jodie pokręciła głową.

— Odpowiedzialny jest człowiek, którego tata spotkał u kardiologa. Tylko on, za pośrednictwem ojca i moim.

— Muszę go znaleźć.

— Czy teraz to ma znaczenie?

— Tak sądzę — powiedział Reacher. — Jeśli Leon czymś się martwił, to teraz ja się tym martwię. Zawsze tak samo ocenialiśmy problemy.

Jodie pokiwała głową. Szybko wstała i podeszła do półek z książkami. Wyrwała palcami pineskę i chwyciła zdjęcie. Przyjrzała się fotografii i podała ją Reacherowi.

— Pamiętasz? — spytała.

Zdjęcie pochodziło sprzed piętnastu lat. Kolory wyblakły, zmieniły się w blade pastele, tak jak na starych fotografiach na papierze Kodaka pod wpływem czasu i światła. Nad trawnikiem widać było jaskrawe niebo Manili. Po lewej stał pięćdziesięcioletni Leon Garber w pogniecionym mundurze khaki, Po prawej Reacher, dwudziestoczteroletni porucznik, wyższy dowódcy o głowę, uśmiechnięty, tryskający energią młodo-ści. Między nimi stała piętnastoletnia Jodie w letniej sukience, trzymając jedną rękę na ramieniu ojca, a drugą obejmując Reachera w pasie. Mrużyła oczy z powodu słońca i z uśmiechem pochylała się ku niemu, mocno przyciągając go do siebie. — Pamiętasz? Tego dnia ojciec kupił nikona z samowyalaczem. Pożyczył statyw i nie mógł się doczekać, kiedy wyspróbuje nowy aparat Reacher pamiętał. Zapamiętał, jak tego dnia pachniały jej włosy w gorącym słońcu Pacyfiku. Czyste, młode włosy. Pamiętał dotyk jej długiej, nagiej ręki i to, jak upominał się myślach: Stary, opamiętaj się. Ona ma dopiero piętnaście lat i jest córką twojego przełożonego.

— Ojciec mówił, że to zdjęcie rodzinne — powiedziała Jodie. — Zawsze tak je nazywał.

— Tak było — zgodził się Jack. — Byliśmy jak rodzina. Jodie przez dłuższą chwilę wpatrywała się w fotografię

z dziwnym wyrazem twarzy.

— Nie zapominaj o sekretarce Costella — odezwał się Reacher. — Na pewno wyduszą z niej nazwisko klienta. Jeśli nawet im nie powie, i tak się dowiedzą. Mnie to zajęło pół minuty i wymagało jednego telefonu. Teraz będą szukać ciebie, żeby się dowiedzieć, kto za tym stoi.

— Przecież nie wiem.

— Myślisz, że w to uwierzą?

Jodie pokręciła głową i zerknęła w kierunku okna.

— Okay, to co mam zrobić?

— Musisz stąd uciekać. To jedno jest pewne. Jesteś tu zbyt samotna, zbyt oddalona od ludzi. Masz mieszkanie w mieście?

— Oczywiście. Loft na Broadwayu.

— Masz tu samochód?

- Tak, stoi w garażu. Zamierzałam jednak zostać tu na noc. Muszę znaleźć jego testament, zając się papierkową robotą. Chciałam wyjechać jutro, wcześniej rano.

- Zrób to wszystko teraz — rzekł Reacher. — Tak szybko, jak możesz, a potem znikaj stąd.

Mówię poważnie, Jodie. Kimkolwiek są ci ludzie, z pewnością nie żartują.

Wyraz jego twarzy był bardziej przekonujący niż słowa. Jodie skinęła głową i wstała.

- Dobra, zaczniemy od biurka. Możesz mi pomóc.

Od ćwiczeń wojskowych w szkole średniej do emerytury z powodu złego stanu zdrowia Leon Garber przez pięćdziesiąt lat służył w wojsku. Wygląd jego biurka dobitnie o tym świadczył.

W górnej szufladzie leżały starannie poukładane długopisy, ołówki i linijki. W dolnych, podwójnej wysokości, wisiały pionowo teczki opatrzone starannie wypisanymi etykietami.

Podatki, rachunki za telefon, prąd, olej opałowy, ogrodnik, gwarancje na urządzenia domowe. Jedna etykieta wydawała się świeża i różniła się kolorem: TESTAMENT. Jodie

przejrzała teczki i w końcu wyciągnęła z szuflad całe

Jodie przejrzała teczki i w końcu wyciągnęła z szuflad całe harmonijki teczek. Reacher znalazł w szafie starą skórzaną walizkę. Włożyli do niej teczki, nie wyciągając dokumentów. Reacher zamknął walizkę i zabezpieczył ją pasem. Wziął do ręki leżącą na biurku starą fotografię i jeszcze raz na nią spojrzął.

— Czy to cię denerwowało? — spytał. — To, że on uważał mnie za członka rodziny?

Jodie zatrzymała się w drzwiach i pokiwała głową.

— Owszem, doprowadzało mnie to do pasji — odparła. — Pewnego dnia powiem ci dlaczego.

Reacher spojrzął na nią, ale Jodie odwróciła się i wyszła.

— Wezmę tylko swoje rzeczy! — krzyknęła z głębi korytarza. — Pięć minut, dobra?

Jack podszedł do półki i przypiął fotografię tam, gdzie wisiała. Zgasił światło i wyniósł walizkę z pokoju do holu. Zatrzymał się tam i rozejrzał. To był przytulny dom. W których momencie swojej historii został powiększony, co łatwo było dostrzec. Część pokoi tworzyła zwartą całość podporządkowaną pewnemu planowi architekta, inne natomiast wyraźnie wyglądały na przybudówki, połączone z całością wąskimi korytarzami. Dom był zbyt mały, żeby go uznać za labirynt, ale zbyt duży, żeby dało się przewidzieć rozkład. Reacher poszedł do salonu. Stąd widać było podwórko i rzekę. Siedząc przy kominku, można było patrzeć na budynki West Point na drugim brzegu. W powietrzu unosił się zapach politur. Wystrój, skromny nawet w czasach świetności, teraz był wyraźnie postarzały. Podłoga z desek, białe ściany, ciężkie meble. Stary telewizor bez odtwarzacza DVD. Książki, obrazy, fotografie. Jeden do Sasa, drugi do lasa. Nikt nie projektował tego pokoju, sam ewoluował, był wygodny. Tu żyli ludzie.

Garber pewnie kupił ten dom trzydzieści lat temu. Prawdopodobnie wtedy, gdy matka Jodie była w ciąży. Wielu ludzi tak robiło. Żonaci oficerowie często kupowali domy, na ogół blisko pierwszej bazy, gdzie służyli, lub w miejscu, które — jak przypuszczali — będzie stanowiło centrum ich życia, na przykład West Point. Domy często stały puste, podczas gdy oni służyli za granicą. Chodziło o to, żeby mieć stały punkt

w życiu, miejsce powrotu po zakończeniu służby. Miejsce, gdzie mieszkali rodziny, jeśli nie mogły im towarzyszyć lub jeśli edukacja dzieci wymagała stabilizacji.

Rodzice Reachera nie poszli tą drogą. Nigdy nie kupili domu. Reacher zawsze mieszkał w służbowych bungalowach lub koszarach, a później w tanich motelach. Dotąd był pewny, że nie pragnie niczego innego. Nie odczuwał potrzeby posiadania domu. Bał się związanego z tym zaangażowania. To przygniotłoby go tak, jak teraz ciążyła mu walizka. Rachunki, podatki od nieruchomości, ubezpieczenie, gwarancje, naprawy, konserwacja, decyzje — nowy dach czy nowy piec, wykładzina czy dywan, budżet. Praca w ogrodzie. Podszedł do okna i spojrzął na trawnik. To był świetny przykład jałowości tego zajęcia. Najpierw marnujesz czas i

pieniądze, żeby trawa wyrosła, a później marnujesz czas i pieniądze na jej koszenie. Przeklinasz, gdy rośnie zbyt bujnie, i martwisz się, gdy nie chce wyrosnąć. Przez całe lato wydajesz pieniądze na podlewanie, a jesienią na nawożenie. \Szałeństwo. Jeśli jakiś dom mógł go skłonić do zmiany zdania, to chyba tylko dom Garbera. Był taki niedbały, nie-wymagający. Wyglądał tak, jakby świetnie trwał w stanie łagodnego zaniedbania. Reacher potrafił sobie wyobrazić, że tutaj mieszka. No i wspaniały widok. Tuż obok płynął potężny Hudson, dając poczucie pewności i harmonii. Stara rzeka się nie zmieniała, od wieków toczyła wody swym korytem, niezależnie od tego, jakie domy pojawiały się na jej brzegach.

- No, jestem gotowa! — zawołała Jodie. Stała w drzwiach salonu, ze skórzaną torbą na ubrania w ręku. Przebrała się w spłowiałe lewisy i niebieski dres ze znaczkiem firmowym, którego Reacher nie mógł odczytać. Wyszczotkowała włosy; naelektryzowane pasemka sterczały na boki. Przygładziła je ręką i odgarnęła za uszy. Dres w kolorze jej oczu kontrastował z miodową skórą. Minione piętnaście lat wcale jej nie zaszkodziły. Poszli do kuchni i zamknęli tylne drzwi. Wyłączyli wszystkie urządzenia domowe, jakie im wpadły w oko, i dokręcili krany. Wrócili do holu i otworzyli frontowe drzwi.

5

Reacher wyszedł pierwszy z kilku powodów. Normalnie puściłby Jodie przodem, ponieważ jego pokolenie jeszcze zwracało uwagę na dobre maniery, ale nauczył się, że lepiej zachować ostrożność z takimi demonstracjami rycerskości, jeśli nie wiadomo, jak kobieta na nie zareaguje. No i to był Jej dom, a nie jego, co również miało znaczenie. Musiała zamknąć drzwi na klucz. Z tych powodów pierwszy wyszedł na ganek i jego pierwszego zobaczyli dwaj zaczajeni ludzie Hobiego.

Sprzątnijcie go. Macie przywieźć mi tę Jacob, polecił im szef. Ten z lewej zdecydował się strzelać natychmiast z siedzącej pozycji. Był napięty i gotowy, toteż jego mózg potrzebował tylko ułamek sekundy na przetworzenie danych dostarczonych przez nerw wzrokowy. Poczł, jak otwierają się drzwi, zobaczył, jak odchyła się moskitiera, ktoś wychodzi na ganek, poznał potężnego faceta z Key West, więc wystrzelił.

Ten z prawej znalazł się w głupiej sytuacji. Tuż przed nosem miał napiętą na ramie moskitierę. Sama w sobie nie stanowiła żadnej przeszkody, ponieważ nylonowa gaza zagradzająca drogę owadom nie może zatrzymać pocisków, ale obracająca się rama uderzyła go w prawą rękę, gdy próbował przyjąć pozycję do strzału. Zawahał się, po czym przesunął się w bok i do przodu żeby wyjść zza moskitiery. Chwycił ramę lewą ręką, odsunął ją i złożył się do strzału.

Reacher zareagował całkowicie automatycznie i instynktownie. Miał prawie trzydzieści dziewięć lat, sięgał pamięcią trzydzieści pięć lat wstecz, ale nie przypominał sobie niczego poza służbą wojskową ojca, jego kolegów, swoją, swoich kolegów. Nie znał stabilności, nigdy nie chodził przez rok do tej samej szkoły, nigdy nie pracował od dziewiętej do siedemnastej, od poniedziałku do piątku, nigdy nie oczekiwał niczego poza atakiem z zaskoczenia. Część jego mózgu rozrosła się jak groteskowy mięsień, dlatego wydawało mu się całkowicie normalne, że teraz zobaczył na ganku dwóch mężczyzn, których poprzednio widział w odległym o pięć tysięcy kilometrów Key West, zaczajonych z dziewięćmilimetroowymi pistoletami w ręku. Nie przeżył szoku, zaskoczenia, nie poczuł lęku lub paniki. Żadnego wahania, zwłoki, blokady. Natychmiast zareagował na czysto mechaniczny problem, jaki pojawił się przed nim niczym geometryczny rysunek, lecz związany był z czasem, przestrzenią, liniami strzału, twardymi pociskami i miękkim ciałem.

Reacher trzymał w lewej ręce walizkę. Gdy przekraczał próg, walizka nabrała pędu. Teraz zrobił dwie rzeczy równocześnie. Lewą ręką wziął szeroki zamach, unosząc walizkę przed siebie, a prawą popchnął Jodie w głąb holu. Pocisk ugrzązł w walizce, a Jodie uskokczyła kilka kroków do tyłu. Reacher poczuł szarpnięcie, ale nie przerwał

mchu. Wychylił się do przodu jak nurek zastanawiający się nad skokiem do zimnej wody. Walizka uderzyła w twarz faceta po lewej. Nie zdążył wstać, był w niestabilnej pozycji, dlatego przewrócił się, potoczył po ganku i znikł ze sceny.

Reacher nie widział tego, ponieważ skupił uwagę na drugim przeciwniku, który usiłował obejść moskitierę. Musiał jeszcze obrócić się o jakieś piętnaście stopni, żeby znaleźć się w pozycji umożliwiającej strzał. Reacher wykorzystał pęd walizki, żeby rzucić się do przodu. Znalazł się obok przeciwnika, który uderzył go pistoletem w pierś. Reacher usłyszał huk wystrzału i poczuł, jak gazy wylotowe parzą jego skórę, ale pocisk przeleciał pod jego lewym ramieniem i trafił w garaż. W tym momencie Reacher uderzył napastnika łokciem w twarz. Gdy człowiek ważący sto dziesięć kilogramów rzuca się gwałtownie naprzód, a przy okazji trafia przeciwnika sztywno ustawionym łokciem, to takie uderzenie może spowodować poważne obrażenia. Reacher trafił w brodę. Fala uderzeniowa rozeszła się wzdłuż szczęki do stawu, który był dostatecznie mocny, żeby przenieść wstrząs aż do mózgu. Przeciwnik osunął się bezwładnie na ziemię. Reacher wiedział, że minie trochę czasu, nim tamten odzyska przytomność. Rama moskitiery zatrzasnęła się pod działaniem sprężyny. Ten po lewej przetoczył się po podłodze w bok, żeby podnieść pistolet. W drzwiach widać było zgietą w pół Jodie. Przyciskała ręce do piersi, usiłując złapać oddech. Stara walizka sturlała się po schodach na trawnik. - Reacher miał problem z Jodie. Stał w odległości dwóch i pół metra od niej, a między nimi był ten z lewej. Gdyby podniósł broń i złożył się w prawo, Jodie byłaby na linii strzału. Reacher popchnął nieprzytomnego przeciwnika na bok i rzucił się do drzwi. Odchylił moskitierę i wpadł do środka. Zatrzasnął drzwi i pociągnął Jodie w głąb korytarza. Usłyszał trzask automatycznego zamka i prawie jednocześnie z drzwi posypały się drzazgi — to ten z lewej wystrzelił trzy razy. Reacher chwycił Jodie i pobiegł do kuchni, — Czy możemy dostać się do garażu?

— Przez wiatę.

Był czerwiec. Wiata była całkowicie otwarta — zamiast ścian po obu stronach wisały tylko moskitiery. Ten z lewej miał berettę M9 z magazynkiem na piętnaście nabojów. Wystrzelił cztery — jeden w walizkę, trzy w drzwi. Zostało mu jedenaście, co nie było pocieszającą myślą, jeśli jedyną przegrodę między nimi miała stanowić nylonowa siatka.

— Kluczyki do samochodu?

Jodie pogrzebała w torebce i podała mu kluczyki. Reacher zacisnął je w pięści. W głębi kuchni zauważył szklane drzwi. W drugim końcu wiaty widać było identyczne drzwi do garażu.

— Czy drzwi są zamknięte na klucz?

Jodie pokiwała głową, z trudem łapiąc oddech.

— Zielony. Zielony jest do garażu.

Reacher spojrzął na pęk kluczy. Do kółka był doczepiony stary klucz yale oznaczony zielonym kolorem. Otworzył drzwi z kuchni, przyklęknął i wysunął głowę, niżej niż mógłby się spodziewać przeciwnik. Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Wybrał zielony klucz i ujął go jak miniaturową lancę. Rzucił się sprintem pod wiatę. Wcisnął klucz w otwór zamka, otworzył drzwi i machnął ręką na Jodie, żeby poszła w jego ślady. Wpadła do garażu, on zatrzasnął za nią drzwi. Przekręcił klucz i nasłuchiwał. Cisza.

W przestronnym garażu panował półmrok. Reacher dostrzegł odślonięte krokwie i szkielet ścian. W powietrzu unosił się zapach oleju i płynu do chłodnicy. W garażu było pełno różnych rzeczy — kosiarek, węży ogrodowych, leżaków, ale wszystkie wydawały się stare, tak jakby gospodarz przestał kupować nowe urządzenia dwadzieścia lat temu. Brama otwierała się do góry po metalowych prowadnicach. Żadnego elektrycznego mechanizmu. Betonowa podłoga, stara i wymięciona do czysta. Jodie miała nowego oldsmobile'a bravade, ciemnozielonego ze złotymi ozdobami. Według napisów z tyłu miał napęd na cztery koła i silnik V-6. W ich sytuacji napęd na wszystkie koła mógł się przydać, ale kluczowe znaczenie miało to, czy silnik natychmiast zapali.

— Połóż się na podłodze z tyłu — szepnął Reacher. — Okay? Jodie weszła na czworakach do

samochodu i położyła się na płask na osłonie wału napędowego. Reacher znalazł klucz do bramy garażu. Uniósł ją, wyrzucił na zewnątrz i przez chwilę nasłuchiwał. Żadnych mchów, żadnych dźwięków. Wrócił do samochodu, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Przesunął elektrycznie sterowany fotel do samego końca.

— Zaraz wracam — szepnął.

Garber trzymał narzędzia równie pedantycznie uporządkowane jak dokumenty i długopisy. Na ścianie wisiała tablica z hakami dostosowanymi do wszystkich podstawowych narzędzi. Reacher wybrał ciężki młotek stolarski. Podeszedł do bramy i cisnął młotek ponad dachem domu, tak aby wylądował w krzakach od frontu. Policzył do pięciu, żeby dać przeciwnikowi czas na dobiegnięcie do krzaków z miejsca, gdzie się ukrył, po czym pognął do samochodu. Stojąc, przekręcił klucz.

Silnik zapalił za pierwszą próbą. Reacher znowu podbiegł do bramy i otworzył ją do samej góry. Wskoczył za kierownicę, wrzucił wsteczny i nacisnął pedał gazu. Wszystkie cztery koła zapisały po czym wgryzły się w beton i samochód wystrzelił z garażu. Reacher zauważył faceta z berettą daleko po lewej, na trawniku przed frontowymi drzwiami. Obrócił się i spojrzał w ich kierunku. Reacher gwałtownie przyśpieszył. Oldsmobile wyjechał tyłem na drogę. Jack zahamował, wrzucił jedynkę

i wystartował, pozostawiając za sobą dym wydobywający się spod opon.

Przejechał na pełnym gazie pięćdziesiąt metrów, po czym łagodnie wyhamował tuż za podjazdem do domu sąsiadów.

rzucił wsteczny i powoli wjechał na podjazd, między drzewa, gasił silnik. Jodie wstała z podłogi i spojrzała na niego. — Do diabła, co my tu robimy? — spytała. — Czekamy. — Na co?

— Aż oni sobie pojadą.

Jodie wzięła głęboki oddech. Była równie oburzona, co zaskoczona.

— Nie będziemy tu czekać, Reacher. Jedziemy prosto na Policję.

Jack przekręcił kluczyk, żeby włączyć prąd. Otworzył okno i uważnie nasłuchiwał.

— Nie mogę iść na policję — powiedział, nie patrząc na nią.

— Dlaczego, do cholery?

— Bo będą podejrzewali, że zabiłem Costella.

— Ale go nie zabiłeś.

— Myślisz, że natychmiast mi uwierzą?

- Będą musieli uwierzyć, bo naprawdę tego nie zrobisz. To proste.

- Zajmie im trochę czasu, nim znajdą kogoś, kto będzie wyglądał na lepszego kandydata na mordercę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że ze wszystkich możliwych względów pędzcie lepiej, jeśli spróbuję trzymać się daleko od policji.

Jodie pokręciła głową. Jack widział to w lusterku wstecznym.

- Nie, Reacher, musimy w tej sprawie skontaktować się z policją Jack patrzył jej w oczy w lusterku.

— Pamiętasz, co często powtarzał Leon? Lubił powtarzać: Do diabła, ja jestem policjantem.

— No, rzeczywiście był policjantem, tak jak ty. To jednak było już dość dawno.

— Nie tak bardzo dawno, w każdym razie dla niego i dla mnie.

Jodie przez chwilę milczała. Przesunęła się do przodu, w jego stronę.

— Ty nie chcesz iść z tym na policję, prawda? To o to chodzi. Nie o to, że nie możesz, tylko że nie chcesz.

Reacher odwrócił się na fotelu, tak aby mógł na nią spojrzeć. Jodie patrzyła na długą, ciemną

plamę na jego koszuli, utworzoną przez spalony materiał, sadzę i cząstki prochu. Rozpiął guziki i rozchylił poły koszuli. Na skórze miał taką samą plamę. Widać było spalone, poskręcane włosy i nabrzmiewający, czerwony pęcherz. Polizał kciuk i przycisnął pęcherz. Skrzywił się.

— Zadarli ze mną, sam się z nimi policzę.

— Trudno mi uwierzyć własnym uszom — odpowiedziała, patrząc na niego. — Jesteś równie niemożliwy jak mój ojciec. Powinniśmy zawiadomić policję, Reacher.

— Nie mogę — powtórzył. — Wsadzą mnie do więzienia.

— Powinniśmy to zrobić.

W jej głosie zabrakło przekonania. Reacher pokręcił głową i nic nie powiedział. Patrzył na nią uważnie. Była prawnikiem, ale była też córką Leona i wiedziała, jak toczą się sprawy w rzeczywistym świecie. Milczała przez dłuższą chwilę, po czym bezradnie wzruszyła ramionami. Przycisnęła dłoń do mostka, jakby ją coś bolało.

— Nic ci nie jest? — spytał.

— Zdrowo mnie walnąłeś — odparła. Mógłbym cię rozmasować, pomyślał Reacher.

— Kim oni są? — spytała.

— To ci dwaj zabili Costella.

Kiwnęła głową i ciężko westchnęła. Popatrzyła w prawo i w lewo.

— Dokąd jedziemy?

Reacher się rozluźnił. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— A gdzie na pewno nie będą nas szukać?

Jodie wzruszyła ramionami. Oderwała rękę od piersi i przygładziła włosy.

— Manhattan? — powiedziała.

— Dom Leona — odrzekł. — Widzieli, jak uciekliśmy. Nie spodziewają się, że zawrócimy.

— Jesteś wariatem, wiesz?

— Musimy odzyskać walizkę. Być może Leon zostawił jakieś notatki.

Jodie była wyraźnie oszołomiona.

— No i musimy znowu zamknąć dom. Nie możemy zostawić otwartego garażu, bo natychmiast zagnieżdżą się w nim szopy. Będziemy mieli całą rodzinę tych łajdaków.

Reacher uniósł rękę. Przyłożył palec do ust. Oboje usłyszeli warkot zapalnego silnika.

Pewnie duży V-8 w odległości dwustu

metrów. Chrząst żwiru na podjeździe pod ciężarem dużych opon. Wzrost obrotów. Po chwili zobaczyli przejeżdżający drogą ciemny samochód. Duży czarny wóz terenowy z aluminiowymi felgami. Yukon lub tahoe, zależnie od tego, czy z tyłu ma napis GMC czy Chevrolet. W środku dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach. Jeden za kierownicą, drugi rozwalony na fotelu. Reacher wychylił głowę przez okno i nasłuchiwał. Warkot silnika stopniowo cichł. Napastnicy pojechali w stronę miasta.

• • •

Chester Stone czekał w swoim gabinecie ponad godzinę, po czym zadzwonił do dyrektora do spraw finansowych i kazał mu sprawdzić stan rachunku bieżącego w banku. Pięćdziesiąt minut wcześniej na konto wpłynęła wpłata w wysokości miliona stu tysięcy dolarów z położonego na Kajmanach biura firmy powierniczej zarejestrowanej na Bahamach.

- Są pieniądze - potwierdził dyrektor. - Udało się panu, szefie.

Stone zacisnął palce na słuchawce. Nie był pewny, co takiego mu się udało.

— Zejdę na dół — powiedział. — Chcę jeszcze raz spojrzeć na liczby.

— Liczby są w porządku — zapewnił go dyrektor do spraw finansowych. — Niech się pan nie martwi.

— Zaraz będę u pana — odrzekł Stone.

Zjechał windą dwa piętra i wszedł do luksusowego gabinetu dyrektora. Wprowadził hasło i

otworzył tajny arkusz kalkulacyjny. Dyrektor podał nowy stan rachunku bieżącego. Po chwili komputer przeliczył wszystko i przedstawił przewidywany stan finansowy po upływie sześciu tygodni.

— Widzi pan? — rzucił zadowolony dyrektor do spraw finansowych. — Bingo.

— A co z oprocentowaniem? — spytał Stone.

— Jedenaście patyków tygodniowo przez sześć tygodni? Dość drogo, prawda?

— Damy radę spłacić?

— Na pewno — dyrektor do spraw finansowych nie miał wątpliwości. — Jesteśmy winni dwóm dostawcom siedem-

dziesiąt trzy tysiące. Mamy pieniądze. Jeśli zgubimy faktury i poprosimy ich, żeby przysłali je ponownie, uwolnimy na chwilę gotówkę. — Wskazał palcem na kolumnę z danymi o fakturach do zapłacenia. — Siedemdziesiąt trzy tysiące, minus sześć razy jedenaście tysięcy, zostaje siedem. Starczy, żeby kilka razy pójść na kolację.

— Przelicz to jeszcze raz — polecił Stone. — Sprawdź dokładnie.

Dyrektor do spraw finansowych spojrział na niego krytycznie, ale wykonał polecenie. Odjął z konta milion sto tysięcy i na rachunku pojawił się dług. Wprowadził milion sto tysięcy ponownie i wyszedł na równo. Zlikwidował przewidywane wypłaty za faktury, odjął po jedenaście tysięcy za każdy tydzień w ciągu półtora miesiąca i wyszło mu, że za sześć tygodni powinni być siedem tysięcy dolarów na plusie.

— Blisko — powiedział. — Ale po właściwej stronie.

- Jak spłacimy kredyt? — spytał Stone. — Za sześć tygodni musimy mieć milion sto tysięcy

— Nie ma problemu. Wszystko już zaplanowałem. Będziemy mieli pieniądze w porę. - Pokaż mi skąd.

- Dobra, widzi pan? — Dyrektor wskazał kolumnę z przewidywanymi wpłatami od klientów.

— Ci dwaj hurtownicy są nam winni dokładnie milion sto siedemdziesiąt trzy tysiące, co pokryje spłatę kredytu i tych dwóch faktur. Mają zapłacić równo za sześć tygodni.

— Zapłacą punktualnie?

— Dotychczas zawsze płacili — odrzekł dyrektor, wzruszając ramionami. Stone wpatrywał się w ekran. — Sprawdź jeszcze raz.

— Niech się pan nie denerwuje, szefie. Wszystko się zgadza. — Zrób to, dobrze?

Dyrektor kiwnął głową. Ostatecznie to była firma Stone'a. Przeliczył wszystko ponownie od początku do końca. Wynik był

dokładnie taki sam jak przedtem. Milion sto tysięcy od Hobiego błyskawicznie znikł w zamieci wypłat pensji dla zwalnianych pracowników, dwaj dostawcy głodowali, oprocentowanie zostało spłacone, hurtownicy zapłacili, Hobie dostał z powrotem swój milion sto tysięcy, dostawcy otrzymali pieniądze z opóźnieniem, firma była siedem tysięcy dolarów do przodu. — Niech się pan nie denerwuje — powtórzył. — Będzie dobrze.

Stone patrzył na ekran i myślał, czy za te siedem tysięcy dolarów Marilyn poleci do Europy. Pewnie nie. Na pewno nie na sześć tygodni. Zdenerwuje się. Zacznie pytać, dlaczego on chce, żeby wyjechała. Będzie musiał jej powiedzieć. Marilyn była bardzo bystra. Na tyle bystra, że zawsze potrafiła z niego wszystko wyciągnąć, tak czy inaczej. A wtedy nie zgodzi się polecieć i przez sześć tygodni ona również nie będzie mogła zasnąć.

• • •

Walizka leżała na trawniku przed domem. Ha jednej ściance widać było otwór wlotowy pocisku. Drugiej dziury nie było. Pocisk przebił ściankę z grubej tektury pokrytej skórą, ale ugrzązł w papierach. Reacher uśmiechnął się i zaniósł walizkę do garażu, gdzie czekała Jodie. Zostawili samochód na asfaltowym placu przed garażem i wrócili do domu tą samą drogą, którą wyszli. Zamknęli za sobą bramę, weszli pod wiatę, zamknęli na klucz drzwi garażu i udali się do kuchni. Tu również zamknęli drzwi na klucz. Na podłodze leżała porzucona torba Jodie z ubraniami. Reacher zaniósł walizkę do salonu. Tu było więcej miejsca i światła niż w gabinecie Leona.

Otworzył walizkę i wyrzucił teczki na podłogę. Spomiędzy papierów wypadł pocisk. Standardowy nabój parabellum, dzie-więriomilimetrowy, z pełnym miedzianym płaszczem i trochę spłaszczonym czubkiem po uderzeniu w walizkę, ale poza tym bez żadnych charakterystycznych znaków. Pocisk zatrzymał się w papierach po pokonaniu jakichś czterdziestu centymetrów.

Widać było ślad przecinający połowę teczek. Zważyć nabój w dłoni. W tym momencie dostrzegł w drzwiach Jodie i rzucił go jej. Złapała pocisk jedną ręką.

— Pamiętka — powiedział.

Jodie podrzuciła kilka razy kulę, tak jakby była gorąca, po czym cisnęła ją do kominka. Uklękła obok Reachera na dywanie, przed stertą papierów. Poczł zapach jej perfum, subtelny i kobiecy. Miała na sobie za luźną, bezkształtną bluzę dresową, która jednak podkreślała jej figurę. Rękawy kończyły się w połowie dłoni, niemal sięgały palców. Lewisy były obciste na biodrach, ale miały luźne nogawki. Wydawała się krucha i delikatna, lecz Jack pamiętał, jak silne ma ramiona. Szczupłe, ale mocne. Gdy pochyliła się nad teczkami, włosy opadły jej na oczy. Reacher poczuł zapach, który pamiętał od piętnastu lat.

— No to czego szukamy? — spytała.

— Przypuszczam, że dowiemy się, jak znajdziemy — odpowiedział, wzruszając ramionami. Szukali długo, ale niczego nie znaleźli. W papierach nie było niczego ciekawego. Niczego nowego, niczego, co miałoby

znaczenie. Po prostu sterta dokumentów dotyczących domowych i osobistych, które nagle wydały się stare i żalosne, gdyż przypominały historię zakończonego życia. Najnowszym dokumentem był testament umieszczony w oddzielnej teczce w zapieczętowanej kopercie. Starannie wykaligrafowany napis wydawał się nieco chwiejny, ale tak bywa, gdy pisze człowiek, który właśnie wrócił ze szpitala po pierwszym zawale. Jodie wzięła kopertę i schowała do torby z ubraniami, którą zostawiła na korytarzu.

— Jakieś niezapłacone rachunki?! — zawołała. Jedna teczka miała etykietę SPRAWY BIEŻĄCE. Była pusta.

Niczego nie znalazłem! — odkrzyknął. — Pewnie jakieś nadejda. Czy otrzymywał rachunki co miesiąc? Jodie spojrzała na niego z uśmiechem. — Tak, co miesiąc.

Teczka z etykietą OPIEKA MEDYCZNA była wypełniona rachunkami ze szpitala i kliniki oraz zwięzłą korespondencją z firmą ubezpieczeniową. Reacher przejrzał dokumenty. — Chryste, to leczenie tyle kosztuje? Jodie wróciła do salonu i zajrzała mu przez ramię.

- Naturalnie — potwierdziła. — Czy masz ubezpieczenie? Jack spojrzał na nią z zaskoczeniem, — Myślę, że Urząd Weteranów zapewnia ubezpieczenie przynajmniej przez pewien czas po zakończeniu służby. — Lepiej to sprawdź. Upewnij się. — Przecież dobrze się czuję — odpowiedział, wzruszając ramionami.

— Ojciec też czuł się dobrze. Przez sześćdziesiąt trzy lata i sześć miesięcy.

Jodie uklękła obok niego. Miała pochmurne oczy. Jack delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

— Piekielny dzień, prawda?

Pokiwła głową i zamrugowała. Zdobyła się na słaby, ironiczny uśmiech.

- Trudno w to uwierzyć — powiedziała. — Pochowałam ojca, uciekłam przed ostrzałem morderców, złamałam prawo, nie zgłaszając tyłu przestępstw, że trudno mi je nawet zliczyć, i jeszcze rozmawiam o połączeniu sił z jakimś facetem, któremu chodzi po głowie osobista zemsta. Wiesz, co tata by na to powiedział?

— Co takiego?

Zacisnęła usta i zniżyła głos, dobrze naśladowując dobroduszny warkot Garbera.

— Zwykła codzienność, dziewczyno, zwykła codzienność. Na pewno powiedziałałby coś w tym stylu.

Reacher uśmiechnął się do niej i znowu ucisnął jej ramię. Wyciągnął ze sterty medycznych dokumentów kartkę z nagłówkiem kliniki kardiologicznej.

- Chodź, musimy znaleźć tę klinikę — rzekł.

• • •

Podczas jazdy do Nowego Jorku w tahoe trwała długa dyskusja, czy w ogóle powinni wracać. Niepowodzenie nie było słowem, które Hobie lubił słyszeć. Może lepiej byłoby, gdyby po prostu znikli. Zwyczajnie spieprzyli. To była atrakcyjna perspektywa, ale nie mieli wątpliwości, że Hobie ich znajdzie. A to już zdecydowanie nieatrakcyjna perspektywa. Wobec tego skupili uwagę na ograniczeniu strat. Wydawało się jasne, co powinni zrobić. Zatrzymali się i zabili dostatecznie dużo czasu w restauracji przy szosie numer 9. Gdy przebili się przez korki na południe Manhattanu, mieli opracowaną całą historyjkę.

— To nie była żadna łamigłówka — oświadczył jeden. — Czekaliśmy kilka godzin, dlatego jesteśmy tak późno. Kłopot polegał na tym, że tam przebywała cała grupa żołnierzy. Brali udział w uroczystości, ale mieli przy sobie broń.

— Ilu? — spytał Hobie.

— Żołnierzy? — włączył się drugi. — Kilkunastu. Może piętnastu. Stale się kręcili, trudno ich było policzyć. Coś w rodzaju warty honorowej.

— Wysła z nimi — dodał pierwszy. — Pewnie towarzyszyli jej z cmentarza do domu, a potem znowu gdzieś z nimi pojechała.

— Nie przyszło wam do głowy, żeby ich śledzić?

- Nie mogliśmy w żaden sposób — odpowiedział drugi. — Jechali powoli. Długa kolumna samochodów. Jak to na pogrzebie. Natychmiast by nas zauważyli. Przecież nie mogliśmy po prostu dołączyć się do kolumny, prawda? — A co z tym wysokim facetem z Keys? — Wyszedł wcześniej. Pozwoliliśmy mu odejść. Wypatrywaliśmy pani Jacob. Wkrótce stało się jasne która to. Goście wychodzili, ona została. Potem odjechała w towarzystwie Kołnierzy.

— I co zrobiliście?

— Sprawdziliśmy dom — powiedział pierwszy. — Był zamknięty na cztery spusty.

Pojechaliśmy zatem do miasta i sprawdziliśmy, kto jest właścicielem. Wszystkie informacje można znaleźć w bibliotece publicznej. Dom należał do nie-jakiego Leona Garbera.

Spytaliśmy bibliotekarkę, czy wie, kto to taki. Dała nam lokalną gazetę. Na trzeciej stronie był artykuł o nim. Właśnie zmarł na zawał. Wdowiec, ma jedno dziecko, córkę Jodie, była panią Jacob. Mimo młodego wieku to bardzo znana adwokatka specjalizująca się w sprawach finansowych,

partnerka w kancelarii Spencer Gulman Ricker and Talbot z Wall Street. Mieszka w Nowym Jorku na Broadwayu. I Hobie powoli pokiwał głową i postukał hakiem o blat w dziwnym rytmie.

— A kim był ten Leon Garber? Dlaczego na pogrzebie byli żołnierze?

— Generał policji wojskowej — powiedział pierwszy.

— Skończył służbę z trzema gwiazdkami. Dostał więcej orderów, niż można zliczyć. Służył czterdzieści lat, w Korei, Wietnamie, wszędzie — dodał drugi.

Hobie przestał stukać. Siedział nieruchomo, a z jego twarzy odpłynęła krew. Od białej skóry wyraźnie odcinały się różowe blizny po oparzeniach.

— Generał policji wojskowej — powtórzył cicho. Przez dłuższą chwilę milczał, wpatrując się w przestrzeń. Podniósł hak i obrócił go przed oczami, przypatrując się, jak promienie światła przepuszczone przez żaluzje odbijają się od lśniącego metalu. Hak drżał. Hobie chwycił go lewą ręką i unieruchomił.

- Generał policji wojskowej — powiedział jeszcze raz, wpatrując się w bak. Przeniósł wzrok na dwóch mężczyzn na sofach.

— Wyjdź — polecił temu, który zaczął mówić jako drugi.

Mężczyzna wstał, zerknął na partnera, po czym wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Hobie

odepchnął fotel do tyłu i wstał. Wyszedł zza biurka. Okrążył sofę i stanął za siedzącym na niej mężczyzną. Ten zaś trwał w bezruchu, nie śmiał nawet obejrzeć się za siebie.

Facet nosił koszulę w rozmiarze czterdzieści, co oznacza, że jego szyja miała średnicę około trzynastu centymetrów, zakładając, że ludzka szyja ma kształt cylindra. Hobie zawsze przyjmował to założenie. Jego hak miał kształt sporej litery J; średnica zakrzywionej części wynosiła jedenaście centymetrów. Błyskawicznym ruchem chwycił hakiem szyję siedzącego na sofie mężczyzny. Zrobił krok do tyłu i mocno pociągnął. Facet zaczął się rzucać. Złapał palcami hak, usiłując się uwolnić. Hobie uśmiechnął się i pociągnął jeszcze mocniej. Hak był przytwierdzony do mocnego skórzanego futerału na przedramię, przymocowanego powyżej łokcia. Futerale na przedramieniu tylko stabilizowało położenie haka, natomiast ciasna obejmka, węższa niż łokieć, uniemożliwiała jego zerwanie. Hobie ciągnął za hak, aż wreszcie facet zaczął rzeźzić, a jego twarz przybrała niebieski kolor. Wtedy Hobie zwolnił nieco chwyt i pochylił się nad uchem ofiary.

- Twój kolega ma wielkiego siniaka na twarzy. Do diabła, jak się go dorobił?

Facet ciężko dyszał i gwałtownie machał rękami. Hobie obrócił nieco hak. Zmniejszył nacisk na tchawicę, ale jednocześnie dotknął czubkiem miękkiego miejsca za uchem.

— No, skąd ten siniak? — spytał ponownie. Mężczyzna na sofie wiedział, że wystarczy, aby Hobie lekko

zmienił kąt i zwiększył nacisk, a hak wbije się w szyję tuż za szczęką. Nie znał się na anatomii, ale zdawał sobie sprawę, że od śmierci dzieli go tylko dwa centymetry.

— Powiem panu — wykrztusił. — Powiem panu. Hobie nie zdjął haka z jego szyi. Poruszał nim lekko, ilekroć

facet się wahał, więc nic dziwnego, że opowiedzenie całej prawdziwej historii od początku do końca trwało tylko trzy minuty.

E— Zawiedliście mnie — oświadczył Hobie.

— Tak, ale to jego wina — wydyszał tamten. — Zaplątał się w moskitierę. Był bezużyteczny. Hobie szarpnął hak.

— W przeciwieństwie do kogo? On był bezużyteczny, a ty użyteczny?

— To jego wina — powtórzył mężczyzna. — Ja jestem przydatny.

— Będziesz musiał to udowodnić.

— Jak? — spytał, ciężko rzeźząc. — Niech pan tylko powie.

— Bardzo prosto. Możesz coś dla mnie zrobić.

- Dobrze. Spełnię każdy rozkaz. - Przyprowadź mi panią Jacob! — krzyknął Hobie.

— Dobrze! — rozpaczliwie wrzasnął facet.

— I tym razem nie spieprz roboty! — ryczał Hobie.

— Nie, nie spieprzymy, obiecuję.

Hobie znowu szarpnął hak, dwukrotnie.

— Żadne my. Tylko ty masz zrobić dla mnie jeszcze coś.

— Co takiego? — wymamrotał mężczyzna, łapiąc oddech. — Zrobię wszystko.

— Pozbądź się swego bezużytecznego partnera. Dzisiaj wieczorem na motorówce.

Mężczyzna pokiwał głową tak energicznie, jak tylko mógł, czując hak zaciskający się na szyi.

Hobie się pochylił i zdjął hak. Facet zwałił się na bok, ciężko dysząc i wymiotując.

— Masz mi przynieść jego prawą dłoń — powiedział Hobie. — Jako dowód.

• • •

Reacher i Jodie dowiedzieli się, że klinika, w której leczył się Leon, nie była samodzielną instytucją, lecz oddziałem ogromnego prywatnego szpitala służącego wszystkim mieszkańcom okręgu Putnam. Szpital mieścił się w dziesięciopiętrowym białym budynku w parku, gdzie wzniesiono także pawilony specjalistycznych klinik. Przy parkowych alejkach stały niewielkie domki, w których urządzono gabinety lekarzy i stomatologów. Ciężko chorych pacjentów przenoszono do głównego budynku. Klinika kardiologiczna była jednostką administracyjną złożoną ze zmiennej grupy lekarzy i pacjentów. Z listów Leona wynikało, że

był leczony w kilku miejscach, od oddziału intensywnej opieki medycznej na początku przez salę dla rekonwalescentów do kliniki dla pacjentów dochodzących. Na koniec trafił znowu na OIOM.

We wszystkich dokumentach szpitalnych Leona przewijało się nazwisko kardiologa, doktora McBannermana. Reacher wyobrażał go sobie jako uprzejmego starszego pana z siwymi włosami, mądrego i współczującego, zapewne szkockiego pochodzenia. Jodie powiedziała mu jednak, że w rzeczywistości to trzydziestopięcioletnia kobieta z Baltimore; spotkała się z nią kilka razy. Reacher prowadził samochód po wąskich, krętych drózkach przez park. Jodie rozglądała się na boki, szukając właściwego pawilonu. Poznała niski budynek z cegieł stojący w głębi ślepego zaułka. Jak wiele innych szpitali, i ten sprawiał wrażenie otoczonego przez antyseptyczne halo. Przed budynkiem stało sześć samochodów; Reacher zaparkował na ostatnim wolnym miejscu.

Recepcjonistką była stara gruba plotkara, która przywitała Jodie, demonstrując współczucie. Zaprosiła ich, żeby poczekali w gabinecie doktor McBannerman, na co czekający pacjenci zareagowali gniewnymi spojrzeniami. Gabinet był pomieszczeniem neutralnym, bladym i sterylnym, z leżanką do badania i dużym kolorowym przekrojem serca na ścianie za biurkiem. Jodie wpatrywała się w planszę, jakby myślała, która część w końcu zawiodła? Reacher czuł, jak jego serce, wielkie i mocne, bije o żebra. W nadgarstkach i na szyi wyczuwał pulsowanie krwi.

Czekali dziesięć minut. W końcu drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła doktor McBannerman, niezbyt urodziwa, ciemnowłosa kobieta w białym kitlu, ze stetoskopem na szyi niczym symbolem pełnionej funkcji. Wydawała się zaniepokojona.

— Jodie — powiedziała. — Jest mi bardzo przykro z powodu Leona.

To była na dziewięćdziesiąt dziewięć procent szczerą uwagę, ale tkwiła w niej również pewna obawa. Lęka się procesu o błąd w leczeniu, pomyślał Reacher. Córka pacjenta, adwokat-ka, pojawiła się w gabinecie niemal prosto z pogrzebu. Jodie również to dostrzegła i postarała się ją uspokoić. — Przyszłam, żeby pani podziękować. Była pani wspaniała od początku do końca. Nie mogliśmy sobie życzyć lepszego lekarza.

McBannerman odetchnęła. Zapomniała o niepokoju. Uśmiechnęła się do Jodie, która znowu spojrzała na planszę na ścianie. — Która część w końcu zawiodła? — spytała.

McBannerman dostrzegła, że Jodie patrzy na przekrój serca. Wzruszyła lekko ramionami.

— Hm, tak naprawdę to całe serce. To wielki, złożony mięsień, który rytmicznie pulsuje trzydzieści milionów razy w ciągu roku. Jeśli wykona prawie trzy miliardy uderzeń, czyli pije dziewięćdziesiąt lat, to mówimy, że jest stary. Gdy zawodzi po dwóch miliardach uderzeń, czyli sześćdziesięciu latach, nazywamy to przedwczesną chorobą serca. Mówimy, że to najpoważniejszy problem zdrowotny Amerykanów, ale w istocie chodzi o to, że wcześniej lub później przestaje bić.

Urwała i spojrzała na Reachera. Przez chwilę myślał, że ostrzegła jakieś niepokojące symptomy, ale natychmiast się reflektował, że lekarka po prostu oczekuje, iż się przedstawi.

— Jack Reacher — powiedział. — Byłem starym przyjacielem Leona.

McBannerman pokiwała powoli głową, tak jakby wyjaśniła się jakaś zagadka.

- Sławny major Reacher. Leon bardzo często o panu mówił.

Usiadła i popatrzyła na niego z wyraźnym zainteresowaniem. Obrzuciła wzrokiem jego twarz, a potem skupiła spojrzenie na klatce piersiowej. Reacher nie był pewny, czy wynikało to z medycznej specjalności, czy też jej uwagę przyciągnęły ślady spalenizny na koszuli.

— Czy mówił jeszcze o czymś? — spytała Jodie. — Miałam wrażenie, że czymś się martwił.

Lekarka zwróciła się do niej lekko zdziwiona, tak jakby pomyślała, że wszyscy jej pacjenci się czymś martwią, na przykład śmiercią.

— A co ma pani na myśli?

— Sama nie wiem — przyznała Jodie. — Może jakaś sprawa, w którą wciągnął go inny pacjent.

McBannerman wzruszyła ramionami. Spojrzała na Jodie tak, jakby chciała odrzucić tę sugestię, ale w ostatniej chwili coś sobie przypomniała.

— Hm, raz wspomniał o czymś. Powiedział mi, że ma nowe zadanie.

— Czy wyjaśnił, co to za zadanie? Lekarka pokręciła głową.

— Nie opowiadał mi o żadnych szczegółach. Miałam wrażenie, że początkowo go to nudziło. Odnosił się do tego z niechęcią. Tak jakby ktoś zwał na niego jakąś żmudną robotę. Później wyraźnie się tym zainteresował. Doszło do tego, że nadmiernie się przejmował. Miał kiepskie EKG, dlatego wcale nie byłam z tego zadowolona.

— Czy utrzymywał szczególnie bliski kontakt z jakimś pacjentem? — spytał Reacher. Lekarka znowu potrząsnęła głową.

— Naprawdę nie wiem. To zapewne możliwe. Pacjenci spędzają razem dużo czasu, dużo rozmawiają. To często starzy ludzie, znudzeni i samotni.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak przygana. Jodie się zaczerwieniła.

— Kiedy Leon po raz pierwszy o tym wspomniał? — szybko spytał Reacher.

— W marcu? — powiedziała McBannerman z namysłem. — Może w kwietniu? Niedługo po tym, jak został wypisany. Na krótko przed jego podróżą na Hawaje.

— Ojciec był na Hawajach? — zdziwiła się Jodie. — Nic o tym nie wiedziałam.

— Nie przyszedł na umówioną wizytę, więc spytałam go, co się stało — wyjaśniła lekarka. — Powiedział, że poleciał na kilka dni na Hawaje.

— Hawaje? Dlaczego tam poleciał, nic mi nie mówiąc?

- Nie wiem, po co tam się wybrał. - Czy Leon czuł się dostatecznie dobrze, żeby podróżować?

— spytał Reacher. McBannerman pokręciła głową.

- Nie. Zdawał sobie chyba sprawę, że to głupota. Może dlatego nic o tym nie mówił.

— Kiedy został wypisany?

— Na początku marca.

— A kiedy poleciał na Hawaje?

— Wydaje mi się, że w połowie kwietnia.

— Dobrze — powiedział Reacher. — A czy mogłaby pani dać nam listę pacjentów z tego okresu? Z marca i kwietnia. Ludzi, z którymi mógł rozmawiać.

McBannerman od razu potrząsnęła głową. - Nie. Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. To informacje poufne.

Spojrzała błagalnie na Jodie, jak lekarka na prawnika, kobieta aa kobietę. Jej oczy mówiły: Wie pani, jak to jest. Jodie pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Może mogłabym spytać recepcjonistkę? Może widziała, jak tata rozmawiał z kimś częściej niż z innymi pacjentami? To byłyby informacje pochodzące z rozmowy, nie zaś z poufnych dokumentów. Żadnych problemów z tajemnicą lekarską.

McBannerman się zorientowała, że nie ma wyjścia. Nacisnęła guzik interkomu i poprosiła recepcjonistkę do gabinetu. Kobieta zaczęła mówić, nim jeszcze lekarka skończyła formułować pytanie.

— Tak, oczywiście. Pan Garber zawsze rozmawiał z tym sympatycznym, starszym małżeństwem. Wie pani, to ten mężczyzna z niedomykalnością zastawki prawego przedsionka. Nie może już prowadzić, dlatego zawsze przywozi go żona. Tym strasznie starym samochodem. Pan Garber coś dla nich robił. Jestem tego absolutnie pewna. Ciągłe pokazywali mu stare fotografie i jakieś papiery.

— Państwo Hobie? — spytała McBannerman. — Tak, właśnie oni. Stale ze sobą szeptali jak spiskowcy. Pan Garber i państwo Hobie.

6

Hak Hobie siedział sam w swoim gabinecie na osiemdziesiątym ósmym piętrze, wsłuchiwał się w szmery dochodzące z ogromnego budynku i usilnie się zastanawiał nad zmianą planu. Potrafił elastycznie dostosowywać się do okoliczności i był z tego dumny. Umiał słuchać,

obserwować, zmieniać się i uczyć. Uważał, że to daje mu przewagę i czyni kimś wyjątkowym. Ody pojechał do Wietnamu, nie zdawał sobie sprawy z własnych zdolności. Właściwie nie zdawał sobie sprawy z niczego, taki był młody. Na dokładkę wywodził się z podmiejskiej próżni, gdzie nie miał okazji zdobyć żadnych doświadczeń.

Wietnam go zmienił. Mógł go złamać, tak jak złamał wielu. Wszędzie wokół siebie widział ludzi, którzy tego nie wytrzymywali. Nie tylko dzieciaki takie jak on, ale również starsi faceci, zawodowcy służący w armii od lat. Wietnam był dla wszystkich ciężarem, który wielu złamał. Jednakże Hobbie nie pękł. Rozglądał się wokół siebie, zmieniał i dostosowywał. Słuchał i uczył się. Zabijanie było łatwe. Przedtem widział tylko martwe zwierzęta zabite na drodze — wiewiórki, króliki i skunksy. Pierwszego dnia w dżungli w Wietnamie zobaczył zwłoki ośmiu amerykańskich żołnierzy z pieszego patrolu, którzy dostali się pod ogień moździerzy. Ośmiu ludzi, dwadzieścia dziewięć kawałków ciała, niektóre całkiem duże. To był przełomowy moment. Jego koledzy bledli, wymiotowali, jęczeli, nie mogąc w to uwierzyć. On patrzył na to nieporuszony.

Zaczął od handlu. Wszyscy czegoś chcieli. Wszyscy narzekali, że czegoś nie mają. To było absurdalnie łatwe. Wymagało tylko uważnego słuchania. Jakiś facet palił, ale nie pił. Inny pił, ale nie palił. Weź od jednego piwo, zanieś drugiemu w zamian za papierosy. Dobij targu. Zachowaj prowizję. To było takie łatwe i oczywiste, że nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie nie robili tego sami. Nie traktował tego zajęcia poważnie, gdyż był przekonany, że wkrótce się skończy. Przecież ludzie musieli się szybko zorientować i wykluczyć pośrednika. Jednakże ludzie wcale się nie zorientowali. To była dla niego pierwsza ważna lekcja. Potrafił robić rzeczy, których inni nie umieli. Potrafił dostrzec coś, czego nie widzieli inni. Słuchał uważnie. Czego jeszcze chcieli? Wielu rzeczy. Dzieni, jedzenia, penicyliny, płyt, służby w bazie, ale nie przy czyszczeniu latryn. Butów, środków przeciw owadom, chromowanych rewolwerów, wysuszonych uszu Wietnamczyków na pamiętki. Marihuany, aspiryny, heroiny, czystych igieł, bezpiecznej służby podczas ostatnich stu dni w Wietnamie. Słuchał, szukał i pobierał prowizję. Wkrótce polem wpadł na przełomowy pomysł. Później zawsze to wspominał z wielką dumą. To był wzór dla wszystkich jego wielkich przedsięwzięć w przyszłości. Właściwie zareałował na pewne problemy, z którymi miał do czynienia. Przede wszystkim jego działalność wymagała bardzo ciężkiej pracy. Znalezienie różnych rzeczy bywało trudne. Wyszukanie zdrowych dziewczyn stanowiło kłopot, a wyszukanie dziewic było właściwie niemożliwe. Opanowanie stale rosnącego rynku narkotyków było ryzykowne. Inne rzeczy okazały się nużące. Wymyślna broń, pamiętki po Wietnamczykach, nawet przyzwoite buty — zdobycie tych przedmiotów wymagało czasu. Nowi oficerowie, którzy przyjeżdżali odbyć służbę, często psuli mu najlepsze transakcje w bezpiecznej strefie, gdzie nie toczyły się walki.

Poza tym pojawiła się konkurencja. Hobbie zwrócił uwagę, że nie jest wyjątkiem. Nie było wielu takich jak on, ale jednak znaleźli się ludzie, którzy włączali się do tej gry. Powstawał wolny rynek. Od czasu do czasu niektórzy odrzucali jego oferty. Twierdzili, że gdzie indziej mogą uzyskać lepsze warunki. To był dla niego szok.

Należy się zmieniać i dostosowywać do warunków. Hobbie przemyślał sytuację. Spędził samotnie cały wieczór, leżąc na pryczy i zastanawiając się, co zrobić, aż wreszcie dokonał odkrycia. Po co uganiać się za rzeczami, które już teraz było trudno zdobyć, a w przyszłości będzie jeszcze trudniej? Czemu szukać jakiegoś sanitariusza i pytać, czego chce w zamian za spreparowaną czaszkę Wietnamczyka? Po co potem szukać tej cholernej rzeczy i dokonywać wymiany? Po co się tym zajmować? Czyż nie lepiej skoncentrować się na najbardziej rozpowszechnionym towarze dostępnym w całym Wietnamie?

Amerykańskie dolary. Hobbie został lichwiarzem. Później, podczas rekonwalescencji, gdy miał czas czytać, uśmiechał się na myśl o tym. To był klasyczny krok naprzód. Prymitywne społeczeństwo uprawiają handel wymienny, a potem pojawia się gospodarka towarowo-pieniężna. Amerykanie w Wietnamie początkowo stanowili taką prymitywną społeczność. To

nie

ulegało wątpliwości. Prymitywną, improwizowaną, źle zorganizowaną, ledwo stojącą na błotnistej ziemi tego okropnego kraju. Z biegiem czasu społeczność się rozrastała, stabilizowała, dojrzewała. On był pierwszy, który dojrzał razem z nią. Pierwszy i przez długi czas jedyny. Z tego również był dumny. Okazał się inteligentniejszy, miał większą wyobraźnię, lepiej potrafił się zmienić, dostosować, i właśnie temu zawdzięczał sukcesy.

Pieniądże zapewniały wszystko. Jeśli ktoś pragnął mieć buty, heroinę lub dziewczynę, o której jakiś kłamliwy alfons mówił, że jest dwunastoletnią dziewczicą, mógł to kupić za pieniądze pożyczone od Hobiego. Mógł od razu zaspokoić swoje pragnienie, a zapłacić za tydzień, plus kilka procent. Hobie mógł spokojnie siedzieć na tyłku jak tłusty, leniwy pająk pośrodku pajęczyny. Żadnej bieganiny, żadnego zawracania głowy. Starannie wszystko przemyślał. Zdał sobie sprawę z psychologicznej mocy liczb. Niewielkie liczby, takie jak dziewięć, wydawały

się niegroźne. Dziewięć procent to była jego ulubiona stawka, To prawie nic. Jedna cyfra. Mniej niż dziesięć. Tak to widzieli inni. Ale dziewięć procent tygodniowo to czterysta sześćdziesiąt osiem procent rocznie. Jeśli ktoś opóźnił się ze spłatą, zaczynała działać zasada procentu składanego i całkowite roczne oprocentowanie mogło łatwo wzrosnąć do tysiąca procent. Nikt o tym nie myślał. Nikt oprócz Hobiego. Wszyscy dostrzegali tylko liczbę dziewięć, niewielką i niegroźną.

Pierwszym klientem, który nie mógł spłacić pożyczki, był potężny, agresywny facet, cokolwiek ograniczony. Hobie się uśmiechnął. Darował mu dług i zasugerował, że mógłby się odwdziaczyć, przyłączając się do niego i biorąc na siebie egzekucję długów. Później nie było już wielu niespłacających pożyczek. Wybór odpowiedniej metody zastraszania wymagał starannego przemyślenia. Złamanie dłużnikowi ręki lub nogi gwarantowało, że zostanie odesłany do szpitala polowego na tyły, gdzie mógłby uwodzić białe pielęgniarki heroicznymi opowieściami. Poważne złamanie mogłoby nawet skończyć się odesłaniem do Stanów. To nie była odpowiednia metoda zastraszania. Hobie kazał swojemu egzekutorowi używać szpilki pokryte krowim nawozem. Wietnamczycy ustawiali je w płytkich dołkach; gdy amerykańscy żołnierze nadziewali się na nie, rany i zakażenie eliminowały ich z walki. Hobie polecił swojemu człowiekowi, żeby wbijał je w jaja dłużników. Jego klienci szybko doszli do przekonania, że długofalowe konsekwencje medyczne są zbyt groźne, żeby ryzykować, jeśli nawet mogli w ten sposób uniknąć konieczności spłacenia długu i wrócić do domu.

Nim Hobie stracił rękę i uległ poparzeniu, był już bardzo bogaty. Jego następnym majstersztykiem było przewiezienie całej fortuny do kraju, bez strat i w tajemnicy. Nie każdy potrafiłby to zrobić. Nie w takiej sytuacji, w jakiej on się znalazł. To był kolejny dowód jego wielkości. Podobnie jak dalsza historia. Po przybyciu do Nowego Jorku okaleczony i oszczędzony Hobie natychmiast poczuł się jak w domu. Manhattan to dżungla niewiele różniąca się od dżungli w Indochinach. Hobie nie widział powodu do zmiany sposobu postępowania lub zajęcia się innymi interesami. Miał znaczny kapitał na początek, nie musiał zaczynać od zera.

Przez kilka lat zajmował się lichwiarstwem. Rozwinął je na ogromną skalę. Miał kapitał i odpowiedni wizerunek. Blizny po oparzeniach i hak miały swoje wizualne znaczenie. Nie brakowało mu pomocników. Żerował na falach imigrantów i biedaków. Odparł atak Włochów, którzy usiłowali wyeliminować go z tego interesu. Opłacał licznych policjantów i prokuratorów, żeby zachować anonimowość.

Potem wpadł na swój drugi przełomowy pomysł. Podobny do pierwszego. Był to wynik głębokiego przemyślenia sytuacji. Reakcja na problem. Problemem była skala operacji. Obracał milionami, ale to były drobne transakcje. Tysiące umów, sto dolarów tutaj, sto pięćdziesiąt tam, dziewięć lub dziesięć procent tygodniowo, pięćset lub tysiąc procent rocznie. Kupa papierów, wielkie zawracanie głowy, nieustanna mitręga. Hobie nagle zdał

sobie sprawę, że mniej może przynieść więcej. To było olśnienie. Pięć procent od miliona dolarów dla jakiejś korporacji to więcej niż pięćset procent od drobnej pożyczki dla człowieka z ulicy. To go zelektryzowało. Hobbie przestał pożyczać i przykręcił śrubę, żeby zebrać swój kapitał. Kupił garnitury i wynajął pomieszczenie biurowe. Z dnia na dzień stał się kredytodawcą korporacji.

To było genialne posunięcie. Hobbie wyczuł istnienie szarej strefy tuż poza granicą konwencjonalnych praktyk biznesowych. Przekonał się, że jest wielu kredytobiorców, którzy zdaniem banków utracili zdolność kredytową. Bardzo wielu i bardzo zdesperowanych. A co ważne, to były mięczaki. Cywilizowani ludzie w garniturach, którzy przychodzili do niego pożyczyć milion dolarów, stanowili bez porównania mniejsze zagrożenie niż obdartusy z czynszówki, którzy potrzebowali stu dolarów. Mięczaki, których łatwo było zastraszyć. Ludzie niemający dotąd pojęcia o brutalnych aspektach rzeczywistości. Hobbie zrezygnował z usług większości egzekutorów. Liczba jego klientów zmniejszyła się do garstki, wartość średniej pożyczki wzrosła milion razy, oprocentowanie spadło do stratosferycznej wysokości, a dochody wzrosły bardziej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Mniej to więcej. To był wspaniały interes. Oczywiście czasami zdarzały się kłopoty, ale Hobbie potrafił sobie z nimi radzić. Zmienił taktykę zastraszania. Mógł łatwo zaatakować swych ucywilizowanych dłużników, uderzając w ich rodziny. Żony, córki, synów. Zwykle wystarczały groźby. Niekiedy konieczne było działanie. To często okazywało się takie zabawne. Żony i córki z przedmieść bywały takie przyjemne. Były premią. Wspaniały interes. Udało mu się to osiągnąć dzięki stałej gotowości do zmiany i dostosowania się do okoliczności. Hobbie uważał swą elastyczność za najważniejszą zaletę. Poprzysiągł sobie, że nigdy o tym nie zapomni. Dlatego siedział teraz w swoim gabinecie na osiemdziesiątym ósmym piętrze, wsłuchiwał się w szmery wielkiego budynku i zastanawiał nad zmianą planów.

• • •

Osiemdziesiąt kilometrów na północ, w Pound Ridge, Ma-rilyn Stone również zastanawiała się nad zmianą planów. Była inteligentną kobietą. Wiedziała, że mąż ma kłopoty finansowe. To nie mogło być nic innego. Na pewno nie miał kochanki. Wiedziała to. Gdy mąż ma kochankę, zawsze to można poznać. A zatem nie mógł się martwić niczym poza problemami finansowymi.

Pierwotnie zamierzała po prostu czekać, aż pewnego dnia będzie musiał powiedzieć jej o wszystkim i pozbyć się ciężaru. Chciała poczekać, aż to nastąpi, i dopiero wtedy przejąć inicjatywę. Gotowa była zająć się kryzysem, niezależnie od jego powagi — czy chodziło tylko o zaległości w płatnościach, czy o bankructwo. Kobiety dobrze sobie radzą w kryzysowych sytuacjach. Lepiej niż mężczyźni. Mogła poczynić praktyczne kroki, zaoferować pocieszenie, znaleźć drogę wśród ruin bez wnikającej z upokorzenia bezradności, jaką z pewnością wykazywałby Chester.

Marilyn jednak zmieniła decyzję. Nie mogła dłużej czekać. Chester zamartwiał się na śmierć. Musiała coś z tym zrobić. Rozmowa z nim byłaby bezużyteczna. Instynkt nakazywał mu ukrywać wszelkie kłopoty. Nie chciał jej denerwować. Zaprzeczyłby wszystkiemu, a sytuacja nie przestałaby się pogarszać. Musiała działać samodzielnie. Dla swego i jego dobra.

Pierwszym oczywistym posunięciem było wystawienie domu na sprzedaż. Nie wiedziała dokładnie, jak trudna jest icb sytuacja, ale to niemal na pewno było konieczne. Marilyn nie miała pojęcia, czy to wystarczy. To mogło rozwiązać problem, lecz nie miała żadnej gwarancji. W każdym razie od tego musieli zacząć.

Zamożna kobieta mieszkająca w Pound Ridge ma wielu znajomych w środowisku handlarzy nieruchomości. Jeden szczebel niżej w społecznej hierarchii, wśród ludzi żyjących wygodnie, ale niemogących pochwalić się bogactwem, jest wiele kobiet współpracujących z agencjami handlu nieruchomościami. To dla nich zajęcie uboczne, starają się, żeby wyglądało to na hobby, na przykład udają, że interesuje je architektura wnętrz, nie zaś dobiecie targu. Marilyn mogła wyliczyć z pamięci cztery bliskie znajome, do których mogłaby się zwrócić. Z

ręką na słuchawce telefonu zastanawiała się,

którą wybrać. W końcu wybrała Sheryl, którą znała najłabiej, ale wydawała się jej najbystrzejsza z całej czwórki. To była poważna sprawa i chciała, żeby pośrednik potraktował ją poważnie. Wybrała numer.

— Marilyn! — zdziwiła się Sheryl. — Miło, że dzwonisz. Jak mogę ci pomóc?

Marilyn wzięła głęboki oddech.

— Zastanawiamy się nad sprzedaniem domu — powiedziała.

— Zwracasz się z tym do mnie? Marilyn, bardzo ci dziękuję. Dlaczego jednak, u licha, chcecie sprzedać? To takie piękne miejsce. Czy przeprowadzacie się do innego stanu?

Marilyn znowu wciągnęła powietrze w płuca.

— Podejrzewam, że Chesterowi grozi bankructwo. Nie mam ochoty o tym mówić, ale sądzę, że powinniśmy się z rym liczyć i coś zdecydować.

Sheryl przełknęła to bez najmniejszego zająknięcia. Nie wahała się ani sekundy.

— Sądzę, że to bardzo rozsądna decyzja. Na ogół ludzie zbyt długo zwlekają, potem sprzedają w pośpiechu i oczywiście bardzo na tym tracą.

— Na ogół? Czy to się często zdarza?

— Pytasz serio? To zdarza się każdego dnia. Lepiej przyjąć to do wiadomości możliwie wcześniej i uzyskać dobrą cenę. Wierz mi, podjęłaś słuszną decyzję. To zresztą typowe dla kobiet, Marilyn. Radzimy sobie z takimi problemami lepiej niż mężczyźni.

Marilyn odetchnęła i uśmiechnęła się do telefonu. Czuła, że podjęła właściwą decyzję i zwróciła się o pomoc do właściwej osoby.

— Natychmiast umieszczę wasz dom na liście — zapowiedziała Sheryl. — Moim zdaniem powinniście zacząć od dwóch milionów dolarów, a dążyć do uzyskania miliona dziewięciuset tysięcy. To realna cena. Pewnie szybko znajdzie się nabywca.

Jak szybko?

— W obecnej sytuacji na rynku? Dom w takim miejscu? Pewnie sześć tygodni. Myślę, że możemy liczyć na ofertę w ciągu sześciu tygodni.

• • •

Doktor McBannerman była bardzo czuła na punkcie poufności. Wprawdzie zdradziła adres państwa Hobie, ale nie chciała podać ich numeru telefonu. Jodie nie mogła w tym dostrzec żadnej prawniczej logiki, skoro jednak lekarka tak czuła się lepiej, nie widziała powodu, żeby z nią dyskutować. Podała jej rękę na pożegnanie i pośpiesznie poszła do samochodu. Reacher szedł za nią.

— To dziwne — powiedziała. — Widziałeś tych wszystkich ludzi w poczekalni?

— Owszem Sami starzy, bliscy śmierci.

— Pod koniec tata też tak wyglądał. Dokładnie tak samo. Przypuszczam, że ten stary pan Hobie niczym się od nich nie

różni. Trudno uwierzyć, że tacy starcy mają jakąś wspólną sprawę prowadzącą do morderstw. Co to może być? Wsiadli do samochodu. Jodie pochyliła się w stronę kierowcy i sięgnęła po telefon. Reacher włączył silnik, żeby uruchomić klimatyzację. Jodie zadzwoniła do biura numerów. Państwo Hobie mieszkali na północ od Garrison, za Brighton, następnym przystankiem linii kolejowej. Jodie zapisała numer na skrawku papieru i natychmiast zatelefonowała. Po wielu dzwonek w końcu jakaś kobieta podniosła słuchawkę.

— Tak? — odezwała się z wahaniem w głosie.

— Czy pani Hobie? — spytała Jodie.

— Tak — rozległo się w słuchawce. Jodie wyobraziła sobie starą, chorą kobietę, posiwiałą, wychudzoną, prawdopodobnie w kwiecistym szlafroku, ze starą słuchawką przy uchu, w domu pachnącym nieświeżym jedzeniem i pastą do polerowania mebli.

— Mówi Jodie Garber. Jestem córką Leona Garbera.

— Tak? — kolejny raz powtórzyła pani Hobie.

— Ojciec, niestety, zmarł. Pięć dni temu.

— Tak, wiem — powiedziała starszka. Wydawała się tym przygnębiona. — Recepcjonistka doktor McBannerman powiedziała nam o tym podczas wczorajszej wizyty. Było mi bardzo przykro, gdy się dowiedziałam. Był dobrym człowiekiem. Był dla nas bardzo uprzejmy. Pomagał nam. Powiedział nam o pani. Pani jest adwokatką. Bardzo mi przykro z powodu pani tragedii.

— Dziękuję — odpowiedziała Jodie. — Czy mogłaby mi pani powiedzieć, w jakiej sprawie tata pomagał państwu?

— Hm, to chyba nie ma już żadnego znaczenia, prawda?

— Dlaczego?

— Dlatego że pani ojciec nie żyje — odrzekła pani Hobie. — Obawiam się, że on był naszą ostatnią nadzieją.

Powiedziała to tak, jakby rzeczywiście była o tym przekonana. Mówiła niskim, cichym głosem. Pod koniec zdania zniżyła głos jeszcze bardziej, nadając mu tragiczną wymowę — jakby straciła coś od dawna wyczekiwanego i upragnionego. Jodie wyobraziła sobie, jak kościstą dłonią ścisną słuchawkę, a po bladym, pomarszczonym policzku spływa łza.

— Może nie wszystko stracone — powiedziała. — Być może mogłabym państwu pomóc.

Pani Hobie milczała. Jodie przez dłuższą chwilę słyszała tylko szmer.

— Hm, nie sądzę — odezwała się w końcu pani Hobie. — Nie wydaje mi się, żeby to była sprawa, jaką normalnie zajmują się prawnicy.

— A co to za sprawa?

— Wydaje mi się, że to już nie ma znaczenia — powtórzyła starszka.

- Czy nie zechciałaby pani chociaż w przybliżeniu wyjaśnić, o co chodzi?

- Nie, myślę, że to już zamknięta sprawa — stwierdziła

pani Hobie takim tonem, jakby jej stare serce miało zaraz pęknąć.

Znowu przez chwilę milczały. Jodie spojrzała przez okno samochodu na gabinet doktor McBannerman.

- Dlaczego akurat mój ojciec mógł państwu pomóc? Czy wiedział coś ważnego? Czy dlatego, że służył w armii? Czy o to chodziło? Czy to ma związek z wojskiem?

- No, tak. Z tego powodu sądzę, że pani, jako adwokatka, nie będzie w stanie nam pomóc. Już próbowaliśmy z prawnikami. Potrzebujemy kogoś związanego z armią. Dziękują jednak za propozycję. To bardzo uprzejmie z pani strony. - Jest tu ze mną jeszcze ktoś — oznajmiła Jodie. — Kiedyś służył z moim ojcem w armii. Jeśli tylko może, jest gotów państwu pomóc.

Pani Hobie milczała, tak jakby musiała przemyśleć nowe okoliczności. Jodie słyszała szmer jej oddechu. — To major Reacher — dodała. — Niewykluczone, że mój ojciec wspominał państwu o nim. Służyli razem wiele lat. Tata wezwał go, gdy zrozumiał, że ze względu na stan zdrowia nie będzie mógł dłużej zajmować się sprawą. — On go wezwał? — powtórzyła starszka. — Tak. Myślał, że major Reacher będzie mógł przyjechać i przejąć prowadzenie tej sprawy, żeby państwu pomóc.

— Czy ten pan również służył w policji wojskowej? — Tak. Czy to jest istotne?

— Nie jestem pewna. Znowu umilkła. Oddychała prosto do słuchawki.

— Czy mógłby do nas przyjechać? — spytała nagle.

— Oboje przyjedziemy — odparła Jodie. — Czy możemy przyjechać od razu?

Cisza. Oddech i namysł.

— Mąż właśnie wziął lekarstwa — powiedziała pani Hobie. — Teraz śpi. Wie pani, on jest ciężko chory.

Jodie kiwnęła głową. Otworzyła i zacisnęła wolną rękę, usiłując opanować frustrację.

— Pani Hobie, czy zechciałaby pani powiedzieć nam, o co tu chodzi?

Cisza. Oddech i namysł.

— Wolałabym, żeby to mąż pani wyjaśnił. Myślę, że zrobi to lepiej niż ja. To długa historia i czasami płaczą mi się szczegóły.

— Dobrze, a kiedy mąż się obudzi? — spytała Jodie. — Czy możemy przyjechać nieco później?

Kolejna pauza.

— Zwykle po zażyciu lekarstw śpi już całą noc — oznajmiła starszka. — To prawdziwe błogosławieństwo. Czy pani przyjaciel mógłby przyjechać jutro z samego rana?

• • •

Hobie nacisnął końcem haka guzik interkomu. Pochylił się do mikrofonu i wezwał recepcjonistę. Tym razem zwrócił się do niego po imieniu. Taka poufalość zdarzała mu się rzadko i zwykle związana była ze stresem.

— Tony? Musimy porozmawiać.

Tony opuścił swoje stanowisko z dębą i mosiądzu, wszedł do gabinetu i przecisnął się między sofą i stolikiem do kawy. - To Garber polecił na Hawaje — poinformował.

— Jesteś pewny? — spytał Hobie.

— Tak — potwierdził Tony — Polecił liniami American. Z White Plains do Chicago, z Chicago do Honolulu. Piętnastego kwietnia. Wrócił następnego dnia, szesnastego kwietnia, tą samą trasą. Płacił Amex. Mają to wszystko w komputerze.

— Co on tam robił? — powiedział Hobie raczej do siebie niż do Tony'ego.

— Nie wiemy — mruknął recepcjonista. — Można jednak się domyślić, prawda?

W gabinecie zapadła groźna cisza. Tony patrzył na nieuszkodzoną połowę twarzy Hobiego i czekał na odpowiedź.

— Dostałem sygnał z Hanoi — rzekł w końcu Hobie. — Chryste, kiedy? — Dziesięć minut temu.

— Jezu, z Hanoi? — powtórzył Tony. — Chołera. Cholera. — Trzydzieści lat — westchnął Hobie. — 1 teraz to się stało.

Tony wstał, podszedł do okna i rozchylił płytki żaluzji. Do pokoju wpadł snop światła.

— Wobec tego powinien pan zniknąć. Teraz to miejsce jest stanowczo zbyt niebezpieczne.

Hobie nic nie odpowiedział. Zacisnął palce lewej ręki na haku.

— Obiecał pan — nalegał Tony. — Pierwszy sygnał, drugi sygnał. Dostaliśmy już oba, na litość boską! — To zajmie im trochę czasu — stwierdził Hobie. — W tym momencie nic jeszcze nie wiemy.

— Garber nie był głupcem — odpowiedział Tony, kręcąc kłową. — Coś wiedział. Jeśli polecił na Hawaje, to miał widocznie powód, żeby to zrobić.

Hobie podniósł lewą ręką hak do twarzy. Wodził gładką, chłodną stalą po bliznach. Nacisk często łagodził swędzenie.

- A co wiemy o tym Reacherze? — spytał. — Jakiś postęp? Tony wyglądał przez szczelinę w żaluzji. Byli osiemdziesiąt m pięter nad ziemią. - Dzwoniłem do St Louis — odpowiedział. — On też był w policji wojskowej, przez prawie trzysta lat był podwładnym Garbera. Dziesięć dni temu ktoś prosił o informacje na jego temat. Przypuszczam, że to Costello.

— Po co? — rzucił Hobie. — Rodzina Garbera zatrudnia Costella, żeby szukał jego starego kumpla z wojska. Do diabła, po co?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Tony. — Ten facet to włóczęga. W Keys zajmował się kopaniem basenów.

Hobie pokiwał z namysłem głową.

— Wojskowy policjant — powiedział do siebie. — A teraz włóczęga.

- Powinien pan wyjechać — powtórzył Tony.

— Nie lubię policji wojskowej — zauważył Hobie.

— Wiem.

— Co ten wścibski sukinyś tu robi?

— Powinien pan wyjechać — po raz trzeci przypomniał Tony.
Hobie pokiwał głową.

- Jestem elastycznym człowiekiem — stwierdził. — Sam wiesz.
Tony puścił żaluzję. W pokoju znowu zrobiło się ciemno.

— Nie proszę pana o elastyczność. Chcę, żeby trzymał się pan dawno ustalonego planu.

- Zmieniłem plan. Chcę załatwić sprawę Stone'a. Tony znowu usiadł na sofie.

— Pozostanie tu w tym celu jest zbyt ryzykowne. Dostaliśmy oba sygnały. Z Wietnamu i Hawajów, na litość boską.

— Wiem. Dlatego ponownie zmieniłem plan.

— Wrócił pan do poprzedniej wersji? Hobie wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Nie. To kombinacja obu wariantów. Wynosimy się stąd, to oczywiste, ale najpierw muszę załatwić Stone'a.

Tony ciężko westchnął i położył dłonie na płask na powierzchni sofy.

— Sześć tygodni to zdecydowanie za długo. Przecież Garber poleciał na Hawaje. Był jakimś ważnym generałem. No i oczywiście musiał sporo wiedzieć, z jakiego innego powodu by tam leciał?

Hobie przytaknął. Gdy poruszał głową, przecinał nią promień światła, który chwilami oświetlał sterczącą kępkę włosów.

— Zgadza się, on sporo wiedział, ale zachorował i zmarł, zabierając swą wiedzę do grobu. W przeciwnym razie jego córka nie musiałaby szukać pomocy tego dupka, prywatnego detektywa, i bezrobotnego włóczęgi.

— A zatem co pan zamierza?

Hobie opuścił hak poniżej blatu i podparł brodę na lewej ręce. Rozchylił palce, zasłaniając nimi blizny. Przyjmował tę pozę nieświadomie, gdy chciał łagodnie wyglądać.

— Nie mogę zrezygnować z przejęcia firmy Stone'a — powiedział. — To zbyt wspaniała okazja. Wystarczy sięgnąć ręką. Gdybym zrezygnował, nie darowałbym sobie tego do końca życia. To byłoby tchórzostwo. Zgadza się z tobą, że rozsądek nakazuje ucieczkę, ale przedwczesna ucieczka, nim to jest naprawdę konieczne, to tchórzostwo. Nie jestem tchórzem, wiesz to chyba, Tony? — I co pan zamierza? — powtórnie spytał Tony.

— Będziemy realizować oba plany w przyśpieszonym tempie. Zgadza się z tobą, że sześć tygodni to o wiele za długo. Musimy stąd zniknąć znacznie szybciej. Nie wyjedziemy jednak przed załatwieniem Stone'a, więc musimy to przyśpieszyć.

— Jak?

- Wystawię dziś jego akcje na sprzedaż — odpowiedział Hobie. — Trafia na parkiet półtorej godziny przed zamknięciem giełdy. To powinno wystarczyć, żeby sygnał dotarł do banku. Jutro rano Stone pojawi się tu mokry od potu. Mnie nie będzie, ale ty wyjaśnisz mu, czego chcemy i co zrobimy, jeśli tego nie dostaniemy. Maksymalnie za kilka dni będziemy już mieli wszystko. W tym czasie sprzedam aktywa na Long Island, dzięki czemu unikniemy opóźnienia. Ty zamkniesz wszystko tutaj.

— Dobrze. Jak? — powtórzył pytanie Tony. Hobie rozejrzał się po swoim gabinecie.

— Po prostu opuścimy to biuro. Zmarnuje się czynsz za sześć miesięcy, ale do diabła z tym. Ci dwaj zdrańcy, którzy uważają się za moich egzekutorów, nie stanowią żadnego problemu. Jeden sprzątnie drugiego dziś wieczorem. Ty go pogonisz, żeby sprowadził tu panią Jacob, a potem załatwisz ich oboje. Sprzedaj motorówkę, samochody. Wyniesiemy się, nie zostawiając za sobą spraw do załatwienia. To powinno potrwać nie dłużej niż tydzień. Tylko tydzień. Myślę, że tyle możemy sobie dać? Zgoda?

Tony pokiwał głową. Perspektywa działania wpływała na niego uspokajająco.

— Co z tym Reacherem? To sprawa do załatwienia.

— Mam specjalny plan — odrzekł Hobie, przesuając się na krześle.

— Nie znajdziemy go — zauważył Tony. — We dwóch, w ciągu tygodnia, to niemożliwe. Nie

mamy dość czasu, żeby go szukać.

— Nie będziemy musieli.

— Musimy, szefie — sprzeciwił się Tony, patrząc na niego ze zdziwieniem. — Nie możemy tego zostawić.

Hobie pokręcił głową. Opuścił lewą rękę i uniósł hak.

— Załatwię to w bardziej efektywny sposób. Nie ma powodu, żebym tracił energię, szukając go. Niech on mnie znajdzie. Na pewno to zrobi. Wiem, jak postępują wojskowi policjanci.

— I co wtedy? Hobie się uśmiechnął.

— Potem będzie żył długo i szczęśliwie — powiedział. — Co najmniej przez trzydzieści lat.

• • •

— Co teraz? — spytał Reacher.

Wciąż stali na parkingu przed długim, niskim pawilonem kardiologicznym, z włączonym silnikiem. Klimatyzacja walczyła z promieniami słonecznymi padającymi na ciemnozielony samochód. Ze wszystkich wentylatorów wylatywały strugi powietrza, a zapach freonu mieszał się z wonią perfum Jodie. W tym momencie Reacher czuł się szczęśliwy. Spełniły się jego dawne marzenia. Kiedyś wiele razy rozmyślał, jak czułby się, siedząc obok niej, gdy już będzie dorosła. Nie spodziewał

się, że tego doświadczy. Zawsze zakładał, że straci z nią kontakt, nigdy więcej jej nie zobaczy i z biegiem czasu jego uczucia zgasną. A teraz siedział tuż obok niej, wdychał zapach jej perfum i spoglądał na jej długie nogi. Zawsze przypuszczał, że wyrośnie na efektowną kobietę, ale teraz czuł się trochę winny, bo nie przewidział, jaka będzie piękna. Jego fantazje nie pasowały do rzeczywistości.

— To pewien problem — odpowiedziała Jodie. — Nie mogę tam jechać jutro rano. Nie mogę zwolnić się z pracy. Jesteśmy bardzo zajęci. Muszę zaliczać kolejne godziny.

Piętnaście lat. Czy to długo, czy krótko? Czy w tym czasie

człowiek bardzo się zmienia? Jamu wydawało się, że niewiele. Nie czuł, żeby był wyraźnie innym człowiekiem niż piętnaście lat temu. Był tą samą osobą, tak samo myślał i był zdolny do robienia tego, co wtedy. Nabrał doświadczenia, dojrzał, ale był tym samym człowiekiem. Natomiast ona musi być kimś innym. Na pewno. Dla niej te piętnaście lat stanowiło większy skok, przeżyła większą przemianę. Szkoła średnia, studia, małżeństwo, rozwód, praktyka adwokacka, rachunki za każdą godzinę. Czuł się tak, jakby płynął przez niezbadany akwen, nie wiedział, jak się do niej odnosić, gdyż miał w głowie trzy różne obrazy: Jodie jako nastolatka; swoje ówczesne wyobrażenia, jaka będzie, gdy dorośnie; prawdziwa Jodie jako dorosła kobieta. Wiedział wszystko o pierwszych dwóch, a trzecia stanowiła dla niego zagadkę. Znał ją jako dziecko. Znał wizję dorosłej osoby, jaką sam wymyślił. Nie znał natomiast rzeczywistej Jodie i to pozbawiało go pewności siebie, ponieważ nagle bardzo mu zaczęło mu zależeć, żeby nie popełnić jakiegoś głupiego błędu. - Będziesz musiał jechać sam — zdecydowała. -

Zgoda?

— Oczywiście — odpowiedział. — Nie to jednak jest problemem. Musisz zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo.

Jodie kiwnęła głową. Schowała dłonie w rękawy i skuliła się na fotelu. Reacher nie wiedział dlaczego. — Nic mi się nie stanie — zapewniła. — Gdzie znajduje się twoja kancelaria? — Na rogu Wall Street i Broadwayu. — Mieszkasz gdzieś niedaleko, tak? Na Broadwayu?

— Trzyście przecznic od kancelarii. Zwykle chodzę piechotą.

— Nie jutro — sprzeciwił się Reacher. — Zawiozę cię do pracy.

— Ty? — zdziwiła się Jodie.

— Właśnie tak, do diabła. Trzyście kwartałów piechotą? Wybij to sobie z głowy, Jodie. W domu będziesz dostatecznie bezpieczna, ale na ulicy mogą cię porwać. Czy twoja kancelaria jest odpowiednio zabezpieczona?

— Tak — kiwnęła głową. — Nikt nic może wejść, jeśli nie jest umówiony i nie pokaże dowodu tożsamości.

- Dobra. Wobec tego będę u ciebie w mieszkaniu całą noc, a rano zawiozę cię do pracy. Potem pojedę pogadać z państwem Hobie, a ty zostaniesz w kancelarii i nie wyjdiesz stamtąd, dopóki nie wrócę. Zgoda?

Jodie milczała. Reacher zastanowił się, co powiedział.

— No, masz chyba wolny pokój?

— Oczywiście. Jest wolna sypialnia.

— Czy zatem wszystko w porządku? Jodie w milczeniu kiwnęła głową.

- A co teraz? — spytał. Jodie odwróciła się ku niemu. Strumień powietrza z wentylatora rozwiał jej włosy. Odgarnęła je za uszy i przyjrzała się Reacherowi. Uśmiechnęła się.

— Teraz jedziemy na zakupy — powiedziała.

— Na zakupy? Po co? Potrzebujesz czegoś?

— Nie ja. Ty — odrzekła.

- A czego potrzebuję? — spytał z niepokojem.

- Nowego ubrania — wyjaśniła. — Nie możesz iść z wizytą do tych staruszków, wyglądając jak skrzyżowanie włóczędzy z dzikusiem z dżungli.

Jodie pochyliła się ku niemu i dotknęła opuszkami palmy po wystrzale na koszuli.

— Musimy znaleźć aptekę. Trzeba to czymś posmarować.

• • •

- Do diabła, co ty wyprawiasz?! — wrzasnął dyrektor do spraw finansowych. Stał w progu gabinetu Stone'a, zaciskając ręce na futrynie i ciężko dysząc z wściekłości i wysiłku. Nie czekał na windę, tylko przybiegł schodami ewakuacyjnymi. Stone spojrzał na niego. Nie rozumiał, o co chodzi.

— Ty idioto! — krzyknął dyrektor. — Mówiłem ci, żebyś tego nie robił.

— Czego?! — spytał Stone.

— Sprzedawał akcji! — ryknął dyrektor. — Mówiłem ci przecież, że to wykluczone.

— Wcale nie wystawiłem akcji na sprzedaż — zaoponował Stone. — Na rynku nie ma naszych akcji.

— Do diabła, są — odrzekł tamten. — Wielki pakiet Leży i nikt nie chce go nawet tknąć. Ludzie trzymają się od tych akcji z daleka, jakby były radioaktywne.

— Co takiego?

Dyrektor do spraw finansowych wziął głęboki oddech. Popatrzył na swego pracodawcę. Niski, skulony facet w śmiesznym angielskim garniturze, siedzący za biurkiem, które było teraz sto razy więcej warte niż wszystkie akcje firmy.

— Ty zasańcu, mówiłem ci, żebyś tego nie robił. Równie dobrze mogłeś wykupić całą stronę w „Wall Street Journal” i ogłosić, że twoja firma jest gównem warta.

— O czym ty mówisz? — spytał Stone.

- Dzwonią do mnie wszystkie banki — odpowiedział dyrektor. — Śledzą notowania. Akcje pojawiły się na parkiecie godzinę temu, a ich kurs spada szybciej, niż mogą śledzić komputery. Nikt ich nie kupuje. Wysłałeś bankierom wyraźny komunikat. Oświadczyłeś, że jesteś bankrutem. Zawiadomiłeś ich, że jesteś im winien szesnaście milionów dolarów, a akcje, które stanowią zabezpieczenie kredytu, nie są warte nawet szesnastu centów.

- Nie wystawiłem akcji na sprzedaż.

Dyrektor pokiwał głową z sarkastyczną miną. — Do diabła, to skąd się wzięły? Spadły z nieba?

— To Hobie sprzedaje — rzekł Stone. — Nie ma innego wyjaśnienia. Jezu, ale dlaczego?

— Hobie? — powtórzył dyrektor. Stone pokiwał głową.

— Hobie? — raz jeszcze powtórzył dyrektor z wyraźnym niedowierzaniem. — Cholera, przekazałeś mu akcje? — Musiałem — powiedział Stone. — Inaczej nie chciał się zgodzić.

— Kurwa! — zaklął dyrektor. Ciężko dyszał. — Widzisz, on teraz robi?

Stone popatrzył na niego tępym wzrokiem, po czym pokiwał głową. Był przerażony.

— Co możemy zrobić?

Dyrektor do spraw finansowych zdjął dłonie z futryny. — Zapomnij lepiej o my. Nie ma już my. Składam dymisję. Wynoszę się stąd. Możesz sam ratować sytuację.

- Przecież poleciłeś mi tego faceta! — krzyknął Stone.

— Nie zalecałem, żebyś dał mu akcje, ty durniu! — wrzasnął dyrektor. — Kim ty jesteś?

Bałwanem? Gdybym ci poradził, żebyś poszedł do parku wodnego obejrzeć piranie, czy wsadziłbyś palec do akwarium?

— Musisz mi pomóc — powiedział Stone.

— Radź sobie sam — odrzekł tamten, kręcąc głową. — Ja odchodzę. Teraz mogę ci tylko poradzić, żebyś poszedł do mojego gabinetu i zaczął odbierać telefony. Wszystkie dzwonią. Zacznij od tego, który dzwoni najgłośniej.

— Poczekaj! — zawołał Stone. — Potrzebuję twojej pomocy.

— W walce z Hobiem?! — odkrzyknął dyrektor. — Możesz o tym pomarzyć, stary.

Dyrektor odwrócił się, wkroczył do sekretariatu i znikł. Stone wstał zza biurka, podszedł do drzwi i odprowadził go wzrokiem, Sekretarka wyszła wcześniej, niż powinna. Stone wyszedł na korytarz. W dziale sprzedaży po prawej nie było nikogo. Tak samo w dziale marketingu. Ktoś wyłączył kserokopiarki. Stone nacisnął guzik windy. Dźwięk mechanizmu zabrzmiał wyjątkowo głośno w panującej wokół ciszy. Zjechał dwa piętra niżej. Biuro dyrektora do spraw finansowych było puste. Ktoś powyciągał szuflady i zabrał wszystkie rzeczy osobiste. Stone wszedł do gabinetu. Włoska lampa na biurku wciąż się świeciła, ale komputer był wyłączony. Na blacie z palisandru leżały słuchawki telefonów. Stone podniósł pierwszą z brzegu.

— Słucham — powiedział. — Tu Chester Stone. Powtórzył to dwukrotnie. W końcu odezwała się jakaś kobieta

i poprosiła, żeby poczekał na połączenie. Usłyszał kilka trzasków i dzwonek. Przez chwilę grała łagodna muzyka.

— Pan Stone? — To był nowy głos. — Tu dział upadłości Stone zamknął oczy i zacisnął palce na słuchawce.

— Proszę sekundę poczekać. Łączę z dyrektorem. Znowu usłyszał muzykę. Ostre, natarczywe dźwięki skrzypiec. Jakiś barokowy utwór.

— Pan Stone? — odezwał się jakiś mężczyzna. — Mówi dyrektor działu.

— Słucham — odpowiedział. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Poczyniliśmy stosowne kroki — oświadczył dyrektor. —

Jestem pewny, że rozumie pan nasze stanowisko.

— Okay — odpowiedział Stone. Jakie kroki? Pozew? Więzienie?

— Sytuacja jest jasna, jutro rano wracamy do normalnych Interesów — stwierdził dyrektor.

— Jasna sytuacja? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Sprzedajemy pana dług, rzecz jasna.

- Sprzedajecie dług? — powtórzył Stone. — Nie rozumiem.

— Nie chcemy już pańskich zobowiązań — wyjaśnił dyrektor. — Niewątpliwie to może pan zrozumieć. Papiery te nie mieszczą się już w granicach parametrów finansowych, które są dla nas akceptowalne. Wobec tego je sprzedajemy. To normalne, prawda? Jeśli ktoś ma coś, czego już nie chce, to sprzedaje to za najlepszą cenę, jaką może uzyskać.

— Komu je sprzedajecie? — spytał Stone. Był zupełnie oszołomiony.

— Firmie powierniczej zarejestrowanej na Kajmanach. Złożyła nam ofertę.

— Jaka jest zatem nasza sytuacja?

— Nasza? — zdziwił się dyrektor. — Nie ma już żadnej

naszej sytuacji. Pańskie zobowiązania wobec nas już nie istnieją. Nie ma żadnego my. Nic już

nas nie łączy. Mogę tylko poradzić,
żeby pan nie próbował ponownie nawiązać z nami kontaktu.

Uznamy to za obrazę, na dokładkę do naszych strat.

— Kto teraz jest moim wierzycielem?

— Firma na Kajmanach — cierpliwie wyjaśnił dyrektor. — Jestem przekonany, że ten, kto się za nią kryje, wkrótce zwróci się do pana w sprawie spłaty zadłużenia.

• • •

Jodie miała prowadzić. Reacher wysiadł, obszedł samochód od przodu i usiadł na miejscu pasażera. Jodie odsunęła pokrywę centralnej konsoli, nacisnęła guzik i przesunęła fotel do przodu. Pojechali na południe przez słoneczne okolice Croton, do White Plains. Reacher kręcił się w fotelu, oglądał za siebie. Nikt za nimi nie jechał. Nie dostrzegł niczego podejrzanego. Leniwe popołudnie na przedmieściach. Musiał dotknąć pęcherza na piersi, żeby przypomnieć sobie, że coś się jednak stało.

Jodie pojechała do dużego centrum handlowego. Był to budynek wielkości stadionu wciśnięty między biurowce w gęstej plataninie ulic. Jodie kilka razy zmieniała pas, aż wreszcie wjechała po zakrzywionej rampie na podziemny parking. W środku panował półmrok, na betonie widać było tłuste plamy po oleju, ale w dali dostrzegli szklane drzwi do centrum. Jasno oświetlone wejście przyciągało jak latarnia morska. Jodie znalazła wolne miejsce pięćdziesiąt metrów od wejścia. Zaparkowała, wysiadła i podeszła do automatu parkingowego. Po chwili położyła bilet na desce rozdzielczej, tak że widać go było przez przednią szybę.

— Dobra — powiedziała. — Dokąd najpierw?

Reacher wzruszył ramionami. To nie była dziedzina, na której się znał. W ciągu ostatnich dwóch lat często kupował ubrania, ponieważ nabrał zwyczaju kupowania nowych rzeczy. ilekroć stare wymagały uprania. To był rodzaj defensywy. Dzięki temu nie musiał nosić walizki, nie musiał nauczyć się, jak obsługiwać pralkę w automatycznej pralni. Słyszał o pralkach na monety i pralniach chemicznych, ale obawiał się, że gdy znajdzie się sam w pralni, nie będzie wiedział, jaka jest poprawna procedura. Natomiast oddanie rzeczy do pralni chemicznej byłoby równoznaczne z zobowiązaniem się do przyjścia w to samo miejsce w przyszłości, na co nie miał ochoty. Najprościej było kupić nowe rzeczy i wyrzucić stare. Wobec tego wciąż kupował ubrania, ale nie potrafiłby powiedzieć, gdzie robił zakupy. Po prostu, gdy widział na wystawie odzież, wchodził, kupował to, czego potrzebował, po czym wychodził, nie wiedząc nawet, co to był za sklep.

— W Chicago byłem w jakimś sklepie należącym do całej sieci — powiedział. — Jakaś krótka nazwa. Chyba Gap. Coś takiego. Mieli dobre rozmiary.

Jodie zaśmiała się i wzięła go pod ramię.

— Gap — potwierdziła. — Jest i tu.

Weszli przez szklane drzwi prosto do domu towarowego. W środku było chłodno, w powietrzu unosił się zapach mydła i perfum. Przeszli z działu kosmetyków do odzieżowego, gdzie na stołach leżały sterty letnich ubrań z pastelowej bawełny. Od razu wyszli na główną alejkę centrum w kształcie owalnego toru wyścigowego, wokół którego mieściły się niewielkie sklepy. Ten sam układ powtarzał się na dwóch wyższych poziomach. Na podłodze leżała wykładzina, z głośników płynęła muzyka, wszędzie kręcili się ludzie.

— Gap jest chyba na górze — powiedziała Jodie.

Reacher poczuł zapach kawy. Po drugiej stronie alejki zobaczył bar, który wyglądał jak kawiarniany ogródek we Włoszech. Wewnętrzne ściany pomalowano tak, aby przypominały zewnętrzne mury domu, a płaski czarny sufit udawał nocne niebo. Bar pod dachem udający bar pod niebem, w centrum handlowym pod dachem, usiłującym udawać ulicę handlową pod niebem, z wykładziną zamiast chodnika. — Masz ochotę na kawę? — spytał.

Jodie uśmiechnęła się i pokręciła głową. — Najpierw robimy zakupy, później napijemy się kawy.

Zaprowadziła go do ruchomych schodów. Uśmiechnął się. Wiedział, jak się czuje Jodie. Sam czuł się tak samo piętnaście lat wcześniej. Poszła wtedy z nim, zdenerwowana i niepewna, stała rutynową wizytę w więzieniu wojskowym w Manili. Dla niego był to znany teren, sprawa bez znaczenia, ale dla niej wszystko było nowe i dziwne. Czuł wtedy zadowolenie, że może ją czegoś nauczyć. Cieszył się z jej towarzystwa. Teraz sytuacja się odwróciła. To Jodie dobrze знаła centrum handlowe, wróciła do Ameryki już dawno i zdążyła ją poznać. Teraz on był kimś obcym na jej terenie.

— Może spróbujemy tutaj? — zaproponowała, wskazując niewielki sklep.

To nie był Gap, lecz jakiś butik z wnętrzem ozdobionym deskami i belkami uratowanymi ze starej stodoły. Ubrania z grubej bawełny w spokojnych kolorach leżały ułożone na stołach z przerobionych wozów konnych na kołach z żelaznymi obręczami.

- Wygląda nieźle — odpowiedział, wzruszając ramionami. Jodie wzięła go za rękę. Miała chłodną, szczupłą dłoń.

Zaprowadziła go do butiku, odgarnęła włosy za uszy i zaczęła wybierać rzeczy. Zachowywała się tak jak inne kobiety. Szybkimi ruchami układała w całość różne części garderoby. Para spodni złożonych na dolnej części koszuli. Marynarka na wierzchu położona tak, że widać było część koszuli przy kołnierzu. Zmrużone oczy, zaciśnięte usta. Potrząśnięcie głową. Inna koszula. Kiwnięcie. Prawdziwe zakupy.

— Co myślisz o tym? — spytała.

Jodie wybrała spodnie khaki, ciemniejsze niż większość drelichów, koszulę w zielono-brązową kratę, lekką brązową marynarkę, która doskonale pasowała do całości. Reacher kiwnął głową.

— Wygląda nieźle — powtórzył.

Ceny były wypisane ręcznie na małych metkach zamocowanych na nitkach. Spojrzał na jedną z nich.

— Chryste! — jęknął. — Wykluczone.

- To dobra cena — oznajmiła Jodie. — Jak na taką jakość.

— Nie stać mnie na to, Jodie. Sama koszula kosztowała dwa razy więcej, niż kiedykolwiek wydał na całe ubranie. Te łachy kosztowały tyle, ile zarabiał w ciągu całego dnia, kopiąc baseny Dziesięć godzin, cztery tony ziemi, piasku i kamieni.

— Ja ci to kupię — powiedziała Jodie.

Reacher stał z koszulą w ręku, niepewny, jak zareagować.

— Pamiętasz naszyjnik? — spytała.

Kiwnął głową. Pamiętał. Kiedyś koniecznie chciała mieć naszyjnik, który zobaczyła u jubilera w Manili. Prosty łańcuszek ze złota, w egipskim stylu. Nie był bardzo drogi, ale z pewnością poza zasięgiem jej możliwości. Leon rozpoczął jakiś program wychowawczy obejmujący wyrabianie wewnętrznej dyscypliny i nie chciał za to zapłacić. Reacher kupił jej ten naszyjnik, nie jako urodzinowy prezent, bez żadnej okazji, po prostu dlatego, że ją lubił, a ona chciała go mieć.

— Byłam taka szczęśliwa — wyznała. — Myślałam, że pęknę z radości. Wciąż go noszę. Pozwól mi się teraz zrewanżować, dobrze?

Po chwili namysłu kiwnął głową. - Okay.

Jodie mogła sobie na to pozwolić. Była przecież adwokatką, prawdopodobnie zarabiała fortunę. A to był uczciwy targ, biorąc wszystko we właściwych proporcjach, porównując cenę z dochodami, uwzględniając piętnaście lat inflacji. — Okay — powtórzył. — Bardzo dziękuję.

— Musisz kupić jeszcze skarpetki i bieliznę, prawda? Wybrali skarpetki w kolorze khaki i białe bokserki. Jodie

poszła do kasy i zapłaciła złotą kartą kredytową. Reacher wziął nowe rzeczy, poszedł do przebieralni, zerwał metki i przebrał się. Przełożył pieniądze do kieszeni w nowych spodniach i wyrzucił stare łachy do kosza. Nowe ubranie było trochę sztywne, ale gdy przejrzał się w lustro, uznał, że całkiem nieźle wygląda. Ten strój pasował do jego opalenizny.

— Dobrze ci w tym — powiedziała Jodie, gdy go zobaczyła. — Teraz apteka.
Reacher kupił maszynkę i krem do golenia, szczoteczkę pastę do zębów oraz tubkę maści na oparzenia. Sam za szystko zapłacił i wrzucił rzeczy do brązowej papierowej torby. Gdy szli do kawiarni, minęli restaurację. Reacher poczuł zapach mięsa z rusztu.
— Zjedzmy obiad — zaproponował. — Ja zapraszam.
— Okay — zgodziła się Jodie i znowu wsunęła rękę pod jego ramię.
Za obiad dla dwóch osób Reacher zapłacił tyle, ile kosztowała koszula, co uznał za rozsądną cenę. Zjedli deser i wypili kawę. Niektóre mniejsze sklepy kończyły już pracę.
— Pora do domu — oświadczył. — Od tej chwili musimy naprawdę uważać.
Przeszli ponownie przez dom towarowy, tym razem w odwrotnej kolejności: najpierw dział odzieżowy, potem kosmetyki. Reacher kazał jej się zatrzymać przed wyjściem na parking i najpierw sam wyszedł, żeby się rozejrzeć. Na parkingu było gorąco i wilgotno, ale nie zauważył nikogo podejrzanego. Prawdopodobieństwo wynosiło zapewne jeden do miliona, lecz Reacher wolał nie ryzykować. Poza klientami śpieszącymi do samochodów z pełnymi torbami nie było tu nikogo. Podeszli razem do bravady i Jodie zajęła miejsce za kierownicą. Reacher usiadł obok niej.
— Normalnie którądy pojechałabyś stąd do domu? — spytał.
— Stąd? Pewnie przez FDR Drive.
— Okay — odpowiedział. — Jedź w stronę LaGuardii, wrócimy przez Brooklyn. Przez Most Brookliński.
— Jesteś pewny? — Jodie spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Jeśli masz ochotę na zwiedzanie, są ciekawsze miejsca niż Brooklyn i Bronx.
— Pierwsza zasada: przewidywalność jest niebezpieczna — odrzekł Reacher. — Jeśli wiadomo, którą drogą normalnie pojechałabyś do domu, to dziś jedziemy inną.
— Mówisz serio?
— Jak najbardziej- Kiedyś zarabiałem, ochraniając VIP-ów.
— A więc teraz jestem VIP-em?
— Jak najbardziej — powtórzył Reacher.

• • •

Godzinę później było już ciemno. To najlepsza pora na przejazd przez Most Brookliński. Gdy wjechali na most i zobaczyli przed sobą miliony świateł Manhattanu, Reacher poczuł się jak turysta. To jeden z najwspanialszych widoków świata, pomyślał. Widział prawie wszystkie, które liczyły się w tej rywalizacji.
— Pojeźdź kilka przecznic na północ — poprosił. — Nadjedziemy z większej odległości. Oni się spodziewają, że wrócimy prosto do domu.
Jodie skręciła w prawo i pojechała na północ Lafayette. Okrążyła blok i pojechała znowu na południe Broadwayem. Na skrzyżowaniu z Leonard stanęli na czerwonych światłach. Reacher uważnie obserwował ulicę przed nimi.
— Jeszcze trzy przecznice — odezwała się Jodie.
— Gdzie parkujesz?
- Na podziemnym parkingu w budynku. Dobra. Skręć jedną przecznicę wcześniej. Sprawdzę, czy wszystko w porządku. Zrób kółko i wróć po mnie. Jeśli nie będę czekał na chodniku, jedź na policję. Jodie skręciła w prawo w Thomas. Zatrzymała się, żeby mógł wysiąść. Reacher na pożegnanie poklepał dłońią dach samochodu i ruszył przed siebie. Minął róg i znalazł budynek — duży prostokątny z niedawno odnowionym holem, ciężkimi szklanymi drzwiami z mocnym zamkiem i pionowym rzędkiem guzików opatrzonych wizytówkami. Na kartce pod numerem dwunastym przeczytał Jacob/Garber, tak jakby mieszkały tam dwie osoby. Na ulicy kręciło się niewiele przechodniów, kilka osób z sąsiedztwa wymieniało plotki, inni spacerowali, ale nie wydawali się podejrzani. Wjazd na parking znajdował się nieco dalej. Reacher zszedł stromą rampą do ciemnego podziemia. Ma słabo oświetlonym parkingu nie było nikogo. Dwa szeregi miejsc parkingowych, w sumie piętnaście, bo tam, gdzie powin-no

być szesnaste, znajdowała się rampa. Jedenaście samo-chodów. Reacher sprawdził cały parking. Nikt się nie ukrywał.

Wyszedł na zewnątrz i szybko pomaszerował na Thomas. Przeszedł na drugą stronę ulicy i czekał. Po chwili zobaczył

jadącą na południe Jodie. Zatrzymała się przy krawężniku i Reacher natychmiast wsiadł.

- Wszystko w porządku — powiedział.

Jodie włączyła się do ruchu i zjechała na parking. Światła reflektorów zakołysały się w górę i w dół. Zatrzymała się pośrodku i wjechała tyłem na swoje miejsce. Zgasła silnik.

- Jak można dostać się na górę? — spytał Reacher.

- Tam są drzwi do holu - odpowiedziała, wskazując je ręką.

Reacher zobaczył metalowe schody prowadzące do solidnych, przemysłowych drzwi wzmocnionych przynitowaną stalową płytą, wyposażonych w mocny zamek, taki sam jak szklane drzwi wejściowe. Wysiedli i zamknęli samochód. Reacher wziął jej torbę z ubraniami. Podeszli do drzwi. Jodie otworzyła zamek. W holu nie było nikogo. Na przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi do windy.

- Trzecie piętro — powiedziała Jodie. Reacher nacisnął guzik numer cztery.

— Zejdziemy jedno piętro po schodach -wszelki wypadek.

Zeszli po schodach ewakuacyjnych na trzecie piętro. Reacher kazał Jodie poczekać na podeście, a sam wyrzwał na korytarz Pusty, wysoki i wąski hol. Mieszkanie numer dziesięć po lewej, jedenaście po prawej, dwanaście pośrodku.

— Chodźmy — rzucił.

Czarne drzwi do jej mieszkania były grube i mocne. Judasz na wysokości oczu. Dwa zamki. Jodie otworzyła i weszli do środka. Zamknęła drzwi na klucz i opuściła staroświecką, metalową sztabę przegradzającą całe drzwi. Reacher wcisnął ją na właściwe miejsce. To żelazo gwarantowało, że nikt inny nie wejdzie do środka. Postawił torbę z ubraniami na podłodze przy ścianie. Jodie zapaliła światło. Czekala przy drzwiach, aż Reacher skończy obchód. Hol, salon, kuchnia, sypialnia, łazienka, sypialnia, łazienka, szafy. Duże, bardzo wysokie pokoje. Nikogo nie było. Wrócił do salonu, zdjął marynarkę i rzucił ją na krzesło. Spojrzał na Jodie. Teraz mógł się rozluźnić.

Jodie jednak wcale się nie rozluźniła. Reacher dobrze to widział. Nie patrzyła na niego, wydawała się bardziej spięta niż w ciągu całego dnia. Stała w progu salonu, z dłońmi ukrytymi w rękawach bluzy dresowej, i nerwowo się kręciła. Nie miał pojęcia, co ją dręczyło.

— Wszystko w porządku? — spytał.

Pochyliła głowę, a potem ją poderwała, żeby odrzucić włosy do tyłu.

— Wezmę prysznic — powiedziała. — Jestem gotowa zwałić się do łóżka.

— Cholerny dzień, co?

— Trudno uwierzyć, że to wszystko stało się naprawdę. Jodie przeszła przez pokój, obchodząc Reachera szerokim

łukiem. Nieśmiało pomachała mu na dobranoc, ledwo wysuwając palce z rękawa.

— O której jutro startujemy? — spytał.

— Wystarczy o pół do ósmej.

— Dobra. Dobranoc, Jodie.

Kiwnęła głową i znikła w korytarzu. Reacher słyszał, jak otwiera, a potem zamyka drzwi sypialni. Przez dłuższą chwilę patrzył w tamtą stronę, zaskoczony jej zachowaniem. Usiadł na sofie i zdjął buty. Był zbyt podekscytowany, żeby od razu snuć. Raz jeszcze obszedł całe mieszkanie. W istocie nie był to wcale loft, tylko zwykłe mieszkanie w starym budynku z bardzo wysokimi pomieszczeniami. Zachowała się dawna struktura. Kiedyś była to prawdopodobnie fabryka. Od zewnątrz widać było odstonięte i oczyszczone cegły, od wewnątrz ściany były otynkowane. Ogromne okna zapewne miały dać dość światła

szwaczkom, które prawdo-podobnie pracowały tu sto lat temu.

Nieotynkowane fragmenty ścian miały ciepły kolor cegieł, natomiast cała reszta była pomalowana na biało. Podłoga jasnych, klonowych desek Wystrój wnętrza był chłodny neutralny, jak w galerii. Nic nie wskazywało, że kiedykolwiek żył tu ktoś poza Jodie. Nie dostrzegł żadnych przejawów

rywalizacji dwóch gangów. Wystrój całego mieszkania był wyjątkowo jednolity. Białe sofy, białe krzesła, półki na książki złożone z regularnych prostopadłościanów pomalowanych taką samą białą farbą jak ściany. Rury grzewcze i kaloryfery — też białe. Jedynym kolorowym akcentem w salonie była kopia obrazu Mondriana wisząca nad dużą sofą. To była dokładna kopia — ręcznie namalowana farbami olejnymi na płótnie. Żadnych wulgarnych czerwieni, żółci i błękitu. Wyłącznie Stonowane kolory, z autentycznymi drobnymi pęknięciami na powierzchni. Biel wydawała się bliska szarości. Reacher stał i ze zdumieniem wpatrywał się w obraz. Piet Mondrian zawsze był jego ulubionym malarzem, a ten obraz stanowił jego ulubione dzieło. Kompozycja z czerwienią, żółcią i błękitem. Mondrian namalował ten obraz w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, a Reacher widział oryginał w Zurychu.

Naprzeciwko sofy stała wysoka witryna pomalowana na biało jak wszystko. Niewielki telewizor, wideo, pudełko od telewizji kablowej, odtwarzacz CD z podłączonymi dużymi słuchawkami. Niewielka kolekcja płyt, głównie jazzu z lat pięćdziesiątych. Lubił taką muzykę, ale nie wariował na jej punkcie. Okna wychodziły na dolny Broadway. Słysząc było nieustanny szum uliczny, migotały światła neonów. Od czasu do czasu rozlegało się wycie syren rozchodzące się wzdłuż ulic. Reacher pokręcił przezroczystym prętem, zmienił ustawienie żaluzji i spojrzał w dół, na chodnik. Wciąż te same grupki gadających ludzi. Żadnych powodów do zdenerwowania. Zaciągnął szczelnie żaluzje.

Wszedł do ogromnej kuchni. Wszystkie kredensy i szafy były wykonane z drewna i pomalowane na biało. Urządzenia domowe z nierdzewnej stali, jak piec do pieczenia pizzy w restauracji. Zdarzyło mu się już mieszkać w pomieszczeniach mniejszych od lodówki Jodie. Otworzył drzwiczki. W środku stało kilka butelek jego ulubionej wody, którą regularnie pił w Keys. Wziął jedną i poszedł do gościnnego pokoju.

Sypialnia była wykończona na biało, jak całe mieszkanie. Drewniane meble kiedyś były innego koloru, ale zostały prze-

malowane. Postawił butelkę na nocnym stoliku. I poszedł do łazienki. Biała glazura, biała umywalka, biała wanna, wszystko z porcelany i stali. Wrócił do sypialni, zaciągnął żaluzje, rozebrał się i starannie ułożył ubranie na komodzie. Zrzucił narzutę, położył się do łóżka i popadł w zadumę.

Iluzja i rzeczywistość. Jakie znaczenie ma dziewięć lat różnicy wieku? Bardzo duże, gdy ona miała piętnaście, a on dwadzieścia cztery. Ale teraz? On miał trzydzieści osiem, ona dwadzieścia dziewięć lub trzydzieści, nie był tego pewny. W czym tkwi problem? Dlaczego nie robi czegoś? Może to nie chodziło o różnicę wieku. Może przyczyną był Leon. Jodie była jego córką i zawsze będzie. Reacher czuł się winny, bo miał wrażenie, że Jodie jest jakby jego młodszą siostrą czy bratanicą. To oczywiście bardzo go blokowało, ale przecież to była wyłącznie iluzja. Jodie to córka starego przyjaciela, to wszystko. Dlaczego zatem czuł się winny, gdy patrzył na nią i wyobrażał sobie, jak ściąga z niej bluzę i rozpina pasek? Dlaczego właśnie tego nie robi? Do diabła, dlaczego leżał w gościnnym pokoju, zamiast być po drugiej stronie ściany w łóżku z Jodie? Tak o tym myślał w ciągu niezliczonych nocy w przeszłości, kiedy z tęsknotą, niekiedy z pożądaniem? Być może dlatego, że jej rzeczywistość wywodziła się z podobnych iluzji. Jeśli myślał o niej jak o młodszej siostrze bratanicy, to ona uważała go za starszego brata lub wujka. Oczywiście bardzo go lubiła, ale to tylko pogarszało sprawę. Uczucie do ulubionego wujka to coś szczególnego. Ulubieni wujkowie mają swoje role. Role rodzinne, takie jak rozpuszczanie dziecka i wspólne zakupy. Ulubieni wujkowie nie próbują

nawiązać kontaktu erotycznego. To byłoby dla niej jak piorun z jasnego nieba, uznałaby to za zdradę, za coś okropnego, kazirodczego, niepożądanego, psychologicznie szkodliwego. Ona jest po drugiej stronie ściany, pomyślał Reacher. Nic nie mógł na to poradzić. Zupełnie nic. To nigdy się nie stanie. Wiedział, że doprowadzi go to do szaleństwa, dlatego zmusił się, żeby przestać o niej myśleć. Skupił się na rzeczywistości, nie zaś na złudzeniach. Ci dwaj faceci, kimkolwiek byli. Z pewnością znają już jej adres. Są dziesiątki sposobów, żeby znaleźć czyjś adres. W tym momencie mogą być gdzieś w pobliżu. Reacher przejrzał w myślach rozkład budynku. Drzwi frontowe zamknięte. Drzwi z parkingu zamknięte. Drzwi do mieszkania zamknięte i zablokowane. Okna wszystkie zamknięte. Żaluzje zaciągnięte. Tej nocy byli bezpieczni, natomiast jutro rano powinni się liczyć z niebezpieczeństwem. Poważnym niebezpieczeństwem. Reacher postarał się zapamiętać wszystko, co wiedział o tamtych dwóch. Ich samochód, garnitury, budowę ciała, twarze.

• • •

Dokładnie w tym momencie już tylko jeden z tych dwóch facetów miał twarz. Wyplłynęli razem na ciemne wody nowojorskiego portu piętnaście kilometrów na południe od miejsca, gdzie leżał Reacher. Wspólnie otworzyli plastikową torbę i wyrzucili zimne zwłoki sekretarki do oleistych fal Atlantyku. Jeden odwrócił się do drugiego, żeby powiedzieć jakiś kawał, ale w tym momencie facet z berettą z tłumikiem wyciągnął swoją broń i strzelił koledze prosto w twarz. Jeszcze raz i jeszcze raz. Kule trafiły w trzy różne miejsca, bo ofiara już się przewracała. Twarz zabitego była jedną wielką raną. Morderca oparł jego rękę na mahoniowej poręczy i odciął dłoń stalowym tasakiem, który ukradł z restauracji. Musiał uderzyć aż pięć razy. To była brudna robota. Wrzucił dłoń do plastikowej torby i zepchnął ciało do wody. Osunęło się w głąbinę bez najmniejszego szmeru, niecałe dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie już tonęły zwłoki sekretarki.

7

Jodie obudziła się wcześniej rano, co było dla niej czymś niezwykłym. Normalnie spała aż do dzwonka budzika, a potem z trudem zwlekała się z łóżka i zasnęła do łazienki. Tego dnia obudziła się godzinę wcześniej, niż musiała. Oddychała płytko, a jej serce biło w przyśpieszonym tempie.

Sypialnia Jodie była biała podobnie jak pozostałe pokoje. Wielkie białe łóżko stało zagłówkiem przy ścianie naprzeciwko okna. Za ścianą znajdował się pokój gościnny, urządzone symetrycznie. To oznaczało, że jego głowa znajdowała się teraz w odległości mniejszej niż pół metra od jej głowy. Po drugiej stronie ściany.

Jodie dobrze wiedziała, z czego zbudowana jest ściana. Kupiła to mieszkanie, nim zostało ukończone. Przez kilka miesięcy często tu przychodziła, żeby nadzorować przebudowę. Dwie sypialnie oddzielała oryginalna, stulenia ściana. Potężna belka stropowa podtrzymywała ścianę z cegieł sięgającą aż do sufitu. Murarze wykończyli ją w europejskim stylu, nakładając po obu stronach grubą warstwę tynku. Architekt uważał, że to zwiększy solidność konstrukcji, zapewni lepszą izolację dźwiękową i odporność na ogień. Teraz od Reachera dzieliły ją trzy warstwy: tynk, cegła, tynk.

Kochała go. Nie miała w tej sprawie wątpliwości. Najmniej-szej wątpliwości. Zawsze go kochała, od samego początku.

Czy to było w porządku? Czy mogła go darzyć taką miłością? Już wcześniej męczyło ją to pytanie. Wiele lat temu często traciła całe noce na takie rozmyślenia. Wstydziła się swoich uczuć. Wobec dziewięciu lat różnicy wieku takie uczucia były obsceniczne. Haniebne. Wiedziała to. Piętnastoletnia dziewczynka nie powinna tak myśleć o koledze ojca. Zgodnie z kodeksem wojskowym było to niemal kazirodztwo. To tak, jakby pożądała swojego wujka. Niemal tak, jakby myślała w ten sposób o ojcu. A mimo to kochała Reachera. Nie miała najmniejszej wątpliwości.

Gdy tylko nadarzała się okazja, spędzała czas w jego towarzystwie. Często z nim rozmawiała. Dotykała go, kiedy tylko pozwalały na to okoliczności. Miała swoją odbitkę zdjęcia wykonanego w Manili aparatem z samowyzwalaczem, na którym obejmuje go w pasie. Od piętnastu lat trzymała je między Stromcami książki. Spoglądała na nie mnóstwo razy. Przez lata żyła wspomnieniem, jak go dotykała, jak obejmowała, pozując do zdjęcia. Wciąż pamiętała jego twarde mięśnie, jego zapach.

Nigdy nie pozbyła się tych uczuć. Chciała o nim zapomnieć. Chciała uznać, że to było tylko zadurzenie nastolatki. Nieprawda. Świadczyła o tym trwałość jej uczuć. Reacher zniknął, ona dorosła, zaczęła nowe życie, ale wciąż go kochała. Jej uczucia nie osłabły, trwały równoległe do głównego nurtu jej życia. Zawsze były obecne, zawsze rzeczywiste, zawsze tak samo silne, ale niezwiązane już z codziennym życiem. Podobnie jak pragnienia niektórych jej znajomych, prawników i bankierów, którzy naprawdę chcieli być tancerzami lub piłkarzami. Marzenie z przeszłości, niezwiązane z rzeczywistością, ale definiujące charakter danej osoby. Prawnik, który chciał być tancerzem. Bankier, który chciał być piłkarzem. Rozwiedziona trzydziestoletnia kobieta, która zawsze chciała być z Jackiem Reacherem.

Wczorajszy dzień powinien być najgorszym dniem w jej życiu. Pochowała ojca, swego ostatniego krewnego. Zaatakowali ją uzbrojeni bandyci. Znała ludzi, którzy musieli iść na psychoterapię po mniej traumatycznych przeżyciach. Powin-czuć się nieszczęśliwa i zszokowana. Tak jednak nie było. To był najlepszy dzień w jej życiu. Jack pojawił się niczym zjawą na schodach za garażem, ponad trawnikiem. Promienie południowego słońca padały prosto na jego głowę. Poczwała gwałtowne bicie serca, a dawne uczucia wróciły jeszcze silniejsze i gwałtowniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. To było jak zastrzyk narkotyku, jak uderzenie gromu.

Traciła czas. Wiedziała. Musiała to przyjąć do wiadomości. On patrzył na nią jak na bratanicę lub młodszą siostrę. Tak

jakby dziewięcioletnia różnica wieku wciąż miała znaczenie, już nie było istotne. Małżeństwo piętnastolatki z dwudziestoczteroletnim mężczyzną mogłoby stanowić pewien problem, ale trzydziestoletniej kobiety z trzydziestodwuletnim mężczyzną byłoby czymś najzupełniej normalnym. Są tysiące małżeństw między osobami różniącymi się wiekiem znacznie bardziej. Nawet miliony. Są siedemdziesięcioletni faceci, którzy żenią się dwudziestoletnimi dziewczynami. A może on po prostu za bardzo przywykł widzieć w niej córkę Leona. Była dla niego kuzynką. Córką dowódcy. Zasady moralne, zwłaszcza regulamin wojskowy, uniemożliwiały mu spojrzenie na nią w inny sposób. To zawsze budziło w niej gniew. W dalszym ciągu tak było. Leon lubił go, praktycznie zagarnął go dla siebie jako zastępczego syna, a tym samym odebrał go jej. To od samego początku uniemożliwiło ich związek.

Spędzili cały dzień razem jak brat z siostrą, wuj z bratanicą. Potem on bardzo spoważniał, zachowywał się jak jej ochroniarz, tak jakby do jego zawodowych obowiązków należało zapewnienie jej bezpieczeństwa. To wszystko. Nie mogła liczyć na nic więcej. Ani teraz, ani w przyszłości. I nic nie mogła na to poradzić. Zupełnie nic. Zdarzało się jej zapraszać mężczyzn na randki. Wszystkie kobiety w jej wieku tak się zachowywały. To było dopuszczalne.

Akceptowane, nawet normalne. Cóż jednak mogła jemu powiedzieć? Co może o swej miłości powiedzieć siostra do brata lub bratanica do wuja, nie powodując odrazy i szoku? Zatem to wykluczone, już nic nie da

Wyciągnęła się na łóżku i uniosła ręce nad głowę. Dotknęła dłońmi ściany, która ich dzieliła. Przynajmniej był w jej mieszkaniu i mogła o nim marzyć.

• • •

Egzekutor Hobbego w pojedynkę dopłynął motorówką do przystani, zacumował, zamknął kabinę i poszedł do domu. Udało mu się przespać tylko trzy godziny. Wstał o szóstej rano, wziął szybki prysznic i wyszedł bez śniadania. W torbie ze sklepu spożywczego Zabar's, która została mu po ostatnich zakupach, niósł zapakowaną w foliowy worek i owiniętą wczorajszą

gazetą dłoń zabitego kompana.

Wsiadł do czarnego tahoe i szybko dojechał na miejsce. O tej porze na ulicach było jeszcze luźno, jeździły głównie samochody dostawcze. Zaparkował pod ziemią i pojechał na osiemdziesiąte ósme piętro. Recepcjonista Tony już siedział na swoim stanowisku z dębem i mosiądzu. W biurze panowała zupełna cisza. Egzekutor wyczuł, że Hobięgo jeszcze nie ma. Podniósł torbę, tak jakby była trofeum.

— Przyniosłem to dla Haka — powiedział.

— Hak dziś nie przyjdzie — rzekł Tony.

— Wspaniale — kwaśno mruknął egzekutor.

— Wsadź to do lodówki — poradził Tony.

Obok recepcji znajdowała się niewielka kuchnia, ciasna i brudna, jak często w biurach. Ślady po rozlanej kawie na blacie, brudne kubki. Mała lodówka pod kredensem. Egzekutor przesunął na bok mleko i sześć puszek piwa, po czym wcisnął paczkę na półkę.

— Celem na dzisiaj jest pani Jacob — oznajmił Tony. Stał w progu kuchni. — Wiemy, gdzie mieszka. Dolny Broadway, na północ od ratusza. Osiem przecznic stąd. Sąsiedzi twierdzą, że zawsze wychodzi z domu dwadzieścia po siódmej i idzie pieszo do pracy.

— Czyli dokąd?

— Róg Wall Street i Broadwayu. Ja będę prowadził, ty ją złapiesz.

• • •

Chester Stone pojechał do domu o normalnej porze i nic nie powiedział żonie. Nie mógł się na to zdobyć. Był zupełnie oszołomiony tempem upadku. W ciągu jednego dnia zawałił się jego świat. Nie mógł opanować zdarzeń. Zamierzał zapomnieć o wszystkim do rana, a w ciągu dnia pojechać do Hobięgo i spróbować przemówić mu do rozsądku. W głębi serca wierzył, że zdoła się uratować. Na litość boską, przecież jego firma iczyła już dziewięćdziesiąt lat! Praca trzech kolejnych Ches-terów Stone'ów. To wszystko nie mogło zniknąć z dnia na dzień. Nic nie powiedział Marilyn i dotrwał w oszołomieniu do końca wieczoru.

Marilyn też nic mu nie powiedziała. Było jeszcze za wcześnie na informowanie go, że to ona przejęła inicjatywę. Taka

rozmowa musiała się odbyć w odpowiednich okolicznościach. Chodziło o jego dumę. Marilyn krzątała się po domu, wykonując

wszystkie normalne czynności, a potem spróbowała usnąć, Chester leżał obok niej i wpatrywał się w sufit. • • •

Gdy Jodie dotykała dłońmi ściany dzielącej sypialnię, Rea-cher był pod prysznicem.

Wypracował trzy schematy porannej toalety i każdego ranka musiał dokonać wyboru.

Pierwszy — wyłącznie prysznic. To zajmowało mu jedenaście minut. Drugi — golenie i prysznic. Dwadzieścia dwie minuty. Trzeci miał charakter specjalny i rzadko go stosował.

Składał się z trzech etapów: prysznic, golenie, ponowny prysznic. To zajmowało mu pół godziny, ale zapewniało dobre nawilżenie skóry. Jakaś dziewczyna wytłumaczyła mu, że golenie lepiej wychodzi, jeśli skóra jest dokładnie nawilżona. Dodała, że nikomu jeszcze nie zaszkodziła dwukrotna kąpiel.

Tego ranka Reacher wybrał najdłuższą procedurę. Prysznic, golenie, prysznic. Sprawilo mu to przyjemność. Gościenna łazienka Jodie była przestronna, a główka prysznica wisiała tak wysoko, że nie musiał się pochylać, co rzadko się zdarzało. Na półce stało kilka butelek szamponu. Podejrzał, że nie przypadły one do gustu Jodie, dlatego poszły w odstawkę do łazienki gościńskiej, ale to mu nie przeszkadzało. Znalazł szampon rzekomo przeznaczony do włosów suchych i zniszczonych przez słońce. Uznał, że właśnie czegoś takiego potrzebuje. Polał włosy szamponem i natarł je, żeby wytworzyć pianę. Umył całe ciało żółtym mydłem i starannie opłukał. Wyszedł z kabiny, żeby się ogolić nad umywalką. Spływająca z niego woda utworzyła kałużę na posadzce. Golił się pedantycznie, zaczynając od kości policzkowych, przesuwając maszynkę do góry i do dołu. Potem wrócił pod prysznic.

Mycie zębów zajęło mu pięć minut. Nowa szczoteczka była bardzo twarda i Reacher czuł, że dobrze działa. Wytarł się i włożył spodnie. Pótnagi poszedł do kuchni, żeby coś zjeść. Jodie już tam była. Również przed chwilą wyszła spod prysznic. Jej ciemne, mokre włosy opadały prosto na plecy. Miała na sobie za dużą koszulę z krótkimi rękawami, z cienkiego materiału, kończącą się dwa centymetry powyżej kolan. Chodziła na bosaka, miała długie i szczupłe nogi. Była bardzo szczupła, z wyjątkiem miejsc, gdzie nie powinna. Reacher czuł, że z trudem oddycha.

— Dzień dobry, Reacher — rzuciła. - Dzień dobry, Jodie.

Patrzyła na niego. Pożerała go wzrokiem. Jej twarz miała dziwny wyraz.

- Pęcherz — powiedziała. — Wygląda gorzej niż wczoraj.

Reacher przyjrzał się ranie. Była czerwona i zaogniona. Rozszerzyła się i nabrzmiała.

— Posmarowałeś ranę? — spytała. Pokręcił głową.

— Nieważne.

— Przynieś maść — poleciła.

Wrócił do łazienki i znalazł tubkę w brązowej torbie. Przyniósł ją do kuchni i podał Jodie.

Odkręciła zakrętkę, przedziurawiła plastikowym kolcem metalowe zamknięcie i wycisnęła nieco maści na opuszkę wskazującego palca. Robiła to

ze skupieniem, lekko przygryzając język. Podeszła do niego

podniosła rękę. Delikatnie dotknęła pęcherza i zaczęła nakładać maść. Reacher patrzył w

ścianę nad jej głową. Stała niecałe pół metra od niego. Masowała palcem jego pierś. Pragnął

wziąć ją w ramiona. Chciał podnieść ją i przycisnąć do siebie. Delikatnie pocałować,

zaczynając od szyi. Unieść jej twarz i pocałować w usta. Jodie zakreślała palcem niewielkie

kółka na jego klatce piersiowej. Czuł zapach jej wilgotnych włosów, jej skóry. Przesunęła

palce wzdłuż rany. Trzydzieści centymetrów od niego, naga pod koszulą. Gwałtownie sapnęła i

zacisnęła pięści. Jodie odsunęła się o krok. — Bolało? — spytała. - Co?

— Bolało cię? Spojrzał na jej palec błyszczący od maści.

— Tylko trochę — powiedział.

— Przepraszam, ale to było konieczne. — Też tak sędzę — odparł, kiwając głową. Zwalczył

kryzys. Jodie zakręciła tubkę, a on odsunął się od

niej wyłącznie po to, żeby się ruszyć. Wyciągnął z lodówki butelkę wody. Na blacie kredensu

leżał banan. Jodie położyła lekarstwo na stole.

— Idę się ubrać — stwierdziła. — Niedługo powinniśmy wyjść.

— Okay. Będę gotowy.

Jodie znikła w swojej sypialni. Reacher napił się wody i zjadł banana. Wrócił do sypialni,

włożył koszulę i wcisnął ją w spodnie. Znalazł skarpetki i buty. Włożył marynarkę. Poszedł do

salonu i tam czekał na Jodie. Podniósł żaluzję, otworzył okno, wychylił się i popatrzył na ulicę trzy piętra niżej.

Rano ulica wyglądała zupełnie inaczej niż wieczorem. Znikły światła reklam, natomiast nad budynkami po przeciwnej stronie pojawiło się słońce i jego promienie odbijały się od szyb.

Znikły również grupki leniwych plotkarzy. Ich miejsce zajęli poruszający się energicznie przechodnie, niewątpliwie śpieszący do pracy. Niektórzy nieśli papierowe kubki z kawą i jedli słodkie bułki. Taksówkarze przepychali się między samocho-

dami, co chwila trąbiąc. Wiał lekki wiatr. Reacher czuł zapach rzeki.

Budynek stał po zachodniej stronie dolnego Broadwayu, ulicy jednokierunkowej. Samochody

jechały na południe. Normalnie, idąc do pracy, Jodie po wyjściu z budynku skręciłaby w

prawo i poszła zgodnie z kierunkiem ruchu. Zapewne by szła prawą stroną chodnika, żeby

być w słońcu. Przeszłaby na drugą stronę Broadwayu na światłach, pewnie po minięciu

sześciu lub siedmiu przecznic. Przemaszerałaby ostatnie parę kwartałów po lewej stronie i skręciła w lewo w Wall Street, do swego biura.

Jak oni chcą ją porwać? Myśl tak jak przeciwnik. Myśl tak jak ci dwaj. Silni fizycznie, dalecy od

wszelkiej subtelności, skłonni do użycia przemocy, groźni, ale w istocie amatorzy. Było jasne, co robią. Na pewno czekają w czterodrzwiowym samochodzie w bocznej ulicy, jakieś trzy kwartały na południe. Zaparkowali na prawym pasie, przodem na wschód. W każdej chwili mogą ruszyć i skręcić w prawo w Broadway. Siedzą w milczeniu na przednich siedzeniach. Wpatrują się przed siebie, czekając, aż Jodie przejdzie przed nimi. Albo pośpiesznie przejdzie przez jezdnię, albo zatrzyma się na światłach. Poczekają chwilę, ruszą powoli naprzód i skręcą w prawo. Dogonią ją i wyprzedzą. Ten siedzący na miejscu pasażera wyskoczy tuż przed nią, chwyci ją, wepchnie na tylne miejsce i sam wsiądzie. Jeden szybki, brutalny ruch. Metoda dość prymitywna, ale niezbyt trudna. Właściwie całkiem łatwa. Sukces praktycznie pewny, ryzyko zależy od ofiary i jej czujności. Reacher wiele razy to robił, atakując ofiary znacznie silniejsze i czujniejsze niż Jodie. Raz nawet zrobił to z pomocą Leona, który prowadził samochód.

Reacher wychylił się do pasa za okno. Spojrzał w prawo. Przyjrzał się trzem następnym skrzyżowaniom. Gdzieś tam czekają.

— Jestem gotowa! — zawołała Jodie.

• • •

Zjechali razem dziewięćdziesiąt pięter do podziemnego garażu. Podeszli do miejsc wynajętych razem z biurem Hobiego.

- Lepiej weźmy suburbana — powiedział egzekutor. — Wpiększy.

— Dobra — zgodził się Tony. Otworzył drzwiczki i usiadł za kierownicą. Egzekutor zajął miejsce pasażera. Spojrzał na pustą platformę ładunkową. Tony zapalił silnik i ruszył w kierunku wyjazdu z parkingu. — Jak to zrobimy? — spytał Tony. Tamten uśmiechnął się z dużą pewnością siebie. — Prosta sprawa. Będzie szła na południe Broadwayem. Poczekamy za rogiem, aż ją zobaczymy. Kilka przecznic na południe od jej domu. Gdy ją dostrzeżemy, wjedziemy na Broadway, dogonimy ją, no i to załatwi sprawę, nie?

— Nie — odrzekł Tony. — Zrobimy to inaczej.

— Dlaczego? — Egzekutor spojrzał na niego. Tony skręcił z piskiem opon. Wyjechali na słońce.

— Dlatego że nie jesteś zbyt bystry — powiedział. — Jeśli tak to zamierzałeś zrobić, to na pewno jest lepszy sposób. Spieprzyłeś sprawę w Garrison. Spieprzysz i tutaj. Pewnie towarzyszy jej ten facet, jak mu tam, Reacher. Pokonał was tam, pokona cię tutaj. Wobec tego, jeśli to jest twój najlepszy plan, jest to ostatnie rozwiązanie, jakie moglibyśmy zastosować.

— Zatem jak chcesz to załatwić?

— Wyjaśnię ci to bardzo starannie — odrzekł Tony. — Postaram się mówić prostym językiem, żebyś zrozumiał.

• • •

Reacher zamknął okno. Obrócił klamkę i opuścił żaluzję. Jodie stała w holu, z włosami pociemniałymi od wilgoci, ubrana w prostą, lnianą sukienkę bez rękawów i sandały. Sukienka była tego samego koloru, co jej mokre włosy, ale gdy wyschną, będzie ciemniejsza. Miała torebkę zawieszoną na ramieniu i dużą skórzaną teczkę, jakich często używają piloci samolotów do wynajęcia. Na pewno była bardzo ciężka. Jodie postawiła ją na podłodze i pochyliła się do torby z ubraniami, która wciąż stała pod ścianą. Wyciągnęła kopertę z testamentem Leona, otworzyła teczkę i schowała dokument do środka.

- Może ja to wezmę? — zaproponował Reacher, wskazując teczkę.

Jodie się uśmiechnęła i pokręciła głową. — To miasto związków zawodowych — powiedziała.

— Tutaj ochroniarze nie pełnią obowiązków tragarzy.

— Wydaje się dość ciężka.

— Jestem już dużą dziewczynką — odparła, patrząc na niego.

Reacher kiwnął głową. Podniósł żelazną sztabę i ustawił ją w pionowym położeniu. Jodie pochyliła się obok niego i otworzyła zamki. Ten sam zapach perfum, subtelny i kobiecy.

Widział jej smukłe, niemal chude ramiona. Mocno napinała mięśnie lewej ręki, żeby udźwignąć teczkę.

- Jaką dziedziną prawa się zajmujesz? — spytał.

— Finanse — odpowiedziała.

Reacher otworzył drzwi. Wyrzął ostrożnie na korytarz. Nikogo nie było. Żarówka windy wskazywała, że ktoś zjeżdża z drugiego piętra.

— Co to właściwie znaczy?

Wyszli na korytarz i wezwali windę.

— Najczęściej chodzi o zmianę terminu spłat kredytu — wyjaśniła. — W istocie jestem raczej negocjatorem, a nie prawnikiem. Doradcą, mediatorem, rozumiesz?

Reacher niezbyt rozumiał, co Jodie robi. Sam nigdy nie miał długów. Nie z powodu wrodzonej cnoty, lecz raczej braku okazji. Wszystkie jego podstawowe potrzeby zaspokajała armia. Dach nad głową, jedzenie na talerzu. Przywykł do tego, że nie ma większych potrzeb. Miał jednak kolegów, którzy popadli w kłopoty finansowe. Kupowali domy na kredyt hipoteczny albo samochody na raty, a potem nie radzili sobie ze spłatą. Zwykle takimi sprawami zajmował się kompanijny sierżant. Rozmawiał z bankiem, ustalał plan spłat, potrącał odpowiednie kwoty z żołdu. Reacher przypuszczał, że to były grosze w porównaniu z sumami, jakimi zajmowała się Jodie.

— Gra o miliony dolarów, tak? — spytał. Przyjechała winda. Drzwi otworzyły się automatycznie.

- Co najmniej — odpowiedziała. — Zwykle dziesiątki milionów, czasami setki.

W windzie nikogo nie było. Weszli do środka. — Lubisz to zajęcie? — spytał.

- Oczywiście. Jeśli ktoś musi pracować, to trudno o lepszą robotę.

Winda zatrzymała się na parterze z lekkim szarpnięciem. - Jesteś w tym dobra?

- Tak — odpowiedziała po prostu. — Najlepsza na Wall Street, nie mam żadnych wątpliwości.

Reacher się uśmiechnął. Jodie była nieodrodną córką Leona.

Drzwi windy otworzyły się samoczynnie. Pusty hol, drzwi frontowe właśnie się zamykały za jakąś grubą kobietą, która szła po schodkach na ulicę.

- Kluczyki do samochodu? — poprosił.

Jodie trzymała je w ręku. Wielki pęk na mosiężnym kółku. — Poczekaj tutaj — polecił jej. — Podjadę do schodów.

To potrwa tylko chwilę.

Drzwi z holu do garażu można było otworzyć od wewnątrz, naciskając klamkę. Reacher zszedł po metalowych schodach. Idąc przez ciemny parking, rozglądał się uważnie na boki. Nikogo nie zauważył. Pewnym krokiem podszedł do wielkiego, ciemnego chryslera, dwa miejsca od samochodu Jodie. Szybko przykucnął i spojrzał pod samochody. Nikt nie czał się na podłodze. Wstał i przecisnął się między maską chryslera a ścianą. Minął jeszcze jeden samochód. Znowu przykucnął, z trudem wciskając się między zderzak oldsmobile'a i mur. Odwrócił głowę i spojrzał, czy z samochodu nie wiszą jakieś druty, których tam być nie powinno. Niczego nie dostrzegł. W porządku. Żadnych bomb.

Otworzył drzwiczki i wślizgnął się za kierownicę. Zapalił silnik, wyjechał na centralną alejkę, po czym cofnął się pod schody. Przechylił się na bok i otworzył drzwiczki po stronie pasażera. W tym momencie Jodie wyszła z holu, zbiegła po schodach, wskoczyła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. To była jedna gładka operacja. Reacher wrzucił jedynkę, wyjechał po rampie na ulicę i skręcił w prawo.

Słońce na wschodzie przez chwilę świeciło mu w oczy, ale gdy skręcił na południe, przestał mieć z tym kłopot. Od pierwszej przecznicy dzieliło go trzydzieści metrów. Samochody powoli przesuwają się naprzód. Gdy zapaliły się czerwone światła, przed nim stały trzy auta. Reacher jechał prawym pasem, dlatego nie mógł zajrzeć w głąb przecznicy, z której wylewał się strumień wozów. Widział jednak, że w pewnym miejscu strumień zwalnia, tak jakby

samochody musiały ominąć jakąś przeszkodę. Może był nią zaparkowany czterodrzwiowy samochód? Po chwili strumień dopływający z boku zatrzymał się i światła na Broadwayu zmieniły się na zielone.

Reacher przejechał przez skrzyżowanie, kątem oka zerkając na drogę, ale wpatrując się w przecznicę. Nie zauważył nic istotnego. Żaden zaparkowany czterodrzwiowy samochód nie blokował drogi. Przeszkodą był pomalowany w jaskrawe pasy koziołek stojący przed otwartą studzienką. Dziesięć metrów dalej stała furgonetka z elektrowni. Na chodniku zauważył kilku robotników. Rozmawiali i popijali coś z puszek. Samo chody zwolniły i znowu się zatrzymały. Kolejne światła. Tym razem przed nim stały cztery auta.

To nie ta ulica. Na przecznicy był zły kierunek ruchu — ze wschodu na zachód. Reacher miał dobry widok po lewej, co najmniej pięćdziesiąt metrów w głąb ulicy. Niczego nie zauważył. To będzie następna, pomyślał.

Reacher wolałby się nie ograniczać do minięcia tych dwóch facetów. Mógłby zrobić pętlę, żeby podjechać do nich od tyłu. Zaparkować sto metrów za nimi i podejść. Z pewnością cały czas patrzą przed siebie, obserwując przejście przez główną ulicę. Mógłby im się dobrze przyjrzeć. I nie tylko. Mógłby również wsiąść do ich samochodu. Z pewnością nie zamknęli tylnych drzwiczek. Siedzą i patrzą przed siebie. Mógłby szybko wskoczyć na tylny fotel, chwycić każdego za głowę i walnąć jedną o drugą jak muzyk grający na talerzach. Po kilku takich uderzeniach zaczęliby odpowiadać na pewne podstawowe pytania.

Jednakże nie mógł tego zrobić. Skoncentruj się na głównym zadaniu -to jedna z jego zasad. Głównym zadaniem było

odeskortowanie Jodie do kancelarii. Ochrona polega na defensywie. Jeśli miesza się defensywę z ofensywą, ani jedno, ani drugie nie może być właściwie wykonane. Jak powiedział Jodie, zarabiał na życie jako ochroniarz. Był wyszkolony, i to dobrze, oraz miał ogromne doświadczenie. Zatem zamierzał trzymać się defensywy i uznać, że zwyciężył, jeśli Jodie cała t zdrowa przekroczy próg swego biura. Natomiast nie zamierzał wyjaśniać jej, jak poważna jest sytuacja. Nie chciał, żeby się denerwowała. Niezależnie od tego, w co wdał się Leon, nie było żadnego powodu, żeby ta sprawa miała przysporzyć jej umartwień. Leon nie życzyłby sobie takiego obrotu zdarzeń. Leon oczekiwałby po nim, że sam się wszystkim zajmie. Tak Właśnie zamierzał zrobić. Odprowadzić ją do biura bez żadnych Bliższych wyjaśnień, bez ponurych ostrzeżeń.

Zielone światło. Pierwszy samochód ruszył naprzód, po nim drugi i trzeci. Reacher puścił sprzęgło. Sprawdził odległość do samochodu przed nim i spojrzał w prawo. Gdzie oni są? Wąską przecznicę wypełniały dwie kolumny samochodów stojących na światłach. Nikt nie czekał na prawym pasie. Tu ich nie było. Przejechał powoli przez skrzyżowanie. Nikogo nie zauważył. Odetchnął, rozluźnił się i popatrzył przed siebie. Magle rozległ się głośny, metaliczny trzask. Zgrzyt rozdziera-

nego metalu, gwałtowne przyśpieszenie, jakby otrzymali potęż-kopnięcie. Wpadli na samochód przed nimi i stanęli. Po-szki powietrzne eksplodowały z głośnym hukiem. Reacher widział, jak Jodie poleciała do przodu. Pasy zatrzymały jej ciało, ale głowa wciąż leciała naprzód. Uderzyła w poduszkę, Odbiła się od niej i uderzyła w zagłówek. Widział ją zupełnie wyraźnie, jakby była nieruchoma, natomiast całe wnętrze samochodu wydawało się rozsmazane, ponieważ jego głowa poruszała się dokładnie tak samo jak jej. Pod wpływem podwójnego uderzenia Reacher puścił kierownicę. Poduszka powietrzna już się zapadała. Spojrzał w lusterko, Zobaczył czarną maskę wielkiego samochodu wbitą w tył ich bravado. Górna część pociętej chromowanej osłony chłodnicy. Jakaś ogromna terenówka. W środku za przyciemnioną szybą siedział jeden mężczyzna. Reacher nigdy go jeszcze nie spotkał.

Inni kierowcy zaczęli trąbić i skręcać w lewo, żeby ominąć przeszkodę. Widział ich twarze — patrzyli, co się stało. Słyszał jakiś syk. Albo para z uszkodzonej chłodnicy, albo dzwonienie w

uszach spowodowane nagłym hukiem. Kierowca terenówki wysiadał już z samochodu. Wydawał się przejęty i zmartwiony. Złożył ręce w przepaszającym geście. Wysunął się przez lekko uchylone drzwi i ruszył ku nim między powoli poruszającymi się samochodami. Po drodze zerknął na pogiętą karoserię swojego samochodu. Z przedniego siedzenia sedana wysiadła jakaś kobieta, oszołomiona i zła. Inne samochody omijały miejsce wypadku. Gorące powietrze drżało, nieustannie ktoś trąbił. Jodie wyprostowała się na fotelu i rozmasowała sobie kark.

— Nic ci nie jest? — spytał.

Jodie przez dłuższą chwilę rozważała to pytanie.

— Wszystko w porządku — odpowiedziała w końcu. — Co z tobą?

— Okay.

Jodie wbiła palec w zapadniętą poduszkę powietrzną. W) dawała się zafascynowana.

— To naprawdę działa, wiedziałeś o tym?

— Pierwszy raz widziałem, jak zadziało — odpowiedział Reacher.

— Ja też.

Ktoś zapukał w okno po stronie kierowcy. Kierowca terenówki. Jeszcze raz zapukał w szybę, jakby mu zależało na pośpiechu. Reacher popatrzył na niego. Facet gestami prosił, żeby otworzyć drzwi. Wydawał się czymś zaniepokojony.

— Cholera — zaklął Reacher.

Nacisnął gwałtownie pedał gazu. Samochód ruszył do przodu, pchając przed sobą rozbity wóz, z którego wcześniej wysiadła kobieta. Udało mu się posunąć o metr. Słyszał było zgrzyt metalu.

— Do diabła, co ty wyprawiasz?! — krzyknęła Jodie. Kierowca terenówki trzymał lewą ręką klamkę, a prawą miał w kieszeni.

— Kładź się! — wrzasnął Reacher.

Wrzucił wsteczny, nabrał rozpędu, wykorzystując zdobyty metr przestrzeni, i uderzył w terenówkę. To dało mu jeszcze pół metra. Ruszył naprzód, skręcając w lewo. Znowu zderzył się ze stojącym przed nim sedanem, wyrzucając w powietrze grad odłamków szkła. Samochody na lewym pasie zaczęły hamować, ślizgając się na prawo i lewo. Reacher spojrzał w prawo. Jeden z facetów, których widział w Key West, próbował otworzyć drzwi po stronie Jodie. Reacher energicznym ruchem obrócił kierownicę w prawo i znowu pojechał do tyłu. Tamten nie puścił klamki, ale szarpnięcie zważyło go z nóg. Reacher ponownie walnął w terenówkę. Po raz kolejny ruszył naprzód na maksymalnych obrotach. Facet z Key West wciąż trzymał klamkę, machał gwałtownie wolną ręką i nogami, tak jakby był kowbojem, a ich wóz młodym byczkiem rozpaczliwie usiłującym się uwolnić. Reacher przycisnął gaz do dechy i minimalnie wyminął tylny róg sedana. Ocierając się prawym bokiem o bagażnik, pozbył się napastnika. Tamten uderzył kolanami o błotnik, wyleciał w powietrze i wylądował głową na tylnej szybie sedana. Reacher zobaczył jeszcze, jak pod wpływem rozpędu napastnik przetacza się przez dach i spada na chodnik,

- Uważaj! — krzyknęła Jodie.

Kierowca terenówki wciąż był obok jego okna. Reacher jechał już po lewym pasie, ale tłok uniemożliwiał mu przyspieszenie. Kierowca biegł obok i usiłował wyciągnąć coś z kieszeni, Reacher zjechał na lewo i zbliżył się do jadącej równolegle ciężarówce. Mężczyzna uskokzył. Wciąż trzymał klamkę, ale wreszcie wyciągnął rękę z kieszeni. Reacher znowu zjechał na lewo i przygniótł go do boku ciężarówce. Usłyszał głuchy trzask, gdy tamten uderzył głową o metal. Kierowca ciężarówce gwałtownie zahamował, a Reacher skręcił w wolną przestrzeń przed nim. Broadway był zapchany samochodami. Przed sobą miał błyszczącą, kolorową wstęgę. Słońce odbijało się od dachów samochodów. Kierowcy zmieniali pasy, powoli posuwali się naprzód, trąbili. Nad ulicą unosiły się spaliny. Reacher jeszcze raz zmienił pas na

pierwszy z lewej, przejechał przez pasy na czerwonym świetle, rozpraszając przechodniów. Samochód trząsał się i mocno ściągał w prawo. Wskaźnik temperatury wyszedł poza skalę, a spod pogiętej maski wydobywała się para. Zapadnięta poduszka powietrzna zwieszała się z kierownicy aż do jego kolan. Gwałtownie skręcił w ślepy zaułek, gdzie znajdował się śmietnik restauracji. Pudła, puste butle po oleju, drewniane tace ze zgniłymi warzywami i owocami. Śmieci posypały się na maskę samochodu. Reacher zgasił silnik i wyjął kluczyki ze stacyjki. Zatrzymał się tak blisko ściany po prawej, że Jodie nie mogła normalnie wysiąść. Chwycił jej teczkę i torebkę i wyrzucił z samochodu. Wcisnął się w drzwi, żeby jej pomóc. Jodie gramoliła się w poprzek foteli. Jej sukienka uniosła się do góry. Reacher chwycił ją w pasie i podniósł. Położyła mu głowę na ramieniu i zacisnęła gołe nogi na jego biodrach. Wyniósł ją z zaułka. Praktycznie nic nie ważyła. Postawił ją na chodniku i wrócił po jej rzeczy. Jodie obciągnęła sukienkę. Ciężko dyszała, a wilgotne włosy przylepiły się jej do twarzy.

— Skąd wiedziałeś? — spytała, z trudem łapiąc powietrze. — Jak zgadłeś, że to nie był wypadek?

Reacher podał jej torebkę, a sam wziął teczkę. Chwycił Jodie za rękę. Też gwałtownie oddychał. To był spory zastrzyk adrenaliny.

- Porozmawiamy, idąc — powiedział.

Skręcili na wschód w kierunku Lafayette. Oślepiało ich wschodzące słońce, a wiatr od rzeki chłodził twarz. Słyszeli szum samochodów kłębiących się na Broadwayu. Po przejściu pięćdziesięciu metrów nieco się uspokoili.

— Skąd wiedziałeś?

- Statystyka, jak przypuszczam. Jakie jest prawdopodobieństwo, że będziemy mieli wypadek dokładnie wtedy, gdy spodziewamy się ataku tych facetów? Jeden do miliona, nie większe. Jodie kiwnęła głową. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Uniosła głowę, wyprostowała ramiona. Szybko odzyskiwała równowagę. Ani śladu szoku. Naprawdę była nieodrodną córką Leona.

— Byłeś wspaniały — stwierdziła. — Zareagowałeś błyskawicznie.

— Przeciwnie, byłem do niczego — odrzekł. — Postępowałem jak skończony idiota. Jeden błąd po drugim. Tamci zmienili personel. Jakiś nowy facet przejął dowodzenie. Nie przyszło mi to do głowy. Cały czas przewidywałem, co zrobią dwaj tępi zasańcy, a nie pomyślałem, że sprawę przejmie ktoś

inteligentniejszy. Facet nieźle to wymyślił. To był dobry plan, prawie im się udało. Nie przewidziałem tego, całkowicie mnie zaskoczyli. A gdy już zaatakowali, traciłem czas na rozmowę o pieprzonych poduszkach powietrznych.

— Nie rób sobie wyrzutów.

— Mam powody. Leon miał podstawową zasadę: Jak coś robisz, rób to dobrze. Dzięki Bogu, nie widział, jak to spartaczyłem. Byłoby mu za mnie wstyd.

Na twarzy Jodie pojawiła się chmura. Reacher uświadomił sobie, co powiedział.

— Przepraszam. Nie mogę przyjąć do wiadomości, że on umarł.

Skręcili w Lafayette. Jodie zatrzymała się przy krawężniku. Wypatrywała, czy nie nadjeżdża taksówka.

- No cóż, niedługo wszyscy przyzwyczaimy się do tego -stwierdziła spokojnie. —

Przepraszam, że zniszczyłem ci samochód. Powinienem być przewidzieć ten manewr.

— To tylko leasing. — Jodie wzruszyła ramionami. — Zadzwoń, żeby przystali nowy, taki sam. Może czerwony. Teraz przynajmniej wiem, że dobrze znosi zderzenia.

— Powinnaś donieść o kradzieży samochodu. Zadzwoń na policję i powiedz, że gdy rano wychodziłaś, na parking nie było samochodu.

— To oszustwo.

— Nie, to inteligentna taktyka. Pamiętaj, że nie mogę pozwolić, aby policja mnie przesłuchiwała. Nie mam nawet prawa jazdy.

Jodie zastanawiała się przez chwilę. W końcu się uśmiechnęła. Jak młodsza siostra

wybaczająca starszemu bratu jego grzeszki, pomyślał Reacher.

— Okay — powiedziała. — Zadzwoń z biura.

- Z biura? Nie pójdziesz do żadnego cholernego biura.

- Z jakiego powodu? — zdziwiła się Jodie.

- Po tym, co się właśnie stało? — Reacher machnął ręką w kierunku Broadwayu. — Nie chcę cię spuszczać z oka, Jodie.

- Muszę iść do pracy, Reacher — odpowiedziała. — Myśl logicznie. Biuro nie przestało być bezpieczne z powodu tego ataku na ulicy. To zupełnie niezależne stwierdzenie. Zgadza się? Biuro jest tak bezpieczne jak zawsze. Jeśli przedtem zgodziłeś się, żebym poszła do pracy, co się zmieniło teraz?

Reacher popatrzył na nią. Miał ochotę odpowiedzieć, że wiele się zmieniło. Niezależnie od tego, jaką sprawę miało to stare małżeństwo z kliniki kardiologicznej, któremu Leon postanowił pomóc, teraz do gry włączyli się prawie kompetentni zawodowcy. Prawie kompetentni zawodowcy, którym dziś rano prawie się udało — zabrakło im pół sekundy. Kocham cię, grozi ci niebezpieczeństwo i nie chcę cię spuścić z oka — miał ochotę krzyknąć. Nie mógł tego zrobić. Przecież po- stanowił, że nie będzie zwał na nią dodatkowego ciężaru. Miłości i niebezpieczeństwa. Wzruszył nieporadnie ramionami.

— Powinnaś pojechać ze mną — rzekł.

— Żeby ci pomóc?

- Tak, pomogłabyś mi porozmawiać z tymi staruszkami. Z tobą będą rozmawiać, bo jesteś córką Leona.

- Chcesz, żebym ci towarzyszyła, bo jestem córką Leona? Reacher kiwnął głową. Jodie zatrzymała przejeżdżającą taksówkę.

— Błędna odpowiedź, Reacher — powiedziała.

• • •

Reacher na próżno usiłował ją przekonać. Podjęła decyzję i nie zamierzała jej zmienić. Mogła natomiast pomóc mu rozwiązać pilny problem praktyczny: wynająć samochód, korzystając ze swojego prawa jazdy i złotej karty kredytowej. Pojechali taksówką do agencji Hertza. Czekał piętnaście minut na nasłonecznionej ulicy, aż wreszcie Jodie podjechała po niego nowiutkim taurusem. Pojechali na Wall Street. Po drodze minęli jej budynek i miejsce zasadzki. Służby miejskie już

usunęły rozbite samochody. W rynsztoku leżały odłamki szkła, a na asfalcie widać było plamy po rozlanym oleju, to wszystko.

Jodie pojechała dalej i zaparkowała przy hydrancie przed drzwiami budynku, w którym mieściło się jej biuro. Nie zgasiła silnika i cofnęła fotel, tak aby Reacher mógł natychmiast ruszyć.

— Okay — powiedziała. — Przyjedź po mnie o siódmej, dobrze?

- Tak późno? - Późno zaczynam, muszę późno skończyć. - Nie wychodź z budynku, dobrze?

Reacher wysiadł z samochodu. Stojąc na chodniku, czekał, aż ona wejdzie do budynku. Gdy Jodie przechodziła przez szeroki, wybrukowany plac przed wejściem, Reacher przyglądał się jej nagim nogom tańczącym pod sukienką. Odwróciła się, uśmiechnęła i pokiwała mu na pożegnanie. Przeszła przez obrotowe drzwi, machając ciężką teczką. To był wieżowiec, być może sześćdziesięciopiętrowy. Swoje biura miało tu kil-B&dziesiąt firm, może nawet kilkaset. Wydawał się niezle

zabezpieczony. Tuż za wejściem znajdowała się szeroka lada, za którą siedziało kilku ochroniarzy. Za nimi wznosiła się solidna szklana ściana, od podłogi do sufitu, z pojedynczymi drzwiami odblokowywanymi przez naciśnięcie guzika pod ladą. Windy były za szklaną przegrodą. Wejście wymagało zgody ochrony. Reacher pokiwał głową. Może to bezpieczne miejsce. Może. Wszystko zależy od czujności ochroniarzy. Jodie właśnie rozmawiała z jednym z nich. Pochyliła się do przodu, a jasne włosy zasłoniły jej twarz. Chwilę później podeszła do drzwi w szklanej ścianie, poczekała sekundę i nacisnęła klamkę. Zatrzymała się przy windach.

Nacisnęła guzik. Otworzyły się drzwi. Jodie weszła, dźwigając teczkę. Drzwi się zatrzasnęły. Reacher poczekał minutę na chodniku, po czym pośpiesznie wszedł do budynku. Podszedł do lady ochrony, tak jakby to pobił codziennie. Wybrał najstarszego. Tacy zwykle są najbardziej niedbali. Młodzi wciąż mają nadzieję na awans.

— Zostałem wezwany do biura Spencer Gutman — powiedział, spoglądając na zegarek.

— Pańskie nazwisko? — spytał ochroniarz.

- Lincoln.

Ochroniarz był siwy i zmęczony, ale zrobił to, co powinien. Sięgnął po deskę do notowania i przejrzał listę zapowiadanych gości.

— Jest pan umówiony?

— Wezwali mnie przez telefon kilka minut temu. Jakaś pilna sprawa.

— Pan Lincoln, jak samochód?

— Jak prezydent — powiedział Reacher.

Tamten kiwnął głową i przesunął grubym palcem wzdłuż długiej listy nazwisk.

— Nie ma pana na liście — stwierdził. — Nie mogę pana wpuścić.

— Jestem pracownikiem Costella — przekonywał go Reacher. — Dzwonili, żebym jak najszybciej przyjechał.

— Mogę do nich zadzwonić — zaproponował ochroniarz. — Kto pana wzywał?

— Chyba pan Spencer — powiedział Reacher, wzruszając ramionami. — Ten facet, z którym zwykle rozmawiam.

Ochroniarz spojrział na niego z niechęcią. Wydawał się urażony. Odłożył deskę na miejsce.

— Pan Spencer zmarł dziesięć lat temu — oświadczył. — Jeśli chce pan wejść, musi się pan normalnie umówić, rozumie pan?

Reacher kiwnął głową. Biurowiec był dobrze strzeżony. Obrócił się na pięcie i poszedł do samochodu.

• • •

Marilyn Stone poczekała, aż mercedes Chestera zniknie z pola widzenia, po czym pobiegła do domu i wzięła się do pracy. Była kobietą poważną. Wiedziała, że jeśli mają rzeczywiście sprzedać dom w ciągu sześciu tygodni, to muszą się postarać.

Najpierw zadzwoniła do firmy sprzątającej. W domu panował idealny porządek, ale zamierzała usunąć niektóre meble. Gdy w domu jest niewiele mebli, wydaje się bardziej przestronny, większy niż w rzeczywistości. W ten sposób nie narzuca się potencjalnym nabywcom sposobu urządzenia wnętrza, nie rozstrzyga, co wygląda dobrze, a co źle. Na przykład włoski kredens w holu świetnie tam pasował, ale Marilyn nie chciała, aby potencjalny nabywca sądził, że bez włoskiego kredensu hol się nie obędzie. Lepiej niech sam uruchomi swoją wyobraźnię, może w myślach postawi tam mebel, który już ma. Po usunięciu mebli należało zlikwidować ślady na podłodze, dlatego Marilyn zadzwoniła do firmy sprzątającej. Mało mebli daje wrażenie przestrzeni, ale ślady po nich mogą wprawić w przygnębienie. Wezwała również ekipę z firmy transportowej, żeby zabrali meble do wynajętego magazynu. Zawiadomiła ogrodnika, że chce, aby przychodził codziennie rano na godzinę. Trawniki i krzewy wokół domu powinny być w nienagannym stanie, Marilyn wiedziała, że nawet w tym sektorze rynku liczy się najbardziej pierwsze wrażenie.

Potem spróbowała przypomnieć sobie jeszcze, co czytała lub słyszała o sprzedawaniu domu. Kwiaty w wazonach, to oczywiste. We wszystkich pokojach. Zadzwoniła do kwaciarni. Ktoś powiedział jej, żeby rozstawić spodki z płynem do mycia szyb. Amoniak neutralizuje różne zapachy domowe. Przypomniała sobie, że prażąc w piecu ziarna kawy, można wytworzyć miły, zachęcający zapach. Przygotowała nową paczkę. Pofnowiła, że włoży parę ziaren do pieca, gdy Sheryl zadzwoni, właśnie jedzie z klientami. To będzie właściwa chwila, jeśli chodzi o stworzenie zapachu.

8

Chester Stone rozpoczął następny dzień zupełnie zwyczajnie. Pojechał do pracy o normalnej godzinie. Jak zwykle jazda benzem działała na niego uspokajająco. Słońce świeciło, tak jak powinno w czerwcu. Na ulicach panował ruch jak co dnia, ani większy, ani mniejszy. Na rogatkach stali gazeciarze i sprzedawcy kwiatów. Ruch na Manhattanie już się przerzedzał, co świadczyło, że wybrał odpowiednią porę na przyjazd do pracy. Zaparkował na wynajętym miejscu w podziemnym garażu i wjechał windą na górę do swego biura. W tym momencie skończyła się normalność.

Biuro było całkowicie opuszczone, zupełnie jakby firma z dnia na dzień przestała istnieć. Pracownicy instynktownie zachowali się jak szczury uciekające z tonącego okrętu. Na biurku w głębi sali dzwonił telefon. Nie było nikogo, kto mógłby odebrać. Komputery były wyłączone. W ciemnych ekranach monitorów odbijały się światła lamp na suficie. W jego gabinecie zawsze panowała cisza, ale teraz nakładał się na nią niesamowity spokój na zewnątrz. Gdy Chester wszedł do gabinetu, miał wrażenie, że znalazł się w grobie.

— Jestem Chester Stone — powiedział w ciszy.

Chciał usłyszeć jakiś głos, ale to zabrzmiało jak krakanie. Gruba wykładzina i izolacja akustyczna na ścianach tłumiły echo. Jego głos znikł w próżni.

— Cholera! — zaklął.

Był zły. Najbardziej na swoją sekretarkę. Pracowała u niego od wielu lat. Uważał, że może liczyć na jej lojalność w trudnych chwilach, nieśmiałe dotknięcie ramienia, błysk w oku, obietnicę pomocy w walce w niesprzyjających okolicznościach. Ona jednak zachowała się tak jak wszyscy. Usłyszała plotki z wydziału finansowego o bankructwie i jak inni uznała, że czek z wypłatą nie będzie miał pokrycia. Wyrzuciła z pudła jakieś stare dokumenty, spakowała zdjęcia swoich cholernych bratanków w tanich ramkach, roślinę z biurka, śmieci z szuflad i zawiozła to Wszystko metrem do swojego przytulnego mieszkanek, gdziekolwiek mieszkała. Przytulne mieszkanek, kupione i urządzone za pieniądze, które zarabiała u niego w dobrych czasach. Teraz pewnie siedzi w szlafroku na kanapie, pije kawę i cieszy się z nieoczekiwanego wolnego dnia. Nigdy tu nie wróci. Może już przegląda ogłoszenia o pracy, wybiera następną przystań. — Cholera! — powtórzył.

Obrócił się na pięcie i wypadł przez sekretariat na korytarz, do windy. Zjechał na parter i wyszedł na nasłonecznioną ulicę. Skręcił na zachód. Szedł szybko, jakby goniła go wściekłość. Serce łomotało mu o zębra. Nad jego głową wznosiły się błyszczące, ogromne wieże World Trade Center. Przycisnął palec, wszedł do środka i skierował się do wind. Był spocony. Poczuł na palcach chłodne powietrze w klimatyzowanym holu. Wjechał ekspresową windą na osiemdziesiąte ósme piętro. Przeszedł przez wąski korytarz do poczekalni Hobięgo. Po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin mógł zobaczyć jej wystrój z dębu i mosiądzu. Recepcjonista siedział na swoim zwykłym miejscu. Jakiś mocno zbudowany mężczyzna właśnie wychodził z kuchni z dwoma kubkami kawy. Stone poczuł zapach kawy. Widział parę unoszącą się z kubków. Spojrzał na recepcjonistę, po czym znów na tego z kubkami. — Chcę rozmawiać z panem Hebiem — oświadczył. Zignorowali go. Ten mocno zbudowany postawił jeden kubek na ladzie recepcjonisty, po czym przeszedł za Stone'a i usiadł koło drzwi wyjściowych. Recepcjonista pochylił się i obrócił kubek, tak aby mógł łatwo chwycić za uszko.

— Chcę rozmawiać z panem Hobiem — powtórzył Stone. Patrzył prosto przed siebie.

— Nazywam się Tony — odezwał się recepcjonista. Stone spojrzął na niego, zaskoczony.

Tony miał na czole

czerwony znak, jak ślad po uderzeniu. Był uczesany, ale miał mokre włosy na skroniach, jakby niedawno zdjął zimny okład.

— Chcę rozmawiać z panem Hobiem — powiedział po raz trzeci.

— Pana Hobięgo nie ma i dziś nie przyjdzie — odrzekł Tony. — Tymczasem ja zajmę się pana sprawami. Mamy pewne rzeczy do omówienia, prawda?

— Owszem — odparł Stone.

— Może przejdziemy do gabinetu? — zaproponował Tony i wstał. Skinął głową w kierunku drugiego mężczyzny. Tamten podniósł się i zajął jego miejsce. Tony podszedł do drzwi gabinetu. Otworzył je, przytrzymał i Stone wszedł do środka. Gabinet sprawiał równie ponure wrażenie jak poprzedniego dnia. Żaluzje były zaciągnięte. Tony usiadł za biurkiem na fotelu Hobiego. Sprężyna podstawy zajęczała w ciszy. Stone stanął i rozejrzał się. Zastanawiał się, gdzie ma usiąść.

— Ty masz stać — stwierdził Tony.

— Co takiego? — rzekł Stone.

— Masz stać podczas całej rozmowy — nakazał Tony.

— Co takiego? — powtórzył Stone. Był zszokowany.

— Tu, przed biurkiem

Stone stał nieruchomo, z zaciśniętymi ustami.

— Ramiona po bokach — upomniał go Tony. — Stój prosto i nie garb się.

Tony mówił spokojnym, rzeczowym tonem, siedząc nieruchomo za biurkiem. Zapadła cisza, słychać było tylko cichy szmer dochodzący z korytarza i bicie serca Stone'a. Jego oczy dostosowały się już do półmroku. Widział na blacie biurka ślady pozostawione przez hak Hobiego. Niektóre były bardzo głębokie, tak jakby w gniewie wbił hak w drewno. Cisza wyprowadzała go z równowagi. Nie miał pojęcia, jak ma się zachować. Spojrzał na stojącą po lewej sofę. Rozmowa na baczność była takim upokorzeniem. Zwłaszcza że tego sobie życzył przeklęty recepcjonista. Zerknął na drugą sofę, po prawej. Powinien po prostu usiąść, nie przejmując się To-nym. Zrób krok i usiądź. Zignoruj go. Zrób to. Po prostu usiądź i pokaż mu, kto jest szefem. Jak zwycięski return lub picie asem. Siadaj, na litość boską! Jednakże nie mógł poruszyć nogami. Zupełnie jakby był sparaliżowany. Stał nieruchomo, metr przed biurkiem, sztywny z gniewu i upokorzenia. I strachu.

— Nosisz marynarkę pana Hobiego — stwierdził Tony. — Czy mógłbyś ją zdjąć, bardzo proszę?

Stone przez chwilę gapił się na niego, potem spojrzał na marynarkę. Miał na sobie savile row. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu przypadkiem nosił ten Sam garnitur dwa dni z rzędu. — To moja marynarka — powiedział.

— Nie, należy do pana Hobiego. Stone pokręcił głową.

— Kupiłem ją w Londynie. To z pewnością moja marynarka. Tony uśmiechnął się w półmroku.

- Najwyraźniej czegoś nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem? — spytał oślepiały Stone.

- Nie rozumiesz, że należysz do pana Hobiego. Ty i wszystko miałeś.

Stone gapił się na niego. W gabinecie zapadła cisza. Znowu słychać było tylko cichy szmer dochodzący z korytarza i bicie serca Stone'a.

- Zatem zdejmij marynarkę pana Hobiego — polecił spokojnie Tony.

Stone w dalszym ciągu gapił się na niego. Otwierał i zamykał usta, ale nic nie mówił.

— Zdejmuj marynarkę! — nakazał Tony. — Nie należy do ciebie. Nie powinienes chodzić w rzeczach, które nie są twoją własnością.

Mówił spokojnie, ale w jego głosie kryła się groźba. Twarz Stone'a zeszywniała, lecz jego ręce nagle zaczęły się poruszać, tak jakby nie był w stanie kontrolować ich ruchów. Ściągnął z siebie marynarkę i trzymał ją za kołnierz, jak gdyby znajdował

się w sklepie odzieżowym i oddawał ekspedientowi przymierzone ubranie.

— Połóż na biurku — powiedział Tony.

Stone położył marynarkę na blacie. Wygładził ją. Czuł pod palcami doskonałą wełnę. Tony przyciągnął do siebie marynarkę i zaczął opróżniać kieszenie. Zgarnął ich zawartość w niewielki stos, zwinął w kłęb marynarkę i cisnął ją na sofę po lewej.

Wybrał ze stosu pióro wieczne marki Mont Blanc, popatrzył na nie z uznaniem i schował do

swojej kieszeni. Następnie rozłożył na blacie pęk kluczy. Znalazł kluczyk do samochodu i podniósł go, trzymając dwoma palcami.

— Mercedes?

Stone tępo kiwnął głową.

— Jaki model?

— Pięćset SEL.

— Nowy?

— Z zeszłego roku.

— Kolor?

— Ciemnoniebieski.

- Gdzie jest? - Na podziemnym parkingu w moim biurze - wymamrotał Stone.

- Zabierzemy go później - zapowiedział tony.

Otworzył szufladę, wrzucił kluczyki i znowu zamknął. Teraz skupił uwagę na portfelu.

Otworzył go i wygrzebał całą zawartość na blat. Rzucił pusty portfel pod biurko. Stone usłyszał, jak wpada do kosza na śmieci. Tony zerknął na fotografię Marilyn i też cisnął ją do kosza. Sztywny papier fotograficzny stuknął o metalowe dno. Tony zebrał trzema palcami karty kredytowe i ułożył w kupkę jak żetony w kasynie. Odsunął je na bok gestem krupiera. - Znam faceta, który da za nie stówę - oznajmił. Przeliczył pieniądze i posortował banknoty zgodnie z ich nominałem. Spiął je spinaczem biurowym i wrzucił do szuflady. - Czego chcecie? - spytał Stone. Tony spojrzał na niego.

- Chcę, żebyś zdjął krawat pana Hobiego- oświadczył

Stone bezradnie wzruszył ramionami.

— Nie, poważnie, czego wy ode mnie chcecie?

— Siedemnaście milionów sto tysięcy dolarów. Tyle jesteście nam dlužny.

— Wiem — kiwnął głową Stone. — Oddam.

— Kiedy?

— No, potrzebuję trochę czasu.

— W porządku. Masz godzinę.

- Stone popatrzył na niego z osłupieniem.

— Nie, muszę mieć więcej czasu.

- Masz tylko godzinę. - W godzinę nie dam rady. - Wiem, że nie dasz rady — stwierdził Tony.

— Nie dasz rady, jeśli nawet dostaniesz dzień, tydzień lub rok, ponieważ jesteście beużytecznym gówniarzem, który nie potrafiłby sam wytrzeć sobie tyłka, prawda?

— Co takiego?

— Jesteś do niczego, Stone. Przejąłeś biznes, który stworzył twój dziadek, ciężko harując, a twój ojciec pięknie rozwinął,

po czym spuściłeś to wszystko do Stone wzruszył tępo ramionami. Przetknął ślinę.

— No, zadano mi pewne ciosy — powiedział. — Co jednak mogę zrobić?

— Zdejmij krawat! — wrzasnął Tony.

Stone podskoczył i podniósł ręce. Walczył z węzłem.

— Zdejmuj-krawat, gówniarzu! — ponownie wrzasnął Tony. Chester zerwał krawat z szyi i rzucił na biurko.

— Dziękuję, panie Stone — powiedział łagodnie Tony.

— Czego wy chcecie? — szepnął Stone.

Tony otworzył inną szufladę i wyjął z niej kartkę papieru gęsto zapisaną trudnym do odczytania maczkiem. To była jakaś lista z liczbami i sumą wypisaną na dole.

— W tym momencie mamy trzydzieści dziewięć procent akcji twojej korporacji — oznajmił.

— Chcemy jeszcze dwanaście.

Stone spojrzał na niego i wykonał proste dodawanie.

— Pakiet kontrolny?

— Właśnie. Mamy trzydzieści dziewięć procent, jeszcze dwanaście i będziemy mieli pięćdziesiąt jeden. To rzeczywiście pakiet kontrolny.

Stone przełknął ślinę i pokręcił głową.

— Nie. Nie zgadzam się.

— Okay. Wobec tego chcemy za godzinę otrzymać siedemnaście milionów sto tysięcy dolarów.

Stone rozglądał się chaotycznie na lewo i prawo. Mocno zbudowany mężczyzna w drogim garniturze wszedł do gabinetu, cicho zrobił kilka kroków po wykładzinie i stanął za Tonym ze skrzyżowanymi ramionami.

— Zegarek, poproszę — zażądał Tony.

Stone spojrział na lewy nadgarstek. Miał roleksa. Wyglądał, jakby był zrobiony ze stali, ale to była platyna. Kupił go w Genewie. Rozpiął bransoletkę i podał zegarek Tony'emu, który kiwnął głową i wrzucił go do szuflady.

— Teraz zdejmij koszulę pana Hobięgo.

— Nie zmusicie mnie do przekazania wam akcji — powiedział Stone.

— Owszem, zmusimy. Zdejmuj koszulę, okay?

- Słuchaj, nie dam się zastraszyć - oświadczył Stone tak pewnym głosem, na jaki było go stać.

- Już się dałeś - odrzekł Tony. — Może nie? Za chwilę zesrasz się ze strachu w spodnie pana Hobięgo. To będzie poważny błąd, ponieważ zmusimy cię, żebyś je oczyścił.

Stone nie odpowiedział. Wpatrywał się w przestrzeń między dwoma prześladowcami.

— Dwanaście procent akcji — rzucił Tony łagodnym głosem. — Czemu nie? I tak są bezwartościowe. Zostanie ci czterdzieści dziewięć procent

— Chcę porozmawiać z adwokatem — zażądał Stone.

— Proszę bardzo, rozmawiaj. Stone rozejrzał się po gabinecie.

— Gdzie jest telefon?

— Nie ma. Pan Hobię nie lubi telefonów.

— Wiec jak mam rozmawiać?

- Krzycz — zaproponował Tony. — Krzycz, byle głośno, może adwokat cię usłyszy. - Co? -

Krzycz — powtórzył Tony. — Jest pan naprawdę tępy, panie Stone. Proszę wnioskować z prostych przesłanek. Nie ma tu telefonu, nie może pan wyjść z pokoju, chce pan

rozmawiać z adwokatem, zatem musi pan krzyczeć. Stone znowu wbił wzrok w przestrzeń. —

Krzycz, gówniarzu! — wrzasnął Tony. — Nie mogę — bezradnie odpowiedział Stone. — Nie wiem, czego chcesz. — Zdejmuj koszulę! — rozdarł się Tony. Stone gwałtownie zadygotał.

Uniosł ręce, ale się zawahał. — Ściągaj to, gówniarzu! — krzyknął Tony. Stone rozpiął guziki od góry do dołu. Zdjął koszulę. Stał, trzymając ją w ręku. Trząsał się. — Złóż ją porządnie. Pan Hobię lubi porządek. Stone złożył koszulę, najlepiej jak umiał. Strzepnął ją,

trzymając za kołnierz, złożył w powietrzu na pół, i jeszcze raz na pół. Położył na marynarce.

— Podpisz zrzeczenie się dwunastu procent akcji — zażądał Tony

— Nie — odrzekł Stone, zaciskając pięści. Zapadła cisza. Cisza i półmrok.

— Wydajność — odezwał się spokojnie Tony — Przykładamy tu duże znaczenie do wydajności. Powinien pan być zwracać większą uwagę na wydajność, a może wtedy pana korporacja nie trafiłaby na śmietnik. Jaka zatem jest najbardziej wydajna metoda załatwienia tej sprawy?

Stone bezradnie wzruszył ramionami. — Nie wiem, o czym mówisz.

— Wiec ci wyjaśnię. Chcemy, żebyś spełnił nasze życzenie. Chcemy zobaczyć twój podpis na tym dokumencie. Jak możemy to osiągnąć?

— Nigdy go nie zobaczysz, sukinsynu — odrzekł Stone. — Do diabła, wolę ogłosić bankructwo. Nic nie dostaniecie. Nawet centa. Sprawa w sądzie potrwa pięć lat, minimum. Tony pokręcił cierpliwie głową, jak nauczyciel, który po raz setny słyszy błędną odpowiedź.

— Możecie robić, co chcecie — rzucił Stone. — Nie oddam wam mojej firmy.

— Możemy ci zrobić krzywdę — powiedział Tony. Stone spojrzał na biurko. Jego krawat leżał na głębokich śladach po haku.

— Zdejmuj spodnie pana Hobiego! — wrzasnął Tony.

— Nie zdejmę, do diabła! — krzyknął Stone.

Facet stojący obok Tony'ego sięgnął pod marynarkę. Rozległo się skrzypienie skóry. Stone patrzył na niego z niedowierzaniem. Tamten wyciągnął niewielki czarny rewolwer. Uniósł go na wysokość oczu, wycelował i zaczął się do niego zbliżać, omijając biurko. Był coraz bliżej. Stone wpatrywał się w rewolwer szeroko otwartymi oczami. Facet celował mu w twarz. Stone trząsł się, a z czoła spływał mu pot. Jeszcze dwa kroki. Stone zezował, patrząc na broń. Facet przyłożył lufę do jego

czoła. Była twarda i zimna. Stone zadygotał. Odchylił się do tyłu. Wciąż skupiał spojrzenie na ciemnej plamie, jaką z tej odległości stanowił dla niego rewolwer. Nie dostrzegł, jak tamten zacisnął drugą rękę w pięść i wziął zamach. Nagle dostał potężny cios w brzuch i zwałił się na podłogę jak worek. Podwinął nogi, skulił się, ciężko dyszał i wymiotował.

— Zdejmuj spodnie, zasrańcu! — wrzasnął znowu Tony. Ten z bronią kopnął ofiarę z całej siły w korpus. Stone

jęknął, przewrócił się na plecy i kręcił jak żółw, dysząc i krztusząc się. Zaczął szarpać za pasek. Udało mu się rozpiąć klamrę. Odpiął guzik i pociągnął za suwak. Zsunął spodnie z nóg, ale zaczęły się o buty. Wreszcie zrzucił je z siebie, wywracając na lewą stronę.

— Proszę wstać, panie Stone — spokojnie zażądał Tony. Stone wstał, ale chwiały się na nogach. Pochylił się i zwiesi

głowę. Podpierał się rękami o kolana. Czuł skurcze w brzucha. Majtki, białe nogi, ciemne skarpetki i buty sprawiały komiczne wrażenie.

— Możemy panu zrobić krzywdę — powtórzył Tony. — Teraz pan chyba to rozumie, prawda? Stone pokiwał głową i ciężko sapnął. Przyciskał ręce do brzucha. Miał mdłości.

- rozumie to pan? — ponownie zapytał Tony. Stone znowu przytaknął ruchem głowy.

— Niech pan to wyraźnie powie, panie Stone — zażądał Tony. — Niech pan powie, że możemy zrobić panu krzywdę.

— Możecie mi zrobić krzywdę — wysapał Stone.

— Ale tego mnie zrobimy. Pan Hobie nie załatwia tak swoich spraw.

Stone podniósł rękę i wytarł łzy. Spojrzał z nadzieją na swego oprawcę.

— Pan Hobie woli skupić uwagę na żonach — ciągnął Tony. — Widzi pan, chodzi o wydajność. To pozwala znacznie szybciej osiągnąć pożądaną wynik. W tym momencie powinien pan pomyśleć o Marilyn.

• • •

Wynajęty taurus był znacznie szybszy od bravady. Na suchej szosie w gorący czerwcowy dzień nie było między nimi porów-nania. Może podczas styczniowych śniegów lub lutowych opadów śniegu z deszczem Reacher doceniłby zalety napędu na cztery koła, ale na letnią jazdę w górę rzeki Hudson sedan był o wiele lepszy od jeepa. Taurus był niski, stabilny i dobrze trzymał się drogi na zakrętach. Silnik pracował cicho. Reacher nastawił radio na nowojorską stację. Jakaś kobieta o nazwisku Wynonna Judd pytała: Dlaczego nie ja? Reacher pomyślał, że nie powinna mu się tak bardzo podobać, bo gdyby ktoś go spytał, czy chciałby posłuchać wokalistki country śpiewającej żalną piosenkę o miłości, na pewno odpowiedziałby, że nie. Ta miała jednak wspaniały głos, a towarzyszył jej cholernie dobry gitarzysta. Słowa trafiały do niego, ponieważ wyobrażał sobie, że to śpiewa Jodie, nie zaś Wynonna Judd. Śpiewała: Dlaczego nie ja, gdy się starzejesz? Dlaczego nie ja? Zaczął śpiewać razem z nią. Jego szorstki bas towarzyszył jej kontrakowi, a gdy skończyła i zaczęły się reklamy, Reacher już myślał, że jeśli kiedykolwiek będzie miał dom i stereo jak inni, to kupi płytę Dlaczego nie ja?

Jechał na północ szosą numer 9. Na fotelu obok położył otwartą mapę Hertza, z której wynikało, że Brighton znajduje się w połowie drogi między Peekskill i Poughkeepsie, nieco na zachód nad rzeką Hudson. Obok położył kartkę z gabinetu doktor McBannerman. Zanotował na niej adres państwa Hobie. Jechał ze stałą prędkością stu pięciu kilometrów na godzinę, dostatecznie szybko, żeby dojechać w rozsądnym czasie, i dostatecznie wolno, żeby uniknąć kontaktu z drogówką, której funkcjonariusze — jak przypuszczają — czaili się za każdym łaskiem, żeby zwiększać dochody miast za pomocą radarów i mandatów.

Jazda do Garrison zajęła mu w przybliżeniu godzinę. Zamierzał jechać na północ do dużej drogi na zachód, wzdłuż rzeki do Newburgh. Chciał zjechać z niej tuż przed Hudsonem i dotrzeć do Brighton od północy. Wtedy pozostałoby mu tylko znaleźć podany adres; przewidywał, że to może okazać się dość trudne.

Pomylił się jednak, ponieważ od razu zjechał na południe

z szosy wschód—zachód drogą widniejącą w drugiej linijce adresu państwa Hobie. Jechał powoli, patrząc na skrzynki pocztowe i numery domów. Ta część poszukiwań okazała się trudniejsza. Skrzynki pocztowe stały w grupach, po sześć co kilkaset metrów, bez żadnych oczywistych związków z domami. W rzeczywistości domów na ogół nie było widać. Prawie wszystkie stały gdzieś daleko od głównej drogi; żeby do nich dojechać, trzeba było skręcić w jedną z wielu wąskich, wysypanych żwirem dróg, podobnych do tuneli przebitych przez las.

Reacher znalazł właściwą skrzynkę pocztową. Stała na drewnianym paliku, mocno spróchniałym i pochylonym do przodu. Wokół słupka wiły się cierniste pędy. Na dużej zielonej skrzynce ktoś starannie napisał ręcznie numer domu, ale cyfry już wyblakły. Drzwiczki zwisały, ponieważ skrzynka była całkowicie wypełniona pocztą. Opróżnił ją i położył całą zawartość na fotelu pasażera. Zamknął drzwiczki. Teraz zobaczył nazwisko Hobie wykaligrafowane tą samą farbą, pisanymi literami.

Wszystkie skrzynki pocztowe stały po prawej stronie szosy, dla wygody listonosza, natomiast gruntowe drogi do domów

odchodziły na obie strony. Z miejsca, gdzie stały skrzynki, widać było cztery takie drogi, dwie na prawo i dwie na lewo.

Reacher wzruszył ramionami i wybrał pierwszą po prawej,

w kierunku rzeki. Nie trafił. Przy tej drodze stały dwa domy. Na bramie

pierwszego zobaczył nazwisko Kozinsky. Przed drugim stał jaskrawoczerwony pontiac firebird zaparkowany pod nowym

koszem nad bramą garażu. Na trawniku leżały porzucone dziecinne rowery. To nie wyglądało na dom starych i chorych ludzi.

Pierwsza droga po lewej również nie zaprowadziła go do celu. Udało mu się dopiero za trzecią próbą — to była druga droga po prawej stronie. Zarośnięty krzakami podjazd biegł na południe, równoległe do rzeki. Na bramie wisiła zardzewiała skrzynka pocztowa z czasów, kiedy jeszcze pocztę dostarczano nieco bliżej adresatów. Ten sam zielony kolor, ale jeszcze bardziej spłowiały. Ten sam odręczny charakter pisma i wyblakłe litery: Hobie. Reacher skręcił na podjazd. Gałęzie krzaków szorowały po obu bokach taurusa. Zatrzymał się za chevroletem zaparkowanym na skos pod wiatą. To był stary, amerykański samochód z maską i bagażnikiem wielkości lotniskowca.

Zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Pochylił się do środka i zebrał pocztę z fotela. Przez chwilę stał, przyglądając się otoczeniu. Państwo Hobie mieszkali w parterowym domu ustawionym na zachód, ku rzece. Dom był takiego samego

ciemnobrązowego koloru jak ich samochód. Ściany ze starych pociemniałych desek, dach kryty gontem. Dziedziniec przypominał dżunglę. To była doskonała ilustracja tego, co dzieje się z dobrze utrzymanym ogrodem po piętnastu latach zaniedbania, mokrych wiosen i upalnych lat. Tam gdzie kiedyś była szeroka alejka od wiaty do drzwi frontowych, pozostała wąska ścieżka między krzakami. Reacher pomyślał, że bardziej od ogrodnika przydałby się tu

pluton piechoty z miotaczami ognia.

167

Przedarł się do drzwi, walcząc z gałęziami, które chwyciły go za kostki. Guzik dzwonka był całkowicie zardzewiały, dlatego Reacher zapukał. Poczekał. Żadnej odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz. Słyszał szmery w dżungli za plecami i trzask stygnącego tłumika w samochodzie. Znowu zapukał. Czekał. Usłyszał skrzypienie podłogi w domu. Ktoś zbliżał się do drzwi. Zatrzymał się przy drzwiach.

— Kto tam? — rozległ się słaby głos kobiety, stłumiony przez drzwi.

— Reacher! — odkrzyknął. — Przyjaciel generała Garbera. Donośny głos Reachera spowodował panikę w krzakach.

Splószone zwierzęta uciekały lub szukały kryjówki. Reacher usłyszał zgrzyt zamka i odsuwanych rygli. Zaskrzypiały otwierane drzwi. W holu było ciemno. Wszedł w cień okapu i wówczas zobaczył czekającą kobietę. Miała jakieś osiemdziesiąt lat, była chuda jak patyk, siwa i pochylona. Ubrana była w spłowiała, kwiecistą suknię rozszerzającą się od talii i podtrzymywaną nylonowymi halkami. Widział takie suknie na fotografiach z przyjęć w ogrodzie z lat pięćdziesiątych

i sześćdziesiątych. Tak ubrane kobiety miały zwykle również długie białe rękawiczki, kapelusze z szerokim rondem i uśmiechały się jak zadowolone przedstawicielki burżuazji.

— Oczekujemy pana — powiedziała staruszka.

Pani Hobie przesunęła się w bok, żeby go wpuścić. Reacher ukłonił się i wszedł. Jej suknia była tak szeroka, że musiał się precyzyjnie przycisnąć przy ścianie. Usłyszał szelest nylonu.

— Przyniosłem państwu pocztę — rzekł. — Skrzynka była przepełniona

Uniósł gruby plik kopert i reklam. Czekał na reakcję.

— Dziękuję panu. To bardzo uprzejme z pana strony. Stąd do skrzynki jest zbyt daleko, żeby iść pieszo, a gdy jedziemy, nie chcemy się zatrzymywać na drodze, żeby ktoś na nas nie wpadł z tyłu. To bardzo ruchliwa droga, a ludzie jeżdżą strasznie szybko. Moim zdaniem szybciej, niż powinni.

Reacher kiwnął głową. To była zapewne najspokojniejsza droga, jaką widział w całym swoim życiu. Gdyby ktoś postanowił przespać się na środkowej linii, miałby duże szanse przeżycia do rana. Wciąż trzymał w ręku pocztę. Starsza pani nie okazała zaciekawiana, korespondencją.

— Gdzie mam to odłożyć? — spytał.

— Czy mógłby pan to położyć w kuchni na stole?

Ciemne drewniane ściany holu sprawiały, że wydawał się ponury. Kuchnia była jeszcze gorsza. Niewielkie okno było przeszkłone żółtą, matową szybą. Reacher przyjrzał się meblom pokrytym ciemną okleiną i dziwnym, emaliowanym urządzeniom kuchennym na krótkich nóżkach. W całym pomieszczeniu pachniało starym jedzeniem i gorącym piecem, ale panował w nim nienaganny porządek. Na wytartym linoleum leżał chodnik usyty z gałganów. Na stole stał wyszczerbiony, porcelanowy kubek z włożonymi do środka okularami. Reacher położył pocztę obok kubka. Pomyślał, że gdy już sobie pójdzie, pani Bobie wygnie okulary z kubka i przejrzy wszystko, ale najpierw odwiesi swoją najlepszą sukienkę do szaty, gdzie leżały kulki naftaliny.

- Czy mogę panu zaproponować kawałek ciasta? - spytała.

Reacher spojrzał na płytę kuchenki. Na wierzchu stał porcelanowy talerz nakryty lnianą ściereczką. Pani Hobie upiekła dla niego ciasto. — Napije się pan kawy?

Obok kuchenki stał staroświecki ekspres wykończony emalią koloru mięty, z zielonym szklanym guzikiem na górze, podłączony do kontaktu kablem w postrzępionym, bawełnianym oplocie, Reacher kiwnął głową. - Dziękuję. Z przyjemnością — powiedział.

Pani Hobie wydawała się zadowolona. Przynęła się do kuchenki, zgniatając suknię.

Drżącym, chudym kciukiem nacisnęła guzik. Ekspres był już napełniony i gotowy do użycia.

- To potrwa tylko chwilkę — powiedziała. Przez sekundę nasłuchiwała. Stary ekspres zaczął

perkotać. — Chodźmy, przedstawię pana mężowi. Teraz nie śpi i bardzo pragnie pana poznać. W tym czasie zaparzy się kawa.

Zaprowadziła go do niewielkiego salonu w głębi domu, mniej więcej cztery na cztery metry, zastawionego ciężkimi fotelami i witrynami z porcelanowymi figurkami. Na jednym z foteli siedział stary mężczyzna w sztywnym niebieskim garniturze z serży, z wyświeconymi łokciami, co najmniej o trzy numery za luźnym. Kołnierz koszuli tworzył szeroką, sztywną obręcz wokół bladej, pomarszczonej szyi. Na głowie pozostały mu tylko nieliczne siwe kosmyki. Z mankietów wystawały cienkie jak ołówki nadgarstki. Chude, kościste dłonie położył na oparciu fotela. Z nosa wystawały mu dwie cienkie, przezroczyste rurki zawieszane na uszach. Za nim stał wózek z butlą z tlenem. Spojrzał na Reachera, po czym wziął głęboki oddech, zbierając siły na uniesienie ręki na powitanie.

— Major Reacher — powiedział. — Bardzo mi przyjemnie pana poznać.

Reacher podszedł i uściskał jego dłoń. Była zimna i sucha. Miał wrażenie, że to ręka szkieletu owinięta we flanelę. Starszy pan przerwał, wciągnął w płuca nieco tlenu i znowu się odezwał.

— Jestem Tom Hobie, majorze. Ta urocza dama to moja żona Mary.

Reacher skłonił głowę.

- Cieszę się ze spotkania z państwem. Nie jestem już majorem.

Pan Hobie skinął głową i wciągnął tlen przez nos.

— Służył pan w wojsku, a zatem moim zdaniem ma pan prawo do tego tytułu.

Pośrodku ściany znajdował się niski kominek z kamieni polnych. Na gzymsie stały gęsto ustawione fotografie w srebrnych ramkach. Na ogół były to kolorowe zdjęcia młodego człowieka w oliwkowym mundurze, w różnych pozach i sytuacjach. Na jednym, wyraźnie starszym, czarnobiałym, widać było innego mężczyznę w mundurze, wysokiego, prostego jak trzcina, z uśmiechem na twarzy. Szeregowiec pierwszej klasy z innego pokolenia. Być może był to pan Hobie, nim słabnące serce zaczęło go zabijać od środka. Reacher nie mógł jednak dostrzec wyraźnego podobieństwa.

— To ja — potwierdził starszy pan, który zauważył, że Reacher przygląda się zdjęciu.

— Z drugiej wojny światowej?

Pan Hobie potwierdził skinieniem głowy. W jego oczach widać było smutek.

— Nigdy nie byłem na froncie — powiedział. — Zgłosiłem się na ochotnika, nim jeszcze wprowadzono obowiązkową służbę, ale chorowałem na serce i nie chcieli posłać mnie do walki. Służyłem w magazynie w New Jersey.

Reacher pokiwał głową ze zrozumieniem. Hobie sięgnął do gałki zaworu i zwiększył dopływ tlenu.

— Przyniosę kawę — wtrąciła pani Hobie. — 1 ciasto.

— Czy mogę pani pomóc? — spytał Reacher.

— Nie, dziękuję, dam sobie radę — odpowiedziała i wyszła powoli z salonu.

— Proszę, niech pan siada, panie majorze — zaprosił Tom Hobie.

Reacher kiwnął głową i usiadł na fotelu tuż przy nim, żeby słyszeć jego słabnący głos. Pan Hobie milczał. Słyszeć było tylko syk tlenu z butli i brzdąkanie porcelany w kuchni. Zwykle domowe odgłosy. Jasnozielone żaluzje w oknach blokowały promieni słońca. gdzieś niedaleko płynęła rzeka, pewnie za zdziczałym ogrodem. byli czterdzieści kilometrów od domu Leona Garbera.

— Już podaję! — zawołała pani Hobie z korytarza. Wróciła do salonu, pchając przed sobą wózek z serwisem do

kawy, niewielkim dzbankiem mleka i cukiernicą. Na tacy leżało ciasto biszkoptowe ozdobione żółtym lukrem. Pewnie cytrynowym. Obok stał stary ekspres, z którego unosił się zapach kawy.

— Jaką pan pije kawę?

— Bez mleka i cukru, bardzo proszę.

Pani Hobie nalatała kawę do filiżanki. Jej ręce drżały z wysiłku, a filiżanka kiwała się na spodeczku. Nałożyła mu na talerzyk duży kawałek ciasta. Talerzyk dygotał. Wciąż słychać był syk tlenu. Starszy pan powtarzał w pamięci swą opowieść, dzielił ją na kawałki i wciągał w płuca tlen, żeby starczyło mu sił na opowiadanie.

— Byłem drukarzem — nagle przerwał milczenie. — Miałem własną drukarnię. Mary pracowała u jednego z moich najważniejszych klientów. Poznaliśmy się i wzięliśmy ślub wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Nasz syn urodził się w czerwcu następnego roku. Pan Hobie spojrzął na fotografie nad kominkiem.

— To nasz syn, Victor Truman Hobie.

W salonie zapadła cisza jak podczas nabożeństwa.

— Uważałem, że służba jest moim obowiązkiem — powiedział starszy pan. — Nie nadawałem się do służby na froncie i bardzo tego żałowałem. Byłem rozgoryczony, majorze. Chciałem jednak służyć mojej ojczyźnie, tak jak mogłem. Tak samo wychowaliśmy naszego syna. Chcieliśmy, żeby kochał swój kraj i był gotowy mu służyć. Zgłosił się na ochotnika do Wietnamu.

Pan Hobie zamknął usta i kilkakrotnie zaciągnął się tlenem. Pochylił się i podniósł z podłogi skórzaną aktówkę. Położył ją na kościstych kolanach i otworzył. Wyjął zdjęcie i podał je Reacherowi, który odstawił filiżankę, żeby wziąć fotografię z jego drżącej ręki. Na wyblakłym, kolorowym zdjęciu zobaczył chłopca w wieku dziewięciu lub dziesięciu lat, krępego, z dużymi zębami, piegowatego i uśmiechniętego, z metalową miską na głowie i karabinem — zabawką na ramieniu. Nogawki dżinsów miał wciśnięte w skarpetki, by wyglądały tak, jakby nosił wojskowe getry.

— Chciał być żołnierzem — odezwał się znowu pan Hobie. — Zawsze. To było jego ambicją. Oczywiście w tym czasie całkowicie to aprobowałem. Nie mogliśmy mieć więcej dzieci, więc Victor był jedynakiem, światłem naszego życia. Uważałem, że służba wojskowa to właściwy wybór drogi życiowej dla syna patrioty.

Znowu zapadła cisza. Hobie zakasłał. Syk tlenu. Cisza.

— Czy popierał pan nasz udział w wojnie w Wietnamie, majorze? — spytał Hobie.

Reacher wzruszył ramionami.

— Byłem zbyt młody, żeby mieć opinię w tej sprawie — odpowiedział. — Wiedząc to, co wiem teraz, sądzę, że to był błąd.

— Dlaczego?

— Niewłaściwe miejsce, niewłaściwa pora, niewłaściwe powody, niewłaściwe metody, niewłaściwa strategia, niewłaś-

ciwe dowództwo. Brak społecznego poparcia, prawdziwej woli walki o zwycięstwo.

— Poszedłby pan na tę wojnę?

— Tak, poszedłbym walczyć — odparł Reacher, kiwając głową. — Nie miałbym wyboru. Ja też jestem synem żołnierza. Jednak zazdrościłbym pokoleniu mojego ojca. Znacznie łatwiej było iść na drugą wojnę światową.

— Victor chciał pilotować helikoptery — powiedział starszy pan. — Miał bzika na tym punkcie. Obawiam się, że to moja wina. Kiedyś zabrałem go na jarmark i zapłaciłem dwa dolary za przejażdżkę helikopterem. To był stary bell do opylania pól. Potem już zawsze chciał zostać pilotem. Uznał, że wojsko to najlepsza szkoła pilotażu.

Wyjął z aktówki kolejną fotografię. Podał ją przez stół. To był ten sam chłopak, już dwa razy starszy, wysoki, uśmiechnięty, w nowym mundurze. Stał przed wojskowym helikopterem H-23 Hillerem, starym śmigłowcem szkoleniowym.

— To z Fort Wolters — wyjaśnił pan Hobie. — Daleko na

południu, w Teksasie. Główna szkoła pilotów śmigłowców armii lądowej.

— Syn latał śmigłowcem w Wietnamie?

— Skończył szkołę z drugą lokatą w swoim roczniku — odrzekł Hobie. — To nie było dla nas niespodzianką. Zawsze dobrze się uczył, przez całą szkołę średnią. Miał duże zdolności matematyczne i rachunkowe. Wyobrażałem sobie, że skończy studia i będzie moim partnerem, zajmie się stroną księgową. Bardzo na to liczyłem. Mnie nauka przychodziła z trudnością, nie będę tego ukrywał. Nie jestem wykształconym człowiekiem. Zawsze bardzo się cieszyłem z dobrych wyników Victora. To był bardzo inteligentny chłopak. I bardzo dobry. Bystry, uprzejmy, dobry, idealny syn. Nasz jedyny syn.

Pani Hobie milczała. Nie jadła ciasta i nie pila kawy.

— Jego promocja oficcerska odbyła się w Fort Rucker — mówił dalej pan Hobie. — W Alabamie. Pojechaliśmy to zobaczyć.

Pokazał Reacherowi następne zdjęcie. To była kopia jednego ze zdjęć stojących nad kominkiem. Pastelowa trawa i niebo, wysoki młody mężczyzna w mundurze, z czapką zsunietą na oczy, obejmujący ramieniem szczupłą, ładną kobietę w kolorowej sukni. Fotografia była odrobinę nieostra, a horyzont przechylony. Najwyraźniej pstryknął ją mąż i ojciec, którego rozpieęła duma.

— To Victor i Mary — powiedział. — Ona w ogóle się nie zmieniła, prawda? Wciąż tak samo wygląda.

— Ani trochę — gładko potwierdził Reacher.

— Kochaliśmy go — wtrąciła cicho pani Hobie. — Dwa tygodnie później został wysłany na wojnę.

— W lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku — dodał jej mąż. — Miał dwadzieścia lat.

— I co się stało? — spytał Reacher.

— Odbył całą turę służby na froncie — powiedział pan Hobie. — Otrzymał dwie pochwały za odwagę. Wrócił do domu z medalem. Od razu zrozumiałem, że prowadzenie księgowości w drukarni to nie dla niego zajęcie. Myślałem, że będzie pracował jako pilot helikopterów obsługujących platformy naftowe. Może nad Zatoką. Firmy naftowe dobrze wtedy płaciły pilotom z armii. Lub z lotnictwa czy marynarki, oczywiście.

- On jednak pojechał tam znowu — dodała jego żona. — Do Wietnamu.

— Zgłosił się na ochotnika na front — ciągnął pan Hobie. — Nie musiał, ale twierdził, że to jego obowiązek. Mówił, że wciąż trwa wojna i powinien brać w niej udział. Uważał, że tego wymaga patriotyzm.

— I co było później?

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.

— Nie wrócił — w końcu odpowiedział pan Hobie. Znowu zapadła przygniatająca cisza.

Gdzieś tykał zegar.

Tyknięcia wydawały się coraz głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie wypełniły powietrze jak uderzenia młota.

— To mnie zniszczyło — przerwał milczenie pan Hobie. Słychać było świst tlenu przepływającego przez jego zaciśnięte gardło.

— To mnie zniszczyło. Często powtarzałem, że oddałbym całą resztę życia za jeden dzień z synem.

- Całą resztę życia — powtórzyła Mary Hobie. — Za jeden dzień z naszym dzieckiem. -

Naprawdę tak myślałem — powiedział pan Hobie. -I w dalszym ciągu tak myślę, majorze.

Teraz zapewne nie mam już wiele do stracenia, prawda? Niewiele zostało już we mnie życia. Tak jednak powiedziałem trzydzieści lat temu i później powtarzałem każdego dnia, a Bóg mi świadkiem, że naprawdę tak myślałem. Całą resztę życia za jeden dzień z synem.

— Kiedy zginął? — spytał delikatnie Reacher.

— Nie zginął — odrzekł pan Hobie. — Został złapany. — Dostał się do niewoli?

— Początkowo powiedziano nam, że zginął. Założyliśmy, że zginął, ale mimo to wciąż mieliśmy nadzieję. Oficjalnie został uznany za zaginionego. Nigdy nie powiadomiono nas

formalnie o jego śmierci.

— Czekaliśmy — wtrąciła jego żona. — Po prostu czekaliśmy, rok po roku. W końcu zaczęliśmy zadawać pytania. Powiedziano nam, że Victor zaginął, a prawdopodobnie poległ. To wszystko, co mogli nam powiedzieć. Jego helikopter został zestrzelony nad dżunglą i nie odnaleziono wraku.

— Wtedy przyjęliśmy to do wiadomości — powiedział starszy pan. — Wiedzieliśmy, jak to jest. Wielu chłopców zginęło i nikt nie wie, gdzie są ich groby. Na wojnie tak już bywa.

— Potem zbudowali pomnik upamiętniający poległych w Wietnamie — odezwała się pani Hobie. — Widział go pan?

— Mur? — spytał Reacher. — W Waszyngtonie? Tak, widziałem pomnik. Jest bardzo poruszający.

- Nie zgodzili się umieścić na nim nazwiska naszego sy-na — rzeki pan Hobie.

— Dlaczego?

— nigdy tego nie wyjaśnili. Pytaliśmy, błagaliśmy, ale oni nie chcieli wyjaśnić. Powiedzieli tylko że Victor nie jest już uznawany za ofiarę wojny.

— Więc spytaliśmy, jaki jest jego status - dodała pani Hobie - Zaginiony w akcji.

- Ale przecież nazwiska innych zaginionych w walce są umieszczone na Murze — zauważył Hobie. Znowu zapadła cisza. W sąsiednim pokoju głośno tykał zegar.

— A co powiedział na to generał Garber? — spytał Reacher.

— Nie mógł tego zrozumieć — odparł pan Hobie. -Zupełnie tego nie rozumiał. Chciał to wyjaśnić, ale umarł.

Cisza. Syk tlenu i tykanie zegara.

— My wiemy, co się stało — stwierdziła po chwili pani Hobie.

— Wiedzą państwo? Co takiego?

— Jest tylko jedno wyjaśnienie. Dostał się do niewoli.

— I nigdy nie został uwolniony — dodał jej mąż.

— Dlatego wojsko trzyma to w tajemnicy. Rząd wstydzi się przyznać. W rzeczywistości wielu naszych żołnierzy wciąż przebywa w niewoli. Wietnamczycy trzymali ich jako zakładników, żeby wymusić pomoc zagraniczną, umowy handlowe i kredyty po wojnie. To był szantaż. Przez lata rząd odmawiał, choć nasi chłopcy byli jeńcami, a teraz się tego wypiera. To wielka tajemnica, rząd nie chce o tym mówić.

— Mamy dowód — stwierdził Hobie.

Wyciągnął z aktówki kolejną fotografię. Podał ją Reacherowi To było nowe zdjęcie. Żywe kolory, błyszcząca faktura. Zostało wykonane teleobiektywem w dżungli. Na zdjęciu widać było płot z drutu kolczastego na bambusowych tyczkach, Wietnamczyka w brunatnym mundurze, z opaską na czole, trzymającego karabin maszynowy. Reacher łatwo poznał sowiecki AK-47. To nie ulegało wątpliwości. Obok wietnamskiego żołnierza stał wysoki biały mężczyzna około pięćdziesiątki, wychudzony, przygarbiony, posiwiały, w rozpadającym się mundurze. Starał się nie patrzeć na pilnującego go Wietnamczyka.

— To Victor — oświadczyła pani Hobie. — To nasz syn. Zdjęcie pochodzi z zeszłego roku.

— Przez trzydzieści lat wypytywaliśmy, co się z nim stało — powiedział pan Hobie. — Nikt nie chciał nam pomóc. Pytaliśmy wszystkich. Później znaleźliśmy człowieka, który opowiedział nam o tajnych obozach. Nie ma ich wiele. Tylko kilka, a jeńców jest zaledwie garstka.

Większość już zmarła. Ze starości lub

głodu i wycieńczenia. Ten człowiek poleciał do Wietnamu, żeby czegoś się dowiedzieć. Udało mu się dotrzeć w pobliże obozu i zrobić to zdjęcie. Nawet rozmawiał z jednym jeńcem przez płot. W tajemnicy, w nocy. To oczywiście było bardzo niebezpieczne. Spytał o nazwisko więźnia, którego sfotografował. Dowiedział się, że to Vic Hobie, pilot helikoptera pirwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej. - Ten człowiek nie miał pieniędzy, żeby zorganizować wyprawę ratunkową — dodała pani Hobie. — My już wydaliśmy wszystkie oszczędności, żeby zapłacić za jego podróż. Nic nam nie zostało. Gdy poznaliśmy w szpitalu generała

Garbera, opowiedzieliśmy mu tę historię. Prosił, żeby nakłonił władze do sfinansowania akcji.

Reacher wpatrywał się w zdjęcie. Patrzył na wychudzonego mężczyznę z szarą twarzą. — Kto jeszcze widział to zdjęcie? — Nikt. Tylko generał Garber — odparła pani Hobie. — Ten człowiek, który sfotografował Victora, zachował to w tajem-

[nicy. Pod względem politycznym to bardzo delikatna sprawa. Bardzo niebezpieczna.

Straszna sprawa w historii naszego

narodu. Musieliśmy jednak przedstawić ją generałowi Garberowi, ponieważ on mógł nam pomóc.

— Czego państwo po mnie oczekują? — spytał Reacher. Słychać był syk tlenu. Wdech i wydech, wdech i wydech.

Starzec poruszył ustami.

— Po prostu chcę zobaczyć syna — powiedział. — Chcę go zobaczyć, choćby na dzień przed śmiercią.

• • •

Starsi państwo powiedzieli już wszystko, co mieli do powiedzenia. Oboje wpatrywali się w zdjęcia stojące nad kominkiem. Reacher siedział w zupełnej ciszy. Po pewnym czasie pan Hobie dwiema rękami podniósł skórzaną aktówkę i podał ją Reacherowi. Jack pochylił się, żeby ją odebrać. W pierwszej chwili sądził, że ma po prostu schować zdjęcia, ale zdał sobie sprawę, że to był akt przekazania pałeczki. Ceremonia. Ich poszukiwania kontynuował Leon, a teraz to zadanie przypadło jemu.

Aktówka była bardzo cienka. Oprócz trzech fotografii były w niej tylko nieliczne listy syna do rodziców i oficjalnych korespondencja z Departamentem Obrony. No i jeszcze dokumenty związane z likwidacją ich wszystkich oszczędności i przesłaniem potwierzonego czeku na osiemnaście tysięcy dolarów na adres w Bronksie w celu sfinansowania wyprawy rekonesansowej do Wietnamu, którą miał pokierować niejaki Rutter.

Najstarsze listy od syna pochodziły z miejscowości na Południu, gdzie przechodził szkolenie — Dix. Polk, Wolters. Rucker. Belvoir i Bermmg. Krótki liścik z Mobile w Alabamie, gdy wchodził na pokład statku, żeby odbyć trwający miesiąc rejs przez Kanał Panamski do Indochin. Cienkie listy lotnicze z Wietnamu, osiem z pierwszego wyjazdu, sześć z drugiego. Papier listowy miał trzydzieści lat, był sztywny i suchy jak starożytny papirus. Jak dokument znaleziony przez archeologów.

Victor nie był epistolografem. Jego listy były pełne banalnych zwrotów, jakimi szpikują swoją korespondencję młodzi żoł-

nierze. Zapewne na świecie jest ze sto milionów rodziców, którzy z czcią przechowują takie listy z różnych czasów, różnych wojen, w różnych językach, ale zawierających takie same informacje: jedzenie, pogoda, plotki o działaniach wojennych, słowa otuchy.

Korespondencja z Departamentem Obrony była dobrą ilustracją rozwoju techniki biurowej. Pierwsze listy były napisane na starych maszynach do pisania; niektóre litery wyskakiwały z linii, zdarzały się za duże odstępy i słabo odbite znaki w miejscach, gdzie taśma była zużyta. Później rozpoczęła

się epoka elektrycznych maszyn do pisania; litery były os-trzejsze, bardziej jednolite. No i wreszcie edytory tekstu -lepszy papier i żadnych błędów. Jednak treść się nie zmieniała. Brak informacji. Zaginął w akcji, prawdopodobnie zginął. Kondolencje.

Po umowie zawartej z Rutterem starszycy zostali bez grosza. Przedtem mieli pewien kapitał zainwestowany w fundusz akcyjny i nieco gotówki w banku. W aktówce znajdowała się kartka zapisana zapewne przez panią Hobie, z wyliczeniami ich miesięcznych wydatków, skreśleniami kolejnych pozycji, aż wreszcie ostateczna kwota zgadzała się z emeryturą z ubezpieczenia społecznego, co pozwoliło im upłynnić kapitał. Półtora roku temu sprzedali wszystkie jednostki udziałowe, wyciągnęli gotówkę z banku i przesłali wszystko Rutterowi z Bronksu tytułem opłacenia kosztów poszukiwań w Wietnamie. Rutter miał niezwłocznie

wyjechać. Poprosił jeszcze o wszelkie informacje mogące się przydać, między innymi numer służ-

bowy, historię służby i fotografie. No i wreszcie list wysłany trzy miesiące później z opisem tajnego obozu w dżungli, wielkiego ryzyka związanego ze zrobieniem tego zdjęcia i dyskretną rozmową przez płot. Rutter przedstawił jeszcze bardzo szczegółowy plan wyprawy ratunkowej, której koszt ocenił na czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Czterdzieści pięć tysięcy, których nie mieli.

— Czy pan nam pomoże? — spytała stara kobieta, przerywając ciszę. — Czy wszystko jest jasne? Czy chciałby pan o coś spytać?

Reacher spojrział na nią. Pani Hobie najwyraźniej obserwowwała, jak przeglądał dokumenty. Zamknął aktówkę i wbił wzrok w wytartą skórę. W tym momencie nasuwało mu się tylko jedno pytanie: Do diabła, dlaczego Leon nie powiedział tym ludziom prawdy?

9

Marilyn Stone była tak zajęta, że nie miała czasu na lunch, ale niezbyt się tym przejmowała, ponieważ była zadowolona z tego, jak wygląda ich dom. Przekonała się, że ma do tej sprawy zupełnie beznamiętny stosunek, co trochę ją dziwiło, bo przecież sprzedawała swój dom, własny dom, który nie tak wiele lat temu wybrała z wielką troską, entuzjazmem i namysłem. To był dom z jej marzeń. Znacznie większy i lepszy, niż kiedykolwiek oczekiwała. Wówczas sama myśl o takim domu

budziła w niej fizyczne podniecenie. Gdy się przeprowadzili czuła się tak, jakby zmarła i trafiła do nieba. Teraz myślała o domu jako o przedmiocie na sprzedaż i rozważała wszelkie aspekty marketingowe tej operacji. Nie myślała o tym, że sama z wielką radością wymyślała wystrój wszystkich pokoi. Nie czuła bólu. Nie spoglądała tęsknym wzrokiem na miejsca, gdzie zabawiła się z Chesterem, gdzie jedli, śmiali się i spali. Po prostu na zimno rozważała, jak sprawić, żeby mieszkanie było najbardziej atrakcyjne dla kupujących.

Zgodnie z jej planem pierwsza pojawiła się ekipa z firmy zajmującej się przeprowadzkami. Marilyn kazała im zabrać kredens z przedpokoju i fotel Chestera z salonu. Nie był brzydki, ale ewidentnie nie pasował do całości. To było ulubione miejsce jej męża: wybrał ten fotel, tak jak czynią zwykle mężczyźni — kierując się względami wygody i przyzwyczajeniem, nie zaś stylem i stosownością. To był jedyny mebel, jaki przywieźli

tu z poprzedniego domu. Chester postawił go przy kominku, na skos. Na co dzień Marilyn nawet lubiła ten fotel. Dzięki niemu salon sprawiał wrażenie pomieszczenia, w którym naprawdę żyją ludzie, nie zaś wystawy z salonu meblowego. Właśnie z tej przyczyny musiał teraz zostać usunięty.

Marilyn kazała również zabrać z kuchni stół rzeźniczy do krojenia mięsa. Długo się nad rym zastanawiała. Z pewnością ten stół sprawiał, że kuchnia robiła poważne wrażenie. To było miejsce, gdzie można zaplanować i przygotować skomplikowane posiłki. Jednak usunięcie stołu pozwalało uzyskać rozległą, pustą przestrzeń wyłożoną błyszczącym gresem. Światło z okna w wykuszu sprawiało, że ta przestrzeń wydawała się wielka jak ocean. Marilyn musiała rozważyć problem z punktu widzenia kupujących. Zadała sobie pytanie: **Co zrobiłoby na niej większe wrażenie? Profesjonalna kuchnia czy rozległa przestrzeń kuchenna?** W ten sposób stół trafił na ciężarówkę.

Podobny los spotkał telewizor z bawialni. Chester niechętnie odnosił siskich kamer filmowych, co było dla niego dotkliwym ciosem. Chester nie miał ochoty na kupowanie najnowszych produktów swych rywali. Mieli stary model RCA, nawet bez pilota, za to z podrabianą chromowaną ramką wokół ekranu tak wypukłego jak kuliste akwarium. Marilyn widziała lepsze odbiorniki wyrzucone na śmietniki i pobocza dróg. Kazała zatem zabrać go z bawialni i postawić w tym miejscu bibliotekę z gościnnego pokoju. Jej zdaniem to bardzo poprawiło wygląd pomieszczenia. Biblioteka, skórzane fotele i ciemne abażury narzucały spostrzeżenie, że mieszkają tu ludzie kulturalni i inteligentni. To otwierało pole aspiracji.

Nabywca mógł sądzić, że kupuje nie tylko dom, ale i styl życia.

Marilyn przez kilka minut wybierała książki do położenia na stoliku do kawy w salonie.

Później przyjechała kwiaciarka z płaskimi, kartonowymi pudłami kwiatów. Marilyn kazała jej umyć wszystkie wazony, dała europejski magazyn i powiedziała, żeby skopiowała kompozycje ze zdjęć. Pracownik z biura Sheryl przywiózł znak „Na sprzedaż”. Marilyn poleciła mu ustawić ogłoszenie obok skrzynki pocztowej. Ogrodnicy przyjechali do telewizorów. Wideo zakończyło akurat wtedy, gdy wyjeżdżała ekipa transportowa, co wymagało skomplikowanych manewrów na podjeździe. Marilyn wyjaśniła szefowi ogrodników, czego sobie życzy, a następnie znikła wewnątrz domu. Chłopak zajmujący się basenem przyszedł równocześnie ze sprzątaczkami. Marilyn przez chwilę patrzyła na zmianę na niego i na sprzątaczkę, nie wiedząc, od czego zacząć. W końcu zdecydowanie poleciła sprzątaczkom poczekać, zaprowadziła chłopca na miejsce i powiedziała mu, co ma zrobić. Gdy biegła do domu, poczuła głód i zdała sobie sprawę, że nie zjadła lunchu. Była jednak zadowolona z postępu w pracy.

• • •

Państwo Hobie odprowadzili Reachera do drzwi. Starszy pan najpierw długo wdychał tlen, żeby wstać, a potem pchał przed sobą butlę z tlenem ustawioną na dwukołowym wózku, trochę jak laskę, trochę jak torbę na kije do golfa. Żona szła przed nim, a jej suknia szel. Pani Hobie otworzyła drzwi, a jej mąż stał obok, ciężko dyszał i zaciskał ręką na uchwycie wózka. Do holu wpadł powiew świeżego powietrza.

- Czy w okolicy mieszkają może jacyś starzy przyjaciele Vica? — spytał Reacher.

— Czy to ważne, majorze?

Reacher wzruszył ramionami. Już dawno zrozumiał, że przygotowując ludzi na złe wieści, najlepiej jest od samego początku sprawiać wrażenie człowieka dokładnego i systematycznego. Ludzie są bardziej skłonni słuchać, jeśli sądzą, że zostały wykorzystane wszystkie możliwości.

— Po prostu chciałbym więcej o nim wiedzieć — odpowiedział.

Państwo Hobie wydawali się zdziwieni, ale zastanowili się nad odpowiedzią, bo Reacher był ich ostatnią nadzieją. Miał w swoich rękach życie ich syna, w sensie dosłownym.

- Jeśli ktoś, to Ed Steven ze składu z materiałami budowlanymi — rzekł wreszcie pan Hobie.

— Victor i Ed byli eściła, ocierając się o ściany i futryny drzwi. Reacher szedł za nimi ze skórzaną aktówką pod pachą.

Bliskimi kumplami, od przedszkola do dwunastej klasy. To jednak było trzydzieści pięć lat temu, majorze. Nie rozumiem, jakie to może mieć teraz znaczenie.

Reacher kiwnął głową, bo rzeczywiście nie miało to żadnego znaczenia.

— Mam państwa telefon — przypomniał. — Jak tylko się czegoś dowiem, natychmiast zadzwonię.

— Liczymy na pana — powiedziała pani Hobie.

— Miło mi było państwa poznać — rzucił Reacher na pożegnanie. — Dziękuję za kawę i ciasto. Bardzo mi przykro z powodu państwa sytuacji.

Nie odpowiedzieli. Reacher pomyślał, że to była beznadziejna odzywka. Trzydzieści lat cierpienia, a jemu jest przykro z powodu ich sytuacji? Jak najszybciej uściskał ich kruche dłonie i wycofał się zarośniętą ścieżką. Szedł do samochodu z aktówką pod pachą, patrząc prosto przed siebie. Zjechał tyłem z podjazdu, znowu szorując oboma bokami samochodu o gałęzie. Zawrócił na gruntowej drodze i dotarł do ulicy, którą tu przyjechał. Jadąc na południe, rozglądał się

w poszukiwaniu sklepu. Zbliżał się do Brighton. W miarę jak jechał, ulica się poszerzała, a nawierzchnia stawała się coraz równiejsza. Minął stację benzynową i remizę strażacką. Miejski park. Supermarket z wielkim parkingiem, bank, szereg niewielkich sklepów

odsuniętych nieco od ulicy.

Parking przed supermarketem najwyraźniej stanowił geograficzny środek miasta. Reacher powoli minął zjazd. Kawalek dalej zobaczył szkółkę ogrodniczą z rzędami krzewów w doniczkach pod zraszaczem. Nad szkółką unosiła się tęcza. Po chwili zauważył spory barak stojący na działce z wielkim szyldem: Ed Steven — Artykuły techniczne. Zjechał z drogi i zaparkował obok składu drewna na tyłach budynku.

Wejście stanowiły słabo widoczne drzwi w krótszej ścianie baraku. W środku znajdował się prawdziwy labirynt utworzony z półek z rzeczami, których Reacher nigdy jeszcze nie musiał kupować. Śruby, gwoździe, kołki rozporowe, narzędzia ręczne i elektryczne, wiadra na śmieci, skrzynki pocztowe, szyby, futryny okienne, drzwi, puszki farby. Pośrodku pomieszczenia

stały cztery lady ustawione w kwadrat pod jaskrawymi jarzeniówkami. W tej zagrodzie stali mężczyzna i dwaj chłopcy, ubrani w dżinsy, koszule i czerwone fartuchy. Mężczyzna był niski i szczupły, miał jakieś pięćdziesiąt lat, a chłopcy niewątpliwie byli jego synami, o czym świadczyło podobieństwo twarzy i budowy. Mieli pewnie osiemnaście i dwadzieścia lat.

— Pan Ed Steven? — spytał Reacher.

Mężczyzna kiwnął głową i uniósł brwi jak człowiek, który od trzydziestu lat ma stale do czynienia z pytaniami klientów i sprzedawców.

— Czy moglibyśmy porozmawiać o Victorze Hobiem? Steven przez chwilę patrzył na niego ze zdziwieniem, a potem

zerknął na synów, tak jakby przewinął w pamięci całe ich życie i wrócił do jeszcze wcześniejszych czasów, gdy znał Victora Hobiego.

— Zginął w Wietnamie, wie pan? — powiedział.

— Chciałbym czegoś się o nim dowiedzieć, jakim był człowiekiem.

— Jego starzy znowu go szukają? — spytał. Nie był za-

skoczony, jego głos wyrażał znużenie. Najwyraźniej wszyscy w mieście dobrze znali i rozumieli problemy państwa Hobie, ale nie mogli się już zdobyć na głębokie współczucie.

Reacher kiwnął głową.

— Chciałbym się zorientować, co to był za facet Słyszałem, że pan go dobrze znał.

— No, chyba tak — przyznał Steven. — To jednak było dawno temu, gdy byliśmy dziećmi. Po skończeniu szkoły średniej widziałem go tylko raz.

— Zechce mi pan o nim opowiedzieć?

— Jestem dość zajęty. Muszę zająć się rozładunkiem.

— Mogę panu pomóc. Możemy rozmawiać podczas pracy. Steven już chciał rutynowo odmówić, ale zerknął na Rea-

chera, zwrócił uwagę na jego wzrost i budowę, po czym uśmiechnął się jak tragarz, któremu zaproponowano podnośnik widłowy za darmo.

— Okay — powiedział. — Na zapleczu.

Steven wyszedł zza lady i wyprowadził Reachera przez

tylne drzwi. Obok metalowej wiaty stała zakurzona furgonetka wyładowana workami z cementem. Półki pod wiatą były puste

Reacher zdjął marynarkę i położył ją na masce furgonetki.

Worki były zrobione z grubego papieru. Reacher wiedział z doświadczenia, jakiego nabrał przy budowie basenów, że jeśli chwyci dwiema rękami w środku, worek złoży się i pęknie.

Lepiej było mocno chwycić jedną ręką za róg worka. To również przynajmniej częściowo chroniło przed zabrudzeniem koszuli. Worki ważyły po pięćdziesiąt kilogramów, dlatego brał po dwa naraz. To ułatwiało utrzymanie równowagi. Steven patrzył na niego tak, jakby oglądał cyrkowy numer.

— No, to niech mi pan opowie o Victorze Hobiem — mruknął Reacher.

Steven wzruszył ramionami. Oparł się o słup wiaty.

— To było tak dawno. Co ja mogę panu opowiedzieć? Przecież byliśmy tylko dziećmi. Nasi

ojcowie znali się z izby handlowej. Jego tata był drukarzem, mój prowadził ten sklep, ale wtedy to był tylko skład drewna. Razem zaliczyliśmy całą szkołę. Tego samego dnia poszliśmy do przedszkola i tego

samego dnia skończyliśmy szkołę średnią. Potem widziałem go tylko raz, gdy przyjechał do domu na przepustkę. Rok służył w Wietnamie i wybierał się tam ponownie.

— Jakim był facetem?

Steven znowu wzruszył ramionami.

— Nie mam wielkiej ochoty przekazywać panu mojej opinii.

— Dlaczego? Jakież nieprzyjemne fakty?

— Nie, nic takiego — zaprzeczył Steven. — Nie ma absolutnie nic do ukrycia. To był dobry chłopak. Mam jednak wyrazić opinię dziecka o innym dziecku sprzed trzydziestu pięciu lat, tak? To nie jest opinia, na jakiej można polegać.

Reacher przystanął, trzymając w każdym ręku pięćdziesięcio-kilo gramowy worek cementu. Spojrzał na Stevena, który opierał się o tyczkę. W swym czerwonym fartuchu, szczupły i sprawny, wydawał mu się typowym jankesem, drobnym przedsiębiorcą z małego miasteczka. Facet, na którego rozsądka można polegać.

— Dobra, wezmę to pod uwagę.

Steven skłonił głowę, tak jakby ustalili reguły rozmowy.

— Ile ma pan lat? — spytał.

— Trzydzieści osiem.

— Pochodzi pan z tych okolic?

— Nie — pokręcił głową Reacher. — Trudno byłoby określić, skąd pochodzę.

— Okay, musi pan zatem zrozumieć pewne rzeczy. To niewielkie miasteczko, a Victor i ja urodziliśmy się w czterdziestym ósmym roku. Mieliliśmy piętnaście lat, gdy zginął Kennedy, szesnaście, nim pojawili się Beatlesi, dwadzieścia, gdy wybuchły rozruchy w Chicago i Los Angeles. Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

— To był inny świat.

— Jak cholera. Wychowywaliśmy się w zupełnie innym świecie. Tak spędziliśmy całe dzieciństwo. Dla nas wielkim śmiałkiem był chłopak, który wsadził karty baseballowe w szprychy rowem. Musi pan o tym pamiętać, gdy będę mówił o Victorze.

Reacher pokiwał głową. Wziął dziewiąty i dziesiąty worek z platformy furgonetki. Zaczął się pocić. Trochę się niepokoił,

w jakim stanie będzie jego koszula, gdy zobaczy go

- Victor był bardzo porządnym dzieckiem — mówił dalej Steven. — Bardzo dobrym i normalnym. A jak wspominałem, dla porównania, to było w czasach, kiedy myśleliśmy, że wyprawiamy Bóg wie co, gdy w sobotę o wpół do dziesiątej wieczorem piliśmy mleczny koktajl, zamiast leżeć w łóżku.

— Czym się interesował? — spytał Reacher. Steven wyduł policzki i wzruszył ramionami.

— Cóż mogę panu powiedzieć? Tym samym co wszyscy. Baseballlem, rockiem. Lubiliśmy Elvisa, lody, westerny. Takie rzeczy. Normalne rzeczy.

— Jego ojciec powiedział mi, że Victor zawsze chciał zostać żołnierzem.

— Wszyscy chcieliśmy. Najpierw kowbojami i Indianami, później żołnierzami.

— Pan też walczył w Wietnamie?

— Nie, ja przestałem myśleć o służbie wojskowej — odrzekł

Steven, kręcąc głowę. — Nie byłem przeciw. Musi pan zrozumieć, to działo się na długo przed pojawieniem się hipisów.

I Nikt nie był przeciw służbie wojskowej. Nie chodzi też o to, że bałem się wojny. Wtedy nikt się nie bał. Przecież byliśmy armią Stanów Zjednoczonych. Wszyscy uważali, że sprawimy manto skośnookim żółtkom w sześć miesięcy maksimum. Nikt nie bał się służby. To po prostu wydawało się takie staromodne. Szanowaliśmy wojsko, lubiliśmy wojenne historie, ale to wszystko wydawało się nam czymś z innej epoki, rozumie mnie pan? Chciałem zająć

się interesem. Chciałem zmienić skład z drewnem ojca w wielką korporację. To wydawało mi się właściwym zadaniem. Uważałem to za bardziej amerykańskie przedsięwzięcie niż służba w wojsku. Wtedy biznes był uważany za działalność patriotyczną.

— A zatem wykombinował pan coś, żeby uniknąć poboru? — spytał Reacher.

— Dostałem wezwanie z komisji poborowej, ale złożyłem podanie o przyjęcie na studia. Nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi, ale komisja zwolniła mnie ze służby. Mój ojciec przyjaźnił się z przewodniczącym komisji, co pewnie miało swoje znaczenie.

— Jak na to zareagował Victor?

— Wcale mu to nie przeszkadzało. To nie stanowiło problemu w stosunkach między nami. Nie byłem pacyfistą ani nikim takim. Tak jak inni popierałem nasz udział w wojnie w Wietnamie. To był po prostu osobisty wybór między przeszłością i przyszłością. Ja chciałem zajmować się przyszłością, Victor chciał służyć w wojsku. Wiedział, że jest, jak by to Kreślić, zbyt stateczny. Prawdę mówiąc, Victor pozostawał pod silnym wpływem swego starego, który podczas drugiej wojny światowej był na tyłach. Mój ojciec służył w piechocie, walczył na Pacyfiku. Victor pewnie myślał, że jego rodzina **we** odrobiła swojej działki. Chciał to zrobić, traktował to jako obowiązek. Teraz to wydaje się dość pompatyczne, nie? Obowiązek? Wtedy jednak wszyscy tak myśleliśmy. Nie można nas porównać z obecną młodzieżą. Byliśmy dość poważni i staromodni. Victor może nieco bardziej niż inni. Bardzo poważny, bardzo sumienny, ale mimo to nie wyróżniał się specjalnie.

Reacher przeniósł już trzy czwarte ładunku. Zatrzymał się i oparł o furgonetkę, żeby odpocząć.

— Czy był bystry?

— Całkowicie wystarczająco moim zdaniem — odrzekł Steven. — Uczył się dobrze, ale nie jakoś rewelacyjnie. Trochę dzieci z tych okolic poszło na studia, zostały prawnikami lub lekarzami. Jeden chłopak, trochę od nas młodszy, dostał pracę w NASA. Victor był dość inteligentny, ale jeśli dobrze pamiętam, musiał się napocić, żeby mieć dobre stopnie. Reacher sięgnął po następne dwa worki. Zaczął od najdalszych półek i teraz był z tego zadowolony, bo już paliły go przedramiona.

— Czy kiedyś coś przeszkrobał?

— Przeszkrobał? Pan nie słucha, co do pana mówię. Victor był wzorowym dzieckiem, a nawet najgorszy chuligan z tamtych czasów dziś wydałby się nam aniołem.

Jeszcze sześć worków. Reacher wytarł dłonie o spodnie.

— Jak się zachowywał podczas waszego ostatniego spotkania? Przed drugim wyjazdem do Wietnamu? Steven przez chwilę się zastanawiał, co odpowiedzieć.

— Wydawał się nieco starszy. Ja byłem starszy o rok, on wyglądał tak, jakby przybyło mu pięć lat. Ale to wszystko. Nie zmienił się. Wciąż bardzo poważny, bardzo gorliwy. Dostał medal, dlatego w mieście urządzono paradę na jego cześć. Był tym naprawdę zakłopotany, mówił, że ten medal to nic takiego. Pojechał znowu i już nie wrócił.

— Jak pan to przeżył?

— Dość ciężko — odpowiedział Steven po chwili zwłoki. — Znałem go całe życie. Oczywiście wolałbym, żeby wrócił z wojny, ale byłem zadowolony, że nie został kaleką jak wielu innych. Reacher skończył pracę. Wepchnął ostatni worek na półkę i oparł się o słupek naprzeciwko Stevena.

— A co pan myśli o tej tajemnicy? Co się z nim stało?

— Nie ma żadnej tajemnicy — odparł Steven ze smutnym uśmiechem. Pokręcił głową. — Został zabity. Po prostu dwoje starych ludzi nie chce przyjąć do wiadomości kilku gorzkich prawd. - Jakich?

- To jasne. Po pierwsze, ich chłopak poległ na wojnie. Po drugie, zginął w jakiejś zapomnianej przez Boga dżungli, gdzie nikt go nie znajdzie. Po trzecie, w tym okresie rząd zaczął kleić.

Przestali uwzględniać zaginionych na listach ofiar, żeby zmniejszyć ich liczbę. Ilu ich było w tym zestrzelonym helikopterze Vica? Pewnie z dziesięciu. To dziesięć nazwisk, o których nic dowiedziała się telewizja. Taka była wtedy polityka rządu, a dziś jest za późno, żeby to przyznać. — Tak pan uważa?

— No pewnie. Wojna źle wpłynęła na cały rząd. Mogę panu powiedzieć, że mojemu pokoleniu trudno to było przyjąć do wiadomości. Wam, młodszym, pewnie łatwiej to zaakceptować, ale może mi pan wierzyć, że tacy starzy ludzie jak państwo Hobbie nigdy się z tym nie pogodzą. Steven zamilkł. Popatrzył z roztargnieniem na pustą furgonetkę i pełne półki.

— Przeniósł pan tonę cementu. Chce pan może wejść, umyć się i napić wody sodowej?

— Muszę coś zjeść — odparł Reacher. — Jeszcze nie jadłem lunchu.

Steven pokiwał głową i uśmiechnął się z żalem.

— Niech pan jedzie na południe. Tuż za dworcem kolejowym jest bar. To tam w soboty wieczorem o wpół do dziewiątej piliśmy mleczne koktajle i każdy z nas myślał, że jest Frankiem Sinatra.

• • •

Lokal koło dworca niewątpliwie bardzo się zmienił od czasów, kiedy w sobotnie wieczory odważni młodzieńcy z kartami baseballowymi w szprychach rowerów popijali tam mleczne koktajle. Teraz była to restauracja w stylu z lat siedemdziesiątych, niska, z ceglana fasadą i dodatkami z lat dziewięćdziesiątych w postaci skomplikowanych różowych i niebieskich neonów we wszystkich oknach- Reacher wziął ze sobą skórzaną aktówkę. Wszedł do chłodnego wnętrza pachnącego freonem, hamburgerami i silnymi środkami czyszczącymi, którymi spryskiwano stoły przed wytarciem. Usiadł przy stoliku, a pogodna, korpulentna dwudziestoletnia kelnerka przywoździła go na miejscu, kładąc przed nim talerz i sztucce. Podała mu menu wielkości plakatu ze zdjęciami i opisami wszystkich dań. Zamówił podwójnego hamburgera z serem, sałatkę z kapusty i zapiekaną cebulę. Założył się sam ze sobą, że jedzenie nie będzie podobne do tego na fotografii. Napił się zimnej wody i poprosił o kolejną szklankę. W końcu otworzył aktówkę.

Skupił uwagę na listach Victora do rodziców. W sumie było ich dwadzieścia siedem — trzynaście z różnych ośrodków szkoleniowych i czternaście z Wietnamu. Potwierdziły wszystko, co powiedział mu Steven. Poprawna gramatyka, bez błędów ortograficznych, proste krótkie zdania. Ten sam charakter pisma, jaki mają wszyscy, którzy chodzili do szkoły w Ameryce od lat dwudziestych do sześćdziesiątych, ale pochylone do tyłu. Widocznie był leworęczny. Wszystkie listy były jednostronnicowe plus kilka linijek na drugiej. Zdyscyplinowany *m\Wf* człowiek, który wiedział, że jest rzeczą nietaktowną kończyć osobisty list na pierwszej stronie. Uprzejmy, obowiązkowy, leworęczny, nudny, konwencjonalny, wykształcony, ale żaden geniusz.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Hamburger był znośny, lecz cały posiłek nie przypominał uczyty przedstawionej na zdjęciu. Biała kapusta w papierowym kubku pływała w sosie z octu winnego, zapiekane kółka cebuli przypominały brązowe opony. Ser szwajcarski był cienki jak gaza, ale przynajmniej rzeczywiście miał smak sera.

Trudniej było zinterpretować zdjęcie z uroczystej promocji w Rucker. Fotografia była trochę nieostra, a daszek czapła rzucał cień na twarz Victora. Stał wyprężony, z ramionami odciągniętymi do tyłu. Czy pękał z dumy, czy był zakłopotany obecnością matki? Ostatecznie Reacher uznał, że układ ust wskazuje na dumę. Były zaciśnięte, z opuszczonym kącikami, tak jakby z trudem powstrzymywał radosny uśmiech. To było zdjęcie kogoś, kto odniósł największy sukces w swoim dotychczasowym życiu. Wszystkie cele osiągnięte, wszystkie marzenia spełnione. Dwa tygodnie później popłynął do Wietnamu. Reacher odszukał list z Mobile. Victor pisał ze statku na dzień przed wyjściem z portu. Jedna strona i kilka suchych zdań. Uczucia pod kontrolą. Z tego listu nic nie wynikało.

Reacher zapłacił rachunek, zostawiając kelnerce dwa dolary napiwku za to, że była taka

zadowolona z życia. Czy ona napisałaby do domu jedną stronę i kilka linijek bez żadnej treści na dzień przed wypłynięciem na wojnę? Nie, ale też nigdy nie wyruszyłaby na wojnę.

Helikopter Victora został zestrzelony jakieś siedem lat przed jej przyjściem na świat, a wojna w Wietnamie to dla niej coś, co musiała przecierpieć na lekcjach historii.

Było jeszcze za wcześnie na powrót na Wall Street. Reacher musiał jakoś zabić czas, co najmniej dwie godziny. Wsiadł do samochodu i włączył klimatyzację na pełny regulator.

Rozłożył mapę Hertza na aktówce, żeby zastanowić się nad wyborem drogi powrotnej. Mógł pojechać szosą numer 9 do drogi Bear Mountain, stamtąd na wschód do Taconic, z Taconic na południe

i wylądować na szosie Bronx River. W ten sposób dotarłby prosto do ogrodu botanicznego, w którym nigdy nie był, a bardzo chciał go odwiedzić.

• • •

Marilyn wreszcie zjadła lunch o trzeciej. Przed zwolnieniem ekipy sprzątającej sprawdziła, czy wszystko zostało zrobione jak należy. Spisali się bez zarzutu. Wyczyścili na mokro wykładzinę w holu; nie była brudna, ale to najlepszy sposób na usunięcie śladów po nóżkach kredensu.

Teraz już nikt nie mógł poznać, że kiedyś stał tu ciężki mebel.

Gdy robotnicy wyszli, wzięła długi prysznic, a potem wytarła kabinę papierowym ręcznikiem, żeby była sucha i błyszcząca. Uczesała się, ale nie wysuszyła włosów. Wiedziała, że pod wpływem czerwcowej wilgoci i gorąca po wyschnięciu będą lekko sfalowane. Ubrała się; wybrała ulubioną suknię Chestera, ciemnoróżowy prosty futerał, w którym wyglądała najlepiej

bez bielizny. Suknia kończyła się tuż nad kolanami, a choć nie była bardzo obcisła, przylegała do ciała we wszystkich stosownych miejscach, jakby została uszyta na miarę. Tak zresztą było, choć Chester o tym nie wiedział. Uważał, że żonie udało się znaleźć gotową sukienkę, która akurat świetnie na nią pasuje. Marilyn nie wyprowadziła go z błędu; nie chodziło o pieniądze, po prostu czuła, że byłoby pewnym bezwstydem zamawiać taką seksowną sukienkę. A sukienka działała na niego tak, jakby rzeczywiście była bezwstydną. Chester zawsze na nią reagował Marilyn wkładała ją, gdy uważała, że mąż zasłużył na nagrodę lub chciała odwrócić jego uwagę od innych spraw. To dlatego ubrała się w nią. Chciała odwrócić jego uwagę. Po przyjściu wieczorem Chester miał się dowiedzieć, że ich dom został wystawiony na sprzedaż, że przejęła inicjatywę i sama podjęła decyzję. Jakkolwiek na to patrzeć, zapowiadał się trudny wieczór. Marilyn chciała wykorzystać wszystkie swoje atuty, nie przejmując się bez-

Wybrała szpilki od Gucciego w kolorze sukienki, w których

jej nogi wydawały się dłuższe. Potem poszła do kuchni na lunch: jabłko i kawałek sera z obniżoną zawartością tłuszczu. Wróciła na górę, wyczyściła zęby. Zastanawiała się nad makijażem. Skoro pod sukienką była naga i miała rozpuszczone włosy, to najlepiej byłoby zrezygnować z makijażu. Marilyn zdawała sobie jednak sprawę, że jest już w takim wieku, w którym makijaż jest niezbędny, dlatego poświęciła dwadzieścia minut, żeby umalować się tak, jakby w innych okolicznościach tego nie zrobiła.

Następnie zajęła się paznokciami. Pomalowała również paznokcie u nóg, ponieważ podejrzewała, że szybko zrzuci pantofle. Skropiła się ulubionymi perfumami, jednakże lekko, żeby zapach był wyczuwalny, ale nie nachalny. W tym momencie zadzwoniła Sheryl.

— Marilyn! — wykrzyknęła. — Sześć godzin na rynku i już masz branie!

— Tak? Kto chce kupić? Jak się dowiedział?

— Wiem, to dopiero pierwszy dzień, jeszcze nawet nie

ukazało się ogłoszenie. Czy to nie wspaniale? To jakiś džentelmen, który przeprowadza się tu z całą rodziną. Zwiedzał okolicę i zobaczył twój znak o sprzedaży. Od razu tu przyjechał, żeby wypytać o wszystkie szczegóły. Jesteś gotowa? Czy mogę go przywieźć?

- Tak od razu? Już? To szybko, nieprawdaż? No, ale jestem gotowa. Kto to taki, Sheryl?

Myślisz, że to poważny klient?

— Zdecydowanie tak sędę. Jest tutaj tylko dzisiaj. Wieczorem musi odlecieć na Zachód.

— Dobra, przyprowadź go. Będę gotowa.

Marilyn zdała sobie sprawę, że nieświadomie powtarza wszystkie elementy przygotowań. Pracowała szybko, lecz bez zdenerwowania. Odłożyła słuchawkę, pobiegła do kuchni i nastawiła piecyk na niską temperaturę. Nasypała garstkę ziaren kawy na spodeczek, po czym wstawiła go do piekarnika. Zamknęła drzwiczki, a następnie zajęła się zlewem. Wyrzuciła ogryzek jabłka do śmieci, wstawiła talerzyk do zmywarki. Wytarła zlew papierowym ręcznikiem, cofnęła się o krok i z rękami na biodrach rozejrzała się po kuchni. Podeszła do okna i zmieniła kąt ustawienia żaluzji, żeby światło lśnienie posadzki.

Wbiegła po schodach na górę, aby raz jeszcze sprawdzić stan wszystkich pokoi. Poprawiała kwiaty, żaluzje, poduszki, włączała światło. Przeczytała gdzieś, że gdy gospodyni zapala światło dopiero wtedy, gdy nabywca jest już w pokoju, daje sygnał, że to ponury dom. Światła powinny być zapalone już wcześniej, tworząc pogodną atmosferę.

Marilyn zbiegła po schodach. W jadalni uniosła żaluzje, żeby widać było basen. W bawialni zapaliła światła do czytania i zaciągnęła firanki, dzięki czemu pokój wydawał się przytulny i wygodny. Zajrzała do salonu. Cholera, zapomniała o wyniesieniu stolika Chestera, który stał obok fotela. Jak mogła nie pomyśleć o tym szczególnie? Chwyciła stolik i zniosła do piwnicy. Usłyszała zgrzyt żwiru pod kołami samochodu Sheryl. Szybko wbiegła na górę, zamknęła drzwi do piwnicy i wpadła do garderoby. Spojrzała do lustra, żeby sprawdzić, jak wygląda.

Boże! Miała przecież na sobie ten jedwabny futerał! Bez

bielizny. Materiał kleił się do ciała. Do diabła, co ten biedny facet sobie pomyśli?

Sheryl zadzwoniła do drzwi. Marilyn zamartała. Czy miała czas się przebrać? Oczywiście, że nie. Byli już na progu, czekali, aż im otworzy. Może jakiś żakiet? Kolejny dzwonek. Marilyn wzięła głęboki oddech i pokiwała biodrami, żeby rozluźnić tkaninę. Wyszła do holu. Jeszcze raz głęboko odetchnęła i otworzyła.

Sheryl uśmiechnęła się do niej, ale Marilyn patrzyła na nabywcę. Dość wysoki mężczyzna, od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu lat, szpakowaty, w ciemnym garniturze. Stał bokiem, przyglądał się roślinom przed domem. Spojrzała na jego nogi, ponieważ Chester zawsze twierdził, że bogactwo i wychowanie najłatwiej poznać po butach. Te prezentowały się całkiem nieźle. Ciężkie oksfordy wyglansowane na błysk. Marilyn uśmiechnęła się na powitanie. Czy to ten facet kupi ich dom? Czy sprzeda dom w ciągu sześciu godzin? To byłoby rzeczywiście coś. Wymieniła konspiracyjny uśmiech z Sheryl i zwróciła się do nieznanego mężczyzny.

- Proszę, niech pan wejdzie — powiedziała, wyciągając rękę na powitanie.

Potencjalny nabywca zwrócił się twarzą w jej stronę. Przyglądał się jej zupełnie otwarcie.

Marilyn poczuła się tak, jakby stała nago. Praktycznie była naga. Sama też nie mogła oderwać spojrzenia od jego twarzy. Nieznajomy był potwornie poparzony. Jedna połowa jego głowy była pokryta niezliczonymi różowymi bliznami. Marilyn wykrzywiła usta w uprzejmym uśmiechu i wyciągała do niego rękę. Tamten po chwili uniosł swoją. To jednak nie była dłoń, tylko lśniący, metalowy hak. Nie żadna sztuczna ręka, nie elegancka proteza, lecz groźnie wykrzywiony hak z nierdzewnej stali.

• • •

Reacher zatrzymał się przy krawężniku przed sześćdziesięcio-piętrowym budynkiem na Wall Street; była za dziesięć siódma. Nie wyłączając silnika, przyjrzał się uważnie trójkątowi, którego wierzchołek znajdował się przy wejściu, a boki rozchylały się na obie strony placu, obejmując obszar, z którego ktoś mógłby dopaść Jodie szybciej niż on. Wewnątrz trójkąta nie było nikogo, kto budziłby niepokój. Nikt nie stał nieruchomo, nikt nie obserwował wejścia. Dość rzadki strumień pracowników śpieszących do domu, w marynarkach, z wypchanymi teczkami. Większość szła w lewo, w kierunku metra. Kilku przeciskało się między zaparkowanymi samochodami, żeby złapać tak-iwke Samochody przed budynkiem również wydawały się niegroźne. Furgonetka UPS, dwie

limuzyny, których kierowcy stali obok i rozglądali się w poszukiwaniu swych pasażerów. Skromny ruch pod koniec ciężkiego dnia w biurze. Reacher wyciągnął się na fotem i czekał, spoglądając na prawo i lewo, przed i za siebie, ale zawsze wracając spojrzeniem do obrotowych drzwi.

Jodie wyszła z budynku przed siódmą, kilka minut wcześniej, niż się spodziewał. Zobaczył ją przez szklane drzwi w holu. Dostrzegł jej włosy, sukienkę, migoczące ruchy nóg. Podeszła do drzwi. Reacher przez chwilę się zastanawiał, czy czekała na niego, wyglądając przez okno z biura. Sądząc po czasie, było to dość prawdopodobne. Pewnie zobaczyła samochód i od razu poszła do windy. Jodie nacisnęła obrotowe drzwi i wyszła na plac. Reacher wysiadł z samochodu i stanął na chodniku. Czekał na nią. Jodie niosła swoją ciężką teczkę. Ody przeszła przez nasłoneczniony kawałek placu, jej włosy zaświeciły jak aureola. Uśmiechnęła się do niego z daleka.

— Cześć, Reacher! — zawołała.

— Cześć, Jodie — odpowiedział.

Czegoś się dowiedziała. To było widać po jej twarzy. Miała dla niego jakąś ważną wiadomość, ale uśmiechała się tak, jakby zamierzała się z nim drażnić.

— Jakie wiadomości? — spytał.

Jodie znowu się uśmiechnęła i pokręciła głową.

— Ty pierwszy, dobrze?

Usiedli w samochodzie. Reacher powtórzył jej wszystko, czego dowiedział się od państwa Hobie. Uśmiech znikł z twarzy Jodie. Spoważniała. Potem dał jej skórzaną aktówkę. Gdy przeglądała zawartość, zaczął przebijać się przez gęsty ruch w kierunku Broadwayu. Skręcił w Broadway na południe i zatrzymał się dwie przecznice od jej domu, przed niewielką kawiarnią. Jodie czytała sprawozdanie z wyprawy rekonesansowej Ruttera. Przyglądała się zdjęciu wychudzonego, szpakowatego mężczyzny i wietnamskiego żołnierza.

- Trudno w to uwierzyć — powiedziała cicho.

- Daj mi klucze — rzekł. — Napij się kawy, a ja pójdę do ciebie sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Jodie nie protestowała. Była wyraźnie wstrząśnięta. Sięgnęła do torebki po klucze, wysiadła z samochodu i szybko weszła do kawiarni. Reacher patrzył przez chwilę, jak siada przy stoliku, po czym ruszył. Od razu skręcił na podziemny parking. Jechał wynajętym samochodem, dlatego uznał, że jeśli nawet ktoś tam czeka, przez chwilę się zawaha, co zapewni mu wystarczającą przewagę. Na parkingu jednak nie było nikogo. Te same samochody, które stały tam rano, tak jakby przez cały dzień nikt ich nie używał. Reacher zaparkował taurusa na miejscu Jodie i wszedł po metalowych schodach do holu. Pusto. Pusto w windzie i na korytarzu na trzecim piętrze.

Żadnych śladów włamania na *drzwiach*. Wszedł do mieszkania Cisza i spokój. W mieszkaniu nikogo *me* było.

Reacher zszedł schodami ewakuacyjnymi do horo i wyszedł frontowymi drzwiami na ulicę. Poszedł pieszo na północ, do kawiarni. Jodie siedziała sama przy chromowanym stoliku, pogrążona w lekturze listów Victora Hobbiego. Obok jej łokcia stała nietknięta filiżanka kawy z ekspresu.

— Pijesz tę kawę? — spytał.

Jodie położyła zdjęcie na stosie listów.

— To ma bardzo poważne implikacje — powiedziała Reacher uznał *to za* negatywną odpowiedź, podniósł filiżankę

i wypił kawę jednym haustem. Zdążyła ostygnąć, ale była bardzo mocna.

— Chodźmy — zaproponowała Jodie. Pozwoliła mu wziąć teczkę. Poszli, trzymając się pod ramię, do domu. Podał jej klucze. Jodie otworzyła drzwi frontowe. W milczeniu wjechali windą na trzecie piętro. Jodie przekręciła klucz w drzwiach mieszkania i pierwsza weszła do

środku.

- Zatem to agenci rządowi polują na nas — stwierdziła. Reacher nie odpowiedział. Zdjął marynarkę i rzucił ją na sofę pod kopią Mondriana.

— Na pewno — dodała Jodie.

Podszedł do okna, żeby podnieść żaluzje. Do środka wpadły promienie światła. Biały pokój natychmiast się rozjaśnił.

— Jesteśmy już blisko poznania tajemnicy tych obozów — powiedziała Jodie. — Wobec tego rząd chce nas uciszyć. CIA lub inna agencja.

Reacher poszedł do kuchni. Wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej.

— Grozi nam poważne niebezpieczeństwo — zauważyła Jodie. — Nie wydajesz się szczególnie zmartwiony.

Wzruszył ramionami i wypił łyk wody. Była za zimna. Wolał temperaturę pokojową.

— Życie jest zbyt krótkie, żeby się martwić — odpowiedział.

— Tata często się martwił. To źle wpływało na jego serce.

— Wiem. Bardzo mi przykro.

— Ale nie traktujesz sprawy poważnie? Nie wierzysz w to?

— Wierzę — odrzekł Reacher. — Wierzę we wszystko, co mi powiedzieli.

— Fotografia jest dowodem, tak? To miejsce niewątpliwie istnieje.

— Wiem, że istnieje. Byłem tam.

— Byłeś tam? — Jodie spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Kiedy? Jak się tam dostałeś?

— Niedawno — odpowiedział. — Dotarłem mniej więcej tak blisko jak ten Rutter.

— Jezu, Reacher! Co zatem zamierzasz z tym zrobić?

— Zamierzam kupić spluwę.

— Nie, musimy zawiadomić policję. Lub lepiej gazety. Rząd nie może robić takich rzeczy.

— Poczekasz tu na mnie, dobrze?

— Dokąd idziesz?

— Idę kupić broń. Potem kupię pizzę i przyniosę tu na kolację.

— Na litość boską, nie możesz ot tak kupić rewolweru.

Nie w Nowym Jorku. Musisz mieć dowód tożsamości, pozwolenie na broń, a i tak trzeba czekać pięć dni.

— Wszędzie można kupić broń, zwłaszcza w Nowym Jorku. Z czym ma być pizza?

— Masz dość pieniędzy?

— Na pizzę?

— Na rewolwer.

— Spluwa będzie kosztować mniej niż pizza — zapewnił ją Reacher. — Zamknij za mną drzwi. I nie otwieraj, jeśli nie zobaczysz mnie przez judasza.

Gdy wychodził, Jodie stała nieruchomo pośrodku kuchni. Reacher zszedł schodami ewakuacyjnymi do holu. Zatrzymał się na chwilę na chodniku, żeby się zorientować w topografii. Jedną przecnicę dalej na południe była pizzeria. Reacher zamówił dużą pizzę — na jednej połówce anchois i kapary, na drugiej pepperoni — na wynos, do odbioru za trzydzieści minut, po czym skierował się na wschód, oddalając się od zgiełku Broadwayu. Był w Nowym Jorku dostatecznie wiele razy, żeby wiedzieć, że popularne opinie o tym mieście są

prawdziwe. Tu wszystko szybko się *zmienia*. Zarówno w czasie, jak i w *przestrzeni*. Wystarczy pokonać kilka przecnic, żeby *znaleźć* się w zupełnie innym otoczeniu. Zdarza się, że front budynku to raj klasy średniej, a w zaułku na tyłach śpią włóczędzy. Reacher wiedział, że wystarczy dziesięć minut żeby dotrzeć pieszo do świata zupełnie nieprzypominającego ekskluzywnego domu Jodie.

Reacher znalazł to, czego szukał, w pobliżu podjazdu do Mostu Brooklińskiego. Zamiast regularnej siatki uliczki tworzyły w tym miejscu splątany labirynt, a na północ i wschód

ciągnęła się ogromna dzielnica mieszkaniowa. Tu i ówdzie widać było nędzne sklepy. Na boisku do koszykówki pod obręczami miast sieci wisały łańcuchy. Było gorąco, wilgotno, w powietrzu unosiły się spaliny. Reacher zatrzymał się na rogu i patrzył, jak zderzają się ze sobą dwa światy. Strumień samochodów i szybko idących przechodniów oraz mniej więcej tyle samo wozów zaparkowanych przy krawężniku i beczynnych ludzi tworzących grupki. Jadące samochody przeciskały

się obok zaparkowanych, kierowcy trąbili i skręcali raz w lewo, raz w prawo. Przechodnie przepychali się lub omijali grupki próżniaków, schodząc na jezdnię. Od czasu do czasu jakiś samochód się zatrzymywał, a wtedy do okna kierowcy podbiegał chłopiec. Po krótkiej rozmowie kierowca podawał mu pieniądze, chłopak zniknął w drzwiach budynku, pojawiał się po krótkiej chwili i znowu podchodził do samochodu. Kierowca rozglądał się nerwowo na wszystkie strony, po czym odbierał niewielką paczkę i szybko ruszał, włączając się do ruchu. Chłopak wracał na chodnik i znowu czekał.

Niektórzy przechodnie również dokonywali takich transakcji. Schemat był zawsze taki sam. Chłopcy przenosili pieniądze i paczki, ponieważ byli zbyt młodzi, żeby można ich było oskarżyć. Reacher przyglądał się im przez chwilę. Korzystali głównie z trzech wejść do długiego budynku. Najwięcej klientów miał chłopak dyżurujący przy środkowych drzwiach. W przybliżeniu dwa do jednego, jeśli chodzi o obroty. To był jedenasty budynek od rogu. Reacher skierował się na wschód. Nieco dalej była pusta działka z widokiem na rzekę.

Wysoko

nad głową miał przęsło mostu. Skręcił na północ w wąską uliczkę za budynkami. Idąc, liczył zewnętrzne schody ewakuacyjne przed sobą. Doliczył do jedenastu i opuścił wzrok. Na tyłach budynku stał czarny sedan. Na bagażniku siedział mniej więcej dziesiętnastoletni chłopak. Trzymał w ręku komórkę. To był strażnik, o jeden szczebel wyżej w hierarchii od małaolotów dyżurujących na chodniku.

W pobliżu nie było nikogo widać. Chłopak był sam. Reacher mszył dalej. W takiej sytuacji należy iść szybko i nie patrzeć na wybraną ofiarę. Facet musi myśleć, że w ogóle na niego nie zwracasz uwagi. Reacher demonstracyjnie zerknął na zegarek i spojrzął w głąb uliczki. Szedł szybko, prawie biegł. W ostatniej chwili popatrzył na samochód, tak jakby widok przeszkody zmusił go do powrotu do rzeczywistości. Chłopak go obserwował. Reacher skręcił w lewo, choć wiedział, że nie zdoła się precyzyjnie obok samochodu. Cofnął się z wyraźną irytacją i skręcił w prawo. Równocześnie machnął lewą ręką i uderzył chłopaka w głowę. Wyrostek spadł z bagażnika.

Reacher zadał mu drugi cios, tym razem prawy prosty, stosunkowo słaby. Nie chciał go wysyłać do szpitala.

Reacher przyjrzał się, jak chłopak pada na chodnik, żeby sprawdzić, czy stracił przytomność. Przytomny człowiek zawsze usiłuje złapać równowagę. Chłopak zwałił się na beton zupełnie bezwładnie jak worek kartofli. Reacher przewrócił go na plecy i sprawdził zawartość kieszeni. Znalazł rewolwer, ale to nie była zdobycz, z jakiej mógł być dumny. Chiński rewolwer dwudziestodwucalowy, skopiowany z rosyjskiego, który z kolei był skopiowany z czegoś, co nie było nic warte. Wyrzucił spluwę pod samochód, żeby chłopak nie mógł po nią sięgnąć. Nie miał wątpliwości, że tylne drzwi do budynku są otwarte, bo po to są tylne drzwi, gdy ktoś prowadzi intensywny handel narkotykami sto pięćdziesiąt metrów na południe od komisariatu policji. Kiedy policjanci wchodzi od frontu, trzeba szybko się wycofać, nie tracąc czasu na otwieranie zamka. Uchylił je nieco stopą i zajrzał do ciemnego wnętrza. W głębi korytarza po prawej stronie zobaczył kolejne drzwi, za którymi paliło się światło. Miał do nich jakieś dziesięć kroków.

Nie powinien czekać. Na pewno nie zrobią przerwy kolację. Ruszył naprzód. Zatrzymał się przed drzwiami. W budynku śmierdziało zgnilizną, potem i uryną. W środku było cicho. Nikt tu nie mieszkał. Reacher nasłuchiwał. Za drzwiami ktoś coś powiedział. Druga osoba odpowiedziała. Co najmniej dwie osoby.

Reacher nie mógł otworzyć szeroko drzwi, żeby ocenić sytuację. To nie jest właściwa metoda. Facet, który zatrzymuje się choćby na milisekundę, umiera wcześniej od swoich kolegów. Budynek miał pewnie pięć metrów szerokości, z czego metr zajmował korytarz. Zamierzał pokonać pozostałe cztery metry, nim tamci się zorientują. Wciąż jeszcze będą wpatrywać się w drzwi i myśleć, czy ktoś idzie.

Wziął głęboki oddech i wpadł do pokoju. Drzwi trzasnęły o ścianę z wielkim hukiem. Po dwóch skokach był już pod drugą ścianą pokoju. Kiepskie światło. Jedna goła żarówka pod sufitem. Dwaj faceci. Paczki i pieniądze na stole. Obok rewolwer. Reacher trafił bliższego mężczyznę sierpem w skroń.

Delikwent pochylił się na bok. Reacher zadał mu jeszcze kopniacie kolaniem w brzuch, ale już zbliżał się do drugiego. Facet próbował wstać z krzesła. Miał szeroko otwarte oczy i usta. Reacher uderzył go łokciem między brwi i linią włosów. Jeśli zrobi się to dostatecznie silnie, ofiara traci przytomność na godzinę, ale czaszka zostaje w jednym kawałku. To miała być wyprawa na zakupy, a nie egzekucja.

Reacher znieruchomiał. Nasłuchiwał, czy coś się dzieje. Nic. Wyrastek na ulicy spał snem sprawiedliwego, a dzieciaki na chodniku niczego nie usłyszały z powodu ulicznego hałasu. Spojrzał na rewolwer leżący na stole, ale szybko odwrócił wzrok. To był colt detective special. Sześciostrzałowy rewolwer z niebieskiej stali z plastikowymi okładkami kolby. Trzydziestkaósemka. Krótka, pięciocentymetrowa lufa. Beznadziejna spluwa. Jemu było potrzebne coś znacznie lepszego. Krótka lufa nie zapewniała celności, a kaliber bardzo go rozczarował. Reacher przypomniał sobie pewnego kapitana policji z niewielkiego okręgu w Luizjanie. Facet zgłosił się do policji wojskowej po radę w kwestii wyboru broni i Reacher został wydelegowany,

żeby załatwić sprawę. Kapitan opowiedział mu wiele historii o tragicznych konsekwencjach posługiwania się bronią trzydziestoośmiocalową. *Nie można mieć pewności, że jednym strzałem wykończysz narkomana, który cię atakuje*, oświadczył. Opowiadał o samobójcy, który musiał strzelać sobie w głowę pięć razy, żeby wreszcie się zabić. Te relacje o nieszczęściach zrobiły na Reacherze takie wrażenie, że postanowił na zawsze zrezygnować z tego kalibru. Nie zamierzał zmieniać przyjętej zasady. Jeszcze raz przez chwilę nasłuchiwał, czy ktoś nie nadchodzi. Cisza. Ukucnął obok faceta, którego uderzył w skroń, żeby przeszukać jego kurtkę.

Najbardziej zajęci dilerzy zarabiają najwięcej pieniędzy, za które mogą kupić najlepsze zabawki. Dlatego Reacher wszedł tutaj, nie zaś do konkurencji. W lewej wewnętrznej kieszeni dilerza znalazł dokładnie to, czego szukał. Coś znacznie lepszego od nędznego trzydziestoośmiocalowego detective special. Duży, czarny, automatyczny steyr GB, piękny pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Bronią o takim kalibrze posługiwali się jego przyjaciele z sił specjalnych. Sprawdził stan pistoletu. Pełny magazynek na osiemnaście naboí. Zamek pachniał tak, jakby jeszcze nigdy nie oddano z tego pistoletu choćby jednego strzału. Reacher nacisnął spust i przyjrzał się, jak działa mechanizm. *Złożył* pistolet i wsadził go za pasek od spodni. Wstał i uśmiechnął się.

— Kupuję twojego steyra za dolara — powiedział do nieprzytomnego dilerza. — Jeśli coś ci się nie podoba, pokręć głową, okay?

Uśmiechnął się znowu. Wyjął dolara ze zwitka banknotów, położył na stoliku i przycisnął rewolwerem. Wyszedł na korytarz. Wszędzie spokój. Znowu zrobił dziesięć kroków i znalazł się na zewnątrz. Rozejrzał się na boki, po czym podszedł do samochodu. Otworzył drzwiczki kierowcy, nacisnął dźwignię i zwolnił zamek bagażnika. W środku, pod kablami do akumulatora, znalazł kartonowe pudełko z amunicją. Wrzucił je do torby i odszedł. Gdy wrócił na Broadway, pizza już na niego czekała.

• • •

To stało się tak nagle. Bez żadnego ostrzeżenia. Kiedy tylko znaleźli się w środku i Marilyn zamknęła drzwi, mężczyzna

uderzył Sheryl w twarz czymś, co miał w rękawie. Marilyn stała jak sparaliżowana. Widziała, jak mężczyzna gwałtownie się obraca, a hak zakreśla w powietrzu lśniący łuk, po czym uderza z trzaskiem w twarz Sheryl. Marilyn przycisnęła ręce do ust, jakby koniecznie chciała powstrzymać się od krzyku. Mężczyzna odwrócił się w jej stronę. Sięgnął lewą ręką pod prawą pachę i wyciągnął rewolwer. Sheryl runęła na wznak na wykładzinę, w miejscu, gdzie była jeszcze wilgotna po praniu. Marilyn widziała, jak rewolwer zbliża się do niej. Widziała broń z szarego metalu; wskutek oliwienia powierzchnia była półmatowa. Mężczyzna wycelował w jej pierś. Marilyn wpatrywała się w rewolwer. W głowie miała zupełną pustkę.

— Podejdź bliżej! — rozkazał mężczyzna.

Marilyn nie mogła się ruszyć. Przyciskała dłonie do ust. Oczy otworzyła tak szeroko, że niemal pękała skóra na twarzy.

— Bliżej — powtórzył.

Marilyn spojrzała na Sheryl, która usiłowała wstać, podpierając się łokciami. Z nosa płynęła jej krew. Górna warga już spuchła i krwawiła. Z trudem łapała oddech. Leżała z rozłożonymi kolanami i zadartą sukienką, z odsłoniętymi udami. Nie zdołała utrzymać ciężaru ciała na łokciach i znowu upadła, uderzając głową o podłogę. Przetoczyła się na bok.

— Podejdź bliżej! — zażądał mężczyzna.

Marilyn wpatrzyła się w jego twarz. Skóra poznaczona bliznami wydawała się plastikowa. Jedno oko zasłaniała gruba, szorstka powieka. Drugie miało lodowaty wyraz. Mężczyzna patrzył, w ogóle nie mrugając. Marilyn przeniosła wzrok na rewolwer oddalony o pół metra od jej piersi. Napastnik trzymał go starannie wypielęgnowaną ręką ze śladami manikiuru. Rewolwer nawet nie drżał. Zrobiła ćwierć kroku do przodu.

— Bliżej.

Marilyn przesunęła stopy, aż koniec lufy dotknął jej sukni. Przez cienki jedwab czuła chłód metalu.

— Bliżej.

Spojrzała na mężczyznę. Dzieliło ich teraz mniej więcej trzydzieści centymetrów. Skóra po lewej stronie jego twarzy była szara i pomarszczona. Oko otaczały liczne zmarszczki. Zamrugał prawym okiem. Powieka poruszała się bardzo powoli. Na dół, do góry, celowo, jakby to była część maszyny. Marilyn pochyliła się parę centymetrów naprzód. Lufa rewolweru wbiła się w jej pierś. — Bliżej.

Marilyn znowu przesunęła stopy. Mężczyzna w odpowiedzi pchnął rewolwer do przodu. Lufa boleśnie ugniała jej pierś. W jedwabiu utworzył się głęboki krater. Mężczyzna podniósł prawą rękę, tę z hakiem. Trzymał ją na wysokości oczu Marilyn. Zwykły stalowy hak starannie wypolerowany. Obrócił go w powietrzu, z trudem manewrując ramieniem. Marilyn słyszała skrzypienie skórzanej uprząży w rękawie. Hak miał ostry szpic. Mężczyzna przyłożył hak do jej czoła. Poczowała zimne dotknięcie metalu i spróbowała cofnąć głowę. Przesunął hak wzdłuż jej nosa i przycisnął do górnej wargi, zmuszając ją do rozchylenia ust. Zastukał lekko w zęby. Hak przylgnął do wyschniętej dolnej wargi. Mężczyzna ciągnął w dół, aż wreszcie warga oderwała się od haka. Przesunął hak po jej brodzie, do gardła. Teraz do góry, wbijając łuk haka pod szczękę i zmuszając Marilyn do uniesienia głowy. Spojrzał jej w oczy.

— Nazywam się Hobie — powiedział.

Marilyn stała na palcach, usiłując zmniejszyć nacisk haka na szyję. Zaczęła się dusić. Od otwarcia drzwi chyba jeszcze nie oddychała.

— Czy Chester opowiadał ci o mnie?

Marilyn zadzierając głowę do góry i patrząc w sufit. Hobie wbijał lufę w jej pierś. Nie była już zimna, bo ogrzała się od jej ciała. Pokręciła głową na tyle, na ile pozwalał jej nacisk haka.

— Nie wspominał o mnie?

— Nie — wykrztusiła. — Dlaczego?

— Czy jest skrytym człowiekiem?

Znowu pokręciła głową, wykonując taki sam minimalny ruch na boki. Skóra jej szyi tarła o metal.

— Czy mówił ci o swoich problemach w interesach? Marilyn zamruwała i jeszcze raz pokręciła głową.

— Czyli jest skryty.

— Czyli jest skryty.

— No, może — sapnęła. — Ale i tak wiedziałam.

— Czy ma kochankę?

Znowu zamruwała i potrząsnęła głową. - Skąd wiesz? — spytał Hobie. — Skąd możesz wiedzieć, jeśli on jest taki skryty?

— Czego chcesz?

— No, ale pewnie nie potrzebuje kochanki. Jesteś piękną kobietą.

Marilyn stała na palcach. Szpilki od Gucciego już nie dotykały podłogi.

— Przed chwilą wygłosiłem komplement — powiedział Hobie. — Czy nie powinnaś jakoś odpowiedzieć? Uprzejmie?

Zwiększył nacisk haka, który wbił się w jej szyję. Marilyn oderwała jedną stopę od wykładziny.

— Dziękuję — wykrztusiła.

Hobie opuścił nieco hak. Marilyn mogła już patrzeć przed

siebie i postawić obcasy na podłodze. Ciężko dyszała. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

— Jesteś bardzo piękną kobietą — powtórzył Hobie. Przyłożył hak do jej talii i przesunął nim w dół bioder. Na udo. Patrzył jej w twarz, wbijając rewolwer w pierś. Obrócił hak, tak że teraz dotykał jej szpicem, nie zaś na płask. Przesunął hak z jedwabiu sukienki na gołą nogę. Szpic był zaostroszony, nie jak igła, ale jak zatemperowany ołówek. Hobie zatrzymał rękę, po czym zaczął przesuwać hak do góry. Naciskał lekko, nie kalecząc jej skóry, ale zostawiając na materiale bruzdę. Wsunął hak pod jedwab sukienki. Poczwała dotyk metalu na udzie. Coraz wyżej. Marilyn czuła, jak jedwab zbiera się na haku. Rąbek sukienki był coraz wyżej. Sheryl znowu poruszyła się na podłodze. Hak znieruchomiał. Hobie spojrział swym okropnym prawym okiem na leżącą kobietę.

— Włóż rękę do mojej kieszeni — powiedział do Marilyn. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Włóż lewą rękę do mojej prawej kieszeni — polecił Hobie.

Marilyn musiała przybliżyć się jeszcze bardziej i sięgnąć między jego ramionami. Ich twarze się zbliżyły. Hobie pachniał mydłem. Pomacała palcami w jego kieszeni, aż trafiła na niewielki przedmiot. Wyciągnęła go. To była rolka srebrzystej taśmy klejącej o grubości trzech centymetrów. Pewnie z pięć metrów.

— Sklej taśmą jej nadgarstki! — zażądał.

Marilyn poruszyła biodrami, aby sukienka opadła. Hobie się uśmiechnął. Marilyn spoglądała to na rolkę taśmy, to na leżącą Sheryl.

— Przewróć ją na brzuch! — rozkazał.

Ostatnie promienie słońca odbijały się od rewolweru. Marilyn uklękła obok Sheryl.

Pociągnęła ją za ramię, aż wreszcie udało się ją przewrócić.

— Złóż jej ręce, tak żeby stykały się łokciami. Marilyn się zawahała. Hobie uniósł nieco rewolwer, a potem

hak, demonstrując swoje uzbrojenie. Skrzywiła się. Sheryl znowu się poruszyła. Krew utworzyła wielką, brązową i lepłą plamę na wykładzinie. Marilyn z trudem wykręciła jej ręce, żeby połączyć łokcie.

— Jeden obok drugiego — nakazał Hobie.

Marilyn podważyła paznokciem taśmę i oderwała spory kawałek. Owinęła nim przedramiona Sheryl, zaczynając tuż poniżej łokci.

— Mocniej. Od nadgarstków do łokci.

Marilyn okręciła taśmę jeszcze kilka razy. Sheryl zaczęła się szarpać, usiłowała się uwolnić. — Dobrze. Teraz ją posadz — powiedział Hobie. Marilyn przewróciła ją na wznak i podniosła. Sheryl siedziała, opierając się o ścianę skrępowanymi z tyłu rękami. Miała zakrwawioną twarz, nabrzmiałe wargi, a spuchnięty nos już zaczął sinieć. — Zaklej jej usta! — rozkazał Hobie. Marilyn nadgryzła taśmę, żeby oderwać pasek o długości piętnastu centymetrów. Sheryl zamrugła. Dochodziła do przytomności. Marilyn bezradnie wzruszyła ramionami, jakby chciała ją przeprosić, po czym przyłożyła taśmę do jej ust. Hobie wybrał grubą, srebrzystą taśmę wzmocnioną niciami. Błyszczała, ale nie była śliska, ponieważ krzyżujące się nici zwiększały tarcie. Marilyn przesunęła palcami po taśmie, żeby ją przykieić. Z nosa Sheryl zaczęły się wydobywać bąble. Otworzyła szeroko oczy. — Boże, ona nie może oddychać! — krzyknęła Marilyn. Chciała zerwać taśmę, ale Hobie kopnął ją w rękę. — Złamałeś jej nos — powiedziała Marilyn. — Nie może oddychać. Hobie wycelował rewolwer w jej głowę. Trzymał go nieruchomo w odległości czterdziestu centymetrów od skroni. — Ona umrze! — Niewątpliwie — przyznał Hobie. Marilyn patrzyła na niego z przerażeniem. Z zatkaných dróg oddechowych Sheryl wydobywały się czerwone bąble. Oczy wychodziły jej z orbit. Gwałtownie usiłowała złapać oddech. Hobie spojrzał na Marilyn. — Chcesz, żebym był miły? — spytał. Gwałtownie pokiwała głową. — Czy w zamian ty też będziesz dla mnie miła? Marilyn spojrzała na swoją znajomą. Jej pierś falowała, gdy konwulsyjnie próbowała wciągnąć powietrze w płuca. Szarpała głową na boki. Hobie się pochylał. Przyłożył hak szpicem do taśmy. Mocno nacisnął, aż czubek wbił się w taśmę. Sheryl zamarła. Hobie szarpnął hakiem na boki, po czym wyrwał go, zostawiając nierówną dziurę, przez którą ze świstem przelatywało powietrze. Przy każdym wdechu i wydechu strzępy taśmy wlatywały do ust Sheryl i wylatywały z nich. — Byłem miły — powiedział Hobie do Marilyn. — Teraz jesteś moją dłużniczką. Sheryl z trudem oddychała przez niewielki otwór. Zezowała w dół, jakby chciała się upewnić, że powietrze ma jak dostać się do jej płuc. Marilyn klęczała na podłodze i patrzyła na nią sztywna z przerażenia. — Zaprowadź ją do samochodu — polecił Hobie.

10

Chester Stone był sam w łazience na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Tony zmusił go, żeby tam poszedł. Nie musiał używać siły. Po prostu w milczeniu wskazał ręką drzwi i Chester popędził przez pokój w podkoszulku, majtkach, ciemnych skarpetkach i wypastowanych półbutach. Tony opuścił ramię. Powiedział mu, że ma tu siedzieć, po czym zamknął drzwi. Chester słyszał dochodzące przez ścianę stłumione dźwięki, a po kilku minutach jego dwaj oprawcy najwyraźniej wyszli. Stone usłyszał trzask drzwi i szmer windy, po czym zapadła cisza. W gabinecie było ciemno. Usiadł na podłodze, opierając się o ścianę wyłożoną granitowymi płytami. W milczeniu wpatrywał się w ciemność. Drzwi do łazienki nie były zamknięte na klucz. Wiedział to. Gdy Tony zamknął drzwi, Chester nie usłyszał żadnego trzasku zamka. Poczł zimno. Od granitowej podłogi ciągnęło ziąbem, a cienkie bawełniane bokserki nie stanowiły żadnego zabezpieczenia przed chłodem. Zaczł się trząść. Był głodny i spragniony. Przez chwilę uważnie nasłuchiwał. Cisza. Wstał z podłogi i podszedł do umywalki. Odkręcił

kran. Jeszcze raz sprawdził, czy przez szmer wody nie przebijają się jakieś odgłosy z gabinetu. Nic. Napił się wody. Dotknął zębami kranu, w ustach poczuł smak chloru. Przepłukał je. Przez chwilę czekał, aż woda dobrze zwilży wyschnięty język, po czym ją przełknął. Zakręcił kran. Czekał godzinę. Przez całą godzinę siedział na podłodze, wpatrując się w drzwi i wsłuchując w ciszę. Czuł ból w miejscu, gdzie mężczyzna go uderzył. Ostry ból żeber, o które zawadziła pięść. Kość o kość, solidne, mocne uderzenie. No i łagodniejszy, budzący mdłości ból w brzuchu. Chester nie odrywał spojrzenia od drzwi, jednocześnie starając się nie myśleć o bólu. W budynku rozchodziły się ciche szmery świadczące o obecności innych ludzi, ale miał wrażenie, że są gdzieś daleko. Szumy wind, klimatyzacji, wody w rurach i gwizd wiatru składały się na ledwo słyszalny, przyjemny szept. Chester miał wrażenie, że słyszy, jak otwierają się i zamykają drzwi windy, może nawet osiemdziesiąt osiem pięter niżej, a niski dźwięk rozchodzi się wzdłuż szybu.

Było mu zimno, zdrętwiał, czuł głód, bolał go brzuch, bał się. Wstał, z trudem wyprostowując zeszywniałe plecy. Nasłuchiwał. Nic. Przesunął skórzane podeszwy po posadzce. Stał przez chwilę z ręką na klamce. Wciąż niczego nie słyszał. Otworzył drzwi. W wielkim gabinecie było cicho i ciemno. Chester podszedł do drzwi do poczekalni. Teraz był już bliżej wind. Słyszał, jak kabiny poruszają się w szybach. Zatrzymał się i uważnie nasłuchiwał. Cisza. Otworzył drzwi. W poczekalni nie było nikogo. W słabym świetle blade błyszczą dębowy blat, tu i ówdzie światło odbijało się od mosiężnych okuć. Słyszał silnik lodówki w kuchni po prawej stronie. Czuł zapach Starej, zimnej kawy.

Drzwi na korytarz były zamknięte. Solidne grube drzwi, prawdopodobnie ognioodporne, zgodnie z ostrymi przepisami obowiązującymi w Nowym Jorku. Drzwi były wykończone dębem, ale przy tutaj widać było, że pod drewnem kryje się stal. Chester spróbował nacisnąć klamkę, lecz drzwi nawet nie drgnęły. Długo stał pod nimi, wyglądając przez niewielkie okienko, zaledwie dziesięć metrów od wind i wolności. W końcu podszedł do pulpitu recepcjonisty.

Od frontu pulpit sięgał na wysokość piersi. Z tyłu znajdował się niższy blat, a sięgającą wyżej barierę tworzyły przegródki z papeterią i porządnie ułożonymi folderami. Na blacie, przed krzesłem Tony'ego, stał telefon — skomplikowana konsola z licznymi guzikami i ciekłokrystalicznym wyświetlaczem. Chester przeczytał komunikat OFF. Podniósł słuchawkę, ale usłyszał tylko szmer krwi w uchu. Przycisnął kilka guzików na chybił trafił. Nic z tego. Przyjrzał się uważnie konsoli, aż w końcu dostrzegł przycisk z napisem OPERATE. Gdy go nacisnął, na wyświetlaczu pojawił się napis ENTER CODE. Wybrał kilka przypadkowych numerów. Znowu OFF.

Pod blatem znajdował się niewielki kredens. Dębowe drzwiczki. Wszystkie zamknięte. Chester po kolei spróbował je otworzyć, ale za każdym razem słyszał stuk metalowego rygła o wpust zamka. Wrócił do gabinetu Hobbiego. Przecisnął się między sofami do biurka. Na sofach niczego nie było. Jego ubranie znikło. Blat biurka pusty. Szuflady zamknięte na klucz. To było solidne biurko, na pewno bardzo drogie, ale zniszczone przez ślady haka. Chester przykłęknął. W samych bokserkach wyglądał komicznie. Szarpał za uchwyty szuflad, ale dawały się przesunąć tylko o ułamek milimetra. Pod biurkiem stał kosz na śmieci. Chester pochylił niski, mosiężny cylinder

W środku zobaczył swój opróżniony portfel i odwrócone zdjęcie Marilyn. Na drugiej stronie widać było liczne napisy KODAK. Wyciągnął zdjęcie z kosza. Żona uśmiechnęła się do niego z fotografii. To był amatorski portret. Marilyn miała na sobie jedwabną sukienkę, tę seksowną, uszytą na zamówienie. Nie wiedziała, że on o tym wie. Był sam w domu, gdy zadzwonił krawiec. Odebrał telefon i powiedział, żeby zadzwonił później. Udawał, że wierzy, iż kupiła sukienkę w zwykłym sklepie. Zrobił to zdjęcie, gdy włożyła ją po raz pierwszy. Uśmiechała się nieśmiało, a jej oczy błyszcząły z żywienia. Kazała mu skadrować zdjęcie, żeby nie było widać, jak jedwab przylega do piersi. Chester przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zdjęcie, po czym odłożył je do kosza, bo nie miał kieszeni.

Wstał, wyminął fotel i podszedł do okna. Uniósł żaluzję. Wyrżał na zewnątrz. *Chciał coś zrobić*. Niestety, był zamknięty na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Nie widział nic poza rzeką i New Jersey. Nie mógł zawołać sąsiada. Najbliższy sąsiad na tej wysokości mieszkał pewnie gdzieś w Appalalach w Pensylwanii. Puścił żaluzję. Obszedł cały gabinet, całą poczekalnię, aż wrócił do punktu wyjścia i zrobił to jeszcze raz. Beznadziejna sytuacja. Był w więzieniu. Stał pośrodku gabinetu, trząsł się z zimna i miał pustkę w głowie. Czuł głód. Nie wiedział, która jest godzina. W biurze nie było zegara, stracił roleksa. Słońce było już nisko nad horyzontem. Późne popołudnie lub wczesny wieczór. Nie jadł lunchu. Podszedł do drzwi. Przyłożył do nich ucho, ale nie słyszał niczego poza szmerami budynku i warkotem silnika lodówki. Przeszedł przez poczekalnię do kuchni. Przez chwilę trzymał palec na włączniku, nim odważył się zapalić światło. Świetlówka przez sekundę migotała, a jej zapalnik gniewnie warczał, ale w końcu się zapaliła, oblewając pomieszczenie białym światłem. Kuchnia była niewielka, z małym stalowym zlewem i równie małym blatem. W zlewie stały wypłukane kubki, a obok na blacie brudny ekspres do kawy. Pod blatem stała lodówka. Chester otworzył drzwiczki. Dostrzegł napoczęte mleko, kilka puszek piwa i starannie zamkniętą papierową torbę ze sklepu Zabar's. Wyciągnął ją z lodówki. W środku była jakaś paczka owinięta w gazetę. Ciężka i twarda. Chester wstał i rozwinął gazetę, trzymając paczkę nad blatem. Pod gazetą kryła się plastikowa torba. Chwył za dolną krawędź i potrząsnął. Z torby wypadła odcięta dłoń z białymi, wykrzywionymi palcami. Z dołu sterczały odłamki kości, czerwone mięso i niebieskawe żyły. Chester miał wrażenie, że lampa jarzeniowa nagle zawirowała. Zemdlął i upadł na podłogę.

• • •

Reacher położył pudełko z pizzą na podłodze. Wyciągnął pistolet zza paska, po czym wrzucił go do sportowej torby z zapasową amunicją. Ukucnął i podniósł pudełko. Zdążył wstać, nim winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Gdy tylko pojawił się w polu widzenia Judasza, Jodie otworzyła drzwi. Wciąż miała na sobie tę samą Inianą sukienkę. Teraz była nieco pofałdowana na biodrach, bo siedziała w niej przez cały dzień. Stała, krzyżując długie, opalone nogi.

— Przyniosłem kolację — oznajmił.

Jodie nie spojrzała na pudełko, tylko na sportową torbę.

— To ostatnia szansa, Reacher — stwierdziła. — Powinniśmy z kimś porozmawiać o tej sprawie.

- Nie.

Reacher postawił torbę na podłodze. Jodie obeszła go i zamknęła drzwi.

— Okay — powiedziała. — Jeśli to sprawka rządu, być może masz rację. Może powinniśmy trzymać się z daleka od policji.

— Słusznie.

— No to musimy załatwić to razem.

— Zjedzmy kolację — zaproponował.

Reacher zaniósł pizzę do kuchni. Jodie nakryła już do stołu, mieli siedzieć naprzeciwko siebie. Talerze, noże i widelce, serwetki, szklanki z zimną wodą. Tak jakby mieszkali tu razem.

Położył pudełko na kredensie i podniósł pokrywkę.

— Wybieraj.

Jodie stała tuż za nim. Wyczuwał jej obecność, czuł zapach perfum. Dotknęła jego pleców. To było palące dotknięcie. Jodie przez sekundę trzymała dłoń nieruchomo, po czym popchnęła go w bok.

— Podzielmy się — rzuciła.

Wzięła pudełko i przeniosła je na stół. Nałożyła na talerze po *ćwiartce pizzy* obu rodzajów, Reacher usiadł przy stole. Przyglądał się jej, jednocześnie pijąc wodę. Jodie była smukła i

energiczna. Poruszała się tak, że każda codzienna czynność przypomniała balet. Wyrzuciła zatłuszczone pudełko i wróciła do stołu. Sukienka płynnie falowała przy każdym jej ruchu. Jodie usiadła, Reacher słyszał, jak len otarł się o jej skórę. Zawadziła stopą o jego nogę.

— Przepraszam — powiedziała.

Wytarła palce w serwetkę, odrzuciła włosy na plecy i pochyliła głowę, żeby ugryźć pizzę.

Jadła, trzymając pizzę lewą ręką, łapczywie przetykając kolejne kęsy.

— Nie jadłam lunchu — wyjaśniła. — Zakazałeś mi wychodzić z biura.

Jodie wysunęła język, żeby złapać pasmo sera. Z nieśmiałym uśmiechem wciągnęła je do ust.

Jej zatłuszczone wargi błyszcząły. Wypiła duży łyk wody.

- Anchois, moje ulubione. Skąd wiedziałeś? Niestety, po nich chce się pić. Bardzo słone.

Sukienka Jodie nie miała rękawów. Reacher widział jej ramiona aż od niewielkiej kości barku.

Smukłe, opalone. Prawie bez mięśni, bicepsy wyglądały jak ścięgna. Prezentowała się tak wspaniale, że zaparło mu dech w piersiach, ale pod względem fizycznym stanowiła zagadkę.

Była wysoka, lecz tak drobna, że trudno było pojąć, gdzie mieszczą się jej organy

wewnętrzne. Choć była bardzo szczupła, wydawała się silna i energiczna. Zagadka. Reacher pamiętał, jak objęła go w pasie piętnaście lat temu. Zupełnie jakby ktoś zacisnął pętlę z grubej liny.

- Nie mogę tu zostać na noc — oznajmił.

- Dlaczego? — Jodie spojrzała na niego. — Jeśli masz coś do zrobienia, pójdę z tobą. Jak powiedziałam, to nasza wspólna sprawa.

- Nie, po prostu nie mogę zostać. - Dlaczego? — spytała ponownie. Reacher wziął głęboki oddech. Jej włosy błyszcząły.

- To niestosowne, żebym nocował tutaj — stwierdził.

— Dlaczego tak uważasz?

Reacher wzruszył ramionami. Był zakłopotany.

— Jodie, posłuchaj. Ze względu na Leona myślisz o mnie jak o swoim starszym bracie lub wuju czy kimś takim, a przecież to nieprawda.

Jodie patrzyła na niego bez słowa.

— Bardzo przepraszam — dodał.

— O co ci chodzi? — spytała, szeroko otwierając oczy.

— To niestosowne — powtórzył łagodnie. — Nie jesteś moją młodszą siostrą lub bratanicą.

To tylko złudzenie, ponieważ przyjaźniłem się z twoim ojcem. Dla mnie jesteś po prostu piękną kobietą i nie mogę być tu z tobą sam na sam.

— Czemu? — spytała, z trudem łapiąc oddech.

— Jezu, Jodie, co to zapytanie? Bo to niestosowne, dlatego. Nie muszę ci szczegółowo wyjaśniać. Nie jesteś ani moją siostrą, ani bratanicą, a ja nie mogę udawać, że tak jest. To udawanie doprowadza mnie do szaleństwa.

Jodie siedziała bez ruchu. Wpatrywała się w niego, prawie nie oddychając.

— Od jak dawna tak o mnie myślisz?

Reacher znowu wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

— Chyba zawsze tak myślałem. Od kiedy się poznaliśmy. Jodie, daj spokój, nie byłaś wtedy dzieckiem. Dzieliła nas mniejsza różnica wieku niż mnie i Leona.

Jodie milczała. Reacher wstrzymał oddech. Czekał na łzy, oburzenie, traumę, ale ona tylko na niego patrzyła. Już zaczął żałować, że zdecydował się na tę rozmowę. Powinien był zamknąć buzię na kłódkę. Zacisnąć zęby i jakoś wytrzymać. Przeżył już gorsze sytuacje, choć nie pamiętał kiedy i gdzie.

— Przepraszam — powiedział ponownie.

Nie mógł odczytać z jej twarzy, o czym myśli. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, niebieskimi oczami, podpierając się łokciami o blat. Fałdy sukienki zebrały się z przodu.

Widział wąskie, białe ramiączko stanika, wyraźnie odcinające się od opalonej skóry. Spojrzał na twarz, na której malowało się wzburzenie, zamknął oczy i ciężko westchnął. Szczerzość to

najlepsza polityka? Co za bzdura!

Nagle Jodie zrobiła coś dziwnego. Powoli wstała, odsunęła krzesło na bok, po czym chwyciła dwiema rękami krawędź stołu. Jej cienkie mięśnie naprężyły się jak sznurki. Odsunęła stół pod ścianę. Zmieniła pozycję i naciskając udami, odepchnęła go jeszcze dalej. Reacher siedział na krześle. Nagle został odizolowany pośrodku pokoju. Jodie stanęła dwa kroki przed nim. Reacher prawie przestał oddychać.

— Myślisz o mnie jak o kobiecie? — spytała powoli. Kiwnął głową.

— Nie jak o siostrze? Nie jak o bratanicy? Pokręcił głową. Jodie przez chwilę milczała.

— Myślisz o seksie ze mną? — szepnęła. Reacher pokiwał głową z zakłopotaniem i rezygnacją.

— Oczywiście. A co sobie wyobrazasz? Popatrz na swoje odbicie w lustrze. Ostatniej nocy nie mogłem spać.

Jodie stała bez słowa.

— Musiałem ci powiedzieć — dodał. — Bardzo cię prze-praszam, Jodie.

Zamknęła oczy. Mocno zmrużyła powieki. Reacher zobaczył, że na jej twarzy pojawia się radosny uśmiech. Zaciśnęła pięści.

Nagle rzuciła się na niego, wylądowała na jego kolanach, zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła całować, tak jakby miała umrzeć, jeśli tylko na chwilę przerwie.

• • •

Jechali samochodem Sheryl. Hobie kazał prowadzić Marilyn. Sam usiadł na tylnym siedzeniu obok Sheryl, która wciąż miała ręce wykręcone do tyłu i związane, a usta zaklejone. Z trudem oddychała. Opierał hak na jej udzie, wbijając go w ciało. W lewej ręce trzymał rewolwer. Od czasu do czasu dotykał lufą karku Marilyn, aby nie zapomniała, że ma broń.

Tony czekał na nich na podziemnym parkingu. Skończyły się już godziny pracy i biurowiec opustoszał. Tony poprowadził Sheryl, a Hobie — Marilyn. Wsiedli do windy towarowej.

Hobie otworzył drzwi do biura i wszedł do poczekalni. W kuchni paliło się światło, a na podłodze leżał Stone w samej bieliźnie.

Marilyn jęknęła i podbiegła do niego. Hobie przypatrywał się, jak jej ciało porusza się pod cienką sukienką. Uśmiechnął się, a potem odwrócił i zamknął drzwi na klucz. Schował do kieszeni klucze i rewolwer. Marilyn nagie się zatrzymała. Wpatrywała się w coś z przerażeniem, szeroko otwartymi oczami, przyciskając dłonie do ust. Hobie spojrzął w tym samym kierunku. Na kuchennym blacie leżała dłoń wewnętrzną stroną do góry, z zagiętymi palcami, jak dłoń żebraka. Marilyn opuściła wzrok.

— Nie martw się — powiedział Hobie. — To nie jego. Ale to dobry pomysł, prawda? Jeśli nie zrobi tego, czego sobie życzę, mógłbym mu odciąć rękę.

Marilyn spojrzała na niego osłupiałym wzrokiem.

— A może lepiej odciąć rękę tobie — dodał. — Mógłbym go zmusić żeby się temu przyglądał - Może nawet udałoby mi się go zmusić, żeby zrobił to sam.

— Jesteś szalony — odezwała się Marilyn.

- Wiesz, zrobiłby to — ciągnął Hobie. — Zrobiłby wszystko, czego zażądam. Jest żaloszny. Spójrz na niego, jak on wygląda w tej bieliźnie. Uważasz, że dobrze wygląda? Marilyn nie odpowiedziała.

— A ty? — spytał. — Czy ty dobrze wyglądasz w samej bieliźnie? Chcesz zdjąć sukienkę i mi pokazać?

Marilyn spojrzała na niego z przerażeniem.

— Nie? — powiedział. — Dobrze, może później. A co z twoją agentką? Czy sądzisz, że ona wyglądałaby dobrze tylko w bieliźnie? — Hobie odwrócił się w stronę Sheryl, która zaczęła się cofać, aż oparła się o drzwi związanymi z tyłu rękami. Zesztywniała. — No więc jak? Dobrze wyglądasz w samej bieliźnie?

Dobrze wyglądasz w samej bieliźnie?

Przerażona Sheryl gwałtownie pokręciła głową. Oddychała ze świstem przez dziurkę w taśmie. Hobie zbliżył się do niej i wsadził hak za pasek jej spódnicy.

— Sprawdźmy.

Szarpnął gwałtownie. Sheryl zachwiała się na nogach, a na podłogę posypały się guziki.

Uklękała. Hobie przycisnął ją

podeszwą do podłogi. Skinął głową na Tony'ego. Ten pochylił

się i ściągnął z niej spódnicę, choć próbowała stawić opór, machając nogami.

— Rajstopy — skrzywił się Hobie. — Boże, jak ja nie cierpię rajstop. Są zupełnie nieromantyczne.

Pochylił się i rozerwał hakiem nylonowe rajstopy. Razem z rajstopami ściągnęli buty. Tony

zwinął w kulę jej spódnicę, buty i strzępy rajstop, zaniósł do kuchni i wyrzucił do śmieci.

Sheryl usiadła na podwiniętych nogach. Ciężko dyszała. Miała na sobie skąpe, białe majteczki, które próbowała zasłonić połami bluzki. Marilyn przypatrywała się jej z otwartymi ze zgrozy ustami.

— No, teraz dobrze się bawimy — powiedział Hobie. — Czyż nie?

— Pewnie — odparł Tony. — Ale jeszcze nie tak dobrze, jak *będziemy* się bawić już niedługo.

Hobie się zaśmiał. Stone zaczął się ruszać. Marilyn przyklękała i pomogła mu usiąść na

podłodze. Hobie zbliżył się do nich i podniósł z blatu obciętą rękę.

- To dłoń ostatniego faceta, który mnie zirytował — oś-wiadczył.

Stone otwierał i zamykał oczy, jakby w ten sposób mógł zmienić scenę. Spojrzał na Sheryl.

Marilyn uświadomiła sobie, że Chester nigdy jej nie spotkał. Nie wiedział, kim jest.

— Do łazienki! — rozkazał Hobie.

Tony poderwał Sheryl z podłogi. Marilyn pomogła wstać mężowi. Hobie kroczył za nimi.

Przeszli przez wielki gabinet do łazienki.

— Do środka — rzucił Hobie.

Stone wszedł pierwszy, kobiety za nim. Hobie przypatrywał się im, stojąc w drzwiach. Kiwnął głową w kierunku Chestera.

— Tony będzie spał w gabinecie na sofie — poinformował. — A zatem lepiej nie wychodź z łazienki. No i nie marnuj czasu. Omów sprawy z żoną. Jutro rano przekazesz mi akcje. Będzie dla niej znacznie lepiej, jeśli zrobimy to w atmosferze wzajemnego zrozumienia. Znacznie lepiej. Jeśli nie, spowoduje to poważne konsekwencje. Rozumiesz?

Stone patrzył na niego bez słowa. Hobie przez chwilę

przypatrywał się kobietom, po *czym* pomachał im obciętą ręką na pożegnanie i zamknął drzwi.

• • •

Sypialnię Jodie zalewało słoneczne światło. W czerwcu w każdy wieczór przez pięć minut, gdy słońce chyliło się nad horyzontem, promienie znajdowały wąską, prostą ścieżkę między wieżowcami Manhattanu i z całą siłą bombardowały okno. Żaluzje świeciły się jak reflektor, a białe ściany odbijały promienie, aż cały pokój wyglądał tak, jakby nastąpiła w nim eksplozja, Reacher pomyślał, że to bardzo pasuje do sytuacji. Leżał *m wznak*. *Jeszcze* nigdy w życia nie czuł się tak szczęśliwy.

Gdyby się nad tym zastanowił, mógłby się zaniepokoić. Mógłby przypomnieć sobie różne

porzekadła, na przykład: *Biada człowiekowi, który dostał to, czego pragnął*. Lub: *Lepiej dążyć do celu, niż go osiągnąć*. Miał prawo czuć się dziwnie,

skoro osiągnął to, o czym marzył od piętnastu lat, ale wcale

tak się nie czuł. Miał wrażenie, że poleciał rakieta w jakieś miejsce, o którego istnieniu nawet nie wiedział. Było takie, jak sobie wymarzył, tylko milion razy wspanialsze. Jodie nie była snem. Była żywą istotą, czuł jej oddech, dotykał jej mocnego ciała, czuł jej zapach. Była przy nim, ciepła, nieśmiała, szczodra.

Jodie leżała z głową na zgiętym ramieniu Reachera, dotykając włosami jego twarzy. Przy

każdym oddechu czuł je w ustach. Położył rękę na jej plecach i przesuwając ją po żebrach.

Wyczuwał opuszkami kręgosłup ukryty między długimi mięśniami. Leżała z zamkniętymi

oczami i uśmiechem na ustach. Poczul, jak łaskocze go rękami w szyję. Ramieniem wyczuwał

kształt jej ust, ruchy mięśni twarzy. Miała chłodną i miękką skórę.

— Powinnam teraz się rozplakać — powiedziała cicho. — Zawsze myślałam, że się rozplaczę. Jeśli to kiedykolwiek się stanie, to na pewno wybuchnę płaczem.

— Dlaczego mielibyśmy płakać? — spytał, przyciskając ją mocniej do siebie.

— Z powodu tych wszystkich straconych lat.

— Lepiej późno niż nigdy — zauważył.

Jodie uniosła się na łokciach. Położyła się na nim, przyciskając piersi do jego klatki piersiowej,

— Wszystko, co mi powiedziałaś, mogłam sama powiedzieć, co do słowa. Żałuję, że nie zrobiłam tego już dawno. Nie mogłam.

— Ja też me — rzekł. — Czułem się winny. To była moja tajemnica.

— Tak samo było ze mną.

Jodie usiadła na nim okrakiem, wyprostowała się i uśmiechnęła.

— Teraz to już nie jest tajemnica — stwierdziła. - Nie.

Przeciągnęła się, rozkładając szeroko ramiona. Ziewnęła i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Położyła ręce na biodrach, a potem przesunęła je na piersi.

— Jeszcze raz? — spytała z figlarnym uśmiechem.

Reacher przewrócił ją na łóżko i pochylił się nad nią. — Bawimy się w ganianego?

Nadrabiamy stracone lata? Ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową, uśmiechając się i przesuwając włosy po poduszce.

• • •

Marilyn przejęła inicjatywę. To ona była najsilniejsza z tej trójki. Chester i Sheryl byli zupełnie oszołomieni, co uznała za całkiem zrozumiałe, ponieważ to oni najbardziej ucierpieli. Mogła się domyślać, jacy się czują bezbronni w samej bieliźnie. Sama była półnaga, ale teraz się tym nie martwiła. Oderwała taśmę z ust Sheryl i przytuliła ją, gdy płakała. Potem zerwała taśmę z jej nadgarstków, odwinęła zwoje sięgające do łokci i zgniotła taśmę w lepką kulę, którą wyrzuciła do śmieci. Rozmasowała zdrętwiałe ramiona Sheryl, przywracając w nich czucie. Wzięła ręcznik do rąk, zwilżyła go ciepłą wodą i zmyła zakrzepłą krew z jej twarzy. Sheryl miała spuchnięty, poczerwiał nos. Marilyn zaczęła się zastanawiać, jak zapewnić jej pomoc lekarza. Przypominała sobie sceny z filmów o porwaniu zakładników. Zawsze ktoś przyjmuje rolę rzecznika, mówi,

żeby policja nie interweniowała, i załatwia uwolnienie chorych. Jak oni to robili?

Marilyn zebrała ręczniki z wieszaka. Dała Sheryl ręcznik kąpielowy, żeby zrobiła sobie z niego sukienkę, a pozostałe podzieliła na trzy kupki. Wiedziała, że posadzka jest zimna, więc izolacja termiczna miała istotne znaczenie. Przesunęła ręczniki pod ścianę, układając je w rząd. Usiadła pośrodku, Chestera posadziła po lewej, a Sheryl po prawej. Chwyliła ich za ręce i mocno uściskała. Chester odwzajemnił uścisk.

— Bardzo przepraszam — powiedział.

— Ile jesteś im winien?

— Ponad siedemnaście milionów.

Nie spytała, czy może oddać. Gdyby mógł, nie leżałby półnagi na podłodze łazienki.

— Czego on chce?

Chester żałośnie wzruszył ramionami.

— Wszystkiego — odrzekł. — Chce dostać całą firmę.

Marilyn pokiwała głową. Skupiła wzrok na rurach pod umywalką.

— Co nam zostanie?

Chester przez chwilę milczał, po czym znowu wzruszył ramionami.

— Ochłapy, jakie zechce nam zostawić. Pewnie nic.

— A co z domem? Dom nam zostanie, prawda? Wystawiłam go na sprzedaż. Sheryl to agentka pośrednictwa handlu nieruchomościami. Według niej można go sprzedać prawie za dwa miliony.

Stone spojrzął na Sheryl. Potrząsnął głową.

— Dom należy do firmy. Tak było wygodniej ze względów finansowych. Wobec tego Hobie zagarnie dom tak jak wszystko.

Marilyn pokiwała głową. Patrzyła przed siebie. Sheryl już zasnęła na siedząco, całkowicie wyczerpana ciężkimi przeżyciami.

— Ty też śpij — powiedziała mężowi. — Coś wymyślę. Chester uściśnił jej dłoń i odchylił głowę do tyłu. Zamknął oczy.

— Bardzo przepraszam — powtórzył.

Marilyn nie odpowiedziała. Wygładziła sukienkę, obciągając materiał na uda, i wbiła wzrok w przestrzeń, intensywnie rozmyślając nad ich sytuacją.

• • •

Nim skończyli się kochać po raz drugi, słońce już znikło. Najpierw zmieniło się w jasny pas światła przesuwający się w bok po oknie, później w wąski, poziomy snop padający na białą ścianę, w którym tańczyły drobiny kurzu. Plamka przesuwająca się powoli, aż wreszcie znikła, jakby ktoś nacisnął wyłącznik. W pokoju pozostało tylko rozproszone, wieczorne światło. Leżeli wyczerpani na splątanej pościeli, przytulając się do siebie. Oddychali powoli całkowicie rozluźnieni. Reacher poczuł, że Jodie się uśmiecha. Oparła się na łokciu i spojrzała na niego z takim samym kpiącym uśmiechem, jakim powitała go przed biurem.

— O co chodzi? — spytał.

- Mam ci coś do powiedzenia. Reacher czekał.

— Występuję teraz oficjalnie.

Spojrzał na nią. Wciąż się uśmiechała, nawet w półmroku widać było blask jej niebieskich oczu. *Oficjalnie?* Przecież była prawnikiem, zajmowała się sprzętaniem, gdy ktoś nie mógł oddać stu milionów dolarów.

— Nie mam żadnych długów — powiedział. — I nie jestem niczym wierzycielem.

Pokręciła głową. Wciąż się uśmiechała.

— Występuję jako wykonawca testamentu ojca.

Skinął głową. Nie było nic dziwnego w tym, że Leon wyznaczył ją na wykonawcę testamentu. Jako prawnik należąca do rodziny była oczywistą kandydatką.

— Przeczytałam jego testament — ciągnęła. — Dzisiaj w pracy.

— I czego ciekawego się dowiedziałaś? Może był ukrytym dusigroszem? Trzymał w tajemnicy miliardy?

Jodie znowu pokręciła głową. Nic nie powiedziała.

- Dowiedział się, co stało się z Victorem Hobiem i opisał to w testamencie? W dalszym ciągu się uśmiechała.

— Zapisał ci coś. W spadku — wyjaśniła wreszcie.

Reacher pokiwał głową. To też pasowało do Leona. Pamiętał o nim i wybrał jakiś drobiazg, żeby przypomnieć o łączącej ich przyjaźni. Co to mogło być? Pewnie jakaś pamiątka. Może swoje orderki? Może ten karabin snajperski, który przywiózł z Korei. To był stary niemiecki mauzer. Prawdopodobnie Sowietci zdobyli go podczas wojny i dziesięć lat później sprzedali swoim koreańskim klientom. To była piękna sztuka. Wielokrotnie zastanawiali się z Leonem, w jakich bitwach mógł być użyty. Ucieszyłby się z takiego karabinu. Miła pamiątka. Do diabła, gdzie on będzie go trzymał?

— Zapisał ci swój dom — powiedziała Jodie.

— Co?

— Dom — powtórzyła. — Tam gdzie byliśmy, w Garrison.

- Dom? — Reacher patrzył na nią z osłupieniem. Jodie pokiwała głową. Wciąż się uśmiechając.

— Nie wierzę. I nie mogę przyjąć zapisu. Co ja bym z tym zrobił?

— Co byś z tym zrobił? Mieszkałbyś w nim, Reacher. Do tego chyba służą domy, nie sądzisz?

— Ale ja nie mieszkam w domach. Nigdy nie mieszkałem.

— No to możesz teraz zacząć.

Reacher przez chwilę milczał, po czym pokręcił głową.

— Jodie, nie mogę tego przyjąć. Dom powinien należeć do ciebie. Leon powinien być zostawić go tobie. To twoje dziedzictwo.

— Nie chcę go — odpowiedziała po prostu. — Ojciec

o tym wiedział. Wolę mieszkać w mieście.

— To możesz go sprzedać. Należy do ciebie. Sprzedaj go zatrzymaj pieniądze.

— Nie potrzebuję tych pieniędzy. Tata zdawał sobie z tego sprawę. Dom jest wart mniej, niż ja zarabiam w ciągu roku.

Reacher spojrzał na nią.

- Sądziłem, że w tej okolicy nieruchomości są bardzo drogie. Przecież to działka tuż nad rzeką.

— Masz rację — przyznała Jodie. Reacher przez chwilę nic nie rozumiał.

— Czy wiedziałaś, że on to zrobił?

— Nie do końca. Wiedziała, że nie zamierza zapisać mi swego domu. Przypuszczałam, że poleci mi go sprzedać i przekazać pieniądze na jakiś cel dobroczynny, dla weteranów lub coś w tym stylu.

— No to zrób to.

Jodie znowu się uśmiechnęła.

— Reacher, nie mogę tego zrobić. To nie zależy ode mnie. To wiążąca decyzja ojca wyrażona w testamencie. Muszę ją wykonać.

— Jego dom — mruknął Reacher. — Leon zostawił mi swój dom.

— Martwił się o ciebie. Przez dwa lata, od kiedy zostałeś zwolniony z wojska. Wiedział, jak to jest, gdy ktoś służył

w wojsku całe życie i potem nic z tego nie ma. Niepokoił się o to, co zrobisz ze swoim *życiem*.

— Przecież nie wiedział, jak żyję.

— Mógł to odgadnąć. Był bystrym starym facetem. Wiedział, że będziesz się włóczył po kraju. Powtarzał wiele razy, że to w porządku teraz, przez trzy czy cztery lata. Co jednak będzie, gdy stuknie ci pięćdziesiątka? Sześćdziesiątka? Siedemdziesiątka? Myślał o tym.

Reacher wzruszył ramionami. Leżał nago na wznak, wpatrując się w sufit.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Żyj dniem dzisiejszym, takie było moje motto.

Jodie nie odpowiedziała. Pochyliła głowę i pocałowała go w pierś.

— Czuję się tak, jakbym ci kradł dom — powiedział. — To twój spadek. Powinien należeć do ciebie.

Jodie pocałowała go jeszcze raz.

— To był jego dom. Nawet gdybym go chciała, musielibys-

my uszanować jego wolę. W rzeczywistości wcale go nie chcę. Nigdy nie chciałam, i on o tym wiedział. Mógł z nim zrobić, co tylko przyszło mu do głowy. I tak zrobił. Zostawił go tobie, bo chciał, żeby był twój.

Reacher wpatrywał się w sufit, lecz w myślach chodził po swoim domu. Podjazd, drzewa po obu stronach, garaż po prawej, wiata, niski dom po lewej. Gabinet, salon, szeroka rzeka za oknem. Meble. Wygodny dom. Może kupi stereo. Trochę książek. Dom. Jego dom. W myślach spróbował powiedzieć *mój dom*. Z trudem. *Mój dom*. Poczuł dreszcz.

— Tata chciał, żeby dom należał do ciebie — mówiła dalej Jodie. — To spadek. Nie możesz się sprzeciwiać. To już się stało. I zapewniam cię, że dla mnie to żaden problem. Zgoda?

Reacher powoli pokiwał głową.

— Zgoda, ale to dziwne. Naprawdę, bardzo dziwne.

— Chcesz kawy? — spytała.

Reacher obrócił się na bok i spojrzał jej w oczy. Mógłby mieć własny ekspres. W swojej kuchni. W swoim domu. Włączony do gniazdka. Do *jego* prądu.

— Kawy? — spytała ponownie.

— Chyba tak.

Wstała z łóżka i włożyła pantofle.

— Czarna, bez cukru, zgadza się?

Jodie stała zupełnie nago, miała tylko szpilki na nogach. Dostrzegła, jak na nią patrzył.

— W kuchni jest zimna podłoga. Zawsze wkładam tam coś na nogi.

— Daj spokój z tą kawą, dobra?

• • •

Całą noc przespali w jej łóżku. Reacher obudził się pierwszy dobrze po wschodzie słońca.

Delikatnie wyciągnął spod niej ramię i spojrzął na zegarek. Prawie siódma. Spał dziewięć godzin. Nigdy w życiu nie spało mu się tak dobrze i na tak wygodnym łóżku. Spał w życiu na setkach, może tysiącach łóżek. To było najlepsze. Jodie spała obok niego. Leżała na brzuchu, a w nocy odrzuciła kołdrę, odstawiając nagie plecy aż do pasa. Widział z boku jej pierś. Włosy rozrzucone **na**

ramionach. Jedno kolano podciągnęła do góry i położyła na jego udzie, Głowę na poduszce zwróciła twarzą w stronę kolana. Pod skórą widać było mięśnie. Reacher pocałował ją w kark. Poruszyła się.

— Dzień dobry, Jodie — powiedział.

Otworzyła oczy. Zamknęła i znowu otworzyła. Uśmiechnęła się. To był serdeczny, poranny uśmiech.

- Bałam się, że to mi się śniło — odezwała się. — Kiedyś miałam takie sny.

Pocałował ją jeszcze raz. Czule w policzek. Potem mniej czule w usta. Objęła go. Kochali się czwarty raz w ciągu piętnastu lat. Potem wzięli razem prysznic po raz pierwszy w życiu.

Zrobili śniadanie. Jedli tak, jakby od paru dni głodowali.

— Muszę pojechać na Bronx — oznajmił.

— Do tego Ruttera? Pojadę z tobą. Wiem mniej więcej, gdzie to jest.

— A co z pracą? Myślałem, że musisz iść do kancelarii.

Jodie spojrzała na niego pytająco.

— Mówiłaś, że masz dużo roboty. Miałem wrażenie, że jesteś bardzo zajęta.

— Wymyśliłam to — powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. — Zrobiłam wszystko wcześniej.

Nie mam nic pilnego. Mogę wziąć cały tydzień wolnego. Po prostu nie chciałam być z tobą, czując to, co czułam. Dlatego pierwszej nocy od razu uciekłam do łóżka. Jako gospodyni powinnam pokazać ci gościnny pokój. Nie chciałam jednak być z tobą w sypialni. Pewnie bym zwariowała. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Rozumiesz mnie?

Reacher pokiwał głową.

— A więc co robiłaś w pracy przez cały dzień?

— Nic — zachichotała Jodie. — Gapiłam się w ścianę i nic nie robiłam.

— Jesteś szurnięta — rzucił Reacher. — Dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś?

— Dlaczego ty po prostu mi nie powiedziałeś? — Przecież powiedziałem.

— W końcu — przyznała. — Po piętnastu latach.

- Wiem, ale bałem się ci to powiedzieć. Myślałem, że będziesz urażona, zraniona. Sądziłem, że to ostatnia rzecz, jaką chciałabyś usłyszeć.

— Tak samo ja. Bałam się, że mnie znienawidzisz już na zawsze.

Spojrzeli na siebie z uśmiechem. Po chwili wybuchli śmiechem. Śmiali się dobre pięć minut.

— Idę się ubrać — powiedziała w końcu Jodie, wciąż chichocząc. Reacher poszedł za nią. Jego ubranie leżało na podłodze. Jodie sięgnęła do szafy po czyste rzeczy. Patrzył na nią i myślał, czy w domu Leona są wbudowane szafy. Nie, czy w jego domu są wbudowane szafy. Na pewno. Przecież są we wszystkich domach. Czy to oznacza, że teraz będzie musiał zgromadzić rzeczy, żeby wypełnić szafy?

Jodie wybrała dzinsy, koszulę, skórzany pasek i drogie pantofle. On włożył nową marynarkę.

Do jednej kieszeni wsunął steyra, a do drugiej wsypał dwadzieścia naboí. Marynarka

zrobiła się ciężka. Jodie przyniosła skórzaną aktówkę, żeby sprawdzić adres Ruttera.

— Gotowy? — spytała.

— Bardziej już nie będę.

Reacher kazał jej czekać w każdym krytycznym miejscu, a sam sprawdzał, czy nic im nie grozi. Postępował dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Wczoraj jej bezpieczeństwo było dla niego bardzo ważne, ale teraz stało się sprawą życia i śmierci. Pusty korytarz, pusta winda, pusty hol, pusty parking. Razem dotarli do taurusa. Jodie objechała kwartał, żeby skierować się na północ i wschód.

— Przez East River Drive do dziewięćdziesiątej piątej. Może być? — spytała. — Jadąc na wschód, trafimy na Cross Bronx Expressway.

Reacher wzruszył ramionami. Spróbował sobie przypomnieć mapę Hertza.

— Skręć potem na północ w Bronx River. Musimy dojechać do zoo.

— Do zoo? Rutter nie mieszka w tej okolicy.

— Właściwie nie do zoo, tylko do ogrodu botanicznego.

Musisz tam coś zobaczyć.

Jodie spojrzała na niego z ukosa, ale skupiła uwagę na prowadzeniu. Niedawno minął poranny szczyt, ale na ulicach wciąż było bardzo dużo samochodów. Pojechali na północ wzdłuż rzeki, potem na północny zachód do mostu George'a Washingtona i po zjeździe z niego skierowali się na wschód w stronę Bronksu. Jechali szybciej, bo o tej porze Nowy Jork wsysa ludzi. Na przeciwnym pasie samochody prawie stały.

— Dobra, dokąd teraz? — spytała Jodie.

— Miń Fordham University. Przejedź za palmiarnię i zaparkuj na górze.

Jodie kiwnęła głową i zmieniła pas. Minęli Fordham po lewej i oranżerię po prawej. Wjechała przez bramę na teren muzeum. Parking był prawie pusty.

— Co teraz?

Reacher wziął aktówkę i wysiadł.

— Tylko się nie uprzedzaj — powiedział.

Do palmiarni mieli sto metrów. Poprzedniego dnia Reacher poznał jej historie, z darmowej ulotki. Została nazwana imieniem niejakiego Enida Haupta, jej budowa w 1902 roku kosztowała fortunę, a remont dziewięćdziesiąt pięć lat później dziesięć razy więcej. Pieniądze zostały dobrze wydane, ponieważ wynik był imponujący. Ogromna i ozdobna palmiarnia mogła służyć za wzór miejskiej filantropii wyrażony w szkłe i żelazie.

W środku było gorąco i wilgotno. Reacher poprowadził Jodie na miejsce, którego szukał. Na stanowiskach otoczonych niskimi murkami i poręczami rosły egzotyczne rośliny. W alejkach między nimi stały ławki dla zwiedzających. Mleczne szyby filtrowały światło, jakby na niebie kłębiły się jasne chmury. W powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi i kwiatów. — No i co?

— spytała Jodie trochę rozbawiona, trochę zniecierpliwiona. Reacher znalazł ławkę, której szukał. Odsunął się od niej o kilka kroków w stronę niskiego muru. Zrobił krok w lewo, jeszcze jeden, aż wreszcie miał już pewność.

— Stań tutaj — poprosił.

Chwycił ją od tyłu za ramiona i ustawił dokładnie w tym miejscu, w którym stał przed chwilą. Pochylił się, żeby ich

- Stań na palcach i patrz prosto przed siebie. Jodie wyciągnęła się, jak najwyżej mogła. Włosy spadły jej luźno na ramiona.

— Dobrze. Teraz powiedz mi, co widzisz — rzekł Reacher. — Nic szczególnego. Różne rośliny. Pokiwał głową. Otworzył aktówkę i wyjął z niej zdjęcie wychudzonego białego mężczyzny, usiłującego uchylić się przed karabinem strażnika. Trzymał je przed nią w wyciągniętej ręce, aby mogła jednocześnie patrzeć na fotografię i rośliny.

— O co ci chodzi? — spytała rozbawiona i sfrustrowana.

— Porównaj.

Trzymając nieruchomo głowę, Jodie spoglądała na przemian na zdjęcie i na wskazane

miejsce. Nagle wyrwała mu fotografię. Patrzyła na nią, trzymając ją przed sobą na długość ramienia.

Jej oczy rozszerzyły się, nieco przybladła.

— Jezu, to zdjęcie zostało zrobione tutaj? Z tego miejsca? Te wszystkie rośliny wyglądają dokładnie tak jak na fotografii.

Reacher sprawdził jeszcze raz. Jodie trzymała zdjęcie tak, że układ roślin przed nimi dokładnie zgadzał się z fotografią. Kilka pięciometrowych palm po lewej. Kępa paproci po prawej. Jakieś krzewy w głębi. Więzień i strażnik staliby sześć metrów stąd na grzędzie. Zdjęcie wykonano przez teleobiektyw, żeby skrócić perspektywę i zmniejszyć głębię ostrości. Dzięki temu rośliny z przodu i z tyłu były nieco rozmyte. Łatwo można było je uznać za nieostry obraz dżungli, ale w rzeczywistości rosły na sąsiedniej grzędzie.

— Cholera! — zakląła Jodie. — Cholera, nie mogę w to uwierzyć.

Oświetlenie również się zgadzało. Mleczne szyby zapewniły dobrą imitację zachmurzonego nieba nad dżunglą. W Wietnamie często jest pochmurno. Góry nie przepuszczają chmur i w pamięci ludzi pozostaje mgła, tak jakby to parowała ziemia. Jodie wciąż porównywała zdjęcie z otoczeniem, przesuując się nieco w lewo i w prawo, żeby uzyskać najlepszą zgodność.

— A co z ogrodzeniem? Te bambusowe tyczki? Wydają się takie rzeczywiste.

— Odrobina sztafażu. Trzy tyczki, dziesięć metrów drutu kolczastego. Myślisz, że to trudno dostać? Przynieśli je tutaj pewnie zwinięte w rulon.

— Ale kiedy? Jak?

— Może wcześniej rano? — zasugerował, wzruszając ramionami. — Jeszcze przed otwarciem. Może znają kogoś, kto tu pracuje. Może zrobili to, gdy palmiarnia była jeszcze zamknięta na czas renowacji.

Jodie znowu spojrzała na fotografię.

— Chwileczkę. Widać tę ławkę. Tu na zdjęciu widać róg tej ławki.

Jodie pokazała mu palcem niewielką, rozmytą białą plamę. To był róg żelaznej ławki po prawej stronie, za głównym planem. Teleobiektyw zwęził pole widzenia, ale za mało.

— Nie zauważyłem — przyznał Reacher. — Dobrze ci to idzie.

- Może i dobrze, lecz jestem coraz bardziej wściekła — odpowiedziała, zwracając się twarzą do niego. — Ten łajdak wziął osiemnaście tysięcy dolarów za podrobione zdjęcie.

— Jeszcze gorzej. Dał im fałszywą nadzieję.

— Co robimy?

— Złożymy Rutterowi wizytę.

Wrócili do taurusa szesnaście minut po tym, jak z niego wysiedli. Jodie prowadziła, bębniąc palcami w kierownicę.

— Powiedziałeś mi jednak, że w to wierzysz — mówiła bardzo szybko. — Wspomniałam, że zdjęcie potwierdza, iż ten obóz istnieje, a ty się z tym zgodziłeś. Powiedziałeś mi, że byłeś tam niedawno i dotarłeś tak blisko jak Rutter.

— Wszystko się zgadza. Mówiłem prawdę — odrzekł Reacher. — Wierzyłem, że ogród botaniczny istnieje. Właśnie stamtąd wróciłem. I byłem tak blisko jak Rutter. Stałem dokładnie obok tego murka, skąd na pewno zrobił zdjęcie.

— Jezu, Reacher, co to ma być? Jakaś gra?

— Wczoraj jeszcze nie wiedziałem, co to jest — odparł, wzruszając ramionami. — To znaczy, nie wiedziałem, jak dużo informacji mam ci przekazywać.

Jodie uśmiechnęła się mimo zniecierpliwienia. Pamiętała o różnicy między poprzednim dniem i obecnym.

— Do diabła, dlaczego Rutter sądził, że mu się to uda? Palmiarnia zamiast dżungli, na litość boską?

Reacher przeciągnął się na fotelu, sięgając ramionami prawie do okna.

— To sprawa psychologii — stwierdził. — Psychologia jest podstawą każdego szwindlu.

Mówisz ludziom to, co chcą słyszeć. Ci *starzy chcieli usłyszeć*, że ich chłopak żyje. Wobec tego facet ich zapewniał, że prawdopodobnie przeżył. Zainwestowali w to dużo nadziei i pieniędzy, siedzieli jak na szpilkach przez trzy miesiące, on daje im zdjęcie, więc jest praktycznie pewne, że zobaczą na nim to, co chcą zobaczyć. Przy czym zrobił to bardzo sprytnie. Dowiedział się od nich, w jakiej jednostce służył ich syn, poprosił o jego zdjęcie, tak żeby mógł wybrać faceta w średnim wieku, odpowiedniego wzrostu i budowy ciała. Potem przekazał im informacje zawierające numer i nazwę jednostki. Psychologia. Widzieli to, co chcieli zobaczyć. Mógłby sfotografować faceta w masce goryla, a oni uwierzyliby, że to zwierzę żyjące w Wietnamie.

— Jak się zorientowałeś?

— W ten sam sposób. Opierając się na psychologii, ale w odwrotnym kierunku. Nie chciałem w to uwierzyć, bo wiedziałem, że to nie może być prawda. Więc szukałem czegoś, co nie pasowało do obrazka. Dla mnie takim szczegółem był mundur faceta na zdjęciu. Zwróciłaś na to uwagę? Znoszony amerykański mundur? Zestrzelili gościa trzydzieści lat temu. Jest absolutnie wykluczone, żeby w dżungli mundur przetrwał trzydzieści lat. Rozpadłby się już po sześciu tygodniach.

— A jak zgadłeś, że sfalszowali to zdjęcie w ogrodzie botanicznym?

Reacher przycisnął rozłożone szeroko palce do okna, żeby rozluźnić napięcie w ramionach.

— A gdzie indziej mogli znaleźć taką scenerię? Może na Hawajach. Po co jednak wydawać pieniądze na samolot dla

trzech osób, skoro mogli to zrobić na miejscu.

— Skąd wzięli tego Wietnamczyka?

— Pewnie student — odrzekł. — Może nawet z Fordham. Może z Columbii. Pewnie wcale nie był Wietnamczykiem. Równie dobrze mógł to być kelner z chińskiej restauracji. Rutter pewnie dał mu dwadzieścia dolarów za pozowanie do zdjęcia. Prawdopodobnie ściągnął czterech łebków, żeby na zmianę odgrywali amerykańskiego jeńca. Niski biały, wysoki biały, niski czarny, wysoki czarny, i wszystkie możliwości są uwzględnione. To jacyś włóczędzy, są odpowiednio chudzi i wynędzniali. Za butelkę bourbona zrobili wszystko, czego chciał. Za jednym zamachem pstryknął wszystkie zdjęcia i używał ich stosownie do potrzeb. Mógł sprzedać to samo zdjęcie dziesięć razy. Każdemu, kto stracił syna wysokiego i białego. Wszystkich skłonił do zachowania sprawy w tajemnicy, opowiadając im te bajki o spisku rządowym.

— To ohydne.

— W pełni się z tobą zgadzam — przyznał Reacher. —

Rodziny CNZ wciąż stanowią duży, łatwy do wykorzystania rynek. Żerował na nich jak sęp.

— CNZ? — spytała Jodie.

— Ciała nie znaleziono — wyjaśnił. — Tak się ich nazywa. ZWW/CNZ. Zabity w walce, ciała nie znaleziono.

— Zabity? Nie wierzysz, że w Wietnamie są jeszcze jacyś amerykańscy jeńcy?

Reacher pokręcił głową.

— Nie ma żadnych jeńców, Jodie. To wszystko bzdury.

— Jesteś pewny?

— Całkowicie.

— Jak możesz być tego pewny?

— Po prostu wiem — odpowiedział. — Tak jak wiem, że niebo jest niebieskie, trawa zielona, a ty masz piękny tyłek. Jodie się uśmiechnęła. Jechali do Ruttera.

— Pamiętaj, że jestem prawnikiem. Ten dowód nie jest dla mnie wystarczający.

— Liczą się fakty historyczne — stwierdził. — Przede wszystkim historia o przetrzymywaniu zakładników, żeby wy-

musić amerykańską pomoc, jest zupełną lipą. Oni planowali przeprowadzenie ataku na południe wzdłuż szlaku Ho Szi Mina natychmiast po tym, jak my się wyniesiemy, co było

jawnym naruszeniem traktatu zawartego w Paryżu, zatem wiedzieli, że nie mogą liczyć na żadną pomoc. Wobec tego wypuścili wszystkich jeńców w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Wiem, zajęło im to sporo czasu, ale puścili ich. Gdy skończyliśmy ewakuację w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym, złapali ze stu maruderów i od razu ich przekazali, co nie pasuje do planu przetrzymywania zakładników. Poza tym bardzo im zależało, żebyśmy rozminowali ich porty, dlatego nie wdawali się w żadne głupie gierki.

— Na pewno nie śpieszyło się im z odsyłaniem zwłok — zauważyła Jodie. — Wiesz, ciał żołnierzy zabitych w walce lub ofiar wypadków lotniczych. Pozwalali sobie na różne głupie gierki.

— Zgoda — przyznał, kiwając głową. — Nie rozumieli, jakie to jest dla nas ważne. Chcieliśmy, żeby odesłali dwa

tysiące ciał. Nie mogli tego pojąć. Walczyli przez ponad czterdzieści lat, z Japonią, Francją, Ameryką i Chinami. Sami stracili pewnie z milion. Te dwa tysiące to z ich punktu widzenia kropla w morzu. No i byli komunistami. Nie przykładali większej wartości do życia jednostki. To znowu sprawa psychologii. Jednakże to nie oznacza, że trzymali jeńców w tajnych obozach.

— Nie jest to bardzo przekonujący dowód — oschle stwierdziła Jodie.

Reacher znowu pokiwał głową.

— Przekonującym dowodem jest sam Leon. Twój ojciec i podobni do niego. Znam tych ludzi. To dzielni, uczciwi żołnierze. Walczyli w Wietnamie, a później zrobili karierę, zdobyli władzę i ważne stanowiska. Wiem nie gorzej od innych, że w Pentagonie jest pełno gnojników, ale zawsze było dość takich jak Leon, żeby im patrzeć na ręce. Odpowiedz mi na jedno pytanie. Co zrobiłby Leon, gdyby wiedział, że w Wietnamie są nasi jeńcy?

- Nie wiem. — Jodie wzruszyła ramionami. — Na pewno coś by zrobił.

— Możesz się o to założyć. Leon rozwaliłby Biały Dom, cegła po cegle, aż wreszcie wszyscy nasi chłopcy wróciliby do domu. Nie zrobił tego. Lecz nie dlatego, że nie wiedział o jeńcach. Nie ma sposobu, żeby utrzymać taką rzecz w tajemnicy przed wszystkimi Leonami przez tyle lat. Wielka konspiracja trwająca przez sześć prezydenckich kadencji? Konspiracja, której nie wykryli tacy jak Leon? Wykluczone. Leonowie tego świata nigdy nie zareagowali, co oznacza, że takiej konspiracji nie było. Z mojego punktu widzenia jest to niepodważalny dowód.

— Nie, to deklaracja wiary.

— Możesz to nazwać jak chcesz. Mnie to wystarcza. Jodie obserwowała ruch przed nimi i rozważała argumenty

Reachera. W końcu kiwnęła głową, bo wiara w ojca również jej wystarczała.

— Czyli Victor Hobie nie żyje?

— Na pewno. Zabity w walce, ciała nie znaleziono.

Jodie powoli posuwała się na południe. Droga była zapchana.

— No dobrze. Nie ma jeńców, nie ma obozów. Nie ma rządowej konspiracji. Wobec tego to nie agenci rządowi próbowali nas zastrzelić i rozjechać samochodem. — Ani przez chwilę tak nie sądziłem — odrzekł. — Agenci rządowi, z którymi miałem do czynienia, z reguły działali znacznie sprawniej. Można powiedzieć, że sam byłem agentem. - Myślisz, że spaprałbym akcję dwa razy z rzędu?

Jodie skrzyła w prawo i zatrzymała się na poboczu. Spojrzała na niego szeroko otwartymi, niebieskimi oczami. — Wobec tego to musi być sprawa Ruttera — powiedziała — Jeśli nie jego, to czyja? Prowadzi jakiś lukratywny szwindel, prawda? Jest gotowy go chronić.

Przypuszcza, że ujawnimy to. Wobec tego szukał nas i próbował się pozbyć.

— Hej, życie jest pełne niebezpieczeństw.

• • •

Marilyn zdała sobie sprawę, że zasnęła, bo gdy obudziły ją jakieś odgłosy za drzwiami, była

zziębnięta i zeszywniała. W łazience nie było okna, dlatego nie mogła się zorientować, która jest godzina. Pewnie rano, pomyślała, bo czuła się tak, jakby spała kilka godzin. Chester wpatrywał się pustym wzrokiem w jakiś punkt za rurami pod umywalką. Był zupełnie niekomunikatywny. Sheryl skuliła się na podłodze. Ciężko oddychała przez usta. Miała czarny, spuchnięty nos. Marilyn przyglądała się jej przez chwilę. Z trudem przełknęła ślinę. Wreszcie odwróciła się i jeszcze raz przyłożyła ucho do drzwi. Nasłuchiwała uważnie. W gabinecie byli dwaj mężczyźni. Słyszała dwa niskie głosy. Rozmawiali cicho. Z zewnątrz dochodziły również szmery windy, słabe odgłosy ulicznego ruchu. Ryk samolotowych silników, gdy wielki odrzutowiec startował z lotniska Kennedy'ego, kierując się na zachód. Marilyn wstała z podłogi.

W nocy zrzuciła buty. Znalazła je pod ręcznikami. Włożyła pantofle i cicho podeszła do umywalki. Chester patrzył tak, jakby jej nie widział. Przejrzała się w lustrze. *Nie tak źle*, pomyślała. Ostami raz spędziła noc na podłodze w łazience po przyjęciu w akademiku dwadzieścia lat temu. Teraz wyglądała nie gorzej niż wówczas. Przeczesała palcami włosy i przemyła powieki, po czym pod kradła się do drzwi i znowu zaczęła nasłuchiwać.

Dwaj mężczyźni, ale to nie byli Tony i Hobie. Rozmawiali jak równy z równym. To była zwykła konwersacja, żaden z nich nie wydawał rozkazów. Marilyn odsunęła nogą ręczniki, wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Tamci przerwali rozmowę i spojrzeli na nią. Tony siedział na sofie przed biurkiem, bokiem do niej. Drugi, którego wcześniej nie widziała, usiadł obok niego na stoliku do kawy. Miał na sobie ciemny garnitur, wydawał się niewysoki, ale mocno zbudowany. Za biurkiem nie było nikogo. Nigdzie nie widziała Hobiego. Żaluzje były dokładnie zaciągnięte, ale mogła dostrzec, że na zewnątrz świeci słońce. Widocznie było już później, niż myślała. Spojrzała na Tony'ego. — Dobrze spałeś? — spytał z uśmiechem.

Marilyn nie odpowiedziała. Zachowała obojętną minę, aż wreszcie Tony przestał się uśmiechać. *Jeden zero*, pomyślała.

— Omówiłam sytuację z moim mężem — skłamała. Tony patrzył na nią niecierpliwie, wyczekując dalszego ciągu.

Marilyn kazała mu czekać. *Dwa zero*.

— Zgadząmy się na przekazanie akcji — powiedziała w końcu. — To jednak dość skomplikowana operacja, która wymaga czasu. Są pewne czynniki, których najwyraźniej nie wzięliście pod uwagę. Zrobimy to, ale oczekujemy z waszej strony pewnej minimalnej współpracy.

— Na przykład? — dociekał Tony.

— O tym porozmawiam z Hobiem — odrzekła. — Nie z tobą.

W gabinecie zapadła cisza. Słyszał tylko cichy szmer dochodzący z zewnątrz. Marilyn skoncentrowała się na oddychaniu. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

— Okay — zgodził się Tony.

Trzy zero, pomyślała Marilyn-

— Teraz proszę kawę — zażądała. — Trzy kubki z cukrem i śmietanką.

Znowu zrobiło się cicho. Po chwili Tony kiwnął głową i ten mocno zbudowany mężczyzna wstał ze stolika. Wyszedł z gabinetu do kuchni. *Cztery zero*, uznała Marilyn.

• • •

Pod adresem zwrotnym podanym na liście Ruttera znajdował się obskurny sklep położony poza obszarem miasta, gdzie jeszcze można było mieć nadzieję na przywrócenie ładu. Sklep mieścił się w drewnianym budynku wciśniętym między dwie trzypiętrowe kamienice, gdzie kiedyś pewnie były jakieś warsztaty lub magazyny, ale już dawno zostały porzucone. Na lewo od wejścia do sklepu Ruttera znajdowało się brudne okno wystawowe, a na prawo garaż z podniesioną bramą. W środku stał nowiutki lincoln navigator. Reacher poznał model, bo widział go na reklamach. To był wielki ford z napędem na *cztery* koła, z różnymi luksusowymi

dodatkami pozwalającymi go zaliczyć do lincolnów. Przez bramę widać było błysk metalicznego czarnego lakieru. Samochód był prawdopodobnie więcej wart niż cały budynek, w którym stał.

Jodie przejechała przed budynkiem ani szybko, ani wolno, lecz tak, jak mógł jechać każdy po dziurawej ulicy. Reacher wykręcił głowę, żeby przyjrzeć się sklepowi. Jodie skręciła w lewo, by objechać kwartał. Reacher zauważył wąską uliczkę ciągnącą się za budynkami z zardzewiałymi schodami ewakuacyjnymi wiszącymi nad stertami śmieci.

— Jak chcesz to zrobić? — spytała.

— Po prostu wejdziemy do środka — odpowiedział. — Najpierw musimy obserwować jego reakcję. Jeśli nas zna, zastosujemy określony wariant. Jeśli nie, inny.

Jodie zaparkowała dwa domy dalej przed sklepem w cieniu poczerniałego magazynu z cegieł. Zamknęła samochód. Z chodnika mogli dostrzec towary rozłożone za brudną szybą wystawową. Różne artykuły z nadwyżek wojskowych, stare mundury polowe, manierki i buty, radiostacje polowe, żelazne racje żywności i hełmy piechoty. Część z tych rzeczy była już przestarzała, zanim Reacher skończył West Point.

Z trudem otworzyli drzwi. Rozległ się brzdęk dzwonka. Drzwi były połączone prymitywnym mechanizmem ze zwykłym dzwonkiem. W środku nie było nikogo. Na prawo od drzwi znajdowała się lada, a za nią wejście do garażu. Na okrągłym chromowanym wieszaku wisiły różne ubrania, a na jednej półce leżały rozmaite przypadkowo zebrane przedmioty. W głębi sklepu widać było tylne drzwi, zamknięte i wyposażone w alarm. Obok nich stało pięć winylowych krzesel, na podłodze poniewierały się butelki po piwie, leżały liczne niedopałki. W pomieszczeniu panował półmrok, ale mimo to łatwo dostrzegli kurz nagromadzony przez lata.

Reacher szedł przed Jodie. Deski podłogi skrzypiały pod jego ciężarem. Po dwóch krokach dostrzegł za ladą wejście do piwnicy, z solidną klapą z grubych sosnowych desek i z mosiężnymi zawiasami. Mosiężne ręczki były wypolerowane przez niezliczone dłonie, które podnosiły i opuszczały klapę. Przez uniesioną klapę zobaczył wąską drabinę zrobioną z takich samych starych desek. Na dole świeciła się żarówka. Słychać było szmer butów na betonowej podłodze.

— Do diabła, zaraz przyjdę! — usłyszeli krzyk z dołu. To był głos mężczyzny w średnim wieku. Ton zdradzał zaskoczenie i irytację. Z pewnością właściciel sklepu nie spodziewał się żadnych klientów. Jodie spojrzała na Reachera, który zacisnął palce na kolbie steyra.

Nad podłogą pojawiła się głowa, potem ramiona i tors. Otyły właściciel z trudem wspinał się po drabinie. Był ubrany w stary oliwkowy mundur, miał tłuste szare włosy, potarganą szarą brodę, mięsistą twarz i małe oczka. Wyszedł na czworakach i wstał.

— Coś pomóc?

Za nim pojawiła się głowa kolejnego faceta. Wyszedł z piwnicy. I następny. Następny.

Następny. Czterech. Po kolei prostowali się, przyglądali się Reacherowi i Jodie, po czym szli w głąb sklepu. Wysocy, napakowani, wytatuowani, w takich samych starych mundurach.

Usiedli na krzesłach, krzyżując potężne ramiona na sterczących brzuchach.

- Coś pomóc? — powtórzył ten pierwszy.

— Pan Rutter? — spytał Reacher.

Tamten przytaknął. Wyraz jego oczu świadczył, że ich nie rozpoznał. Reacher zerknął na czterech facetów na krzesłach. To była nieprzewidziana komplikacja.

— Czego pan chce? — spytał Rutter.

Reacher zmienił plan. Spróbował odgadnąć, jakie transakcje naprawdę są zawierane w tym lokalu i co kryje się w piwnicy.

— Potrzebuję tłumika — powiedział. — Do steyra GB. Rutter się uśmiechnął. Sądząc po ruchu szczęki i iskierkach

w oczach, był naprawdę rozbawiony.

— Mnie prawo zakazuje sprzedawać tłumiki, a panu je mieć — rzekł. Powiedział to w taki sposób, że nikt nie mógł mieć wątpliwości, iż w rzeczywistości sprzedał już wiele tłumików. W jego głosie była protekcjonalna nutka: *Mam coś, czego ty chcesz, a zatem jestem od ciebie lepszy*. Natomiast najwyraźniej nie myślał o ostrożności. W najmniejszym stopniu nie podejrzewał, że Reacher jest policjantem, który usiłuje go sprowokować. Nikt *jeszcze* nie wziął Reachera za policjanta. Był zbyt duży i grubo ciosany. Nie miał bladej cery człowieka przesiadującego w komisariacie, którą ludzie nieświadomie kojarzą z policjantami. Rutter nie przejmował się Reacherem, natomiast przyglądał się podejrzliwie Jodie. Nie wiedział, kim może być. Jodie spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

— Jakie prawo? — rzuciła pogardliwie. Rutter podrapał się po brodzie.

— Z tego powodu są drogie — oznajmił.

— Drogie? W porównaniu z czym? — spytała Jodie. Reacher uśmiechnął się do siebie. Rutter najwyraźniej nie

potrafił jej zaklasyfikować, a tymi dwoma pytaniami całkowicie zbiła go z tropu. Mogła być zarówno damą z wyższych sfer Manhattanu, która bała się, że ktoś chce porwać jej dzieci, jak i żoną miliardera pragnącą szybko odziedziczyć fortunę. Może chciała rozwiązać problem skomplikowanego trójkąta małżeńskiego. Patrzyła na niego jak kobieta nienawykła do tolerowania żadnego sprzeciwu, a już na pewno nie ze strony prawa lub jakiegoś handlarza z Bronksu.

— Steyr GB? — spytał Rutter. — Chce pan oryginalny austriacki tłumik?

Reacher kiwnął głową, tak jakby to on był tu człowiekiem od banalnych szczegółów. Rutter pstryknął palcami. Jeden z osiłków wstał z krzesła, szedł do piwnicy i po chwili wrócił z czarnym cylindrem zawiniętym w papier. Przetłuszczony papier był niemal przezroczysty.

— Dwa tysiące dolców — powiedział Rutter.

Cena była nieomal uczciwa. Ten model pistoletu nie był już produkowany, ale według Reachera pewnie kosztował jakieś osiemset lub dziewięćset dolarów. Cena hurtowa tłumika wynosiła pewnie ze dwieście dolarów. Dwa tysiące za nielegalnie sprowadzony tłumik dziesięć lat po zakończeniu produkcji, siedem tysięcy kilometrów od fabryki, można było uznać za rozsądną propozycję.

— Niech pan pokaże — poprosił.

Rutter wytarł rurkę w spodnie i podał ją Reacherowi, który wyciągnął pistolet z kieszeni.

Założył tłumik. Nikt nie robi tego tak jak na filmach. Nie podnosi się pistoletu na wysokość twarzy, żeby powoli, z namysłem i czułością wkręcić urządzenie. Wystarczy lekko przycisnąć i obrócić tłumik o pół

obrotu, a wchodzi na miejsce jak obiektyw aparatu. Tłumik poprawił wyważenie pistoletu. W dziewięćdziesięciu

dziewięciu przypadkach na sto strzał z broni ręcznej jest skierowany za wysoko, bo na skutek odrzutu unosi się lufa.

Ciężar tłumika zmniejsza prawdopodobieństwo tego efektu.

Poza tym tłumik wyhamowuje tempo rozchodzenia się gazów, co osłabia siłę odrzutu.

— Dobrze działa? — spytał Reacher.

— No pewnie — odrzekł Rutter. — Przecież to oryginał. Facet, który przyniósł tłumik, znowu usiadł na krześle.

Czterech facetów, pięć krzeseł. W celu pokonania gangu należy najpierw wyeliminować przywódcę. To uniwersalna zasada. Reacher poznał ją, gdy miał cztery lata. Należy odgadnąć, kto jest przywódcą i zdecydowanie go zaatakować. Ta sytuacja

była jednak odmienna. Przywódcą był Rutter, ale tymczasem musiał pozostać w jednym kawałku, ponieważ Reacher miał względem niego pewne plany. — Dwa tysiące dolców — powtórzył Rutter. — Najpierw test polowy.

Steyr GB nie ma bezpiecznika. Pierwszy wystrzał wymaga naciśnięcia spustu z siłą siedmiu kilogramów, co producent uważa za wystarczające zabezpieczenie przed przypadkowym strzałem, jeśli na przykład pistolet upadnie. W celu wywarcia siły siedmiu kilogramów trzeba nieco się wysilić. Dlatego nie ma bezpiecznika. Reacher obrócił rękę w lewo i nacisnął spust z siłą siedmiu kilogramów. Puste krzesło rozpadło się na kawałki. Huk był dość głośny. Wcale nie przypominał kasznięcia jak na filmach. Żadne delikatne puknięcie. Strzał zabrzmiał tak, jakby ktoś wziął książkę telefoniczną Manhattanu, uniósł ją nad głowę i z całej siły uderzył o biurko. To nie był cichy dźwięk, ale i tak cichszy niż bez tłumika.

Czterej faceci na krzesłach siedzieli jak sparaliżowani. W powietrzu jeszcze unosiły się strzępy winylu i drewna. Rutter gapił się na niego, stojąc bez ruchu. Reacher uderzył go mocno w brzuch, podbił nogi i zwałił na podłogę. Wycelował w osiłka siedzącego obok rozwalonego krzesła.

— Do piwnicy! — polecił. — Wszyscy. I to już, okay?

Żaden się nie ruszył. Reacher policzył głośno *jeden, dwa, trzy*, po czym wystrzelił. Spod nóg pierwszego z brzegu posypały się drzazgi. *Jeden, dwa, strzał. Jeden, dwa, ognia.* W powietrzu kręciły się drzazgi i kurz z podłogi. Huk kolejnych strzałów był ogłuszający. Czuć było smród spalonego prochu i rozgrzanej wełny stalowej w tłumiku. Po trzecim strzale wszyscy czterej zgodnie wstali z krzesel. Przepychając się, zeszli do piwnicy, potykając się na szczeblach drabiny. Reacher opuścił klapę i przycisnął ją ladą. Rutter uniósł się na czworakach. Reacher przewrócił go kopniakiem na plecy, a potem kopnął go jeszcze kilka razy. Rutter cofał się, aż wreszcie oparł się głową o przesuniętą ladę.

Jodie kucnęła i pokazała mu podrobioną fotografię. Rutter zamrugał i skupił wzrok na zdjęciu. Poruszył ustami zasło-

niętymi potarganą brodą. Reacher też ukląkł i chwycił go za lewy nadgarstek, i ścisnął za mały palec.

- Mam kilka pytań — oświadczył. — Za każde kłamstwo złamię ci jeden palec.

Rutter zaczął się szarpać. Ze wszystkich sił próbował się uwolnić. Reacher zadał mu mocne uderzenie w brzuch. Rutter zrezygnował z oporu.

— Wiesz, kim jesteśmy?

— Nie — wysapał.

— Gdzie zostało zrobione to zdjęcie?

— To tajny obóz. W Wietnamie.

Reacher złamał mu mały palec. Po prostu nacisnął w bok i wyłamał ze stawu. Tak jest znacznie łatwiej, niż szarpiąc do góry. Rutter jęknął z bólu. Reacher chwycił go za palec serdeczny. Rutter nosił na nim złoty sygnet.

— Gdzie?

— W zoo na Bronksie.

— Kim jest ten chłopak?

— Jakiś dzieciak.

— A ten mężczyzna?

— Znajomy — sapnął Rutter.

— Ile razy to robiłeś?

— Pewnie z piętnaście razy. Reacher nacisnął palec z pierścionkiem.

— To prawda! — krzyknął Rutter. — Przysięgam, najwyżej piętnaście razy. I niczego ci nie zrobię. Nawet cię nie znam.

— Znasz państwa Hobie? — spytał Reacher. — Z Brighton? Reacher widział, że oszołomiony Rutter przegląda w myślach

listę ofiar. Przypomniał sobie. Niewątpliwie zaczął się zastanawiać, jakim cudem ci żałośni starzy naiwniacy mogli ściągnąć na niego takie nieszczęście.

— Jesteś ohydny skurwysynem, zgadza się? Rutter w panice rozglądał się na boki.

— Powtórz to! — wrzasnął Reacher.

— Jestem skurwysynem — wyjęczał Rutter.
— Gdzie jest twój bank?
— Bank? — tępo powtórzył Rutter.
— Tak, bank. Rutter się zawahał. Reacher ścisnął palec.
— Dziesięć przecznic stąd — zaskrzeczał Rutter.
— Akt własności samochodu?
— W szufladzie.
Reacher dał znak Jodie. Wstała i przeszła za ladę. Wyciągała kolejne szuflady, aż wreszcie znalazła plik dokumentów. Szybko je przejrzała.
— Zarejestrowany na niego. Kosztował czterdzieści tysięcy. Reacher puścił palec Ruttera i chwycił go za kark. Kantem dłoni prawie zgniótł mu gardło.
— Kupuję twój samochód za dolara — powiedział. — Jeśli coś ci się nie podoba, pokręć głową, dobrze?
Rutter nawet się nie poruszył. Oczy wychodziły mu z orbit. Dusił się.
— Teraz pojedziemy do banku. Moim nowym samochodem. Wyciągniesz z konta osiemnaście tysięcy, a ja je oddam państwu Hobie.
— Nie — zaprotestowała Jodie. — Dziewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt. Pieniądze były złożone w funduszu powierniczym. Przyjmijmy za stopę zysku sześć procent. Za półtora roku.
— Okay — zgodził się Reacher. Zwiększył nacisk. — Dziewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt dla państwa Hobie, dziewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt dla nas. Rutter wpatrywał się w niego błagalnym wzrokiem. Niczego nie rozumiał.
— Oszukałeś ich — wyjaśnił mu Reacher. — Obiecałeś, że dowiesz się, co stało się z ich synem. Nie zrobiłeś tego. Teraz my musimy to zrobić. Potrzebujemy pieniędzy na wydatki. Rutter zsiniał. Zaciskał palce na rękach Reachera, na próżno usiłując się uwolnić.
— Zgoda? — spytał Reacher. — Tak to załatwimy. Jeśli masz jakieś zastrzeżenia, pokręć głową.
Rutter wciąż szarpał jego rękę, ale nie próbował poruszyć głową.
— Możesz to uważać za podatek — powiedział Reacher. — Podatek na skurwysynów, którzy oszukują.
Puścił go i wstał. Kwadrans później byli już w banku. Rutter trzymał lewą rękę w kieszeni, a prawą podpisał czek. Po pięciu minutach Reacher wrzucił do torby trzydzieści dziewięć tysięcy trzysta dolarów. Po kolejnym kwadransie wysadził Ruttera z samochodu za sklepem, z dwoma dolarami wepchniętymi do ust — za tłumik i za samochód. Po następnych pięciu minutach jechał już za taurusem, który prowadziła Jodie, do agencji Hertz na lotnisku LaGuardia. Kwadrans później jechali razem lincolnem na Manhattan.

11

Wieczór w Hanoi zaczyna się pełne dwanaście godzin wcześniej niż w Nowym Jorku, dlatego, choć słońce było jeszcze wysoko, gdy Reacher i Jodie wracali z Bronksu, schowało się już za górami w północnym Laocie, trzysta kilometrów na zachód od lotniska Noi Bai. Niebo przybrało pomarańczowy kolor, a długie popołudniowe cienie znikły. Zapadł tropikalny zmierzch. Smród lotniczej benzyny tłumiał zapachy miasta i dżungli, a ryk silników odrzutowych stojących na płycie samolotów zagłuszał klaksony samochodów i cykanie nocnych owadów.

Półtora kilometra od zatłoczonego terminalu pasażerskiego, obok nieoznaczonego hangaru stał ogromny transportowiec C-141 Starlifter należący do amerykańskich sił powietrznych. Tylne pochylnia była opuszczona, a silniki działały z dostateczną mocą, żeby oświetlić wnętrze ładowni. W hangarze paliły się lampy. Pod dachem z blachy falistej wisiały setki

żarówek, dzięki którym żółte światło wypełniało rozległe wnętrze.

Hangar wielkości stadionu był prawie pusty. W jednym miejscu stało siedem skrzyń o długości dwóch metrów, zrobionych z wypolerowanego aluminium. Skrzynie przypominały kształtem trumny, i tak rzeczywiście było. Stały w równym szeregu, na koziołkach, nakryte amerykańskimi flagami. Flagi były świeżo uprane i uprasowane, a środkowy pasek każdej pokrywał się dokładnie ze środkiem trumny.

Obok siedmiu trumien stało dziewięciu mężczyzn i dwie kobiety. Sześciu przybyło tu w charakterze eskorty honorowej. To byli zwykli żołnierze, ogoleni i ubrani w galowe mundury. Stali na baczność, trzymając się w pewnej odległości od pozostałej piątki, wśród której było troje Wietnamczyków — dwaj mężczyźni i kobieta — niskich, ciemnowłosych, z kamiennymi twarzami. Oni również nosili mundury, ale codzienne, a nie galowe. Ciemne oliwkowe spodnie i kurtki, pomarszczone i znoszone, z oznakami stopni wojskowych.

Pozostali dwoje to byli Amerykanie w cywilnych ubraniach, które jednak zdradzały ich wojskowy status równie wyraźnie jak mundur. Młoda kobieta miała na sobie płócienną spódnicę do kolan, bluzkę khaki z długimi rękawami i mocne, brązowe buty. Wysoki, siwy mężczyzna, mający jakieś pięćdziesiąt pięć lat, nosił tropikalne ubranie khaki, na które nałożył lekki płaszcz przeciwdeszczowy. W rękę trzymał starą skórzaną teczkę, a na płycie obok niego stała równie stara torba podróżna.

Siwowłosy mężczyzna niemal niezauważalnie skinął głową, dając znak eskortie honorowej.

Dowódca eskorty wydał kome-

ndę. Żołnierze ustawili się w dwa szeregi. Powoli pomaszrowali naprzód, zrobili zwrot w prawo i stanęli po obu stronach pierwszej trumny. Jednym płynnym ruchem podnieśli ją na ramiona. Dowódca rzucił komendę. Ruszyli powoli do bramy hangaru, trzymając trumnę idealnie równo. Słychać było tylko skrzypienie butów na betonie i wycie silników samolotu. Po wyjściu na płytę zrobili szeroki łuk, omijając strugi gorących gazów z silników samolotu, po czym podeszli do rampy z tyłu. Uważnie wnieśli trumnę do ładowni, korzystając z metalowych żeber przymocowanych do rampy, które chroniły przed poślizgnięciem. Przy wejściu czekała na nich pilotka, kapitan sił powietrznych, ubrana w tropikalny kombinezon lotniczy. Cała załoga stała na baczność obok niej — drugi pilot, mechanik, nawigator i radiooperator. Naprzeciwko ustawiła się drużyna żołnierzy z obsługi naziemnej. Załoga i żołnierze tworzyli dwa milczące szeregi. Eskorta honorowa przeszła powoli między nimi, aż do przedniej części ładowni. Ugięli kolana i postawili trumnę na półce przymocowanej do kadłuba. Dowódca drużyny naziemnej zabezpieczył trumnę gumowymi pasami. Cofnął się. Wszyscy zasalutowali w mil-

czeniu.

Załadowanie siedmiu trumien trwało godzinę. Ludzie w hangarze czekali na zakończenie operacji. Gdy żołnierze wynosili siódmą trumnę, pozostali wyszli za nimi na płytę, dostosowując krok do tempa eskorty honorowej. Czekali na dole przy rampie. Było gorąco i wilgotno. Eskorta spełniła swój obowiązek i opuściła samolot. Wysoki siwowłosy Amerykanin pożegnał ich, salutując, ucisnął ręce Wietnamczyków i skinął głową w stronę Amerykanki. Nikt nie powiedział ani słowa. Zarzucił na ramię torbę z ubraniami i szybko wszedł po rampie do samolotu. Zawarczał silnik, rampa się uniosła i zakryła wejście do ładowni. Silniki samolotu zawyły głośniej i ogromna maszyna zaczęła kołować po płycie. Transportowiec wykonał obszerny skręt w lewo i znikł za hangarem. Ryk nieco przycichł. Chwilę później silniki znowu zawyły. Samolot pędził coraz szybciej po pasie startowym, aż wreszcie oderwał się od ziemi. Wznosił się, jednocześnie skręcając w prawo z pochylonym na bok skrzydłem. Chwilę później widać było

już tylko światła pozycyjne na końcach skrzydeł i ogonie oraz ciemną smugę dymu układającą się wzdłuż zakrzywionej trajektorii lotu.

Na lotnisku zapadła cisza. Żołnierze eskorty honorowej odmaszerowali. Amerykanka wymieniła uścisk dłoni z Wietnamczykami i poszła do samochodu. Trzej wietnamscy ofice-

rowie udali się do swojego wozu. Był to japoński sedan przemalowany na ciemnozielono. Kobieta usiadła za kierownicą, dwaj mężczyźni z tyłu. Do centrum Hanoi nie było daleko. Kobieta zaparkowała za niskim, betonowym budynkiem pomalowanym na piaskowy kolor. Mężczyźni wysiedli bez słowa i weszli do środka drzwiami bez żadnego napisu. Kobieta zamknęła samochód i obeszła budynek, kierując się do innego wejścia. Weszła po schodach do swojego pokoju. Na biurku leżał duży kołonoatnik. Starannym pismem odnotowała nadanie ładunku i zamknęła kołonoatnik, po czym zaniósła go do szafy przy drzwiach, a następnie wyjrzała na korytarz. Wróciła do biurka, podniosła słuchawkę i wybrała numer do Nowego Jorku, dwadzieścia tysięcy kilometrów od Hanoi.

• • •

Marilyn obudziła Sheryl i doprowadziła Chestera do stanu jako takiej świadomości, nim mocno zbudowany mężczyzna przyniósł kawę. Niósł dwa kubki w prawej ręce, jeden w lewej. Nie wiedział, gdzie je postawić. Przez chwilę rozglądał się, po czym podszedł do umywalki i postawił je na wąskiej granitowej półce na przybory toaletowe. Odwrócił się i wyszedł bez słowa. Zamknął za sobą drzwi zdecydowanie, ale unikając trzaśnięcia.

Marilyn podała kubki, biorąc naraz tylko jeden, ponieważ drżała i bała się, że rozleje kawę, jeśli spróbuje podnieść dwa równocześnie. Kucnęła i najpierw podała kawę Sheryl. Pomogła jej wypić pierwszy łyk. Potem podała kubek Chesterowi. Wziął od niej kawę i spojrzał na kubek, tak jakby nie wiedział, co to takiego. Marilyn sięgnęła po trzecią kawę, oparła się o umy-

walkę i wypita kilka łyków. Była spragniona. Cukier i śmietanka dodały jej energii.

— Gdzie są akcje? — spytała szeptem. Chester spojrzał na nią z apatią.

— W banku, w mojej skrytce — odpowiedział. Marilyn kiwnęła głową. Nagle uświadomiła sobie, że nie

wie, w jakim banku Chester ma rachunek i gdzie jest ten bank.

— Ile ich jest?

— Pierwotnie było tysiąc — odparł, wzruszając ramionami. — Wykorzystałem trzysta jako zabezpieczenie kredytu. Musiałem tymczasowo przekazać je kredytodawcy.

— A jak wpadły w ręce Hobiogo?

— Wykupił mój dług. Prześlą mu kurierem papiery pewnie jeszcze dziś. Do niczego nie są im już potrzebne. Zobowiązałem się przekazać mu jeszcze dziewięćdziesiąt. Są w skrytce.

Miałem mu je przesać.

— Jak wygląda przekazanie akcji? Chester wzruszył ramionami ze znużeniem.

— Muszę podpisać odpowiednią umowę. On bierze umowę, dokumenty i rejestruje transakcję na giełdzie. Gdy będzie miał pięćset jeden zarejestrowanych akcji, stanie się większościovym udziałowcem.

— Gdzie jest twój bank? Chester wypił pierwszy łyk kawy.

— Trzy przecznice stąd. Piechotą można tam dojść w pięć minut. Jeszcze pięć minut do giełdy. Niech będzie dziesięć minut od początku do końca operacji. Po tym czasie będziemy bezdomnymi na ulicy, bez grosza w kieszeni.

Postawił kubek na podłodze i znowu wbił martwy wzrok w ścianę. Sheryl siedziała nieruchomo. Nie wypita kawy. Jej skóra była wilgotna od potu. Może miała wstrząśnienie mózgu czy coś innego. Może to jeszcze szok. Marilyn nie wiedziała. Nie miała doświadczenia w takich sprawach. Nos Sheryl wyglądał okropnie. Czarny i spuchnięty. Pod oczami miała sińce, wargi wyschnięte i popękane, bo całą noc oddychała przez usta.

— Spróbuj wypić jeszcze trochę kawy — powiedziała Marilyn. - Na pewno dobrze ci zrobi.

Kucnęła obok niej i pomogła jej unieść rękę do ust. Pochyliła kubek. Sheryl wypita łyk. Trochę gorącej kawy spłynęło jej po brodzie. Jeszcze jeden łyk. Spojrzała na Marilyn. Patrzyła tak,

jakby chciała coś powiedzieć. Marilyn nie wiedziała, o co chodzi, ale uśmiechnęła się do niej, żeby dodać jej otuchy. - Jakoś wyprawimy cię do szpitala — obiecała.

Sheryl zamknęła oczy i kiwnęła głową, jakby słowa Marilyn nagle sprawiły jej ulgę. Marilyn uklękła obok niej, chwyciła ją za rękę. Wpatrywała się w drzwi, myśląc, jak spełnić tę obietnicę.

• • •

— Zamierzasz zatrzymać ten samochód? — spytała Jodie. Miała na myśli lincolna. Reacher pomyślał o tym, gdy stali w korku przed Triborough.

— Być może — odpowiedział.

Samochód był prawie nowy. Bardzo cichy i przyjemny w prowadzeniu. Czarny metaliczny lakier, skórzana tapicerka, sześćset kilometrów na liczniku. Wciąż pachniał świeżą skórą i plastikiem. Wielkie fotele, takie same jak fotel kierowcy, liczne konsole z uchwytami do kubków, schowki.

- Wydaje mi się wulgarny — stwierdziła Jodie.

- W porównaniu z czym? — uśmiechnął się Reacher. - Tym pudełkiem, którym jechaliśmy?

— Na pewno był znacznie mniejszy od tego.

— Ty jesteś znacznie mniejsza ode mnie. Jodie przez chwilę milczała.

- Należał do Ruttera — powiedziała. — Jest splamiony. Samochody ruszyły, ale po chwili zatrzymały się znowu

nad rzeką Harlem. Daleko po lewej widać było przez mgłę budynki środkowego Manhattanu.

— To tylko przedmiot — rzekł. — Przedmioty nie mają pamięci.

— Nienawidzę go — oznajmiła. — Myślę, że jeszcze nikogo tak nienawidziłam.

Reacher kiwnął głową.

— Rozumiem cię. Przez cały czas, gdy tam byliśmy, myś-

lałem o rodzicach Hobięgo, tam w Brighton, siedzących samotnie w swoim niewielkim domu. Pamiętam wyraz ich oczu. Cholernie ciężko przeżyli wyjazd syna na wojnę, a później zostali okłamani i oszukani. Nie można tego wybaczyć. Gdyby nieco zmienić chronologię, mogliby to być moi rodzice. A on zrobił to piętnaście razy. Powinienem być mocniej go sprać.

— Byle tylko nie zrobił tego jeszcze raz.

— Lista potencjalnych ofiar szybko się kurczy — odrzekł Reacher, kręcąc głową. — Nie ma już wielu rodzin CNZ, które można byłoby nabrać.

Zjechali z mostu i pojechali na południe Drugą Aleją. Nie było korków.

— To nie jego ludzie próbowali nas załatwić — zauważyła spokojnie Jodie. — Nie wiedział, kim jesteśmy.

— Zgadza się — przyznał Reacher. — Ile podrobionych fotografii musiałby sprzedać, żeby opłacało mu się rozbić suburbańczyka? Musimy to przeanalizować od początku, Jodie. Dwaj ludzie zostali wysłani do Keys i do Garrison, zgoda?

To wymaga dwóch pensji, wydatków na broń i bilety lotnicze. Jeżdżą terenówką tahoe.

Potem pojawia się trzeci człowiek w suburbanie, i może sobie pozwolić, żeby po prostu zostawić rozbity wóz na ulicy. To kosztuje kupę szmalu, a prawdopodobnie stanowi tylko wierzchołek góry lodowej. Oznacza, że w tej grze chodzi o miliony dolarów. Rutter nigdy nie zarabiał tyle pieniędzy, kantując emerytów na osiemnaście tysięcy dolarów. — Do diabła, o co zatem chodzi?

Reacher wzruszył ramionami. Przez cały czas patrzył w lusterko wsteczne.

• • •

Hobie odebrał telefon z Hanoi w domu. Wysłuchał krótkiego raportu wietnamskiej kobiety i odłożył słuchawkę, nie mówiąc ani słowa. Stał pośrodku salonu z głową pochyloną na bok, mrużąc zdrowe oko, tak jakby obserwował jakieś fizyczne zdarzenia. Na przykład piłkę baseballową szybką w górę w świetle reflektorów oraz gracza cofającego się, żeby ją złapać. Płot jest już coraz bliżej, gracz podnosi rękawicę, piłka

wciąż leci płot się zbliża, gracz skacze. Czy piłaka przeleci

przez płot? Czy nie? Hobie nie potrafił przewidzieć.

Wyszedł z salonu na taras. Stąd, z wysokości trzydziestego piętra, mógł podziwiać widok parku. Nie cierpiał go, ponieważ drzewa przypominały mu dzieciństwo. To jednak zwiększało wartość nieruchomości, a liczyły się tylko pieniądze. Hobie nie odpowiadał za to, jak gusty innych kształtują rynek. Po prostu musiał to wykorzystać. Odwrócił się i spojrzął w lewo.

Teraz widział biurowiec stojący daleko w centrum. Wieże WTC wydawały się niższe, niż powinny, z powodu zakrzywienia powierzchni Ziemi. Hobie wrócił do salonu. Zamknął drzwi na taras. Wyszedł z mieszkania i zjechał windą na podziemny parking.

Jeździł normalnym samochodem, bez żadnych modyfikacji, które mogłyby mu pomóc. To był nowy model cadillaca, sedan ze stacyjką i dźwignią automatycznej skrzyni biegów po prawej stronie kierownicy. Hobie miał kłopoty z zapalaniem, ponieważ musiał przełożyć lewą rękę przez kierownicę, włożyć kluczyk

do stacyjki i obrócić. Na tym kończyły się jego problemy. Naciskając hakiem, przrzucił dźwignię biegów i wyjechał z parkingu, prowadząc jedną ręką.

Gdy znalazł się na południe od Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, od razu poczuł się lepiej. Park znikł, a on jechał przez hałaśliwe kaniony centrum. Miejski ruch działał na niego uspokajająco. Klimatyzacja cadillaca łagodziła swędzenie blizn. Czerwiec był dla niego najgorszym miesiącem. Jakaś szczególna kombinacja upałów i wilgoci doprowadzała go do szaleństwa. Cadillac bardzo mu pomagał. Hobie ciekaw był, czy mercedes Stone'a okaże się równie dobry. Wątpił w to. Nigdy nie miał zaufania do klimatyzacji w importowanych samochodach. Dlatego zamierzał sprzedać mercedesa. Znał faceta na Queensie, który natychmiast go kupi. To jednak była jedna z dalszych spraw na jego liście. Miał wiele do zrobienia, a zostało mu mało czasu. Gracz był na właściwym miejscu, pod piłką, wyskakiwał, żeby ją złapać.

Hobie zaparkował tam, gdzie przedtem stał suburban. Sięgnął w poprzek kierownicy, wyjął kluczyki i zamknął samochód. Wjechał na górę ekspresową windą. Tony siedział na miejscu recepcjonisty.

— Miałem znowu telefon z Hanoi — powiedział Hobie. — Już leci.

Tony odwrócił wzrok.

— O co chodzi? — spytał Hobie.

— Powinniśmy zrezygnować z przejęcia firmy Stone'a.

— To przecież zajmie im kilka dni, prawda?

— Kilka dni może nam nie wystarczyć — odrzekł Tony. — Są jakieś komplikacje. Ta kobieta powiedziała, że rozmawiała z mężem i są gotowi ustąpić, ale są też pewne komplikacje, o których nie wiemy.

— Jakie komplikacje?

— Nie chciała mi powiedzieć. — Tony potrząsnął głową. — Chce rozmawiać bezpośrednio z panem.

Hobie spojrzął na drzwi gabinetu.

— Coś zmyśliła. Do diabła, lepiej żeby się okazało, iż coś zmyśliła, bo nie mogę sobie teraz pozwolić na żadne kom-

plikacje. Właśnie zawarłem wstępne umowy sprzedaży terenów, trzy oddzielne kontrakty. Dałem słowo. Maszyna jest już w ruchu. Jakie komplikacje?

— Nie chciała mi powiedzieć — powtórzył Tony.

Hobiego swędziała twarz. Na parkingu nie było klimatyzacji. Wystarczył krótki spacer do windy, żeby gorące powietrze podrażniło skórę. Przycisnął hak do czoła, licząc, że chłodny metal przyniesie mu ulgę. Niestety, hak również się nagrzał.

— Co z panią Jacob? — spytał.

— Spędziła całą noc w domu — odparł Tony. — Z Rea-cherem. Sprawdziłem. Rano długo się śmiali z jakiegoś powodu. Potem gdzieś pojechali na północ FDR Drive. Może wrócili

do Garrison.

— Nie jest mi do niczego potrzebna w Garrison. Potrzebuję jej tutaj. I tego faceta. Tony milczał.

— Przyrowadź panią Stone.

Hobie poszedł do gabinetu i usiadł za biurkiem. Tony udał się w przeciwnym kierunku, do łazienki. Chwilę później wy-

szedł, popychając Marilyn przed sobą. Wydawała się zmęczona. Jedwabny futerał sprawiał absurdalne wrażenie, tak jakby poszła na przyjęcie, złapała ją zamieć i zabłąkała się w mieście. Hobie wskazał jej sofę.

— Siadaj, Marilyn — zaproponował.

Marilyn stała. Sofa była za niska. Za niska, żeby siedzieć na niej w krótkiej sukience, i za niska, żeby osiągnąć konieczną psychologiczną przewagę. Błędem byłoby jednak stać przed biurkiem jak pokorny klient. Podeszła do okna, odsunęła żaluzję, wyrzała i usiadła na parapecie. Zmusiła go do obrócenia fotela, żeby mógł na nią patrzeć.

— Co to za komplikacje? — spytał. Spojrzała na niego i wzięła głęboki oddech,

— Przejdziemy do tego — odpowiedziała. — Najpierw wyślemy Sheryl do szpitala.

W gabinecie zapadła cisza. Słychać było tylko odgłosy życia w gęsto zaludnionym budynku. Gdzieś na zachodzie zawyła syrena. Może aż w Jersey City.

— Co to za komplikacje? — powtórzył pytanie Hobie. Mówił dokładnie takim samym tonem, z taką samą intonacją. Tak jakby gotów był zignorować jej błąd.

— Najpierw szpital.

Znowu cisza. Hobie zwrócił się do Tony'ego.

— Przyrowadź tu Stone'a — polecił.

Stone wyszedł z łazienki w majtkach, potykając się przy każdym kroku. Tony brutalnie go popchnął. Stone uderzył goleniami o kant stolika i jęknął z bólu.

— Co to za komplikacje? — zwrócił się do niego Hobie. Stone tylko bezradnie rozglądał się na boki, jakby był zbyt

przerażony i oszołomiony, żeby odpowiedzieć. Hobie czekał. Kiwnął na Tony'ego.

— Złam mu nogę — rozkazał.

Spojrzał na Marilyn. Wszyscy milczeli. Słychać było nierówny oddech Stone'a i odgłosy dochodzące z budynku. Hobie uważnie przypatrywał się Marilyn. Wytrzymała jego spojrzenie.

— Proszę bardzo — powiedziała spokojnie. — Złam mu

tę pieprzoną nogę. Co mnie to obchodzi? Przez niego będę bez grosza. Zrujnował mi życie.

Jeśli masz ochotę, złam mu obie nogi. W ten sposób nie osiągniesz jednak swojego celu nawet odrobinę szybciej. Są pewne komplikacje, zatem im prędzej się nimi zajmiemy, tym lepiej dla ciebie. A nie zaczniemy, póki Sheryl nie znajdzie się w szpitalu. — Marilyn odchyliła się do tyłu, kładąc dłonie na parapecie i podpierając się na nich. Miała nadzieję, że wydaje się rozluźniona i swobodna, ale w rzeczywistości zrobiła to, żeby nie spaść na podłogę. —

Najpierw szpital — powtórzyła. Tak bardzo skoncentrowała się na głosie, że brzmiał, jakby mówił ktoś obcy. Była z tego zadowolona. Niski, pewny głos, równy i spokojny. To dobrze brzmiało w gabinecie. — Później się dogadamy — dodała. — Twój wybór.

Gracz podskoczył, trzymając wysoko rękawicę, piłka spadała. Rękawica znalazła się nad płotem. Trudno powiedzieć, czy piłka trafi do rękawicy. Hobie głośno zastukał hakiem o blat biurka. Stone gapił się na niego. Hobie go zignorował. Spojrzał na Tony'ego.

- Zawieź tę dziwkę do szpitala — polecił kwaśno.

- Chester pojedzie z nimi — wtrąciła Marilyn. — Musi sprawdzić. Ma widzieć, jak wchodzi sama do izby przyjęć. Ja tu zostanę jako zabezpieczenie.

I Hobie przestał pukać. Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Nie masz do mnie zaufania?

— Nie, nie mam do ciebie zaufania. Jeśli Chester nie pojedzie z nimi, po prostu zamkniesz

Sheryl gdzieś indziej.

— Ani przez chwilę o tym nie myślałem — oświadczył z uśmiechem. — Zamierzałem polecić Tony'emu, żeby ją zastrzelił i wrzucił do morza.

Znowu zapadła cisza. Marilyn w środku cała się trzęsa.

— Jesteś pewna, że to dobry pomysł? — spytał Hobie. — Jeśli w szpitalu ona piśnie choć słowo, zabiję cię. Rozumiesz to, tak?

Marilyn pokiwała głową.

— Nikomu nic nie powie, jeśli będzie wiedziała, że jeszcze mnie tu trzymasz.

— Módl się, żeby nie powiedziała.

— Nie powie. Tu nie chodzi o nas, tylko o nią. Potrzebuje pomocy lekarza.

Marilyn przyglądała się Hobiemu. Odchyliła się do tyłu, bo poczuła się słabo. Szukała w jego twarzy oznak współczucia. Poczucia odpowiedzialności. Hobie nie odwrócił oczu. W żaden sposób nie okazał współczucia. Marilyn przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech.

— Sheryl potrzebuje spódnicy. Nie może wyjść bez niej. To byłoby podejrzane. Szpital zawiadomiłby policję, na czym nie zależy ani tobie, ani mnie. Tony musi iść kupić jej nową spódnicę.

— Pożycz jej swoją — odpowiedział Hobie. — Zdejmij i daj Sheryl.

Długie milczenie.

— Nie pasowałaby na nią — stwierdziła w końcu Marilyn.

— To nie z tego powodu nie chcesz jej pożyczyć. Marilyn nic nie powiedziała. Milczenie.

Hobie wzruszył

ramionami.

- Dobrze.

— I buty — dodała Marilyn. Przełknęła ślinę.

— Co?

— Buty — powtórzyła. — Przecież nie może wyjść boso.

— Jezu — westchnął Hobie. — Do diabła, co jeszcze?

— Gdy Chester wróci i powie mi, że widział, jak sama weszła do szpitala, wtedy porozmawiamy.

Hobie przejechał palcami lewej ręki wzdłuż haka.

— Jesteś cwana kobietą.

Wiem, pomyślała Marilyn. To pierwsza z komplikacji, z jakimi musisz sobie poradzić.

• • •

Reacher postawił sportową torbę na białej sofie pod kopią Mondriana. Odciągnął suwak i wysypał z niej paczki pięć-dziesięciodolarowych banknotów. Trzydzieści dziewięć tysięcy trzysta dolarów w gotówce. Podzielił pieniądze, rzucając paczki na zmianę na przeciwne końce sofy. Po chwili na sofie leżały dwa imponujące stosy.

— Cztery wizyty w banku — zauważyła Jodie. — Poniżej dziesięciu tysięcy dolarów bank nie musi zgłaszać transakcja -przecież nie chcemy odpowiadać na pytania o pochodzenie gotówki. Włożymy to na moje konto i weźmiemy czek bankowy dla państwa Hobie na dziewiętnaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt. Z naszej połowy będziemy korzystać za pomocą mojej złotej karty kredytowej, zgoda? Reacher kiwnął głową.

— Musimy kupić bilety do St Louis i zapłacić za hotel. Mając dziewiętnaście patyków w banku, możemy polecieć pierwszą klasą i zatrzymać się w jakimś przyzwoitym hotelu.

— Tylko tak można latać — odpowiedziała. Objęła go w pasie, stanęła na palcach i pocałowała w usta. Oddała jej pocałunek.

— Dobra zabawa, prawda? — powiedziała Jodie. - Może dla nas. Państwo Hobie gorzej się bawią.

Poszli razem do czterech banków. W ostatnim Jodie wpłaciła resztę pieniędzy i wykupiła czek bankowy dla T. i M. Hobie

na sumę dziewiętnastu tysięcy sześciuset pięćdziesięciu dolarów. Kasjer włożył czek do kremowej koperty, a Jodie schowała ją w portfelu. Wrócili na Broadway pieszo, trzymając się za ręce. Wjechali na górę, żeby Jodie mogła spakować się przed lotem. Zaniknęła czek bankowy w biurku, chwyciła za telefon i szybko ustaliła, że o tej porze najlepsze połączenie do St Louis oferują linie United Airlines.

— Taksówka? — spytała.

— Pojedziemy samochodem — odrzekł Reacher, kręcąc głową.

Ryk silnika V-8 wypełnił podziemny parking. Reacher nacisnął kilka razy pedał gazu.

Uśmiechnął się. Silnik miał tak duży moment obrotowy, że ciężki samochód kołysał się na resorach.

— Ceny zabawek — mruknęła Jodie. Spojrzał na nią pytająco.

— Nie słyszałeś tego powiedzenia? Mężczyźni różnią się od chłopców tylko ceną swoich zabawek.

Reacher znowu zwiększył obroty i uśmiechnął się.

— Ta kosztowała tylko dolara.

— A ty właśnie spaliłeś benzynę za dwa dolary. Reacher wrzucił bieg i wjechał na rampę.

Ruszył na wschód

do Midtown Tunnel i skręcił w Czterysta Dziewięćdziesiątą Piątą do Van Wyck. Po chwili byli na lotnisku imienia Ken-nedy'ego.

— Zostaw samochód na krótkoterminowym parkingu — powiedziała Jodie. — Teraz możemy sobie na to pozwolić.

Raeacher musiał ukryć pistolet i tłumik w samochodzie. Nie ma żadnego łatwego sposobu na przeniesienie broni przez bramki bezpieczeństwa na lotnisku. Schował pistolet pod fotelem kierowcy. Zostawili lincolna na parkingu naprzeciwko budynku United. Pięć minut później kupili bilety pierwszej klasy, w jedną stronę, do St Louis. Drogie bilety uprawniły ich do skorzystania ze specjalnej poczekalni, gdzie kelner podał im dobrą kawę w porcelanowych filiżankach ze spodeczkami i gdzie mogli przeczytać „Wall Street Journal”, nie płacąc za gazetę. Potem poszli do samolotu. Reacher niósł torbę Jodie. W pierwszej klasie fotele stały parami po obu stronach samolotu. Zajmowały pierwsze sześć rzędów. Szerokie, wygodne siedzenia. Reacher się uśmiechnął.

— Nigdy jeszcze nie leciałem pierwszą klasą — wyznał.

Usiadł przy oknie. Miał dość miejsca, żeby nieco się wyciągnąć. Jodie zginęła w fotelu. Był tak szeroki, że zmieściłyby się na nim trzy osoby o jej wymiarach. Stewardesa podała im sok, nim jeszcze samolot zaczął kołować. Kilka minut później wystartowali i przelecieli nad południowym cyplem Manhattanu.

• • •

Tony wrócił do biura, dźwigając w ręku lśniącą, czerwoną torbę ze sklepu Talbota i brązową od Bally'ego. Marilyn zaniosiła je do łazienki. Pięć minut później Sheryl pojawiła się w gabinecie. Nowa spódnica była właściwej wielkości, ale Tony nie potrafił wybrać właściwego koloru. Sheryl automatycznymi ruchami wygładziła ją na biodrach. Nowe buty nie pasowały do spódnicy i były za duże. Jej twarz wyglądała

okropnie. Patrzyła tępym i potulnym wzrokiem, zgodnie instrukcjami Mariiyn.

— Co powiesz lekarzom? — spytał ją. Sheryl odwróciła wzrok i skupiła się na scenariuszu.

— Uderzyłam twarzą o drzwi — powiedziała. Mówiła niskim, nosowym głosem. Sprawiała wrażenie otępiałej i zszokowanej.

— Czy zadzwonisz na policję?

— Nie, nie zrobię tego — zapewniła, kręcąc głową.

— Co się stanie, jeśli to zrobisz?

— Nie wiem — odpowiedziała głosem pozbawionym wyrazu.

— Twoja przyjaciółka Marilyn zginie, a przedtem sporo wycierpi. Rozumiesz to?

Hobie uniósł hak, żeby widziała go przez cały gabinet. Wstał od biurka. Podeszedł do okna i

zatrzymał się tuż przy Marilyn. Lewą ręką odgarnął jej włosy, muskając przy tym skórę. Zesztywniała. Dotknął hakiem jej policzka. Sheryl pokiwała głową. — Tak, rozumiem — odparła.

• • •

Tę akcję należało przeprowadzić szybko, bo choć Sheryl miała na sobie nową spódnicę i buty, Chester w dalszym ciągu chodził w bokserkach i podkoszulku. Tony kazał im zostać w poczekalni, aż przyjedzie winda towarowa, a potem szybko ich przeprowadził przez korytarz do kabiny. Na dole wyszedł pierwszy i rozejrzał się dookoła. Nikogo nie było. Szybko pogonił ich do tahoe. Wepchnął Chestera do tyłu, a Sheryl kazał usiąść z przodu. Zapalił silnik i zamknął wszystkie drzwi. Wyjechał na ulicę.

Tony mógłby wymienić na poczekaniu pewnie ze dwadzieścia szpitali na Manhattanie. Instykt podpowiadał mu jednak, żeby pojechać jak najdalej na północ, może aż do Mount Sinai na Setnej Ulicy. Byłoby bezpieczniej wywieźć Sheryl jak najdalej od World Trade Center, ale miał na to za mało czasu. Jazda

na północ i z powrotem zajęłaby co najmniej godzinę, pewnie więcej. Nie mieli godziny na zbyciu. Wobec tego zdecydował się na szpital Świętego Wincentego na rogu Jedenastej Ulicy i Siódmej Alei. Bellevue, na rogu Dwudziestej Pierwszej Ulicy i Pierwszej Alei, było lepiej usytuowane pod względem geograficznym, ale tam z różnych powodów często kręcili się policjanci. Wiedział to z doświadczenia. Stale tam byli, tak jakby w tym miejscu mieszkali. Dlatego wybrał Świętego Wincentego. Pamiętał również, że przed wejściem do izby przyjęć jest rozległy plac, tam gdzie Greenwich przecina Siódmą Ulicę. Pamiętał tę okolicę, niedawno przejeżdżał tamtędy, gdy porwali sekretarkę Costella. Rozległy teren, prawdziwy plac. Mogli widzieć, jak wchodzi do szpitala, nie zbliżając się zbyt do wejścia.

Po ośmiu minutach byli na miejscu. Tony zatrzymał się przy krawężniku po zachodniej stronie Siódmej Ulicy. Nacisnął guzik, żeby odblokować drzwi.

— Wsiadaj — warknął.

Sheryl otworzyła drzwi i wysunęła się na chodnik. Stała w miejscu, niepewna, co zrobić. Po chwili ruszyła w kierunku przejścia dla pieszych. Nie oglądała się za siebie. Tony pochylił się w bok i zatrzasnął za nią drzwiczki. Spojrzał na Stone'a.

— Teraz się przyglądaj.

Stone już obserwował Sheryl. Samochody zwolniły i światło zmieniło się na zielone. Sheryl ruszyła wraz z innymi przechodniami, wyraźnie oszołomiona. Szła wolno, człapiąc w zbyt dużych butach. Gdy światło zmieniło się na czerwone, była jeszcze na jezdni. Niecierpliwym kierowca ciężarówki zбочzył w prawo i wyminął ją. Przecięła szeroki chodnik i weszła na półkolistą podjazd dla karetek. Zbliżyła się do podwójnych drzwi. Plastikowe, obdrapane, wahadłowe drzwi. Przed wejściem stały trzy pielęgniarki, które zrobiły sobie przerwę na papierosa. Minęła je i powoli skierowała się prosto do drzwi. Nacisnęła je dwiema rękami. Uchyliły się. Weszła do środka. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

— No, widziałeś? Stone kiwnął głową.

-Tak, widziałem. Jest w środku. Tony zerknął w lusterko i włączył się do ruchu. Nim przejechał sto metrów, Sheryl już czekała wśród innych pacjentów, aż lekarze ocenią, kto najpilniej wymaga pomocy. Przez cały czas powtarzała, co Marilyn kazała jej zrobić.

• • •

Z lotniska w St Louis do Krajowego Archiwum Danych Personalnych było blisko, więc pojechali taksówką. Dla Rea-chera było to znajome terytorium. Gdy przyjeżdżał służbowo do kraju, prawie zawsze zaglądał do archiwum, żeby sprawdzić czyjeś dane. Tym razem znalazł się w innej sytuacji. Przyjechał tu jako cywil. To coś innego niż wtedy, gdy pojawiał się w mundurze majora. Zupełnie coś innego. Nie miał w tej kwestii żadnych wątpliwości. Interesanci pragnący uzyskać informacje muszą zwrócić się po pomoc do pracowników dyżurujących w holu. Ściśle mówiąc, całe archiwum jest udostępnione, ale personel bardzo się stara, żeby ukryć ten fakt. W przeszłości Reacher z całej go serca popierał tę taktykę.

Raporty wojskowe bywają bardzo szczere, należy je czytać i interpretować, biorąc pod uwagę kontekst, w jakim powstały. Zawsze był zadowolony, że publiczność nie ma do nich łatwego dostępu. Teraz jednak sam należał do publiczności i zastanawiał się, jak to Wpłynię na przebieg poszukiwań. W kilkunastu magazynach archiwum stały kilometry półek zastawionych dokumentami. Może się zdarzyć, że ktoś czeka dni i tygodnie na odnalezienie właściwej teczki, choć pracownicy sprawiają wrażenie wychodzących ze skóry, żeby ją zlokalizować. Reacher wiele razy obserwował to z drugiej strony barykady. Wyglądało bardzo wiarygodnie. Przyglądał się temu z ironicznym uśmiechem.

Gdy zapłacili za kurs i wysiedli z taksówki, zatrzymali się na chwilę, żeby uzgodnić plan działania. Było gorąco. Weszli do środka. Nad ladą zobaczyli wielki napis: JEDNO ZAMÓWIENIE — JEDNA TECZKA. Stanęli przy ladzie i czekali, aż ktoś podejdzie. Otyła kobieta w średnim wieku, w mundurze sierżanta, zajmowała się pracą, której jedynym celem było zmuszenie ich do czekania, aż skończy. Po dłuższej chwili podała im dwa blankiety zamówienia i wskazała długopis przywiązany sznurkiem do lady.

Jodie podała nazwisko Jacob i zażądała wszystkich informacji na temat *majora Jacka-kreska-Reachera, wydział dochodzeń kryminalnych armii*. Reacher wziął od niej długopis i poprosił o wszystkie informacje o *generale broni Leonie Jerome Garbem*. Oddał oba formularze. Sierżant spojrzała na nie i rzuciła na tacę z zamówieniami. Nacisnęła guzik dzwonka i wróciła do swoich zajęć. Zgodnie ze schematem działania jakiś szeregowiec powinien usłyszeć dzwonek, przyjść po zamówienia i rozpocząć cierpliwe poszukiwania teczek.

— Kto jest dziś oficerem dyżurnym? — spytał Reacher.

To było proste pytanie. Pani sierżant przez chwilę myślała, jak uniknąć konieczności udzielenia odpowiedzi, ale nic nie wymyśliła.

- Major Theodore Conrad — odparła niechętnie.

Reacher kiwnął głową. Conrad? To nazwisko nic mu nie mówiło.

— Czy mogłaby pani zameldować mu, że chcielibyśmy z nim porozmawiać, bardzo krótko? Czy mogłaby pani polecić, żeby te teczki dostarczono do jego gabinetu?

Reacher powiedział to w sposób stanowiący kombinację uprzejmej prośby z rozkazem. Taki ton głosu zwykle doskonale działał na sierżantów. Kobieta podniosła słuchawkę telefonu.

— Zaraz ktoś przyjdzie zaprowadzić państwa na górę — oświadczyła tak, jakby była zdumiona, że major Conrad wyświadcza im taką uprzejmość.

— Nie ma potrzeby — rzekł Reacher. — Wiem, gdzie to jest. Byłem tu wcześniej.

Reacher wskazał Jodie schody. Weszli na pierwsze piętro. Major Conrad czekał na nich przy drzwiach do przestronnego gabinetu. Miał na sobie letni mundur z plaketką z nazwiskiem na piersi. Wydawał się dość przyjazny, choć zgorzkniały z powodu służby na tym stanowisku.

Miał jakieś czterdzieści pięć lat; skoro jeszcze był majorem, to oznaczało, że nie zrobił lat skoro jeszcze był majorem, to oznaczało, że nie zrobił w wojsku błyskotliwej kariery.

Zatrzymał się, ponieważ przez korytarz biegł ku niemu szeregowiec z dwiema grubymi teczkami. Reacher uśmiechnął się pod nosem. Przyznano im najwyższy priorytet. Gdy pracownicy archiwum chcieli coś szybko załatwić, potrafili to zrobić naprawdę błyskawicznie. Conrad wziął dokumenty i zwolnił gońca.

— Co mogę dla państwa zrobić? — spytał. Mówił powoli i tak niewyraźnie, jak mętne są wody Missisipi, z której okolic się wywodził, ale sprawiał sympatyczne wrażenie.

— Potrzebujemy pana pomocy, majorze — odpowiedział Reacher. — Mamy nadzieję, że jeśli zapozna się pan z tymi dokumentami, zechce pan jej nam udzielić.

Conrad spojrział na teczki, przesunął się w bok i zaprosił ich gestem do gabinetu. To był cichy pokój z boazerią na ścianach. Conrad wskazał im dwa skórzane fotele, a sam usiadł za biurkiem. Położył teczki na blacie. Otworzył pierwszą, Leona, i zaczął przeglądać jej zawartość.

Po dziesięciu minutach wiedział już wszystko, czego chciał

się dowiedzieć. Reacher i Jodie siedzieli i wyglądali przez okno. Na zewnątrz prażyło słońce. Conrad zamknął teczki i spojrzął na nazwiska zamawiających. Podniósł wzrok.

— Dwie piękne teczki — powiedział. — Imponujący przebieg służby. Rozumiem też, o co chodzi. Pan niewątpliwie jest

majorem Jackiem Reacherem, a pani Jodie Jacob, jak przypuszczam, to Jodie Garber, czyli córka generała, o której są tu wzmianki. Czy mam rację?

Jodie uśmiechnęła się i kiwnęła głową. — Tak myślałem — powiedział Conrad. — Zapewne sądzą państwo, że jako rodzina, jeśli można tak to określić, uzyskają państwo lepszy i szybszy dostęp do archiwum? Reacher uroczyście pokręcił głową. — Nawet nie przyszło nam to do głowy — zapewnił Conrada. — Wiemy, że wszyscy pragnący skorzystać z materiałów archiwalnych są traktowani absolutnie jednakowo. Conrad najpierw się uśmiechnął, a później wybuchł śmiechem.

— Powiedział pan to tak poważnie. Dobrze, bardzo dobrze. Gra pan w pokera? Powinien pan. Jak mogę państwu pomóc?

— Chcielibyśmy poznać wszystkie informacje, jakie są w archiwum na temat Victora Trumana Hobiego.

— Wietnam?

- Zna go pan? — spytał ze zdziwieniem Reacher.

— Nigdy o nim nie słyszałem — spokojnie odrzekł Conrad. — Jeśli jednak na drugie imię ma Truman, to urodził się w latach tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć—pięćdziesiąt dwa. Był za młody, żeby walczyć w Korei, i za stary na wojnę w Zatoce Perskiej.

Reacher kiwnął głową. Major Theodor Conrad coraz bardziej mu się podobał. Był bystrym facetem. Reacher pomyślał, że chętnie zajrzyłby do jego teczki, żeby się dowiedzieć, dlaczego w wieku czterdziestu pięciu lat jest tylko majorem i wysiaduje za biurkiem w Missouri.

— Możemy pracować tutaj — powiedział Conrad. — Zapraszam.

Sięgnął po telefon i zadzwonił bezpośrednio do magazynu, pomijając dział zamówień.

Mrugnął do Reachera i kazał przy-

nieść teczkę Hobiego. Siedzieli w milczeniu. Pięć minut później przybiegł goniec z teczką.

— Szybko się sprawił — zauważyła Jodie.

- Raczej dość wolno — odrzekł Conrad. — Proszę sobie wyobrazić sytuację tego szeregowca. Słyszysz, jak mówię H, od nazwiska Hobie. Biegnie do sekcji H, znajduje teczkę na podstawie inicjałów imion, wyciągają ją i biegnie tutaj. Wszyscy moi podwładni muszą spełniać standardowe wojskowe kryteria fizycznej sprawności, zatem w ciągu pięciu minut powinien przebiec prawie półtora kilometra. Archiwum jest duże, ale nie aż tak duże. Od swego biurka do sekcji H i tutaj miał do pokonania znacznie mniejszą odległość, proszę mi wierzyć. Czyli wykonał rozkaz dość wolno. Podejrzewam, że zatrzymała go pani sierżant, żeby mi zrobić na złość.

Teczka Hobiego była stara i pomarszczona, z wydrukowaną na wierzchu tabelką z wpisanymi ładnym charakterem pisma nazwiskami osób, które do niej zaglądały. Były tylko dwie.

Conrad przesunął palcem po nazwiskach.

— Dwa zamówienia telefoniczne. Sam generał Garber za-

mówił ją w marcu tego roku — powiedział. — A ktoś o nazwisku Costello, z Nowego Jorku, poprosił o jej wyciągnięcie na początku ubiegłego tygodnia. Skąd to nagłe zainteresowanie?

— Tego właśnie chcemy się dowiedzieć — odpowiedział Reacher.

Żołnierz, który brał udział w walce, ma grubą teczkę. Zwłaszcza jeśli walczył przed trzydziestoma laty. Trzydzieści lat to dość czasu, żeby wszystkie raporty, meldunki i notatki na jego temat trafiły w odpowiednie miejsce. Teczka Victora Hobiego miała jakieś pięć centymetrów grubości. Stary, tekturowy skoroszyt z trudem mieścił wszystkie dokumenty.

Reacherowi skojarzył się z czarnym portfelem Costella, który widział w barze w Keys.

Przysunął krzesło bliżej krzesła Jodie i biurka Conrada. Major położył teczkę na lśniącym blacie, odwrócił ją i otworzył, tak jakby pokazywał cenną księgę zainteresowanym

koneserom.

• • •

Marilyn udzieliła jej bardzo precyzyjnych instrukcji i Sheryl wykonała wszystko co do joty. Najpierw miała zgłosić się do lekarza po pomoc. Zameldowała się w recepcji, a potem usiadła w poczekalni na twardym plastikowym krześle. W szpitalu Świętego Wincentego w izbie przyjęć był niewielki ruch, dlatego już dziesięć minut później podeszła do niej lekarka. Była tak młoda, że mogłaby być jej córką.

— Jak to się stało? — spytała.

— Uderzyłam się o drzwi — odpowiedziała Sheryl. Lekarka zaprowadziła ją za parawan i kazała położyć się

na leżance. Sprawdziła jej odruchy.

— O drzwi? Czy na pewno?

Sheryl kiwnęła głową. Trzymała się swojej historii. Marilyn na to liczyła.

— Były częściowo otwarte. Nagle się odwróciłam i nie zauważyłam.

Lekarka nic nie powiedziała. Zaświeciła małą latarką najpierw w jej prawe oko, potem w lewe.

— Czy dobrze pani widzi?

— Trochę nieostro.

- Ból głowy?

— Tak silny, że trudno to sobie wyobrazić.

— Dobrze. Musimy zrobić rentgen kości twarzy, rzecz jasna, ale chcę również zlecić tomografię całej czaszki. Musimy się dowiedzieć, co dokładnie stało się w środku. Ma pani dobrą polisę ubezpieczeniową, dlatego poproszę zaraz chirurga, żeby panią obejrzał. Jeśli będzie konieczna operacja plastyczna, lepiej zająć się tym jak najwcześniej. Niech pani się przebierze i położy. Później dam pani jakieś środki przeciwbólowe.

Sheryl przypomniała sobie słowa Marilyn: *Zadzwoń przed zażyciem środków przeciwbólowych, bo potem będziesz półprzytomna i zapomnisz.*

— Muszę najpierw zadzwonić — stwierdziła.

— Jeśli pani sobie życzy, możemy zawiadomić męża — zaproponowała lekarka neutralnym tonem.

— Nie, nie jestem mężatką. Muszę zadzwonić do prawnika. Muszę zadzwonić do adwokata mojej znajomej.

Lekarka spojrzała na nią i wzruszyła ramionami.

— Proszę, telefon jest w holu. Proszę się pośpieszyć. Sheryl podeszła do kilku automatów wiszących na ścianie

naprzeciwko poczekalni. Zadzwoiła do operatora i poprosiła o połączenie na koszt odbiorcy. Powtórzyła zapamiętany numer. Ktoś odebrał po drugim dzwonku.

— Forster i Abelstein — usłyszała pogodny głos. — Czym mogę służyć?

— Dzwonię w imieniu pana Chestera Stone'a — powiedziała Sheryl. — Muszę porozmawiać z jego adwokatem.

— To pan Forster. Proszę poczekać.

Gdy Sheryl czekała, słuchając muzyki, lekarka stała siedem metrów od niej w recepcji.

Również telefonowała. Do działu przemocy domowej nowojorskiej policji. Gdy oczekiwała na połączenie, nie słyszała żadnej muzyki.

- Dzwonię ze szpitala Świętego Wincentego — poinformowała. — Mam dla was następną klientkę. Ta twierdzi, że uderzyła się o drzwi. Nie chce nawet przyznać, że ma męża, a co dopiero, że ją pobił. Możecie przyjechać i porozmawia z nią o dowolnej porze.

• • •

Pierwszym dokumentem w teczce Victora Hobbego był oryginał jego podania o przyjęcie do wojska. Kartka żółkła na brzegach i zeszytniała ze starości. Podanie było napisane ręcznie, tym samym ładnym charakterem pisma, co listy do Brighton. Hobbie opisał swoje

wykształcenie i pragnienie zostania pilotem helikoptera. To wszystko. Nie sprawiał wrażenia kandydata na gwiazdora, ale w tym czasie na każdego ochotnika przypadało dwudziestu potencjalnych poborowych, którzy uciekali do Kanady, więc nic dziwnego, że komisja poborowa natychmiast posłała go do lekarza.

Hobie zaliczył badania lekarskie dla pilotów znacznie surowsze niż standardowe. Dotyczyły to zwłaszcza wzroku i utrzymania równowagi. Otrzymał kategorię A-I. Wzrost sto osiemdziesiąt dwa centymetry, waga siedemdziesiąt sześć kilogramów, wzrok 20/20, dobra pojemność płuc, brak chorób zakaź-

nych. Badania odbyły się wczesną wiosną. Reacher wyobraził sobie młodego Victora, bladego po nowojorskiej zimie, stojącego w bokserkach na drewnianej podłodze, z centymetrem krawieckim wokół piersi.

Z następnego dokumentu wynikało, że otrzymał bilet i skierowanie do Fort Dix, gdzie miał się zameldować dwa tygodnie później. Kolejna partia papierów dotyczyła pobytu w Dix. Zaczęła się od podpisanej zaraz po przybyciu deklaracji, w której Hobie ostatecznie zobowiązał się do lojalnej służby w Armii Stanów Zjednoczonych. W Dix przeszedł trwające dwanaście tygodni szkolenie podstawowe i zaliczył sześć testów sprawności. Uzyskał wyniki wyraźnie lepsze niż przeciętne, ale nie odnotowano żadnych komentarzy.

Dalej znaleźli zamówienie vouchera na podróż do Fort Polk i kopię skierowania na zaawansowane ćwiczenia piechoty. Notatki na temat jego postępów w ćwiczeniach z bronią. Otrzymał dobrą ocenę, co w Polk miało swoje znaczenie. W Dix taką ocenę dostawał każdy, kto potrafił rozpoznać karabin z odległości dziesięciu kroków. W Polk taka ocena świadczyła o doskonałej koordynacji motoryczno-wzrokowej, dobrej kontroli ruchów, stabilnym temperamencie. Reacher nie był ekspertem w dziedzinie pilotażu, ale przypuszczał, że zdaniem instruktorów to był obiecujący kandydat na pilota.

Kolejny voucher świadczył, że Hobie pojechał z Polk do Fort Wolters w Teksasie, gdzie znajdowała się Podstawowa Szkoła Pilotażu Helikopterów Armii. W dokumentach była notatka dowódcy Polk, który stwierdził, że Hobie zrezygnował z tygodniowego urlopu, żeby od razu pojechać do szkoły. Dowódca tego nie skomentował, ale między wierszami łatwo było odczytać jego aprobatę. Oto żołnierz, któremu naprawdę zależało na służbie.

Pakiet dokumentów z Wolters był już znacznie grubszy. Hobie spędził tam pięć miesięcy, a były to poważne zajęcia, jak studia. Najpierw miesiąc szkolenia teoretycznego, z naciskiem na fizykę, aerodynamikę i nawigację. Zaliczenie teorii było warunkiem koniecznym przejścia do następnego etapu. Hobie pokazał klasę. Jego ojciec liczył, że syn wykorzysta swoje uzdolnienia matematyczne w buchalterii, ale tutaj przydały mu się w nauce. Hobie skończył jako pierwszy w swojej klasie. Jedynym minusem była krytyczna notatka na temat jego postawy. Jakiś oficer upomniał go za udzielanie pomocy innym w zamian za usługi.

Hobie pomagał kolegom męczącym się z trudnymi równaniami, a oni oddawali mu takie przysługi jak czyszczenie butów i sprzętu. Reacher wzruszył ramionami. Ten oficer był jakimś durniem. Hobie miał zostać pilotem, a nie świętym.

Przez następne cztery miesiące Hobie uczył się podstaw pilotażu, głównie na H-23 Hillerze. Jego pierwszym instruktorem był niejaki Lanark. Pisał prawie nieczytelnie, a jego notatki na temat szkolenia były bardzo anegdotyczne, dalekie od wojskowego stylu. Niekiedy zabawne. Lanark twierdził, że nauka latania helikopterem nie różni się od nauki jazdy rowerem. Przewracasz się, raz, drugi, trzeci, aż wreszcie wszystko dobrze się układa i już do końca życia umiesz latać. Jego zdaniem Hobie na początku miał trudności i potrzebował dość dużo czasu na opanowanie podstaw pilotażu, ale potem robił nadzwyczajne postępy. Lanark szybko przesadził go z Hillera na H-19 Sikorsky'ego, co można porównać z zamianą dziecinnego rowerka na szosowy rower kolarski. Hobie radził sobie lepiej z Sikorskim niż z Hillerem. Miał naturalny talent, który przejawiał się wyraźniej, gdy pilotował bardziej skomplikowaną maszynę.

Hobie skończył szkolenie w Wolters z drugą lokatą, tuż za asem, niejakim A.A. DeWittem.

Razem pojechali do Fort Rucker w Alabamie na kolejne cztery miesiące zaawansowanego szkolenia.

— Słyszał pan kiedyś o DeWitcie? — spytał Reacher. — Gdzieś już spotkałem się z tym nazwiskiem.

Conrad śledził ich postępy, patrząc na dokumenty odwrócone do góry nogami.

— Może to generał De Witt — powiedział. — Teraz dowodzi szkołą pilotażu w Wolters. To by pasowało, nie? Sprawdź.

Zadzwoił do magazynu po teczkę generała dywizji A.A. DeWitta. Odkładając słuchawkę, spojrzął na zegarek.

- Powinien to załatwić szybciej, bo sekcja D jest bliżej jego biurka niż H. Chyba że ta cholerna sierżant znowu go zatrzyma.

Reacher się uśmiechnął i wrócił do przeszłości sprzed trzydziestu lat. W Fort Rucker szkolenie przypominało już prawdziwą akcję. Nie latali na maszynach ćwiczebnych, ale na nowiutkich helikopterach bojowych Bell UH-1 Iroquis nazywanych hueyami. Duże maszyny z turbinami gazowymi i łopatkami wirnika o długości czternastu metrów i szerokości pół metra. Młody Victor Hobie szalał na nich pod niebem Alabamy przez siedemnaście długich tygodni, aż wreszcie otrzymał promocję z licznymi wyróżnieniami i pochwałami. Z tej okazji odbyła się parada, na którą przyjechali jego rodzice.

— Trzy minuty czterdzieści sekund — szepnął Conrad. Do gabinetu wszedł szeregowiec z teczką DeWitta. Major

odebrał dokumenty. Szeregowiec zasalutował i wrócił do swej pracy.

— Nie mogę wam pokazać tych dokumentów—powiedział Conrad. — Generał jest jeszcze w czynnej służbie. Powiem wam, czy to ten sam DeWitt.

Otworzył teczkę. Reacher zauważył, że są w niej takie same dokumenty jak w teczce Hobiego.

- Ten sam — potwierdził Conrad. — Przeżył Wietnam i został w wojsku. Maniak helikopterowy. Przypuszczam, że do końca służby będzie tkwił w Wolters.

Reacher pokiwał głową. Wyrzwał przez okno. Było już późne popołudnie.

— Napijcie się kawy? — spytał Conrad.

— Z przyjemnością— odparła Jodie. Reacher kiwnął głową. Conrad podniósł słuchawkę telefonu.

— Poproszę kawę — rzucił. — To nie jest teczka, tylko napój. Trzy filiżanki, najlepsza porcelana. Zrozumiano?

Szeregowiec przyniósł kawę na srebrnej tacy. Reacher dotarł już do Fort Belvoir w Wirginii, gdzie Victor Hobie i jego nowy kumpel A.A. DeWitt zgłosili się do Trzeciej Kompanii Transportowej Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej. Spędzili tam dwa tygodnie, dostatecznie długo, żeby w tym czasie

armia zmieniła określenie jednostki na Kompanię B 229 Batalionu Helikopterów Szturmowych. Pod koniec tych dwóch tygodni kompania wypłynęła z Alabamy na pokładzie transportowca płynącego w konwoju siedemnastu statków. Po trzydziestu jeden dniach żeglugi zawinęli do portu w zatoce Long Mai, trzydzieści kilometrów na południe od Qui Nhon w Wietnamie, osiemnaście tysięcy kilometrów od Nowego Jorku.

Trzydzieści jeden dni na morzu to cały miesiąc. Dowództwo kompanii wymyślało różne prace, żeby wojsko się nie nudziło. Z dokumentów wynikało, że Hobie zgłosił się do pracy przy konserwacji helikopterów polegającej na ustawicznym płukaniu i smarowaniu rozmontowanych maszyn w ładowni statku, żeby ochronić je przed działaniem soli. Otrzymał pochwałę i awans na porucznika pierwszej klasy trzynastym miesiącu po zaciągnięciu się do wojska. Dobry chłopak. Reacher przypomniał sobie słowa Eda Stevensa: *Bardzo poważny, bardzo sumienny, ale mimo to nie wyróżniał się specjalnie.*

- Śmietanki? - zaproponował Conrad.

Jodie i Reacher równocześnie pokręcili głowami.

— Czarną, bez cukru — rzekli unisono.

Conrad nalał kawę. Reacher dalej czytał. W tym czasie armia używała dwóch typów hueyów: bojowych i transportowych. Kompania B latała na transportowych, które wspierały logistycznie działania Pierwszej Dywizji Kawalerii. Transportowce były uzbrojone w dwa ciężkie karabiny maszynowe zainstalowane na wysięgnikach przy wymontowanych drzwiach. Załoga składała się z pilota, drugiego pilota, dwóch strzelców i mechanika. Helikopter mógł zabrać tylu żołnierzy, ilu mieściło się między strzelcami, lub tonę amunicji.

Wietnam bardzo różnił się od Alabamy. Hobie uczył się nowych umiejętności w praktyce. To nie podlegało żadnym sformalizowanym ocenom, ale on i DeWitt jako pierwsi z nowych zostali skierowani do dżungli. Zgodnie z pragmatyką służby po pięciu lotach bojowych w charakterze drugiego pilota Hobie awansował na stanowisko pilota. Od tej pory wszystko nabrało większej powagi. Drugą połowę skoroszytu wypełniały

raporty z lotów bojowych, na cienkim papierze, spisane przez sekretarza kompanii.

Hobie rzadko brał udział w walce. Wokół wrzała wojna, ale on spędzał dużo czasu na ziemi z powodu złej pogody. Mgła i chmury sprawiały, że niekiedy przez wiele dni z rzędu lot na niskiej wysokości nad pokrytymi dżunglą dolinami zakrawały na próbę samobójstwa. Potem nagle się przejaśniało i kolejne raporty pochodziły z tego samego dnia: trzy, pięć, nawet siedem lotów dziennie, dowożąc posiłki, zabierając rannych, dostarczając amunicję.

Wszystko pod ostrzałem przeciwnika. Po dwóch lub trzech dniach znowu nadchodziła mgła i hueye czekały w hangarach na kolejne okienko pogodowe. Reacher wyobraził sobie Hobiego, jak całymi dniami wyleguje się na hamaku, z poczuciem ulgi lub sfrustrowany, znudzony lub spięty, żeby nagle na krótko wrócić do walki.

Raporty z wykonania zadań bojowych były przedzielone dokumentami dotyczącymi zakończenia pierwszego okresu służby w Wietnamie, rutynowego przyznania medalu, długiego urlopu w Nowym Jorku i początku drugiego pobytu w Wietnamie. Raportów z drugiego okresu było mniej niż z pierwszego. Ostatni dokument w teczce stanowił opis dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego lotu bojowego porucznika Victora Hiebiego. Nie było to rutynowe zadanie, lecz specjalna operacja. *Hobie* wystartował z Pleiku i poleciał na wschód na lotnisko polowe w pobliżu przełęczy An Khe. On i jego kolega mieli zabrać *stamtąd czekających* żołnierzy. Towarzyszył mu DeWitt Hobie doleciał pierwszy. Wylądował na mikroskopijnym lądowisku będącym pod ostrzałem z broni maszynowej. Widziano, że wziął na pokład tylko trzech żołnierzy i niemal natychmiast wystartował. Kilka pocisków z karabinów maszynowych trafiło hueya. Jego strzelcy pokładowi strzelali na ślepo, ponieważ nieprzyjaciel krył się w dżungli. DeWitt krążył, obserwując Hobiego. Widział, jak seria pocisków trafiła w silnik helikoptera. Według oficjalnego raportu spisanego przez sekretarza kompanii DeWitt widział, jak zatrzymał się wirnik maszyny Hiebiego, a w pobliżu zbiornika paliwa pojawiły się płomienie. Helikopter rozbił się o drzewa sześć kilometrów na zachód od lądowiska.

-Leciał pod ostrym kątem, z prędkością ponad stu trzydziestu kilometrów na godzinę. DeWitt dostrzegł zielonkawy błysk, co zwykle wskazywało na eksplozję zbiornika paliwa poniżej koron drzew. Podjęto akcję ratunkową, ale musiano ją przerwać z powodu pogody. Nie znaleziono kawałków wraku. Teren kilka kilometrów na zachód od przełęczy uważano za niedostępną, pierwotną dżunglę, dlatego zakładano, że w pobliżu nie ma oddziałów Wietkongu. Ofiarom nie groziło natychmiastowe wzięcie do niewoli. Z tego powodu ośmiu ludzi obecnych w helikopterze uznano za zaginionych w walce.

— Ale dlaczego? — zdziwiła się Jodie. — DeWitt widział eksplozję. Czemu uznano ich za zaginionych? Przecież na pewno wszyscy zginęli, prawda?

Major Conrad wzruszył ramionami.

— Pewnie tak — przyznał. — Nikt jednak nie wiedział tego na sto procent. DeWitt zobaczył tylko błysk wśród drzew. Teoretycznie mógł to być na przykład skład amunicji Wietkongu,

który wybuchł wskutek przypadkowego trafienia ze spadającego helikoptera. Cokolwiek. W raportach potwierdzano

śmierć w walce tylko wtedy, gdy nikt nie miał żadnych wątpliwości. Gdy ktoś widział to na własne oczy. Kiedy samotny myśliwiec spadał do oceanu trzysta kilometrów od brzegu, uznawano pilota za zaginionego, nie zaś zabitego, bo mógł gdzieś dopłynąć lub mógł mu ktoś udzielić pomocy. Do uznania kogoś za zabitego konieczny był naoczny świadek. Mogę pani pokazać dziesięć razy grubszą teczkę ze szczegółowymi rozkazami wciąż na nowo określającymi, jak opisywać straty.

- Dlaczego? — spytała znowu Jodie. — Bo dowództwo lękało się prasy?

- Nie — pokręcił głową Conrad. — Mówię tu o wewnętrznych sprawach armii. Gdy dowództwo bało się dziennikarzy, zawsze kłamało. W tej sprawie kierowało się dwoma względami. Po pierwsze, nikt nie chciał błędnie poinformować rodziny. Niech mi pani wierzy, na wojnie zdarzały się niesamowite historie. To było zupełnie obce środowisko. Czasami ludzie przeżywali w okolicznościach, w których wydawało się to zupełnie wykluczone.

Znajdowali się po wielu dniach lub

tygodniach. Znajdowano ludzi dawno zaginionych. Trafiali do niewoli, a Wietnamczycy nie ogłaszali list jeńców, zrobili to dopiero wiele lat później. Nie można mówić rodzicom, że ich syn poległ w walce, a potem spokojnie prostować, że jednak się znalazł. Dlatego dowództwo wołało powtarzać, że zginął, tak długo, jak tylko było to możliwe. — Conrad na chwilę przerwał. — Po drugie, dowództwo rzeczywiście się bało, ale wcale nie dziennikarzy. Bało się spojrzeć prawdzie w oczy. Nie chciało powiedzieć sobie, że dostajemy lanie, i to tegie. Reacher czytał sprawozdanie z ostatniego lotu Hobiego. Odszukał nazwisko drugiego pilota. Był to podporucznik F.G. Kaplan. Regularny partner Hobiego podczas prawie całej drugiej tury w Wietnamie.

— Czy mógłbym zobaczyć jego teczkę? — spytał majora.

— Sekcja K? — stwierdził Conrad. — Potrwa jakieś cztery minuty.

Siedzieli w milczeniu nad zimną kawą, aż wreszcie goniec przyniósł teczkę Kaplana.

Wyglądem i objętością nie różniła

skoroszyce widniała taka sama tabelka z wpisanymi zamówieniami. Od dwudziestu lat tylko raz ktoś się nią zainteresował: w kwietniu zamówił ją przez telefon generał Leon Garber.

Reacher odwrócił teczkę i zaczął przeglądać dokumenty od przedostatniego, który niczym nie różnił się od ostatniego raportu w papierach Hobiego. Ta sama relacja z zadania bojowego spisana przez tego samego urzędnika tym samym charakterem pisma.

Natomiast ostatni dokument nosił datę dokładnie dwa lata późniejszą. Była to formalna decyzja Departamentu Obrony. Po rozważeniu wszystkich okoliczności departament uznał, że podporucznik EG. Kaplan zginął w walce sześć kilometrów na zachód od przełęczy An Khe, gdy helikopter, którego był drugim pilotem, został zestrzelony przez nieprzyjaciela. Ciało nie znaleziono, ale zgodnie z decyzją w sprawach historycznych i rentowych Kaplana należało uważać za poległego. Reacher pokazał dokument majorowi.

— Więc dlaczego w tezcze Victora Hobiego nie ma takiej samej decyzji?

— Nie wiem — odpowiedział Konrad, kręcąc głową.

— Muszę polecieć do Teksasu — oznajmił Reacher.

• • •

Lotniska Noi Bai pod Hanoi i Hickam Field niedaleko Honolulu leżą dokładnie na tej samej szerokości geograficznej, dlatego starlifter amerykańskich sił powietrznych nie poleciał ani na północ, ani na południe, lecz skierował się dokładnie na wschód. Lecił między zwrotnikiem Raka i równoleżnikiem określającym dwudziesty stopień szerokości geograficznej. Dziewięć tysięcy kilometrów, z prędkością dziewięćset kilometrów na godzinę, a zatem czas lotu wynosił dziesięć godzin, ale samolot zaczął schodzić do lądowania siedem godzin wcześniej, niż wystartował, o trzeciej po południu poprzedniego dnia. Gdy przekraczali linię zmiany daty, pilotka jak zwykle wszystkim to zakomunikowała. Siwowłosa

Amerikanin siedzący w tylnej części kokpitu cofnął zegarek, dodając ekstra-dzień do swojego życia.

Hickam Field to główne lotnisko wojskowe na Hawajach, ale dzieli pasy startowe i system kontroli lotów z cywilnym lotniskiem Honolulu International. Starlifter musiał krążyć nad oceanem, czekając, aż wyląduje samolot JAL 747 z Tokio. Wreszcie obniżył lot, wyrównał i wylądował tuż za japońską maszyną. Koła zapisały na beton, a silniki zawyły na odwróconym ciągu. Pilotka nie przejmowała się subtelnymi regułami obowiązującymi w lotnictwie cywilnym. Ostro zahamowała, dzięki czemu transportowiec zatrzymał się jeszcze przed pierwszą drogą kołowania. Kierownictwo lotniska wymagało, żeby samoloty wojskowe trzymały się z daleka od turystów. Zwłaszcza japońskich. Pilotka pochodziła z Connecticut i niewiele przejmowała się głównym przemysłem hawajskim oraz wrażliwością orientalnych turystów, ale w ten sposób miała krótszą drogę kołowania do kompleksu wojskowego, dlatego zawsze starała się tak lądować. Starlifter powoli kołował po płycie, zgodnie z przepisami.

Zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od długiego betonowego budynku blisko płotu z drutu kolczastego. Pilotka zgasła silniki. Przez chwilę siedziała w milczeniu. Pracownicy obsługi naziemnej dołączyli do samolotu gruby przewód elektryczny. Wszystkie systemy znowu ożyły zasilane prądem z lotniska. Dzięki temu cała ceremonia mogła się odbyć w ciszy.

Eskorta honorowa na Hickam Field jak zwykle składała się z ośmiu żołnierzy reprezentujących cztery rodzaje broni — siły lądowe, marynarkę, siły powietrzne i piechotę morską. Żołnierze powoli pomaszrowali do samolotu. Zatrzymali się w dwuszeregu. Pilotka nacisnęła guzik. Tylna rampa ze zgrzytem opadła na rozgrzany asfalt amerykańskiego terytorium. Eskorta powoli weszła do samolotu dokładnie środkiem rampy. Minęła stojące w milczeniu dwa szeregi — załogę samolotu i obsługę naziemną. Dowódca obsługi odpiął gumowe pasy i żołnierze eskorty honorowej zdjęli z półki pierwszą trumnę. Podnieśli ją na ramiona. Powoli opuścili ciemną ładownię i zeszli po rampie na oświetloną jaskrawym słońcem płytę lotniska. Światło odbiło się od lśniącego aluminium, kontrastującego z kolorami narodowej flagi. W dali widać było błękitny Pacyfik i zielone wzgórza Oahu. Żołnierze zrobili zwrot w prawo i powoli pomaszrowali do długiego, betonowego budynku. Weszli do środka, ugięli kolana i postawili trumnę na podłodze. Stali przez chwilę w milczeniu z pochylonymi głowami i rękami splecionymi z tyłu, po czym wykonali w tył zwrot i pomaszrowali do samolotu.

Rozładunek siedmiu trumien trwał godzinę. Dopiero po zakończeniu pracy siwowłosa Amerikanin wstał ze swego fotela. Skierował się do schodków dla pilota. Zatrzymał się na nasłonecznionym górnym podejściu, żeby przeciągnąć znużone kończyny.

12

Stone musiał poczekać pięć minut za przyciemnionymi oknami tahoe, ponieważ rampa ładunkowa w podziemiach World Trade Center była zajęta. Tony stał w pobliżu, opierając się o filar. Ukryty w ciemnościach czekał, aż ciężarówka odjedzie z głośnym rykiem diesla.

Wykorzystał chwilę przerwy, nim nadjechała następna, żeby szybko przeprowadzić Stone'a do windy towarowej. Nacisnął guzik. Jechali w milczeniu, ze zwieszonymi głowami, ciężko dysząc i czując mocny zapach gumowej podłogi. Wysiedli

na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Tony rozejrzał się, czy nikt nie idzie. Korytarz był pusty. Szybko przeszli do biura Hobięgo.

Mocno zbudowany mężczyzna stał za pulpitem recepcjonisty. Minęli go i weszli prosto do gabinetu. Jak zwykle w środku było ciemno. Zaciągnięte żaluzje nie przepuszczały światła. Hobię siedział nieruchomo za biurkiem, w milczeniu wpatrując się w Marilyn, która usadowiła się na sofie, z podwiniętymi nogami.

— No i co? — spytał. — Zadanie wykonane?

— Sheryl jest w szpitalu — odpowiedział Stone, kiwając głową.

— Gdzie? — spytała Marilyn. — W którym szpitalu?
— Świętego Wincentego — powiedział Tony. — Weszła prosto do izby przyjęć.
Stone kiwnął głową na potwierdzenie jego słów. Dostrzegł, że Marilyn uśmiechnęła się z ulgą.
— Okay — powiedział Hobie. — To dobry uczynek na ten dzień. Teraz wróćmy do interesów. Co to za komplikacje, o których muszę wiedzieć?
Tony popchnął Stone'a w stronę sof. Chester minął stolik do kawy i ciężko zwałił się obok Marilyn. Znowu wbił wzrok w przestrzeń.
— Słucham? — powiedział Hobie.
— Chodzi o akcje — wyjaśniła Marilyn. — Nie w pełni należą do męża.
Hobie zmierzył ją ostrym spojrzeniem.
— Cholera, wiem, że należą. Sprawdziłem na giełdzie.
— Owszem, jest ich właścicielem, ale nie może nimi swobodnie dysponować — odpowiedziała Marilyn.
— Z jakiego powodu?
— Są wyznaczeni powiernicy. Oni kontrolują dostęp do akcji.
— Jacy powiernicy? Dlaczego?
— Ojciec Chestera tak zarządził przed śmiercią. Nie miał zaufania do syna, bał się, że popełni błędy. Uważał, że potrzebuje nadzoru.
Hobie patrzył na nią uważnie.
— Wszystkie poważne decyzje dotyczące akcji muszą zostać kontrasygnowane przez powierników. — W gabinecie zapadła cisza. — Obu — dodała.
Hobie spojrzał na Chestera. To było tak, jakby snop światła reflektora został skierowany w bok. Marilyn obserwowała jego zdrowe oko. Widziała, jak myśli. Widziała, jak daje się nabrać. Wiedziała, że tak będzie, bo to kłamstwo pasowało do jego opinii o Chesterze. Firma Chestera zbankrutowała, bo był złym biznesmenem. Bliski krewny, na przykład ojciec, mógł łatwo ocenić jego umiejętności. A odpowiedzialny ojciec na pewno zechciałby ochronić majątek rodziny, wyznaczając odpowiednich powierników.
— Tego się nie da ominąć — ciągnęła Marilyn. — Bóg wie, ile razy próbowaliśmy.
Hobie kiwnął głową. To był minimalny ruch. Niemal niezauważalny. Marilyn uśmiechnęła się w myślach. Uśmiechnęła się triumfalnie. Jej ostatni komentarz przekonał Hobiego. Nadzór powierników to coś, czego każdy chce się pozbyć. Próby wyeliminowania powierników potwierdzają ich istnienie.
— Kim są powiernicy? — spytał spokojnie.
— Jednym jestem ja — odpowiedziała Marilyn. — Drugim starszy partner w jego kancelarii adwokackiej.
— Tylko dwóch powierników? Marilyn kiwnęła głową.
— A ty jesteś jednym z nich? Marilyn znowu przytaknęła.
— Masz już mój głos. Mam tego dość. Chcę się pozbyć wszystkiego, żebyś się ode mnie odczepił.
— Jesteś bystrą kobietą — przyznał Hobie.
— Co to za kancelaria? — spytał Tony.
— Forster i Abelstein — odparła. — Niedaleko stąd.
— Kim jest starszy partner?
— Niejaki David Forster.
— Jak się z nim umówimy? — spytał Hobie.
— Zadzwoń do niego — zaproponowała Marilyn. — Ja albo Chester, ale wydaje mi się, że w tej sytuacji będzie lepiej, jeśli ja to zrobię.
— No to dzwoń. Umów się na spotkanie dziś po południu.
— Nie da się tak szybko. — Marilyn pokręciła głową. — Może potrwać kilka dni.
Zapadła cisza. Słyszał tylko odgłosy życia w ogromnym budynku. Hobie postukał

hakiem o biurko. Zamknął oczy. Uszkodzona powieka nie domknęła się całkowicie. Widać było kawałek białka podobny do sierpa księżycy.

— Najpóźniej jutro rano — oświadczył spokojnie. — Powiedz mu, że to dla ciebie bardzo pilna sprawa. — Otworzył oczy. — Każ mu również przefaksować akty powiernicze — szepnął. — Do diabła, chcę wiedzieć, na czym stoję.

Marilyn trzęsa się w środku. Przyciskała kurczowo rękę do miękkiej sofy.

— Nie będzie żadnych problemów. To tylko formalność.

— No to dzwoń — polecił Hobie.

Marilyn chwiała się na nogach. Stała niepewnie i obciągnęła sukienkę na udach. Chester na chwilę dotknął jej łokcia. Drobnym gestem wsparcia. Wyprostowała się i poszła za Hobiem do recepcji.

— Dzwon przez dziewięć — powiedział.

Marilyn stanęła za pulpitem. Czuła na sobie wzrok trzech mężczyzn. Przyjrzała się konsoli, ale nie dostrzegła głośnika. Lekko odetchnęła i podniosła słuchawkę. Nacisnęła dziewięć. W słuchawce rozległ się sygnał miejski.

— Zachowuj się rozsądnie — przykazał Hobie. — Pamiętaj, jesteś inteligentną kobietą. Zachowuj się inteligentnie.

Kiwnęła głową. Hobie podniósł hak. Stał błysnęła w sztucznym świetle. Hak wydawał się ciężki. Był starannie wykończony i dokładnie wypolerowany. Proste i brutalne urządzenie mechaniczne. Hobie najwyraźniej chciał dać jej do zrozumienia, co może nim zrobić.

— Forster i Abelstein — usłyszała pogodny głos recepcjonistki. — Czym możemy służyć?

— Mówi Marilyn Stone — przedstawiła się. — Chciałabym rozmawiać z panem Forsterem.

Nagle zaszczoła jej w gardle. Mówiła ochryplym głosem. Przez chwilę w słuchawce grała muzyka.

— Forster — odezwał się adwokat. Miał niski głos. Słychać było, że siedzi w dużym gabinecie.

— Davidzie, to ja, Marilyn Stone — powiedziała.

Przez sekundę nie odpowiadał. Marilyn wiedziała już, że Sheryl wykonała jej instrukcje.

— Czy ktoś nas podsłuchuje? — spytał spokojnie Forster.

— Nie, nic mi nie jest — odrzekła pogodnie. Hobie oparł hak o ladę. Stał błyszcząca na wysokości jej piersi, w odległości pół metra od oczu.

— Powinnaś zawiadomić policję.

— Nie, chodzi mi o spotkanie powierników. Kiedy najwcześniej możemy się spotkać?

— Twoja znajoma, Sheryl, powiedziała mi, czego chcesz — ciągnął Forster. — To nie będzie łatwe. Nasi ludzie nie poradzą sobie z tym zadaniem. Nie jesteśmy do tego przygotowani. Nasza kancelaria nie zajmuje się takimi sprawami. Będę musiał *znaleźć* prywatnego detektywa.

— Czy moglibyśmy umówić się na jutro rano? Obawiam się, że to dość pilna sprawa.

— Pozwól, że zawiadomię policję.

— Nie, Davidzie, w przyszłym tygodniu to zdecydowanie za późno. Jeśli to możliwe, musimy się pośpieszyć.

— Nie wiem nawet, gdzie szukać. Nigdy jeszcze nie korzystaliśmy z usług prywatnego detektywa.

— Poczekaj chwileczkę. — Marilyn zakryła mikrofon ręką i spojrzała na Hobię. — Jeśli koniecznie chcesz jutro, to musimy się spotkać w kancelarii.

— Nie. Spotkamy się tutaj, na moim terenie — zażądał Hobie.

Marilyn odstłoniła mikrofon.

— Davidzie, a może pojutrze? Przykro mi, ale musimy spotkać się tutaj. To delikatna sprawa.

- Naprawdę nie chcesz, żebym zadzwonił na policję? Jesteś absolutnie pewna?

- Hm, są pewne komplikacje. Wiesz, jak to jest. Zdarzają się delikatne sytuacje.

— Dobrze, spróbuję *znaleźć* kogoś odpowiedniego. To zajmie mi trochę czasu. Będę musiał poprosić o rekomendacje.

— Doskonale, Davidzie.

— Jeśli jesteś pewna, że tak chcesz to załatwić, to zaraz się tym zajmę, choć nie całkiem rozumiem, co chcesz osiągnąć.

— Tak, zgadzam się z tobą — powiedziała. — Dobrze wiesz, że system wprowadzony przez ojca Chestera zawsze nas irytował. Ingerencja z zewnątrz może niekiedy zmienić sytuację, nie sądzisz?

— O drugiej po południu — rzekł Forster. — Pojutrze. Nie wiem, kto to będzie, ale postaram się znaleźć kogoś dobrego. Zgoda?

— Pojutrze, druga po południu — powtórzyła. Wyrecytowała adres. — Doskonale. Dziękuję, Davidzie.

Ręce jej się trzęsły. Gdy odkładała słuchawkę, rozległo się grzechotanie.

- Nie poprosiłaś o przesłanie aktów powiernictwa — zauważył Hobie. Wzruszyła nerwowo ramionami.

— Nie było potrzeby. To formalność. Forster mógłby nabrać jakichś podejrzeń.

Cisza. Hobie kiwnął głową.

— Dobrze — zgodził się. — Pojutrze o drugiej po południu.

— Potrzebujemy ubrań. To ma być spotkanie w interesach. Nie możemy wystąpić tak jak teraz.

— Mnie się podoba wasz ubiór — odparł Hobie z uśmiechem. — Obojga. No, ale Chester może ode mnie pożyczyć swój stary garnitur. Ty zostaniesz w tej sukience.

Marilyn kiwnęła głową. Była zbyt wyczerpana, żeby naciskać.

— Wracajcie do łazienki! — rozkazał Hobie. — Wyjdziecie pojutrze o drugiej po południu.

Zachowujcie się grzecznie, to dostaniecie dwa posiłki dziennie.

Wyszli w milczeniu. Tony zamknął za nimi drzwi. Przeszedł przez ciemny gabinet i wrócił do poczekalni, gdzie czekał na

niego Hobie.

- Pojutrze to o wiele za późno — stwierdził. — Na litość boską, przecież na Hawajach dowiedzą się już dziś. Jutro to ostateczny termin.

Hobie pokiwał głową. W świetle reflektorów widać było spadającą piłkę. Gracz skoczył. Płot był coraz bliżej.

— Rzeczywiście, trochę brakuje czasu — przyznał.

— Trochę? Ma pan cholernie mało czasu. Powinien pan zniknąć stąd, i to natychmiast.

— Nie mogę, Tony. Dałem słowo w sprawie tej transakcji, zatem muszę dostać akcje.

Wszystko będzie okay. Nie martw się. Pojutrze o drugiej trzydzieści będę miał akcje. O trzeciej zostaną zarejestrowane, do piątej je sprzedam i w porze kolacji już nas tu ni będzie.

Pojutrze wieczorem będzie po wszystkim.

- To szaleństwo! Sprowadzać tu prawnika? Żaden prawnik nie może się to pojawić. Bobie spojrzął na niego.

— Prawnik — powtórzył powoli. — Wiesz, co jest podstawą sprawiedliwości? — Co takiego?

- Bezstronność — odrzekł Hobie. — Bezstronność i równość. Skoro oni chcą sprowadzić prawnika, to my również powinniśmy to zrobić. Dla równości stron.

- Chryste, Hobie, nie możemy mieć tu dwóch adwokatów.

- Możemy - - powiedział Hobie. - - Sądzę nawet, że powinniśmy.

Hobie obszedł pulpit i usiadł na krześle, na którym przed chwilą siedziała Marilyn. Było jeszcze ciepłe. Sięgnął po książkę, telefoniczną z żółtymi stronami. Wybrał kancelarię i nacisnął dzwonek. Siedmioma precyzyjnymi ruchami haka wystukał numer.

- Spencer Gutman — usłyszał pogodny głos. — Czym możemy służyć?

• • •

Sheryl leżała w łóżku na wznak podłączona do kroplówki. Miała wenflon wkłuty w lewą rękę i przymocowany plastrem.

Przy łóżku stał wysoki metalowy stojak, na którym wisała plastikowa torba z płynem. Sheryl

czuła, jak ciecz powoli spływa do żyły. Czowała, że ma ciśnienie wyższe niż zwykle. Szumiało jej w głowie i wyczuwała uderzenia pulsu za uszami. Ciecz w worku była przezroczysta jak woda, ale najwyraźniej działała. Twarz już jej nie bolała. Ból ustąpił, była spokojna i senna. Już chciała zawołać pielęgniarkę i powiedzieć, że nie potrzebuje środków przeciwbólowych, ale się zreflektowała. Zdała sobie sprawę, że ból znikł właśnie dzięki tym lekarstwom i natychmiast wróci, jeśli pielęgniarka odłączy kroplówkę. Spróbowała zachichotać z tego nieporozumienia, ale oddychała zbyt wolno, żeby wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Uśmiechnęła się tylko do siebie, zamknęła oczy i odpłynęła w ciepłe głębiny łóżka. Obudził ją jakiś hałas w pokoju, przy jej łóżku. Otworzyła oczy. Zobaczyła sufit, biały i jasno oświetlony. Z trudem spojrzała wzdłuż łóżka. W nogach stały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Patrzyli na nią. Mieli na sobie mundury. Niebieskie koszule z krótkimi rękawami, długie, ciemne spodnie, wygodne półbuty. Na koszulach widniały liczne emblematy. Jasne, haftowane patki, metalowe odznaki. Poza tym pasy z ekwipunkiem: pałką, kajdankami, radiem. Wielka kabura z rewolwerem z drewnianą kolbą. Policjanci. Oboje w zaawansowanym wieku. Dość niscy. Dość szerocy. Z ciężko obciążonymi pasami nie wyglądali zbyt zgrabnie.

Oboje cierpliwie się jej przyglądali. Znowu spróbowała się zaśmiać. Ze spokojem patrzyli na pacjentkę. Mężczyzna już łysiał. W jego lśniącem czole widać było odbicie sufitu. Kobieta miała trwałą ondulację i włosy koloru marchewki. Była starsza od partnera, mogła mieć ponad pięćdziesiąt lat. Na pewno miała dzieci, Sheryl była o tym przekonana. Policjantka patrzyła na nią macierzyńskim wzrokiem.

— Możemy usiąść? — spytała.

Sheryl skinęła potakująco. Gęsta ciecz szumiała jej w głowie, miała kłopoty ze skupieniem myśli. Kobieta przysunęła krzesło i usiadła po prawej stronie łóżka, daleko od stojaka kroplówki.

Mężczyzna usiadł za nią. Kobieta pochyliła się w stronę łóżka, a mężczyzna odchylił się do tyłu. Sheryl widziała jego twarz za piecami policjantki. Byli bardzo blisko. Trudno jej było skupić wzrok na ich twarzach.

— Nazywam się O'Hallinan — przedstawiła się kobieta. Sheryl znowu kiwnęła głową. To nazwisko pasowało do

kobiety. Rude włosy, grube rysy, mocna budowa — musiała nosić irlandzkie nazwisko. W nowojorskiej policji służy wiele osób irlandzkiego pochodzenia. Niekiedy to rodzinny zawód, dziedziczony z pokolenia na pokolenie.

— A ja Sark — dodał jej partner.

Był bladej skóry. Blada biała skóra wydawała się papierowa. Ogolił się, ale na policzkach widać już było cień. Miał wpadnięte oczy, lecz uśmiechał się uprzejmie. Zmarszczki wokół oczu. Sheryl była pewna, że jest wujem. Miał siostrzeńców i siostrzenice, którzy go lubili.

— Chcielibyśmy porozmawiać z panią o tym, co się stało — wyjaśniła O'Hallinan.

Sheryl zamknęła oczy. W rzeczywistości sama niezbyt dobrze to pamiętała. Wiedziała, że weszła do domu Marilyn. Pamiętała zapach płynu do prania wykładzin. Pomyślała wtedy, że to błąd. Klient może podejrzewać, że Marilyn coś próbuje ukryć. Sekundę potem leżała na podłodze i czuła potworny ból.

— Czy może nam pani powiedzieć, co się stało? — spytał Sark.

— Uderzyłam się o drzwi — szepnęła. Kiwnęła głową, jakby chciała potwierdzić swoje słowa. To było ważne. Marilyn nalegała, żeby nie zawiadamiąta policji. Jeszcze nie.

— O jakie drzwi?

Sheryl nie miała pojęcia. Marilyn jej nie powiedziała. Tego nie ustaliły. Jakie drzwi? Spanikowała.

— W biurze — odparła.

— Czy ma pani biuro w Nowym Jorku? — spytała O'Hallinan.

Sheryl milczała. Patrzyła tępo w twarz policjantki.

— Z polisy ubezpieczeniowej wynika, że pracuje pani w Westchester — stwierdził Sark. — Jest pani agentem pośrednictwa handlu nieruchomościami w Pound Ridge.

Sheryl ostrożnie przytaknęła.

— Zatem uderzyła się pani o drzwi w biurze w Westchester — zauważyła O'Hallinan. — Teraz jest pani w szpitalu w Nowym Jorku, osiemdziesiąt kilometrów od biura.

— Jak to się stało, proszę pani? — dociekał Sark. Sheryl nie odpowiedziała. Zapadła cisza.

Słyszała tylko szum w uszach i skroniach.

— Możemy pani pomóc — oznajmiła uprzejmie O'Hallinan. — Po to tu jesteśmy.

Przyjechaliśmy, żeby pani pomóc. Postaramy się, żeby coś takiego nie zdarzyło się ponownie.

Sheryl ostrożnie kiwnęła głową.

— Musisz nam jednak powiedzieć, jak to się stało. Czy on często to robi?

Sheryl spojrzała na nią ze zdziwieniem. Przez chwilę nie rozumiała, o czym mówi.

— Czy dlatego tu pani przyjechała? — spytał Sark. — Nowy szpital, żadnych dokumentów na temat poprzednich zdarzeń

tego rodzaju. Gdybyśmy popytali w Mount Kisco lub White Plains, czego byśmy się dowiedzieli? Czy dowiedzielibyśmy się, że dobrze panią znają? Może z przeszłości? Gdy wcześniej tak panią potraktował?

— Uderzyłam się o drzwi — szepnęła Sheryl. O'Hallinan pokręciła głową.

— Sheryl, wiemy, że to nieprawda.

Wstała i wyciągnęła zdjęcie rentgenowskie z podświetlonej gablotki na ścianie. Podniosła je pod światło, tak jak to robią lekarze.

— Tutaj widać twój nos — powiedziała, wskazując palcem. — Tutaj kości policzkowe, tu czoło i tu podbródek. Widzisz? Masz zmiądzony nos i połamane kości policzkowe. Uszkodzone są kości położone głębiej niż linia łącząca brodę z czołem. Natomiast broda i czoło są nietknięte. Z tego wynika, że otrzymałaś uderzenie czymś ustawionym poziomo. Co to było? Palka?

Uderzył, trzymając ją poziomo?

Sheryl gapiała się na zdjęcia. Jej kości wyglądały jak nieostre plamy. Widać było ogromne oczodoły. Środki przeciwbólowe szumiały jej w głowie, była słaba i senna.

— Uderzyłam się o drzwi — szepnęła.

— Krawędź drzwi jest pionowa — cierpliwie tłumaczył Sark. — Gdybyś uderzyła się o drzwi, miałabyś rany na brodzie i czole, prawda? Tak podpowiada zdrowy rozsądek. Gdybyś złamała sobie kości policzkowe, uderzając o pionową krawędź, musiałabyś też zdrowo o nią walnąć czołem i brodą.

Sark popatrzył na zdjęcie ze smutkiem.

— Możemy ci pomóc — powtórzyła O'Hallinan. — Powiedz nam, co się stało, a postaramy się, żeby już nigdy się nie powtórzyło. Możemy się postarać, żeby już nigdy czegoś takiego nie zrobił.

— Chce mi się spać — szepnęła Sheryl. O'Hallinan pochyliła się ku niej.

— Czy łatwiej byłoby ci o tym mówić, gdyby mój partner wyszedł? — spytała szeptem. — Mogłybyśmy porozmawiać w cztery oczy.

- Uderzyłam się o drzwi — wyszeptęła Sheryl. — Teraz chcę spać. O'Hallinan cierpliwie pokiwała głową.

— Zostawię ci wizytówkę. Jeśli będziesz chciała porozmawiać, gdy się zbudzisz, po prostu zadzwoń, dobrze?

Sheryl bezwładnie kiwnęła głową. Policjantka wyciągnęła z kieszeni wizytówkę i położyła ją na szafce obok łóżka.

— Nie zapomnij, naprawdę możemy ci pomóc — przypomniała.

Sheryl milczała. Albo spała, albo udawała. O'Hallinan i Sark odciągnęli parawan i wyszli na

korytarz, do recepcji. Lekarka spojrzała na nich. O'Hallinan pokręciła głową

— Twardo zaprzecza — powiedziała.

— Uderzyła się o drzwi — sarkastycznie dodał Sark. — Drzwi, które pewnie były na gazie, ważą sto kilogramów i wymachują pałką do baseballu.

— Do licha, dlaczego kobiety osłaniają takich łajdaków? — westchnęła lekarka.

— Widziałam, jak tu przyszła — wtrąciła się pielęgniarka. —

- Widziałam, jak tu przyszła — wtrąciła się pielęgniarka. — To wyglądało naprawdę dziwnie. Wsiadła z samochodu po przeciwnej stronie ulicy. Sama przeszła aż tutaj. Miała za duże buty, zauważyliście? W samochodzie siedzieli dwaj faceci. Przyglądali się, jak idzie, a potem bardzo szybko odjechali.

— Jaki to był samochód? — spytał Sark.

— Czarna duża bryka.

— Pamięta pani numer rejestracyjny?

— A czy ja jestem mistrzem pamięci? O'Hallinan wzruszyła ramionami i chciała odejść.

— Jednakże numer powinien być na wideo — nagle dodała pielęgniarka.

— Na jakim wideo? — spytał Sark.

— Z kamery nad drzwiami. Stoimy zawsze dokładnie pod kamerą, żeby dyrekcja nie mogła sprawdzić, jak długo trwa przerwa na papierosa. Kamera rejestruje to samo, co my widzimy. Godzina przybycia Sheryl została odnotowana w recepcji. Szybko przewinęli taśmę. Przez minutę śledwstecz filmie, jak Sheryl wychodzi, przecina podjazd dla karettek, plac przed szpitalem, przechodzi tyłem przez jezdnię i zatrzymuje się obok dużego czarnego samochodu. O'Hallinan pochyliła się nad ekranem.

— Dobra, mam numer — powiedziała.

• • •

Jodie wybrała hotel na tę noc. Znalazła dział podróży w najbliższej księgarni, przejrzała przewodniki po St Louis i wybrała hotel zalecany przez trzech autorów.

— To zabawne, nie sądzisz? Jesteśmy w St Louis, a w dziale podróży jest więcej przewodników po St Louis niż po jakimkolwiek innym miejscu. Czy to dział podróży? Powinien się nazywać raczej działem dla pozostających w domu.

Reacher czuł się trochę nieswojo. Ta metoda była dla niego czymś nowym. Hotele, w których zazwyczaj się zatrzymywał, nie reklamowały się w przewodnikach. Zadowalały się neonami na wysokich słupach, chwając się atrakcjami, które przestały być atrakcjami i zmieniły się w podstawowe wyposażenie: na puszczonej mniej więcej dwadzieścia lat temu, na przykład klimatyzacją, telewizją kablową i basenem.

— Potrzymaj — poprosiła Jodie.

Reacher wziął od niej przewodnik i założył kciukiem stronę. Jodie odszukała w torebce komórkę. Wzięła od niego książkę, wybrała numer, stojąc między półkami, i zadzwoniła do hotelu. Reacher przyglądał się jej. Nigdy jeszcze nie dzwonił do hotelu. W hotelach, w których się zatrzymywał, zawsze były wolne pokoje, niezależnie od okoliczności. Właściciele byli zachwyceni, jeśli kiedyś ponad połowa pokoi była zajęta. Przysłuchiwał się rozmowie, ale słyszał tylko to, co mówiła Jodie. Wymieniała kwoty, za które, nieco się targując, mógłby zapewnić sobie łóżko na cały miesiąc.

— Okay — powiedziała. — Mamy pokój. Apartament dla nowożeńców. Łoże z baldachimem. Niezłe, co?

Reacher się uśmiechnął. Apartament dla nowożeńców.

— Musimy coś zjeść — przypomniał. — Czy dają tam kolację?

Jodie pokręciła głową. Otworzyła przewodnik na dziale restauracji.

— Oczywiście, ale dużo zabawniej jest pójść gdzieś indziej. Lubisz francuską kuchnię?

— Moja mama była Francuzką — powiedział, kiwając głową.

Jodie zajrzała do przewodnika. Znowu sięgnęła po komórkę i zarezerwowała stolik dla dwóch osób w modnej restauracji w historycznej dzielnicy miasta, niedaleko hotelu.

— Mamy rezerwację na ósmą — oznajmiła. — Zostało dość czasu, żeby nieco się rozejrzeć po mieście. Potem możemy zameldować się w hotelu i odświeżyć przed kolacją.

— Zadzwoń na lotnisko — zauważył Reacher. — Musimy wylecieć jutro wcześniej rano. Do Dallas-Fort Worth.

— Zrobię to na zewnątrz. Z książkami nie dodzwonię się na lotnisko.

Reacher niósł jej torbę. Jodie kupiła prymitywną turystyczną mapę St Louis. Wyszli na zewnątrz. Było już późne popołudnie,

ale wciąż prażyło słońce. Rozłożył mapę, a Jodie zadzwoniła

do biura linii lotniczych i zarezerwowała dwa bilety pierwszej klasy do Teksasu na ósmą trzydzieści rano. Potem spacerowali wzdłuż brzegu Missisipi płynącej przez miasto.

Przechadzali się, trzymając się za ręce. Półtorej godziny. Przeszli sześć kilometrów przez całą historyczną dzielnicę miasta. Hotel mieścił się w starej rezydencji średniej wielkości przy spokojnym, szerokim bulwarze wysadzonym kasztanowcami. Weszli do środka przez duże czarne drzwi. Podłoga w holu była wyłożona dębowym parkietem koloru miodu.

Recepcjonistka siedziała przy starym mahoniowym biurku stojącym z boku. Reacher spojrzął na nią zaskoczony. W hotelach, w których zwykle bywał, recepcjonista siedział za metalową siatką lub kuloodporną szybą z pleksiglasu. Elegancka pani z siwymi włosami przesunęła kartę kredytową Jodie przez czytnik, po czym podała jej kwit do podpisu, a Reacherowi mosiężny klucz.

— Miłego pobytu, panie Jacob — powiedziała.

Apartament dla nowożeńców zajmował całe poddasze. Na

błyszczącym, wypastowanym parkiecie z dębu leżało kilka starych dywanów. Sufit miał skomplikowaną geometryczną strukturę złożoną z płaszczyzn i lukarn.

W salonie stały dwie sofy z tapicerką w kwietne wzory. Obok znajdowała się łazienka, a za nią sypialnia z gigantycznym łóżkiem z baldachimem, nakrytym narzutą w taki sam kwietny wzór jak sofy.

Łóżko było tak wysokie, że gdy Jodie na nim usiadła, nie sięgała nogami do podłogi.

Trzymając ręce pod kolanami, machała stopami w powietrzu. W oknie za nią widać było słońce. Jodie się uśmiechnęła. Reacher postawił torbę na podłodze i stał nieruchomo.

Patrzył na nią. Jodie miała niebieską koszulę koloru pośredniego między chabrowym i błękitem jej oczu. Koszula z miękkiego materiału, pewnie jedwabiu, była zapięta na pięć guzików podobnych do małych pereł. Dwa górne pozostały rozpięte. Pod ciężarem kołnierza koszula rozchyłała się na boki. Widać było skórę szyi, również miodową, lecz nieco jaśniejszą od parkietu. Koszula nie była duża, ale mimo to luźno układała się na jej ciele. Jodie wsunęła ją w spodnie, stare, wielokrotnie prane, lecz starannie wyprasowane džinsy z paskiem z czarnej skóry mocno ściśnię-

tym wokół talii. Na gołych nogach miała niebieskie pantofle na niskim obcasie, z delikatnej skóry, prawdopodobnie włoskie. Gdy machała nogami, Reacher widział podeszwy. Miała nowe buty, prawie nienoszone.

— Czemu się tak przyglądasz? — spytała. Przechyliła głowę na bok, z nieśmiałym i figlarnym uśmiechem.

— Tobie — odrzekł.

Guziki rzeczywiście były zrobione z pereł z naszyjnika, zdjętych z nitki i przyszytych do koszuli.

Ślizgały się w jego niezręcznych palcach. Było ich pięć. Reacher rozpiął cztery, delikatnie wyciągnął jej koszulę zza paska džinsów i rozpiął piąty. Jodie po kolei uniosła ręce, żeby mógł łatwiej rozpiąć mankiety. Zsunął koszulę z jej ramion. Pod spodem nie miała nic.

Jodie pochyliła się i zajęła się jego guzikami. Zaczęła od dołu. Miała niewielkie, delikatne i precyzyjne dłonie. Szybsze niż on. Reacher miał rozpięte mankiety, bo z powodu grubych nadgarstków nie mógł zapiąć żadnej kupionej w sklepie koszuli. Jodie przesunęła rękami po jego piersi, odsunęła koszulę i ściągnęła z jego barków. Pociągnęła w dół, zsuwając ją z ramion. Materiał opadł na podłogę z cichym szmerem bawełny i stuknięciem guzików o drewno. Przesunęła palcami po bliźnie po oparzeniu.

— Wzięłeś maść?

— Nie.

Jodie objęła go w pasie, pochyliła głowę i pocałowała ranę. Poczuł jej chłodne i twarde usta na wrażliwej skórze. Potem kochali się po raz piąty w ciągu piętnastu lat, na łóżku z baldachimem, na najwyższym piętrze starej rezydencji, podczas gdy słońce za oknem oddalało się na zachód, gdzieś w stronę Kansas.

• • •

Wydział przemocy domowej nowojorskiej policji wynajmował pomieszczenia wszędzie, gdzie tylko mógł. W tym czasie zajmował duży pokój nad biurami administracji w budynku przy Police Plaza. O'Hallinan i Sark wrócili tam godzinę przed zakończeniem zmiany. To był czas przeznaczony na papierkową robotę. Oboje od razu usiedli przy biurkach, otworzyli notesy i zaczęli pisać, dokumentując kolejne wydarzenia tego dnia. Gdy dotarli do wizyty w szpitalu Świętego Wincentego, do końca pracy zostało im jeszcze piętnaście minut. Zrelacjonowali to jako prawdopodobne pobicie, dodając, że ofiara odmawia współpracy z policją. O'Hallinan wykręciła formularz z maszyny do pisania. W tym momencie zauważyła zapisany w notesie numer rejestracyjny. Sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do wydziału samochodowego.

— Czarny chevrolet tahoe — poinformował ją urzędnik. — Właścicielem jest Cayman Corporate Trust mająca biuro w World Trade Center.

O'Hallinan wzruszyła ramionami. Zapisała informację w notesie. Zastanawiała się, czy ponownie wkręcić formularz i dodać tę informację. Rozważania przerwał jej telefon od tego samego urzędnika z wydziału samochodowego.

- Mam jeszcze coś — powiedział. — Ten sam właściciel porzucił wczoraj czarnego chevroleta suburbana na Broadwayu po wypadku z udziałem trzech samochodów. Piętnasty Komisariat odnotował wrak.

— Kto się tym zajmuje? Ma pan nazwisko tego z piętnastki?

— Przykro mi, ale nie.

OMlallmaw przerwała połączenie. Zadzwoniła do wydziału drogowego w Piętnastym Komisariacie, ale tam również właśnie zbliżała się pora zmiany i niczego się nie dowiedziała. Napisła notatkę dla siebie, żeby sprawdzić to jutro. Wrzuciła ją do skrzynki z korespondencją przychodzącą. Kończyli już pracę. Sark wstał od sąsiedniego biurka.

— Idziemy stąd — stwierdził. - - Praca zamiast zabawy to dobre dla nudziarzy.

— Bardzo słusznie — zgodziła się O'Hallinan. — Masz ochotę na piwo?

— Co najmniej jedno — odpowiedział Sark. — Może dwa.

— No to idziemy.

• • •

Wzięli razem długi prysznic w przestronnej łazience apartamentu dla nowożeńców. Później Reacher owinął się ręcznikiem kąpielowym, rozłożył na sofie i patrzył, jak Jodie się szykuje. Wyjęła z torby nową sukienkę skrojoną tak samo jak żółta lniana, w której poszła do pracy, ale uszytą z niebieskiego jedwabiu. Włożyła ją przez głowę i poruszyła biodrami, żeby opadła na miejsce. Sukienka miała prosty, niewielki dekolot i sięgała prawie do kolan. Włożyła te same niebieskie pantofle. Wytarła ręcznikiem włosy i zaczesła je do tyłu. Znowu podeszła do torby i wyciągnęła z niej naszyjnik, który Reacher kupił jej kiedyś w Manili.

— Pomożesz mi zapiąć?

Jodie uniosła włosy z karku. Pochylił się ku niej. Naszyjnik miał postać ciężkiego, złotego łańcucha. Prawdopodobnie nie był ze złota, nie za tę cenę, jaką Reacher zapłacił, ale na Filipinach wszystko było możliwe. Reacher miał grube paluchy i połamane paznokcie wskutek pracy fizycznej. Wstrzymał

oddech. Dopiero za drugą próbą udało mu się zapiąć naszyjnik. Pocałował ją w kark. Jodie odrzuciła włosy na plecy. Były ciężkie, wilgotne i pachniały latem.

— No, wreszcie jestem gotowa.

Uśmiechnęła się i rzuciła mu rzeczy pozbierane z podłogi. Reacher ubrał się, walcząc z bawełną klejącą się do wilgotnej skóry. Pożyczył od niej grzebień i uczesał się. W lustrze zobaczył odbicie stojącej za nim Jodie. Wyglądała jak księżniczka wybierająca się na kolację z ogrodnikiem.

— Jeszcze się okaże, że mnie nie wpuszczą — powiedział. Jodie wyciągnęła się i poprawiła mu kołnierzyk z tyłu. Żle

się układał z powodu jego nadmiernie rozwiniętych mięśni pleców.

— Jak mogliby cię zatrzymać? Wezwać Gwardię Narodową? Do restauracji mieli cztery przecznice. Czerwcowy wieczór

w Missouri, nad rzeką. Powietrze było spokojne i wilgotne. Szumiały kasztanowce poruszone lekką bryzą znad wody. Na ulicach był spory ruch. Drzewa się nie zmieniły, ale przybyło samochodów jeżdżących i parkujących pod nimi. Wśród budyn-

ków widać było hotele i restauracje, często z francuskie nazwami. Szyldy i napisy były oświetlone reflektorami. Żadnych neonów. Jodie wybrała restaurację o nazwie La Prefecture. Reacher się uśmiechnął. Zastanawiał się, czy kochankowie w jakimś francuskim miasteczku kiedykolwiek wybrali się do restauracji zwanej Urząd Miejski, bo jeśli dobrze pamiętał, to właśnie znaczyło to francuskie słowo.

Mimo to lokal okazał się całkiem przyjemny. Przy drzwiach powitał ich chłopak pochodzący ze Środkowego Zachodu, usiłujący mówić z francuskim akcentem. Zaprowadził ich do stolika na tarasie oświetlonym świecami, wychodzącym na ogród na tyłach budynku. W ogrodzie urządzono fontannę ze światłami na dnie, drzewa były oświetlone reflektorami przy-mocowanymi do pni. Na stole leżał lniany obrus, a sztućce były ze srebra. Reacher zamówił amerykańskie piwo, a Jodie pernod i wodę. — Sympatyczne miejsce, prawda? — powiedziała. Reacher kiwnął głową. Wieczór był ciepły i bardzo spokojny.

- Powiedz mi, jak się czujesz? — spytał.

— Bardzo dobrze — odparła, patrząc na niego ze zdziwieniem.

— A dokładniej?

— Reacher, usiłujesz mnie wybadać? — spytała z nieśmiałym uśmiechem.

— Nie. Myślę o czymś. Jesteś zrelaksowana? — Też się uśmiechnął.

Skinęła głową.

— Czujesz się bezpieczna? Znowu skinęła.

— Ja też — powiedział. — Bezpieczny i swobodny. Co to oznacza?

Kelner przyniósł napoje na srebrnej tacy. Pernod w wysokiej szklance i dzbanek wody importowanej z Francji. Piwo w kuflu pokrytym szronem. W takim lokalu nie podają piwa w butelkach.

— No, co twoim zdaniem to oznacza? — spytała Jodie. Dołała wody do bursztynowego napoju, który zmienił kolor

na mleczny. Zakręciła szklanką, żeby wymieszać anyżówkę z wodą. Reacher poczuł silny zapach.

- To oznacza, że mamy do czynienia z niewielką grupą — odpowiedział. — To niewielka operacja z bazą w Nowym Jorku. Tam byliśmy zaniepokojeni, tu czujemy się bezpieczni.

Reacher podniósł kufel i wypił duży łyk piwa.

— To tylko odczucie — stwierdziła Jodie. — To niczego nie dowodzi.

— Nie, ale odczucia bywają przekonujące. Mamy również pewne dowody. Tam nas ścigali i atakowali, natomiast tutaj nikt nie zwraca na nas uwagi.

— Rozglądałeś się? — spytała z wyraźnym zaniepokojeniem.

— Zawsze się rozglądam — odrzekł. — Chodziliśmy po mieście powoli i nie kryjąc się. Nikt nas nie śledził.

— Brakuje im ludzi? Reacher pokiwał głową.

— Mają dwóch facetów, którzy byli w Keys i Garrison, i trzeciego, który prowadził suburbana.

Przypuszczam, że to wszystko, czym dysponują, bo inaczej byłiby tutaj i śledzili, co robimy. To niewielka grupa mająca siedzibę w Nowym Jorku.

Teraz Jodie przytaknęła ruchem głowy. - Moim zdaniem to Victor Hobie — oświadczyła. Kelner znowu podszedł do ich stolika, tym razem z bloczkiem i ołówkiem. Jodie zamówiła *pâté* i jagnię, a Reacher zupeł *porc aux pruneaux*, ponieważ w dzieciństwie zawsze to jadł w niedzielę na obiad, jeśli oczywiście w miejscu, gdzie pełnił służbę ojciec, matka mogła kupić wieprzowinę i śliwki. To było regionalne danie z doliny Loary, a choć mama pochodziła z Paryża, gotowała je dla synów, ponieważ sądziła, że to coś w rodzaju ekspresowego wprowadzenia w jej ojczystą tradycję.

— Nie sądzę, żeby to był Victor Hobie — stwierdził Reacher.

— Myślę, że tak — uparła się Jodie. — Jakimś cudem przeżył i od tej pory się ukrywa. Nie chce, żeby go znaleziono.

Reacher potrząsnął głową.

— Też o tym myślałem na początku. To jednak jest nieprawdopodobne z psychologicznego punktu widzenia. Czytałaś jego dokumenty. Jego listy. Powtórzyłem ci, co opowiadał o nim jego stary kumpel **bd** Steven. **To był** szczerzyj, uczciwy prostoduszny chłopak. Trochę nudny, całkowicie normalny. Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu zerwał kontakt z rodzicami. Od trzydziestu lat się do nich nie odezwał. Dlaczego miałby to robić? To zupełnie nie pasuje do wszystkiego, co o nim wiemy.

— Może się zmienił — zasugerowała Jodie. — Tata zwykł mówić, że Wietnam zmieniał ludzi. Zazwyczaj na gorsze.

Reacher pokręcił głową.

— On zginął — powiedział. — Sześć kilometrów na zachód od przełęczy An Khe trzydzieści lat temu.

— Żyje i mieszka w Nowym Jorku. Wciąż stara się pozostać w ukryciu.

• • •

Hobie stał na tarasie na trzydziestym piętrze, oparty o barierę, plecami do parku. Trzymał przy uchu bezprzewodowy telefon i sprzedawał mercedesa Stone'a pewnemu facetowi z Queens.

- Jest jeszcze bmw — powiedział. — Coupe, seria osiem. Teraz znajduje się w Pound Ridge. Dam ci rabat pięćdziesiąt procent, jeśli jutro dostanę torbę z gotówką.

Hobie przerwał. Słuchał, jak tamten wciąga powietrze przez zęby, jak zawsze robią handlarze samochodami, gdy rozmawia się z nimi o pieniądzach.

— Powiedzmy, trzydzieści patyków za oba, gotówka na

Facet mruknął, że się zgadza. Hobie przeszedł do następnej pozycji na liście.

— Mam jeszcze tahoe i cadillaca. Daj czterdzieści i możesz wybrać, którego chcesz.

Handlarz przez chwilę się zastanawiał, po czym zdecydował się na tahoe. Większą popularnością cieszą się używane samochody z napędem na cztery koła niż limuzyny, zwłaszcza na Południu. Hobie wiedział, że handlarz tam właśnie wysłał te samochody.

Wyłączył telefon i wszedł przez rozsuwane drzwi do salonu. Lewą ręką otworzył notes w skórzanej okładce i przycisnął hakiem, żeby się nie zamknął. Zadzwoił do pośrednika handlu nieruchomościami, który był mu winien sporo pieniędzy.

— Proszę o zwrot długu — oświadczył.

Hobie słyszał, jak facet przetyka ślinę, nagle ogarnięty paniką. Zapadło pełne desperacji milczenie. Pośrednik ciężko usiadł na fotelu.

— Czy możesz mi oddać dług? — spytał Hobie. Tamten nie odpowiedział.

— Wiesz, jaki jest los tych, którzy nie oddają mi pieniędzy? Milczenie. Odgłos przetykania śliny.

— Nie martw się — dodał Hobie. — Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Mam do sprzedania dwie nieruchomości. Rezydencję w Pound Ridge i mój apartament na Piątej Alei. Chcę dwa

miliony za dom i trzy i pół za apartament. Sprzedasz je za tyle, a zamiast płacić ci prowizję, skreślę twój dług. Zgoda?

Pośrednik nie miał wyjścia, musiał się zgodzić. Hobie podyktował mu numer konta w banku na Kajmanach, na które miał w ciągu miesiąca przelać pieniądze.

- Miesiąc to bardzo optymistyczna ocena — zauważył pośrednik.

— Jak się miewają twoje dzieci? — spytał Hobie. Tamten znowu nerwowo przełknął ślinę.

— Dobrze, niech będzie miesiąc.

Hobie odłożył telefon i zapisał kwotę pięć milionów pięćset czterdzieści tysięcy na kartce, na której sumował zyski ze sprzedaży samochodów i rezydencji. Następnie zadzwonił do biura linii lotniczych, żeby spytać o bilety na pojutrze wieczór. Mieli dużo wolnych miejsc.

Uśmiechnął się. Piłka przelatowała wysoko nad płotem w kierunku piątego rzędu widzów na trybunie. Gracz podskakiwał jak wariat, ale od piłki dzieliła go duża odległość.

• • •

Po wyjścia Hobiego Marilyn poczuła się dostatecznie bezpiecznie, żeby wziąć prysznic. Nie zrobiłaby tego, gdy siedział w gabinecie. Jego obleśne spojrzenie było zbyt wymowne.

Czułaby, że widzi ją przez drzwi łazienki. Natomiast

Tony nie budził takich obaw. Był wyraźnie zaniepokojony" i posłuszny. Hobie kazał mu pilnować, żeby nie wyszli z łazienki. Z pewnością tego dopilnuje, ale to wszystko. Nie przyjdzie tutaj, żeby ich dręczyć. Zostawi ich w spokoju. Marilyn nie miała co do tego wątpliwości. Ten drugi, mocno zbudowany, który przyniósł kawę, wykonywał polecenia Tony'ego. Wobec tego poczuła, że może się wykąpać, ale na wszelki wypadek kazała Chesterowi stanąć przy drzwiach i trzymać klamkę.

Pochyliła się do środka kabiny, żeby puścić gorącą wodę. Zdjęła sukienkę i buty. Starannie powiesiła sukienkę na brzegu kabiny, poza zasięgiem prysznica, ale na tyle blisko, żeby pod wpływem pary wygładziły się zagniecenia. Weszła do kabiny, splukała włosy i namydliła całe ciało. To było takie przyjemne. Rozluźniła się, pozbyła napięcia w mięśniach. Uniósł twarz i długo stała pod prysznicem. W końcu wyszła z kabiny, nie zakręcając wody, wytarła się i zamieniła miejscami z Chesterem.

— Umyj się — powiedziała. — Dobrze ci to zrobi.

Chester był otępiały. Kiwnął głową, puścił klamkę. Zdjął majtki i podkoszulek. Usiadł nago na podłodze, żeby zdjąć buty i skarpetki. Marilyn zauważyła żółtosiną plamę na jego boku.

— Bili cię? — szepnęła.

Kiwnął głową. Wstał z podłogi i wszedł pod prysznic. Stał pod strumieniem wody z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Prysznic podziałał na niego ożywczo. Znalazł mydło i dokładnie się umył.

— Nie zakręcaj wody — powiedziała Marilyn. — Tak będzie cieplej.

Rzeczywiście. Strumień gorącej wody ogrzewał łazienkę. Chester wyszedł z kabiny i sięgnął po ręcznik. Wytarł twarz, po czym owinął go wokół bioder.

— Poza tym ten hałas uniemożliwia im podsłuchiwanie — dodała Marilyn. — Musimy porozmawiać.

Chester wzruszył ramionami, jakby uważał, że nie ma nic do omówienia.

— Nie rozumiem, co tu robisz. Nie ma żadnych powier-
ników. Hobie się o tym dowie i tylko się wścieknie. Marilyn wycierała ręcznikiem włosy. Przerwała i spojrzała na męża. W łazience zaczęła gromadzić się para.

— Potrzebujemy świadka. Nie rozumiesz tego?

— Świadka czego?

— Świadka wydarzeń — odpowiedziała. — David Forster przyśle tu jakiegoś prywatnego detektywa. Co Hobie będzie mógł zrobić? Przyznamy, że nie ma powierników, po czym wszyscy razem pójdziemy do banku i przekazemy mu akcje. W miejscu publicznym, przy świadku. Świadku i ochroniarzu. Wtedy będziemy mogli po prostu odejść.

— Uda się?

— Myślę, że tak. Jemu się śpieszy. Nie zauważyłeś? Ma jakiś termin. Jest w panice. Musimy zwlekać tak długo, jak tylko to będzie możliwe, a następnie wymknąć się w obecności świadka, który będzie nas ochraniał. Hobiemu zbyt mocno zależy na czasie, żeby mógł zareagować.

- Nie rozumiem — powtórzył Chester. — Chcesz powiedzieć, że ten detektyw zezna, iż działaliśmy pod przymusem? Chodzi ci o to, żebyśmy mogli pozwać Hobię i odzyskać akcje?

Marilyn przez chwilę milczała. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Nie, Chester, nie będziemy nikogo pozywać. Hobie dostanie akcje i zapomnimy o całej sprawie.

Chester patrzył na nią przez parę.

— To nie jest rozwiązanie. W ten sposób nie uratujemy firmy. Hobie dostanie akcje, a my nie będziemy mieli gdzie wrócić.

Marilyn spojrzała na niego. Niemal osłupiała.

— Na litość boską, Chester, czy ty niczego nie rozumiesz? Firma jest stracona. To już historia i lepiej przyjmij to do wiadomości. Nie chodzi o ratowanie pieprzonej firmy. Chodzi o uratowanie życia.

• • •

Zupa była doskonała, a wieprzowina jeszcze lepsza. Jego matka byłaby z niej dumna. Wypili małą butelkę kalifornijskiego wina i z zadowoleniem zjedli kolację. Nie rozmawiali przy jedzeniu. W restauracjach tej klasy obowiązuje długa przerwa między głównym daniem i deserem. Kelnerzy nie naciskają gości, żeby zwolnili stolik. Reacher cieszył się tym luksusem. Nie przywykł do takiego życia. Odchylił się na krześle i wyciągnął nogi pod stołem. Kostkami dotykał kostek Jodie.

— Pomyśl o jego rodzicach — powiedział. — Wyobraź go sobie jako dziecko. Jeśli otworzysz encyklopedię i sprawdzisz hasło „normalna amerykańska rodzina”, zobaczysz zdjęcie rodziny Hobie, całej trójki. Zgoda, Wietnam zmieniał ludzi. Wierzę, że wojna w pewien sposób rozszerzyła jego horyzonty. Rodzice też to rozumieli. Wiedzieli, że nie wróci do Brighton, żeby być księgowym w jakiejś małej drukarni. Wyobrażali sobie, że będzie pracował na platformach naftowych, latał w regionie Zatoki, pracując dla nafciarzy. Ale przecież nie zerwałby kontaktu z nimi, nie sądził? Zachowałby jakąś więź. Nie porzuciłby ich. To zimne i twarde okrucieństwo ciągnące

się przez trzydzieści lat. Czy w jego dokumentach dostrzegłaś cokolwiek, co mogłoby świadczyć, że jest takim facetem?

Może jakoś zgrzeszył — zastanawiała się Jodie, — Może zrobił coś haniebnego. Coś w stylu My Lai, jakaś masakra lub coś takiego. Może wstydzi się wrócić do domu. Czuje się winny, ukrywa swój sekret. Reacher niecierpliwie pokręcił głową,

- Gdyby coś takiego zrobił, zostałoby to odnotowane w jego teczce, Poza tym nie miał okazji. Był pilotem helikoptera, nie żołnierzem piechoty. Nigdy nie widział nieprzyjaciela z bliska. Kelner podszedł do stolika z bloczkiem i ołówkiem.

- Czy życzą sobie państwo deser? Może kawę? Zamówili sorbet jeżynowy i czarną kawę. Jodie dopiła wino.

W świetle świec wino miało głęboki, czerwony kolor. — A zatem co zrobimy?

- On zginaj - powiedział Reacher. - Wcześniej lub później zdobędziemy rozstrzygający dowód. Wtedy wrócimy do Brighton i powiemy jego starym, że zmarnowali trzydzieści lat, łudząc się, iż jest inaczej.

- A co powiemy sobie? Że atakowały nas duchy? Reacher wzruszył ramionami. Nic nie odpowiedział. Kelner przyniósł sorbet. Zjedli deser w milczeniu. Później przyniósł kawę i rachunek w niewielkim folderze oprawionym w skórę, z wyciśniętym logo restauracji. Jodie włożyła do środka kartę kredytową, nawet nie patrząc, ile ma zapłacić. Uśmiechnęła się do Reachera.

— Znakomita kolacja — powiedziała.
— Znakomite towarzystwo — odrzekł z uśmiechem.
— Zapomnijmy na chwilę o Victorze Hobiem — zaproponowała.
— A kto to jest? — spytał. Jodie się zaśmiała.
— Więc o czym będziemy myśleć?
— Myślałem o twojej sukience — odpowiedział z uśmiechem.
— Podoba ci się?
— Jest wspaniała, ale...
— Ale co?
— Mogłaby wyglądać jeszcze lepiej. Na przykład rzucona na podłogę.
— Tak sądzisz?
— Jestem prawie pewien. Na razie jednak to tylko przypuszczenie. Konieczne jest empiryczne potwierdzenie. Wiesz, należy porównać dwie możliwości, przed zdjęciem sukienki i po zdjęciu.

Jodie westchnęła, udając zmęczenie.

— Reacher, wstajemy o siódmej. Mamy ranny samolot.

— Jesteś młoda — rzekł. — Jeśli ja mogę wytrzymać, to ty tym bardziej.

Uśmiechnęła się. Odsunęła krzesło i wstała. Zrobiła dwa kroki w kierunku alejki między stolikami. Suknia podkreślała ruchy jej ciała, choć nie była obcisła. Z tyłu wyglądała wspaniale. W świetle świec jej włosy wydawały się złote. Zbliżyła się do Reachera i pochyliła do jego ucha.

— Okay, tak jest przed. Chodźmy, nim zapomnisz i nie będziesz mógł porównać.

• • •

Siódma rano w Nowym Jorku jest o godzinę wcześniej niż siódma rano w St Louis. O'Hallinan i Sark spędzili tę godzinę w komisariacie, planując pracę na ten dzień. Na tacy czekała na nich sterta zgłoszeń z nocy. Wezwania ze szpitali, raporty policjantów, którzy interweniowali w sprawach domowych. O'Hallinan i Sark musieli posegregować sprawy, ocenić ich wagę i pilność, ustalić porządek, w jakim się nimi zajmą biorąc pod uwagę umiejscowienie wydarzeń. To była typowa noc w Nowym Jorku. Dwadzieścia osiem nowych spraw, które musieli załatwić. Nic dziwnego, że zadzwonili do wydziału drogowego Piętnastego Komisariatu dopiero za dziesięć ósma.

O'Hallinan wybrała numer. Dyżurny sierżant odebrał telefon dopiero po dziesiątym dzwonku.

— Odnotaliście czarnego suburbana — powiedziała. — Z wypadku na dolnym Broadwayu dwa dni temu. Robicie coś w tej sprawie?

Słychać było, jak tamten przerzuca papiery.

— Jest na parkingu. Interesuje was to?

— Mamy kobietę ze zmiądzonym nosem, którą przywieźli do szpitala tahoe zarejestrowanym na tego samego właściciela.

— Może była kierowcą. Mieliśmy wypadek z udziałem trzech samochodów, ale mamy tylko jednego kierowcę. Wypadek spowodował suburban, kierowca znikł. Drugi to olds-mobile bravada. Skręcił w boczną uliczkę, kierowca i pasażer się ulotnili. Suburban należy do jakiejś korporacji finansowej z tej dzielnicy.

— Cayman Corporate Trust? — spytała O'Hallinan. — To do nich należy tahoe.

— Zgadza się — potwierdził sierżant. — Bravada jest własnością pani Jodie Jacob, ale wcześniej zgłosiła kradzież. To nie ta wasza kobieta z rozwalonym nosem?

— Jodie Jacob? Nie, ta nasza ma na imię Sheryl.

— Pewnie prowadziła suburbana. Niska?

— Chyba dość niska — odpowiedziała O'Hallinan. — Dlaczego pytasz?

— Zadziałała poduszka powietrzna. Zdarza się, że powoduje takie obrażenia, zwłaszcza gdy ktoś jest niski.

— Chcesz sprawdzić?

— Nie, według nas, skoro mamy samochód, będą chcieli go odzyskać i sami do nas przyjdą. O'Hallinan odłożyła słuchawkę. Sark spojrzął na nią pytająco.

— O co tu chodzi? — spytał. — Gdyby to był wypadek samochodowy, dlaczego miałyby mówić, że uderzyła się o drzwi?

— Nie wiem. — O'Hallinan wzruszyła ramionami. — A dlaczego agentka handlu nieruchomości z Westchester miałyby prowadzić samochód korporacji z World Trade Center?

— To mogłoby tłumaczyć obrażenia — powiedział Sark. — Poduszka, może kierownica, to mogło się tak stać.

— Mogło — przyznała O'Hallinan.

— Sprawdźmy?

- Chyba powinniśmy, bo jeśli to był wypadek, to sprawa jest zamknięta.

- Dobra, ale nie zapisuj tego nigdzie, bo jeśli to nie był wypadek i sprawę trzeba będzie znowu otwierać, będziemy mieli cholerne zawracanie głowy.

Wstali, włożyli notesy do kieszeni mundurów. Zeszli po schodach, a przechodząc przez dziedziniec do samochodu patrolowego, cieszyli się przez chwilę porannym słońcem.

• • •

To samo słońce przetoczyło się na zachód. Teraz tam była już siódma rano. Promienie wpadły na poddasze przez lukarnę i oświetliły ukośnie łóżko z baldachimem. Jodie wstała pierwsza, brała już prysznic. Reacher leżał sam w ciepłym łóżku, przeciągając się. Jego uwagę zwróciło stłumione brzęczenie z nieokreślonego miejsca w pokoju.

Spojrzał na nocną szafkę, żeby sprawdzić, czy to telefon lub czy Jodie nastawiła budzik, którego wieczorem nie zauważył. Nie. Wciąż słyszał to brzęczenie, ciche, lecz uparte. Usiadł na łóżku. Teraz zlokalizował źródło: coś w torebce Jodie. Wstał i nago przeszedł przez pokój. Otworzył torebkę.

Teraz brzęczenie stało się głośniejsze. Dzwoniła komórka, Reacher spojrzął na drzwi do łazienki. Wyjął telefon, który głośno zabrzączał. Przyjrzał się guzikom i nacisnął ten z zieloną słuchawką. Sygnał ucichł.

— Halo? — powiedział. Chwila ciszy.

— Kto mówi? Chciałbym rozmawiać z panią Jacob. Głos młodego, zabieganego mężczyzny. Znał ten głos. To

był sekretarz z kancelarii Jodie, który dał mu adres Leona.

— Jest pod prysznicem.

— Ach... — westchnął sekretarz. Znowu na chwilę zamilkł.

— Jestem jej znajomym — wyjaśnił Reacher.

— Rozumiem. Czy państwo są w Garrison?

— Nie, jesteśmy w St Louis w Missouri.

— Boże, to komplikuje sytuację. Czy mógłbym rozmawiać z panią Jacob?

— Bierze prysznic — powtórzył Reacher. — Powiem, żeby oddzwoniła. Albo mogę przekazać jej wiadomość.

- Będzie pan tak uprzejmy? — ucieszył się sekretarz. — Obawiam się, że to bardzo pilne.

— Chwileczkę — powiedział Reacher. Podszedł do szafki nocnej i wziął niewielki bloczek do notowania oraz długopis, który leżał koło telefonu... hotel dbał o takie szczegóły. Usiadł i przełożył telefon do lewej ręki. — Słucham, może pan mówić.

Sekretarz przekazał wiadomość. Bez żadnych konkretów. Dobierał słowa tak, żeby niczego wyraźnie nie powiedzieć. Niewątpliwie byle znajomemu nie mógł zdradzić żadnych prawniczych sekretów. Reacher odłożył notatnik i długopis. Nie musiał niczego zapisywać.

— Poproszę, żeby zadzwoniła do pana, jeśli to nie będzie jasne — obiecał.

— Dziękuję i przepraszam, że przerwałem, hm, cokolwiek to było, co przerwałem.

— Niczego pan nie przerwał — odrzekł Reacher. — Jak powiedziałem, pani Jacob jest w łazience. Gdyby jednak zadzwonił pan dziesięć minut wcześniej, mogłoby to być problemem.

- Mój Boże — westchnął sekretarz i zakończył rozmowę. Reacher się uśmiechnął, znowu przyjrzał się guzikom i nacisnął ten z czerwoną słuchawką. Rzucił telefon na łóżko. W łazience przestała lecieć woda. Jodie wyszła otulona ręcznikiem i chmurą pary.

— Przed chwila dzwonił na komórkę twój sekretarz. Zdaje się, że przeżył szok, gdy odebrałem.

— No to diabli wzięli moją reputację. — Jodie zachichotała. — Podczas lunchu dowie się o tym całe biuro. Czego chciał?

— Musisz wracać do Nowego Jorku.

— Dlaczego? Przekazał ci jakieś szczegóły? Reacher potrząsnął głową.

— Nie, był bardzo dyskretny, jak zapewne powinien być sekretarz w kancelarii adwokackiej. Najwyraźniej jesteś tam asem atutowym. Wielki popyt na twoje usługi.

— Jestem najlepsza — odpowiedziała z uśmiechem. — Przecież już ci mówiłam. Kto tym razem mnie potrzebuje?

— Ktoś zadzwonił do twojej kancelarii. Jakaś korporacja finansowa ma sprawę do załatwienia. Prosimi, żebyś to ty się nią zajęła. Prawdopodobnie dlatego, że jesteś najlepsza.

— Powiedział, o co chodzi? — spytała z uśmiechem. Reacher wzruszył ramionami.

— Zwykłe sprawy, jak sądzę. Ktoś komuś jest winien pieniądze i najwyraźniej się o to kłóć. Masz przyjść na konferencję jutro po południu i przemówić jednej lub drugiej stronie do rozumu.

• • •

W każdej minucie z okolic Wall Street dzwonią tysiące ludzi. Wśród tych wszystkich telefonów był również telefon z kancelarii Forster i Abelstein do biura prywatnego detektywa Williama Curry'ego. Curry był weteranem wydziału kryminalnego nowojorskiej policji, miał za sobą dwadzieścia lat służby. W wieku czterdziestu siedmiu lat przeszedł na emeryturę i usiłował zarobić na alimenty jako prywatny detektyw, czekając, aż jego była żona wyjdzie za mąż, umrze lub zapomni o nim. Otworzył biuro już dwa lata temu i były to kiepskie

lata. Osobisty telefon starszego partnera z prestiżowej kancelarii z Wall Street był dla niego przełomowym zdarzeniem. Curry ucieszył się, ale nie był zbyt zdziwiony. Przez te dwa lata miał dobre wyniki i nie żądał zbyt wysokich stawek właśnie po to, żeby zdobyć reputację.

Jeśli w końcu mu się udało i do biura zaczęli pukać ważni klienci, był to powód do zadowolenia, a nie zdziwienia. Zaskoczył go natomiast charakter zlecenia.

— Mam odgrywać pana?

— To bardzo ważne — powiedział Forster. — Oczekują przybycia prawnika, Davida Forstera. Nie możemy ich zawieść. Nie będą poruszane żadne kwestie prawne. Prawdopodobnie w ogóle niewiele się wydarzy. Pana obecność wystarczy, żeby wszystko przebiegło gładko. To będzie pewnie dość proste. Okay?

— No, niech będzie — zgodził się Curry. Spisał nazwiska wszystkich, którzy mieli być obecni, oraz adres miejsca przedstawienia. Zażądał podwójnej stawki. Nie chciał, żeby uznanego za taniego, zwłaszcza że chodziło o grube ryby z Wall Street. Im zawsze imponuje wysokie honorarium. Curry to wiedział. Poza tym, z uwagi na charakter zadania, sądził, że na to zasługuje. Forster bez wahania zaakceptował podaną kwotę i obiecał, że wyśle czek. Curry odłożył słuchawkę. W myślach zaczął przeglądać zawartość szafy. Zastanawiał się, co ma włożyć, żeby wyglądać jak szef wielkiej kancelarii z Wall Street.

13

Z St Louis do Dallas-Fort Worth jest dziewięćset trzydzieści siedem kilometrów w linii prostej. Lot trwał dziewięćdziesiąt minut. Trzydzieści minut ostro w górę, trzydzieści minut szybkiego lotu i trzydzieści minut na zejście do lądowania. Reacher i Jodie lecieli pierwszą klasą, tym razem po lewej stronie samolotu, wśród zupełnie innego towarzystwa niż podczas lotu z

Nowego Jorku. Prawie wszystkie fotele zajmowali teksascy biznesmeni w niebieskich lub szarych garniturach, kowbojskich butach ze skóry aligatora i ogromnych kapeluszach. Byli więksi, bardziej rumiani i zachowywali się głębiej od swoich kolegów ze Wschodniego Wybrzeża. Stewar desy miały z nimi więcej roboty. Jodie włożyła prostą, rdzawą sukienkę, jaką mogłaby nosić Audrey Hepbura. Biznesmeni ukradkiem spoglądali na nią, unikając wzroku Reachera, który siedział na fotelu przy przejściu. Miał na sobie pogniecione ubranie khaki i stare angielskie buty. Biznesmeni na próżno usiłowali go zaklasyfikować. Spoglądali na jego opaleniznę, zniszczone ręce, jego towarzyszkę i widzieli w nim jakiegoś pioniera, któremu się poszczęściło i znalazł złoto na swej *działce* w głuszy. Potem przypominali sobie, że te czasy już minęły i znowu zaczęli spekulować. Rcahcr nie zwracał na nieb uwagi. Trzymał w ręce porcelanową filiżankę, pił *najlepszą* kawę, jaką podają linie lotnicze, i rozmyślał, jak *dostać* się do Wolters i dowiedzieć się czegoś od DeWitta.

Gdy policjant wojskowy usiłuje dowiedzieć się czegoś od dwugwiazdkowego generała, próba ta przypomina rzut monetą. Orzełek — znajduje człowieka doceniającego wartość współpracy. Może kiedyś miał trudności w jakiejś jednostce, a policja pomogła mu je szybko i skutecznie wyeliminować. Wtedy wierzy w policję i instynkt nakazuje mu podjąć współpracę. Jest przyjacielem policjanta. Reszka — generał jest człowiekiem, który w przeszłości pewnie sam przysporzył sobie kłopotów. Może popełnił błędy na jakimś stanowisku lub spaprał jakieś zadanie i policja bez ogródek mu o tym powiedziała. Wtedy nie można liczyć z jego strony na nic poza pretensjami i zadawnionymi urazami. Orzełek lub reszka, ale moneta jest sfalszowana, gdyż szczyt każdej hierarchii gardzi własną policją, dlatego reszka wypada znacznie częściej niż orzełek. To wynikało z doświadczenia Reachera. Co gorsza, był policjantem wojskowym, który wrócił do cywila. Był dwa punkty do tyłu, nim jeszcze wszedł na boisko. Samolot zatrzymał się przy bramce. Biznesmeni z pierwszej klasy poczekali, aż Jodie wyjdzie pierwsza. Albo prosta teksaska uprzejmość, albo chcieli gapić się na jej nogi i tyłek. Reacher nie mógł mieć o to pretensji, bo sam chciał zrobić to samo. Wziął jej torbę i poszedł za nią przez rękaw do hali przylotów. Tam zrównał się z nią i otoczył ręką jej ramiona. Poczuli na sobie świdrujące spojrzenie kilkunastu par oczu.

— Demonstrujesz swe posiadanie? — spytała.

— Zwróciłaś na nich uwagę? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

Jodie objęła go w pasie i przyciągnęła do siebie.

— Raczej trudno było ich nie zauważyć. Chyba mogłam się umówić z kimś na wieczór.

— Musiałabyś opędzać się kijem.

— To z powodu sukienki. Pewnie powinnam była włożyć spodnie, ale sądziłam, że Południe to tradycyjny region.

— Nawet gdybyś paradowała w kombinezonie sowieckiego czołgisty, szarozielonym i watomowanym, i tak biegaliby wokół z wywieszonymi ozorami.

— Widziałam zdjęcie kierowcy sowieckiego czołgu. — Jodie zachichotała. — Tata mi pokazał. Dziewięćdziesiąt kilogramów, wąsy, tatuaż, fajka, a to była kobieta.

Terminal był klimatyzowany. Gdy wyszli na zewnątrz, poczuli uderzenie gorąca — różnica temperatur wynosiła dwadzieścia stopni. Czerwiec, dziesiąta rano, a w Teksasie było już trzydzieści siedem stopni. Do tego wilgoć. Stanęli w kolejce po taksówkę.

— Uff — westchnęła Jodie. — Sukienka chyba jednak jest lepsza.

Stali w cieniu estakady, ale tuż obok prażyło białe słońce. Beton był rozgrzany i lśniący. Jodie wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne. Gdy je nałożyła, jeszcze bardziej przypominała Audrey Hepburn z jasnymi włosami. Wsiadli do pierwszej taksówki, która przyjechała. Nowa caprice z klimatyzacją włączoną na pełny regulator i dewocjonaliami zwisającymi z lusterka wstecznego. Kierowca się nie odzywał. Jechali czterdzieści minut głównie po betonowej szosie, która w słońcu wydawała się prawie biała. W pobliżu lotniska był tłok, ale później

droga opustoszała.

Fort Wolters był wielką stałą bazą na pustkowiu, z niskimi eleganckimi budynkami. Teren bazy był wypielegnowany, jak tylko jest to możliwe w wojsku. Wokół bazy ciągnął się płot z drutu kolczastego o długości wielu kilometrów. Wszystkie druty były równo naciągnięte, a pod płotem nie rosły żadne chwasty. Krawężniki starannie pobielono. Między budynkami wity się wewnętrzne drogi z szarego betonu. Od szyb odbijało się słońce. Gdy jechali wzdłuż płotu, zobaczyli lotnisko wielkości stadionu, na którym stały w równych szeregach helikoptery. Między nimi poruszali się instruktorzy i szkoleni żołnierze. Główna brama była oddalona od szosy. Wzdłuż podjazdu stały po obu stronach białe maszty flagowe. Flagi wisały bezwładnie w gorącym, nieruchomym powietrzu. Przy zagrodzonej biało-czerwonym szlabanem bramie stała niewielka wartownia. Od wysokości pasa mężczyzny ściany wartowni były zrobione ze szkła. Reacher widział, jak siedzący w środku policjanci wojskowi przyglądali się nadjeżdżającej taksówce. Byli w pełnym rynsztunku, z białymi hełmami na głowach.

Regularna policja wojskowa. Uśmiechnął się. Ci ludzie nie będą stwarzać problemu. Dla nich będzie bliższym przyjacielem niż ci, których strzegli.

Taksówka zatrzymała się na placu przed bramą. Podeszli po gorącym betonie do wartowni i schronili się w cieniu okapu. Sierżant policji odsunął szybę na bok i spojrzał na nich pytającym wzrokiem. Reacher poczuł podmuch chłodnego powietrza.

— Chcielibyśmy spotkać się z generałem DeWittem — powiedział. — Czy to jest możliwe, sierżancie?

— To zależy, kim pan jest — odpowiedział policjant, przyglądając się Reacherowi.

Reacher powiedział, kim jest i kim był, kim jest Jodie i kim był jej ojciec. Chwilę później znaleźli się już w chłodnej wartowni, a sierżant dzwonił do kolegi w budynku dowództwa bazy.

— Okay, zostaliście zapisani — poinformował po chwili. — Generał będzie wolny za pół godziny.

Reacher się uśmiechnął. Generał prawdopodobnie nie był zajęty, ale potrzebował pół godziny, żeby sprawdzić, czy naprawdę są tymi, za których się podawali.

— Jaki jest generał, sierżancie? — spytał.

— Nasza ocena to CGG — odparł sierżant z uśmiechem. Reacher też się uśmiechnął. Czuł się tu nieoczekiwanie

swojsko. CGG to w slangu wojskowym „czasami głupi gnojek”. W ustach sierżanta taka ocena generała była w miarę pozytywna. To oznaczało, że jeśli uda się wybrać właściwe podejście, generał może być skłonny do współpracy. Nie stanowiło to jednak żadnej gwarancji.

Czekając, Reacher miał o czym myśleć.

Po trzydziestu dwóch minutach do wartowni podjechał zwykły, zielony chevy z wymalowanymi na biało napisami. Sierżant dał im znak. Kierowcą był szeregowiec, który najwyraźniej nie zamierzał się odzywać. Począł, aż wsiadą, po czym zawrócił i powoli pojechał w kierunku budynków. Reacher przyglądał się dobrze znanemu otoczeniu. Nigdy nie był w Wolters, ale czuł się jak w domu, bo baza nie różniła się niczym od innych, które widział. Ten sam rozkład, tacy sami ludzie, takie same detale. Zupełnie jakby wszystkie bazy zakładano według tego samego planu. Dowództwo znajdowało się w jednopiętrowym budynku przed placem defiladowym, który wyglądał dokładnie tak samo jak budynek dowództwa w bazie w Berlinie, gdzie Reacher się urodził. Tylko pogoda była inna. Samochód zatrzymał się przed schodkami prowadzącymi do wejścia. Kierowca zmienił bieg na luz i w milczeniu patrzył przed siebie. Reacher otworzył drzwi i wysiadł, a po nim zrobiła to Jodie. Znowu poczuli palące promienie słońca.

— Dziękuję za podwiezienie, żołnierzu — powiedział Reacher.

Chłopak siedział nieruchomo i patrzył prosto przed siebie. Reacher i Jodie podeszli do drzwi.

W chłodnym holu dyżurował policjant wojskowy w białym hełmie, białych getrach i z lśniącym M-16 na piersi. Patrzył na gołe nogi Jodie.

— Reacher i Garber do generała DeWitta — poinformował Reacher.

Policjant stanął na baczność. Reacher skłonił głowę. Poszli w kierunku schodów. Wnętrze budynku było całkowicie stan-

dardowe, zgodne ze specyfikacjami stanowiącymi niełatwy kompromis między luksusem i funkcjonalnością, jak prywatna szkoła w starym dworze. W środku panował nienaganny ład, wystrój był prosty i urzędowy. Przy górnym podejściu schodów stało biurko, za którym siedział korpulentny sierżant policji zavalony górą dokumentów. Za biurkiem widać było dębowe drzwi z tabliczką z nazwiskiem DeWitt jego stopniem i listą odznaczeń. To była duża tabliczka.

— Reacher i Garber do generała DeWitta — powiedział Reacher.

Sierżant skinął głową i podniósł słuchawkę telefonu. Nacisnął guzik.

— Pańscy goście, panie generale — zameldował. Wysłuchał odpowiedzi, wstał i otworzył drzwi. Przesunął w bok, żeby ich przepuścić, po czym zamknął drzwi. Gabinet był wielkości kortu tenisowego, wyłożony dębową boazerią. Na podłodze leżał wielki dywan, ze śladami częstego odkurzania. Generał siedział na fotelu za dużym, dębowym biurkiem. Miał pięćdziesiąt parę lat, był wysuszony i żyłasty. Rzedniejące, szare włosy strzygł maszynką tuż przy skórze. Patrzył na nich w półprzymkniętymi oczami z wyrazem twarzy, który Reacher odczytał jako kombinację zaciekawienia i irytacji.

— Siadajcie — powiedział. — Proszę.

Przed biurkiem stały skórzane fotele dla gości. Na ścianach gabinetu wisiały liczne pamiątki z historii batalionu i dywizji, trofea wojenne, odznaczenia, stare, czarno-białe zdjęcia plutonów i kompanii. Fotografie i przekroje różnych helikopterów. Nie widać było natomiast żadnych osobistych rzeczy DeWitta. Nawet zdjęcia rodziny na biurku.

— Czym mogę służyć? — spytał.

Mówił z płaskim, wojskowym akcentem, jakiego nabierają żołnierze zawodowi w ciągu długiej służby w różnych miejscach na świecie z ludźmi z różnych miejsc w kraju. Pewnie pochodził ze Środkowego Zachodu, może z okolic Chicago.

— Byłem majorem policji wojskowej — powiedział Reacher i urwał.

— Wiem. Sprawdziliśmy.

Neutralna odpowiedź. Bez żadnej oczywistej intencji. Ani wroga, ani przyjacielska.

— Jestem córką generała Garbera — przedstawiła się Jodie. DeWitt kiwnął głową na znak, że to również wie.

— Przyjechaliśmy tutaj w sprawie prywatnej — wyjaśnił Reacher.

Na chwilę zapadła cisza.

— W istocie w sprawie o charakterze cywilnym — uściślił DeWitt.

Reacher przytaknął. *Pierwsze uderzenie.*

— Chodzi o losy pilota o nazwisku Victor Hobie. Służył pan z nim w Wietnamie.

DeWitt zrobił taką minę, jakby o tym nie wiedział. Uniósł brwi.

— Doprawdy? Nie pamiętam go.

Drugie uderzenie. Niechętny do współpracy.

— Usiłujemy ustalić, co się z nim stało.

Znowu chwila ciszy. DeWitt powoli pokręcił głową, jakby był rozbawiony.

— Dlaczego? Czy to wasz dawno zaginiony wujek? A może pański ojciec? Może miał krótki, smutno zakończony romans z pańską marką, gdy pracował u niej, opiekując się basenem. A może kupił pan dom, w którym mieszkał w dzieciństwie, i znalazł pan ukryty za boazerią jego pamiętnik wraz z numerem „Playboya” z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku? *Trzecie uderzenie.* Agresywny i niechętny do współpracy. W gabinecie zapadła cisza. Słychać

było dochodzące z zewnątrz wycie wirnika helikoptera. Jodie przesunęła się do przodu na fotelu.

— Przyjechaliśmy tutaj na prośbę jego rodziców — powiedziała łagodnym, cichym głosem. — Stracili syna trzydzieści lat temu i nigdy się nie dowiedzieli, co się z nim stało. Wciąż rozpaczają, generale.

DeWitt spojrział na nią szarymi oczami i pokręcił głową.

— Nie pamiętam go. Bardzo żałuję.

— Odbywat szkolenie razem z panem, tu w Wolters — dodał Reacher. — Potem razem pojechaliście do Rucker, a później do Qui Nhon. Razem służyliście przez prawie dwie pełne tury w bazie w Pleiku, pilotowaliście helikoptery transportowe.

— Czy pana stary służył w wojsku? — spytał DeWitt. Reacher kiwnął głową.

— Tak. W piechocie morskiej. Trzydzieści lat, *Semper Fi*.

— Mój był w Ósmej Armii Powietrznej — powiedział DeWitt — W czasie drugiej wojny światowej był pilotem bombowca. Latali ze wschodniej Anglii do Berlina i z powrotem. Wie pan, co mi powiedział, gdy zgłosiłem się na pilota helikoptera?

Reacher czekał.

— Dał mi bardzo dobrą radę — kontynuował DeWitt — Poradził, żebym nie przyjaźnił się z innymi pilotami. Wszyscy w końcu giną i tylko jesteś nieszczęśliwy.

— Naprawdę pan go nie pamięta? DeWitt wzruszył ramionami.

— Nawet ze względu na jego rodziców? — wtrąciła Jodie. —

Czy nie wydaje się panu, że to niesłuszne, iż nigdy się nie *dowiedzą*, co się stało z ich synem? Zapadła cisza. Odgłosy pracy wirnika przycichły. DeWitt patrzył na Jodie. Rozłożył niewielkie ręce na biurku i ciężko westchnął.

— Hm, trochę go pamiętam — powiedział. — Głównie z początku znajomości. Później, gdy po kolei wszyscy ginęli, wziętem sobie do serca radę starego i zamknąłem się w sobie.

— Jakim był człowiekiem? — spytała.

— Jakim był człowiekiem? — powtórzył DeWitt. — Na pewno nie takim jak ja, to nie ulega wątpliwości. Nigdy jeszcze kogoś takiego nie spotkałem Był chodzącą sprzecznością. Wiecie, że zgłosił się do wojska na ochotnika, prawda? Ja też, podobnie jak wielu innych. Vic jednak różnił się od wszystkich. Była głęboka przepaść między ochotnikami i chłopakami z poboru. Ochotnicy byli tacy zapaleni, szli na wojnę, bo wierzyli, że tak trzeba. Vic ich nie przypominał. Zgłosił się na ochotnika, ale był spokojny jak najbardziej rozgoryczony rekrut z obowiązkowego poboru. Natomiast pilotował helikoptery, jakby urodził się z wirnikiem w tyłku.

— Taki był dobry? — zachęciła go Jodie. - Więcej niż dobry — odpowiedział DeWitt. — Na początku był gorszy tylko ode mnie, a to coś mówi, bo ja z pewnością urodziłem się z wirnikiem w tyłku. Vic był też dobry z teorii. Dobrze to pamiętam. Rozumiał wszystko najszybciej i najlepiej z całej grupy.

— Czy miał w związku z tym jakieś kłopoty, jeśli chodzi o ocenę postawy? — spytał Reacher.

— Domagał się przysług w zamian za pomoc?

DeWitt oderwał wzrok od Jodie.

— Widzę, że jest pan przygotowany. Był pan w archiwum.

— Przyjechaliśmy prosto z St Louis — przyznał Reacher.

— Mam nadzieję, że nie przeglądaliście również mojej teczki — powiedział generał, kiwając głową. Był spokojny.

— Oficer dyżurny nam nie pozwolił.

— Staraliśmy się nie grzebać tam, gdzie nie powinniśmy zaglądać — zapewniła Jodie.

DeWitt znowu pokiwał głową.

— Vic rzeczywiście pomagał w zamian za usługi — stwierdził. — Niektórzy uważali, że postępuje niewłaściwie. Jeśli dobrze pamiętam, doszło do niewielkiej awantury.

Teoretycznie należy pomagać innym z dobrego serca. Dla dobra całego oddziału, nie? Na

pewno dobrze pan zna to pieprzenie.

Generał przerwał i spojrział na Reachera z rozbawieniem. Reacher kiwnął głową. Obecność Jodie bardzo mu pomogła. Jej urok skłaniał do współpracy.

— Wie miał to w nosie — kontynuował DeWitt. — Zimno kalkulował. Tak jakby to było równanie. Podobnie jak siła udźwigu x jest potrzebna do startu helikoptera, tak tyle pomocy ze skomplikowanymi wzorami wystarczy, żeby ktoś wyglansował ci buty. Przełożeni krzywili się, że jest zimnym człowiekiem.

— Był zimny? — spytała Jodie. DeWitt przytaknął mchem głowy.

— Całkowicie pozbawiony emocji, najzimniejszy facet, jakiego w życiu spotkałem. To zawsze mnie zdumiewało.

Początkowo sądziłem, że to ze względu na pochodzenie z małego miasteczka, gdzie niczego nie widział i niczego nie robił. Później zrozumiałem, że on rzeczywiście nie miał żadnych uczuć. Zupełnie żadnych. To było dziwne, ale między innymi dlatego był takim fenomenalnym pilotem.

— Ponieważ się nie bał? — spytał Reacher.

— Właśnie — potwierdził generał. — Nie był odważny, bo odważnym można nazwać kogoś, kto boi się, ale pokonuje swój strach. Vic nigdy się nie bał. Dlatego był lepszym pilotem niż ja. To ja skończyłem Rucker z pierwszą lokatą, dostałem odpowiedni dyplom, ale gdy pojechaliśmy do dżungli, okazał się lepszy, bez dwóch zdań.

— Pod jakim względem?

DeWitt wzruszył ramionami, jakby nie mógł tego wyjaśnić.

— Wszystkiego nauczyliśmy się w praktyce, wszystko sami wymyślaliśmy. Całe nasze szkolenie było do dupy, to fakt. To jakby ktoś pokazał ci okrągły przedmiot, powiedział: *to jest piłka do baseballu*, a następnie kazał grać w pierwszej lidze.

Teraz, gdy dowodzę tą bazą, staram się to zmienić. Nie chciałbym posyłać na wojnę chłopaków tak kiepsko wyszkolonych jak my wtedy.

— Hobbie był dobry w takiej praktycznej nauce? — spytał Reacher.

— Najlepszy. Czy wie pan cokolwiek o lataniu helikopterem nad dżunglą?

— Nie za wiele — przyznał Reacher, kręcąc głową.

— Pierwszym poważnym problemem jest SL — oznajmił DeWitt. — SL to stanowisko lądowania. Masz gdzieś grupę zdesperowanych i wykończonych żołnierzy piechoty pod ostrzałem. Trzeba ich stamtąd zabrać. Łączą się przez radio i nasz dyspozytor lotów mówi im oczywiście: *Wyciągniemy was stamtąd, ale przygotujcie SL*. Wobec tego robią prowizoryczne SL, posługując się środkami wybuchowymi, piłami i wszystkim, co tylko mają. No, ale huey z działającym wirnikiem potrzebuje pola o szerokości czternastu i pół metra oraz długości siedemnastu metrów. Żołnierze są zmęczeni, śpieszą się, a nieprzyjaciel ich ostrzeliwuje z moździerzy, dlatego z reguły robią za małe

- Nie możemy ich zabrać. Coś takiego zdarzyło się nam dwa lub trzy razy i mieliśmy tego dość. Pewnego wieczoru widzę, *jak* Vic przygląda się krawędzi łopatki wirnika w swoim helikopterze. Spytałem go, *czemu się tak przygląda?* A on na to, że *łopatki są z metalu*. A z czego mają być? — pomyślałem wtedy. Z bambusa? On jednak w dalszym ciągu im się przygląda. Następnego dnia znowu lecimy na prowizoryczne SL i oczywiście to cholerne stanowisko jest za małe o pół metra ze wszystkich stron. Nie mogę wylądować. Vic jednak ląduje. Powoli się obniża, nieco krąży i kosi rośliny łopatkami, jakby helikopter był wielką, latającą kosiarką. To było niesamowite. W powietrzu latały kawałki drzew. Zabrał siedmiu czy ośmiu ludzi, a po nim wylądowali następni i zabrali wszystkich pozostałych. To później uznano za standardową procedurę operacyjną, ale wymyślił ją Vic, dlatego że był chłodny, logiczny i nie bał się spróbować. Ten manewr ocalił życie pewnie setkom, może tysiącom ludzi. — Robi wrażenie.

- Może pan być tego pewny. Mieliśmy też poważny problem z ciężarem. Niech pan sobie

wyobrazi, że ląduje pan na otwartym polu. Ci z piechoty pchają się na pokład, aż w końcu maszyna jest za ciężka i nie może wystartować. Twoi strzelcy muszą odpędzać ludzi, zmusić ich, żeby zostali, choć mogą zginąć. To nie jest miłe uczucie. Pewnego dnia Vic wziął na pokład dużo ludzi, no i oczywiście nie mógł oderwać się od ziemi. Nacisnął drążek do przodu i rozpędził się poziomo jak zwykły samolot, aż wreszcie podmuch zwiększył siłę nośną i jakoś wystartował. Start z rozpędu. To również stało się standardową procedurą operacyjną, zaczerpniętą z jego pomysłu. Czasami robił to na zboczach gór. Wydawało się, że na pewno się rozbije, ale w ostatniej chwili jakoś startował. Jak już powiedziałem, wymyślaliśmy wszystko na miejscu i trzeba przyznać, że wiele rzeczy wymyślił Victor Hobie.

— Podziwiał go pan — zauważyła Jodie.

— Tak, podziwiałem. Nie boję się tego przyznać — odrzekł generał, kiwając głową.

— Ale nie byliście bliskimi przyjaciółmi.

- Jak powiedział mi ojciec, nie należy zaprzyjaźniać się z pilotami. Cieszę się, że go posłuchałem. Zbyt wielu zginęło.

— A jak spędzał czas? — spytał Reacher. — Z dokumentów wynika, że bardzo często nie mogliście latać.

— Pogoda była kurewska. Naprawdę kurewska. Nie ma pan pojęcia jak bardzo. Chcę przenieść tę szkołę gdzieś indziej, na przykład do stanu Washington, gdzie jest często mgła. Nie ma sensu szkolić pilotów w Teksasie i Alabamie, jeśli potem mają walczyć w kraju, gdzie jest kiepska pogoda.

— A co pan robił, gdy nie lataliście?

— Ja? Różne rzeczy. Chodziłem na zabawy, spałem. Czasami brałem samochód i jechałem szukać różnych rzeczy, których potrzebowaliśmy.

— A Vic? — wtrąciła Jodie. — Co on robił? DeWitt znowu wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Zawsze był zajęty, zawsze coś kombinował, ale nie wiem, co to było. Jak wam powiedziałem, nie chciałem trzymać się z innymi pilotami.

- Czy podczas drugiej tury jakoś się zmienił? — dociekał Reacher.

DeWitt na chwilę się uśmiechnął.

— Wszyscy, którzy przyjeżdżali na drugą turę, się zmieniali.

— Pod jakim względem? — zainteresowała się Jodie.

— Byli wściekli — wyjaśnił generał. — Nawet jeśli ktoś od razu zgłaszał się na powtórny wyjazd, czekał co najmniej dziewięć miesięcy, często rok. Gdy wracał, przekonywał się, że podczas jego nieobecności wszystko zeszło na psy. Budynki, które postawili, już się rozpadały. Rowy, które wykopali, do połowy wypełniała woda. Drzewa, które ścięli, żeby zrobić lotnisko, już odrastały. Człowiek miał wrażenie, że podczas jego nieobecności tym niewielkim terytorium rządzą jacyś idioci. Więc ludzie wpadali w gniew i przygnębienie. A ogólnie mówiąc, mieli rację. Cała operacja w Wietnamie była prowadzona coraz gorzej, stopniowo wymykała się spod kontroli. Poziom gwałtownie spadał.

— Czy pana zdaniem Hobie się rozczarował? Stracił złu-

— Czy pana zdaniem Hobie się rozczarował? Stracił złu-dzenia? — spytał Reacher.

— Naprawdę nie przypominam sobie jego nastawienia — odpowiedział DeWitt ze wzruszeniem ramion. — Może nie było złe. Jak pamiętam, miał bardzo silnie rozwinięte poczucie obowiązku.

— A jaki był cel jego ostatniego zadania bojowego? Szare oczy nagle stały się tak puste, jakby zatrzęsnęły się okiennice.

— Nie pamiętam.

— Został zestrzelony — powiedział Reacher. — Leciał wtedy tuż obok pana. Nie pamięta pan, jaki był cel lotu?

— Straciliśmy w Wietnamie osiem tysięcy helikopterów — odrzekł DeWitt. — Osiem tysięcy,

panie Reacher, od początku do końca wojny. Czasami mam wrażenie, że sam widziałem, jak większość została zestrzelona. Jak mogę pamiętać akurat ten jeden?

— Na czym polegało zadanie? — ciągnął Reacher.

— Dlaczego chce pan to wiedzieć? — odpowiedział pytaniem DeWitt.

— To może mi pomóc.

— W czym?

— W rozmowie z jego rodzicami. Chcę móc powiedzieć, że zginął, wykonując jakieś pożyteczne zadanie.

DeWitt się uśmiechnął. To był gorzki, sardoniczny, zużyty uśmiech.

— No, przyjacielu, za cholerę nie może pan czegoś takiego powiedzieć.

— Dlaczego?

— Bo żadne z naszych zadań nie było pożyteczne. To była strata czasu i ludzi. Przegraliśmy wojnę, nieprawdaż?

— Czy to było tajne zadanie?

Rozmowa na chwilę się urwała. W wielkim gabinecie zapadła cisza.

— Dlaczego pan tak przypuszcza? — spytał DeWitt neutralnym tonem.

— Wziął na pokład tylko trzech pasażerów. To mi wygląda na jakieś specjalne zadanie. Z pewnością nie musiał startować z rozpędu.

— Nie pamiętam — powtórzył De Witt

Reacher patrzył na niego spokojnie. DeWitt nie odwrócił wzroku.

— Jak mogę pamiętać? Słyszę o czymś po raz pierwszy od trzydziestu lat i mam pamiętać wszystkie szczegóły?

— Nie rozmawia pan o tym po raz pierwszy od trzydziestu lat Dwa miesiące temu, w kwietniu, ktoś zadał panu te same pytania.

DeWitt nie odpowiedział.

— Generał Garber dzwonił do archiwum, żeby dowiedzieć się wszystkiego o Victorze — powiedział Reacher. — Nie mogę sobie wyobrazić, że później nie zadzwonił do pana. Może pan nam powie to, co powiedział pan jemu?

— Powiedziałem mu, że nie pamiętam. — DeWitt się uśmiechnął.

Znowu zapadło milczenie. Za oknem coraz głośniejszymi szumił *wirnik* helikoptera.

— Proszę w innemu jego rodziców, żeby zechciał pan nam

powiedzieć - spokojnie odezwała się Jodie, — Oni wciąż rozpaczają. Muszą poznać los syna.

— Nie mogę — odrzekł DeWitt, kręcąc głową.

- Nie może pan, czy nie chce? - spytał Reacher. DeWitt powoli wstał z fotela i podszedł do okna. Był niski. Stał w świetle słońca i mrużąc oczy, obserwował lądujący helikopter, który słyszeli.

- To tajne informacje - - oświadczył. - Nie wolno mi wypowiadać się na ten temat i nie zamierzam tego zrobić. Garber pytał mnie o to i powiedziałem mu dokładnie to samo. Bez komentarzy. Zasugerowałem mu jednak, żeby szukał bliżej własnych śmieci i wam mogę poradzić to samo.

— Bliżej własnych śmieci? DeWitt odwrócił się plecami do okna.

— Przeglądał pan teczkę Kaplana?

— Jego drugiego pilota?

— Tak. Czy czytał pan raport z jego przedostatniego lotu bojowego?

Reacher pokręcił głową.

— A powinien pan przeczytać — stwierdził DeWitt — Słabo się pan spisał jak na byłego majora policji wojskowej. Niech pan jednak nikomu nie mówi, że ja to panu zasugerowałem, bo wyprę się wszystkiego, a władze uwierzą mnie, nie panu.

Reacher spojrział na bok. DeWitt wrócił do biurka i usiadł na fotelu.

— Czy to możliwe, że Victor Hobie żyje? — spytała Jodie. Helikopter wylądował i zgasił silniki. Zrobiło się zupełnie cicho.

— Nie mam nic do powiedzenia na ten temat — odrzekł DeWitt.

— Czy ktoś pana już o to pytał?

— Nie mam nic do powiedzenia na ten temat — powtórzył generał.

— Widział pan, jak rozbił się jego helikopter. Czy to możliwe, że ktoś przeżył?

— Widziałem wybuch w dżungli, zasłonięty koronami drzew, to wszystko. Miał w zbiornikach dużo benzyny, więcej niż połowę objętości. Niech pani sama wyciągnie wnioski, pani Garber.

— Czy przeżył?

— Bez komentarza.

— Dlaczego Kapłana uznano oficjalnie za zmarłego, a Ho-biego nie?

— Bez komentarza.

Jodie pokiwała głową. Zastanawiała się przez chwilę, po czym zmieniła podejście, dokładnie jak adwokat mający do czynienia z opornym świadkiem.

— A zatem rozważmy czysto teoretyczną możliwość. Przypuśćmy, że młody człowiek o takiej osobowości i tak wychowany jak Victor Hobie przetrwał katastrofę. Czy wydaje się panu możliwe, że taki człowiek nie nawiązałby później kontaktu z rodzicami?

DeWitt znowu wstał. Najwyraźniej nie czuł się swobodnie.

— Nie wiem, pani Garber. Nie jestem żadnym cholernym psychiatrą. Jak pani powiedziałem, starałem się nie utrzymywać z nim zbyt bliskich kontaktów. Wydawał mi się solidnym obowiązkowym facetem, ale emocjonalnie chłodnym. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że takie zachowanie wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne. Proszę jednak nie zapominać, że Wietnam zmieniał ludzi. Do diabła, na pewno zmienił mnie. Kiedyś byłem miłym człowiekiem.

• • •

Sark miał czterdzieści cztery lata, ale wydawał się starszy. Na jego wygląd źle wpłynęły bieda w dzieciństwie i brak należytej troski, gdy był już dorosły. Miał matową, bladą skórę i wczesnie wyłysiał. Ziemista cera, wpadnięte policzki i łysina dodawały mu sporo lat. W rzeczywistości jednak Sark podjął walkę z upływem czasu. Przeczytał wszystkie materiały publikowane przez wydział opieki medycznej nowojorskiej policji na temat diety i ćwiczeń. Wyeliminował prawie wszystkie tłuszcze i trochę się opalał, tylko tyle, żeby pozbyć się chorobliwej bladości, nie ryzykując, że nabawi się czerniaka. Gdy tylko miał okazję, starał się chodzić. Wracając do domu, wysiadał z metra przystanek wcześniej i szedł pieszo w takim tempie, żeby szybciej oddychać i poczuć, jak serce przyspiesza swój rytm. To właśnie doradzali lekarze w rozmaitych ulotkach. Podczas pracy często namawiał O'Hallinan, żeby zaparkowali samochód patrolowy w pewnej odległości od miejsca przeznaczenia, dzięki czemu mogli się przejść.

O'Hallinan nie interesowała się ćwiczeniami aerobowymi, ale była przyjacielsko nastawiona i chętnie przystawała na jego propozycje, zwłaszcza latem, gdy świeciło słońce. Zaparkowała samochód przy krawężniku obok kościoła Świętej Trójcy i poszli do World Trade Center pieszo, od strony południowej. Dzięki temu przeszli się szybkim krokiem sześćset metrów. Sark był zadowolony, jednakże zaparkowali samochód w okolicy, gdzie było jakieś ćwierć miliona adresów, a ponieważ, wychodząc z komisariatu, nie zostawili notatki, dokąd się udają, nikt nie miał pojęcia, gdzie ich szukać.

• • •

— Odwieźć was na lotnisko? — spytał DeWitt. Reacher uznał tę propozycję za odprawę połączoną z gestem

mającym złagodzić wrażenie, jakie wywołało kamienne milczenie generała. Kiwnął głową. Wojskowym chevroletem mogli wrócić znacznie szybciej, bo już czekał przed budynkiem z

włączonym silnikiem.

— Bardzo dziękuję — odparł.

— Z przyjemnością — zapewnił go DeWitt.

Sięgnął po telefon, wybrał numer i wydał jakiś rozkaz.

— Poczekajcie tutaj — powiedział. — Trzy minuty.

Jodie wstała i obciągnęła sukienkę. Podeszła do okna i wyjrzała - Reacher przyglądał się pamiątkom zawieszonym na ścianach. Dostrzegł wśród nich odbitkę słynnego zdjęcia z gazet. Amerykański helikopter startujący z dachu ambasady w Saj-gonie, poniżej tłum ludzi z podniesionymi rękami, tak jakby chcieli zmusić *maszynę* do powrotu.

- To pan był pilotem? — spytał pod wpływem przeczucia.

DeWitt spojrział na zdjęcie i kiwnął głową.

— Był pan jeszcze w Wietnamie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku?

DeWitt znowu pokiwał głową.

— Tak. Zaliczyłem pięć tur bojowych, a potem służbę w kwaterze głównej. W sumie wolałem walczyć.

Z oddali dobiegł ich warkot silnika. Niskie basowe dudnienie potężnego helikoptera. Był coraz bliżej. Reacher stanął koło Jodie przy oknie. Od strony lotniska nadlatywał huey. Leciał nisko nad budynkami.

— To po was — powiedział DeWitt.

— Helikopter? — zdziwiła się Jodie. DeWitt się uśmiechnął.

— A czego się pani spodziewała? To przecież szkoła pilotażu helikopterów. Po to przyjeżdżają tu ci chłopcy. To nie kursy jazdy samochodem.

Szum wirnika narastał, powoli dźwięk stawał się coraz wyższy, mieszał się z wyciem turbiny.

— Teraz są większe łopatki! — krzyknął De Witt. — Z kompozytów, nie z metalu. Ciekawe, co zrobiliby z tym stary Vic.

Huey przesunął się w bok i zawisł nad placem defiladowym. Szyby dygotały od huku. Pilot wyrównał i posadził maszynę na ziemi.

— Miło mi było państwa poznać! — zawołał De Witt. Uścisnęli jego dłoń i wyszli Sierżant policji wojskowej przy

biurku kiwnął im głową na pożegnanie, po czym wrócił do swoich papierów. Zeszli na dół. Na zewnątrz powiał ich huk oraz uderzenie ciepła i pyłu. Drugi pilot otworzył drzwiczki Pochyleni podbiegli do helikoptera. Jodie się uśmiechała, a pęd powietrza rozwiewał jej włosy na wszystkie strony. Mężczyzna podał jej rękę i pomógł wsiąść. Przywiązali się pasami do ławki w tyle kabiny. Drugi pilot zatrzasnął drzwiczki i przeszedł na swoje miejsce. Maszyna zadygotała i oderwała się od ziemi. Podłoga się pochyliła, zakołysała, a budynki zawirowały za oknem. Po chwili widzieli już ich dachy, potem prerię wokół bazy pociętą drogami przypominającymi szare pociągnięcia ołówkiem. Helikopter pochylił się do przodu, wzmógł się ryk turbiny i maszyna ruszyła po wybranym kursie z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

• • •

W ulotkach, które przeczytał Sark, określano to jako „energiczny marsz”. Chodziło o marsz z prędkością sześciu kilometrów na godzinę. Taka prędkość powoduje przyśpieszenie pracy serca, co stanowi klucz do ćwiczeń aerobowych, ale unika się przy tym niebezpieczeństwa kontuzji kolan, na jakie narażają się biegacze. Ta koncepcja wydawała się rozsądna i Sark dał się przekonać. Pokonanie sześciuset metrów w tempie sześciu kilometrów na godzinę powinno zająć sześć minut, ale im zajęło osiem, ponieważ Sarkowi towarzyszyła O'Hal-linan, która chętnie szła, natomiast nie zamierzała się śpieszyć. Była całkiem sprawna fizycznie, ale lubiła powtarzać, że jest stworzona do wygody, nie zaś pośpiechu. To był kompromis. Sark potrzebował jej zgody, żeby w ogóle trochę pochodzić, zatem nie skarżył się na jej tempo. Uważał, że lepsze to niż

nic. Na pewno przynosiło mu to jakaś korzyść.

— Która wieża? — spytał.

— Chyba południowa — odpowiedziała O'Hallinan. Weszli przez główne wejście do holu południowej wieży.

Za iadą stali ochroniarze w mundurach, ale byli zajęci grupą obcokrajowców w szarych garniturach, dlatego Sark i O'Hallinan podeszli do spisu użytkowników. Cayman Corporate Trust miała biuro na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Podeszli do windy ekspresowej i wsiedli do kabiny. Ochrona nawet nie odnotowała, że weszli do budynku.

Gdy winda ruszyła, poczuli zwiększony nacisk stóp na podłogę. Po chwili byli na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Winda łagodnie wyhamowała. Drzwi otworzyły się automatycznie, rozległ się cichy dzwonek. Wyszli na korytarz. Znaleźli się w wąskim przejściu z nisko zawieszonym sufitem. Biuro Cayman Corporate Trust miało nowoczesne dębowe drzwi z niewielkim okienkiem i mosiężną klamką. Sark otworzył drzwi i przepuścił O'Hallinan. Była dostatecznie stara, żeby doceniać takie uprzejmości.

Znaleźli się w poczekalni z dębowymi meblami wykończonymi mosiądzem. Za sięgającym do piersi pulpitem siedział mocno zbudowany mężczyzna w ciemnym garniturze. Sark zatrzymał się pośrodku pokoju. Jego pas z ekwipunkiem zwiększał szerokość bioder, dzięki temu wydawał się większy i bardziej dominujący. O'Hallinan podeszła do recepcji. W myślach planowała, co zrobić. Chciała wstrząsnąć przeciwnikiem, dlatego zdecydowała się na frontalny atak. Często widziała, że tak postępują detektywi.

— Przyszliśmy w sprawie Sheryl — oznajmiła.

• • •

— Muszę wracać domu — powiedziała Jodie.

— Nie, leć z mną na Hawaje.

Znowu byli w chłodnym terminalu lotniska Dallas-Fort Worth. Huey wylądował na odległym lądowisku dla helikopterów, ale drugi pilot podwiózł ich zielonym wózkiem golfowym do terminalu. Wskazał im nieoznaczone drzwi, za którymi znajdowała się klatka schodowa. Po chwili byli już w hali dla podróżnych.

— Na Hawaje? Reacher, nie mogę lecieć na Hawaje. Muszę wracać do Nowego Jorku.

— Nie możesz wrócić tam sama. Pamiętaj chyba, że Nowy Jork to miejsce, gdzie grozi ci niebezpieczeństwo. Ja zaś muszę lecieć na Hawaje. Wobec tego polecisz ze mną, to proste,

— Reacher, nie mogę — powtórzyła Jodie. — Muszę jutro iść na spotkanie. Dobrze wiesz. Sam odebrałeś telefon, zgadza się?

— Trudna sprawa, Jodie. Nie wrócisz sama do Nowego Jorku.

Gdy rano opuszczali apartament dla nowożeńców, Reacher przeżył coś dziwnego. Usłyszał wewnętrzny głos, który ostrzegał; *Miesiąc miodowy już się skończył, stary. Twoje życie się zmienia i zaczynają się problemy.* Zignorował to, ale teraz sobie przypomniał. Po raz pierwszy w życiu stał się zakładnikiem losu. Miał się o kogo martwić. To sprawiało mu głównie przyjemność, ale również ciążyło.

— Muszę wracać, Reacher — raz jeszcze stwierdziła Jodie. — Nie mogę zawieść.

— Zadzwon, że nie dasz rady wrócić. Powiedz, że jesteś chora, wymyśl coś.

— Nie mogę tego zrobić. Sekretarz wie, że nie jestem chora. Muszę również myśleć o swojej karierze. To dla mnie bardzo ważne.

— Nie wrócisz tam sama — powtórzył Reacher.

— A dlaczego ty musisz lecieć na Hawaje?

— Znajdę tam odpowiedź.

Reacher podszedł do kasy i zdjął z chromowanego wieszaka gruby rozkład lotów. Stanął w chłodnym świetle jarzeniówek. Otworzył rozkład na D, na odlotach z Dallas-Fort Worth, i przesunął palcem wzdłuż listy miejsc docelowych aż do H, do Honolulu. Potem przeskoczył

do odlotów z Honolulu i odnalazł połączenia powrotne do Nowego Jorku. Sprawdził jeszcze raz. Odetchnął z ulgą.

— Damy radę załatwić obie sprawy. Spójrz. Mamy samolot kwadrans po dwunastej stąd do Honolulu. Od godzin lotu trzeba odjąć różnicę czasu, dlatego będziemy tam o trzeciej

czasu lokalnego. Następnie mamy samolot do Nowego Jorku o siódmej wieczorem. Lecąc na wschód do godzin lotu należy dodać różnicę czasu, więc w Nowym Jorku będziemy jutro w południe. Twój sekretarz powiedział, że spotkanie jest po południu, tak? Czyli zdążysz.

- Muszę otrzymać informacje o spotkaniu — powiedziała. — Nie mam pojęcia, o co chodzi.

- Będziesz miała kilka godzin. Szybko się uczysz, zdążysz. - To szaleństwo. W ten sposób będziemy mieli tylko cztery

godziny na załatwienie sprawy na Hawajach.

- Całkowicie wystarczy. Zadzwoń wcześniej, żeby wszystko przygotować.

- Spędzimy całą noc w podróży. Pójdę na spotkanie po bezsennej nocy w tym cholernym samolocie.

- Polecimy pierwszą klasą. Przecież i tak płaci Rutter.

W pierwszej klasie można się przespać. Fotele są dostatecznie wygodne.

— Szaleństwo — powtórzyła. Wzruszyła ramionami i westchnęła.

— Pożycz mi swój telefon — poprosił Reacher.

Jodie podała mu komórkę. Reacher zadzwonił do biura numerów zamiejscowych i poprosił o telefon. Wybrał numer i słuchał, jak dziesięć tysięcy kilometrów od Dallas brzęczy dzwonek. Po ośmiu dzwonekach rozległ się głos, który chciał usłyszeć.

— Mówi Jack Reacher — przedstawił się. — Czy będzie pan w biurze cały dzień?

Na Hawajach był wczesny ranek, więc nic dziwnego, że ktoś odpowiedział mu powoli i sennym głosem, ale to była odpowiedź, jaką chciał usłyszeć. Wyłączył telefon i oddał go Jodie, która ciężko westchnęła, lecz tym razem towarzyszył temu słaby uśmiech. Podeszła do kasy i kupiła dwa bilety pierwszej klasy do Honolulu, a stamtąd do Nowego Jorku. Zapłaciła złotą kartą kredytową. Kasjer od razu zarezerwował im miejsca. Wydawał się zdziwiony, że ktoś gotów jest zapłacić tyle, ile za używany samochód sportowy, żeby spędzić dwadzieścia godzin w samolocie i cztery na Oahu. Podał Jodie bilety. Dwadzieścia minut później Reacher rozsiadł się na ogromnym, skórzanym fotelu, a Jodie siedziała bezpieczna metr od niego.

• • •

Mieli opracowaną procedurę w takich sytuacjach. Nigdy jeszcze jej nie zastosowali, ale ćwiczyli często i pedantycznie. Mocno zbudowany mężczyzna przy pulpicie recepcjonisty niepozornym ruchem przesunął rękę w bok i nacisnął palcem wskazującym jeden guzik, a środkowym drugim. Pierwszy służył do zamykania dębowych drzwi z poczekalni na korytarz. Elektroniczny mechanizm przesunął stalowy rygiel cicho i niezauważalnie. Po uruchomieniu mechanizmu nie można było otworzyć drzwi kluczem. Drugi guzik spowodował włączenie migoczącej, czerwonej lampki w interkomie Hobiego, który musiał to zauważyć.

— W czyjej sprawie? — spytał facet przy pulpicie.

— Sheryl — powtórzyła O'Hallinan.

— Przykro mi, ale tu nie pracuje nikt o takim imieniu. Obecnie zatrudniamy trzy osoby i są to wyłącznie mężczyźni.

Przesunął rękę w lewo i położył palec na guziku uruchamiającym interkom.

— Czy macie czarne Tahoe? — spytała O'Hallinan.

— Owszem, mamy taki samochód — potwierdził tamten, kiwając głową.

— A czarnego suburbana?

— Tak. Myślę, że mamy samochód tej marki. Czy chodzi o naruszenie przepisów drogowych?

— Chodzi o to, że Sheryl jest w szpitalu — odpowiedziała O'Hallinan.

— Jaka Sheryl? — znowu spytał mocno zbudowany mężczyzna.

Sark podszedł do O'Hallinan.

— Chcielibyśmy porozmawiać z pana szefem.

— Okay. Zobaczę, co da się zrobić. Czy mogę prosić wasze nazwiska?

- Sark i O'Hallinan z wydziału policji miasta Nowy Jork. Tony otworzył drzwi gabinetu i stanął w nich. Spojrzał na policjantów.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

Obaj zakładali, że policjanci odwrócą się od pulpitu recepcjonisty i spojrzą na Tony'ego. Może zrobią kilka kroków w jego stronę. Tak też się stało. Sark i O'Hallinan zrobili w tył zwrot i podeszli w kierunku drzwi do gabinetu. Mężczyzna za pulpitem pochylił się, otworzył kredens i wyciągnął strzelbę na gruby śrut z krótko obciętą lufą. Trzymał ją przy nodze, żeby nie było jej widać.

- Chodzi o Sheryl — powtórzyła O'Hallinan.

— Jaką Sheryl? — zdziwił się Tony.

- O Sheryl, która leży w szpitalu z rozwalonym nosem — wyjaśnił Sark. — A także połamanymi kośćmi policzkowymi i wstrząśnieniem mózgu. Sheryl, która wysiadła z waszego tahoe przed izbą przyjęć szpitala Świętego Wincentego.

- Och, rozumiem — odparł Tony. — Nie spytaliśmy jej, jak się nazywa. Z powodu obrażeń nie mogła w ogóle mówić.

— Jak się znalazła w waszym samochodzie? — spytała O'Hallinan.

— Byliśmy na dworcu Grand Central, odwoziliśmy klienta. Znaleźliśmy ją na chodniku, wydawała się zdezorientowana. Wysiadła z pociągu z Mount Kisco i błąkała się po dworcu. Zaproponowaliśmy, że zawieziemy ją do szpitala, bo najwyraźniej potrzebowała pomocy. Podrzuciliśmy ją do Świętego Wincentego, ponieważ to po drodze.

— Bellevue jest bliżej dworca — zauważyła O'Hallinan.

— Tak, ale tam jest duży ruch — powiedział spokojnie Tony. — Łatwiej dojechać do Świętego Wincentego.

— Nie zastanowiło was, co jej się stało? — spytał Sark. — Jaka była przyczyna jej obrażeń?

— No oczywiście, myśleliśmy o tym — rzekł Tony. — Spytaliśmy ją, ale nie mogła mówić.

Dlatego nie rozpoznaliśmy jej imienia.

O'Hallinan stała, najwyraźniej nie wiedząc, co zrobić. Sark zrobił krok naprzód.

— Znaleźliście ją na chodniku?

— Tak, przed Grand Central — potwierdził Tony.

— Nie mogła mówić?

— Ani słowa.

— A zatem skąd wiecie, że przyjechała pociągiem z Kisco? Jedynym niejasnym punktem podczas licznych prób była

kwestia określenia, kiedy przejść od defensywy do ofensywy. To sprawa subiektywnej oceny sytuacji. Ufali, że gdy będzie to konieczne, podejmą właściwą decyzję. Tak też się stało.

Mężczyzna za pulpitem zarepetował strzelbę i podniósł ją nad pulpit

— Nie ruszać się! — krzyknął.

Tony wyciągnął z kieszeni pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Sark i O'Hallinan spojrzeli na pistolet, potem na strzelbę i wyrzucili ręce w górę. Nie zrobili tego powoli i z żalem jak na filmach. Unieśli ręce tak, jakby od tego zależało ich życie, dotykając nimi płyt dźwiękochłonnych nad

głowami. Facet ze strzelbą podszedł od tyłu i wbił lufę w plecy Sarka, a Tony obszedł O'Hallinan i zrobił to samo pistoletem. Z ciemnego gabinetu wyłonił się trzeci mężczyzna.

Stanął w drzwiach.

— Jestem Hak Hobie — powiedział.

Oboje wpatrywali się w niego w milczeniu. Zatrzymali na chwilę wzrok na zdeformowanej

twarzy, a potem na pustym rękawie.

— Jak się nazywacie? — spytał Hobie.

Nie odpowiedzieli. Wpatrywali się w hak. Hobie podniósł prawą rękę. Światło odbiło się od stalowej powierzchni.

— Które z was to O'Hallinan?

O'Hallinan kiwnęła głową. Hobie spojrzął na Sarka.

— Zatem ty jesteś Sark.

Sark również skinął głową. To był minimalny ruch.

— Zdejmijcie pasy! — rzucił Hobie. — Po kolei. Szybko. Sark zrobił to pierwszy. Opuścił ręce i przez chwilę mocował

się z klamrą. Ciężki pas upadł z hukiem na podłogę. Sark znowu podniósł ręce.

— Teraz ty — polecił Hobie, patrząc na O'Hallinan. O'Hallinan zdjęła pas. Ciężki pas z przepiętymi kajdankami,

rewolwerem i pałką uderzył o wykładzinę. Podniosła ręce. Hobie pochylił się, chwycił hakiem za klamry pasów i unióś je. Przybrał pozę wędkarza prezentującego ryby po udanym dniu nad rzeką. Zdrową ręką odpiął dwie pary kajdanek.

— Odwróćcie się.

Wykonali polecenie. Teraz Tony i ten drugi celowali im w twarz.

— Ręce do tyłu.

Jednoręki człowiek może założyć ofierze kajdanki, jeśli ta stoi spokojnie i trzyma nadgarstki jeden obok drugiego. Sark i O'Hallinan stali naprawdę nieruchomo. Hobie najpierw założył im kajdanki, a potem zacisnął je tak mocno, że jęknęli z bólu. Podniósł pasy wysoko, żeby nie wiec ich po podłodze, i wrócił do gabinetu.

— Wejdźcie! — zawołał.

Hobie stanął za biurkiem i położył pasy na blacie, jakby to

były przedmioty do zbadania. Usiadł ciężko na fotelu. Tony ustawił więźniów przed biurkiem.

Hobie chwilowo nie zwracał na nich uwagi. Odpiął rewolwery od pasów i wrzucił je do szuflady. Odczepił radia i przez chwilę manipulował gałką głośności, aż słychać było trzaski i szumy. Położył oba odbiorniki na brzegu biurka, z antenami skierowanymi ku oknu.

Pochylając głowę, przez chwilę wsłuchiwał się w szmer, a następnie wyciągnął z pętli przy pasach policyjne pałki. Jedną położył na biurku, a drugą zważył w lewej ręce. To była nowoczesna pałka, z rączką i teleskopowym dołem. Przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

— Jak to działa? — spytał.

Ani Sark, ani O'Hallinan nie odpowiedzieli. Hobie przez chwilę bawił się pałką, po czym spojrzął na mocno zbudowanego mężczyznę. Ten dźgnął Sarka strzelbą w nerki.

— Zadałem ci pytanie — powiedział Hobie.

— Trzeba nią machnąć — mruknął Sark. — Machnąć i jakby strzelić.

Hobie wstał, bo potrzebował więcej miejsca. Machnął pał-

ką i strzelił nią jak z bata. Teleskopowa część się rozsunęła i zablokowała w bojowym położeniu. Hobie uśmiechnął się zdrową połową twarzy. Złożył pałkę i spróbował znowu.

Jeszcze raz się uśmiechnął. Krążył wokół biurka, machając pałką, składając ją i ponownie otwierając. Wypróbował zamach w pionie i poziomie. Robił to coraz mocniej. Kręcił się, machając pałką. Otworzył ją tak, jakby zagrywał backhand, po czym uderzył O'Hallinan w twarz.

— Podoba mi się — powiedział.

Policjantka poleciała do tyłu, ale Tony dźgnął ją pistoletem w plecy. Nogi ugięły się pod nią i upadła bezwładnie do przodu, opierając się głową o biurko, bo ręce miała skute na plecach. Z nosa i ust ciekła jej krew.

— Co Sheryl wam powiedziała? — spytał Hobie. Sark patrzył na koleżankę.

— Powiedziała, że uderzyła się o drzwi — wymamrotał.

— Do diabła, dlaczego zatem zawracacie mi głowę? Dlaczego tu przyszliście?

Sark podniósł na niego wzrok. Spojrzał mu prosto w twarz.

— Bo jej nie uwierzyliśmy. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś ją pobił. Kierowaliśmy się numerem rejestracyjnym tahoe i najwyraźniej trafiliśmy we właściwe miejsce. W gabinecie zapadła cisza. Słuchać było tylko trzaski i szmery dochodzące z policyjnych aparatów radiowych. Hobie kiwnął głową.

— Jak najbardziej właściwe — potwierdził. — I wcale nie uderzyła się o drzwi.

Sark też kiwnął głową. Nie brakowało mu odwagi. Wydział przemocy domowej nowojorskiej policji nie jest dobrą przechowalnią dla tchórzy. Z definicji wymaga umiejętności radzenia sobie z ludźmi skłonnyimi do brutalnej przemocy. Sark potrafił sobie z nimi radzić nie gorzej od innych.

— To wielki błąd — powiedział spokojnie.

— Jaki błąd? — zainteresował się Hobie.

— Tu chodzi wyłącznie o to, co zrobił pan Sheryl. Sprawa może ograniczyć się do tego. Nie powinien pan niczego dokładać. Akty przemocy wobec policjantów to znacznie poważniejszy zarzut. Sprawę Sheryl może się uda jakoś załatwić. Może był pan sprowokowany, może są jakieś okoliczności łagodzące. Jeśli jednak będzie pan nas dalej atakował, nie będziemy mogli pomóc. Pan się tylko pogryza.

Sark przerwał i uważnie obserwował reakcję Hobiego. Ten sposób często okazywał się skuteczny. Własny interes sprawcy często skłaniał go do współpracy. Hobie jednak nie zareagował w żaden sposób. Nic nie powiedział. W gabinecie zapadła cisza. Sark obmyślał następne posunięcie, gdy nagle przez radio usłyszeli głos odległego dyspozytora, który właśnie skazał ich na śmierć.

Pięć-jeden i pięć-dwa, proszę potwierdźcie, gdzie teraz jesteście.

Sark tak nawykł reagować na wezwanie, że odruchowo sięgnął ręką do biodra. Kajdanki wcięły się w nadgarstki. Radiowe wezwanie padło w pustkę. Hobie wpatrywał się w przestrzeń.

Pięć-jeden i pięć-dwa, muszę wiedzieć, gdzie jesteście. Proszę się zgłosić.

Sark wpatrywał się w radio z przerażeniem. Hobie dostrze jego spojrzenie i uśmiechnął się.

— Nie wiedzą, gdzie jesteście — powiedział. Sark pokręcił głową. Szybko myślał. Był odważnym człowiekiem.

— Wiedzą, gdzie jesteśmy. Wiedzą, że jesteśmy tutaj. Chcą tylko uzyskać potwierdzenie, to wszystko. Stale nas kontrolują.

Dyspozytor odezwał się ponownie. *Pięć-jeden, pięć-dwa, proszę się zgłosić.* Hobie wpatrywał się w Sarka. O'Hallinan usiłowała wstać i patrzyła na radia. Tony skierował pistolet w jej stronę.

Pięć-jeden, pięć-dwa, czy mnie słyszycie? Głos znikł w szumie, ale po chwili wrócił. Teraz brzmiał wyraźniej.

Pięć-jeden, pięć-dwa, mamy pilny przypadek przemocy domowej na rogu Houston i alei D. Czy jesteście w tej okolicy? Hobie się uśmiechnął.

— To trzy kilometry stąd — powiedział. — Nie mają najmniejszego wyobrażenia, gdzie jesteście.

Skrzywił się ironicznie. Lewa część jego twarzy przyjęła dziwny wyraz, natomiast prawa pozostała nieruchoma jak sztywna maska.

14

Po raz pierwszy w życiu Reacherowi było wygodnie w samolocie. Latał od urodzenia, najpierw jako dziecko żołnierza, potem jako żołnierz. W sumie przeleciał miliony kilometrów skulony na ławce w demonstracyjnie spartańskich wojskowych samolotach transportowych albo wciśnięty w wąski fotel w klasie turystycznej. Podróż pierwszą klasą samolotu pasażerskiego była dla niego nowym luksusem.

Kabina pierwszej klasy robiła wrażenie. To była zamierzona obraza pasażerów klasy turystycznej, którzy przechodzili wzdłuż samolotu do swoich skromnych miejsc. W pierwszej klasie w jednym rzędzie stały cztery fotele, a w turystycznej dziesięć. Z arytmetyki wynikało, że fotele w jedyne są dwa i pół razy szersze, a ponadto były lepsze. Wydawały się ogromne. Reacher miał wrażenie, że siedzi na sofie. Mógł się wiercić na wszystkie strony, nie obijając bioder o łokcie. Odstępy między rzędami były tak duże, że mógł obsunąć się na fotelu i wyciągnąć nogi, nie wbijając kolan w oparcie następnego fotela. Naciskając guzik, mógł odchylić oparcie do tyłu tak bardzo, że prawie leżał poziomo, nie przeszkadzając przy tym pasażerowi z tyłu. Zmienił ustawienie oparcia kilka razy, zupełnie jak dziecko, które bawi się nową zabawką. W końcu wybrał położenie pośrednie i otworzył magazyn linii lotniczych, świeży i nowy, nie zaś pogięty i lepki jak te, które czytali pasażerowie w dalszych czterdziestu rzędach.

Jodie utonęła w swoim fotelu. Zdjęła buty i usiadła z podwiniętymi nogami. Na kolanach trzymała ten sam magazyn, a obok jej łokcia stał kieliszek ze schłodzonym szampanem. W kabinie było cicho. Siedzieli w przedniej części samolotu, daleko od silników, których huk nie był tu głośniejszy od szmeru wentylatorów. Reacher nie czuł żadnych drgań. Spojrzał na powierzchnię złotego szampana w kieliszku Jodie. Była zupełnie nieruchoma.

— Mógłbym się przyzwyczaić do takich warunków — powiedział.

Jodie spojrzała na niego z uśmiechem.

— Nie z twoimi zarobkami — zauważyła.

Reacher kiwnął głową i zajął się arytmetyką. Wytoczył, że za jedną dniówkę przy kopaniu basenów mógłby kopić osiemdziesiąt kilometrów lotu w pierwszej klasie. Samolot pokonywał taki dystans w pięć minut. Dziesięć godzin pracy, zarobek przepuszczony w pięć minut. Wydawałby pieniądze sto dwadzieścia razy szybciej, niż je zarabiał.

— Co zamierzasz teraz robić? — spytała Jodie. — Gdy skończymy z tą sprawą?

- Nie wiem. Reacher zadawał sobie to pytanie, od kiedy Jodie powiedziała mu o domu. Ten dom tkwił w jego wyobraźni, chwilami wydawał mu się zagrożeniem, chwilami czymś przyjemnym. Przypominał mu obraz, który zmienia się w zależności od nachylenia względem światła. Chwilami stał oświetlony słońcem, wygodny, niski i rozległy, otoczony dziczalym ogrodem, jak prawdziwy rodzinny dom. Chwilami ukazywał mu się jako gigantyczne koło młyńskie, które zmusza do coraz szybszego biegu, żeby tylko pozostać na linii startu. Znał ludzi mających domy. Rozmawiał z nimi z takim samym pełnym dystansu zainteresowaniem, z jakim rozmawiałby z osobą hodującą węże lub startującą w konkursach tanecznych. Dom narzuca pewien styl życia. Jeśli nawet ktoś dał ci go w prezencie, jak zrobił Leon, to dom nakłada na ciebie liczne obowiązki. Są podatki od nieruchomości. Reacher wiedział o tym. Trzeba zapłacić za ubezpieczenie od pożaru i klęsk żywiołowych, takich jak huragan. Dom wymaga napraw i konserwacji. Znajomi właściciele domów ciągle coś przy nich robili. Zdarzało się, że przed zimą wymieniali system grzewczy, bo stary się zepsuł. Albo w piwnicy pojawiła się woda i konieczna była skomplikowana operacja związana z odświeżaniem fundamentów. Dachy stanowiły częsty problem. Wiedział o tym. Znajomi mu opowiadali. Zaskoczyło go, że życie dachu może się skończyć. Trzeba zdjąć gonty i założyć nowe. Malować ściany lub wymieniać deskowanie. To samo z oknami. Znał ludzi, którzy długo rozważali, jakie kupić okna. — Czy zamierzasz szukać pracy? — spytała Jodie. Reacher wyglądał przez owalne okno. Lecieli nad południową Kalifornią. Dziesięć kilometrów pod nimi ciągnęła się sucha brązowa pustynia. Jaką pracę? Utrzymanie domu — podatki, ubezpieczenie, naprawy — będzie go kosztowało pewnie z dziesięć tysięcy dolarów rocznie. Dom stał z dala od miasta, więc musiałby zatrzymać samochód Ruttera. Dostał go za darmo, tak jak dom, ale użytkowanie takiego samochodu też łączyło się z wydatkami. Ubezpieczenie, zmiany oleju, na-

prawy, benzyna. Pewnie kolejne trzy patyki rocznie. Do tego należało dodać wydatki na życie — jedzenie, ubrania, media. Gdyby miał dom, chciałby mieć jeszcze inne rzeczy. Chciałby

kupić stereo, płyty Wynonny Judd i wielu innych muzyków. Przypomniawszy sobie ręcznie spisany roczny budżet pani Hobie. Ona uznała, że potrzebują określonej sumy na cały rok, a Reacher nie wyobrażał sobie, żeby udało mu się zejść poniżej tej kwoty. Musiał mieć trzydzieści tysięcy dolarów rocznie, a zatem musiałby zarabiać pięćdziesiąt tysięcy, bo jeszcze nie uwzględnił podatków od dochodu i kosztów dojazdu do cholernej pracy.

— Nie wiem — powtórzył.

— Jest wiele rzeczy, które mógłbyś robić.

— Na przykład?

— Masz liczne zdolności. Jesteś znakomitym detektywem. Tata zawsze mówił, że jesteś najlepszym, jakiego w życiu spotkał.

— Tak było w wojsku — odpowiedział. — To już skończone.

- Te same umiejętności można stosować w różnych dziedzinach. Zawsze jest popyt na zdolnych ludzi.

Uniosła głowę tak, jakby nagle wpadła na dobry pomysł.

- Możesz przejąć praktykę Costella. Zostanie po nim próżnia. Nieustannie korzystaliśmy z jego usług.

- Świetny pomysł. Najpierw postarałem się, żeby go zabili, teraz przejmę jego interesy.

— To nie była twoja wina — odpowiedziała Jodie. — Powinieneś o tym pomyśleć.

Wobec tego Reacher znowu zaczął przyglądać się Kalifornii i myśleć. Przypomniawszy sobie wysłużony skórzany fotel Costella i jego starzejące się, przywykłe do wygod ciała. Wyobraził sobie, jak siedzi w pastelowym pokoju z mlecznymi szybami i spędza całe życie przy telefonie. Pomyślał, ile kosztuje utrzymanie biura na Greenwich Avenue, zatrudnienie sekretarki, zapewnienie jej nowego komputera, konsoli telefonicznej, ubezpieczenia medycznego i płatnego urlopu. Na dokładkę do wszystkich wydatków związanych z domem w Garrison. Pracowałby przez dziesięć miesięcy, nim zarobiłby pierwszego dodatkowego dolara.

— Nie wiem — rzekł po chwili. — Nie jestem pewny, czy chcę o tym myśleć.

— Będziesz musiał.

— Być może — zgodził się. — Ale niekoniecznie w tej chwili.

Jodie uśmiechnęła się ze zrozumieniem i przerwała rozmowę. Samolot leciał z cichym szumem. Stewardesa podawała napoje. Jodie wybrała jeszcze jeden kieliszek szampana, Reacher zdecydował się na piwo. Przekartkował magazyn — nudne artykuły o niczym szczególnym. Reklamy usług finansowych i różnych skomplikowanych gadżetów, czarnych i wymagających baterii. Dotarł do opisu floty samolotów linii lotniczej z licznymi kolorowymi rysunkami. Zidentyfikował samolot, którym lecieli, dowiedział się, ilu bierze pasażerów, jaką ma rozpiętość skrzydeł i moc silników. Na końcu magazynu była krzyżówka na całą stronę. Wydawała się trudna. Jodie już ją rozwiązywała.

— Spójrz na jedenaście pionowo — poprosiła.

— Bywają ciężkie — przeczytał. — Dziewięć liter.

— Obowiązki — powiedziała Jodie.

• • •

Marilyn i Chester Stone siedzieli skuleni na sofie przed biurkiem, ponieważ Hobie zajął łazienkę. Był tam z policjantami. Mężczyzna w ciemnym garniturze siedział na sofie naprzeciwko nich, ze strzelbą na kolanach. Tony rozwalił się obok niego i położył nogi na stoliku. Chester miał tępą minę i wpatrywał się w przestrzeń. Marilyn była zmarznięta, głodna i przerażona. Z łazienki nie dochodziły do nich żadne odgłosy.

— Co on tam z nimi robi? — szepnęła.

— Prawdopodobnie na razie tylko z nimi rozmawia — odpowiedział Tony, wzruszając ramionami.

— O czym?

— No, pyta ich, co lubią a czego nie. W zakresie fizycznego bólu. Lubi to robić.

— Boże, dlaczego?

— Jego zdaniem tak jest bardziej demokratycznie, więc

pozwała ofiarom decydować o swoim losie. — Uśmiechnął się. Marilyn zadygotała.

— Boże, czy on nie może ich po prostu wypuścić? Przecież sądzili, że Sheryl pobił męża, to wszystko. Nic o nim nie wiedzieli.

— No to niedługo czegoś się dowiedzą — rzucił Tony. — Każe ofiarom wybierać liczbę. Nigdy nie wiedzą, czy wybrać małą, czy dużą, bo nie mają pojęcia, o co chodzi. Wydaje się im, że jeśli wybiorą właściwą, to go ułagodzi. Zawsze bardzo długo nad tym myślą.

— Czy nie może ich puścić? Może później? Tony potrząsnął głową.

— Nie — odrzekł. — Jest bardzo spięty. To go relaksuje. Jak terapia.

Marilyn długo milczała. Musiała jednak zapytać.

— A co ma oznaczać ta liczba? — szepnęła. — Ile godzin będą umierać — wyjaśnił Tony. — Ci, którzy wybrali dużą, bardzo tego później żałują.

— Ależ z was łajdacy.

- Jeden facet wybrał kiedyś sto, ale skończyliśmy z nim po dziesięciu.

— Łajdacy.

— Tobie nie każe wybierać liczby. W stosunku do ciebie ma inne plany.

W łazience wciąż panowała cisza.

— On jest szalony — szepnęła Marilyn.

— Pewnie trochę tak — zgodził się Tony, wzruszając ramionami. — Mimo to go lubię. W życiu wiele wycierpiał. Może dlatego interesuje go ból.

Marilyn patrzyła na niego z przerażeniem. W tym momencie zadzwonił dzwonek przy dębowych drzwiach na korytarz. W przerażającej ciszy zabrzmiał wyjątkowo głośno. Tony i mężczyzna ze strzelbą spojrzeli w tamtym kierunku.

— Sprawdź, o co chodzi — polecił Tony.

Sięgnął do kieszeni marynarki po pistolet. Wycelował w Marilyn i Chestera. Jego partner ze strzelbą podniósł się z niskiej sofy i obchodząc stół, poszedł do drzwi. Zamknął je za sobą. W gabinecie zrobiło się cicho. Tony wstał. Podszedł do łazienki. Zapukał w drzwi kolbą, uchylił je i wsunął głowę do środka.

— Mamy gości — szepnął.

Marilyn rozejrzała się na prawo i lewo. Tony był siedem metrów od niej, a stał najbliżej.

Wzięła głęboki oddech, zerwała się z sofy, przeskoczyła przez stolik, przebiegła po sofie naprzeciwko i rzuciła się do drzwi. Otworzyła je gwałtownie. Facet w ciemnym garniturze stał po drugiej stronie poczekalni przy drzwiach i rozmawiał z jakimś niskim mężczyzną

— Pomocy! — krzyknęła.

Mężczyzna spojrzął na nią. Był ubrany w ciemnoniebieskie spodnie, niebieską koszulę i krótką marynarkę koloru spodni. Jakiś mundur. Na kłapie marynarki miał wyszyte jakieś logo. Pod pachą trzymał brązową, papierową torbę ze sklepu spożywczego.

— Pomocy! — zawołała jeszcze raz.

Mężczyzna w ciemnym garniturze rzucił się gwałtownie do przodu, wciągnął gościa do poczekalni i zatrzasnął za nim drzwi. Równocześnie Tony chwycił Marilyn od tyłu, obejmując ją ramieniem w pasie. Powlókł ją do gabinetu. Pochyliła się, usiłując stawić opór. Zgięła się w pół i zaciekle walczyła.

— Na litość boską, pomocy!

Tony uniósł ją z podłogi. Jego ramię przesunęło się pod jej piersi. Krótka sukienka podjechała do góry, odsłaniając uda. Marilyn kopała i próbowała się wyrwać. Niski mężczyzna w niebieskim uniformie gapił się na nią. Spadły jej buty. Tamten się uśmiechnął. Wszedł do gabinetu, omijając jej pantofle.

— Hej, chciałbym mieć taki towar — powiedział.

— Wybij to sobie z głowy — wysapał Tony. — Ścisły zakaz, przynajmniej na razie.

— Szkoda — westchnął ten nowy. — Na co dzień nie widuje się czegoś takiego.

Tony zaciągnął Marilyn na sofę i posadził obok Chestera. Mężczyzna wzruszył ramionami z wyraźnym żalem i opróżnił torbę na biurko. Na blat posypały się paczki pieniędzy. Hobie wyszedł z łazienki. Był bez marynarki, a rękawy koszuli podwinął do łokci. Lewe przedramię było mocno umięśnione i pokryte czarnymi włosami. Na prawym nosił skórzany futerał, ciemnobrązowy, wysłużony i lśniący, z paskami ginącymi w rękawie. Na dole futerał się zwęzał i wystawał z niego stalowy hak z prostym odcinkiem o długości piętnastu centymetrów i łukiem zakończonym ostrym szpicem.

— Tony, policz pieniądze — polecił.

Marilyn wyprostowała się na sofie. Spojrzała na tego nowego.

— On trzyma tam dwoje policjantów — powiedziała z naciskiem. — Chce ich zabić.

Facet wzruszył ramionami.

— I bardzo dobrze — stwierdził. — Moim zdaniem trzeba ich wszystkich pozabijać.

Marilyn spojrzała na niego tępym wzrokiem. Tony stanął za biurkiem i uporządkował paczki pieniędzy. Ułożył je w rzędek i przeliczył, przekładając z jednego końca biurka na drugi.

- Czterdzieści tysięcy.

— Gdzie są kluczyki? — spytał nowy. Tony otworzył szufladę biurka.

— To kluczyki do benza — powiedział. Rzucił je niskiemu mężczyźnie. Sięgnął do kieszeni po następne. — Te do tahoe. Samochody są na parkingu na dole.

— Co z bmw? — spytał mężczyzna w uniformie.

— Jeszcze stoi w Pound Ridge! — zawołał Hobie z drugiego końca pokoju.

— Kluczyki?

— Pewnie w domu — rzekł Hobie. — Nie wzięła torebki, a nie wydaje się, żeby gdzieś je ukrywała, prawda?

Mężczyzna spojrzał na sukienkę Marilyn i uśmiechnął się obleśnie.

— Coś się pod tym kryje, ale nie wygląda to na kluczyki. Marilyn popatrzyła na niego z obrzydzeniem. Na klapie

miał wyhaftowany czerwonym jedwabiem napis: *Mo's Motors*. Hobie przeszedł przez gabinet i stanął za nią. Pochylił się i podsunął jej pod nos hak. Marilyn wpatrywała się w stalowy szpic z odległości kilkunastu centymetrów. Zadrżała.

- Gdzie są kluczyki? — pytali

— Bmw należy do mnie, nie do firmy.

— Należał. Już przestał.

Hobie przysunął hak jeszcze bliżej. Czują zapach metalu i skóry.

— Mogę ją przeszukać — zaproponował ten nowy. — Może jednak gdzieś je ukryła.

Przychodzi mi do głowy kilka interesujących miejsc, które można by sprawdzić.

Marilyn znowu zadygotała.

— Kluczyki — powiedział cicho Hobie.

— W kuchni na kredensie — szepnęła.

Hobie opuścił hak i odszedł od niej z uśmiechem. Ten nowy wydawał się rozczarowany.

Kiwnął na znak, że usłyszał ten szept. Poszedł powoli do drzwi, bawiąc się kluczykami do benza i tahoe.

— Przyjemnie robić z wami interesy — rzucił na pożegnanie. Zatrzymał się przy drzwiach i jeszcze raz spojrzał na Marilyn.

- Jesteś pewny, że to niemożliwe, Hobie? Biorąc pod uwagę to, jak długo się znamy? Ile interesów robiliśmy razem?

Hobie zdecydowanie pokręcił głową.

— Nawet o tym nie myśl. Ta należy do mnie.

Facet wzruszył ramionami i wyszedł, machając kluczykami. Zatrzasnął za sobą drzwi gabinetu. Po chwili usłyszeli trzask drzwi do biura i szum windy. Znowu zapadła cisza. Hobie spojrzał na stos pieniędzy, odwrócił się i poszedł do łazienki. Marilyn i Chester siedzieli obok

siebie na sofie, zmarznięci, głodni i bliscy wymiotów. Światło przenikające przez szczeliny żaluzji było coraz słabsze, widać było żółtą poświatę zachodu. Cisza w łazience trwała, jak oceniała Marilyn, mniej więcej do ósmej. Potem przerwał ją krzyk bólu.

• • •

Samolot gonił słońce przesuujące się na zachód, ale nie nadążał — stracił trzy godziny. Wylądował na Oahu już po południu. Pasażerowie pierwszej klasy wysiedli przed tymi z klasy turystycznej, dzięki czemu Reacher i Jodie jako pierwsi znaleźli się na postoju taksówek. Pod względem temperatury i wilgotności pogoda przypominała Teksas, ale w powietrzu czuć było sól, bo do Pacyfiku nie było daleko. Słońce świeciło nieco łagodniej. Zielone, poszarpane góry i niebieski ocean sprawiały, że wyspa przypominała lśniący klejnot tropików. Jodie znowu nałożyła ciemne okulary. Rozglądała się dookoła z umiarkowanym zaniepokojeniem. W czasach służby ojca wielokrotnie była na Hawajach, ale nigdy tak naprawdę się tu nie zatrzymała. Tak samo Reacher. Nie potrafiłby zliczyć, ile razy wykorzystywał Hawaje jako punkt przesiadkowy w podróżach po Pacyfiku, ale nigdy tutaj nie służył.

Pierwsza taksówka w długim szeregu była wierną kopią tej, którą jechali z Dallas-Fort Worth. Czysta caprice z klimatyzacją włączoną na pełny regulator i miejscem dla kierowcy przypominającym kaplicę i salon równocześnie. Rozczarowali kierowcę, wybierając najkrótszy możliwy kurs na Oahu — objazd wokół lotniska do bramy bazy sił powietrznych Hickam. To mniej niż kilometr. Facet spojrzął na stojące za nim taksówki.

Najwyraźniej myślał z zazdrością, o ile więcej zarobią jego koledzy.

— Dostaniesz dziesięć dolarów napiwku — obiecał mu

Reacher.

Kierowca spojrzął na niego dokładnie takim wzrokiem, jak kasjer na lotnisku Dallas-Fort Worth. Licznik nie wyjdzie poza opłatę za pierwszy kilometr, a ten oferuje taki napiwek? Reacher spojrzął na fotografię przyklejoną taśmą do winylowej deski rozdzielczej. Zapewne rodzina kierowcy. Ciemnoskóra, uśmiechnięta kobieta w kolorowej sukni i liczne ciemne dzieci. Wszyscy stali przed czystym, skromnym domem. Na prawo od domu dostrzegł ogród. Pomyślał o Hobiach samotnie siedzących w ciemnej ciszy w Brighton, z syczącą butlą z tlenem i skrzypiącymi deskami podłogi. Przypomniał sobie Ruttera i jego brudną norę.

— Dwadzieścia dolarów — powiedział. — Jeśli ruszymy od razu, zgoda?

— Dwadzieścia dolarów? — powtórzył kierowca ze zdumieniem.

mieniem.

— Trzydzieści. Dla twoich dzieci. Wydają się miłe. Kierowca się uśmiechnął, musnął palcami usta i następnie

dotknął lśniącej powierzchni zdjęcia. Ruszył, zmienił pas na drodze wokół lotniska i niemal natychmiast, po przejechaniu ośmiuset metrów, zatrzymał się przed bramą bazy, która wyglądała dokładnie tak jak w Fort Wolters. Jodie otworzyła drzwiczki i wysiadła. Na zewnątrz było bardzo gorąco. Reacher wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów. Na wierzchu było pięćdziesiąt dolarów. Wziął banknot i podał go przez otwór w barierze z pleksiglasu.

— Reszty nie trzeba — rzucił. Wskazał zdjęcie. — To pana dom?

Kierowca przytaknął.

— Dobrze się trzyma? Trzeba coś naprawić? Taksówkarz pokręcił głową.

— Nie. Jest w doskonałym stanie.

— Dach w porządku?

— Żadnych problemów.

- Tylko pytałem — powiedział Reacher. Przesunął się po siedzeniu i wysiadł. Stał obok Jodie na rozgrzanym asfalcie. Taksówka odjechała w kierunku cywilnego terminalu. Gorące powietrze było nieco mgliste. Od strony oceanu wiał lekki wiatr, niosąc zapach soli. Jodie odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się wokół.

— Dokąd idziemy?

— CLIH — odparł. — Centralne Laboratorium Identyfikacji, Hawaje. To główne laboratorium sił lądowych.

— Po co?

— Pokażę ci — rzekł. — Przynajmniej taką mam nadzieję — dodał po chwili.

Podeszli do wartowni i stanęli przy okienku. W środku siedział sierżant w takim samym mundurze, tak samo ostrzyżony i z taką samą podejrzliwą miną jak żołnierz w Wolters. Kazał im czekać na słońcu, ale po chwili odsunął okienko. Reacher podał nazwiska.

— Jesteśmy umówieni z Nashem Newmanem — wyjaśnił. Sierżant wydawał się zdziwiony.

Podniósł podkładkę do

notowania i przewrócił kilka kartek. Przesunął palcem wzdłuż

linii i skinął głową. Podniósł słuchawkę i wybrał czterocyfrowy numer. Telefon wewnętrzny.

Podał nazwiska gości i poczekał na odpowiedź. Znowu coś go zdziwiło. Zastonił dłonią

mikrofon i spojrzał na Jodie.

— Ile ma pani lat? — spytał.

- Trzydzieści — odpowiedziała. Teraz ona była zaskoczona.

— Trzydzieści — powtórzył sierżant do mikrofonu. Słuchał jeszcze chwilę, po czym odłożył telefon i zanotował coś na podkładce. Zwrócił głowę w Iderunku okna.

— Newman zaraz przyjdzie, mogą państwo wejść.

Przećcisnęli się między ścianą wartowni i przeciwwagą szlabanu. Czekali tylko o dwa metry dalej, ale teraz stali na chodniku należącym do bazy, nie zaś wydziału drogowego Hawajów, co natychmiast wpłynęło na wyraz twarzy sierżanta. Zapomniał o podejrzliwości i tylko przyglądał się im z zaciekawieniem. Bardzo chciał wiedzieć, dlaczego legendarnemu Nashowi Newmanowi tak bardzo zależało, żeby ci cywile jak najszybciej znaleźli się w bazie.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy stał niski, betonowy budynek z prostymi drzwiami w ślepej ścianie. Po chwili wyszedł przez nie siwowłosy mężczyzna. Zamknął za sobą drzwi na klucz, po czym szybkim krokiem skierował się w stronę wartowni. Miał na sobie spodnie i koszulę od tropikalnego munduru, a na wierzchu biały laboratoryjny fartuch. Przy kołnierzu widać było dość metalu, żeby odgadnąć, iż jest wyższym oficerem, a jego postawa całkowicie potwierdzała to wrażenie. Reacher ruszył mu na spotkanie. Jodie poszła za nim. Siwowłosy mężczyzna miał pięćdziesiąt parę lat, był wysoki, miał dumną, patrycjuszowską twarz. Odznaczał się naturalną atletyczną sprawnością, która dopiero zaczynała słabnąć pod wpływem wieku.

— Generał Newman — odezwał się Reacher. — Chciałbym panu przedstawić Jodie Garber.

Newman spojrzał na niego i uściśnął rękę Jodie. Uśmiechnął się do niej.

— Miło mi poznać pana, generale — powiedziała Jodie.

— Już kiedyś się spotkaliśmy — stwierdził Newman.

- Naprawdę? — 'zdziwiła się Jodie.

— Tak, ale pewnie pani tego nie pamięta. Byłbym zdumiony, gdyby pani pamiętała. Na Filipinach. Miała pani wtedy ze trzy lata. Spotkaliśmy się w ogrodzie pani ojca. Pamiętam, że przyniosła mi pani szklankę ponczu. To była duża szklanka, niosła ją pani przez wielki ogród, a była pani małą dziewczynką. Trzymała ją pani dwiema rękami, wysuwając język, z ogromnym skupieniem. Obserwowałem panią i serce podchodziło mi do gardła ze strachu, że pani ją upuści.

— Ma pan rację, niestety, tego nie pamiętam. — Jodie się uśmiechnęła. — Miałam trzy lata? To było bardzo dawno temu.

— Dlatego spytałem sierżanta, na ile lat pani wygląda — odrzekł Newman. — Nie chciałem, żeby panią pytał o to wprost. Chodziło mi o jego subiektywne wrażenie. Kobiety nie należy pytać o wiek, prawda? Ciekaw byłem jednak, czy rzeczywiście odwiedza mnie córka Leona. Generał uściśnął jej dłoń. Zwrócił się do Reachera i poklepał go po ramieniu.

- Jack Reacher! — wykrzyknął. — Cholernie się cieszę, że znowu cię widzę.

Reacher mocno ścisnął jego rękę. Też się cieszył.

— Generał Newman był moim nauczycielem — wyjaśnił Jodle. — Milion lat temu wykładał w szkole policyjnej. Cała moja wiedza o kryminalistyce pochodzi od niego.

- Był dobrym studentem — rzekł Newman. — A w każdym razie uważał na wykładach, co rzadko się zdarza.

- Czym się pan tu zajmuje, generale? — spytała.

- Hm, antropologią kryminalistyczną — odparł Newman. - Jest najlepszym eksportem na świecie- wtrącił Reacher.

Newman machnął ręką na ten komplement.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Antropologia? — zdziwiła się Jodle. — Wydawało mi się, że antropologia zajmuje się badaniem prymitywnych ple-mion. Jak żyją, w co wierzą, jakie odprawiają rytuały i tak dalej.

- To pole działania antropologii kulturowej - odrzekł Newman. - Są różne odmiany antropologii. Ja się zajmuję antropologią kryminalistyczną stanowiącą część antropologii fizycznej.

- Polega na badaniu ludzkich zwłok w poszukiwaniu śladów i dowodów — dodał Reacher.

— Jestem lekarzem od kości — uciął Newman. — Do tego to się sprowadza.

Rozmawiając, powoli przesuwali się wzdłuż chodnika w kierunku drzwi w ślepej ścianie.

Otworzył im młodszy mężczyzna, który stał w korytarzu i czekał na nich. Niczym się nie wyróżniał; miał jakieś trzydzieści lat, a pod fartuchem nosił mundur porucznika. Newman wskazał go mchem głowy.

— To porucznik Simon. Prowadzi laboratorium. Bez niego nie dałbym sobie rady.

Przedstawił porucznikowi Reachera i Jodie. Wszyscy wymienili uściski dłoni. Simon był człowiekiem spokojnym i zdystansowanym. Reacher uznał, że to typowy facet z laboratorium, zirytowany zakłóceniem normalnego trybu pracy. Newman poprowadził ich przez korytarz do swego gabinetu. Simon w milczeniu skinął głową i znikł.

— Siadajcie — powiedział Newman. — Porozmawiajmy.

— Czy zatem jest pan kimś w rodzaju anatomopatologa? — spytała Jodie.

Newman usiadł za swoim biurkiem. Pokiwał ręką na boki, sygnalizując brak zgody.

— Anatomopatolog ma ukończoną medycynę, w przeciwieństwie do antropologów. My studiowaliśmy tylko antropologię, nic poza tym. Naszą specjalnością jest fizyczna struktura ludzkiego ciała. Zarówno anatomopatolodzy, jak i antropolodzy badają zwłoki, ale ogólnie mówiąc, jeśli ciało jest stosunkowo świeże, to stanowi przedmiot zainteresowania anatomopatologa, a jeśli został tylko szkielet to już nasze zadanie. Dlatego mówię, że jestem specjalistą od kości.

Jodie pokiwała głową.

— Oczywiście to pewne uproszczenie — dodał Newman. — Zdarza się, że zajmujemy się zwłokami ludzi, którzy niedawno zmarli. Przypuśćmy, że ciało jest poćwiartowane. W takim przypadku anatomopatolog zapewne zwróciłby się do nas z prośbą o pomoc. Moglibyśmy zbadać ślady pozostawione na kościach przez użyte narzędzia, takie jak piła, określić, czy sprawca był słaby czy silny, lewo- czy praworęczny i tak dalej. Jednakże w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto badam szkielety. Wysznięte, stare kości. — Newman uśmiechnął się jak z jakiegoś prywatnego żartu. — Kiedy mamy do czynienia ze starymi szkieletami, anatomopatolodzy są bezużyteczni. Naprawdę, zupełnie beznadziejni. Nie mają pojęcia o podstawowych rzeczach. Czasami zastanawiam się, czego właściwie ich uczą na studiach.

W gabinecie było cicho i chłodno. Żadnych okien, pośrednie oświetlenie z ukrytych lamp, wykładzina na podłodze. Biurko z palisandru, wygodne skórzane fotele dla gości. Elegancki zegar na niskiej półce wskazywał już trzecią trzydzieści. Zostało im tylko trzy i pół godziny do lotu do Nowego Jorku.

— Przejechaliśmy tu w pewnej sprawie, generale — powiedział Reacher. — Niestety, to nie jest czysto towarzyska wizyta.

— Mimo to nie musisz nazywać mnie generałem. Mów do mnie Nash, okay? Słucham, jaki macie problem?

- Potrzebujemy twojej pomocy, Nash - Odparł Reacher. Newman spojrzała na niego.

— Chodzi ci o kogoś z listy zaginionych w walce? Newman zwrócił się do Jodie, żeby wyjaśnić.

— Tym się tutaj zajmuję. Od dwudziestu lat nie robię nic innego.

Jodie skinęła głową.

— Rzeczywiście, chodzi nam o pewną szczególną sprawę, w którą zostaliśmy wciągnięci.

Newman powoli pokiwała głową. Z jego oczu nagle znikło światło.

— Tak, tego się obawiałem — powiedział. — Mamy tu osiemdziesiąt dziewięć tysięcy sto dwadzieścia spraw żołnierzy zaginionych w walce, ale mogę się założyć, że wiem, o którą wam chodzi

— Osiemdziesiąt dziewięć tysięcy? — powtórzyła ze zdumieniem Jodie.

— I sto dwadzieścia. Dwa tysiące dwustu z Wietnamu, osiem tysięcy stu siedemdziesięciu z Korei i siedemdziesiąt osiem tysięcy siedemset pięćdziesięciu z drugiej wojny światowej. Nie zrezygnowaliśmy z prób ustalenia losu nikog z nich i obiecuję, że nigdy nie przestaniemy próbować.

— Boże, dlaczego jest ich aż tylu?

Newman wzruszył ramionami. Jego twarz nagle wykrzywił gorzki grymas.

- Tak już jest na wojnie — odpowiedział. — Materiały wybuchowe, operacje taktyczne, samoloty. Toczą się wojny, niektórzy żołnierze przeżywają, inni giną. Zwłoki poległych czasami udaje się odzyskać, czasami nie. Niekiedy nie pozostaje nic. Jeśli ktoś zostanie trafiony pociskiem z działa, rozpada się na pojedyncze molekuły. Po prostu nic z niego nie zostaje. Może tylko drobna czerwona zawieszina w powietrzu, i to nie zawsze, bo mógł całkowicie wyparować. Jeśli pocisk wybuchł w pobliżu, z delikwenta zostają tylko strzępy. A przecież w walce chodzi o zdobycie terenu, prawda? Jeśli nawet te strzępy są dość duże, zostaną prawdopodobnie wgniecione w ziemię przez czołgi, nieprzyjacielskie lub własne, poruszające

się w tę i z powrotem po polu walki, a wtedy już nie można znaleźć żadnych śladów. — Generał na chwilę zamilkł. Słychać było tykanie zegara. — Jeszcze gorzej jest z lotnikami. Toczyliśmy wiele kampanii powietrznych nad oceanami. Gdy samolot spada do wody, nie zostają żadne ślady. Członkowie załogi pozostaną na liście zaginionych do końca świata, niezależnie od tego, ile wysiłku poświęcą na ich szukanie ludzie pracujący w takich laboratoriach jak to.

Newman machnął ręką, jakby chciał objąć cały gabinet i niewidoczne laboratoria. Zatrzymał ją zwróconą w kierunku Jodie, dłonią do góry, jakby o coś prosił.

— Osiemdziesiąt dziewięć tysięcy — powtórzyła. — A ja sądziłam, że w sprawie zaginionych chodzi tylko o Wietnam. Dwa tysiące ludzi.

— Osiemdziesiąt dziewięć tysięcy sto dwadzieścia — raz jeszcze podkreślił Newman. — Wciąż dostajemy zwłoki z Korei, niekiedy z drugiej wojny światowej, z wysp na Pacyfiku. Ale ma pani rację, chodzi głównie o zaginionych w Wietnamie. Dwa tysiące dwustu. Szczerze mówiąc, nie tak wielu. Więcej ludzi ginęło każdego dnia podczas pierwszej wojny światowej. codziennie przez cztery długie lata. Żołnierze rozerwani na strzępy i rozdeptani w błocie. Wietnam był jednak inny. Po części z powodu takich wydarzeń jak pierwsza wojna światowa. Nie akceptujemy już masowej rzezi, i całkiem słusznie. Zrobiliśmy krok naprzód.

Społeczeństwo po prostu już nie aprobeuje takiego nastawienia jak dawniej. Jodie w milczeniu pokiwała głową.

— A poza tym przegraliśmy wojnę w Wietnamie — dodał Newman. — To duża różnica. Jedyna wojna, jaką kiedykolwiek przegraliśmy. Z powodu porażki straty bolą nas znacznie bardziej. Dlatego staramy się wyjaśnić wszystkie przypadki.

Newman znowu wskazał gestem niewidoczne laboratoria. Jego głos zabrzmiał nieco pogodniej.

— A więc tym się tutaj zajmujecie? — zapytała Jodie. — Czekacie, aż gdzieś daleko zostaną znalezione jakieś szkielety, sprowadzacie je tutaj i identyfikujecie, tak? Chodzi o to, żeby wreszcie skreślić kogoś z listy zaginionych?

Newman znowu pomachał przecząco ręką.

— Nie czekamy beczynnie. Jeśli to możliwe, prowadzimy poszukiwania. I nie zawsze udaje się nam zidentyfikować zwłoki, choć cholernie się staramy.

— To musi być bardzo trudne.

— Pod względem technicznym to często poważne wyzwanie — zgodził się Newman. — W miejscach, skąd pochodzą szkielety, zwykle panuje potworny bałagan. Pracownicy terenowi przysyłają nam kości zwierząt, miejscowej ludności. Musimy je posortować. Potem zaczynamy analizę. Niekiedy mamy bardzo mało materiału. Po niektórych żołnierzach zostaje tylko trochę odłamków kości; zmieściłyby się w pudełku po cygarach.

— Niemożliwe — zdziwiła się Jodie.

— To zdarza się całkiem często — odrzekł generał. — Teraz mamy tu ze sto niezidentyfikowanych częściowych szkieletów. Departament Obrony nie może sobie pozwolić na pomyłki. Obowiązują bardzo surowe kryteria oceny, a nie zawsze jesteśmy w stanie im sprostać.

— Od czego zaczynacie? — zacięła się Jodie.

Nash wzruszył ramionami.

— Zależy od tego, czym dysponujemy. Zwykle od danych medycznych. Przypuśćmy, że Reacher zaginął w akcji. Jeśli w dzieciństwie złamał rękę, możemy porównać archiwalne zdjęcia rentgenowskie ze zrośniętymi kośćmi. Może. Gdybyśmy znaleźli jego szczękę, moglibyśmy porównać plomby w zębach z danymi od stomatologa.

Reacher zauważył, że Jodie patrzy na niego i wyobraża sobie, jak Nash porównuje jego poślizgnięte kości znalezione w dżungli i oczyszczone z ziemi z kruchymi, wyblakłymi zdjęciami rentgenowskimi sprzed trzydziestu lat. W gabinecie zapadła cisza. Słychać było tykanie zegara.

— Leon był tutaj w kwietniu — przerwał milczenie Reacher.

— Tak, odwiedził mnie — potwierdził Newman. — Głupio z jego strony, bo był już bardzo chory, ale ucieszyłem się ze spotkania.

Zwrócił się do Jodie z wyrazem współczucia na twarzy.

- Był wspaniałym człowiekiem. Wiele mu zawdzięczam. Jodie kiwnęła głową. Nie pierwszy raz słyszała takie słowa. I nie ostatni.

— Pytał cię o Victora Hobiego — stwierdził Reacher.

— Tak. Victora Trumana Hobiego.

— I co mu powiedziałeś?

— Nic — odrzekł Nash. — I tobie również nic nie powiem. Wskazówki zegara stale przesuwają się naprzód. Za kwadrans czwarta.

— Dlaczego? — spytał Reacher.

— Z pewnością wiesz.

— To tajemnica?

— Ściśle tajne — odpowiedział Newman.

Reacher nie mógł spokojnie wysiedzieć na fotelu. Ogarnęła go frustracja.

— Nash, jesteś naszą ostatnią nadzieją. Wszędzie indziej już sprawdzaliśmy.

— Wiesz, jakie są reguły, Reacher. — Nash potrząsnął głową. — Do diabła, jestem oficerem amerykańskiej armii. Nie zamierzam ujawniać tajnych informacji.

- Proszę cię, Nash. Zrobiliśmy taki kawał drogi.

— Nic mogę — odparł generał.

— Nie znam tego słowa — rzekł Reacher. Cisza.

— Hm, ale możesz zadawać mi pytania — przerwał ją Newman. — Jeśli mój były student przychodzi tu i zadaje pytania, opierając się na własnych obserwacjach i informacjach, a ja odpowiadam na nie w czysto teoretyczny sposób, moim zdaniem nie może to nikomu zaszkodzić.

Reacher miał wrażenie, że rozstąpiły się chmury i wyrzało słońce. Jodie spojrzała na niego.

Zerknął na zegar. Za siedem czwarta. Mieli niecałe trzy godziny.

— Dobra, Nash, dziękuję — powiedział. — Czy znasz tą sprawę?

— Znam wszystkie, ale tę szczególnie dobrze, od kwietnia.

— Jest ściśle tajna? Newman tylko kiwnął głową.

— Tak ściśle, że nawet Leon nie mógł zostać wtajemniczony?

— Tak - A to raczej bardzo wysoki poziom — odparł Newman — Chyba się *zgadasz*?

Reacher przytaknął. Intensywnie myślał.

— Czego Leon chciał od ciebie?

— Nic nie wiedział — stwierdził Newman. — Musicie o tym pamiętać.

— Okay — rzucił Reacher. — Czego chciał od ciebie?

— Chciał, żebyśmy znaleźli miejsce, gdzie spadł helikopter.

— Sześć kilometrów na zachód od przełęczy An Khe.

— Tak — przyznał Newman. Pokiwał głową. — Było mi przykro, bo nie widziałem żadnego powodu, żeby trzymać to przed nim w tajemnicy, ale nie mogłem zmienić klauzuli tajności. Wiele mu jednak zawdzięczałem, o wiele więcej niż mogę opowiedzieć, więc obiecałem, że będziemy szukać.

- Dlaczego nie szukano znacznie wcześniej? — wtrąciła Jodie, pochylając się do przodu. —

Przecież było wiadomo, przynajmniej w przybliżeniu, gdzie spadł helikopter Hobiego.

Newman wzruszył ramionami.

— Te poszukiwania są niewiarygodnie trudne. Nie ma pani pojęcia jak bardzo. Warunki terenowe, biurokracja. Proszę pamiętać, że przegraliśmy wojnę. To Wietnamczycy dyktują tam warunki. Prowadzimy razem poszukiwania, ale to oni rządzą. Znosimy nieustanne upokorzenia i manipulacje. Nie wolno nam nosić mundurów, ponieważ oni twierdzą, że widok amerykańskich wojskowych będzie traumatycznym przeżyciem dla mieszkańców wsi. Zmuszają nas do wynajmowania ich helikopterów. Płacimy wiele milionów dolarów rocznie za rachityczne, zardzewiałe wraki, dwa razy gorsze od naszych maszyn. Prawdę mówiąc, odkupujemy te stare kości, a oni dyktują cenę i sterują podażą. Stany Zjednoczone płacą ponad trzy miliony dolarów za jedno zidentyfikowane zwłoki, co doprowadza mnie do pasji. Za cztery czwarta.

Newman ciężko westchnął. Był pogrążony w myślach.

— Ale znaleźliście to miejsce? — ciągnął Reacher.

- Planowaliśmy, że kiedyś to zrobimy — powiedział Newman. — Wiedzieliśmy w przybliżeniu, gdzie szukać i co tam znajdziemy, dlatego nie uważaliśmy tego za pilną sprawę. Z uwagi na Leona pojechałem na miejsce i wytargowałem zmianę kolejności. Chciałem, żeby ta sprawa znalazła się jako następna na liście. To nie były łatwe negocjacje. Gdy Wietnamczycy wyczuwają, że na czymś ci zależy, stają się cholernie uparci. Nie macie pojęcia jak bardzo. Zagadkowe? Nie musicie mnie o tym przekonywać.

— Czy jednak w końcu znaleźliście miejsce, gdzie rozbił się helikopter Hobiego?

— Pod względem geograficznym to parszywe miejsce. Rozmawialiśmy z DeWittem w Wolters. Pomógł nam dokładniej zlokalizować, gdzie spadł Hobe. Trudno o region bardziej odcięty od świata. Górzysty i niedostępny. Mogę zagwarantować, że żaden człowiek nie postawił tam stopy w ciągu całej historii planety. To była koszmarna wyprawa. Natomiast samo miejsce katastrofy było w doskonałym stanie. Całkowicie niedostępne, więc nie zostało spenetrowane przez szabrowników.

— Szabrowników? — zdziwiła się Jodie. — Czego mogli

tam szukać?

— Różnych rzeczy. W bardziej dostępnych miejscach ludność zabrała wszystko już trzydzieści lat temu. Brali identyfikatory, dokumenty, hełmy, pamiątki, ale najbardziej zależało im na metalach kolorowych. To dotyczy przede wszystkim wraków zwykłych samolotów, ze względu na złoto i platynę.

— Jakie złoto?

- W obwodach elektronicznych — wyjaśnił Newman. — Na przykład, w F cztery Phantom cenne metale w połączeniach elektronicznych są warte jakieś pięć tysięcy dolarów. Ludzie demontowali układy, odzyskiwali złoto i sprzedawali. Jeśli dziś kupicie tanią biżuterię w Bangkoku, możecie przypuszczać, że jest zrobiona ze złota pochodzącego z amerykańskich samolotów szturmowych.

— I co znaleźliście na miejscu? — spytał Reacher.

— Wrak był całkiem dobrze zachowany — powiedział Newman. — Rozbity i zardzewiały, ale można było dopatrzeć

się w nim hueya. Z ciał oczywiście zostały tylko szkielety. Mundury już dawno zgniły. Niczego nie brakowało. Zapakowaliśmy je do trumien i wywieźliśmy helikopterami do Hanoi. Potem przewieźliśmy starliftem na Hawaje, z pełnymi honorami. Niedawno wróciliśmy. To trwało trzy miesiące, od początku do końca. Jedna z najszybszych operacji, jakie kiedykolwiek przeprowadziliśmy. Identyfikacja będzie formalnością bo zachowały się metalowe identyfikatory. W tym przypadku antropolog jest zbędny. Wystarczy otworzyć trumnę, spojrzeć na identyfikator i można zamykać. Żałuję, że Leon tego nie dożył. Może to by go uspokoiło.

— Zwłoki są tutaj? — spytał Reacher.

— Za ścianą — odparł Newman, kiwając głową.

— Czy możemy je zobaczyć?

— Nie powinniście, ale jeśli koniecznie chcecie... Wszyscy milczeli. Newman wstał i obiema rękami wskazał

im drzwi. Na korytarzu minęli porucznika Simona.

— Idziemy do laboratorium — poinformował go Nash.

— Tak, panie generale — odpowiedział Simon. Wszedł do swojego pokoju, a Reacher, Jodie i Nash poszli dalej. Zatrzymali się przed zwykłymi drzwiami w ścianie z pustaków. Newman wyciągnął z kieszeni klucze. Otworzył drzwi i zaprosił ich do środka takim samym gestem jak poprzednio. Reacher i Jodie weszli pierwsi.

• • •

Simon przyglądał się przez otwarte drzwi swojego pokoju, jak wchodzili do laboratorium. Gdy zamknęli za sobą drzwi, podniósł słuchawkę telefonu, wybrał dziewięć, żeby otrzymać połączenie z linią zewnętrzną, po czym wykręcił dziesięcio-cyfrowy numer, zaczynając od kodu strefowego Nowego Jorku. Telefon dzwonił wiele razy, bo dziesięć tysięcy kilometrów na wschód był już późny wieczór. W końcu ktoś odebrał.

— Reacher jest tutaj — szepnął Simon. — Właśnie teraz, z jakąś kobietą. Są w laboratorium. Oglądają.

— Kim jest ta kobieta? — spytał Hobbie, całkowicie panując nad swoim głosem.

— To Jodie Garber — powiedział Simon. — Córka generała Garbera.

— Czyli pani Jacob.

— Co pan chce, żebym zrobił?

Hobbie przez chwilę się zastanawiał. Simon słyszał tylko szum towarzyszący satelitarnemu połączeniu.

— Możesz ich zawieźć na lotnisko. Ta kobieta ma umówione spotkanie w Nowym Jorku na jutro po południu, zatem pewnie będzie chciała zdążyć na samolot o siódmej wieczorem. Postaraj się, żeby się nie spóźnili.

— Dobrze — odpowiedział Simon. Hobbie przerwał połączenie.

• • •

Laboratorium mieściło się w niskiej sali, w przybliżeniu trzynaście na szesnaście metrów, bez okien. Na suficie wisały liczne jarzeniówki. Słychać było szmer wentylacji, ale mimo to w powietrzu czuć było jakiś zapach, kombinację ostrego odorem silnych środków dezynfekcyjnych i ciepłej woni ziemi. W głębi sali znajdowała się spora alkowa, a w niej stały półki.

Na półkach leżały kartonowe pudła oznaczone numerami napisanymi czarnym flamastrem. Jakieś sto pudeł.

— Niezidentyfikowani — zauważył Reacher.

— Jak na razie — odpowiedział Nash. — Nie zrezygnujemy z dalszych prób.

Między drzwiami i alkową znajdowała się główna część laboratorium. Posadzka z gresu była wyszorowana do połysku. Pośrodku stało dwadzieścia drewnianych stołów, precyzyjnie ustawionych w dwa rzędy. Stoły sięgały Newmanowi do pasa, miały blaty z wypolerowanych marmurowych płyt i były nieco krótsze i węższe niż standardowe łóżko wojskowe. Wyglądały jak nieco solidniejsza wersja stołów używanych przez dekoratorów wnętrz do łączenia tapet. Na sześciu stołach nie było niczego. Na siedmiu leżały pokrywy aluminiowych trumien, a na ostatnich siedmiu same trumny — w jednym rzędzie pokrywa, w drugim trumna. Reacher stał w milczeniu z pochyloną głową. Po chwili wyprężył się na baczność i zsalutował po raz pierwszy od ponad dwóch lat

- To straszne — szepnęła Jodie. Stała z rękami splecionymi na plecach, z pochyloną głową jak podczas pogrzebu. Reacher skończył salutować i uściśnął jej dłoń. — Dziękuję — powiedział Nash. — Cieszę się, gdy ludzie okazują tu należyty szacunek.

— Jak moglibyśmy zachować się inaczej? — szepnęła Jodie. Wpatrywała się w trumny, a w jej oczach zalśniły łzy.

— No, Reacher, co tutaj widzisz? — przerwał milczenie Newman.

Reacher rozglądał się po jasno oświetlonej sali.

— Widzę siedem trumien — odpowiedział cicho. — Spodziewałem się ośmiu. Tym helikopterem leciało ośmiu ludzi. Pieciu członków załogi i trzech pasażerów, których zabrali z przełęczą. Tak jest w raporcie DeWitta. Pięć plus trzy to osiem.

— A osiem minus jeden to siedem — odrzekł Newman.

— Czy przeszukaliście miejsce, gdzie rozbił się helikopter? Dokładnie?

— Nie. — Nash pokręcił głową.

— Jak to nie?

— Musisz sam zgadnąć.

Reacher otrząsnął się i przesunął się o krok do przodu.

— Mogę?

— Zapraszam — odrzekł Newman. — Powiedz mi, co dostrzegasz. Skup się. Przekonamy się, co zapamiętałeś z wykładów, a co zapomniawsz.

Reacher podszedł do najbliższej trumny. Zatrzymał się, tak że patrzył wzdłuż trumny. W środku stała drewniana skrzynia o długości i szerokości o kilka centymetrów mniejsza od aluminiowej trumny.

— Wietnamczycy wymagają od nas, żebyśmy używał i drewnianych trumien. Sprzedają nam te skrzynie — wyjaśnił Newman. — W hangarze w Hanoi wkładamy je do naszych trumien. Drewniana skrzynia nie miała pokrywy. To była raczej płytka taca, na której ktoś ułożył ludzkie kości, mniej więcej poprawnie pod względem anatomicznym. Na końcu leżała czaszka, poźółkła i stara, z pustymi oczodołami i zębami wyszczerzonymi w groteskowym uśmiechu. W szczęcie widać było złoty ząb.

Poniżej czaszki leżały starannie ułożone kręgi szyjne, a dalej obojczyki, łopatki, żebra i miednica. Po bokach ułożono kości ramion i nóg. Światło odbijało się od metalowego łańcuszka otaczającego szyję i opadającego na lewą łopatkę.

— Mogę? — ponownie spytał Reacher. — Ja też nie — przyznał Newman. — Miał

dziewiętnaście lat.

Wszyscy przez chwilę milczeli. Czuć było słaby, słodki zapach gliny.

— Spójrz na następnego — odezwał się Newman.

Ten szkielet różnił się od poprzednich. Zmarły odniósł jedną ranę w pierś. Identyfikator leżał zaplątany między żebrami. Reacher nie mógł go wyciągnąć. Pochylił się, żeby odczytać nazwisko.

— Bamford.

— Mechanik pokładowy — wyjaśnił Newman. — Siedział na ławce w kabinie, tyłem do kierunku lotu, naprzeciwko trzech pasażerów.

Kościotrupia twarz Bamforda uśmiechała się do nich. Szkielet był kompletny. Jedynym uszkodzeniem była wąska rana z boku, podobna do rowka. Mostek został wbity w głębi, aż do kręgosłupa, tak mocno, że wybił trzy kręgi. Złamane trzy żebra.

— A co o tym myślisz? — spytał Newman.

— Proszę bardzo — zachęcił go Newman, kiwając głową. Reacher przez dłuższą chwilę stał w milczeniu, po czym

pochylił się i pociągnął za łańcuszek. Identyfikator zaczepił o kości, które poruszyły się i zastukały. Reacher chwycił identyfikator, przetarł go kciukiem i odczytał nazwisko.

— Kapłan — powiedział. — Drugi pilot.

— Jak zginął? — spytał Newman.

Reacher położył identyfikator na żebrach. Przyjrzał się uważnie szkieletowi, szukając wskazówek. Czaszka była cała. Ramiona, nogi i klatka piersiowa również, natomiast miednica była strzaskana, podobne jak kręgi w dolnej części kręgosłupa. Żebra, osiem, licząc od dołu, złamane po stronie pleców.

— Uderzenie w chwili, gdy huey wałała w ziemię. Mocne uderzenie w dolną część pleców.

Rozległe obrażenia we-

wnętrzne i krwotok. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie w ciągu minuty.

— Był przypięty pasami do fotela — zauważył Newman. — Jeśli helikopter uderzył o ziemię, dlaczego Kapłan otrzymał uderzenie w plecy?

Reacher znowu przyjrzał się szkieletowi. Czuł się tak jak przed laty podczas zajęć. Bał się, że powie głupstwo w obecności legendarnego Nasha Newmana. Zastanawiał się, dotykając lekko palcami pożąłkłych kości. Nie miał wątpliwości. Bardzo mocne uderzenie w dolną część pleców. Nie było innego wyjaśnienia.

— Huey się obrócił — powiedział. — Leciał pod ostrym kątem i zawadził o drzewa. Obrócił się, ogon odpadł od kabiny, a kabina uderzyła w ziemię, lecąc tyłem do przodu.

— Doskonale — pochwalił go Newman. — Znaleźliśmy helikopter właśnie w takim stanie.

Kabina uderzyła o ziemię tyłem. Pasy nie uratowały mu życia; natomiast fotel go Reacher podszedł do następnej trumny. Taka sama drewniana skrzynia, takie same pożąłkłe kości. Taka sama groteskowa czaszka wykrzywiona w oskarżycielskim grymasie. Złamany kręgosłup szyjny. Reacher sięgnął po identyfikator i wyciągnął go spod odłamków.

— Tardelli — przeczytał głośno.

— Prawy strzelec pokładowy — dodał Newman. Szkielet Tardellego był w kiepskim stanie. Liczne złamania.

Strzelcy na helikopterach transportowych stoją w otwartych drzwiach, praktycznie bez pasów, żeby móc swobodnie obracać ciężki karabin maszynowy. Są przypięci tylko elastyczną linką. Gdy huey się roztrzaskał, Tardelli prawdopodobnie przeleciał przez całąabinę.

— Złamany kark—oświadczył Reacher. — Obrażenia klatki piersiowej.

Odwrócił żółtą czaszkę. Była popękana jak skorupka jajka. — Również obrażenia głowy.

Moim zdaniem zmarł natychmiast. Wolałbym nie rozstrzygać, która rana okazała się decydująca.

Reacher włożył rękę do trumny i sprawdził wymiary rany. Była wąska i pozioma. Mógł wsunąć w nią tylko dwa palce.

— Jakieś uderzenie — powiedział. — Coś pośredniego między ostrym i tępym narzędziem. Niewątpliwie otrzymał uderzenie z boku w pierś, co spowodowało natychmiastowe zatrzymanie pracy serca. Czy to była łopatką wirnika?

— Bardzo dobrze. — Nash pokiwał głową. — Wygląda na to, że łopatką złamała się w wyniku uderzenia w drzewo i wpadła do kabiny. Musiała uderzyć go w tors. Jak sam zauważyłeś, takie uderzenie spowodowało natychmiastowe zatrzymanie pracy serca.

Kości w następnej trumnie wyglądały zupełnie inaczej. Niektóre były żółte, ale większość biała. Wydawały się kruche i zniszczone przez erozję. Identyfikator był wygięty i czarny.

Reacher uniósł go do światła i odczytał wytłoczony napis: Soper.

— Lewy strzelec pokładowy — dodał Newman.

— Wybuchł pożar — rzekł Reacher.

— Skąd wiesz? — spytał Newman jak nauczyciel, którym rzeczywiście był.

— Identyfikator jest spalony.

— I co jeszcze?

— Kości uległy zwapnieniu. Przynajmniej większość.

— Zwapnieniu? — powtórzył Nash.

Reacher kiwnął głową. Wrócił pamięcią do podręczników, które czytał piętnaście lat temu.

— Składniki organiczne się spaliły, zostały tylko nieorganiczne. W wyniku spalenia kości zmniejszają się, bieleją, stają się kruche.

— Dobrze — pochwalił go Nash.

— To ten wybuch, który widział DeWitt — wtrąciła Jodie. — Eksplozja zbiornika z paliwem.

— Klasyczne dowody — zgodził się Newman. — To nie był powoli rozszerzający się pożar, lecz wybuch paliwa. Benzyna tryskała na wszystkie strony i szybko się spalała, co wyjaśnia przypadkowy rozkład oparzeń. Wydaje mi się, że benzyna rozlała się na dolną część ciała Sopera, natomiast górna część znalazła się poza zasięgiem ognia.

Jego cichy głos słabł, aż wreszcie Nash zamilkł. Wszyscy troje wyobrażali sobie straszną scenę. Ryczące silniki, pociski wroga przeszywające maszynę, nagła utrata mocy, struga benzyny ze zbiornika, ogień, zderzenie z drzewami, krzyki, koszące uderzenie urwanych topatek wirnika, zgrzyt rozdzieranego metalu. Ciała leżące na ziemi, gdzie nigdy nie stanęła ludzka stopa. Puste oczodoły Sopera patrzyły w stronę światła. To było wyzwanie, żeby wyobrazili sobie tę scenę.

— Sprawdźmy następnego — odezwał się Newman.

W kolejnej trumnie leżały zwłoki mężczyzny o nazwisku Allen. Nie były spalone. Żółty szkielet z identyfikatorem na złamanym karku. Kształtna, zgrabna czaszka. Równe białe zęby.

Wysoka, okrągła, nieuszkodzona część mózgowia. Produkt dobrego wyżywienia i starannego wychowania w Ameryce w latach pięćdziesiątych. Całe plecy miał zmiażdżone jak rozdeptany krab.

— Allen był jednym z trzech ludzi, których zabrali z przełęczy — poinformował Nash.

Reacher ze smutkiem pokiwał głową. W szóstej trumnie Reacher ze smutkiem pokiwał głową.

W szóstej trumnie leżał Zabirski. On też zginął w wyniku pożaru. Kości były niewielkie i zwapniałe.

- Za życia był pewnie wysoki — rzekł Newman. -W wyniku spalenia kości czasami kurczą się aż o pięćdziesiąt procent. Lepiej nie uważajcie go za karła.

Reacher znowu pokiwał głową. Podniósł kilka kości. Były lekkie i kruche jak łupiny. Po wypaleniu zostały szorstkie mikroskopijne pory.

— Obrażenia? — spytał Newman.

Reacher przyjrzał się jeszcze raz, ale niczego nie zauważył.

— Spalił się żywcem — stwierdził.

— Tak, obawiam się, że tak się stało — przyznał Newman.

— Straszne — szepnęła Jodie.

W siódmej i ostatniej trumnie leżały szczątki Gunstona. Marne szczątki. W pierwszej chwili

Reacher sądził, że brakuje czaszki, dopiero potem zauważył, że leży w dole skrzyni. Została rozbita na setki kawałków, na ogół nie większych od paznokcia kciuka.

- Co o tym myślisz? — spytał Newman. Reacher potrząsnął głową.

— Wolę nie myśleć. Już z tym skończyłem — szepnął. Newman pokiwał głową ze współczuciem.

— Uderzenie łopatką wirnika w głowę. To jeden z trzech pasażerów. Siedział naprzeciwko Bamforda.

— Pięciu i trzech — powiedziała cicho Jodie. — W skład załogi wchodził pilot Hobie i Kaplan, mechanik Bamford, strzelcy Tardelli i Soper. Przylecieli zabrać Allena, Zabriniego i Gunstona.

— Tak wynika z dokumentów — przyznał Newman.

— Gdzie zatem jest Hobie? — spytał Reacher.

— Czegoś nie zauważyłeś — oznajmił Newman. — Kiepska robota jak na kogoś, kto kiedyś był w tym taki dobry.

Reacher spojrział na niego. DeWitt wyraził się podobnie. *Niedbalstwo jak na kogoś, kto był kiedyś majorem policji.* Poradził też, żeby szukał *bliżej własnych śmieci.*

— Oni byli z policji, zgadza się? — powiedział nagle Reacher.

— Oni, czyli którzy? — uśmiechnął się Nash.

— Dwaj z tej trójki, Allen, Gunston, Zabriniego — odparł Reacher. — Dwaj zaarrestowali trzeciego. To było specjalne zadanie. Dzień wcześniej Kaplan przywiózł tam dwóch policjantów. To był jego przedostatni lot, leciał sam. Nie przeczytałem raportu z tego lotu. Wrócili po nich i po aresztowanego.

— Zgadza się — rzekł Newman.

— Którzy to policjanci?

— Pete Zabriniego i Joey Gunston. Carl Allen był więźniem.

— A dlaczego został aresztowany? — spytał Reacher.

— Szczegóły stanowią tajemnicę — stwierdził Newman. — Jak przypuszczasz?

— Specjalnie polecieli, żeby go szybko aresztować. Pewnie za rozprysnięcie.

— Rozprysnięcie? Co to takiego? — spytała Jodie.

— Zabicie oficera dowodzącego oddziałem — wyjaśnił Reacher. — To zdarzało się czasami. Jakiś zapalony porucznik,

zwykle świeżo po przylocie z kraju, zbyt ochotczo pragnie zaatakować silne pozycje nieprzyjaciela. Żołnierzom to się nie podoba. Ich zdaniem jemu chodzi o medal, a oni woleliby przeżyć. Gdy zatem on krzyczy: „Do ataku”, ktoś strzela mu w plecy lub rzuca w niego granatem, co było znacznie lepszym rozwiązaniem, bo nie wymagało celowania i łatwiej było wszystko ukryć. Stąd nazwa rozprysnięcie, od granatu roz-pryskowego.

— Czy tak było? — zaciekawiała się Jodie.

- Szczegóły są utajnione — powtórzył Newman. — Niewątpliwie jednak chodziło również o rozprysnięcie pod koniec jego długiej i parszywej kariery. Z dokumentów wynika, że Carl Allen z pewnością nie był wzorem żołnierza. Jodie kiwnęła głową.

— Do licha, dlaczego to taka tajemnica? Cokolwiek zrobił, zginął już trzydzieści lat temu. Sprawiedliwości stało się zadość, zgadza się?

Reacher znowu podszedł do trumny Allena. Przyjrzał się kościom.

— Ostrożność — doszedł do wniosku. — Kimkolwiek był ten gorliwy porucznik, jego rodzina usłyszała, że zginął jak bohater, walcząc z nieprzyjacielem. Gdyby się dowiedziała, że było inaczej, doszłoby do skandalu. A Departament Obrony nie lubi skandalu.

— Zgadza się — powtórzył Newman.

— Gdzie jednak jest Hobie? — spytał Reacher.

— Jeszcze coś przegapiłeś. Krok po kroku, okay?

— Co przegapiłem? Gdzie mam szukać?

— W kościach — odpowiedział Nash.

Zegar na ścianie laboratorium wskazywał piątą trzydzieści. Mieli jeszcze godzinę i kilka minut. Reacher wziął głęboki oddech i obszedł trumny w odwrotnej kolejności. Gunston, Zabrin, Allen, Soper, Bamford, Tardelli, Kaplan. Sześć wyszczerzonych czaszek i jeden bezgłowy szkielet. Powtórzył rundę. Zegar przynaglał go tykaniem. Reacher zatrzymywał się przy każdej trumnie, opierał o aluminiowe brzozy i pochylony wpatrywał się w szkielet. Czegoś nie zauważył. Czegoś

w kościach. Systematycznie przyglądał się szczątkom, zaczynając od góry. Czaszka, szyja, obojczyki, żebra, ramiona, miednica, nogi, stopy. Zaczął grzebać w szkieletach, przerzucać suche kości. Wciąż szukał. Za kwadrans szósta. Za dziesięć. Jodie obserwowała go niespokojnie. Reacher robił już trzecią rundę, znowu zaczynając od Gunstona. Przeszedł do Zabrin-skiego, drugiego policjanta. Potem do Allena, przestępca. Po nim do strzelca Sopera. Mechanik Bamford. Znalazł to w jego trumnie. Zamknął oczy. To było oczywiste. Tak oczywiste, jakby ktoś wymalował to na szybie i oświetlił reflektorem. Jeszcze raz szybko obszedł wszystkie trumny, żeby sprawdzić. Miał rację. Szósta wieczór na Hawajach.

— Mamy tu siedem ciał — oznajmił. — Oraz piętnaście dłoni.

• • •

Szósta wieczór na Hawajach to jedenasta w Nowym Jorku. Hobbie był sam w swoim mieszkaniu, trzydzieści pięter ponad Piątą Aleją. Kładł się spać. Jak na niego, to wczesna pora.

Zwykle czytał lub oglądał filmy w telewizji kablowej do pierwszej lub drugiej w nocy, ale tego wieczoru był zmęczony. To był wyczerpujący dzień, wymagający od niego aktywności fizycznej i umysłowego napięcia.

Hobbie siedział na brzegu łóżka. Miał podwójne łóżko, choć zawsze sypiał sam. Na łóżku leżała biała kołdra. Ściany i żaluzje również były białe. Nie żeby zależało mu na spójności wystroju — po prostu białe przedmioty są zawsze najtańsze. Wszystko — pościel, farba, firanki — jest najtańsze w białej wersji. W sypialni nie było żadnych obrazów, fotografii, ozdób, pamiątek. Podłoga ze zwykłych, dębowych desek. Bez dywanu.

Hobbie trzymał stopy płasko na podłodze. Nosił czarne Oksfordy wypastowane na glans. Trzymał je dokładnie pod kątem prostym do desek podłogi. Pochylił się i zdrową ręką rozwiązał sznurowadła, jedno po drugim. Zsunął buty, również jeden po drugim. Dosunął je nogą do siebie, podniósł dwa naraz i ustawił równo pod łóżkiem. Wsuwając kciuk pod ściągacz skarpetek ściągnął je, jedną po drugiej. Potrząsnął nimi, żeby wyrzucić na prawą stronę, po czym upuścił je na podłogę. Rozwiązał krawat. Zawsze nosił krawat. Był bardzo dumny, że potrafi zawiązać krawat jedną ręką.

Boso podszedł do szafy. Otworzył drzwi i wsunął krawat wąskim końcem za mosiężną poprzeczkę. Obniżył lewe ramię i zrzucił marynarkę z lewej ręki. Lewą ręką ściągnął ją z prawego ramienia. Wyjął z szafy wieszak i jedną ręką zawiesił na nim marynarkę. Odwiesił ją do szafy. Rozpiął guziki i suwak spodni. Gdy opadły, zrobił krok i stanął obok nich. Ukucnął i rozciągnął je na lśniącej podłodze. Nie ma innego sposobu, żeby jedną ręką złożyć porządnie spodnie. Wyrównał mankiety, przycisnął je stopą i wyprostował nogawki. Wstał i wyciągnął z szafy drugi wieszak. Pochylił się, wsunął poprzeczkę wieszaka pod nogawki i przesunął je do kolan. Wyprostował się, potrząsnął wieszakiem i spodnie przybrały perfekcyjny kształt. Powiesił je obok marynarki.

Sięgnął lewą ręką do guzików koszuli i przepchnął je przez wykrochmalone dziurki. Rozpiął prawy mankiet. ściągnął koszulę z prawego ramienia, lewą ręką przytrzymał rękaw i wyciągnął z niego hak. Pochylił się na bok i pozwolił, żeby koszula sama spadła z lewego ramienia. Przycisnął poję do podłogi i pociągnął lewą ręką. Jak zawsze, rękaw wyrzucił się na lewą stronę. Przeciągnął zdrową dłoń przez zapięty mankiet. Hobbie musiał wprowadzić tylko jedną modyfikację w swojej garderobie — kazał przesyć guziki mankietów u koszuli, żeby

mógł przesunąć lewą rękę przez mankiet bez rozpinania.

Zostawił koszulę na podłodze. Chwył lewą ręką brzeg majtek i ściągnął je, nieco się wijąc. Wyszedł z nich i złapał dół podkoszulka. To była najtrudniejsza operacja. Kilka razy szarpnął, aż wreszcie udało mu się przeciągnąć dół podkoszulka przez głowę. Teraz chwycił go przy szyi i ściągnął z głowy. Pociągnął w prawo i przełożył hak pod ramiączkiem. Szarpnął gwałtownie lewą ręką i podkoszulek spadł na podłogę. Hobie się pochylił, podniósł podkoszulek, koszulę i bokserki, po czym zaniósł je do łazienki i wrzucił do kosza z brudną bielizną.

Wrócił nago do łóżka i znowu usiadł na brzegu. Lewą ręką sięgnął do góry i rozpiął trzy mocne skórzane pasy otaczające prawy biceps. Trzy pasy, trzy klamry. Rozluźnił skózaną uprząż i ściągnął ją z ramienia. Skóra zaskrzypiała. Była znacznie grubsza i cięższa niż skóra butów. Uprząż zrobiono z kilku warstw skóry. W ciągu wielu lat doskonale dopasowała się do jego ramienia, nabrała połysku. Gdy ją ściągał, mocno nacisnęła na biceps. Hobie przesunął paski przez łokieć, po czym chwycił lewą ręką hak i lekko pociągnął. Futerał zsunął się z kikuta. Ścisnął go między kolanami w pozycji pionowej, hakiem do dołu. Pochylił się w kierunku nocnej szafki, wyciągnął z pudełka kilka chusteczek higienicznych i wziął pudełko talku. Zgniół chusteczki, żeby wytrzeć pot nagromadzony w ciągu dnia w futerale. Następnie wyspał do środka trochę talku. Wytarł chusteczką futerał od zewnątrz i wyczyścił hak. Gdy skończył, położył uprząż na podłodze obok łóżka.

Na kikucie prawej ręki nosił cienką skarpetkę, żeby uprząż nie drażniła skóry. To nie było żadne wymyślne, medyczne

urządzenie. Dziecinna skarpetka bez pięty. Matki wkładają je dzieciom, nim nauczą się chodzić. Hobie kupował skarpetki w domach towarowych, tuzin za każdym razem. Zawsze wybierał białe, bo były tańsze. Ściągnął skarpetkę z kikuta, przewrócił ją na prawą stronę i położył koło pudełka z chusteczkami na nocnej szafce.

Kikut był pomarszczony i cienki. Część mięśni ocalała, ale wskutek bezczynności niemal znikły. Końce kości zostały gładko opitowane, skóra starannie zaszyta. Na tle białej skóry wyraźnie odcinały się czerwone szwy, podobne do chińskiego pisma. Na końcu kikuta rosły czarne włosy, ponieważ skóra pochodziła z zewnętrznej części przedramienia.

Hobie wstał i poszedł do łazienki. Poprzedni właściciel mieszkania zainstalował nad umywalką duże lustro. Hobie przyjrzał się swemu odbiciu. Nie znosił tego widoku. Nie z powodu brakującej ręki. Nie miał ręki i tyle. Nienawidził natomiast swojej twarzy. Blizn po oparzeniach. Ręka to była tylko rana, natomiast twarz została oszpecona. Stanął bokiem do lustra, żeby nie widzieć blizn. Wyczyścił zęby i wrócił do

łóżka z butelką płynu nawilżającego. Wycisnął kilka kropel na kikut i starannie je roztarł. Postawił butelkę na nocnej szafce, obok skarpetki, nakrył się kołdrą i zgasił światło.

• • •

— Lewa czy prawa? — spytała Jodie. — Którą dłoń stracił? Reacher stał obok lśniącej trumny Bamforda i porządkował kości.

— Prawą — odpowiedział. — Ta dodatkowa to prawa. Newman sięgnął ponad ręką Reachera i odłożył na bok dwa kilkunastocentymetrowe odłamki kości.

— Stracił nie tylko dłoń — oznajmił. — To kawałki kości łokciowej i promieniowej. Ucięte poniżej łokcia, prawdopodobnie przez łopatkę wirnika. Zostało mu dość, żeby zrobić przyzwoity kikut.

Reacher podniósł odłamki i dotknął palcami ostrych końców.

— Nie rozumiem, Nash — powiedział. — Dlaczego nie kazałeś przeszukać okolicy?

— A dlaczego mielibyśmy to zrobić? — spytał Nash neutralnym tonem.

- Nic ma podstaw zakładać, że on przeżył. Był poważnie ranny. Uderzenie o ziemię, ucięta ręka. Może jeszcze jakieś rany, obrażenia wewnętrzne. Poważna utrata krwi? Może został poparzony? Wszędzie dookoła płonęła benzyna. Pomyśl o tym, Nash. Jakie jest

prawdopodobieństwo, że wydostał się z wraka, krwawiąc z przeciętych naczyń krwionośnych, pewnie w płonącym mundurze? Może wyczołgał się z helikoptera, stracił przytomność dwadzieścia metrów dalej i zmarł. Do diabła, dlaczego go nie szukałeś?

— Zadaj sobie to pytanie — odrzekł Newman. — Jak myślisz, dlaczego go nie szukaliśmy? Reacher spojrział na niego. Nash Newman, jeden z najbardziej inteligentnych ludzi, jakich spotkał w życiu. Człowiek przenikliwy i precyzyjny, który na podstawie fragmentu czaszki potrafił powiedzieć, do kogo należała, jak jej właściciel żył i jak umarł. Pedantyczny profesjonalista, który prowadził największe badania kryminologiczne w historii i ustawicznie zbierał pochwały. Jak to możliwe, że Nash Newman popełnił tak elementarny błąd? Reacher nagle wypuścił powietrze z płuc i zamknął oczy.

— Jezu, Nash — powiedział powoli. — Ty wiesz, że on przeżył, prawda? Ty to wiesz. Nie szukałeś go, bo wiedziałeś na pewno, że przeżył.

— Zgadza się — przyznał Newman.

— Skąd możesz to wiedzieć?

Nash rozejrzył się po laboratorium. Ściszył głos.

— Znalazł się po pewnym czasie. Trzy tygodnie później dotarł do szpitala polowego, osiemdziesiąt kilometrów od miejsca zestrzelenia helikoptera. Te informacje są w dokumentach medycznych. Miał gorączkę, był wycieńczony, miał rozległe oparzenia twarzy, ucięte ramię, robactwo w kikucie. Prawie cały czas był półprzytomny, ale miał na szyi identyfikator. Kiedy odzyskał przytomność, zdał relację. Twierdził, że oprócz niego nikt nie przeżył. Dlatego powiedziałem, że dokładnie wiedzieliśmy, co tam znajdziemy. Z tego też powodu to zadanie nie miało priorytetu dopóki Leon nie podniecił się tak całą sprawą.

- I co się stało? — spytała Jodie. — Dlaczego to taka tajemnica?

— Ten szpital był daleko na północy — odpowiedział Newman. — Nieprzyjacieli napierała na południe, a my się cofaliśmy. Szpital miał być ewakuowany.

— I co? — wtrącił Reacher.

— Wieczorem, dzień przed planowanym transportem do Sajgonu, Hobie znikł.

— Znikł?

Newman pokiwał głową.

— Po prostu zwiął. Wstał z łóżka i prysnął. Od tej pory nikt go nie widział.

— Cholera! — zaklął Reacher.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego to taka tajemnica — niecierpliwiła się Jodie.

Newman wzruszył ramionami.

— No, Reacher może to wyjaśnić. To raczej jego specjalność, nie moja. Reacher wciąż trzymał fragmenty kości. Kość promieniowa i kość łokciowa prawego przedramienia, na dole ładnie zakończone, tak jak tego chciała natura, a na górze zmiażdżone i przecięte łopatką wirnika. Hobie sam zbadał krawędź natarcia łopatki i doszedł do wniosku, że jest w stanie ściąć drzewo grubości męskiej ręki. Wielokrotnie wykorzystał ten pomysł, żeby uratować innym życie. W końcu ta sama łopatką wpadła do kokpitu jego helikoptera i ucięła mu dłoń.

— Był dezerterskim — wyjaśnił. — Z prawnego punktu widzenia był niewątpliwie dezerterskim. Był żołnierzem w czynnej służbie i uciekł. Podjęto jednak decyzję, żeby go nie ścigać. Tak być musiało. Co armia mogła zrobić? Gdyby udało się go złapać, co dalej? Musieliby oskarżyć faceta mającego wspaniałą historię służby, dziewięćset dziewięćdziesiąt jeden lotów bojowych, który zdezerterował, gdy został poważnie ranny i oszpecony. Nie mogli tego zrobić. Wojna nie była popularna. Nie mogli posłać okaleczonego bohatera do więzienia wojskowego w forcie Leavenworth za dezercję, nie w takich okolicznościach. Z drugiej strony nie mogli również ogłosić, że wybaczą dezerterskim. To również byłby skandal, choć odmiennego rodzaju. Armia w dalszym ciągu łapała i oskarżała wielu dezerterskich, którzy niczym się nie zasłużyli. Nie mogli przyznać, że stosują różne standardy, w zależności od tego, kto zdezerterował. W związku z tym akta Hobiego zostały utajnione. Dlatego jego osobista teczka kończy się na raporcie z ostatniego lotu bojowego. Cała reszta jest w jakimś sejfie,

gdzieś w Pentagonie.

Jodie pokiwała głową. - No i dlatego na Murze nie ma jego nazwiska — powiedziała. — Wiedzą, że żyje.

Reacher nie miał ochoty odłożyć kość **trzymaj**. Trzymał je i wodził po nich palcami.

Nienaruszone końce były idealnie gładkie, dzięki czemu umożliwiały precyzyjne i subtelne ruchy dłoni w nadgarstku.

— Czy wprowadziłeś do bazy jego dane medyczne? - spytał Newmana. — Stare zdjęcia rentgenowskie, informacje stomatologiczne i tak dalej?

Newman pokręcił głową.

- On nie zaginął w akcji. Przeżył i zdezerterował. Reacher odwrócił się do trumny Bamforda i delikatnie położył w rogu drewnianej skrzyni dwa kawałki kości. Potrząsnął głową.

— Nie mogę w to uwierzyć, Nash. Wszystko, co wiemy o tym facecie, świadczy, że nie miał osobowości dezertera. Jego pochodzenie, historia służby, wszystko. Znam się na dezertarach. Złapałem ich wielu.

— Zdezerterował — powtórzył Newman. — To fakt. Potwierdzają to dokumenty ze szpitala.

— Przeżył zestrzelenie helikoptera — powiedział Reacher. — Sądzę, że to już nie podlega dyskusji. Był w szpitalu. Też nie mogę zaprzeczyć. Przypuśćmy jednak, że w rzeczywistości nie była to dezercja? Może był półprzytomny, oszołomiony lekami? Może po prostu wyszedł ze szpitala i zabłądził?

Newman pokręcił głową.

— Nie był półprzytomny. Wiedział, co robi.

— Skąd ta pewność? Mimo utraty krwi, wycieńczenia, gorączki, morfiny?

— Zdezerterował — powtórzył Newman.

— To nie, się kupy.

— Wojna zmienia ludzi — przypomniał Newman.

— Nie aż tak bardzo — rzucił Reacher. Newman podszedł bliżej i ściszył głos.

— Zabił sanitariusza — szepnął. — Sanitariusz zauważył, jak Hobie ucieka, i chciał go zatrzymać. To jest opisane w dokumentach. Hobie powiedział, że nie zamierza wrócić. i uderzył go butelką w głowę. Rozbił mu czaszkę. Położyli go do łóżka, które zwolnił Hobie, ale nie przeżył podróży do Sajgonu. To dlatego ta sprawa jest utajniona, Reacher. Armia puściła mu płazem nie tylko dezercję, ale również morderstwo.

W laboratorium zapadła kamienna cisza. Słychać było tylko szum wentylacji. W powietrzu unosił się zapach starych kości Reacher położył rękę na lśniącej pokrywie trumny Bamforda, żeby łatwiej utrzymać równowagę.

— Nie mogę w to uwierzyć — szepnął.

— Lepiej uwierz, bo to prawda — odparł Newman.

— Nie mogę tego powiedzieć jego rodzicom. Po prostu nie mogę. To ich zabije.

— To cholerny sekret — wtrąciła Jodie. — Dlaczego mu odpuścili?

— Polityka — powiedział Newman. — Polityka na wysokim szczeblu była i jest wyjątkowo śmierdząca.

— Może zmarł później — głośno myślał Reacher. — Może uciekł do dżungli i zmarł? Był przecież w kiepskim stanie, prawda?

— Jak to mogłoby ci pomóc? — spytał Newman.

— Mógłbym powiedzieć, że nie żyje, i pominąć wszystkie szczegóły.

— Chwytasz się brzytwy — rzekł Nash.

— Musimy już iść — stwierdziła Jodie. — Musimy zdążyć na samolot.

— Czy porównasz jego dane medyczne z zapisami w bazie? — spytał Reacher. — Czy zrobisz to dla mnie, jeśli wyciągnę je od jego rodziny?

Newman milczał.

- Już je mam — powiedział po chwili. — Leon je przywiózł. Rodzina przekazała mu te dane w celu wykorzystania w poszukiwaniach, — Czy zatem zrobisz porównanie? — nalegał Reacher.

— Tonący brzytwy się chwyta — powtórzył Newman. Reacher wskazał ręką na pudła stojące w alkwie w głębi sali.

— On może być jednym z nich, Nash.

— On jest w Nowym Jorku — wtrąciła Jodie. — Czy naprawdę tego nie rozumiesz?

— Nie, chcę, żeby poległ jak żołnierz — upierał się Reacher. — Nie mogę wrócić do jego rodziców i powiedzieć im, że ich syn to dezertier, morderca, który przeżył wojnę i od tej pory nawet się do nich nie odezwał. Musi być martwy.

— Ale nie jest — uciął Newman.

— Przecież może być martwy, prawda? Mógł umrzeć już po ucieczce ze szpitala. Gdzieś w dżungli, z powodu choroby, wygłodzenia, podczas ucieczki? Może znaleziono jego szkielet. Czy zrobisz porównanie? Potraktuj to jako osobistą przysługę, jaką mi wyświadczysz.

— Reacher, musimy już iść — przynagliła go Jodie.

— Zrobisz to? — nalegał Reacher.

— Nie mogę — odpowiedział Newman. — Jezu, przecież ta cała sprawa jest ściśle tajna, czy tego nie rozumiesz? Niczego nie powinienem być ci mówić. I nie mogę dodawać do listy zaginionych jeszcze jednego nazwiska. Departament Obrony nie byłby z tego zadowolony. Mamy zmniejszać liczbę nazwisk, nie zaś zwiększać.

— Nie możesz tego zrobić nieoficjalnie? Prywatnie? Przecież to możliwe. Rządzisz tutaj, Nash. Proszę, zrób to dla mnie.

— Chwytasz się brzytwy, to wszystko — odrzekł Nash, kręcąc głową.

— Proszę cię, Nash.

Zapadła cisza. Nash ciężko westchnął.

— Do diabła, dobrze — powiedział. — Zrobię to wyłącznie dla ciebie.

— Kiedy? — spytał Reacher.

- Jutro z samego rana — obiecał Nash, wzruszając ramionami.

— Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz miał wyniki, dobrze?

— Oczywiście, ale marnujesz czas. Numer telefonu?

— Lepiej niech pan zadzwoni na moją komórkę — zaproponowała Jodie. Wyrecytowała numer. Newman zapisał go na mankiecie fartucha.

— Dzięki, Nash — powiedział Reacher. — Bardzo ci jestem wdzięczny.

— Strata czasu — powtórzył Newman.

— Musimy już iść! — przypomniała Jodie.

Reacher kiwnął niezdecydowanie głową. Wszyscy skierowali się do wyjścia z budynku. Porucznik Simon czekał na nich przy drzwiach. Zaproponował, że odwiezie ich samochodem do cywilnego terminalu.

15

Lecieli pierwszą klasą, ale mimo to lot powrotny był okropny. Trafili na ten sam samolot wracający do Nowego Jorku wzdłuż drugiego boku gigantycznego trójkąta. Obsługa naziemna sprawdziła stan techniczny, uzupełniła paliwo, posprzątała i poperfumowała kabinę. Zmieniła się załoga. Reacher i Jodie siedzieli na tych samych miejscach, które zajmowali cztery godziny wcześniej. Reacher znowu usiadł koło okna, ale teraz czuł się inaczej. Fotel w dalszym ciągu był dwa i pół razy szerszy niż normalnie, w dalszym ciągu pokryty skórą i baranicą lecz teraz nie sprawiało mu to przyjemności. Światła były przygaszone, bo lecieli nocą. Wystartowali gdy nad wyspą zaczynał się już cudowny tropikalny zachód słońca, po czym skręcili na wschód, w stronę ciemności. Do pierwszej klasy docierał tylko stłumiony pomruk równo pracujących silników. Stewardesy zachowywały się cicho i starały się nie narzucać. W kabinie był jeszcze tylko jeden pasażer. Siedział dwa rzędy przed nimi po drugiej stronie przejścia. Był to wysoki szczupły mężczyzna w bawełnianej koszuli w kolorowe pasy. Prawe przedramię położył na oparciu fotela. Dłoń

zwisała luźno i bezwładnie. Miał zamknięte oczy.

— Ile on ma wzrostu? — spytała Jodie. Reacher pochylił się w bok i spojrzął przed siebie.

— Pewnie metr osiemdziesiąt parę.

- Tyle samo, ile Hobie — powiedziała. — Pamiętasz dane z jego teczki?

Reacher pokiwał głową. Spojrzął na blade przedramię mężczyzny leżące na oparciu. Facet był chudy, nawet w półmroku widać było wyraźny guz kości w nadgarstku. Długie mięśnie, piegowata skóra i jasne owłosienie, Reacher dostrzegł rysującą się pod skórą kość promieniową, łączącą nadgarstek z łokciem. Odłamek kości, który zostawił Hobie na miejscu zestrzelenia helikoptera, miał piętnaście centymetrów długości. Reacher ocenił odległość od nadgarstka pasażera. Wypadło mniej więcej w połowie przedramienia

— Stracił pół przedramienia, prawda? — szepnęła Jodie.

— Trochę więcej niż pół — odpowiedział. — W szpitalu musieli pewnie nieco przyciąć kikut. Prawdopodobnie opitowali ostre końce kości. Jeśli przeżył.

Mężczyzna zmienił we śnie pozycję. Przyciągnął rękę do ciała, tak jakby wiedział, że o niej rozmawiają. Już jej nie widzieli.

— On przeżył — powiedziała Jodie. — Jest w Nowym Jorku, ukrywa się.

Reacher odchylił się w drugą stronę i oparł czoło o zimny plastik iluminatora.

— Założyłbym się o głowę, że zginął — stwierdził. Siedział z otwartymi oczami, ale za oknem nie miał żadnych

widoków. Czarna noc aż do równie czarnej powierzchni oceanu dziesięć kilometrów niżej.

— Dlaczego tak cię to męczy? — spytała Jodie. Reacher odwrócił głowę od okna. Wbił wzrok w oparcie

fotela przed nim.

— Z wielu powodów — odparł.

— Takich jak?

— Różnych, układających się w wielką, przynębiającą spiralę — rzekł, wzruszając ramionami. — To było zawodowe wyzwanie. Instynkt coś mi podpowiadał, a teraz wygląda na to, że się pomyliłem.

Jodie położyła rękę na jego przedramieniu tuż nad nadgarstkiem, gdzie mięśnie nieco się zwężają.

- Pomyłka to jeszcze nie koniec świata. Potrząsnął głową,

— Czasami nie, czasami tak. To zależy, czego dotyczy. Gdyby ktoś mnie spytał, kto wygra World Series, a ja powiedziałbym Yankees, to nie miałyby znaczenia. Skąd mam wiedzieć takie rzeczy? Gdybym jednak był dziennikarzem sportowym, który powinien znać się na tym? Lub zawodowym hazardzistą? Gdyby baseball był moim podstawowym zajęciem w życiu? Wtedy taki błąd byłby końcem świata.

— I co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że takie oceny są podstawą mojego zawodu. To w tej dziedzinie mam być dobry. Kiedyś byłem bardzo dobry. Zawsze mogłem polegać na intuicji. Nie zawodziła mnie.

— Nie miałeś danych, do których mógłbyś się odwołać.

— Bzdura, Jodie. Miałem bardzo dużo danych. Znacznie więcej niż w wielu podobnych sprawach. Poznałem jego rodziców, czytałem jego listy, rozmawiałem z jego starym kump-lem, widziałem jego dokumenty, rozmawiałem z kolegą z woj-ska. Wszystko mówiło mi, że to facet, który z pewnością nie mógł zrobić różnych rzeczy, a które, jak się okazuje, najwyraźniej zrobił. Pomyliłem się, a to doprowadza mnie do pasji, bo co mam teraz uczynić?

— Co masz na myśli?

— Muszę powiedzieć prawdę jego rodzicom. To ich wykończy. Szkoda, że ich nie poznałaś. Wielbili tego chłopaka. Wielbili wojsko, patriotyzm, służbę ojczyźnie, wszystkie te pieprzone

rzeczy. Teraz mam pojechać do nich i powiedzieć im, że ich syn to dezertier i morderca, który na zimno pozwolił, żeby przez trzydzieści lat wyczekiwali na wiadomość o nim. To tak, jakbym własnoręcznie ich zabił. Będę musiał z góry zawiadomić pogotowie ratunkowe. Reacher zamilkł. Obrócił się plecami do ciemnego iluminatora.

— I co jeszcze?

— I jeszcze przyszłość — odpowiedział. Spojrzał na Jo-die. — Co ja mam zrobić? Mam dom, muszę znaleźć pracę.

Jaką pracę? Nie mogę już udawać detektywa, skoro nagle zacząłem popełniać tak cholerne błędy. Co za niezwykła synchronizacja zdarzeń, nie sądzisz? Moje profesjonalne umiejętności zeszyły na psy akurat w tym momencie, gdy muszę znaleźć pracę. Powinienem wrócić na Florydę i do końca życia zajmować się kopaniem basenów.

— Zbyt ostro się oceniasz. To było tylko przeczucie, to wszystko. Przeczucie, które okazało się błędne.

— Przeczucia powinny okazywać się słuszne. Moje dotychczas zawsze były tramę. Mógłbym ci opowiedzieć o kilkunastu przypadkach, w których opierałem się na intuicji, nie mając żadnych innych argumentów. Wiele razy przeczucia ocaliły mi życie.

Jodie pokiwała głową.

— Statystycznie również powinienem być mieć rację — dodał Reacher. — Wiesz, ilu ludzi nie można się było doliczyć po Wietnamie? Tylko pięciu. Dwa tysiące dwustu uznano za zaginionych w akcji, ale dobrze wiadomo, że oni nie żyją. Wcześniej lub później Nash ich wszystkich znajdzie i skreśli

z listy. Pozostało jednak pięciu facetów, których nie można było zaliczyć do żadnej kategorii. Później się okazało, że trzech przeszło na stronę Wietnamu i zostali tam po wojnie. Dwóch znikło gdzieś w Tajlandii. Jeden mieszkał pod mostem w Bangkoku. Pięciu ludzi spośród miliona żołnierzy, którzy służyli w Wietnamie, a Victor Hobie jest jednym z nich, ja zaś się pomyliłem.

— W istocie wcale się nie pomyliłeś — powiedziała Jodie. — Oceniałeś dawnego Victora Hobiego. Te wszystkie informacje dotyczyły tego, jaki był Hobie przed wojną i przed zestrzeleniem helikoptera. Wojna zmienia ludzi. Jedynym świadkiem przemiany Hobiego był DeWitt, lecz robił wszystko, co mógł, żeby jej nie dostrzec.

— Brałem to pod uwagę — odrzekł, kręcąc głową. — W każdym razie próbowałem. Nie przypuszczałem, że mógł się tak bardzo zmienić.

— Może to skutek zestrzelenia — zasugerowała. — Pomyśl o tym, Reacher. Ile on miał lat? Dwadzieścia jeden? Dwadzieś-

cia dwa? Zginęło siedmiu ludzi, a on pewnie czuł się odpowiedzialny, bo był kapitanem statku, prawda? No i został okaleczony. Stracił rękę, był poparzony. Fizyczne oszpecenie i kalectwo to dla młodego mężczyzny wielka trauma. No a potem, w szpitalu polowym, pewnie był oszołomiony lekarstwami, bał się powrotu do walki.

— Nikt nie wysłałby go znowu do walki — zaprotestował Reacher.

— Zgoda, ale może nie był w stanie jasno myśleć. Dostawał morfinę, a to przecież narkotyk. Może sądził, że odeślą go do jednostki. Może bał się kary za to, że stracił helikopter. Po prostu nie znamy jego stanu psychicznego w tym czasie. Chciał uciec i uderzył w głowę sanitariusza, który próbował go zatrzymać. Później oprzytomniał i uświadomił sobie, co uczynił. Prawdopodobnie czuł się okropnie. Mój instynkt cały czas mi podpowiada, że tak właśnie się stało. Ukrywa się, bo jest winny i stara się utrzymać to w tajemnicy. Powinien był od razu się przyznać, ponieważ i tak nie zostałby skazany. Okoliczności łagodzące były aż nazbyt oczywiste. Jednakże się ukrył, a im dłużej to trwało, tym trudniej było mu zmienić decyzję.

— Jeśli nawet masz rację, nie zmienia to faktu, że się pomyliłem — odpowiedział Reacher. — Opisałeś jakiegoś irracjonalnego faceta. Wpadającego w panikę, histerycznego, niemającego poczucia rzeczywistości. Ja uznałem go za statecznego nudziarza. Bardzo stabilnego, bardzo

rozsądnego, bardzo normalnego. Tracę wycucie.

Ogromny samolot pędził z cichym szumem. Dziewięćset kilometrów na godzinę w rozrzedzonym powietrzu na wysokości dziesięciu kilometrów, ale wydawało się, że wisi nieruchomo. Przystronny pastelowy kokon zawieszony na nocnym niebie.

— A zatem co zamierzasz robić? — spytała Jodie.

— W jakiej sprawie? — Przyszłości.

— Nie wiem — odparł, wzruszając ramionami.

— A co powiesz rodzicom Hobiego?

— Nie wiem — powtórzył.

- Możesz spróbować go znaleźć — zaproponowała. — Wyjaśniłbyś, że nic mu nie grozi, że sprawa uległa przedawnieniu. Postarałbyś się przemówić mu do rozsądku. Może zgodziłby się spotkać z rodzicami.

— Jak mam go znaleźć? Czuję się teraz tak, jakbym nie potrafił znaleźć nosa na własnej twarzy. A tobie tak bardzo zależy, aby mnie pocieszyć, że o czymś zapominasz.

— O czym?

— O tym, że on nie chce zostać znaleziony. Jak powiedziałeś, chce żyć w ukryciu. Jeśli nawet początkowo niezbyt wiedział, co robi, to później najwyraźniej mu się to spodobało. Kazał zabić Costella, Jodie. Próbował nas zabić. Tylko po to, żeby jego tajemnica nie wyszła na jaw, żeby mógł się ukrywać.

Stewardesa prawie całkowicie zgasiła światło w kabinie. Readier zrezygnował z dalszej dyskusji. Odchylił oparcie fotela do tyłu i próbował zasnąć. Nie mógł pozbyć się jednej myśli: Victor Hobie kazał zamordować Costella po to, żeby dalej mógł się ukrywać.

• • •

Victor Hobie obudził się w swej sypialni trzydzieści pięter nad Piątą Aleją tuż po szóstej. To dla niego była mniej więcej normalna pora, zależnie od tego, jak przykry był sen o pożarze. Trzydzieści lat to niemal jedenaście tysięcy dni, jedenastu tysiącom dni towarzyszy jedenaście tysięcy nocy, a każdej nocy miał ten sam sen. Kokpit odłamał się od ogona, potem wskutek uderzenia o gałęzie obrócił się tyłem do przodu. Pękł zbiornik paliwa i benzyna rozlała się po całej kabinie. Widział to każdej nocy jak na koszmarnym filmie puszczonego w zwolnionym tempie. Strumień benzyny lśnił i migotał w szarym powietrzu dżungli. Ciecz tworzyła kuliste bryły podobne do gigantycznych, zdeformowanych kropel deszczu. Zmieniały się i rosły jak żywe organizmy unoszące się w powietrzu. W odbitym świetle wydawały się dziwne i piękne. Mieniały się tęczowo. Doleciały do niego pierwsze, nim jeszcze łopatką wirnika ucięła mu rękę. Każdej nocy konwulsyjnie szarpał głowę, ale każdej nocy i tak spadały na niego. Rozpryskiwały się na jego twarzy. Ciecz była ciepła. To go dziwiło. Była podobna do wody, a woda powinna być zimna. Mimo to ciecz była ciepła. I lepka. Gęstsza od wody. Śmierdziała. Jakiś chemiczny odór. Oblała lewą część głowy, wsiąkła we włosy, które przylepiły się do czaszki. Spływała po czole do oka.

Odwrócił głowę i zobaczył, że w powietrzu unoszą się płomienie. Palce ognia sięgały do strumyków benzyny, jakby je oskarżały. Potem zmieniły się w usta. Połykały wiszące w powietrzu ciekłe kule. Zjadały je w błyskawicznym tempie, pozostawiając większe gorące obłoki, z których strzelały płomienie. Kule eksplodowały, wszystkie jednocześnie. Jedenaście tysięcy razy szarpał desperacko głowę, ale płomienie zawsze go dosięgały. Płonęły, lecz ich dotknięcie wydawało się zimne. Nagle po jednej stronie twarzy i we włosach miał pełno lodu. Chwilę później zobaczył ciemną łopatkę wirnika. Złamała się przy uderzeniu w pierś mechanika, Barmforda, a odłamek trafił w niego i uciął om rękę dokładnie pośrodku między nadgarstkiem i łokciem.

Widział, jak odpada dłoń. Widział to ze wszystkimi szczegółami, ale to nie powtarzało się we śnie, bo sen dotyczył

ognia. Nie śnił o rym, jak łopatką ucięła mu rękę, bo dobrze pamiętał, jak to się stało. Czarna

łopatka miała cienki, aerodynamiczny profil. Przeszła przez kości przedramienia i zatrzymała się na udzie, bo straciła całą energię. Jego przedramię zostało przekrojone na dwie części. Widział zegarek na przegubie. Dłoń z nadgarstkiem upadła na podłogę kabiny. Podniósł kikut i dotknął nim twarzy, tak jakby chciał sprawdzić, dlaczego skóra na głowie wydaje się taka zimna, choć czuł zapach spalenizny.

Później uświadomił sobie, że ten ruch uratował mu życie. Gdy już odzyskał zdolność myślenia, zrozumiał, co zrobił. Płomienie opaliły kikut. To była mimowolna kauteryzacja. Wysoka temperatura spowodowała zamknięcie arterii. Gdyby nie dotknął płonącej twarzy, wykrwawiłby się na śmierć. To był triumf. Nawet w skrajnie niebezpiecznej sytuacji, półprzytomny, zachował się właściwie. Był człowiekiem umiejącym przetrwać. To dało mu pewność siebie, której nigdy nie stracił.

Zachował przytomność przez dwadzieścia minut. Zrobił, co miał do zrobienia w kokpicie, po czym wypętelzł z wraku, wiedział, że nikt nie poszedł w jego ślady. Dotarł do krzaków i czołgał się dalej. Szedł na kolanach, podpierając się lewą ręką, jak małpa idąca na knykciach. Pochylił się i przyłożył poparzoną twarz do wilgotnej ziemi. Poczuł potworny ból. Wytrzymał dwadzieścia minut, ale potem stracił przytomność.

Z następnych trzech tygodni nie zapamiętał prawie niczego. Nie wiedział, dokąd poszedł, co jadł i pił. To, co zapamiętał, było jeszcze gorsze niż amnezja. Na całym ciele miał pijawki. Spalona skóra odpadła, odsłaniając gnijące ciało. W kikucie reki zagnieździło się robactwo. W końcu znalazł się w szpitalu. Pewnego dnia obudził się w obłoku morfiny. Nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze, ale udawał, że dalej cierpi, bo dzięki temu lekarze nie odsyłali go na tyły. Chirurdzy opatrzyli jego poparzoną twarz, usunęli czerwie z kikuta. Wiele lat potem zrozumiał, że czerwie uratowały mu

życie. Przypadkowo przeczytał artykuł o badaniach medycznych, których autorzy używali czerwi do leczenia gangreny. Robactwo nieznużenie zżerało rozkładające się ciało, nim zgnilizna zdążyła się rozszerzyć. Eksperymenty zakończyły się sukcesem. Uśmiechnął się. On to wiedział.

Wiadomość o ewakuacji szpitala zupełnie go zaskoczyła. Nikt mu nie powiedział. Przypadkowo podsłuchał dwóch sanitariuszy, gdy układali plany na następny dzień. Natychmiast wstał. Nie było żadnych wartowników. Spotkał tylko pielęgniarza, który objął się pod płótno. Przez niego stracił cenną butelkę z wodą, którą rozbił o jego głowę, ale to nie zatrzymało go na dłużej niż kilka sekund.

W tym miejscu, metr od krzaków za płótno szpitala, rozpoczął długą podróż do domu. Najpierw musiał odzyskać pieniądze. Były zakopane osiemdziesiąt kilometrów od szpitala, w kryjówce niedaleko obozu, w trumnie. Wybór trumny okazał się niezwykle szczęśliwy. To był jedyny duży pojemnik, jaki mógł wtedy znaleźć, ale później się okazało, że to była genialna decyzja. Pieniądze trzymał w banknotach stu-, pięćdziesięcio-, dwudziesto- i dziesięciodolarowych. W sumie osiemdziesiąt kilogramów. Tyle z powodzeniem może ważyć trumna. Miał w niej prawie dwa miliony dolarów.

Jego baza już dawno została opuszczona i znajdowała się teraz daleko za liniami nieprzyjaciela. Mimo to dotarł tam, a na miejscu musiał rozwiązać pierwszą poważną trudność. Jak chory, jednoręki człowiek ma wykopać trumnę? Początkowo z zajądłą wytrzymałością. Później z pomocą innych. Już prawie skończył, gdy odkryli go Wietnamczycy. W płytkim grobie widać było wyraźne wieko trumny. Patrol wietnamski pojawił się nagle spomiędzy drzew i całkowicie go zaskoczył. Spodziewał się, że umrze, ale zamiast tego dokonał odkrycia. To było jedno z wielkich odkryć jego życia. Wietnamczycy się zatrzymali, wyraźnie przestraszeni i niepewni. Zdał sobie sprawę, że go nie rozpoznali. Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Oparzenia pozbawiły go tożsamości. Miał na sobie brudną i podartą koszulę nocną ze szpitala. Nie wyglądał na Amerykanina. Nie wyglądał na nic, co oni znali. Nie wyglądał

jak człowiek. Przekonał się wtedy, że kombinacja straszego wyglądu, szalonego zachowania

i trumny działa na wszystkich, którzy go widzieli. Atawistyczne lęki przed śmiercią, zwłokami i szaleństwem pozbawiały wszystkich chęci działania. W tym momencie zrozumiał, że jeśli będzie się zachowywał jak wariat uczepony trumny, to ci ludzie zrobią dla niego wszystko. Odwieczne przesady działały na jego korzyść. Wietnamski patrol pomógł mu wyciągnąć trumnę i załadował ją na wóz ciągnięty przez woły. Siedział na trumnie, bełkotał, wykrzykiwał i wskazywał na zachód. Wietnamczycy zawieźli go dwieście kilometrów w kierunku Kambodży.

Wietnam to wąski kraj, od wybrzeża do zachodniej granicy. Mieszkańcy przewozili go od wsi do wsi i już po czterech dniach znalazł się w Kambodży. Karmili go ryżem, dawali wodę do picia i ubrali w czarną piżamę, żeby go ułagodzić i pozbyć się prymitywnego strachu. Potem przejęli go Khmerzy. Podskakiwał i skrzeczał jak małpa, stale wskazując na zachód, na zachód, na zachód. Dwa miesiące później dotarł do Tajlandii. Khmerzy przenieśli trumnę przez granicę i uciekli.

Tajlandia była innym krajem. Gdy przekroczył granicę, miał wrażenie, że opuścił epokę kamienia łupanego. Tu były drogi, pojazdy. Ludzie zachowywali się inaczej. Bełkoczący kaleka z trumną był obiektem ostrożnego współczucia i troski. Nie uważali go za zagrożenie. Podróżował przygodnie zatrzymanymi furgonetkami i ciężarówkami — raz złapał starego chev-roleta, kilka razy peugeota. Po dwóch tygodniach spłynął wraz z innymi ściekami z Dalekiego Wschodu do kloaki zwanej Bangkokiem.

Mieszkał w Bangkoku rok. Wynajął chatę i już pierwszej nocy zakopał trumnę na podwórku. Użył łopaty do kopania okopów, ukradzionej z zapasów amerykańskiej armii, którą kupił na czarnym rynku. Była tak zaprojektowana, żeby można było kopać jedną ręką, a w drugiej trzymać karabin.

Gdy już ukrył pieniądze, zaczął szukać lekarza. W Bangkoku nie stanowiło to problemu. Z reguły byli to nasączeni dżinem weterani brytyjskiego imperium, zwolnieni z pracy, ale w miarę kompetentni, przynajmniej wtedy, gdy byli trzeźwi. Niewiele mogli zrobić z jego twarzą. Chirurg zrekonstruował powiekę,

tak że prawie się zamykała, i to było wszystko. Znacznie lepiej poradzili sobie z ręką. Otworzyli ranę, opitowali kości, wygładzając końce. Zszyli mięśnie i naciągnęli skórę na wierzch. Kazali poczekać miesiąc, aż rana się zagoi, a potem skierowali go do człowieka wyrabiającego sztuczne kończyny.

Protetyk zaproponował mu kilka modeli. Podstawą wszystkich był futerał zakładany na kikut i umocowany uprzężą do ramienia powyżej łokcia. Różniły się zakończeniem. Mogła to być drewniana dłoń, zręcznie wyrzeźbiona i pomalowana przez córkę protetyka. Trójząb podobny trochę do gracy. Wybrał prosty hak. Podobał mu się, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. Majster wykuł go ze stali i starannie wypolerował, a następnie przyspawał do stalowego lejka wpuszczonego między kolejne warstwy skórzanego futerału. Wyrzeźbił drewnianą kopię kikutu i rozklepał na nim skórę, nadając jej właściwy kształt, a następnie nasączył żywicą, żeby stwardniała. Przyszył do futerału pasy i klamry uprzęży. Całość kosztowała pięćset dolarów amerykańskich.

Żył w Bangkoku przez rok. Początkowo z trudem posługiwał się hakiem, a futerał ciągle go uwierał, ale z biegiem czasu nabrał wprawy. Radził sobie. Gdy wykopał trumnę i kupił bilet na statek handlowy płynący do San Francisco, już prawie nie pamiętał, że kiedyś miał dwie ręce. Natomiast nie mógł się przyzwyczaić do wyglądu swej twarzy.

Zszedł na ląd w Kalifornii, wyciągnął z ładowni trumnę i za niewielką część jej zawartości kupił używaną furgonetkę. Trzej przestraszeni dokerzy pomogli mu załadować trumnę. Pojechał przez cały kraj, aż do Nowego Jorku. Minęło dwadzieścia dziewięć lat, a on wciąż tu mieszkał. Dzieło tajskiego majstra leżało na podłodze obok jego łóżka. Kładł je tu każdego wieczoru przez jedenaście tysięcy nocy.

Przewrócił się na brzuch i lewą ręką podniósł uprzęż z podłogi. Usiadł na łóżku, włożył ją między kolana i sięgnął po leżącą na nocnym stoliku skarpetkę. Dziesięć po szóstej. Kolejny

dzień w życiu.

• • •

William Curry obudził się kwadrans po szóstej. To był zwyczaj z czasów, kiedy pracowała na dziennej zmianie w policji. Odziedziczył po babce umowę najmu mieszkania na pierwszym piętrze przy Beekman. To nie było wspaniałe miejsce, ale przynajmniej nie musiał za nie dużo płacić i miał niedaleko do wszystkich komisariatów poniżej kanału. Przeprowadził się tu po rozwodzie i został po przejściu na emeryturę. Emerytura policyjna wystarczała na czynsz, media i wynajęcie jednopokojowego biura na Fletcher. Dochody z wątpliwej praktyki detektywistycznej musiały mu wystarczyć na jedzenie i alimenty. Miał jednak nadzieję, że gdy stanie się bardziej znany, będzie dużo zarabiał.

Kwadrans po szóstej rano w mieszkaniu było jeszcze chłodno. Jego kamienica stała w cieniu znacznie wyższych budynków. Curry stanął na linoleum i przeciągnął się, a potem wkroczył do aneksu kuchennego i postawił na palniku ekspres do kawy. Poszedł się umyć. Miał dobrze ustaloną kolejność porannych czynności, dzięki czemu nigdy się nie spóźniał do pracy. Po przejściu na emeryturę niczego nie zmienił.

Podszedł do szafy z kubkiem kawy w reku i stanął przed otwartymi drzwiami. Przyglądał się ubraniom wiszącym na drążku. Jako policjant zazwyczaj chodził w zwykłych spodniach i marynarce. Szara flanela, marynarka w kratę. Lubił tweed, choć nie był Irlandczykiem. Próbował latem chodzić w lnianych marynarkach, ale łatwo się gniotły, dlatego zdecydował się na cienki poliester. Żadne z tych ubrań nie wchodziło w grę, skoro tego dnia miał wyglądać jak David Forster, jeden z najdroższych nowojorskich adwokatów. Curry postanowił włożyć weselny garnitur.

To był zwykły czarny garnitur Brooks Brothers kupiony na rodzinne wesela, chrzciny i pogrzeby. Miał już co prawda piętnaście lat, ale nie różnił się wiele od nowych model. Był na niego nieco za luźny, bo jak Curry stracił kuchnię żony, szybko schudł. Spodnie były nieco za szerokie jak na standardy East Village, ale to mu odpowiadało, ponieważ zamierzał założyć na kostki olstra, William Curry uważał, że zawsze należy być odpowiednio przygotowanym, David Forster powiedział, że prawdopodobnie w ogóle niewiele się *wydarzy*. Curry byłby bardzo zadowolony, gdyby się okazało, że adwokat miał rację, ale po dwudziestu latach służby w nowojorskiej policji, w najgorszych latach tego miasta, odnosił się ostrożnie do takich zapewnień. Zamierzał założyć olstra na kostki i schować na plecach wielki Magnum .35? z długą lufą.

Włożył garnitur do plastikowego pokrowca, który gdzieś znalazł, dołożył białą koszulę i najspokojniejszy krawat, jaki miał. Przeciągnął czarny pasek przez kaburę na pistolet i włożył do torby wraz z olstrami na kostki. Wrzucił do teczki magnum i dwa krótkie rewolwery Smith & Wesson kalibru .38. Wrzucił do pudełka po dwanaście naboji do wszystkich trzech rodzajów broni i też je spakował. Wcisnął czarne skarpetki do czarnych półbutów i upchnął je do torby z olstrami. Zamierzał przebrać się po lunchu. Nie chciał chodzić w garniturze przez całe przedpołudnie i pokazać się na spotkaniu w wymiętej marynarce.

Zamknął mieszkanie na klucz i poszedł do swego biura na Fletcher. Po drodze zatrzymał się tylko w piekarni, żeby kupić słodką bułkę z bananem i orzechami, o niskiej zawartości tłuszczu.

• • •

Marilyn Stone obudziła się o siódmej. Była zmęczona, miała czerwone oczy. Siedzieli w gabinecie do północy, aż wreszcie Hobie wyszedł. Mocno zbudowany facet w ciemnym garniturze posprzątał w łazience. Wyszedł bardzo zirytowany i kazał im czekać, aż wyschnie podłoga. Siedzieli w ciemnościach, odrętwiali, zziębnięci i głodni, ale mieli takie mdłości, że nawet nie przyszło im do głowy poprosić o coś do jedzenia. Tony kazał jej poprawić poduszki na sofie. Przypuszczała, że chce się położyć. Czowała się upokorzona, że musi przygotowywać mu łóżko, pochylając się w krótkiej sukience, ale ułożyła poduszki. Uśmiechnął się do niej. W łazience było zimno. Ściany były wilgotne, pachniało

środkami dezynfekującymi. Złożone ręczniki leżały obok umywalki. Rozłożyła je na podłodze. Oboje skulili się na nich bez słowa. Za drzwiami w gabinecie panowała cisza. Marilyn nie spodziewała się, że zaśnie, ale widocznie tak się stało, bo obudziła się z wyraźnym przekonaniem, że zaczyna się nowy dzień.

Z gabinetu dochodziły jakieś odgłosy. Marilyn umyła twarz. Chwilę później ten w ciemnym garniturze przyniósł kawę. Wzięła bez słowa swój kubek. Facet postawił na umywalce kubek dla Chestera, który leżał na podłodze. Nie spał, ale się nie ruszał. Idąc do drzwi, mężczyzna przeszedł nad nim.

— Już niedługo będzie koniec — zwróciła się do męża.

— To dopiero początek, chciałaś powiedzieć — odparł Chester. — Dokąd pójdziemy? Gdzie pójdziemy dziś wieczorem?

Chciała odpowiedzieć do domu, dzięki Bogu, ale przypomniała sobie, że do Chestera już dotarło, iż od drugiej trzydzieści nie będą mieli domu.

— Pewnie do hotelu — powiedziała.

— Zabrali mi karty kredytowe.

Chester zamilkł. Marilyn spojrzała na niego.

— O co chodzi?

— To nigdy się nie skończy — rzekł. — Nie rozumiesz? Jesteśmy świadkami. Tego, co zrobili z tymi policjantami. I z Sheryl. Jak mogliby nas wypuścić?

Marilyn niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową. Spojrzała na niego z wyraźnym rozczarowaniem. Była rozczarowana, bo wreszcie zrozumiał. Teraz przez cały dzień będzie się martwił i gorączkował, co tylko utrudni sytuację.

• • •

Porządne zawiązanie krawata zajęło mu pięć minut. Gdy skończył, włożył marynarkę. Ubierał się w odwrotnej kolejności, niż rozbierał, dlatego na końcu włożył buty. Potrafił zawiązać sznurowadła prawie tak szybko, jak ktoś posługujący się dwiema rękami. Sztuczka polegała na przyciśnięciu wolnego końca do podłogi hakiem.

Porządki zaczął od łazienki. Wrzucił wszystkie brudne rzeczy do poszewki i ułożył ją przy drzwiach wyjściowych. Ściągnął pościel z łóżka, zwinął ją i wcisnął do drugiej poszewki.

Zebrał

wszystkie przedmioty osobistego użytku do plastikowej torby z supermarketu. Opróżnił szafę i schował rzeczy do torby podróźnej. Zablokował drzwi mieszkania, żeby się nie zatrzasnęły, po czym zaniósł wypchane poszewki i plastikową torbę do zsypu. Wyrzucił je i zamknął klapę. Wyciągnął torbę z ubraniami na korytarz, po czym zamknął mieszkanie i włożył klucze do koperty.

Wychodząc z domu, zatrzymał się przy okienku dozorczy, żeby zostawić kopertę z kluczami dla pośrednika handlu nieruchomości. Zszedł po schodach na podziemny parking i zaniósł torbę z ubraniami do cadillaca. Zatrzasnął klapę bagażnika, a następnie usiadł za kierownicą. Pochylił się w prawo, lewą ręką włożył kluczyk do stacyjki i zapalił. Wyjechał z parkingu i skierował się na południe Piątą Aleją, starannie odwracając wzrok, żeby nie spojrzeć na park. Po chwili był już bezpieczny w kanionach centrum.

Wynajmował trzy miejsca parkingowe w World Trade Center,

ale po sprzedaniu suburba i tahoe wszystkie były wolne. Postawił cadillaca na środkowym. Torbę zostawił w bagażniku, ponieważ zamierzał pojechać cadillakiem na lotnisko LaGuardia i zostawić go na długoterminowym parkingu, a następnie pojechać taksówką na JFK, udając pasażera, który pośpiesznie przejeżdża z jednego lotniska na drugie. Samochód będzie stał na lotnisku, aż wyrosną pod nim chwasty, a jeśli ktoś się nim kiedyś zainteresuje, będzie szukać właściciela na listach pa-sażerów LaGuardii. To oznaczało, że musi spisać na straty nie tylko umowę najmu biura, ale i samochód, jednakże zawsze swobodnie wydawał pieniądze, jeśli otrzymywał za nie coś

o odpowiedniej wartości, a trudno mu było wyobrazić sobie coś cenniejszego niż własne

życie.

Wjechał na górę ekspresową windą i dziewięćdziesiąt sekund mosiężnymi ozdobami. Tony siedział za pulpitem recepcjonisty

i pił kawę. Wydawał się zmęczony. — Motorówka? - spytał go Hobie.

— Jest już u *handlarza* — odpowiedział Tony. — Prześlę pieniądze przekazem Chcą wymienić reling w tym miejscu, gdzie ten dureń uszkodził go tasakiem. Zgodziłem się, powiedziałem, żeby sobie potracili, gdy ją sprzedadzą. Hobie kiwnął głową.

— Coś jeszcze?

Tony uśmiechnął się ironicznie.

— Mamy więcej pieniędzy do przestania. Właśnie przyszedł przelew z rachunku Stonę'a, oprocentowanie pożyczki. Jedenaście tysięcy dolarów, bardzo punktualnie. Sumienny zasraniec, prawda?

Hobie również się uśmiechnął.

— Prześlij je na wyspy, jak tylko otworzą bank, okay? Tony kiwnął głową i spojrzał na kartkę z notatkami.

— Simon znowu zadzwonił z Hawajów. Zdążyli na samolot. W tym momencie są gdzieś nad Wielkim Kanionem.

— Czy Newman już wie? — spytał Hobie.

— Jeszcze nie. — Tony pokręcił głową. — Zacznie sprawdzać dziś rano. Reacher zmusił go do tego. Wygląda na bystrego faceta.

- Nie jest dostatecznie bystry — oświadczył Hobie. — Różnica czasu wynosi pięć godzin, tak?

— Tak. Będą wiedzieli dzisiaj po południu. Powiedzmy, że zacznie o dziewiątej rano, zajmie mu to dwie godziny. Dowie się o czwartej naszego czasu. Już nas tu nie będzie.

Hobie znowu się uśmiechnął.

— Mówiłem ci, że wszystko się uda. Czy nie mówiłem? Czy nie powiedziałem ci, żebyś się uspokoił i mnie zostawił myślenie.

• • •

Gdy Reacher się obudził, jego zegarek wskazywał siódmą. Jeśli dobrze pamiętał, zegarek był wciąż nastawiony na czas w St Louis, a zatem na Hawajach była trzecia rano, a szósta w Arizonie lub Kolorado czy nad czym tam właśnie lecieli. W Nowym Jorku była już ósma. Przeciągnął się na fotelu, wstał i przeszedł obok Jodie, która leżała skulona na swoim miejscu. Stewardesa nakryła ją kocem. Mocno spała. Oddychała powoli, a włosy zasłaniały jej twarz. Reacher stał przez chwilę

w przejściu, przypatrując się śpiącej Jodie, po czym poszedł wyprostować nogi.

Przeszedł do klasy turystycznej. Światła w kabinie były przygaszone, a w tyle samolotu panował większy ścisk. Pasażerowie na wąskich fotelach kulili się pod kocami. Czuć było przykry zapach brudnych ubrań. Reacher doszedł do samego końca samolotu, zawrócił przez galerię przy kabinie obsługi, opierając się o aluminiowe szafki. Wrócił drugim przejściem. Zatrzymał się na chwilę w drzwiach do pierwszej klasy i jeszcze raz spojrzał na pasażerów. Mężczyźni w garniturach, bez marynarek, z rozluźnionymi krawatami. Kobiety w kostiumach, bez żakietów. To i ówdzie włączone laptopy, otwarte teczki na pustych fotelach, wypchane skoroszytami w plastikowych okładkach ze spiralną oprawą. Światła do czytania skierowane na rozkładane stoliki. Niektórzy z tych ludzi wciąż pracowali, do późnego wieczora lub od wczesnego ranka, zależnie od wyboru strefy czasowej.

Reacher przypuszczał, że byli to typowi przedstawiciele

klasy średniej. Wzniesli się wysoko nad dno, ale daleko im było do szczytu. Tak jak majorzy i pułkownicy w armii. Osiągnęli w cywilu taki poziom jak on w wojsku. On dochrapał się stopnia majora. Gdyby służył dalej, pewnie już byłby pułkownikiem. Oparł się o grodz i popatrzył na pochylone głowy. *Leon mnie stworzył i teraz mnie zmienił*, pomyślał. Leon pomógł mu zrobić szybką karierę w mundurze. Nie stworzył go z niczego, ale na pewno mu pomógł. To nie ulegało wątpliwości. Ta kariera już się skończyła i dryfował bez celu. Dryf też

już się skończył, również dzięki Leonowi. Nie tylko z powodu Jodie. Z powodu jego testamentu. Stary zostawił mu dom, który stanowił kotwicę. To wystarczyło. Przedtem perspektywa osiedlenia się w jakimś miejscu wydawała mu się czysto teoretyczną możliwością, jak odległa kraina, której nigdy nie odwiedzi. To wymagałoby zbyt długiej podróży. Bilety były zbyt drogie. Trudność z przyzwyczajeniem się do obcego mu stylu życia wydawała się porażająca. Zapis Leona pozbawił go wolności. Leon porwał go i wywiózł do tego obcego kraju. Teraz stał z nosem przyciśniętym do płotu.

Widział, jak wygląda życie po drugiej stronie. Nagle pomyślał, że gdyby jednak poszedł w innym kierunku, byłoby to czystym szaleństwem. To zmieniłoby swobodną włóczęgę w świadomy wybór, czyli coś zupełnie odmiennego. Cały sens swobodnej włóczęgi polegał na biernej akceptacji braku wyboru. Leon postawił go w sytuacji, w której miał wybór. Czekał na niego solidny i wygodny dom nad brzegiem Hudsonu. Leon na pewno uśmiechał się do siebie, gdy zapisywał mu dom. Pewnie uśmiechnął się ironicznie i pomyślał: *Ciekawe, jak się z tego wywiniesz, Reacher.*

Reacher popatrzył na laptopy i plastikowe foldery w spiralnej oprawie. Skrzywił się w duchu. Jak miał przekroczyć granicę odległej krainy bez tego balastu? Bez garniturów, krawatów i małych, plastikowych urządzeń na baterię? Notesów w oprawie ze skóry i listów elektronicznych z głównego biura? Zadrżał. Stał jak sparaliżowany, opinając się o grodz. Ogarnęła go tka panika, że nie mógł oddychać i mszyć się z miejsca. Przypomniaws sobie, jak pewnego dnia, niecały rok wcześniej.

wysiadł z ciężarówki na skrzyżowaniu w pobliżu miasta, o którym nigdy nie słyszał, w stanie, w którym nigdy nie był. Pomachał kierowcy na pożegnanie, wsadził ręce do kieszeni i ruszył pieszo, mając milion kilometrów za sobą i milion przed sobą. Świeciło słońce, kurz unosił się spod jego butów, a on uśmiechał się z radości, że jest sam i nie ma zielonego pojęcia, dokąd idzie.

Reacher pamiętał jednak również inny dzień, dziewięć miesięcy później. Kończyły mu się pieniądze, zastanawiał się co dalej. Nawet w najtańszych motelach trzeba zapłacić. Tak samo w najtańszych barach. Zaczął pracować w Keys. Początkowo zamierzał zarabiać tylko kilka tygodni. Potem wziął jeszcze pracę wieczorową, a trzy miesiące później, gdy spotkał Costella, w dalszym ciągu pracował. W rzeczywistości jego swobodna włóczęga skończyła się już wtedy. Już wówczas był pracującym człowiekiem. Nie mógł się tego wypierać. Teraz pytanie sprowadzało się do kwestii, gdzie, za ile i u kogo. Uśmiechnął się. *To jak prostytutka*, pomyślał. *Nie ma powrotu.* Rozluźnił się trochę. Odepchnął się od grodzi i wrócił na swoje miejsce. Facet w koszuli w paski, z ramionami takiej samej długości jak Victor Hobie, nie spał. Obserwował Reachera. Skłonił głowę na powitanie. Reacher odskłonił się i poszedł do łazienki. Gdy wrócił, Jodie już nie spała. Siedziała wyprostowana, przeczesując palcami włosy.

— Cześć, Reacher — powiedziała. — Hej, Jodie.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Zrobił krok nad jej nogami, po czym usiadł na swoim fotelu.

— Dobrze się czujesz? — spytał.

Jodie poruszyła głowę, żeby odrzucić włosy na plecy.

— Nieźle. Całkiem nieźle. Sądziłam, że będzie gorzej. Gdzie byłeś?

— Poszedłem wyprostować nogi. Zajrzałem, jak żyją ludzie w innej klasie.

— Nie. O czymś myślałeś. Zauważyłam to już piętnaście lat temu. Gdy musisz o czymś pomyśleć, zawsze spacerujesz.

— Tak? — zdziwił się Reacher. — Nie wiedziałem.

- Na pewno tak robisz — zapewniła. — Zauważyłam to. Dokładnie cię obserwowałam. Czy pamiętasz, że byłam w tobie zakochana?

— I co jeszcze robię?

- Zaciskasz lewą dłoń, gdy jesteś zły lub spięty. Prawą trzymasz swobodnie. To

prawdopodobnie wynik ćwiczeń z bronią. Kiedy jesteś znudzony, myślami uciekasz do muzyki. Poruszasz wtedy palcami, jakbyś grał na fortepianie. Gdy mówisz, poruszasz czubkiem nosa.

— Naprawdę?

— Niewątpliwie. O czym myślałeś?

— O tym i owym — odpowiedział, wzruszając ramionami.

- O domu, zgadłam? To cię trapi, prawda? No i ja. Dom i ja. Czujesz się skrępowany jak ten facet z powieści, Guliwer. Czytałeś tę książkę?

— Guliwer to facet, którego we śnie uwięzili Lilipuci — rzucił z uśmiechem. — Przywiązali go do ziemi setkami cienkich sznurków.

— Czujesz się jak on?

Raecher przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Nie z twojego powodu.

Zwlekał o ułamek sekundy za długo. Jodie pokiwała głową.

— Inaczej jest, gdy żyjesz sam, prawda? Wiem, byłam zamężna. Jest ktoś, kogo stale trzeba brać pod uwagę. Ktoś, o kogo trzeba się martwić?

— Przyzwyczaję się do tego. — Raecher się uśmiechnął.

— No i jeszcze dom, tak? — Również się uśmiechnęła.

— Dziwnie się z tym czuję — przyznał, wzruszając ramionami.

— No, to sprawa między tobą i Leonem. Chcę, żebyś wiedział, że niczego od ciebie nie wymagam. W żadnej sprawie. To twoje życie, twój dom. Powinieneś zrobić to, czego chcesz, bez żadnych nacisków.

Raecher pokiwał głową i nic nie powiedział.

— Czy zamierzasz szukać Hobiego?

— Może. — Raecher znowu wzruszył ramionami. — To cholernie trudne zadanie.

- Masz informacje, od których *możesz* zacząć — zauważyła Jodie. — Są dane medyczne. Musi mieć protezę. Jeśli jest poparzony, to musiały zachować się jakieś notatki na ten temat. No i na pewno zauważysz go, jeśli spotkacie się na ulicy. Jednoręki mężczyzna z poparzoną twarzą.

— Mogę również poczekać, aż on mnie znajdzie. Wystarczy, żebym posiedział w Garrison, aż on przyśle tam swoich chłopców.

Raecher odwrócił się w stronę okna. Spojrzał na swoje słabe odbicie. *Właśnie przyjąłem, że on żyje, uświadomił sobie. Zaakceptowałem to, że się pomyliłem.* Znowu spojrzął na Jodie.

— Czy możesz pożyczyć mi komórkę? Dasz sobie radę bez niej? To na wypadek gdyby Nash coś znalazł i zadzwonił. Jeśli tak się stanie, chcę o tym natychmiast wiedzieć.

Jodie wytrzymała jego spojrzenie, po czym kiwnęła głową. Otworzyła torebkę. Wyjęła telefon i podała Raecherowi.

— Życzę szczęścia — powiedziała.

Raecher schował komórkę do kieszeni marynarki.

— Dotychczas szczęście nie było mi potrzebne — odpowiedział.

Nash Newman nie czekał z rozpoczęciem poszukiwań do dziewiątej rano. Był pedantycznym człowiekiem, dbającym

o wszystkie szczegóły zarówno w sprawach etycznych, jak

i zawodowych. To były nieoficjalne badania, które zgodził się przeprowadzić, kierując się współczuciem dla przyjaciela. Nie mógł tego robić w godzinach pracy. Prywatne sprawy należy załatwiać prywatnie.

Wstał o szóstej rano, gdy nad górami rozpoczynał się tropikalny wschód słońca. Ubrał się i wypił kawę. O szóstej trzydzieści był już w swoim gabinecie. Przypuszczał, że rozstrzygnięcie tej kwestii zajmie mu dwie godziny. Przed rozpoczęciem pracy o dziewiątej chciał jeszcze zjeść śniadanie w kantynie.

Wyciągnął szufladę i wyjął dokumentację medyczną Victora Hobiego. Leon Garber

zgrupował ją w wyniku żmudnej kwerendy wśród lekarzy i stomatologów w okręgu Putnam. Trzymał je w starym folderze policyjnym zamykanym metalową klamerką i dodatkowo zabezpieczonym tasiemką, która kiedyś była czerwona, ale wyblakła.

Nash rozwiązał tasiemkę, rozpiął klamrę i otworzył folder. Na wierzchu leżała deklaracja podpisana przez oboje rodziców Hobiego w kwietniu, w której zgodzili się na wykorzystanie dokumentacji medycznej syna. Pod nią znalazł stare dokumenty. Newman przeglądał w swym życiu tysiące takich teczek i mógł bez wysiłku określić na ich podstawie wiek i miejsce, gdzie ci chłopcy się wychowywali, dochody ich rodziców, talenty sportowe i inne czynniki, które wpływają na historię medyczną. Na przykład pewna procedura stomatologiczna może zostać wymyślona w Kalifornii i następnie zyskać popularność w całym kraju jak najnowsza moda. Wobec tego trzynastoletni chłopiec z Des--Moines, który był tak leczony, musiał urodzić się pięć lat później niż trzynastoletni z Los Angeles, który również skorzystał z tego dobrodziejstwa. No a dochody rodziców decydowały, czy w ogóle miał na to szansę. Gwiazdorzy szkolnej drużyny piłkarskiej mieli zwichnięte barki, gracze w baseball uszkodzone nadgarstki, a pływacy chroniczne zapalenie uszu. W teście Victora Hobiego nie było wielu dokumentów. Newman umiał czytać między wierszami, dlatego łatwo sobie wyobraził zdrowego, dobrze odżywionego chłopca, o którego starannie troszczyli się obowiązkowi rodzice. Zaliczył przeziębienia i grypy oraz atak bronchitu w wieku ośmiu lat. Żadnych wypadków. Żadnych złamań. Systematyczna opieka stomatologiczna. Chłopak wychowywał się w epoce dominacji agresywnej stomatologii. Według Newmana to było typowe dla wszystkich chłopców z okolic Nowego Jorku, którzy urodzili się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W tym czasie dentyści przede wszystkim walczyli z ubytkami. Tropili je za pomocą zdjęć rentgenowskich, powiększali wiertarkami i wypełniali amalgamatem srebra. Chłopcy często odwiedzali gabinet dentystyczny, co z pewnością nie cieszyło Victora Hobiego, ale z punktu widzenia Newmana stanowiło to nad wyraz pomyślną okoliczność, ponieważ dzięki temu dysponował grubym plikiem zdjęć jego uzębienia. Były one dostatecznie liczne, dostatecznie wyraźne i dostatecznie dobre, żeby umożliwić jednoznaczną identyfikację.

Newman zebrał wszystkie zdjęcia i wyszedł na korytarz. Otworzył drzwi w ścianie z pustaków i mijając aluminiowe trumny, skierował się do alkowy w głębi. Na szerokiej półce za rogiem, niewidoczny od drzwi, stał terminal komputera. Newman włączył go i otworzył menu poszukiwań. Na ekranie pojawił się szczegółowy kwestionariusz

Wypełnienie kwestionariusza wymagało prostej logiki. Nash nacisnął ikonę **WSZYSTKIE KOŚCI** i wprowadził informację; **BRAK ZŁAMAŃ W DZIECIŃSTWIE, MOŻLIWE ZŁAMANIA W DOROSŁYM WIEKU**. Jeśli nawet chłopak nie złamał sobie nogi, grając w piłkę, mógł to zrobić później, na przykład podczas szkolenia. Dokumentacja medyczna z czasów służby nie zawsze była kompletna. Newman poświęcił dużo czasu na wypełnienie części kwestionariusza dotyczącej uzębienia. Dokładnie opisał każdy ząb, korzystając z danych. Zaznaczył wszystkie ubytki, a przy każdym zdrowym zębie dodał: **POTENCJALNE UBYTKI**. To był jedyny sposób, żeby uniknąć błędów. Prosta logika. Dobry ząb może się zepsuć i wymagać leczenia, natomiast wypełniona dziura nigdy nie znika. Przyjrzał się zdjęciom rentgenowskim i w rubryce **ODSTĘPY** wpisał: **RÓWNE**. To samo w rubryce **WIELKOŚĆ** pozostałych części kwestionariusza nie wypełnił. Po niektórych chorobach pozostają ślady w kościach, ale nie po grypie, przeziębieniu lub bronchicie.

Newman jeszcze raz przejrzał wypełniony kwestionariusz. Punktualnie o siódmej nacisnął ikonę **SZUKAJ**. W porannej ciszy wyraźnie słyszał szum twardego dysku. Program zaczął cierpliwą podróż przez bazę danych.

• • •

Wylądowali dziesięć minut przed zaplanowaną godziną, na krótko przed dwunastą czasu wschodniego. Samolot zszedł do lądowania nad błyszczącą taflą zatoki Jamaica, wylądował,

pędząc na wschód, po czym zawrócił i powoli kołował do terminalu. Jodie przestawiła zegarek i wstała z fotela, nim samolot się zatrzymał. W pierwszej klasie obsługa nie czepia się pasażerów za takie łamanie reguł.

- Chodźmy — powiedziała Jodie. — Mam naprawdę mało czasu.

Stanęli przy drzwiach, nim jeszcze stewardesa je otworzyła. Reacher niósł torbę Jodie, która szła pierwsza. Pośpiesznie przeszli przez rękaw, przecięli halę przylotów i udali się na krótkoterminowy parking. Już z daleka zobaczyli wielkiego, czarnego lincolna navigatora. Żeby wyjechać, musieli wydać pięćdziesiąt osiem dolarów od Ruttera.

— Czy mam czas na prysznic? — zastanowiła się głośno Jodie. Reacher wyraził swoją opinię, naciskając pedał gazu mocniej, niż powinien. Jechali Van Wyck. Na Long Island Expressway w kierunku tunelu nie było korków. Już dwadzieścia minut po wylądowaniu byli na Manhattanie, a po trzydziestu prawie dojechali do domu na Broadwayu.

— Sprawdzę mieszkanie — postanowił Reacher. — To ważniejsze od prysznica.

Kiwnęła głową. Po powrocie do miasta musieli znowu liczyć się z niebezpieczeństwem.

— Dobra, ale się pośpiesz.

Reacher ograniczył się do wizualnego sprawdzenia holu przez szklane drzwi. Nikogo nie zauważył. Zostawili samochód przed domem, wjechali windą na czwarte piętro, po czym zeszli schodami ewakuacyjnymi na trzecie. W budynku panowała cisza i spokój. Mieszkanie było nienaruszone. W dziennym świetle widać było doskonale kopię Mondriana. Była dwunasta trzydzieści.

— Dziesięć minut — rzuciła Jodie. — Zawieziesz mnie do kancelarii, dobrze?

— Jak dotrzesz na to spotkanie?

— Mamy na stałe wynajęty samochód z kierowcą. On mnie zawiezie.

Jodie pobiegła przez salon do łazienki, po drodze zrzucając z siebie ubranie.

— Chcesz coś zjeść?! — krzyknął.

— Nie mam czasu! — odkrzyknęła.

Jodie spędziła pięć minut w łazience i pięć w garderobie. Pojawiła się w grafitowym kostiumie.

- Znajdź moją teczkę, dobrze? — poprosiła. Uczesała się i wysuszyła włosy. Ograniczyła makijaż do tuszu do powiek i szminki. Sprawdziła swój wygląd w lustrze i pobiegła do salonu. Reacher znalazł już teczkę. Zeszli do samochodu.

— Weź moje klucze — powiedziała. — Będziesz mógł wrócić do mieszkania. Zadzwoń do ciebie z kancelarii, żebyś po mnie przyjechał.

Jazda do kancelarii zajęła im siedem minut. Reacher zatrzymał się na niewielkim placyku przed budynkiem. Jodie wysiadła z wozu za pięć pierwsza.

— Powodzenia! — zawołał Reacher na pożegnanie. — Daj im popalić.

Jodie pomachała mu ręką i przycisnęła się przez obrotowe drzwi. Ochroniarze dostrzegli ją i powitali ukłonami. *Jeszcze przed* pierwszą była na górze w swoim gabinecie. Sekretarz wszedł za nią i podał jej cienki folder.

— Proszę, oto dokumenty — rzekł ceremonialnym tonem. Jodie szybko przejrzała osiem kartek.

— Do diabła, to wszystko?

— Podczas zebrania partnerów wszyscy byli bardzo podnieceni tą sprawą — oznajmił sekretarz.

Jodie jeszcze raz przerzuciła dokumenty, tym razem w odwrotnym porządku.

— Nie rozumiem z jakiego powodu. Nigdy nie słyszałam o tych korporacjach, a suma jest banalna.

— Nie o to chodzi, nieprawdaż? — skomentował sekretarz.

— A o co? — spytała, spoglądając na niego.

— To wierzyciel postanowił panią zatrudnić — wyjaśnił. — Wierzyciel, nie zaś dłużnik. To niewątpliwie posunięcie przewencyjne. Wszyscy już o pani słyszeli. Wierzyciel wie, że jeśli wystąpi pani po stronie dłużnika, może mu pani napsuć krwi. J Wobec tego zatrudnił panią pierwszy, żeby do tego nie dopuścić. Jest pani sławna. To dlatego partnerzy tak się cieszyli. Jest pani wielką gwiazdą, pani Jacob.

16

Reacher wrócił powoli na Broadway. Wjechał wielkim samochodem do podziemnego garażu i zaparkował na miejscu Jodie. Zamiast pójść na górę do mieszkania, wyszedł rampą na ulicę i skierował się na północ, do kawiarni. Poprosił barmana o poczwórną kawę w styropianowym kubku, po czym usiadł przy chromowanym stoliku, gdzie siedziała Jodie, kiedy on sprawdzał mieszkanie wieczorem po powrocie z Brighton. Gdy wrócił wtedy do kawiarni, Jodie siedziała i wpatrywała się w zdjęcie sfabrykowane przez Ruttera. Usiadł na tym samym krześle, zdmuchnął piankę z kawy i wypił pierwszy tyk.

Zastanawiał się, co powiedzieć rodzicom Victora. Jedynym ludzkim rozwiązaniem było zatajenie całej sprawy. Mógł im przekazać, że niczego się nie dowiedział. Żadnych szczegółów, pomyślał. Po prostu jedź tam, uściśnij im ręce, powiedz, że Rutter ich oszukał, zwróć pieniądze i opisz długie, jałowe poszukiwania, które zakończyły się fiaskiem. Potem przekonaj ich, że muszą przyjąć do wiadomości, iż ich syn dawno zginął, oraz poproś, żeby zechcieli zrozumieć, iż nikt nie będzie w stanie powiedzieć im, jak to się stało. A potem znikniesz, a oni dożyją końca swych dni z poczuciem godności, jakie może dać przekonanie, że są tylko dwojgiem z kilkudziesięciu milionów rodziców, którzy stracili dzieci w tym upiornym stuleciu.

Reacher dopił kawę. Siedział, trzymając zaciśniętą rękę na stole. Postanowił okłamać państwa Hobie, bo uważał, że tak nakazuje dobroć. Nie miał w tej dziedzinie wielkiego doświadczenia. W swoim życiu nie miał okazji do praktykowania tej cnoty. Nigdy nie znalazł się w sytuacji, w której miałaby ona jakieś znaczenie. Nigdy nie spadł na niego obowiązek przekazania krewnym złych wiadomości. Innym się to zdarzało. Po wojnie w Zatoce Perskiej powołano specjalne zespoły złożone ze starszego oficera z danej jednostki i policjanta wojskowego w celu odwiedzania rodzin poległych. Ludzie ci przemierzali podjazdy will, wchodzili po schodach w kamienicach i przekazywali wiadomość, którą zdradzało samo ich pojawienie się w galowych mundurach. Reacher przypuszczał, że w takich sytuacjach dobroć może mieć spore znaczenie, ale on zawsze zajmował się tylko pracą dochodzeniową, gdzie wszystko było proste. Coś się zdarzyło lub nie, było zgodne z prawem lub stanowiło przestępstwo. Teraz, dwa lata po zwolnieniu z wojska, nagle w jego życiu pojawiła się dobroć.

I na dokładkę zmuszała go do kłamstwa.

Postanowił, że znajdzie jednak tego Victora Hobiego. Rozluźnił dłoń i dotknął blizny na piersi. Musiał wyrównać rachunki. Przechylił kubek, aż poczuł fusy na języku i między zębami. Wyrzucił pusty kubek do śmieci i wyszedł z kawiarni na nasłonecznioną ulicę. Słońce minęło już południe i zaczęło kierować się na zachód. Poczuł na twarzy ciepłe promienie. Szedł powoli w kierunku domu Jodie. Był zmęczony. Spał tylko cztery godziny w samolocie. Cztery godziny w ciągu ponad dwudziestu czterech. Przypomniał sobie, jak rozłożył ogromny fotel w pierwszej klasie i zasnął. Myślał wtedy o Hobiem, tak samo jak teraz. Victor Hobie kazał zabić Costella, żeby dalej mógł się ukrywać. Przypomniała mu się Crystal, striptizerka z Keys. Nie powinien teraz o niej myśleć, ale coś jej wtedy powiedział, tam w ciemnym barze. Miała na sobie koszulę z krótkimi rękawami i nic więcej. Potem przypomniał sobie rozmowę z Jodie w gabinecie Leona. W jego domu. Powiedziała to samo, co on powiedział Crystal. On powiedział, że *tam na północy musiał komuś nadepnąć na odcisk, sprawić jakiś kłopot. Jodie zauważyła, że Costello spróbował jakiegoś skrót, zanim zaczął cię szukać, nadepnął komuś na odcisk i wywołał alarm.*

Reacher nagle zatrzymał się na ulicy. Serce mu gwałtownie zabiło. Leon. Costello. Leon i Costello rozmawiali ze sobą. Costello przyjechał do Garrison i rozmawiał z Leonem tuż przed śmiercią. Leon na pewno powiedział mu: *Znajdź niejakiego Jacka Reachera, bo chcę, żeby sprawdził, co się stało z pewnym facetem, Victorem Hobiem.* Costello, spokojny profesjonalista, uważnie słuchał zlecenia. Wrócił do Nowego Jorku i wykroczył poza zakres zleczonej sprawy. Pewnie wszystko sobie przemyślał i postanowił pójść na skróty. *Zamiast od razu szukać Reachera, najpierw rozejrzył się za Victorem Hobiem.*

Reacher pobiegł na podziemny parking. Z dolnego Broadwayu do Greenwich Avenue jest cztery i pół kilometra, ale on dojechał tam w jedenaście minut, przemykając się za taksówkami jadącymi do zachodniej części centrum. Zostawił samochód na chodniku przed budynkiem i wbiegł po kamiennych schodkach do holu.

Rozejrzył się i nacisnął trzy przypadkowo wybrane guziki.

— UPS! — zawołał do mikrofonu.

Zamek zabrzączał. Reacher pobiegł na górę do lokalu numer pięć. Mahoniowe drzwi do biura Costella były zamknięte tak samo jak cztery dni temu. Reacher rozejrzył się po korytarzu i spróbował nacisnąć klamkę. Drzwi się otworzyły. Zamek był wciąż odciążony, biuro było otwarte. W pastelowej poczekalni panował porządek. Bezosobowe miasto. Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami, nie troszcząc się, co dzieje się tuż obok. W poczekalni było duszno. Zapach perfum sekretarki już prawie wywietrzał, ale jej komputer był włączony. Wygaszacz ekranu wciąż cierpliwie czekał na jej powrót.

Reacher stanął za biurkiem i popchnął palcem myszę. Na ekranie pojawiła się karta z bazy danych dotycząca firmy Spencer Gutman & Talbot, którą sam odszukał, żeby tam zadzwonić, gdy jeszcze nie wiedział, kim jest pani Jacob. Bez większej wiary w powodzenie wrócił do głównej listy. Poszukał JACOB, ale bez sukcesu. Nie zauważył również nazwiska HOBIE, a litery H i J nie są daleko od siebie.

Reacher szybko przejrzał całą listę, jednakże niczego nie znalazł. Nie było nazwisk, tylko skróty nazw różnych korporacji. Poszedł do gabinetu Costella. Na biurku nie było żadnych papierów. Obszedł biurko. Z tego miejsca zobaczył metalowy kosz na śmieci stojący pod biurkiem, w miejscu na nogi. W koszu leżały pogniecione kartki. Ukucnął, wyciągnął kosz i wysypał jego zawartość na podłogę. Otwarte koperty, reklamy, formularze, zatłuszczone opakowanie kanapki. Kilka kartek w linie wyrwanych z perforowanego bloku. Rozpłaszczył je na wykładzinie. Nic nie zwróciło jego uwagi, ale to niewątpliwie były notatki robocze. Costello miał widocznie zwyczaj notować, żeby łatwiej uporządkować myśli. Wszystkie wydawały się nowe. Pewnie regularnie opróżniał kosz. Ostatnie notatki pochodziły z kilku dni przed wyjazdem do Keys. Jeśli szukał Hobiego, to musiał się tym zajmować dwanaście lub trzynaście dni temu, zaraz po rozmowie z Leonem, na początku dochodzenia.

Reacher po kolei sprawdził szuflady. W górnej po lewej stronie znalazł perforowany blok. To był notatnik z supermarketu, częściowo zużyty, ze wzmocnionym grzbietem po lewej stronie. Costello zdążył wydrzeć połowę kartek. Reacher usiadł na wysłużonym, skórzanym fotelu i zaczął przeglądać notatnik. Na dziesiątej stronie zauważył nazwisko *Leon Garber* otoczone licznymi zapiskami ołówkiem. Dostrzegł *Pani Jacob, SGR & T oraz Victor Hobie*. Ostatnie nazwisko było dwukrotnie podkreślone niedbałymi ruchami człowieka pogrążonego w rozmyśleniach. Costello otoczył je podwójną obwódką podobną do jajka, a obok naskrobał *CCT??* Przez całą kartkę biegła kreska od *CCT??* do *9 rano*. Ta godzina również była wzięta w kółko. Reacher przyjrzał się temu uważnie. Spotkanie z Victorem Hobiem w miejscu zwanym CCT, o dziewiątej rano. Zapewne tego dnia, w którym Costello został zamordowany.

Reacher zerwał się z fotela i pobiegł do komputera. Na ekranie wciąż była główna lista bazy danych. Wygaszacz jeszcze się nie włączył. Reacher przejechał kursorem do góry i spojrzał na pozycje między *B* i *D*. Dostrzegł *CCT* między *CCR & W* i *CD AG & Y*. Kliknął myszą. Na ekranie pojawiła się

karta dotycząca CAYMAN CORPORATE TRUST. Adres w World Trade Center, telefon, faks.

Notatki dotyczące pytań ze strony różnych kancelarii adwokackich. Nazwisko właściciela — Victor Hobie. Reacher wpatrywał się w ekran. W tym momencie zadzwonił telefon. Reacher oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na konsolę na biurku. Pomyłka. Telefon dzwonił w jego kieszeni. Wyciągnął z marynarki komórkę Jodie i nacisnął guzik.

— Halo? — powiedział.

— Mam pewne nowiny — odezwał się Nash Newman.

— Nowiny? Na jaki temat?

— Na jaki temat? A jak myślisz, do cholery?

— Nie wiem. Powiedz mi.

Newman powiedział. Potem zapadło milczenie. Słysząc było tylko cichy szum oddający odległość dziesięciu tysięcy kilometrów i szmer wentylatora komputera. Reacher odsunął telefon od ucha. Spoglądał na zmianę to na komórkę, to na ekran, całkowicie oszołomiony.

— Jesteś tam? — przerwał ciszę Newman. Jego głos był

słaby i zniekształcony przez elektronikę. Piśnienie ze słuchawki. Reacher znowu przystawił telefon do ucha.

— Czy jesteś pewny? — spytał.

— Tak — potwierdził Newman. — Na sto procent. Wynik jest zupełnie jednoznaczny. Nie ma nawet jednej szansy na miliard, żebym się pomylił. Nie mam żadnych wątpliwości.

— Czy jesteś pewny? — powtórzył Reacher.

— Absolutnie, całkowicie, stuprocentowo pewny. Reacher milczał. Rozejrzał się po pustym sekretariacie. Tam

gdzie przez mleczne szyby przedostawało się światło, ściany wydawały się jasnoniebieskie, gdzie indziej szare.

— Nie wydajesz się zadowolony — rzekł Newman.

— Nie mogę w to uwierzyć — odpowiedział Reacher. — Powiedz mi to jeszcze raz.

Newman powtórnie przekazał mu wiadomość. - Nie mogę w to uwierzyć. Czy jesteś absolutnie pewny? Newman kolejny raz wszystko mu opowiedział. Reacher wbił wzrok w blat biurka.

- Powtórz jeszcze raz — poprosił. — Już ostatni. Newman zrelacjonował swoje odkrycie po raz czwarty.

— Nie ma żadnych wątpliwości — dodał. — Czy słyszałeś, żebym kiedykolwiek się pomylił?

— Cholera! — zaklął Reacher. — Cholera, czy ty rozumiesz,] co to znaczy? Rozumiesz, co się stało? Co on zrobił? Muszę pędzić, Nash. Muszę od razu skontaktować się z St Louis, ponownie zajrzeć do archiwum.

— Faktycznie, musisz — przyznał Newman. — Z pewnością sam bym od razu to zrobił. To pilna sprawa.

— Dzięki, Nash — powiedział Reacher. Wyłączył telefon i wrzucił go do kieszeni. Wstał i powoli wyszedł z biura Costella, zostawiając mahoniowe drzwi szeroko otwarte.

• • •

Do łazienki wszedł Tony z garniturem marki Savile Row na wieszaku, w torbie z pralni. Pod pachą trzymał zapakowaną koszulę, wykrochmaloną i uprasowaną. Spojrzał na Marilyn, po czym powiesił garnitur na prowadnicy kabiny prysznicowej.

Cisnął koszulę na kolana Chestera. Sięgnął do kieszeni i wyjął krawat. Rozciągnął go na całą długość jak magik wyjmujący szarfę z ukrycia. Rzucił go Chesterowi.

- Pora na przedstawienie — oznajmił. — Macie być gotowi za dziesięć minut.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Chester siedział na podłodze, trzymając w rękach zapakowaną koszulę. Krawat leżał na jego nogach, tam gdzie upadł. Marilyn pochyliła się, wzięła od niego koszulę, rozdarła papier. Zmięta go w kulę i rzuciła na posadzkę. Strzepnęła koszulę, po czym rozpięła dwa górne guziki.

— Już niedługo będzie koniec powiedziała, jakby to było zaklęcie.

Chester spojrzał na nią obojętnie i wstał. Wziął od niej koszulę, wciągnął ją przez głowę.

Marilyn stanęła przed nim. Zapięła kołnierzyk i zawiązała krawat.

— Dzięki.

Pomogła mu jeszcze włożyć garnitur. Poprawiła klapy marynarki.

— Uczesz się — poprosiła.

Chester podszedł do lustra. Zobaczył w nim mężczyznę, jakim był w innym życiu. Przeczesał palcami włosy. Do łazienki znowu wszedł Tony. Trzymał w ręku jego mont blanc.

— Pożyczmy ci pióro wieczne, żebyś miał czym podpisać umowę o przekazaniu akcji.

Chester kiwnął głową. Wsunął pióro do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- I jeszcze to. Musimy dbać o pozory, prawda? Z tymi wszystkimi prawnikami dookoła? - -

Podał mu platynowego roleksa. Chester wsunął bransoletkę na rękę. Tony wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Marilyn stanęła przed lustrem. Poprawiła włosy, odgarnęła je za uszy. Zaciśnęła usta, jakby właśnie się umalowała, choć nie miała szminki. To był tylko odruch. Obciągnęła sukienkę. Odwróciła się do męża.

- Jesteś gotowy? — spytała.

- Gotowy na co? — Chester wzruszył ramionami. — A ty?

— Jestem — odpowiedziała.

• • •

Szoferem w kancelarii Spencer Gutman & Talbot był mąż jednej z najdłużej zatrudnionych sekretarek. Kiedyś był zbytecznym urzędasem w jakiejś zapyziałej korporacji, ale nie przetrwał fuzji z energicznym rywalem. Miał wtedy pięćdziesiąt dziewięć lat, był bezrobotny, nie miał żadnych kwalifikacji i perspektyw. Zainwestował oszczędności w używany lincoln town car, a jego żona złożyła kierownictwu kancelarii ofertę, w której argumentowała, że taniej będzie wynająć go na stałe, niż płacić za taksówki. Partnerzy przytknęli oczy na pewne błędy w jej rachunkach i przyjęli propozycję ze względów charytatywnych i dla wygody. Gdy Jodie wyszła z windy, szofer już na nią czekał w samochodzie z włączonym silnikiem i klimatyzacją. Opuścił okno.

— Czy wie pan, dokąd jedziemy? — spytała Jodie. Kiwnął głową i puknął palcem w podkładkę do notowania,

która leżała na fotelu pasażera.

— Jestem gotowy — powiedział.

Jodie usiadła z tyłu. Z natury miała demokratyczne skłonności i wolałaby usiąść z przodu, ale mężczyzna nalegał, żeby pasażerowie siadali z tyłu. Dzięki temu czuł się bardziej oficjalnie. Był drażliwym starszym panem, a wyczuwał, że jego zatrudnieniu towarzyszył powiew dobroczynności. Starał się zachowywać bardzo oficjalnie, bo wydawało mu się, że to podwyższa jego status. Chodził w ciemnym garniturze i czapce szofera, którą kupił gdzieś na Brooklynie.

Szofer ruszył, gdy tylko zobaczył w lusterku, że Jodie usiadła. Wyjechał po rampie na dwór. Wyjazd znajdował się na tyłach budynku, dlatego znaleźli się na Exchange Place. Skręcił w lewo w Broadway i stopniowo zmieniał pasy, żeby skręcić ostro w prawo w Trinity. Pojechał nią na zachód, dzięki czemu dotarł do World Trade Center od południa. Obok kościoła Świętej Trójcy był korek, bo dwa pasy blokował policyjny wóz do holowania źle zaparkowanych samochodów. Policjanci zaglądali do środka stojącego obok samochodu patrolowego. Najwyraźniej nie byli pewni, co zrobić. Szofer minął ich i przyspieszył. Po chwili zwolnił i zaparkował na placu przed wejściem. Z samochodu nic mógł zobaczyć górującej nad nimi wieży. Przez chwilę siedział w milczeniu, nie gasząc silnika.

— Będę tu czekał na panią — powiedział z szacunkiem.

Jodie wysiadła. Zatrzymała się na chodniku. Na rozległym placu kłębił się tłum. Była za pięć drugą, ludzie wracali po lunchu do pracy. Poczowała się niepewnie. Od kiedy to wszystko się zaczęło, po raz pierwszy znalazła się w miejscu publicznym sama, bez Reachera. Przyłączyła się do grupy śpieszących się ludzi i razem z nimi weszła do południowej wieży.

Na teczce, którą dostała, był podany adres. Biuro korporacji znajdowało się na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Jodie stanęła w kolejce do windy ekspresowej. Przed nią stał średniego wzrostu mężczyzna w źle dopasowanym czarnym garniturze, z taną teczką pokrytą plastikiem imitującym skórę krokodyla. Wcisnęła się do windy tuż za nim. Kabina była zatłoczona. Ludzie wykrzykiwali numery pięter, a kobieta stojąca przy panelu wciskała odpowiednie guziki. Facet w kiepskim garniturze poprosił o osiemdziesiąte ósme piętro. Jodie się nie odezwała.

Winda zatrzymywała się prawie na wszystkich piętrach swojej strefie. Ludzie przeciskali się do wyjścia. Powoli hali do góry. Dotarli na osiemdziesiąte ósme piętro punktualnie o drugiej. Facet z plastikową teczką wyszedł za Jodie. Znaleźli się w pustym korytarzu. Wzdłuż ściany były drzwi do biur. Jodie ruszyła w jedną stronę, tamten w drugą. Oboje czytali tabliczki na drzwiach. Spotkali się przy mocnych, dębowych drzwiach z szyldem *Cayman Corporate Trust* i niewielkim okienkiem ze zbrojonego szkła. Jodie spróbowała zajrzeć do środka, ale mężczyzna w czarnym garniturze minął ją i otworzył drzwi.

— Czyżbyśmy szli na to samo spotkanie? — spytała ze zdziwieniem.

Weszła za nim do poczekalni wyposażonej w dębowe meble z mosiężnymi ozdobami. W powietrzu czuć było typowe biurowe zapachy — gorące wyziewy kserokopiarki, kawa. Mężczyzna w garniturze odwrócił się do niej i kiwnął głową. — Chyba tak — powiedział.

Podążyła mu rękę. Szli w kierunku pulpitu recepcjonisty.

- Jestem Jodie Jacob — przedstawiła się. — Spencer Gutman. Reprezentuję wierzyciela.

Mężczyzna przełożył teczkę do lewej ręki. Uśmiechnął się i uściśkał jej dłoń.

- David Forster — powiedział. — Forster i Abelstein.

Stali już przy recepcji. Jodie zatrzymała się i spojrzała na niego.

— Nie, to nieprawda — rzuciła. — Doskonale znam Davida.

Mężczyzna nagle zeszytniał. W poczekalni było cicho. Jodie odwróciła się w stronę recepcjonisty. Zobaczyła faceta, którego widziała po raz ostami, gdy szarpał za klamkę jej samochodu, podczas gdy Reacher uciekał z miejsca wypadku na Broadwayu. Teraz siedział spokojnie za pulpitem i przyglądał się jej. Lewą ręką nacisnął guzik. Jodie usłyszała trzask zamka w drzwiach wejściowych. Recepcjonista opuścił prawą rękę, a gdy ją podniósł, Jodie zobaczyła błysk broni. Strzelba z grubą lufą o długości trzydziestu centymetrów i metalową kolbą. Facet w kiepskim garniturze upuścił teczkę i podniósł ręce do góry. Jodie patrzyła na strzelbę. Boże, to przecież śrutówka, pomyślała.

Recepcjonista znowu poruszył lewą ręką. Nacisnął drugi guzik. Z gabinetu wyszedł jakiś mężczyzna. Kierowca suburbana, który spowodował zderzenie z ich samochodem. On również miał broń. Jodie widziała taką broń na filmach. Pistolet automatyczny. Na filmach ofiary trafione z takiego pistoletu zwykle lecą dwa metry do tyłu. Kierowca trzymał broń tak, że jednym szybkim ruchem mógł wycelować w nią lub faceta udającego Forstera.

Recepcjonista wyszedł zza swego pulpitu, minął Jodie i podszedł od tyłu do mężczyzny w kiepskim garniturze. Uderzył go lufą w plecy, na poziomie paska. Usłyszeli twardy, metaliczny dźwięk, częściowo stłumiony przez materiał marynarki. Ten ze strzelbą sięgnął pod jego marynarkę i wyciągnął duży, lśniący pistolet. Podniósł go wysoko, jakby demonstrował jakiś eksponat.

- Jak na prawnika, to raczej niezwykły instrument - stwierdził mężczyzna stojący w drzwiach.

— To nie jest prawnik — rzekł jego partner. — Ona mówi, że dobrze zna Davida Forstera i to nie jest on.

Mężczyzna w drzwiach pokiwał głową.

— Mam na imię Tony — przedstawił się. — Zapraszam państwa do środka, bardzo proszę.

Stanął z boku, ale trzymał Jodie na muszce. Ten drugi popchnął rzekomego Forstera w kierunku otwartych drzwi. Tony kiwnął pistoletem. Jodie zrobiła dwa kroki w jego stronę.

Zbliżył się i popchnął ją otwartą dłonią w plecy. Potknęła się, ale złapała równowagę. Znalazła się w przestronnym, kwadratowym gabinecie. Żaluzje w oknach nie przepuszczały dużo światła. Przed biurkiem stały meble jak z salonu — trzy sofy z lampami do czytania, w środku niski stolik do kawy ze szkła i mosiądzu. Na sofie po lewej siedziało dwoje ludzi. Mężczyzna i kobieta. Mężczyzna miał na sobie doskonały garnitur i krawat, kobieta nosiła pogniecioną, jedwabną sukienkę wieczorową. Mężczyzna patrzył przed siebie martwym wzrokiem, kobieta wydawała się przerażona.

Na skórzanym fotelu za biurkiem siedział jakiś mężczyzna częściowo ukryty w cieniu. Miał może pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć lat. Jodie spojrzała na niego. Jego głowa i twarz były podzielone na dwie części, tak jakby ktoś podjął arbitralną decyzję. Przypominała mapę stanów na zachodzie Ameryki. Prawa część twarzy była pokryta zmarszczkami, a na głowie rosły szare, rzadziejące włosy. Lewą pokrywały blizny po oparzeniach, różowe, grube i lśniące jak niedokończony plastikowy model głowy jakiegoś potwora. Blizny sięgały do oka, a powieka stanowiła grudę z różowej tkanki podobną do zmiążdżonego kciuka.

Mężczyzna za biurkiem miał na sobie elegancką marynarkę, która nie skrywała jego szerokich barów i piersi. Lewą rękę trzymał swobodnie na blacie. Widać było biały mankiet koszuli i starannie wypielęgnowane palce, którymi ledwo zauważalnie bębnił o blat. Prawa ręka leżała dokładnie symetrycznie w stosunku do lewej. Taki sam rękaw letniego garnituru z dobrego materiału, taki sam biały mankiet, ale zamiast dłoni wystawał z niego stalowy hak. Zwykły hak z wypolerowanej, nierdzewnej stali.

— Hobbie — powiedziała Jodie.

Mężczyzna skinął głową tylko raz. Podniósł hak, jakby chciał w ten sposób ją powitać.

— Cieszę się ze spotkania, pani Jacob. Przykro mi, że tak długo na nie czekałem. —

Uśmiechnął się. — Bardzo też żałuję, że nasza znajomość będzie tak krótka.

Skinął głową w kierunku Tony'ego. Ten podszedł do mężczyzny, który przedstawił się jako Forster. Stanął obok niego i czekał.

— Gdzie jest twój przyjaciel Jack Reacher? — Hobbie zwrócił się do Jodie.

— Nie wiem — odpowiedziała, kręcąc głową. Hobbie przyglądał się jej dłuższą chwilę.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Jeszcze wrócimy do Jacka Reachera. Teraz siadaj.

Wskazał hakiem sofę naprzeciwko siedzącej pary. Jodie usiadła. Usiłowała zebrać myśli.

- To pan i pani Stone — powiedział Hobbie. — Chester i Marilyn, mówiąc prościej. Chester kierował korporacją Stone Optical. Jest mi winien siedemnaście milionów dolarów. Zamierza zwrócić dług, przekazując mi akcje.

Jodie zerknęła na małżeństwo siedzące naprzeciw niej. Oboje mieli panikę w oczach. Tak jakby właśnie stało się coś strasznego.

— Połóżcie ręce na stole — polecił Hobbie. — Wszyscy troje. Pochylcie się do przodu i rozsuńcie palce. No, dalej, chcę widzieć sześć małych rozgwiad.

Jodie pochyliła się i położyła dłonie na stoliku. Małżonkowie naprzeciwko automatycznie zrobili to samo.

— Pochylcie się jeszcze bardziej! — rozkazał Hobbie.

Wszyscy przesunęli dłonie w kierunku środka stołu, pochylając się mocno do przodu. Teraz ciężar ich ciał spoczywał na rękach, co uniemożliwiało im szybki ruch. Hobbie wyszedł zza biurka i stanął przed mężczyzną w kiepskim garniturze.

— Najwyraźniej nie jesteś Davidem Forsterem — powiedział.

Mężczyzna milczał.

- Wiesz, i tak bym zgadł — dodał Hobbie. — Natychmiast. Taki garnitur? Chyba chciałeś sobie zażartować. Kim jesteś?

Tamten wciąż milczał. Jodie odwróciła głowę i patrzyła na niego. Tony podniósł pistolet i wycelował w jego głowę. Odciągnął jakąś dźwignię. W ciszy rozległ się metaliczny dźwięk. Przycisnął palec do cyngla. Jodie widziała, jak zbieleły mu kostki.

— Curry — rzekł mężczyzna. — William Curry. Jestem prywatnym detektywem, pracuję dla Forstera.

Hobie powoli pokiwał głową.

— Okay, panie Curry.

Teraz stanął za sofą, na której siedzieli państwo Stone'owie.

— Oszukałaś mnie, Marilyn — oświadczył.

Podparł się lewą ręką o oparcie sofy, pochylił do przodu i wsunął koniec haka za brzeg sukienki Marilyn, na karku. Wbił hak w materiał i pociągnął do siebie. Marilyn stopniowo prostowała się, przesuwając dłońmi po stole. Na szkle zostały wilgotne odciski. Gdy już dotykała plecami sofy, Hobie przesunął hak do przodu, pod jej podbródek, jak fryzjer ustawiający głowę klientki przed rozpoczęciem strzyżenia. Podniósł hak i przecesał nim jej gęste włosy od czoła do potylicy. Powtórzył ten ruch. Przeżrana Marilyn mocno zacisnęła powieki.

— Oszukałaś mnie — powtórzył. — Nie lubię, gdy ktoś mnie oszukuje. Zwłaszcza ty.

Chroniłem cię, Marilyn. Mogłem cię sprzedać razem z samochodami. Teraz może to zrobię.

Miałem inne plany w stosunku do ciebie, ale myślę, że pani Jacob zajęła twoje miejsce w moich uczuciach. Nikt mi nie powiedział, jaka jest piękna.

Hak znieruchomiał. Z włosów Marilyn pociekła na czoło strużka krwi. Hobie spojrzał na Jodie ciężkim wzrokiem, nie mrugając zdrową powieką.

— Tak — zwrócił się do niej. — Myślę, że ty będziesz dla mnie pożegnalnym prezentem od Nowego Jorku.

Mocno nacisnął hakiem tył głowy Marilyn, zmuszając ją, żeby znowu pochyliła się nad stolikiem. Odwrócił się do Curry'ego.

- Ma pan broń, panie Curry?

- Miałem — odpowiedział, wzruszając ramionami. — Wiecie. Już mi zabraliście.

Facet ze strzelbą pokazał Hobiemu lśniące magnum. Hobie skinął głową.

— Tony?

Tony zaczął obmacywać Curry'ego. Poklepał go po barkach, pod ramionami. Curry spojrzał na prawo i na lewo. Mężczyzna ze strzelbą podszedł bliżej i wbił lufę w jego bok.

— Nie ruszaj się — powiedział.

Tony pochylił się i przejechał dłońmi po brzuchu i między nogami Curry'go. Gdy przesunął ręce niżej, detektyw gwałtownie się obrócił i spróbował uderzeniem wytrącić strzelbę z rąk drugiego mężczyzny. Tamten jednak stał na szeroko rozstawionych nogach i bez wysiłku utrzymał broń, po czym uderzył go lufą w brzuch. Curry zakastał i zgiął się wpół, a wtedy facet uderzył go kolbą w głowę. Curry ukląkł. Tony przewrócił go kopniakiem na podłogę.

- Gówniarz — zaszydził.

Facet ze strzelbą wbił Curry'emu lufę w brzuch tak mocno, żeby bolało. Tony przykucnął, przesunął w górę mankiety spodni i wyciągnął dwa niewielkie rewolwery. Przełożył palec przez kabłąki spustu i zakręcił nimi w powietrzu. Rozległo się metaliczne grzechotanie. Niewielkie lśniące rewolwery wyglądały jak zabawki. Miały bardzo krótką lufę, ledwo widoczną.

— Niech pan wstanie, panie Curry — powiedział Hobie. Curry oparł się na rękach i kolanach. Uderzenie w głowę

wyraźnie go oszołomiło. Jodie widziała, jak gwałtownie mruga, usiłując oprzytomnieć.

Potrząsnął głową. Chwycił za oparcie sofy i wstał. Hobie zbliżył się o krok, ale odwrócił się do niego plecami. Spojrzał na Jodie, Chestera i Marilyn, jakby byli słuchaczami wykładu. Lewą dłoń rozłożoną na płask uderzał w hak stopniowo coraz mocniej.

— To proste zagadnienie z dziedziny mechaniki — oznajmił. — Siła uderzenia w hak zostaje przeniesiona na kikut. Energia ulega rozproszeniu na resztkach ramienia. Oczywiście uprząż jest dziełem eksperta, dlatego minimalizuje odczuwanie bólu. Nie można jednak złamać praw fizyki, nieprawdaż? Zatem ostatecznie kwestia sprowadza się do tego, kto

mocniej zareaguje na ból. On czy ja?

Hobie okręcił się na pięcie i z całej siły uderzył Curr'ego w twarz zakrzywioną krawędzią haka. To było mocne uderzenie wyprowadzone z ramienia. Curry zatoczył się na nogach i jęknął.

— Pytałem cię, czy masz broń — spokojnie kontynuował Hobie. — Powinieneś być powiedzieć mi prawdę. Powinieneś powiedzieć: *Tak panie Hobie, mam rewolwery przymocowane do kostek*. Nie zrobiłeś tego. Próbowaleś mnie oszukać. A jak już powiedziałem Marilyn, nie lubię, gdy ktoś mnie oszukuje.

Hobie uderzył go w brzuch. Nagle i mocno.

— Niech pan przestanie! — krzyknęła Jodie. Wyprostowała się na sofie. — Dlaczego pan to robi? Do diabła, co się z panem stało?

Curry stał pochylony i ciężko dyszał. Hobie odwrócił się twarzą do Jodie.

— Cóż takiego się ze mną stało? — spytał.

— Był pan przyzwoitym człowiekiem. Wiemy o panu wszystko.

Hobie powoli pokręcił głową.

— Nie, nic o mnie nie wiecie.

W tym momencie zabręczał dzwonek przy drzwiach wejściowych. Hobie spojrzął na Tony'ego, który schował pistolet do kieszeni. Zdjął z palca dwa małe rewolwery Curry'ego, podszedł do Hobiego i wcisnął mu jeden w lewą rękę. Pochylił się i włożył drugi do lewej kieszeni jego marynarki. Ten gest wydawał się zagadkowo intymny. Tony wyszedł z gabinetu do poczekalni. Facet ze strzelbą ustawił się tak, żeby miec w polu ostrzału całą czwórkę. Hobie stanął w drugim kącie gabinetu, żeby móc rozpocząć ogień krzyżowy.

— Macie być cicho, wszyscy — szepnął.

Słyszeli, jak Tony otwiera drzwi i z kimś rozmawia. Potem odgłos zamykanych drzwi. Chwilę później wrócił do gabinetu z grubą kopertą pod pachą i uśmiechem na ustach.

— Kurier z dawnego banku Stone'a. Trzysta świadectw udziałowych — oznajmił i podniósł przesyłkę.

— Otwórz ją — polecił Hobie.

Tony znalazł plastikową taśmę, pociągnął i otworzył dużą kopertę. Jodie dostrzegła skomplikowany sztych na papierach wartościowych. Tony szybko je przejrzał. Kiwnął głową. Hobie usiadł na swoim fotelu. Położył niewielki rewolwer na blacie biurka.

- Niech pan siada, panie Curry — zażądał. — Obok swej koleżanki z prawniczej branży.

Curry ciężko opadł na sofę obok Jodie. Przesunął ręce po szkiełko i pochylił się do przodu jak pozostali. Hobie zakreślił hakiem koło w powietrzu.

- Popatrz uważnie, Chester — powiedział. — Pan Curry, pani Jacob i twoja droga żona Marilyn. Nie wątpię, że to dobrzy ludzie. Mają swoje troski, swoje nadzieje. Trzy ludzkie życia, które teraz masz w swoich rękach.

Stone uniósł głowę i rzeczywiście rozejrzał się dookoła. W końcu zatrzymaj wzrok na Hobiem.

- Idź do banku po resztę papierów — ciągnął Hobie. — Tony będzie ci towarzyszyć. Do banku i z powrotem, bez żadnych sztuczek, a tych troje przeżyje. Zrobisz coś innego, wszyscy zginą. Rozumiesz? Stone w milczeniu pokiwał głową.

— Wybierz liczbę, Chester — polecił.

— Jeden — odpowiedział Stone.

— Wybierz jeszcze dwie liczby, Chester.

— Dwa i trzy.

— Dobrze. Jeśli postanowisz zostać bohaterem, Marilyn dostanie trzy — stwierdził Hobie.

— Przyniosę papiery — obiecał Stone. Hobie pokiwał głową.

— Sądzę, że to zrobisz. Najpierw jednak podpisz umowę o przekazaniu akcji.

Wysunął szufladę i wrzucił do niej mały lśniący rewolwer. Wyciągnął pojedynczą kartkę.

Skinął na Stone'a, który się wyprostował i z trudem wstał z sofy. Podszedł do biurka, wyjął z kieszeni pióro wieczne Mont Blanc i podpisał dokument.

- Pani Jacob będzie świadkiem — podjął Hobie. — Jest przecież członkiem nowojorskiej

palestry.

Jodie przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo na sofie. Spojrzała w lewo na faceta ze strzelbą, potem na stojącego przed nią Tony'ego, a potem w prawo na siedzącego za biurkiem Hiebiego. Wstała, zrobiła dwa kroki do biurka, odwróciła umowę w swoją stronę i wzięła od Chestera pióro. Podpisała się, a obok zapisała datę.

— Dziękuję — powiedział Hobie. — Teraz wracaj na sofę i nie ruszaj się.

Jodie usiadła na sofie i pochyliła się nad stołem. Rozbolały ją ramiona. Tony chwycił Chestera za łokieć i poprowadził do drzwi.

— Pięć minut do banku, pięć minut z powrotem! — zawołał Hobie. — Nie próbuj być bohaterem, Chester.

Tony wyprowadził Chestera z gabinetu i delikatnie zamknął drzwi. Usłyszeli jeszcze trzask drzwi wejściowych i odległy szum windy. Zapadła cisza. Jodie cierpiała. Jej dłonie przylepiły się do szyby, a usiłując utrzymać ciężar ciała, odrywała sobie skórę spod paznokci. Piekły ją ramiona, bolała szyja. Twarze Marilyn i Curry'ego zdradzały, że również cierpią. Ciężko oddychali i jęczeli.

Hobie i facet ze strzelbą zamienili się miejscami. Hobie krążył nerwowo po gabinecie, a ten ze strzelbą siedział za biurkiem i wodził nią na boki, jakby to był więzienny reflektor. Hobie co chwila spoglądał na zegarek, odliczając minuty. Jodie widziała, że słońce schodzi coraz niżej. Promienie przenikały przez szczeliny w żaluzjach i przecinały pokój pod ostrym kątem. Słyszała nierówne oddechy Marilyn i Curry'ego, a pod palcami wyczuwała słabe drżenie budynku przenikające przez stolik.

Pięć minut do banku i pięć z powrotem to w sumie dziesięć, ale minęło już co najmniej dwadzieścia. Hobie zdążył spojrzeć na zegarek już pewnie kilkanaście razy. Nagle wyszedł do poczekalni, a ten ze strzelbą poszedł za nim i zatrzymał się w drzwiach. Broń skierował do wnętrza gabinetu, ale patrzył na szefa.

- Czy on zamierza nas puścić? — szepnął Curry. Jodie wzruszyła ramionami. Uniósł się nieco, zmniejszając obciążenie palców. Zwiesił głowę, żeby rozluźnić mięśnie.

— Nie wiem — odpowiedziała szeptem.

Marilyn złączyła przedramiona i oparła na nich głowę. Podniosła wzrok i potrząsnęła głową.

— Zabił dwoje policjantów — wyszeptła. — Byliśmy świadkami.

— Przestańcie gadać! — zawołał facet przy drzwiach. Znowu usłyszeli szum windy i poczuli rozchodzący się po

podłodze lekki wstrząs, gdy kabina się zatrzymała. Po chwili ktoś wszedł do recepcji, gdzie nagle zrobiło się głośno. Najpierw usłyszeli głos Tony'ego, potem Hiebiego. Mówił z wyraźną ulgą. Wrócił do gabinetu z dużą białą kopertą. Uśmiechał się zdrową częścią twarzy. Jeszcze idąc, przycisnął kopertę prawym łokciem do żeber i otworzył ją lewą ręką. Jodie dostrzegła sztywny, czerpany papier ozdobiony skomplikowanymi wzorami. Hobie stanął przy biurku i wysypał świadectwa udziałowe

na blat, obok tych trzystu, które już miał. Wszyscy zapomnieli o Chesterze, który wszedł do gabinetu za Tonym, zatrzymał się przy drzwiach i patrzył na wynik pracy swych przodków niedbale rozsypany na podziobanym hakiem blacie biurka. Marilyn podniosła głowę, cofnęła palce ze stolika i wyprostowała się, podpierając rękami, bo nie miała już sił w ramionach.

— Masz już wszystkie — odezwała się cicho. — Teraz możesz nas puścić.

Hobie się uśmiechnął.

— Marilyn, co z tobą, zgłupiałaś?

Tony się roześmiał. Jodie spoglądała na zmianę to na niego, to na Hiebiego. Najwyraźniej zbliżali się do końca jakiegoś długiego procesu. Dążyli do jakiegoś celu i byli już bardzo blisko. Śmiech Tony'ego wyrażał rozluźnienie po długim okresie stresu i napięcia.

— Jest jeszcze Reacher — powiedziała spokojnie, jakby wykonywała posunięcie w partii szachów.

Hobie przestał się uśmiechać. Dotknął hakiem czoła i potarł nim blizny. Pokiwał głową.

- Reacher — rzekł. - Tak, ostatni element układanki. Nie wolno nam zapomnieć o Reacherze. On jeszcze gdzieś krąży. Pytanie, gdzie on właściwie jest? Jodie się zawahała.

— Nie wiem — odpowiedziała. Podniosła wyzywającym ruchem głowę. — Jest gdzieś w mieście — dodała. — I on cię znajdzie.

Hobie wytrzymał jej spojrzenie. Patrzył na nią z pogardą i lekceważeniem.

— Myślisz, że to dla mnie jakaś groźba? — zakpił. — W rzeczywistości chcę, żeby mnie znalazł. Ma coś, co jest mi potrzebne, i to bardzo. Niech mi pani pomoże, pani Jacob. Niech pani do niego zadzwoni i go tu zaprosi.

Jodie przez chwilę milczała.

— Nie wiem, gdzie jest — odrzekła.

— Spróbuj zadzwonić do swojego mieszkania — powiedział Hobie. — Wiemy, że nocował u ciebie. Prawdopodobnie jest tam teraz. Wylądowaliście o jedenastej pięćdziesiąt, zgadza się? Jodie spojrzała na niego. Zaskoczył ją. Hobie był zadowolony z siebie.

— Sprawdzamy takie rzeczy. Mamy na Hawajach swojego człowieka. Nazywa się Simon, chyba go poznałaś. Zawiózł was na lotnisko w Honolulu, skąd mieliście samolot o siódmej. Zadzwoniliśmy na JFK, gdzie powiedziano nam, że samolot wylądował o jedenastej pięćdziesiąt. Według Simona stary Jack Reacher był bardzo przygnębiony na Hawajach, więc pewnie humor mu się nie poprawił. No i jest zmęczony podobnie jak ty. Wydaje się pani zmęczona, pani Jacob, wie pani? Ale pani przyjaciel Jack Reacher prawdopodobnie leży teraz w łóżku w pani mieszkaniu i odsypia podróż, a pani bawi się tutaj z nami. Niech pani do niego zadzwoni i powie, żeby dołączył do pani.

Jodie wbiła wzrok w stolik. Nic nie powiedziała.

— Niech pani po niego zadzwoni. Przynajmniej zobaczy go pani jeszcze raz przed śmiercią. Jodie w dalszym ciągu milczała. Patrzyła na szklany blat, na którym zostały odciski jej dłoni. Chciała zadzwonić. Chciała

zobaczyć Reachera. Czuli się tak, jak czuli się miliony razy piętnaście lat temu. Chciała go znowu zobaczyć. Jego leniwy, krzywy uśmiech. Jego rozczochrane włosy. Jego ramiona tak długie, że nadawały mu lekkość charta, choć był zbudowany jak dom. Jego oczy lodowato błękitne jak Arktyka. Jego dłonie, które zwierają się w pięści wielkości piłki futbolowej. Chciała znowu zobaczyć te ręce. Chciała widzieć, jak się zaciskają na gardle Hobiego. Rozejrzała się po gabinecie. Promienie słońca przesunęły się na blat biurka. Ujrzała pasywnego Chestera, drżącą Marilyn i bladego Curry'ego, który ciężko dyszał tuż obok niej. Rozluźniony facet ze strzelbą. Reacher rozgniecie go na miazgę, nawet o tym nie myśląc. Zobaczyła Tony'ego, który nie spuszczał z niej wzroku. Hobie pieścił bak wypielęgowaną lewą ręką, uśmiechał się do niej i czekał. Spojrzała na zamknięte drzwi. Wyobraziła sobie, jak wypadają z zawiasów, a Jack Reacher wpada do gabinetu. Chciała to zobaczyć. Niczego w życiu nie pragnęła tak bardzo.

- Dobrze — szepnęła. — Zadzwonię do niego.

— Powiedz mu, że będę tu jeszcze kilka godzin. Jeśli jednak chce cię jeszcze zobaczyć, niech się pośpieszy. Ty i ja mamy ustalone niewielkie spotkanie w łazience, za jakieś trzydzieści minut.

Jodie zadrżała. Odepchnęła się od stolika i wstała z sofy. Piekły ją ramiona, miała zdrętwiałe nogi. Hobie chwycił ją za łokieć i zaprowadził do drzwi. Podeszli do pulpitu recepcjonisty.

— To jedyny telefon w całym biurze — powiedział. — Nie lubię telefonów.

Usiadł na krześle i nacisnął dziesiątkę szpicem haka. Podał jej telefon.

— Podejdź bliżej. Chcę słyszeć, co on mówi do ciebie. Marilyn oszukała mnie za pomocą telefonu. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło.

Hobie zmusił ją, żeby się pochyliła i zbliżyła twarz do jego twarzy. Pachniał mydłem.

Wyciągnął z kieszeni niewielki rewolwer, który dał mu Tony. Przyłożył lufę do jej żeber. Jodie trzymała skośnie słuchawkę, tak że znajdowała się między nimi. Przyjrzała się konsoli z

licznymi guzikami. Specjalny guzik szybkiego połączenia z 911. Zawahała się, ale wybrała numer do siebie. Sześć dzwonek. Przy każdym powtarzała w myślach: *Odbierz, proszę, odbierz, proszę*. Po chwili usłyszała własny głos z automatycznej sekretarki.

— Nie ma go — powiedziała. Hobie się uśmiechnął.

— Fatalnie się składa — stwierdził.

Jodie wciąż pochylała się obok niego, całkowicie zszokowana.

— On ma moją komórkę — odezwała się nagle. — Właśnie sobie przypomniałam.

— Dobrze. Dzwoni przez dziewięć.

Jodie nacisnęła widełki telefonu, potem dziewiątkę i wybrała numer komórki. Cztery dzwonki. Cztery głośne, natarczywe sygnały elektroniczne. *Odbierz, odbierz, odbierz, odbierz*, modliła się za każdym razem. Usłyszała trzask.

— Halo? — odezwał się Reacher.

Jodie odetchnęła.

— *Hi*, Jack — powiedziała.

— Hej, Jodie. Co nowego?

— Gdzie jesteś?

Reacher usłyszał w jej głosie niepokój i napięcie. Zawahał się.

— Jestem w St Louis w Missouri — powiedział. — Właśnie przyleciałem. Muszę iść do archiwum, tam gdzie byliśmy razem.

Jodie sapnęła. St Louis? Zaschło jej w ustach.

— Wszystko w porządku? — spytał Reacher. Hobie pochylił się do jej drugiego ucha.

— Powiedz mi, żeby natychmiast wrócił do Nowego Jorku — szepnął. — Niech tu przyjedzie, najszybciej jak może.

Jodie pokiwała nerwowo głową. Hobie mocniej przycisnął lufę do jej boku.

— Czy mógłbyś wrócić? — spytała. — Jesteś mi tu bardzo potrzebny.

— Mam zarezerwowany lot o szóstej — odpowiedział. — Będę na miejscu o ósmej trzydziestu czasu wschodniego. Czy to wystarczy?

Jodie wyczuła, że Hobie się krzywi.

— Czy mógłbyś wrócić wcześniej? Może od razu? Słyszała jakieś głosy w tle. Pewnie major Conrad. Pamiętała

jego biuro, ciemne drewno, starą skórę, gorące słońce Missouri w oknie.

— Wcześniej? — powtórzył Reacher. — No, chyba tak. Mogę być za jakieś dwie godziny, jeśli znajdę jakiś lot. Gdzie jesteś?

— Przyjedź do World Trade Center. Wieża południowa, osiemdziesiąte ósme piętro, okay?

— O tej porze będą korki. Postaram się być za dwie i pół godziny.

— Dzięki.

— Nic ci nie jest? — spytał ponownie. Hobie pokazał jej rewolwer.

— Wszystko w porządku — odpowiedziała Jodie. — Kocham cię.

Hobie pochylił się nad pulpitem i stuknął hakiem w widełki

telefonu. W słuchawce rozległ się trzask, a potem sygnał. Jodie powoli i starannie odłożyła słuchawkę na konsolę. Była wstrząśnięta, oszołomiona i rozczarowana. Wciąż pochylała się nad pulpitem. Jedną ręką podpierała się o blat, drugą trzymała parę centymetrów nad konsolą.

— Dwie i pół godziny — powiedział Hobie z przesadnym współczuciem. — Hm, wygląda na to, że kawaleria nie zdąży przyjść pani z odsieczą, pani Jacob.

Hobie się roześmiał i wsunął rewolwer do kieszeni. Wstał z krzesła i złapał ją za rękę, którą się podpierała. Zachwiała się, a on pociągnął ją w kierunku gabinetu. Chwyliła mocno brzeg pulpitu. Hobie uderzył ją na odlew hakiem w głowę. Trafił zakrzywioną częścią w skroń. Jodie rozluźniła uchwyt. Hobie ciągnął ją za rękę do drzwi. Próbowwała zaprzeć się obcasami. Popchnął ją przed siebie i siłą zaprowadził do gabinetu. Jodie przewróciła się na podłogę. Zatrzasnął za sobą drzwi.

— Wracaj na sofę! — warknął.

Promienie słoneczne ześlizgnęły się już z biurka i powoli przesunęły się po podłodze na stół do kawy, podświetlając *paznokcie szeroko rozłożonych* palców Marilyn Stone. Jodie podpełzała na czworakach, oparła się o stół i z trudem wciągnęła na sofę. Usiadła obok Curry'ego. Położyła ręce na szklanym blacie. Czuła w skroni pulsujący ból, w miejscu, gdzie hak uderzył o kość. Miała wykręcone ramię. Facet ze strzelbą obserwował ją uważnie. Tak samo Tony, trzymając w ręku automatyczny pistolet. Reacher był gdzieś daleko jak przez niemal całą jej życie.

Hobie wrócił za biurko. Ułożył dokumenty w stos o grubości dwunastu centymetrów. Postukał hakiem ze wszystkich stron, żeby je wyrównać. Sztywne papiery dały się łatwo przesunąć i utworzył zgrabny pakiet.

— Za chwilę przyjedzie tu UPS — powiedział z zadowoleniem. — Deweloperzy dostaną papiery, ja dostanę pieniądze. Znowu wygrałem. Jeszcze pewnie pół godziny i będzie koniec dla mnie i dla ciebie.

Jodie zauważyła, że zwraca się tylko do niej. Wybrał ją na kanał do przekazywania informacji. Curry i państwo Stone'owie patrzyli na nią, nie na niego. Odwróciła wzrok. Spojrzała na dywan pod szklanym blatem stolika. Taki sam jak spłowiwały dywan w gabinecie DeWitta w Teksasie, ale mniejszy i znacznie nowszy. Hobie zostawił papiery na biurku, podszedł do drzwi i wziął strzelbę od stojącego tam mężczyzny. — Zrób mi kawę — polecił.

Mężczyzna wyszedł do recepcji i zamknął za sobą drzwi. W gabinecie zapadła cisza. Słychać było tylko ciężkie oddechy i odgłosy dochodzące z budynku. Hobie trzymał strzelbę lewą ręką, lufą w dół. Kiwała się jak wahadło. Nie ścisnął mocno kolby. Jodie słyszała, jak metal ociera się o skórę. Dostrzegła, że Curry zerka w jego stronę. Sprawdził również, gdzie jest Tony. Ten cofnął się o metr, poza pole ostrzału ze strzelby. Z tego miejsca strzelałby dokładnie prostopadle do kierunku ognia ze śrutówki. Trzymał pistolet gotowy do strzału. Jodie wyczuła, że Curry sprawdza, czy może władać ramionami. Poruszył się. Napiął mięśnie. Spojrzał jeszcze raz na Tony'ego, który stał cztery metry przed nim. Zerknął na Hobiego. Stał z boku, oddalony mniej więcej o trzy metry od Curry'ego. Promienie słońca padały na stół dokładnie równolegle do mosiężnych brzegów. Curry uniósł się nieco na palcach. — Nie — szepnęła.

Leon zawsze upraszczał swoje życie, odwołując się do różnych reguł. Według niego każda sytuacja wymagała odpowiednich zasad. Gdy była dzieckiem, doprowadzało ją to do pasji. Miał też uniwersalną zasadę odnoszącą się zarówno do jej prac domowych, jak i jego wystąpień na posiedzeniach komisji Kongresu: *Zrób to raz a dobrze*. Curry nie miał szans na zrobienie dobrze tego, co zamierzał. Najmniejszych szans. Był narażony na krzyżowy ogień z automatycznego pistoletu i strzelby. Nie miał żadnej możliwości wyjścia z tego cała. Gdyby zerwał się z sofy, przeskoczył przez stół i rzucił się na Tony'ego, oberwałby w pierś, nim pokonałby połowę odległości. Prawdopodobnie Hobie również wystrzeliłby ze strzelby, zabijając nie tylko jego, ale również Chestera i Marilyn. Gdyby najpierw zaatakował Hobiego, być może Tony nie zaryzykowałby strzału, żeby nie postrzelić szefa, ale Hobie z pewnością zdążyłby strzelić. Gruby śrut rozerwałby Curry'ego na kawałki, a ona siedziała dokładnie na linii strzału. Przypomniała sobie jeszcze jedną zasadę Leona: *Gdy jest beznadziejnie, to jest beznadziejnie, i nie należy udawać, że jest inaczej*.

— Czekaj — szepnęła.

Curry lekko skinął głową. Jodie zauważyła, że znowu rozluźnił ramiona. Wpatrywała się w dywan i walczyła z bólem. Mijały minuty. Wykręcone ramię nie wytrzymało ciężaru ciała. Zamknęła dłoń i oparła się na kostkach. Słyszała ciężki oddech Marilyn Stone. Wydawała się pokonana. Zwiesiła głowę na ramiona i zamknęła oczy. Promienie słońca przesuwały się coraz bliżej krawędzi stolika.

— Do diabła, co on tam robi? — zirytował się Hobie. — Ile potrzebuje czasu, żeby przynieść mi tę pieprzoną kawę?

Tony spojrział na niego, ale nic nie powiedział. Trzymał przed sobą pistolet, celując głównie w Curry'ego. Jodie odwróciła dłoń i podparła się kciukami. Piekła ją rana, a w głowie czuła bolesne pulsowanie. Hobie położył lufę strzelby na oparciu sofy. Podniósł prawą rękę i podrapał się hakiem w czoło.

— Chryste! — westchnął. — Dlaczego to tak długo trwa? Idź, pomóż mu, okay?

Jodie dopiero po chwili zrozumiała, że mówił do niej.

— Ja?

— A dlaczego nie? Zrób coś pożytecznego. Ostatecznie parzenie kawy to babskie zajęcie. Zawahała się.

— Nie wiem, gdzie jest kawa — powiedziała.

— Pokażę ci.

Hobie patrzył na nią. Czekał, aż wstanie. Jodie kiwnęła głową. Właściwie ucieszyła się, że ma okazję się poruszać. Wyprostowała palce, cofnęła ręce i wstała. Czuła się słaba. Potknęła się, zawadziła golenią o krawędź stołu. Szła przez pole ostrzału Tony'ego. Z bliska jego pistolet wydawał się ogromny. Gdy zbliżała się do Hobiego, Tony cały czas trzymał ją na muszce.

Promienie słońca nie sięgały do drzwi. Hobie

wziął strzelbę pod pachę, wolną ręką nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

Najpierw sprawdź drzwi, potem telefon, powtarzała w myślach Jodie, idąc do recepcji. Gdyby udało się jej uciec na korytarz, miałyby szansę. Jeśli to się nie powiedzie, mogłaby spróbować zadzwonić na policję, korzystając z automatycznego połączenia. Musiała tylko podnieść słuchawkę i szybko nacisnąć guzik. Nawet gdyby nie zdążyła niczego powiedzieć, automat przekazałby policji informację, skąd ktoś dzwonił. *Drzwi albo telefon*. Wyobrażała sobie, jak spogląda najpierw na drzwi, później na telefon, gdy jednak weszła do recepcji, nie spojrziała ani na drzwi, ani na telefon. Hobie zatrzymał się jak wryty przed nią. Stała obok i patrzyła na faceta, który poszedł zaparzyć kawę.

To był mocno zbudowany mężczyzna, niższy od Tony'ego i Hobiego, ale szerszy w barach.

Nosił ciemny garnitur. Teraz leżał na wznak na podłodze, dokładnie przed drzwiami do gabinetu, z wyprostowanymi nogami i głową podpartą na kilku książkach telefonicznych.

Miał szeroko otwarte nieruchome oczy. Patrzył przed siebie. Jego lewa ręka, również podparta książkami, była odciągnięta do tyłu i do góry w groteskowej parodii powitania.

Prawe ramię leżało na podłodze, pod kątem w stosunku do tułowia. Odrąbana na wysokości nadgarstka dłoń leżała na wykładzinie piętnaście centymetrów od kikuta, dokładnie na linii przedramienia. Jodie usłyszała, jak Hobie się zakrzuszył. Upuścił strzelbę na podłogę i chwycił się futryny zdrową ręką. Blizny po oparzeniach pozostały różowe, ale cała reszta twarzy była biała jak ściana.

17

Imię Jack wybrał Reacherowi ojciec, który był prostym jankesem z New Hampshire i wzdragał się na myśl o czymkolwiek wymyślnym. Pod koniec października, we wtorek, pojawił się na oddziale poporodowym, wręczył żonie niewielki bukiet i powiedział, że nazwą syna Jack. Bez drugiego imienia. Jack Reacher — tak miało brzmieć jego imię i nazwisko i już znalazło się na metryce urodzin, bo idąc do szpitala, ojciec wstąpił do sekretarza kompanii, który zapisał je i zawiadomił teleksem amerykańską ambasadę w Berlinie. Kolejny amerykański obywatel urodzony za granicą, syn żołnierza w służbie czynnej, *Jack-kreska-Reacher*.

Matka się nie sprzeciwiała. Kochała męża, lubiła jego skłonności do ascezy. Sama była Francuzką, a ascetyczna natura męża sprawiała, że miał bardziej europejski charakter. Dzięki temu czuła się mu bliższa. Po przyjeździe do Stanów przekonała się, że w powojennych latach Amerykę i Europę dzieli przepaść. Bogactwo i rozrzutność Ameryki ostro kontrastowała z wy-

czerpaniem i biedą Europy. Jednakże jej jankes z New Hamp-shire nie potrzebował bogactwa. Było mu zupełnie zbędne. Lubił rzeczy proste i skromne, a to jej pasowało, jeśli nawet obejmowało także imiona dzieci.

Ich pierwszy syn miał na imię Joe. Nie Joseph, tylko po prostu Joe. Również bez drugiego imienia. Rzecz jasna, kochała syna, ale miała kłopoty z tym imieniem. Było takie krótkie, a na dokładkę trudno jej było wymówić J, z powodu francuskiego akcentu. Brzmiało raczej jak zh. Tak jakby chłopiec miał na imię Zhoe. Jack było znacznie łatwiejsze. W jej wykonaniu brzmiało to jak Jacques, bardzo tradycyjne imię francuskie, odpowiednik angielskiego imienia James. W duszy zawsze nazywała swojego drugiego syna James.

Paradoksalnie jednak nikt nigdy nie zwracał się do niego po imieniu. Nikt nie wiedział, jak to się stało, ale Joe był zawsze Joe, a do Jacka zwracano się Reacher. Matka sama zawsze tak ich wołała. Na przykład wychylała się przez okno służbowego bungalowu i krzyczała: *Zhoe! Chodź na obiad! I przyprowadź Reachera!* Dwaj sympatyczni chłopcy natychmiast przybiegali coś zjeść.

Dokładnie tak samo było w szkole. Jak daleko sięgał wstecz pamięcią, zawsze nazywano go Reacher. Był poważnym chłopcem i często się zastanawiał, dlaczego w jego przypadku porządek został odwrócony. Brat miał na imię Joe, a na nazwisko Reacher, i to się nie zmieniło. Gdy na szkolnym boisku dzieci

dzieliły się na drużyny, kapitan mówił; *Biorę Joego i Reachera*. Wszystkie dzieci nazywały go tak samo. Również nauczyciele, nawet w przedszkolu. W jakiś sposób to ciągnęło się za nim, gdy zmieniali miejsce pobytu. Już pierwszego dnia w nowym kraju, może nawet na innym kontynencie, jakiś nauczyciel wołał do niego: *Chodź tu, Reacher!*

Przyzwyczał się do tego i nie martwił się w najmniejszym stopniu, że stracił imię. Dla wszystkich był i będzie Reacherem. Pierwsza dziewczyna, z którą umówił się na randkę, była wysoką brunetką. Pochyliła się do niego nieśmiało i spytała, jak ma na imię. *Reacher*, odpowiedział. Wszystkie miłości jego życia zawsze tak go nazywały. *Kocham cię, Reacher*, szeptały mu do ucha. Wszystkie. Jodie zachowywała się dokładnie tak samo. Gdy pojawił się na górnym podeście schodów w domu Leona, zawołała do niego: *Cześć, Reacher*. Nawet po piętnastu długich latach dobrze pamiętała, jak się do niego zwraca.

Natomiast dzwoniąc na komórkę, nie użyła nazwiska Reacher. On nacisnął guzik, powiedział halo, a ona odpowiedziała:

Hi, Jack. To zabrzmiało w jego uszach jak syrena alarmowa. Spytała potem, gdzie jest, tak pełnym napięcia głosem, że Reacher się przeraził. W pierwszej sekundzie nie zrozumiał, co chciała powiedzieć, ale zaraz ochłonął. Szczęśliwie się złożyło, że miał na imię Jack. To nie było *Hi, Jack*, tylko *hijack*, porwanie. Jodie znalazła się w ciężkiej sytuacji, ale nie straciła głowy. Była nieodrodną córką Leona i nawet w takich okolicznościach znalazła sposób, żeby go zaalarmować za pomocą dwóch sylab na początku rozmowy.

Hijack. Porwanie. To był alarm. Ostrzeżenie. Reacher zamrugał, zapomniał o strachu i natychmiast zareagował. Okłamał Jodie. W walce liczą się czas, przestrzeń i siła przeciwników. Jak wielki, czterowymiarowy diagram. Przede wszystkim należy wprowadzić w błąd nieprzyjaciela. Skłonić go do nabrania przeświadczenia, że ten diagram wygląda zupełnie inaczej. Należy założyć, że nieprzyjaciel kontroluje wszystkie kanały łączności, i wykorzystać to w celu dezinformacji. To daje przewagę.

Wcale nie polecał do St Louis. Po co miałby to robić?

Czemu miałby lecieć taki kawał drogi, skoro ludzkość wynalazła telefony, a on już nawiązał kontakt roboczy z majorem Conradem? Zadzwoił do niego, stojąc na chodniku na Greenwich Avenue, Conrad oddzwonił już trzy minuty później, ponieważ sekcja A w archiwum znajdowała się najbliżej pokoju nieszczęsnego gońca. Stojąc w tłumie przechodniów, słuchał, jak major czyta dokumenty z teczki i już po dwunastu minutach wiedział wszystko, czego chciał się dowiedzieć.

Pojechał na Siódmą Aleję i zostawił lincolna na podziemnym parkingu, o jedną przecnicę na

północ od World Trade Center. Gdy Jodie zadzwoniła, był w holu na parterze południowej wieży, zaledwie osiemdziesiąt osiem pięter pod nią. Rozmawiał z ochroniarzem, którego głos Jodie słyszała w tle. Skamieniał ze zgrozy. Wyłączył telefon i pojechał ekspresową windą na osiemdziesiąte dziewiąte piętro. Wyszedł z kabiny na korytarz i postarał się uspokoić. *Opanuj się i wymyśl plan*, powtarzał sobie. Przyjął, że osiemdziesiąte ósme piętro ma taki sam rozkład jak osiemdziesiąte dziewiąte. Tutaj panował spokój.

Wąski, słabo oświetlony korytarz otaczał szyby wind. Wzdłuż ścian znajdowały się drzwi do poszczególnych biur, z niewielkimi okienkami z szybami ze zbrojonego szkła na wysokości oczu osoby niskiego wzrostu. Na drzwiach wisiały tabliczki z nazwami firm, a przy futrynach zainstalowano dzwonki.

Reacher znalazł schody ewakuacyjne i zbiegł piętro niżej. Klatka schodowa miała czysto użytkowy charakter, nikt nie zadbał o jej wystrój. Betonowe schody i metalowe poręcze. Przy każdym drzwiach wisiała gaśnica, a nad nią czerwona szafka ze szklaną pokrywą, przez którą widać było siekiere. Obok szafki widniał namalowany wielkimi czerwonymi cyframi numer piętra.

Wyszedł na korytarz na osiemdziesiątym ósmym piętrze. Tu panował taki sam spokój jak piętro wyżej. Taki sam wąski korytarz, takie samo oświetlenie, takie same drzwi. Pobiegł w złym kierunku, dlatego znalazł biuro CCT po wykonaniu prawie całego okrążenia. Jasne dębowe drzwi, mosiężna tabliczka, mosiężny dzwonek. Spróbował cicho otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Pochylił się, żeby zajrzeć do środka przez okienko. Zobaczył jasno oświetloną poczekalnię. Meble z dębu i mosiądzu. Pulpit po prawej. Drzwi dokładnie naprzeciwko drzwi wejściowych. W poczekalni nie było nikogo. Reacher patrzył na drzwi prowadzące do gabinetu i czuł, jak ogarnia go panika. Ona tam była. Była w gabinecie. Czuł to. Była tam sama, uwięziona. Potrzebowała go. Była tam, a on powinien jej towarzyszyć. Powinien był pójść z nią na to spotkanie. Pochylił się, przyłożył czoło do zimnej szyby i spojrzał na drzwi gabinetu. Usłyszał głos Leona, który powtarzał jedną ze swoich złotych zasad: *Nie myśl o tym, dlaczego coś zrobiłeś źle. Pomyśl, jak to naprawić.*

Cofnął się o krok, spojrzał w prawo i w lewo. Stał pod najbliższą lampą, podniósł ręce i wykręcił żarówkę. Skrzywił się, bo gorące szkło parzyło go w palce. Wrócił do drzwi i sprawdził ponownie, stojąc metr od okienka. Poczekalnia była jasno oświetlona, a na korytarzu zrobiło się ciemno. Widział wewnątrz poczekalni, ale sam był niewidoczny. Stojąc w ciemnościach, można obserwować oświetlone pomieszczenie, ale nie odwrotnie. To istotna różnica. Stał i czekał.

Z gabinetu wyszedł mocno zbudowany mężczyzna. Cicho zamknął za sobą drzwi. Mocno zbudowany mężczyzna w ciemnym garniturze. Facet, którego zepchnął ze schodów w barze w Key West. Ten sam, który strzelał do niego z beretty w Garrison. Ten sam, który złapał za klamkę bravady. Mężczyzna przeszedł przez poczekalnię i znikł z pola widzenia. Reacher zbliżył się do okienka i jeszcze raz spojrzał na drzwi do gabinetu. Wciąż były zamknięte. Delikatnie zapukał do drzwi wejściowych. Mężczyzna podszedł i wyjrzał przez okienko, Reacher wyprostował się i stanął bokiem, żeby brązowy rękaw zasłonił okno.

- UPS — powiedział spokojnie.

Byli w biurowcu, na korytarzu było ciemno, miał na sobie brązową marynarkę. Facet otworzył drzwi. Reacher zrobił krok do przodu, błyskawicznie wyrzucił przed siebie rękę i chwycił go za gardło. Jeśli to zrobić dostatecznie szybko i mocno, można zgnieść głośnię, nim przeciwnik zdąży choćby pisnąć.

Potem trzeba wbić palce w gardło i postarać się, żeby nie upadł. Kiedy facet zaczął mu ciążyć, Reacher zaciągnął go przez korytarz do schodów ewakuacyjnych i rzucił na przeciwległą ścianę. Mężczyzna osunął się na betonowy podest. Z jego gardła wydobywał się charkot.

— Pora wybierać — szepnął Reacher. — Albo mi pomożesz, albo umrzesz.

W obliczu takiej propozycji jest tylko jedna rozsądna rzecz do zrobienia, ale facet był innego

zdania. Podniósł się na kolana. Wyglądał tak, jakby chciał walczyć. Reacher dzielił go w głowę dostatecznie mocno, żeby poczuł solidny wstrząs w karku.

— Pomóż mi — powtórzył. — Jeśli nie, to cię zabiję. Mężczyzna potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć, po czym

zerwał się z podłogi. Reacher znowu usłyszał głos Leona: *Poproś raz, jeśli musisz, poproś dwa razy, ale na litość boską, nigdy nie prosz po raz trzeci.* Kopnął faceta w pierś, obrócił plecami do siebie, zacisnął ramię wokół jego głowy i mocnym szarpnięciem złamał mu kark.

Jeden mniej, lecz, niestety, przed wyeliminowaniem nie przekazał mu żadnych informacji, a to najważniejsza rzecz w każdym starciu. Instynkt podpowiadał Reacherowi, że ma do czynienia z niewielką grupką, ale taka niewielka grupka równie dobrze może się składać z trzech, jak i z pięciu ludzi, a jest cholerna różnica między trzema a pięcioma przeciwnikami, jeśli trzeba atakować na ślepo. Reacher przez chwilę się zastanawiał. Spojrzał na strażacką siekiere. Gdy brakuje wiarygodnych informacji, warto odwrócić uwagę przeciwnika. Zrobić coś, co może wytrącić go z równowagi. Coś, co go oszołomi.

Zrobił to, najciszej jak mógł. Sprawdził, czy korytarz jest pusty, po czym zawlókł zwłoki do biura CCT. Ułożył je pośrodku poczekalni, naprzeciwko drzwi gabinetu. Zamknął drzwi wejściowe i ukrył się za pulpitem sięgającym do piersi i mającym trzy metry długości.

Wyciągnął z marynarki steyra z tłumikiem i czekał.

Miał wrażenie, że czeka już długo. Leżał na cienkiej wykładzinie, czuł pod nią twardy beton. Rejestrował minimalne wibracje konstrukcji ogromnej wieży, wstrząsy spowodowane pracą zatrzymujące się i ruszające windy. Czuł napięcie lin, na których wisiały kabiny. Słyszał szmer klimatyzacji i szum wiatru na zewnątrz. Wbił palce stóp w wykładzinę i ugiął nogi. Był gotowy do akcji.

Najpierw usłyszał czyjeś kroki, potem zgrzyt zamka. Wiedział, że ktoś otworzył drzwi gabinetu, bo zmieniła się akustyka. Nagle zwiększyła się objętość przestrzeni. Słyszał uderzenia czterech stóp o wykładzinę. Wtem się zatrzymały. Wiedział, że tak będzie. Czekał. Gdy ktoś napotyka coś zaskakującego, wywiera to maksymalny efekt po mniej więcej trzech sekundach. Tak wynikało z jego doświadczenia. Zaskoczona osoba patrzy, dostrzega to coś, jej mózg odrzuca widok, oczy wracają do zaskakującego przedmiotu, informacja dociera do mózgu. To trwa trzy sekundy, od początku do końca. Policzył w myślach *jeden, dwa, trzy*, po czym wychylił się zza pulpitu tuż nad podłogą. Trzymał przed sobą steyra z długim tłumikiem. Wysunął ręce, ramiona, twarz.

To, co zobaczył, było prawdziwą katastrofą. Facet z hakiem zamiast ręki i poparzoną twarzą upuścił wprawdzie strzelbę, krztusił się i trzymał futryny, ale stał po złej stronie Jodie. Stał po jej prawej ręce, a pulpit był po lewej. Jodie stała prawie o pół metra bliżej pulpitu niż on. Była co prawda znacznie od niego niższa, ale Reacher leżał na podłodze i patrzył pod takim kątem, że jej głowa dokładnie zasłaniała głowę mężczyzny, a ciało chroniło jego ciało. Nie mógł strzelić. Nie miał takiej możliwości. Jodie stała na linii ognia.

Facet z hakiem i poparzoną twarzą charkotał, a Jodie wpatrywała się w zwłoki leżące na podłodze. W drzwiach pojawił się drugi mężczyzna. Kierowca suburbana. Zatrzymał się za Jodie i spojrzał nad jej ramieniem. W prawej ręce trzymał berettę. Patrzył przed siebie i w dół. Zrównał się z Jodie i przepchnął się obok niej. Zrobił krok w głąb poczekalni. Między nim i pulpitem nie było niczego.

Reacher nacisnął cyngiel z siłą siedmiu kilogramów. Mimo tłumika rozległ się głośny huk i głowa tego z berettą eksplodowała. Dziewięćmilimetrowy pocisk trafił go w sam środek twarzy. Krew i kości poleciały aż do sufitu i spryskały ścianę. Jodie zamarła, dokładnie zasłaniając faceta z hakiem. A on był bardzo szybki. Znacznie szybszy, niż można się było spodziewać po kalekim, pięćdziesięcioletnim mężczyźnie. Lewą ręką podniósł strzelbę z podłogi, a drugą równocześnie chwycił Jodie w pasie. Stalowy hak wyraźnie odcinał się od jej ciemnego kostiumu. Pociągnął ją, nim jeszcze ten z berettą upadł na podłogę. Mocno ją objął, podniósł

i powlókł do tyłu. W pokoju słychać było jeszcze echo wystrzału ze steyra.

— Ilu? — krzyknął Reacher.

Jodie była równie bystra i przytomna jak jej ojciec.

— Został jeden! — odkrzyknęła.

Facet z hakiem był jedynym przeciwnikiem, ale już zdążył podnieść strzelbę. Reacher był częściowo odstonięty, nisko nad podłogą, chciał wyskoczyć zza pulpitu. To trwało tylko ułamek sekundy, ale tamten skorzystał z okazji. Strzelił, nisko celując. Z lufy wydobył się błysk, rozległ się potworny huk i pulpit rozleciał się na tysiące kawałków. Reacher pochylił głowę, ale ostre kawałki drewna, metalu i drobiny śrutu posiekały jego czoło i policzek. Poczuł mocne uderzenie i ból; to była poważniejsza rana. Czuł się tak, jakby wypadł przez okno i uderzył głową o ziemię. Mimo oszołomienia zerwał się z podłogi. Mężczyzna zaciągnął Jodie do gabinetu, a równocześnie udało mu się zarepetować strzelbę. Reacher stał nieruchomo, oparty o ścianę, walcząc z bólem rozsadzającym mu głowę. Przeciwnik podnosił już broń. Reacher uniósł steyra. Na muszce miał Jodie. Zrobił krok w lewo, potem w prawo. Nic z tego. Tamten chował się za Jodie. Strzelba była już prawie poziomo. Palec na cynglu. Reacher się nie mszał. Patrzył na Jodie, jakby chciał przed śmiercią zapamiętać jej twarz. Nagle za nią pojawiła się jakaś jasnowłosa kobieta i desperacko szarpnęła za ramiona mężczyznę z hakiem, pozbawiając go równowagi. Zatoczył się, wyprostował i uderzył ją lufą strzelby jak pałką. Kobieta przewróciła się na podłogę. Reacher zdążył jeszcze zobaczyć jej różową sukienkę.

Mężczyzna z hakiem znowu spróbował skierować strzelbę w jego stronę, ale Jodie podskakiwała i usiłowała się wyrwać z jego uścisku. Wierzgała i kopła. Facet nie mógł sobie z nią poradzić. Stracił równowagę, zrobił kilka kroków i znowu znalazł się w recepcji. Potknął się o nogi kierowcy suburana. Upadł razem z Jodie. Strzelba wypaliła prosto w zwłoki. Znowu całe biuro wypełnił buk, dym i obsceniczna zawiesina krwi i rozszarpanej tkanki. Mężczyzna uniósł się na kolana. Reacher cały czas celował w niego z pistoletu. Facet puścił strzelbę i wyciągnął z kieszeni niewielki lśniący rewolwer z krótką hifą. Odciągnął kurek. Reacher usłyszał głośny trzask. Jodie wciąż usiłowała się uwolnić. Szarpała się w górę i w dół, w lewo i w prawo, zupełnie przypadkowo. Reacher nie mógł strzelić. Krew z czoła zalewała mu lewe oko. Głowę rozsadzał pulsujący ból. Zamknął bezużyteczne oko i zmrzył prawe. Facet z hakiem wbił lufę rewolweru w bok Jodie. Jęknęła i przestała walczyć, a on wychylił się nieco zza niej. Na jego twarzy widać było dziki uśmiech.

- Rzuć broń, ty zasańcu! — krzyknął, ciężko dysząc. Reacher w dalszym ciągu celował w niego. Jedno oko

zamknięte, drugie zmruczone, ostre ukłucia bólu w głowie, wykrzywiona twarz mężczyzny z hakiem na muszce.

— Zastrzelę ją! — warknął mężczyzna.

— A ja zastrzelę ciebie! — wrzasnął Reacher. — Ona umrze.

Facet *spojrzał* na niego. Kiwnął głową.

— Impas — powiedział.

Na to wyglądało. Reacher potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć. To tylko zaostrzyło ból. Pat. Nawet gdyby strzelił pierwszy, facet pewnie zdążyłby wystrzelić. Trzymał palec na cynglu. Przedśmiertne konwulsje zapewne wystarczyłyby, żeby rewolwer wypalił. To było za duże ryzyko. Nie opuszczając pistoletu, Reacher wyciągnął koszulę ze spodni i wytarł potą twarz. Cały czas celował. Tamten wziął głęboki oddech i wstał, ciągnąc za sobą Jodie. Próbowwała uwolnić się od nacisku lufy, ale on mocno ją trzymał prawym ramieniem. Wysunął tokieć do przodu i wbił koniec haka w jej biodro.

— Musimy się dogadać — powiedział. Reacher wytarł lewe oko. Nie odpowiedział. Szumiało mu w głowie. Czuł silny ból. Stopniowo uświadamiał sobie, że znalazł się w trudnej sytuacji.

- Musimy się dogadać — powtórzył tamten.

— Nie — odparł Reacher.

Facet obrócił nieco hak i mocniej wbił lufę w żebra Jodie. Jęknęła z bólu. To był rewolwer Smith & Wesson. Model 60. Pięciocentymetrowa lufa z nierdzewnej stali, trzydziestkaósemka, pięć pocisków w bębenu. Takie rewolwery kobiety noszą w torebkach, a mężczyźni ukrywają pod ubraniem. Lufa była tak krótka, a facet wbijał ją tak mocno w bok Jodie, że kostkami palców dotykał jej ciała. Pod naciskiem Jodie pochyliła się naprzód. Włosy opadły jej na twarz. Patrzyła na Reachera. To były najpiękniejsze oczy, jakie widział w całym swoim życiu.

— Nikt nie mówi nie Victorowi Hobiemu — warknął mężczyzna.

Reacher pokonał ból. Trzymał pistolet wycelowany w czoło przeciwnika, w miejsce, gdzie blizny dotykały zdrowej skóry.

- Wcale nie nazywasz się Victor Hobie — powiedział. — Nazywasz się Carl Allen i jesteś skończonym łajdakiem.

Zapadła cisza. Reacher czuł łomot w głowie. Jodie rzuciła mu pytające spojrzenie.

— Nie jesteś Victor Hobie — powtórzył. — Nazywasz się Carl Allen.

Nazwisko zawisło w powietrzu. Tamten wyglądał tak, jakby to nazwisko go odrzucało.

Pociągnął Jodie do tyłu, przechodząc nad ciałem mężczyzny w ciemnym garniturze. Pilnował, żeby cały czas była między nim i Reacherem. Powoli cofał się do ciemnego gabinetu. Reacher szedł za nim z uniesionym pistoletem. W gabinecie byli jacyś ludzie. Reacher dostrzegł zasłonięte okna, salonowe meble i trzy osoby kręcące się po pokoju — jasno włosą kobietę i dwóch mężczyzn w garniturach. Wszyscy wpatrywali się w niego. Patrzyli na jego pistolet, na tłumik, czoło, koszulę mokrą od krwi. Jak automaty skierowali się w stronę trzech sof ustawionych przed biurkiem. Oddzielnie przycisnęli się między sofami, usiedli i oparli ręce na szklanym

blacie stolika do kawy. Sześć rąk na stoliku, trzy wpatrzone w niego twarze z wyrazem nadziei, przerażenia i zaskoczenia.

— Mylisz się — oznajmił facet z hakiem.

Cofał się po łuku, wlokąc za sobą Jodie, aż wreszcie zatrzymał się za najbardziej oddaloną sofą. Reacher stanął przy sofie naprzeciwko. Trzymał steyra ponad głowami trzech osób nisko pochylonych nad stolikiem. Krew z jego brody skapywała na oparcie sofy.

- Nie, nie mylą się — powiedział. — Jesteś Carl Allen. Urodzony osiemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, na południe od Bostonu, na jakimś zielonym przedmieściu. Normalna rodzina, bez większych sukcesów. Zostałeś powołany do służby latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Szeregowiec, zdolności poniżej średniej we wszystkich kategoriach. Wysłali cię do Wietnamu. Służyłeś w piechocie, byłeś zwykłym szeregowcem. Wojna zmienia ludzi, a ty zmieniłeś się w prawdziwego łajdaka. Spekulowałeś, kupowałeś i sprzedawałeś wszystko, co trafiło w twoje brudne łapska.

Narkotyki i dziewczyny. Potem zacząłeś

pożyczać pieniądze. Stałeś się naprawdę groźny. Kupowałeś i sprzedawałeś usługi i przywileje. Przez dłuższy czas żyłeś jak król. W końcu ktoś zmądrzał i skończyło się dekowanie. Posłał cię do dżungli. Tam toczyła się prawdziwa wojna. Twardy oddział dowodzony przez surowego oficera. To ci się nie podobało, więc przy pierwszej okazji go zabiłeś. Potem jeszcze sierżanta. Ale koledzy cię wydali. To niezwykle. Nie lubili cię, co? Pewnie byli ci winni pieniądze. Donieśli na ciebie. Do oddziału przylecieli dwaj policjanci, Gunston i Zabirski. Aresztowali cię. Dalej chcesz wszystkiemu zaprzeczać?

Allen nie odpowiedział. Reacher przełknął ślinę. Potwornie bolała go głowa. Źródło bólu było gdzieś głęboko pod pociętą skórą. Naprawdę mocnego bólu.

— Przylecieli helikopterem, przywiózł ich sympatyczny młody pilot, nazywał się Kaplan. Następnego dnia przyleciał znowu, tym razem jako drugi pilot prawdziwego asa, Victora Hobięgo. Gunston i Zabirski już cię zwinęli i czekali na transport. Jednakże huey Victora został trafiony tuż po starcie i rozbił się w dżungli, sześć kilometrów od miejsca startu. Hobie zginął, podobnie jak Kaplan, Gunston, Zabirski i pozo stali trzej członkowie załogi,

Bamford, Tardelli i Soper. Ty przeżyłeś. Straciłeś rękę, byłeś poparzony, ale przeżyłeś. Twój mózg pracował. Zamieniłeś identyfikator z najbliższym zabitym. Tak się zdarzyło, że był to Victor Hobie. Wyczołgałeś się z wraku z jego identyfikatorem na szyi. Swój zostawiłeś na jego zwłokach. Carl Allen nagle znikł wraz ze swoją kryminalną przeszłością. Dotarłeś do szpitala polowego, a tam myśleli, że leczą Victora Hobiego. To nazwisko wpisali we wszystkich dokumentach szpitalnych. Potem zabiłeś pielęgniarza i uciekłeś. Nie chciałeś wracać, bo wiedziałeś, że w wojsku wcześniej lub później ktoś rozpozna, że nie jesteś Victorem Hobiem. Wtedy wyszłoby na jaw, kim jesteś naprawdę, i znowu byłbyś po uszy w gównie. Dlatego znikłeś. Nowe życie, nowe nazwisko. Czysta karta. Jeszcze chcesz zaprzeczać? Allen mocniej zacisnął ramię wokół talii Jodie. — To wszystko bzdury — powiedział. Reacher pokręcił głową. W jego oczach widać było błysk bólu.

- Nie, to prawda — stwierdził. — Nash Newman właśnie zidentyfikował szkielet Victora Hobiego. Leży w trumnie na Hawajach z twoim identyfikatorem na szyi.

— Gówno prawda! — krzyknął Allen.

— To dzięki zębom — wyjaśnił Reacher. — Rodzice Hobiego dbali, żeby syn miał zdrowe zęby. Posłali go do dentysty trzydzieści pięć razy. Newman twierdzi, że identyfikacja jest całkowicie jednoznaczna. Spędził godzinę, analizując zdjęcia rentgenowskie i programując komputer. Potem rozpoznał czaszkę. Idealna zgodność.

Allen milczał.

— Przez trzydzieści lat ci się udawało — ciągnął Reacher. — Aż wreszcie dwoje starych ludzi zrobiło dość hałasu, żeby ktoś się tym zainteresował. To już koniec. Dłużej ci się nie uda, bo musisz odpowiedzieć przede mną.

Allen wykrzywił się szyderczo. Zdrowa część jego twarzy wyglądała tak okropnie jak poparzona.

- Do diabła, dlaczego miałbym odpowiadać przed tobą? Reacher zamrugał, żeby usunąć krew z oka. Pistolet w jego ręku nawet nie drgnął.

— Z wielu powodów — odrzekł spokojnie. — Jestem przedstawicielem. Reprezentuję ludzi. Takich jak Victor Hobie. Był bohaterem, a przez ciebie został uznany za dezertera i mordercę. Jego rodzice cierpią już od trzydziestu lat. Reprezentuję ich, podobnie jak Gunstona i Zabriskiego. Obaj byli porucznikami policji wojskowej, mieli po dwadzieścia cztery lata. Gdy miałem tyle lat, ile oni, też byłem porucznikiem policji. Zginęli z powodu twoich zbrodni. Dlatego musisz przede mną odpowiedzieć, Allen. Jestem nimi. Tacy łajdacy jak ty powodują, że giną uczciwi ludzie.

Oczy Allena były zupełnie puste. Pociągnął Jodie w bok, żeby stała dokładnie między nim i Reacherem. Obrócił hak i mocniej wbił lufę w jej ciało. Kiwnął lekko głową.

— Okay, byłem kiedyś Carlem Allenem — oświadczył. — Masz rację, ty cwaniaku. Byłem Carlem Allenem, ale to się skończyło. Później byłem Victorem Hobiem. Byłem nim naprawdę długo, dłużej, niż byłem Carlem Allenem, ale najwyraźniej i to się skończyło. Od tej pory będę Jackiem Reacherem.

— Co?

— To moja oferta. Tak będzie wyglądał nasz układ. Twoje nazwisko w zamian za życie tej kobiety.

— Co? — powtórzył Reacher.

— Chcę przejąć twoją tożsamość. Chcę twojego nazwiska. Reacher popatrzył na niego bez słowa.

— Jesteś włóczęgą, nie masz rodziny — dodał Allen. — Nikt nie będzie cię szukał.

— A co potem?

— Potem umrzesz. Nie możemy przecież pozwolić, żeby dwie osoby nosiły to samo nazwisko, prawda? To uczciwa propozycja. Twoje życie w zamian za życie tej kobiety.

Jodie patrzyła na Reachera. Czekwała.

— Nie — odrzekł Reacher.

- Zastrzelę ją — zagroził Allen. Reacher znowu pokręcił głową. Ból był okropny. Stawał się coraz mocniejszy i rozszerzał się w kierunku oczu.

— Wcale jej nie zastrzelisz — odpowiedział. — Lepiej zastanów się, Allen. Pomyśl o sobie. Jesteś egoistycznym zasrańcem. Dla ciebie zawsze najważniejszy jesteś ty sam. Zastrzelisz ją, ja zastrzelę ciebie. Stoisz cztery metry ode mnie. Celuję w twoją głowę. Pociągniesz za cyngiel, ja też pociągnę. Ona umrze, a ty jedną setną sekundy po niej. Mnie również nie uda ci się zastrzelić, bo gdy tylko spróbujesz skierować rewolwer w moją stronę, padniesz trupem, nim wycelujesz. Zastanów się. To pat.

Patrzył na Allena zimnym wzrokiem, panując nad bólem i ponurymi myślami. Klasyczny pat, ale był pewien problem. Poważny błąd w analizie. Reacher wiedział o tym. Nagle to pojął i poczuł, że jest bliski paniki. Allen zrozumiał to w tej samej chwili. Reacher dostrzegł w jego oczach błysk zadowolenia.

- Źle to wyliczyłeś — rzekł Allen. — Coś pominąłeś.

Reacher milczał.

— W tym momencie mamy pat — ciągnął Allen. — I tak będzie, dopóki ja stoję tu, a ty tam. Jak długo jednak będziesz tam stał?

Reacher przełknął ślinę. Czuł kolejne fale bólu.

— Będę tu stał tak długo, jak długo będzie to konieczne — odpowiedział. — Mam dużo czasu. Jak wiesz, jestem włóczęgą. Nie mam żadnych pilnych spotkań.

Allen się uśmiechnął.

— Dzielne słowa — stwierdził. — Ale masz krwawiącą ranę głowy. Wiesz o tym? Z głowy sterczy ci jakiś kawałek metalu. Widzę go nawet stąd.

Jodie rozpaczliwie pokiwała głową. Patrzyła na Reachera oczami pełnymi przerażenia.

— Niech pan sprawdzi, panie Curry — polecił Allen. — Niech pan mu powie.

Facet siedzący na sofie pod lufą steyra zsunął się na podłogę, obszedł sofę na czworakach i ukląkł. Cały czas trzymał się daleko od pistoletu Reachera. Podniósł głowę, żeby sprawdzić.

Reacher milczał. - W tym momencie mamy pat — ciągnął Allen. — I tak będzie, dopóki ja stoję tu, a ty tam. Jak długo jednak będziesz tam stał?

Reacher przełknął ślinę. Czuł kolejne fale bólu.

Będę tu stał tak długo, jak długo będzie to konieczne — odpowiedział. — Mam dużo czasu. Jak wiesz, jestem włóczęgą. Nie mam żadnych pilnych spotkań.

Allen się uśmiechnął.

— Dzielne słowa — stwierdził. — Ale masz krwawiącą ranę głowy. Wiesz o tym? Z głowy sterczy ci jakiś kawałek metalu. Widzę go nawet stąd.

Jodie rozpaczliwie pokiwała głową. Patrzyła na Reachera oczami pełnymi przerażenia.

— Niech pan sprawdzi, panie Curry — polecił Allen. — Niech pan mu powie.

Facet siedzący na sofie pod lufą steyra zsunął się na podłogę, obszedł sofę na czworakach i ukląkł. Cały czas trzymał się daleko od pistoletu Reachera. Podniósł głowę, żeby sprawdzić.

Na jego twarzy pojawił się grymas.

- To gwóźdź — powiedział. — Gwóźdź stolarski. Ma pan gwóźdź w czaszce.

— To z pulpitu recepcjonisty — rzucił Allen.

Curry znowu usiadł na podłodze. Reacher wiedział, że Curry nie skłamał. Ból narastał w lawinowym tempie. Ognisko cierpienia znajdowało się na czole, dwa centymetry nad oczami. Dzięki adrenalinie nie czuł go tak mocno, ale działanie adrenaliny nie trwa wiecznie.

Ogromnym wysiłkiem woli zmusił się, żeby nie myśleć o bólu, ale czuł go. Ból był ostry jak brzytwa, a jednocześnie powodował mdłości, pulsował i grzmiał w głowie, wysyłał do jego oczu jaskrawe błyskawice. Koszula Reachera nasiąkła krwią aż do pasa. Co chwila mrugał, lecz lewym okiem już nic nie widział, bo było zalane krwią. Spływała po szyi, lewej ręce i skapywała z palców.

- Nic mi nie jest — rzekł. — Nie martw się o mnie.

- Dzielne słowa — powtórzył Allen. — Ale w rzeczywistości cierpisz ból i mocno krwawisz. Nie wytrwasz dłużej niż ja, Reacher. Myślisz, że jesteś twardy, ale w porównaniu ze mną jesteś mięczakiem. Wypełzłem z helikoptera bez ręki, z przeciętymi naczyniami krwionośnymi. Płonąłem. W takim stanie przeżyłem trzy tygodnie w dżungli, a potem wróciłem wolny do kraju. Żyłem tu w ciągłym zagrożeniu przez trzydzieści lat. To ja tu jestem twardzielem. Jestem najtwardszym człowiekiem na świecie. Psychicznie i fizycznie. Nie wytrwałbyś dłużej niż ja, nawet gdybyś nie miał tego cholernego gwoźdźcia we łbie. Nie oszukuj się, okay? Jodie patrzyła Reacherowi w oczy. W słabym, rozproszonym świetle przenikającym przez żaluzje jej włosy wydawały się złote. Opadały na twarz, rozdzielając się na czole. Widział jej oczy. Jej usta. Łuk szyi. Smukłe, silne ciało napierające na ramię Allena. Lśniący hak na tle jej kostiumu. Ból rozrywał mu głowę. Mokra koszula stopniowo stawała się zimna. W ustach zbierała się krew. Miała metaliczny posmak jak aluminium. Poczuł pierwsze, słabe drżenie ramienia. Steyr zaczynał mu ciążyć. - Nie brakuje mi motywacji — ciągnął Allen. — Na stracić. Jestem geniuszem i człowiekiem umiejącym przetrwać. Myślisz, że pozwolę, żebyś mnie pokonał? Sądźisz, że jesteś pierwszym, który spróbował? Reacher zacisnął zęby z bólu. — No to może podwyższymy stawkę! — zawołał Allen. Ścisnął Jodie jeszcze mocniej, podciągając do góry. Wbił rewolwer w jej żebra tak mocno, że pochyliła się na bok i do przodu, zwisając na jego ramieniu. Uniósł ją, żeby go zasłaniała. Hak się poruszył. Ręka przesunęła się z jej talii na klatkę piersiową. Hak przeorał jej piersi. Jodie jęknęła z bólu. Allen przesunął hak jeszcze wyżej, na jej twarz. Trzymał ją zgiętą ręką. Obrócił nieco łokieć i wbił hak w jej policzek. — Mógłbym rozedrzeć ją na strzępy — powiedział. — Mógłbym zedrzeć jej twarz, a ty nie byłbyś w stanie nic na to poradzić. Stres pogarsza samopoczucie, prawda? Zwiększa ból? Jesteś coraz słabszy? Czujesz, że zaraz zemdlejesz? Zaraz padniesz, Reacher. Stracisz przytomność, a wtedy skończy się pał, wierz mi. Reacher zadrżał. Nie z bólu, ale dlatego, że Allen miał rację. Czuł to w kolanach, choć wciąż pewnie stał na nogach. Jednak zdrowy człowiek nie czuje kolan, są po prostu elementem jego ciała. Gdy czuje, jak dzielnie utrzymują stukilogramowe ciało, to oznacza, że już wkrótce się ugną. To wczesne ostrzeżenie. — Padasz już, Reacher! — krzyknął Allen. — Trzęsiesz się, wiesz o tym? Opuszczasz nas. Za kilka minut podejść do ciebie i strzelę ci w łeb. Mam dość czasu. Reacher znowu zadygotał. Z trudem zbierał myśli. Kręciło mu się w głowie. Miał otwartą ranę. Dziurę w czaszce. Wyobraził sobie, jak Nash Newman demonstruje jego czaszkę podczas wykładu. *Ostry przedmiot przebił czoło — o, tutaj — uszkodził opony mózgowie i płat czołowy oraz spowodował krwotok.* Z trudem utrzymywał pistolet w wyciągniętej ręce. Usłyszał napomnienie Leona: *Jeśli plan A zawodzi, natychmiast przejdź do planu B.* Przypomniał sobie, jak kiedyś, przed laty, policjant z Luizjany opowiadał mu o zgubnych skutkach używania rewolweru kalibru .38. *Nie można mieć pewności, że jednym strzałem wykończysz narkomana, który cię atakuje,* powiedział. Reacher pamiętał jego zmartwioną twarz. A krótka lufa dodatkowo pogarsza sprawę. Trudno trafić z pistoletu z krótką lufą. Gdy trzeba przy tym trzymać wyrwijącą się kobietę, trafienie staje się jeszcze trudniejsze. Z drugiej strony przypadkowy strzał może okazać się celny. Kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że ktoś wali go w łeb ogromnym kilofem. Opuszczały go siły. Piekło go otwarte prawe oko, jakby miał w nim igły. *Jeszcze pięć minut Pięć minut i po mnie.* Przypomniał sobie, jak razem z Jodie wracali wynajętym samochodem z ogrodu botanicznego. Mówił do niej. *W samochodzie było ciepło. Słońce nagrzało zamknięty wóz. Powiedział wtedy, że psychologia jest podstawą każdego szwindlu.* Trzeba pokazać komuś to, co chce zobaczyć. Lufa styra zakołysała się na boki. *No, dobra, Leon, oto jest plan B. Ciekawe, czy ci się spodoba, pomyślał.* Nogi ugięły się pod nim. Zatoczył się. Szybko odzyskał równowagę i znowu wycelował w

niewielki widoczny fragment
głowy Allena. Muszka pistoletu zataczała koła w powietrzu. Najpierw niewielkie, potem większe, tak jakby nie mógł już udźwignąć ciężaru broni. Zakasłał i wypluł krew z ust. Steyr opadał. Muszka była coraz niżej, zupełnie jakby ktoś ciągnął ją w dół. Spróbował ją podnieść, ale nie dał rady. Chciał dźwignąć rękę, ale zamiast tego zakołysał nią na boki, jakby jakaś niewidzialna siła niweczyła jego próby. Znowu ugięły się pod nim kolana. Poderwał się spazmatycznie. Steyr zwiślał lufą w dół, nieco w prawo. Zablokował łokieć, ale nie mógł utrzymać prosto całego ramienia. Allen poruszył ręką. Reacher przyglądał się temu i myślał, czy to, co czuł do Jodie, okaże się równie skuteczne jak narkotyk. Allen wyciągnął lufę rewolweru z fałd jej kostiumu. *Czy dam radę?* Reacher z trudem utrzymywał się na chwiejnych nogach. *Czekaj. Tylko czekaj.* Zobaczył, jak Allen wysuwa do przodu nadgarstek. Był bardzo szybki. Reacher ujrzał czarny otwór stalowej lufy. Jodie nic nie groziło. Nagle pochyliła głowę. Reacher poderwał pistolet. Do celu brakowało mu już tylko kilka centymetrów. Kilki parszywych centymetrów. *To wszystko. Szybko,* pomyślał, *ale jednak za wolno.* Zobaczył, jak opada kurek rewolweru 12 lufy wydobywa się ogień. Poczuł potężne uderzenie w pierś, zupełnie jakby wpadł pod pociąg towarowy. Siła uderzenia sprawiła, że nawet nie usłyszał huku wystrzału. Młot wielkości planety uderzył go w klatkę piersiową. Wstrząsnął nim i ogłuszył od wewnątrz. Nie czuł bólu. Nawet najmniejszego. Po prostu zimna drętwość w piersi i cicha pustka w głowie. Absolutny spokój. Przez ułamek sekundy walczył, żeby ustać na nogach i nie zmrużyć oka podrażnionego dymem wylatującym z tłumika stcyra. Przesunął się nieco w bok i patrzył, jak cztery metry od niego eksploduje głowa Allena. W powietrzu unosiła się chmura rozpylonej krwi i odłamków kości. Rozchodziła się niczym mgła, miała już metr średnicy. *Czy nie żyje?* — zadał sobie pytanie. *Na pewno,* sam sobie odpowiedział i przestał walczyć. Zamknął oczy i przewrócił się na plecy. Leciał w idealnej ciszy gdzieś w bezkresnych ciemnościach.

18

Wiedział, że umiera, bo przed jego oczami przelatywały znajome twarze. Wszystkie poznawał. Tworzyły długi strumień, pojawiały się po dwie lub po trzy, i nie było wśród nich żadnych obcych. Słyszał, że tak to wygląda. Przed śmiercią człowiek widzi całe swoje życie. Wszyscy tak mówili. Teraz tak właśnie było. Niewątpliwie umierał. Reacher pomyślał, że gdy twarze się zatrzymają, to będzie już koniec. Ciekaw był, kto pokaże mu się ostatni. Nie brakowało kandydatów. Zastanawiał się, kto określa kolejność. Czyja to była decyzja? Trochę go irytowało, że to nie do niego należy wybór. A co będzie dalej? Co stanie się, gdy zniknie ostatnia twarz? Coś jednak zakłóciło ten proces. Nagle pojawiła się twarz, której nie znał. Wtedy uświadomił sobie, że to na pewno armia zorganizowała tę paradę. Na pewno. Tylko armia mogła przypadkowo włączyć kogoś, kogo nigdy przedtem nie widział. Zupełnie obcego człowieka w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Reacher pomyślał, że to całkiem normalne. Prawie całe życie spędził w wojsku, zatem nic dziwnego, że to armia zajęła się organizacją ostatniego etapu. Jeden błąd można było wybaczyć. To normalne, może nawet typowe dla armii. Ten facet jednak go dotykał. Bił. Zadawał mu ból. Reacher nagle uświadomił sobie, że parada się skończyła, nim pojawił się facet. On wcale nie brał w niej udziału. Przyszedł później. Może po to, żeby go wykończyć. Tak, na pewno. To było jedyne możliwe wyjaśnienie. Facet miał dopilnować, żeby umarł o wyznaczonej porze. Parada się skończyła i wojsko nie mogło pozwolić, żeby przeżył. Skoro już zdobyli się na wysiłek i zorganizowali paradę, nie chcieli, żeby ich trud poszedł na marne. To byłoby bez sensu. Poważne naruszenie regulaminu służby. Reacher spróbował sobie przypomnieć, kto się pojawił przed facetem. Przedostatnia osoba, a właściwie ostatnia. Nie pamiętał. Nie zwrócił

uwagi. Stracił przytomność i zmarł, nie wiedząc nawet, kto był ostatnim uczestnikiem parady.

• • •

Zmarł, ale wciąż myślał. Czy to okay? Czy to już inny świat? To by było dopiero coś. Przez niemal trzydzieści dziewięć lat żył w przekonaniu, że nie ma żadnego innego świata i życia pozagrobowego. Niektórzy się z nim zgadzali, inni oponowali, ale on był o tym święcie przekonany. Teraz sam trafił do innego świata. Zaraz ktoś przyjdzie i kpiąco

powie: *A nie mówiłem*. Gdyby role się odwróciły, on z pewnością tak by zrobił. Jeśli ktoś wygłaszał absolutnie fałszywe twierdzenia, to zasłużył przynajmniej na kilka przyjacielskich docinków.

Zobaczył Jodie Garber. Ona mu to powie. Nie, to niemożliwe. Przecież ona nie umarła. Chyba tylko zmarli mogą cię zrugać w innym świecie? Nikt żywy nie może tego zrobić. To wydawało mu się zupełnie oczywiste. Dla żywych nie ma miejsca w życiu pozagrobowym. Jodie Garber żyła. Sam o to się postarał. O to przecież chodziło. No, a poza tym był prawie pewny, że nigdy nie rozmawiał z nią o życiu pozagrobowym. A może? Może wiele lat temu, gdy była dzieckiem? To naprawdę była Jodie Garber. Zbliżyła się, żeby porozmawiać. Usiadła przed nim, odgarnęła włosy za uszy. Długie, jasne włosy, małe uszy. — Cześć, Reacher — powiedziała.

To był jej głos. Nie miał żadnych wątpliwości. Na pewno. A więc może też nie żyła. Może jakiś wypadek samochodowy.

To dopiero byłby kaprys losu. Może wpadła pod pędzącą ciężarówkę na Broadwayu, gdy wracała do domu z World Trade Center.

— Cześć, Jodie — odpowiedział.

Uśmiechnęła się do niego. Mieli kontakt. Z tego wynikało, że była martwa. Tylko martwi mogą rozmawiać ze zmarłymi. Chciał się upewnić.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał.

— U Świętego Wincentego — powiedziała.

Reacher słyszał o świętym Piotrze. To ten przy bramie. Widział go na obrazach. No, może nie na obrazach, ale w komiksach. Staruch w todze, z długą brodą. Stoi za pulpitem i pyta, dlaczego ma wpuścić kolejnego delikwenta. Reacher nie pamiętał jednak, żeby święty Piotr zadawał mu jakieś pytania. Może to nastąpi później. A może powinien wrócić i zaliczyć to przesłuchanie.

Kim jednak był święty Wincenty? Może to szef obozu dla czekających na rozmowę ze świętym Piotrem. Może to coś

w rodzaju obozu dla rekrutów, unitarnego szkolenia. Może stary święty Wincenty prowadzi coś w rodzaju niebiańskiego Fort Dix. No, to nie problem. Reacher bez trudu zaliczył obóz dla rekrutów. To była najłatwiejsza faza całej jego służby. Może to powtórzyć. Ta myśl jednak mocno go zirytowała. Na litość boską, przecież był już majorem. Był gwiazdorem policji, dostał kilka medali. Do diabła, dlaczego miał teraz powtarzać unitarkę?

No i co tu robiła Jodie? Przecież powinna żyć. Reacher uświadomił sobie, że zaciska lewą rękę. Był zły. Uratował Jodie, bo ją kochał. Dlaczego zatem zmarła? Do diabła, co tu się dzieje? Spróbował usiąść. Coś go trzymało. Cholera, co to ma znaczyć? Ktoś musi mu to natychmiast wyjaśnić albo porachuje komuś kości.

— Spokojnie — powiedziała Jodie.

- Chcę porozmawiać ze świętym Wincentym — zażądał. — Ma tu przyjść, i to natychmiast. Powiedz mu, żeby ruszył dupę i przyszedł tu w ciągu pięciu minut, bo inaczej naprawdę się wścieknę.

Spojrzała na niego i pokiwała głową. — Okay.

Jodie wstała. Znikła gdzieś, a on leżał na łóżku. To chyba jednak nie był obóz dla rekrutów.

Było zbyt cicho, a poduszki były za miękkie.

• • •

Gdy to wspominał, myślał, że powinien być przeżyć szok. Tak się jednak nie stało. Zobaczył wyraźnie pokój, spojrzął na meble i lśniąca urządzenia i pomyślał: *szpital*. Wrócił do życia z takim samym wewnętrznym wzruszeniem ramionami, z jakim zajęty człowiek uświadamia sobie, że jest inny dzień tygodnia, niż mu się wydawało.

Leżał w słonecznym pokoju. Obrócił głowę w stronę okna. Pod oknem siedziała Jodie i czytała książkę. Oddychał cicho i patrzył na nią. Lśniąca włosy spadały jej na ramiona. Kręciła kosmykiem, trzymając go między palcem wskazującym i kciukiem. Miała na sobie żółtą sukienkę bez rękawów. Widać było opalone ramiona i niewielkie guzki kostne. Miała długie, szczupłe ramiona. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami w żółtych pantoflach dopasowanych do sukienki. Jej kostki miały brązowy kolor.

— Hej, Jodie — przywitał ją.

Podniosła głowę i spojrziała na niego. Szukała czegoś w jego twarzy, a gdy to znalazła, uśmiechnęła się szeroko.

— Hej, Reacher — rzuciła. Wstając z krzesła, upuściła książkę. Zrobiła trzy kroki, pochyliła się i pocałowała go w usta.

— Święty Wincenty — powiedział. — Mówiłaś mi, ale byłem półprzytomny.

Kiwnęła głową.

— Nafaszerowali cię morfiną — wyjaśniła. — Pompowali ją w ciebie jak szaleni. Starczyłoby dla wszystkich narkomanów w Nowym Jorku.

— Jaki dziś dzień?

— Jest lipiec. Byłeś nieprzytomny trzy tygodnie.

— Jezu, powinienem być głodny.

Jodie obeszła łóżko i stanęła z lewej strony. Dotknęła jego

przedramienia ułożonego dłonią do góry. Miał założony wenflon.

— Karmili cię — powiedziała. — Dopilnowałam, żebyś dostawał to, co lubisz. Wiesz, dużo glukozy i soli fizjologicznej.

— Nie ma nic lepszego od soli fizjologicznej. Jodie zamilkła.

— No, co tam? — spytał.

— Pamiętasz?

— Wszystko — odpowiedział, kiwając głową. Przełknęła ślinę.

— Nie wiem, co powiedzieć — szepnęła. — Naraziłeś się na śmierć, żeby mnie ocalić.

- Mój błąd — odrzekł. — Byłem za wolny, to wszystko. Miałem go oszukać i strzelić pierwszy.

No, ale najwyraźniej przeżyłem. Nie mów nic. Naprawdę. Nigdy o tym nie wspominaj.

Muszę ci podziękować — szepnęła.

- To raczej ja powinienem być wdzięczny — powiedział Reacher. — To wspaniałe uczucie, gdy masz kogoś, dla kogo

chcesz narazić się na śmierć.

Jodie pokiwała głową, ale nie żeby się z nim zgadzała. To był tylko przypadkowy ruch, który miał pomóc jej powstrzymać

płacz.

— Co mi jest? — spytał Reacher. Jodie przez chwilę milczała.

— Zawołałam lekarza — powiedziała cicho. — Wyjaśni ci lepiej niż ja.

Jodie wyszła. Chwilę później do pokoju wszedł mężczyzna w białym fartuchu. Reacher się uśmiechnął. To był facet, którego przysłała armia, żeby go wykończył po paradzie. Niski, szeroki w barach, mocno owłosiony mężczyzna, który mógłby równie dobrze być zapaśnikiem.

— Czy zna się pan na komputerach? — spytał. Reacher wzruszył ramionami. Zaczął podejrzewać, że to

jakieś rutynowe wprowadzenie do kiepskich wiadomości o uszkodzeniu mózgu, kalectwie, utracie pamięci i tak dalej. - Na komputerach? Niespecjalnie.

- Dobrze, spróbujemy. Niech pan sobie wyobrazi wielki superkomputer, najnowszego cray'a. Wprowadzamy wszystko, co wiemy o ludzkiej anatomii i fizjologii oraz o ranach postrzałowych, a następnie żądamy, żeby zaprojektował mężczyznę najlepiej dostosowanego do przeżycia postrzału z trzy-dziesiątkósemki w pierś. Przypuśćmy, że komputer liczy przez tydzień. Wie pan, jaki byłby wynik?

— Nie mam pojęcia. — Reacher znowu wzruszył ramionami.

— Dostalibyśmy pański wizerunek, drogi przyjacielu. Ten cholerny pocisk nawet nie dotarł do środka klatki piersiowej. Ma pan takie grube i gęste mięśnie klatki piersiowej, że kula nie zdołała ich przebić. Ugrzęzła jak w kamizelce z kewlaru. Wyszła po drugiej stronie mięśnia, strzaskała jedno żebro i to wszystko.

— Jeśli tak, to dlaczego przez trzy tygodnie byłem nieprzytomny? — natychmiast spytał Reacher. — Chyba nie z powodu dziury w mięśniu i złamanego żebra, to pewne. Czy z moją głową jest wszystko w porządku. Lekarz dziwnie się zachował. Zaklaskał, a następnie machnął ręką w powietrzu, jakby zadawał cios. Zbliżył się do łóżka, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Martwiłem się o to — powiedział. — Naprawdę byłem niespokojny. Poważna rana. Gdybym nie wiedział, że to gwóźdź z mebla rozbitego strzałem ze śrutówki, pomyślałbym, że ktoś użył pistoletu do wstrzeliwania gwoździ w ściany. Gwóźdź przebił czaszkę i zagłębił się trzy milimetry w mózg. Płat czołowy, mój przyjacielu, to nie jest miejsce, w które należy wbijać gwoździe. Gdybym już musiał mieć gwóźdź w czaszce, z pewnością nie wybrałbym płata czołowego. Jednakże gdybym musiał zobaczyć gwóźdź w którymś płacie czołowym, wybrałbym pana, ponieważ ma pan czaszkę grubszą niż neandertalczyk. Gdyby nie to, gwóźdź wszedłby w płat na całą długość, a to oznaczałoby dziękuję i dobranoc.

— Czy zatem nic mi nie jest? — spytał Reacher.

- Właśnie dzięki panu zaoszczędziliśmy dziesięć tysięcy dolarów na testach — odpowiedział radośnie lekarz. — Prze-

kazałem panu wiadomość o ranie w piersi, a co pan zrobił? Porównał pan to z informacjami w swojej wewnętrznej bazie danych, zdał pan sobie sprawę, że to nie była poważna rana i nie mogła pozbawić pana przytomności na trzy tygodnie, przypomniał sobie pan drugą ranę, połączył pan jedno z drugim i zadał pan właściwe pytanie. Natychmiast. Bez wahania. Szybkie logiczne myślenie, zdolność przywołania odpowiednich informacji, wyciągnięcia wniosku i zadanie wnikliwego pytania. Pana głowa jest w idealnym stanie, przyjacielu. Może pan to uznać za profesjonalną opinię. Reacher powoli skinął głową.

— A więc kiedy będę mógł wyjść ze szpitala?

Lekarz spojrzał na wiszącą w nogach łóżka historię choroby. Podniósł metalową podkładkę z doczepionym grubym plikiem kartek. Przejrzał dokumentację.

— Hm, ogólnie biorąc, zdrowie panu służy, ale lepiej będzie, jeśli zostanie pan na obserwacji. Powiedzmy, dwa lub trzy dni.

— Zawracanie gitary — zaprotestował Reacher. — Wychodzę dziś wieczorem

— No, zobaczymy, jak się pan będzie czuł za godzinę — odpowiedział lekarz. Zbliżył się do łóżka i stając na palcach, przekręcił zawór kroplówki, zwiększając tempo przepływu. Stuknął palcem w rurkę. Sprawdził, czy ciecz spływa do ramienia, po czym wyszedł z pokoju. W drzwiach minął Jodie. Towarzyszył jej mężczyzna w letniej marynarce. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, krótkie szpakowate włosy i bladą cerę. Reacher popatrzył na niego. *Mogę się założyć, że to ktoś z Pentagonu*, pomyślał.

— Reacher, to generał Mead — przedstawiła mężczyznę Jodie.

— Departament Obrony — powiedział Reacher. Gość spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Czy już się kiedyś spotkaliście? — spytał.

— Nie. — Reacher pokręcił głową. — Wiedziałem jednak, że jak tylko otworzę oczy, ktoś z was będzie tu węszył.

Mead się uśmiechnął.

— Szczerze mówiąc, prawie rozbiliśmy tu obóz. Mówiąc wprost, chcielibyśmy prosić pana, żeby utrzymał pan w tajemnicy sprawę Carla Allena.

— Wykluczone — rzekł Reacher.

Mead znowu się uśmiechnął i cierpliwie czekał. Jako stary wojskowy biurokrata wiedział, jak powinna wyglądać taka rozmowa. Leon zwykł powtarzać, że coś za nic to dla niego obcy język.

— Państwo Hobie — mówił dalej Reacher. — Sprowadzicie ich do Waszyngtonu pierwszą klasą, ulokujecie w pięciogwiazdkowym hotelu, pokażecie nazwisko syna na Murze i dopilnujecie, żeby z tej okazji pojawiła się tam cała banda oficerów w galowych mundurach. Mają prężyć się na baczność i salutować jak wariaci. Jeśli to zrobicie, będę trzymał język za zębami.

— Załatwione — odparł Mead. Wstał i wyszedł z pokoju. Jodie usiadła w nogach łóżka.

— Powiedz mi, co z policją — spytał Reacher. — Mają do mnie jakieś pytania?

Jodie potrząsnęła głową.

— Allen zabił dwoje policjantów — powiedziała. — Jeśli będziesz trzymał się terytorium działania nowojorskiej policji, już nigdy w życiu nie dostaniesz mandatu. Samoobrona, nikt nie ma najmniejszej wątpliwości.

— A co z moim pistoletem? Ukradłem go.

— To był pistolet Allena. Wyrwałeś mu go z ręki. Wszyscy świadkowie to widzieli i potwierdzili.

Reacher powoli pokiwał głową. Przypomniał sobie, jak z głowy Allena trysnęła krew i bryznęły strzępy mózgu. Dobry strzał, pomyślał. Ciemny pokój, stres, gwoździe w głowie, pocisk z trzydziestkiósemki w pierś, trafienie w dziesiątkę. Prawie perfekcyjny strzał. Znowu zobaczył hak na twarzy Jodie, lśniąca stal na jej miodowej skórze.

— Nic ci nie jest? — spytał.

— Doskonale się czuję.

— Na pewno? Żadnych złych snów?

— Żadnych koszmarów. Jestem już dużą dziewczynką. Reacher skinął głową. Przypomniał sobie ich pierwszą wspólną noc. Duża dziewczynka. To chyba było milion lat temu.

— A co z tobą?

— Lekarz uważa, że wszystko jest okay. Nazwał mnie neandertalczykiem.

— Nie, pytam poważnie.

— A jak wyglądam?

— Pokażę ci.

Jodie poszła do łazienki i po chwili wróciła z lustrem zdjętym ze ściany. To było okrągłe lustro w plastikowej ramie. Oparła je na jego nogach. Reacher schwycił lustro prawą ręką i przejrzał się. Wciąż był opalony. Niebieskie oczy. Białe zęby. Ogolili mu głowę, ale miał już paromilimetrową szczecinę. Na lewej stronie twarzy widać było liczne ślady po okaleczeniach, natomiast dziura po gwoździu na czole ginęła wśród pozostałości po długim i burzliwym życiu. Dostrzegając ją, bo była bardziej czerwona od innych, ale nie różniła się wyraźnie od blizny dwa centymetry dalej, w miejscu, gdzie brat Joe zranił go kawałkiem szkła podczas dawno zapomnianej dziecinnej awantury. To zdarzyło się dokładnie w tym samym roku, kiedy Wietnamczycy zestrzelili helikopter Hobięgo. Pochylił lustro do przodu. Zobaczył szeroki pas bandaża

wokół piersi. Śnieżnobiały opatrunek ostro kontrastował z opaloną skórą. Oceniał, że stracił jakieś piętnaście kilogramów. Wrócił do swojej normalnej wagi, czyli mniej więcej stu kilogramów. Oddał lustro **Jodie** i spróbował usiąść. Nagle zakręciło mu się w głowie.

— Chcę stąd wyjść — powiedział.

— Jesteś pewny? — spytała.

Przytaknął. Był pewny, ale chciało mu się spać. Położył głowę na poduszce tylko na chwilę. Poduszka była taka miękka. Jego głowa ważyła chyba z tonę, bo nie mógł jej udźwignąć. Z

każdą chwilą w pokoju stawało się coraz ciemniej. Spojrzał na torbę na stojaku kroplówki. Widział zawór, który lekarz poprawił. Na pewno go otworzył, Reacher słyszał trzask plastiku. Na **torbie** był jakiś napis. Skupił wzrok. Musiał się skoncentrować. Wreszcie odczytał zielone litery: **morfina**.

— Cholera — zdążył jeszcze zakląć, nim pokój pogrążył się w ciemnościach.

• • •

Gdy ponownie otworzył oczy, stwierdził, że słońce cofnęło się na niebie. Było wcześniej, niż gdy zasypiał. To był poranek, nie popołudnie. Jodie siedziała na swoim krześle pod oknem. Czytała tę samą książkę — ubyłoby stron do przeczytania mniej więcej grubości centymetra. Zmieniła żółtą sukienkę na niebieską.

— Nowy dzień — powiedział.

Jodie zamknęła książkę i wstała. Podeszła do łóżka, pochyliła się i pocałowała go w usta. Oddał jej pocałunek, po czym zacisnął zęby, wyciągnął wenflon z ramienia i rzucił go na podłogę obok łóżka. Krople ciekące z igły tworzyły powiększającą się kałużę. Reacher usiadł na łóżku, oparł się na poduszce i przesunął dłoń po szczecinie na głowie.

— Jak się czujesz? — spytała Jodie.

Reacher siedział nieruchomo. Skupił się na systematycznym przeglądzie swojego ciała od palców stóp do potylicy.

— Doskonale — odparł.

— Masz gości — powiedziała Jodie. — Dowiedzieli się, że odzyskałeś przytomność.

Kiwnął głową i przeciągnął się. Poczł lekki ból w piersi

Kiwnął głową i przeciągnął się. Poczł lekki ból w piersi po lewej stronie. Miał tam słabe miejsce. Spojrzał na stojak do kroplówki. To była pionowa stalowa tyczka zakończona hakiem służącym do zawieszenia torby z cieczą. Chwycił ręką hak i mocno ścisnął. Poczł ból w łokciu i w miejscu postrzału, ale stalowy półokrąg przybrał owalny kształt. Uśmiechnął się do siebie.

— Dobra, powiedz im, że mogą wejść.

Wiedział, kto przyszedł, nim jeszcze weszli do pokoju. Zorientował się po dochodzących do pokoju odgłosach. Koła wózka z butlą z tlenem głośno piszczały. Pani Hobie zatrzymała się przy drzwiach i puściła męża przodem. Miała na sobie nowiutką suknię. On włożył stary, niebieski garnitur. Pchał przed sobą wózek z tlenem. Minął żonę. Lewą ręką trzymał rączkę wózka, a prawą podrzucił do góry i zasalutował. Dłoń mu drżała. Reacher też zasalutował, starając się tak, jakby to był pokaz musztry. Zrobił to z pełną powagą. Po dłuższej chwili opuścili ręce. Starszy pan zbliżył się do łóżka, a jego żona kręciła się za nim.

Byli innymi ludźmi. Wciąż starzy, wciąż słabi, ale już spokojni. Pewnie lepiej wiedzieć, że syn zginął, niż nie wiedzieć nic o jego losie, pomyślał Reacher. Przypomniał sobie wizytę w pozbawionym okien laboratorium Newmana na Hawajach i trumnę Allena z leżącym w niej szkieletem Victora Hobiego. Stare kości Victora Hobiego. Dobrze je pamiętał. Wyróżniały się wśród innych. Łagodny łuk czoła, wysoka, okrągła móż-goczaszka. Równe białe zęby. Długie proste kończyny. To był szlachetny szkielet.

— Wasz syn był bohaterem. Starszy pan pokiwał głową.

— Spełnił swój obowiązek.

— Zrobił znacznie więcej, niż nakazywał obowiązek -odrzekł Reacher. — Czytałem jego dokumenty. Rozmawiałem z generałem De Wittem. Był odważnym lotnikiem, który dokonał wielu czynów wykraczających poza obowiązek żołnierza. Dzięki swej odwadze uratował wielu ludzi. Gdyby przeżył, nosiłby teraz trzy gwiazdki. Byłby generałem, zajmowałby ważne stanowisko dowódcze lub miałby wielki gabinet w Pentagonie.

Państwo Hobie to właśnie powinni usłyszeć, ale Reacher

wcale nie kłamał. Starsza pani położyła wychudzoną bladą dłoń na ręce męża. Siedzieli w milczeniu, ze łzami w oczach, myśląc o kraju odległym o prawie osiemnaście tysięcy kilometrów, w którym poległ ich syn. Opowiadali, kim mógłby zostać, gdyby przeżył. Dawne zdarzenia teraz układały się w całość bez żadnych komplikacji, aż wreszcie przerwała je

honorowa śmierć na polu walki, po której pozostały już tylko niespełnione marzenia. Po raz pierwszy mogli o nich opowiadać, gdyż teraz były uprawnione. Te marzenia dodawały im sił, tak samo jak tlen syczący z butli w rytm wdechów i wydechów pana Hiebiego.

— Teraz mogę spokojnie umrzeć — stwierdził. Reacher pokręcił głową.

— Nie, jeszcze pan nie może — rzekł. — Musi pan pojechać zobaczyć Mur. Będzie tam jego nazwisko. Proszę, żeby pan przysłał mi fotografię.

Starszy pan pokiwał głową, a jego żona uśmiechnęła się przez łzy.

- Pani Garber wspomniała nam, że być może osiedli się pan w Garrison — powiedziała. — Byłby pan naszym sąsiadem. Reacher przytaknął.

— To całkiem możliwe.

— Pani Garber to wspaniała młoda kobieta.

— Tak, proszę pani, niewątpliwie.

— Skończ z tymi głupstwami — zwrócił się pan Hobie do żony. Nie mogli dłużej zostać, bo sąsiad, który ich przywiózł, śpieszył się do domu. Reacher odprowadził ich wzrokiem do drzwi. Gdy wyszli, w pokoju pojawiła się uśmiechnięta Jodie.

— Doktor powiedział, że możesz dziś opuścić szpital.

— Zawieszisz mnie? Kupiłeś już nowy samochód?

— Nie, wynajęłam. Nie miałam czasu na kupowanie samochodu. Hertz przysłał mi mercury'ego. Z dobrym systemem nawigacji satelitarnej.

Reacher uniósł ręce nad głowę i przeciągnął się. Nic go nie zabolalo. To była niespodzianka. Nie poczuł bólu w żebrach.

- Potrzebuję jakiegoś ubrania — powiedział. - Przypuszczam, że stare nadaje się do wyrzucenia.

— Pielęgniarki pocięły je nożyczkami.

— Byłaś przy tym?

— Byłam tu cały czas — odpowiedziała. — Zamieszkałam w pokoju na końcu korytarza.

— A co z pracą?

— Wzięłam urlop — wyjaśniła. — Powiedziałam im, że jeśli się nie zgodzą, to rzucam pracę. Jodie wyciągnęła z laminowanej szafki stertę ubrań. Nowe dżinsy, nowa koszula, nowa marynarka, nowe skarpetki i majtki, wszystko starannie złożone w kostkę. Jego stare buty stały na wierzchu, w wojskowym stylu.

— To nic specjalnego — rzuciła. — Nie chciałam wychodzić na długo ze szpitala. Chciałam być przy tobie, gdy się zbudzisz.

— Siedziałaś tutaj przez trzy tygodnie?

— Miałam wrażenie, że to trzy lata — odrzekła. — Byłeś cały poraniony. Nieprzytomny. Wyglądałeś okropnie. Naprawdę strasznie.

— Ten system nawigacji satelitarnej... — zauważył Reacher. — Czy jest w nim droga do Garrison?

— Jedziesz tam?

— Chyba tak — odparł, wzruszając ramionami. — Mam podobno odpocząć, zgadza się?

Wiejskie powietrze dobrze mi zrobi. — Spojrzał w kierunku okna. — Może mogłabyś tam ze mną zostać na jakiś czas, no wiesz, pomogłabyś mi odzyskać siły.

Reacher odrzucił kołdrę i opuścił nogi na podłogę. Wstał powoli i niepewnie, po czym zaczął się ubierać. Jodie trzymała go za łokieć, żeby się nie przewrócił.